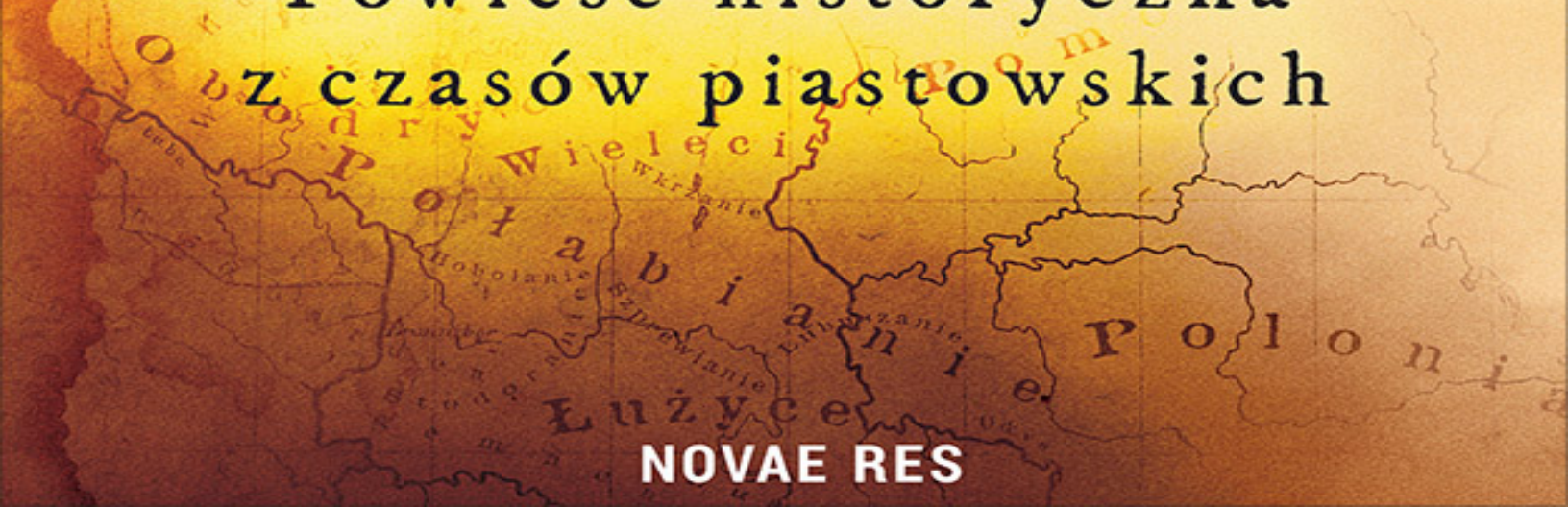




ROBERT F.  
BARKOWSKI

# WŁÓCZNIĄ

Powieść historyczna  
z czasów piastowskich



NOVAE RES

ROBERT F.  
BARKOWSKI

# WŁÓCZNIĄ

Powieść historyczna  
z czasów piastowskich



**NOVAE RES**

*Bratu Maciejowi*

## SPIS TREŚCI

Postacie historyczne (w porządku alfabetycznym).

Postacie fikcyjne (w porządku alfabetycznym).

I. Merseburg

II. Las Dziadoszan

III. Kopanik

IV. Lubusz

V. Santok

VI. Brenna

VII. Radogoszcz

VIII. Charenza

IX. Møn

X. Haithabu

XI. Biała Góra

XII. Niemcza

Epilog historyczny.

Podłoże historyczne - od autora

## POSTACIE HISTORYCZNE

(w porządku alfabetycznym)

|                       |  |
|-----------------------|--|
| Antonius<br>(Tuni)    | Rzymianin, opat klasztoru w Międzyrzeczu,<br>bliski doradca Chrobrego  |
| Awiko                 | duchowny, nadworny kapelan księcia<br>Obodrytów Mścisława.   |
| Bolesław<br>I Chrobry | władca Polski z dynastii Piastów. Król Polski<br>od 1000 roku z cesarskiego nadania,<br>koronowany i namaszczony sakramentami<br>kościelnymi w 1025 roku |
| Gero                  | arcybiskup Magdeburga w latach 1012-1023,<br>stronnik Henryka II   |
| Gero II               | margrabia marchii łużyckiej, skryty stronnik<br>Chrobrego  |
| Harald                | król Danii, siostrzeniec Chrobrego, brat<br>Kanuta Wielkiego   |
| Henryk II             | król niemiecki, od 1014 cesarz   |
| Jarosław<br>I Mądry   | wielki książę Rusi Kijowskiej, przyrodni brat<br>Światopełka   |

|                     |  |
|---------------------|--|
| Kanut I Wielki      | król Anglii, od 1008 roku również Danii, brat Haralda, siostrzeniec Chrobrego                                |
| Masław              | rycerz i możny z Mazowsza, cześnik Mieszka II  |
| Mieszko II          | syn Chrobrego, następca polskiego tronu  |
| Mścisław            | książę Obodrytów   |
| Oldrych             | książę Czech z dynastii Przemyślidów, lennik cesarza   |
| Pandulf II          | longobardzki książę Benewentu, lennik cesarstwa niemieckiego   |
| Stoigniew           | polski rycerz, możnowładca w randze palatyna, bliski doradca Chrobrego                                       |
| Światopełk          | wielki książę Rusi Kijowskiej, przyrodni brat Jarosława  |
| Świętosława         | królowa Danii i Szwecji, siostra Bolesława Chrobrego   |
| Thietmar            | biskup Merseburga, kronikarz   |
| Thietmar (Tiemmo)   | syn Gerona II, w 1015 roku po bitwie w Lesie Dziadoszan margrabia marchii łużyckiej                          |
| Wierzysława         | fikcyjne imię źródłowo bezimiennej córki Bolesława Chrobrego, żony Światopełka Kijowskiego                   |
| Zygfryd (Siegfried) | saski możny, syn margrabiego Hodona, w 1015 roku po bitwie w Lesie Dziadoszan przeszedł na stronę Chrobrego. |

## POSTACIE FIKCYJNE

(w porządku alfabetycznym)

|                    |  |
|--------------------|--|
| Aelfgar            | anglosaski mnich, wychowawca i nauczyciel Matyldy, połabskiej księżniczki w Księstwie Kopanika |
| Andreas            | ksiądz z kapeli na dworze jarla Guttorma   |
| Bernard<br>(Benno) | saski rycerz, siostrzeniec margrabiego Gerona II, walczący po stronie Polaków                  |
| Bożejka            | córka Srogosza   |
| Burzysław          | połabski książę z dynastii stodorańskiej, syn księcia Tęgobira, władcy Księstwa Kopanika       |
| Chaszczol          | polski zdrajca wysługujący się w Merseburgu biskupowi i Niemcom                                |
| Chwalimir          | władca Spędowa, członek dynastii stodorańskiej   |
| Czambor            | polski rycerz z Gdańska, syn Stęgniewa   |
| Dobiegnew          | wielmoża rański  |
| Dunmar             | książę Ranów na Rugii  |
| Glabunka           | siostra Czambora   |

|                               |   |
|-------------------------------|---|
| Gniewosz                      | najmłodszy brat Czambora  |
| Gromosław<br>(Gromo)<br>sława | polski rycerz z Lubusza, syn komesa Wodzisława  |
| Guttorm                       | jarl na wyspie Møn  |
| Halldórr                      | syn jarla Ubbe na wyspie Ærø  |
| Haranza                       | najwyższy kapłan świątyni Rujewita w Charenzie na Rugii   |
| Jaczel                        | najstarszy syn Przypora   |
| Krut                          | dowódca oddziału Ranów w bitwie pod grodziskiem Ciemne Bagno                                    |
| Lubisza                       | żona Wodzisława, matka Gromosława   |
| Matylda                       | połabska księżniczka z dynastii stodorańskiej, córka księcia Tęgobira, władcy Księstwa Kopanika |
| Pakosz                        | najwyższy rangą kapłan w Radogoszczy, przewodzący radzie żerców                                 |
| Przemir                       | polski rycerz z Krakowa   |
| Przyboj                       | polski rycerz, doradca Chrobrego  |
| Przypor                       | wysoki urzędnik piastowski, namiestnik podatkowy Gdańska i Pomorza Wschodniego                  |
| Radanka                       | wojowniczką Lutyków z plemienia Wkrzanów  |
| Randulf                       | longobardzki książę, syn księcia Pandulfa II z Benewentu  |
| Reginold                      | duński zbrojmistrz i kowal w Haithabu   |



|                   |  |
|-------------------|--|
| Ullfred           |  |
| Rościmir          | polSKI rycerz z Sandomierza  |
| Sławigost         | połabski książę z dynastii stodorańskiej, niezależny władca Braniboru, ojciec Stodora      |
| Śmiałodarz        | piastowski rycerz dowodzący obroną - Niemczy   |
| Srogosz           | wysłużony piastowski wojownik pochodzący z Gniezna, opiekun włóczni św. Maurycego          |
| Stęgniew          | ojciec Czambora, zarządca gdańskiego podgrodzia  |
| Stodor            | połabski książę z dynastii stodorańskiej, syn Sławigosta                                   |
| Tęgobir           | połabski książę z dynastii stodorańskiej, władca Księstwa Kopanika, wierny lennik - Polski |
| Turgel            | rański wojownik  |
| Unisław i Unibo   | połabscy książęta Hobolina z dynastii stodorańskiej  |
| Wisław            | brat Czambora  |
| Wodzisław         | polSKI komes grodu Lubusz, ojciec Gromosława   |
| Wojomir           | połabski wojownik, wódz z plemienia Wkrzanów   |
| Ziemutz (Siemysł) | wódz południowopołabskiego plemienia Koldziców, lennik arcybiskupa Magdeburga              |

Zwodziława siostra Gromosława

Żdaniec      polski rycerz z Kalisza

## Merseburg

*W zamierzchłej przeszłości przewrotni bogowie obdarzyli Europę czarodziejskim powabem, skazując ją na wieczne wielbicieli obleganie. Zaczęło się od samego Zeusa, rozpieranego niespokojnymi żądzami. W desperacji przybrał on postać byka, by ją porwać i uwieść. Wielu próbowało ją później posiąść, używać jej wdzięków, ba, zapanować nad nią. Opętane zmysły kolejnych zalotników rozprzestrzeniły powaby Europy w najdalsze zakątki świata, od oceanu na zachodzie po dzikie stepy na wschodzie, od lodów północy po morze italskie na południu. Królestwa powstawały i upadały, imperia pęczniały, by rozpuścić się w niebycie. Władcy nie szczędzili oręża i ofiar dla uszczknięcia z jej wdzięków, niebacznici tego, że miłość mieczem i okrucieństwem wymuszona, a nieodwzajemniona, pogrąży ich w bezdennym szaleństwie. Z biegiem czasu plemiona i ludy w wojennych zmaganiach nowe królestwa pozakładały, ponownie dzieląc Europę. Niektóre na tłących się zgliszczach odchodzącej przeszłości, inne na ziemiach dotychczas barbarzyńskich. Władców poróżnionych zażartymi konfliktami łączyła*

w duchu wiara głoszona w imię umęczonego na krzyżu Chrystusa. Jeszcze tylko serce Europy, słowiańskie ziemie pomiędzy rzekami Łabą a Odrą, pulsują w najlepsze prastarą wiarą przodków, odrzucając z zacięciem chrześcijaństwo. Osiadłe tu plemiona, od wieków skłócone, z okrutnym uporem niszczą się nawzajem. A z jeszcze większą żądrością walczyły i walczą z zakusami obcych potęg. Germańscy sąsiedzi z lewego brzegu Łaby, wprzód Frankowie, teraz Sasi, i pozostałe Niemcy nazwali ten kraj Wendenland, a ludy słowiańskie patrzące od wschodu spoza Odry, zwane teraz Polakami, używają pojęcia Połabie. Plemiona tubylcze nie ułożyły wspólnej nazwy, a ponieważ ich język podobny był mowie Polaków, na dalszych stronach niniejszej kroniki będę używał nazwy Połabie.

Przejdę teraz do opisu Połabia i tutejszych ludów, zaczawszy od ojczyźnianej mi Stodoranii. W kraju tym, rozłożonym w dorzeczach Szprewy i Haweli aż po Łabę, usadowiło się Księstwo Stodorańskie ze stolicą w Brennie, zwanej niegdyś Braniborem. Na północy Stodorania styka się z mocarnym księstwem Obodrytów walczących na morzach i lądzie. Mają oni bitną jazdę ciężkozbrojną, ale potrafią też na łodziach bojowych wyspy duńskie najeżdzać. Granicy z nimi strzeże warownia Hobolin, rozłożona w widłach Haweli i Łaby, chroniąca nas jednocześnie przed napadami Sasów od zachodu. Na północnym wschodzie graniczymy z Wioletami zwanymi teraz Lutykami, zrzeszającymi wiele tamtejszych plemion, między innymi Toleżan, Chyżan, Czrezipienian. Rej wśród nich wodzą

najsilniejsi i obnoszący się dumnie Redarowie ze stolicą w tajemniczej Radogoszczy, gdzie jak słuch niesie, świątynia przeogromna z potężnym ichniejszym bóstwem Swaróżycem na ludy wszystkie promieniuje. Potrafią wyprowadzić do boju wiele tysięcy męskiej piechoty, najlepszej w tej części Europy, celują w łucznictwie, ale za to końmi gardzą. Powyżej Lutyków na wielkiej wyspie w morzu, zwanej przeróżnie: Rugią, Roją, Raną, panują Ranowie, plemię morskich rozbójników. Z nikim paktów nie zawierają, chyba że ich złotem i srebrem przekupić. Okrutnymi najezdami strach i zniszczenie sieją naokoło. Mają na cyplu Arkona owianą opowieściami i spływającą bogactwem świątynię Świętowita, który znaczeniem Swaróżycowi Lutyków nie ustępuje. Na południe od nas mieszkają następne ludy słowiańskie. Serbowie podzieleni na pomniejsze plemiona między Soławą a Muldą oraz Głomacze między Muldą a Łabą ze stolicą w Miśni graniczą z nami bezpośrednio. Dalej na wschód za Głomaczami, w dorzeczu Szprewy i Nysy siedzą Łużycanie z głównym grodem w Chociebużu. Bardziej oni już są w obyczajach polskim plemionom podobni niż połabskim. Poniżej Łużyczan, w kraju Milsko rozłożyli się Milczanie z warowniami w Busnicu i Budziszynie, których język Czechom podobny.

Stodor przerwał czytanie, zastygł w bezruchu ze wzrokiem wlepionym w ostatnie zdanie i zachmurzył się. Po dłuższym namyśle powstał z niewygodnego krzesła. Natarł palcami skronie, podszedł do okna, chcąc odpędzić

znużenie. Uchyliwszy drewnianej zasłony, zaciągnął się kilkakrotnie głęboko świeżym nocnym powietrzem. Gdy po czasie pobudzona krew dotarła do ociężałej głowy i zdrętwiałych od siedzenia nóg, wrócił do dalszego przeglądania pergaminów, których zapisanie zajęło mu ostatnie trzy tygodnie.

*Stodorianie i Lutycy z jednego pnia się wywodzą, kiedyś stanowili wielki związek wielu plemion zwanych wspólnie Wioletami. Władzę nad nimi sprawowała dynastia wielkksiążęca ze stolicą we wspomnianej już Brennie. Przed ponad stu trzydziestu laty doszło do krwawego rozłamu, gdy wielki książę Liub, dążąc do umocnienia władzy, próbował stworzyć królestwo na wzór mocarnych Franków zza Łaby. Przyjął od nich na poły potajemnie przed własnym ludem religię chrześcijańską, w ślad za nim poszli możni z jego otoczenia - w zamian za pomoc militarną, potrzebną mu dla zgniecenia oporu wszechpotężnej kasty żerców, kapłanów strzegących wiary naszych przodków. W odpowiedzi żercy wzniecili powstanie. Toczono straszliwe boje i serce Europy ponownie zalała czerwień krwi. Po stronie Liuba opowiedziała się federacja niejakich Goplan ze stolicą w dalekiej Kruszwicy, twardą ręką rządzących wszystkimi plemionami między środkową Odrą a Wisłą (tam, gdzie dziś Polska, jak wspomniałem). Ponoć któraś z licznych żon Liuba była ichniejszą księżniczką i z racji tego przysłali liczne zastępy piechoty, jazdy i łuczników. Również Czesi, których księżęta Frankom przymilać się poczęli i w wielkiej liczbie ochrzcić się dali,*

nadeszli przez Łużyce Liubowi z pomocą. Zawiodło jednak wsparcie samych Franków, których jazda ciężkozbrojna skręciła w ostatniej chwili na Wielkie Morawy, ponieważ tamtejszy władca Świętopełk straszne im klęski zadawał. Żercy natomiast pociągnęli za sobą niemal cały wielecki lud i część możnych. Dodatkowo uzyskali niespodziewanie poparcie Obodrytów, z którymi przecież Wieleci od niepamiętnych czasów byli śmiertelnie skłóceni. Obodryci, wietrzący w bratobójczej walce Wioletów korzyści dla siebie, szybko niezliczone zastępy niepokonanej jazdy na czas przysłali.

Gdy siły się zebrały, stoczono straszliwą bitwę pod grodem Lubusz niedaleko Odry, założonym niegdyś przez samego Liuba na owianych prastarą tajemnicą zgliszczach. Zacięty bój trwał z przerwami cztery dni i noc. Okolice grodu zaległy tysiące poległych po obu stronach. Piątego dnia padł w boju Liub, roztrzaskany toporem obodryckiego wojownika. W zażartej walce wokół ciała księcia rozsiekani zostali wszyscy jego synowie, większość sprzyjających mu możnych i cała gwardia. Resztki armii książęcej poszły w rozsypkę, oddając pole walki powstańcom. Jedynie nadworny opiekun książęcego potomstwa przedarł się z grupą jeźdźców na wschód do polskich szczepów, unosząc ze sobą kilkunastoletnie dziewczę imieniem Świętana, ostatniego żywego potomka stodorańskiej dynastii w linii prostej. Trafili tam jednak w piekło kolejnej wojny domowej. Niewielkie, lecz okrutnie bitne plemię Polan znad Warty wykorzystało nieobecność goplańskich sił zbrojnych

wysłanych na pomoc Liubowi i roznieciło rebelię przeciwko hegemonii Goplan. Uciekinierzy ze Stodoranii przyjęci zostali gościnnie przez ród Piastów władających z Gieczą Polanami i wzięli udział w walkach. Piastowie pokonali Goplan, zabili ich księcia, zniszczyli Kruszwicę i sami poczęli roztaczać panowanie nad okolicznymi plemionami. Piastowski książę pojął za żonę Świętanę. Z racji tego książęcy ród przeklętych Piastów rości sobie odtąd niewzruszone prawo dziedzictwa do ziem wieleckich. Do naszych, moich ziem.

Wielkie księstwo Wioletów przestało istnieć, zdziesiątkowane garnizony książęce utrzymały się jedynie na wąskim pasie grodów od Hobolina i Brenny na zachodzie po Kopanik i Lubusz na wschodzie. Tak powstało niewielkie terytorialnie Księstwo Stodorańskie, w którym na brenneńskim tronie zasiadł daleki kuzyn Liuba z bocznej linii dynastycznej, drżący o utrzymanie władztwa. Reszta wieleckich ziem dostała się pod panowanie żerców i rozłam stał się faktem dokonany. Tu Stodoranie, tam Lutycy. Obie strony wykrwawione w pamiętnej bitwie przez długie lata nie były w stanie wszcząć kolejnej wojny, jeżąc się tylko nawzajem w pogranicznych utarczkach.

Do czasu, aż na Połabie spadły dwie nawały z zewnątrz – Sasi od zachodu i Polacy od wschodu, pragnący podzielić między siebie ziemie między Łabą a Odrą. Przed niemal stu laty król saski Henryk zwany za życia Ptasznikiem, bo sokołami łownymi się zabawiał, a przez potomnych Budowniczym, bo warowni obronnych mnóstwo nastawiał,



zajął po ciężkim oblężeniu Brennę i zhołdował Stodorianę. Następnie podbił w kolejnych bojach wszystkie plemiona aż po Odrę, z wyjątkiem ziem wokół Lubusza, należących już wtedy do Polski. Poskromił Serbów i Głomaczy, odebrawszy im wolę do dalszego oporu. Pokonał kilkakrotnie Lutyków i Obodrytów, aczkolwiek wolności im do końca nie odebrał. Syn jego Otto, okrzyknięty Wielkim, zjednoczył szczepy germańskie od mórz na północy po Alpy, zajął Lotaryngię i pół Italii, rozgromił doszczętnie mężnych Madziarów. Po tym dostąpił cesarskiej godności. Przez cały ten czas umacniał swe władztwo między Łabą a Odrą. W swej ekspansji na wschód trafili jednak Niemcy na konkurencję, i to na całej linii. Zarówno w ciężkich bojach o Łużyce i Milsko na południu Połabia, jak i w zaciekłych walkach ze Wkrzanami (plemię na zachód od Szczecina) starli się Sasi z idącą od wschodu nawałą – drapieżną dynastią Piastów. Od pamiętnej bitwy pod Lubuszem, w której rozpadło się wielkie księstwo Wieleatów, Piastowie dokonali niebywałych rzeczy. Jednocząc kolejne plemiona po tamtej stronie Odry, stworzyli w przeciagu trzech pokoleń silne państwo zwane Polską. Po czym przekroczyli Odrę, by upomnieć się o nasze ziemie i odebrać nam wolność – powołując się na wspólny język i tradycję oraz z racji wspomnianego już powyżej prawa dziedzictwa. Najprzód zajęli gród Lubusz i ziemie wokół niego, następnie przeciągnęli na swoją stronę południowe odłamy plemienia Wkrzanów zamieszkałych na północ od Lubusza. Tym samym wbili się potężnym klinem w ziemie wieleckie, na co Lutyicy odpowiedzieli

kontruderzeniem, pomimo że jednocześnie walczyli z naporem Niemców od zachodu. Niemcy i Polacy, starając się nie wchodzić sobie w drogę, prowadzili, każdy na swoich odcinkach, podbój połabskich ziem. Wtedy też polski władca Mieszko I sprzymierzył się z Czechami, przyjął chrześcijaństwo, pokonał Lutyków w okrutnej bitwie i zajął przebogaty Wolin.

Cesarz Otto I kontynuował dzieło ojca Henryka, ale nie tylko o podbój mu chodziło, gdyż jednocześnie utrwał na najechanych terenach Połabia władzę Kościoła, założył biskupstwa z siedzibami w grodach: Brennie i Hobolinie. Dynastia moich przodków zachowała co prawda nominalną władzę, lecz jako zniewoleni poddani cesarza. W 983 roku Stodoranie zerwali się wespół z Lutykami i Obodrytami do ogólnego powstania i wyparli cesarstwo poza Łabę. Chrześcijańskim kapłanom rozpruto brzuchy, spopielono ich świątynie i wybito wszystkie saskie garnizony. Brenna i Hobolin wróciły pod berło naszej dynastii. Od tej pory władcy Stodoranii współpracowali ściśle z Lutykami.

Lecz cesarstwo nie pogodziło się z porażką. Dla ponownego ujarznienia nas zbratali się z Piastami. A wszystko za sprawą tej diabolicznej Theophanu, regentki na cesarskim tronie. Kobięcą dyplomacją i greckimi czarami opętała Mieszka, księcia Polaków, i przeciągnęła go na swoją stronę. Od tego czasu armie cesarskie i polskie szalały wespół po naszej krainie, oblegając wielokrotnie Brennę. W trakcie tych bojów, przed dwudziestu laty, pracy niestrudzenie na zachód Piastowie wyrwali spod naszego

władztwa plemię Szprewian, zająwszy ichniejszą warownię Kopanik. Pochód Piastów zatrzymała dopiero nasza twierdza w Spędowie (zwana przez Sasów Spandau) i nieustanne kontrataki Lutyków.

I wtedy, w 984 roku, na tronie Stodoranii zasiadł mój ojciec, Sławigost. Początkowo kontynuował współpracę z Lutykami dla wspólnego odpierania niemieckich i polskich ataków. W celu zacieśnienia sojuszu pojął za żonę jedyną córkę Pakosza, najwyższego żercy Radogoszczy, z którego to związku ja się zrodziłem. Lecz po jakimś czasie Sławigost uległ przebiegłym zabiegom Polaków. Przyjął chrześcijaństwo i rozpoczął potajemne paktowanie z Polakami, godząc się z utratą Kopanika. Jednocześnie wszedł w konszachty z Niemcami. W zamian za obietnicę zachowania suwerennej władzy nad Brenną wyparł się sojuszu z Lutykami i wygnał moją matkę. Ożenił się z córką saskiego margrabiego Hodona i spłodził z nią trzech synów. Rok w rok na świat przychodził kolejny brat przyrodni. Nienawidziłem ich od małego dziecka. Za poduszczeniem tej saskiej wiedźmy, nowej żony, lękając się o jej pomiot, ojciec zgodził się na wydalenie mnie z Brenny i oddał do Magdeburga, niby na nauki, pod kontrolę Sasów, mocno wtedy z Polakami zaprzyjaźnionych. A tak naprawdę nowa żona ojca dążyła do odsunięcia mnie od brenneńskiego dworu, chcąc zapewnić swoim synom, moim zapłutym braciom przyrodnim, dziedziczenie tronu Stodoranii. Zaślepiiony i opętany jej czarami ojciec zgodził się na wszystko. Ale że byłem księżęcej krwi, ojciec zobowiązał się

*pisemnie, że będzie łożył na moje utrzymanie, wysyłając do Magdeburga dwa razy w roku wielkie ilości srebra.*

*Tak spędziłem młodość w Magdeburgu, ucząc się arkanów czytania i pisania, łaciny i nauk pomocniczych. Ochrzczono mnie pod przymusem i trzymano z dala od Brenny, wierząc, że stanę się potulną owieczką. Planowano przeznaczyć mnie do wyższej kariery duchownej, przygotowując na biskupa albo opata. Lecz na szczęście matka i żercy z Radogoszczy nie zapomnieli o mnie. Dzięki potajemnym kontaktom podtrzymywali we mnie ducha walki, nienawiść do Niemców i Polaków oraz żar zemsty na Sławigoście. Z czasem dojrzała we mnie myśl, przekorna wszystkim planom. Postanowiłem, że za wszelką cenę będę dążył do zdobycia władzy nad Stodoranią, i nie tylko. Zapragnąłem zapanować nad wszystkimi ziemiami Wioletów, tak jak ongiś w przeszłości moi przodkowie. Przerwałem karierę duchowną i rzuciłem się w wir życia cesarskiego dworu. Poświęciłem się intensywnym ćwiczeniom umiejętności wojennych i studiowaniu starodawnych dzieł o sztuce militarnej. Jednocześnie skrywałem przed wszystkimi swoje prawdziwe zamiary. Niemcy uważali mnie za przychylnego im słowiańskiego księcia. Najpierw cesarzowa Theophanu, a później jej syn cesarz Otto III dopuszczali mnie do narad, brałem też udział w wyprawach Ottona III do Italii, zwanej u Polaków Włochami. Chyba planowali usadzić mnie na Połabiu w roli marionetki. Oczywiście trzymałem ich świadomie w tej ułudzie. Z kolei żercy i matka wierzyli, że hodują we mnie*

zatwardziałego poganina, który w przyszłości stanie na czele antychrześcijańskiego powstania, odzyska Brennę i przekaze pod kontrolę Radogoszczy. Ich też trzymałem umiejętnie w ułudnych marzeniach, udając, że jestem im posłuszny. Lecz ja miałem swój własny plan i czekałem na nadarzącą się okazję. W roku 1000 uczestniczyłem w orszaku Ottona III w pielgrzymce do Gniezna. Poznałem wtedy dokładnie Polaków. Ich niemałą potęgę militarną i potencjał ekspansyjny.

Lata biegły. Na początku 1002 roku w Magdeburgu zjechali na narady możni sascy i polscy. Nie zabrakło również Sławigosta z moimi przyrodnimi braćmi, którym ojciec, w obecności mojej i wszystkich zebranych wielmożów, przekazał uroczyście dziedzictwo stodorańskiego tronu. Wtedy siła ogarniającego mnie gniewu zaślepiła mi rozum i zrzuciłem udawaną potulność. Następnego dnia w południe, w pełni uzbrojony, udałem się do kapliczki, gdzie wszyscy czterej bezbronni i na klęczkach, cienkimi głosami śpiewom się oddawali. Jednego brata trzasnąłem od tyłu toporem w głowę i nie mogłem go już wyszarpnąć. Drugiemu przekłułem włócznią szyję i przygwoździłem do drewnianej ławy. Trzeciemu wbiłem miecz w płuca, gdy się na mnie podnosił, i uwolniłem ostrze, odkopując martwe ciało. Na ten czas ojciec, miotający się po kaplicy niczym piskliwy szczur, przedarł się do wyjścia. Rzuciłem się za nim i zdążyłem ciąć mieczem, ale zaledwie bark mu nadszarpnąłem, tak że umknął poraniony, sącząc tryskającą z rany posoką krwi.

*Gdy wyskoczyłem za nim na zewnątrz, zewsząd zebrała się już gromada zbrojnych, wojownicy z drużyny Sławigosta i mnóstwo zbrojnych Sasów. Któryś dźgnął mnie włócznią nad kolanem, inny trzasnął ciężką tarczą po głowie, po czym rzucili się na mnie, związali i uwięzili w wieży. Niechybnie zgładzono by mnie okrutnie, lecz z wydaniem i wykonaniem wyroku czekano na powrót młodego cesarza Ottona z dalekiej Italii.*

*Stało się jednak inaczej. Otto zmarł gdzieś pod Rzymem i Niemcy pogrążyli się w zmaganiach o władzę. Gdy na tronie Ottonów zasiadł Henryk II, były książę Bawarii, polski władca Bolesław, zwany ze względu na ponadludzką waleczność i hart ducha Chrobrym, sam z cesarską się obnoszący, zajął błyskawicznie Łużyce i Milsko, przyłączając je do Polski. Na krótko zdobył również Miśnię. W odpowiedzi Henryk, układy markując, dokonał nań nieudanego zamachu w Merseburgu. Skutkiem tego przyjaźń cesarstwa z Polakami obróciła się gwałtownie w bezdenną wrogość. Wybuchła trwająca do dziś wojna, która wszystkim w głowach pomieszała. Aż nie sposób tego opisać, ale spróbuję. Łużyce i Milsko stanęły twardo po stronie Polski, uznając w Bolesławie prawowitego władcę. Mało tego, większość tamtejszych garnizonów saskich złożyła mu hołd poddańczy, sascy rycerze stali się dobrowolnie jego lennikami. Natomiast Miśnia w większości opowiedziała się po stronie Henryka, niewielu tamtejszych Słowian sprzyjało Bolesławowi. W samej Saksonii część możnych i rycerstwa poparła Bolesława,*

niektórzy jawnie walcząc w polskich szeregach, inni potajemnie – spiskując na cesarskim dworze. A i w odległej Bawarii miał Bolesław swych zauszniaków. Reszta Saksonii i pozostałych prowincji cesarstwa, a w szczególności Kościół niemiecki wojskiem licznym dysponujący, stanęła twardo po stronie Henryka. Poza tym cesarz umiejętnie przeciągnął Czechów na swoją stronę, pomimo że ich książęta z Piastami więzami rodzinnymi spowinowaceni byli. Pozostaje pytanie: co ze Stodoranią? Stodorania zacieśniła paktowanie z Polakami, układając przez posłów tajne plany z Bolesławem. Sławigost postawił siły zbrojne w stan pogotowia, lecz nie ważył się na oficjalne przystąpienie do wojny. Na to był za słaby. Miał jedynie trzymać w szachu cesarskie garnizony nad Łabą. W tej sytuacji przebiegły Henryk poważył się na krok, który wielkie oburzenie w chrześcijańskim świecie wywołał, ale dał mu przewagę strategiczną nad Bolesławem. Na Wielkanoc 1003 roku zawarł ścisły sojusz wojskowy z Lutykami, hodującymi nieustannie w sercach nienawiść zarówno do Piastów, jak i Sławigosta. Nałożył przez to skuteczną okowę na mojego ojca. W każdej chwili tysiące lutyckich wojowników groziło pogrążeniem Stodoranii w zamęcie zniszczenia. Żercom z Radogoszczy łatwo byłoby lud do rebelii w imię wiary przodków podburzyć, o tyle łatwiej, że w Stodoranii jedynie Sławigost i część możnych z dworskiego otoczenia obce ludowi chrześcijaństwo przyjęła... W Brennie nie było nawet kościoła z prawdziwego zdarzenia, jedynie skromna kaplica

w książęcym zamku, a na górze naprzeciwko książęcego kasztelu nadal górował wyniosły posąg Trzygława. Niemiecko-lutycki sojusz zniweczył początkową przewagę Bolesława, ponieważ ciągle zagrożenie ze strony Lutyków związało na stałe część polskich sił zbrojnych zmuszonych na okrągło strzec grodów granicznych na linii Kopanik-Lubusz-Krosno-Santok i dalej wzdłuż Odry do ujścia rzeki. Poza tym Polacy zmuszeni zostali do trzymania dodatkowych odwodów, na wypadek gdyby Lutyacy ruszyli na Brennę.

Przy zawieraniu układu w Magdeburgu Lutyacy zażądali od Henryka, by mnie uwolnił, na co cesarz ochoczo przystał. Musiałem tylko paść przed nim krzyżem na kamiennej posadzce i całując śmierdzące obuwie, przysiąc posłuszeństwo. Po czym ruszyłem na wojnę. Najpierw dowodziłem częścią lutyckich oddziałów w wyprawie na Pomorze po tym, jak żercy podburzyli tam lud przeciwko chrześcijaństwu. Rozbiliśmy siły panów pomorskich wiernych Piastom, zniszczyliśmy garnizony polskie, spaliliśmy kościoły i wygnaliśmy biskupa Reinberna z Kołobrzegu. Bolesław był bezsilny wobec naszej nawały, związany walkami z cesarzem na Łużycach i w Czechach. Pewnie poszlibyśmy dalej, na Gdańsk, lub jak do tego namawiałem, obrócili się przeciwko Lubuszowi i Kopanikowi i zajęli Brennę. Lecz Henryk zażądał obecności całej lutyckiej armii w kolejnych kampaniach przeciwko Polsce. Dwa razy zatem brałem udział w bitwach na Odrze.



Na początku lipca 1015 roku Henryk ruszył na Polskę, uderzając jednocześnie z trzech kierunków. Od południa ciągnęła armia Czechów zjednoczona z rycerstwem Bawarii. Górą sunęły siły Sasów północnych i Lutyków pod wspólnym dowództwem księcia Bernarda. Cesarz kroczył środkiem Połabia, prowadząc osobiście potęgę militarną, jakiej Polacy jeszcze nie widzieli. Trzy armie miały się złączyć po stronie polskiej po rozbiciu linii obrony na Odrze i podążyć w kierunku Poznania. Tym razem wszyscy byli przekonani, że Bolesław zostanie w końcu zmiażdżony, a ja pewny, że ponownie wezmę udział w wyprawie na czele lutyckich zastępów. Stało się jednak inaczej, a związane to było z dalszą częścią przebiegłego planu Henryka. Po przewidywanym zniszczeniu wojsk polskich nad Odrą i połączeniu trzech wspomnianych armii z Merseburga miało wyjść uderzenie na Stodoranię, a następnie na polskie Kopanik i Lubusz, pozbawione w tej sytuacji jakiegokolwiek wsparcia ze strony Bolesława. Zebrane w tym celu pod Merseburgiem siły składały się w niewielkiej części z rycerstwa saskiego, w większości zaś z oddziałów Słowian połabskich służących pod Niemcami. Mnie przydzielono dowodzenie operacją i dlatego już w połowie czerwca oddelegowany zostałem wraz z przyboczną i wierną mi drużyną do Merseburga pod „opiekuńcze” skrzydła biskupa Thietmara, w oczekiwaniu na wieści z frontu. Spędzam więc czas na przeglądaniu biblioteki biskupa, prowadzę z nim przewlekłe dysputy,

*uczony on niepomiernie, rozpocząłem pisanie niniejszych notatek i czekam, aż nadejdzie mój czas...*

Na zewnątrz, z otulonego nocną ciszą Merseburga, dobiegał stukot kopyt i poszczękiwanie oręża. Stodor, wyjrząwszy przez okno na rozświetlony żagwiami dziedziniec, cofnął szybko głowę, rozpoznawszy w grupce zdrożonych jazdą zbrojnych żółte barwy cesarskie. Niedługo świt nastanie, z czym o tej porze przysyłał Henryk zbrojnych do biskupa? Na zwykłych posłańców nie wyglądają, zbyt żelazem obleczeni. Spacerując w zamyśleniu po komnacie, rozważał wszelkie możliwości. Czyżby faktycznie cesarz rozbił Bolesława? A teraz na niego kolej zgodnie z planem ruszać na Stodoranię, Kopanik i Lubusz? Miotał się po komnacie, czując narastające podniecenie. W roztargnieniu bezwiednie przypasał do bioder miecz w pochwie pokrytej pięknymi ozdobami, nie zważając, że nadal paraduje w długawej nocnej koszuli. Raptem ciszę za murem komnaty przerwały dźwięki powolnego kłapania chodaków i stukot laski. Klap, klap, stuk. Niechybnie ten przebiegły skorpion Thietmar nadchodził z nowinami. Spoza drzwi dobiegły odgłosy ożywionej sprzeczki. Dobrze, wierne psy, pomyślał Stodor o dwóch wojownikach z własnej drużyny, strzegących dzień i noc jego bezpieczeństwa. Niech się Thietmar z nimi pomęczy. Zasiadłszy pospiesznie przed zawalonym księgami i stosem pergaminów stołem, krzyknął donośnie:

- Wpuście go!

Do komnaty zajrzał jeden z jego ludzi.

- Ale, wodzu...
- Co jest, biskupa od nocnej bestii nie odróżniasz?
- Tyle że kapłan przyprowadził zbrojnego, szamocze się...
- To pod pachy go i wprowadzać.

Drzwi rozwarły się na oścież, ukazując podświetloną świecami z korytarza karykaturalną postać Thietmara. Niewielkiego wzrostu, zgarbiony na prawą stronę, z wykrzywionym nosem. Na głowie wielka nocna czapa. Dwóch służących po obu stronach trzymało mu nad barkami ciężkie, wyleniałe niedźwiedzie futro. Stodor powstał, gdy za biskupem do komnaty wkroczyli jego ludzie trzymający w żelaznym uścisku zięjącego potem rycerza w bogatej, lecz pokrytej brudem kolczudze. Saski możny, znaczący jakiś.

Thietmar zamachał ręką.

- Uspokój się, Stodorze, to posłaniec od samego cesarza, burgrabia Winifred ze Strzały. Ze wspaniałymi wieściami przybywa, a i dla ciebie radosne nowiny przynosi. Wybacz to nagłe wtargnięcie... Ale co ja widzę? - zapytał, zlustrowawszy Stodora przenikliwym spojrzeniem.

- Jakież wasze barbarzyńskie sposoby na umartwianie się? Sypiasz z mieczem przypasanym do nocnej koszuli? - Po czym, nie czekając na odpowiedź, dorzucił ironicznie: - Ziół przednich naparzyć każę, dobry wywar może skutecznie nocne troski ukoić. Słowiańskie czarownice z mojej diecezji przednią medycynę wywarzać potrafią.

Stodor wzruszył jedynie ramionami, lecz nie odpowiedział, obserwując czujnie Winifreda. Po chwili nakazał swoim:

- Puśćcie go wolno. Uwolniony burgrabia Winifred opadł na ławę pod ścianą.

- Mam ruszać wedle planu na Stodoranię? Bolesław pobity? - Stodor spytał Winifreda bez ogródek, przywdziewając szybko ubranie. - Nie... tak, masz ruszać, ale cesarzowi naprzeciw. - odparł Winifred.

Zdziwiony Stodor przysiadł obok niego.

- Syn Bolesława - ciągnął zmęczonym głosem Winifred - zdradliwy młody Mieszko, przyrzeczenie złamał i niezwyciężony pochód naszej armii chciał pod Krosnem nad Odrą zatrzymać, lecz cesarz pobił go sromotnie, wielu Polaków padło tam w boju, a z naszych niewielu. Cesarz chciał ruszyć dalej na Poznań, lecz z przyczyn, które wymagają jeszcze dokładnego zbadania, zawiodły oba skrzydła mające doń dołączyć. Sunący północą kontyngent wycofał się z linii dolnej Odry. Bolesław na czele jazdy drogę im zastawiał, lecz ze strachu nie poważył się na starcie. Dziwne zatem, że Bernard i Lutycy zawrócili, miast do cesarza dołączyć. Trzeba sprawie się przyjrzeć i zdrajców wyłuskać. Zawiodł również czeski książę Oldrzych prący od południa. Zdobył na Milczanach Busnic i łupów bogatych w grodzie nabrawszy, wycofał się niespodziewanie na Czechy. Cesarz postanowił zatem przerwać zwycięską kampanię i ruszył za Oldrzychem,

chcąc niechybnie tego zuchwałego złodzieja za samowolę ukarać.

- Czyli najazd na Stodoranię odwołany?

- Na razie tak, ale to bez znaczenia.

- To gdzie jest teraz armia?

- Podążyła najprzód na południe wzdłuż prawego brzegu Odry, zmierzając w kierunku śląskich grodów, by jak początkowo planowano, wkroczyć do Czech.

- Planowano?

- Wczoraj przybyli do Strzały gońcy prosto z frontu. Cesarz zmienił ponownie zamiar i postanowił powrócić do kraju najkrótszą, bezpośrednią drogą.

Thietmar dotarł do stołu, rzucając łapczywe spojrzenie na porozrzucane pergaminy. Nie skrywając zainteresowania, pochylił się nad zapiskami Stodora i wykorzystując, że nikt nie zwraca na niego uwagi, począł je skwapliwie przeglądać.

- Zapytam raz jeszcze, gdzie jest teraz armia? - nastawał Stodor.

- Po tym - wyjaśniał Winifred - jak Bolesław jazdę z armią syna połączył, nabrali Polacy pewności siebie. Poczęli obsadzać wszystkie brody na Odrze, by nie przepuścić naszych na tę stronę rzeki. Zuchwalcy, zamierzali naszych w potrzasku zamknąć, otoczyć i do walki wyzwać. Gdzieś w połowie drogi między Krosnem a Głogowem nasi zwiadowcy odkryli w leśnej dziczy niestrzeżone przejście, dzięki któremu cesarz wraz armią przystąpią niebawem do przeprawy przez Odrę. Stamtąd

podążą prosto na zachód, jak donieśli przybyli do Strzały gońcy, którzy jako pierwsi sforsowali rzekę.

- Cesarz zamierza poprowadzić armię pomiędzy Łużycami a Milskiem do Strzały, a stamtąd na Merseburg - stwierdził Stodor. - Znam Połabie lepiej niż wy wszyscy Sasi razem wzięci - dodał, uprzedzając dalsze wyjaśnienia Winifreda. - Polskie grody na Łużycach nie poważą się na wypad przeciwko kilkunastotysięcznej armii, ale zanim wojsko dotrze na Łużyce, musi się przebić przez bagna i lasy ziemi Dziadoszan nad środkowym Bobrem. A Bolesław z całym polskim wojskiem depcze mu po piętach.

- Dokładnie tak. Dlatego masz natychmiast podążyć naprzeciwko cesarzowi, by znajomością terenu mu posłużyć.

- Ze wszystkimi zebranymi tu siłami?

- Nie, zabierzesz jedynie własną drużynę. Reszta ma wzmocnić obronę na Łabie, na wypadek gdyby Polacy poważyli się na kontruderzenie. To znaczy oddziały słowiańskie udadzą się do Miśni, a Sasów zabieram ze sobą do Strzały. I jeszcze jedno - uzupełnił Winifred - przygotuj się na to, że cesarz zażąda wyjaśnień co do opieszałości Lutyków i ich odstąpienia od linii Odry.

- Jestem tylko jednym z dowódców u Lutyków - odparł Stodor - i nic mi do rozporządzeń Radogoszczy.

W komnacie zapadła cisza, przerywana jedynie mamrotaniem Thietmara zagłębionego w czytaniu.

- Biskupie, każ wina przynieść i mięsiwa - warknął Winifred zmęczonym głosem. - Posilić się muszę, zanim w powrotną drogę wyruszę.

- Zejdź na dół do auli, tam już pozostałym jadło i napitek podają - rzekł Thietmar, nie oderwawszy wzroku od pergaminów. Burgrabia powstał, skinął głową Stodorowi na pożegnanie i opuścił komnatę.

Thietmar przerwał czytanie, doczłapał do wygodnej ławy i spoczął w miejscu zajętym uprzednio przez burgrabiego. Służący otulili go futrem i wycofali się w zacieniony kąt komnaty.

- Taak - zagaił po chwili Thietmar - zacząłeś pisać. - Biskup wpatrywał się uważnie w zastygłe w rozmyślaniach oblicze Stodora. Nie czekając na odpowiedź, ciągnął dalej: - Ale nieporadnie i chaotycznie. Na Makrobiusza się wysilasz, a tu trzeba na wzór Lukana, to znaczy treściwie, zrozumiale. Na cóż te nieskładne tony, górnolotne alegorie? Na cóż ten patos? Pogański Zeus? Serce Europy?

- Cała kraina między Łabą a Odrą leży pośrodku Europy.

- Środkiem Europy jest ojczyzna moja, Saksonia, a nie dzikością opętane słowiańskie ziemie, bez wiary w Boga, targane kłótniami plemiennych królików. Z Saksonii aura cesarska na Europę promieniuje.

- W Brennie dynastia królewska już na tronie zasiadała i z samym Karolem Wielkim się układała, gdy u was w Saksonii nierozumni barbarzyńcy w śmierzące skóry

obleczeni po lasach biegali - odparł z narastającą zaciętością Stodor.

- Nieprawda, mnich z Korbei wspomina w kronice, że w starodawnych czasach legiony Aleksandra Wielkiego w Saksonii osiadły. Z nich nasza siła i waleczność powstała - zaciętrzewił się Thietmar.

- Myśl, co chcesz, biskupie. Zazdrość przez ciebie przemawia, że prawdę o przeszłości ujawniam i na piśmie utrwalam.

- Prawdę jedynie Bóg objawia, a Kościół i cesarz wśród śmiertelnych ją utrwalają - rzekł spieszenie Thietmar z naganą w głosie. Przez dłuższą chwilę milczeli obaj, taksując się nawzajem wzrokiem.

- Duma przez ciebie przemawia - podjął na nowo Thietmar, lecz bardziej ugodowym tonem. - Oczytany jesteś, bez wątpienia uczony w dziełach starodawnych, lecz daleko ci jeszcze do pisarstwa. Wyjaw mi, proszę, jakaż motywacja, *causa scribendi*, kieruje twym zamiarem?

- Wiesz dobrze, stary lisie, po tym, co przeczytałeś, że rozpocząłem opisywanie dziejów dynastii, z której się wywodzę, na tle losów mojej ojczyzny. A właściwie kontynuację Księgi Stodoranii, która spoczywa bezpiecznie w Brennie - odparł Stodor. - Czytałem, coś dotychczas zapisał w swoim *Chroniconie*. Ty się chełpisz Saksonią i Henrykiem, a ja utrwalam dumę Stodoranii i Połabia.

- Ach tam, utrwalasz! Jeden starodawny filozof rzekł, że postarzający się mężczyźni zaczynają pisać, by niespełnione marzenia i żale do całego świata na piśmie uwiecznić.



- Pasuje do ciebie, z każdej strony *Chronicon* przebija rozpacz o jakieś utracone wsie i dobra twojej diecezji, wściekasz się na słowiański lud, którym zarządzasz, bo nie dają się ograbić...

- Bo to prawda, dary i srebro potajemnie do Radogoszczy ślą! Do kościoła schodzą dla chichotów, a po chatach nadal czarcie bożki strugają!

- Złodzieju! Rozkraczyłeś się na zagrabionej ziemi i kradniesz, co nie twoje, w imię drewnianego krzyża. A co byś zrobił, gdyby Henryk zlikwidował merseburskie biskupstwo? Tak jak niegdyś Otto II? Cały *Chronicon* musiałbyś podrzeć i od nowa rozpocząć, Henryka z dobrodzieja zamieniłbyś w biesa przeklętego, ot taka twoja inspiracja dla panegiryków na cześć cesarza. Powiem ci więcej, bo mnie akurat fantazje nachodzą: gdyby Bolesław zajął tutejsze ziemie i powiększył twoje biskupstwo, a może zrobiłby cię nawet arcybiskupem, to co wtedy? *Chronicon* na nowo trzeba by pisać, Thietmar, na nowo... Bolesławowi smoczy ogon byś odjął i w zamian skrzydeł anielskich przydał, ty obłudniku.

Nie zważając na udawane oburzenie Thietmara, Stodor podniósł się z ławy i podszedł do stołu.

- Coś jeszcze? - zapytał, zwijając pergaminy i manuskrypty. - Chyba nie przyszedłeś, by o historiach rozważać i twoim zdzierstwie gawędzić. Czas mi w drogę, twój ukochany Henryk czeka.

- A właśnie - słodkim głosem Thietmar zmienił temat - wspomniałeś ową Księgę Stodoranii. Zdobądź ją dla mnie,

a wynagrodzę srebrem sowicie.

- Nie przekupisz mnie.

- Każdego Słowianina można przekupić. Tak było zawsze i nie zmieni się nigdy.

Stodor, zajęty pakowaniem, zbył milczeniem ostatnie słowa biskupa. Dopiero gdy już przygotował wszystko do drogi, stanął przed nim i zagadnął:

- Równie dobrze każdego Niemca można przekupić, czy to srebrem i złotem, czy to innymi podarkami lub przywilejami. Nie czyni tego Bolesław z twoimi Sasami? Sam przecież o tym piszesz w swojej kronice często i gęsto. Nie przekupisz mnie srebrem, ale mam dla ciebie inną propozycję. Zapewne niedługo wojna się skończy, jeszcze jedna bitwa, dwie, może kolejna nieudana wyprawa na Polskę i w końcu Henryk zaprosi Bolesława na układy do Merseburga. Zrobisz wtedy tak: Bolesławowi podasz truciznę, a jak pocnie nocą konać w boleściach, zakradniesz się do sypialni Henryka niby dla odebrania spowiedzi, owiniesz mu różaniec naokoło szyi i zadusisz. Gdy merseburskie dzwony wybiją radosne dla Połabia nowiny, moi ludzie przekażą ci księgę. No jak, umowa?

Thietmar powstał z ławy, odczekał, aż służący mu nad plecami futro z niedźwiedzia uchwycą, i skierował się do wyjścia. Stojąc już w otwartych drzwiach, rzekł, odwracając na wprost głowę: - Więcej w tobie zła niż w całej hordzie diabłów, będzie jeszcze Henryk żałował układania się z Lutykami i z tobą, oj będzie. Wory srebra wam nieustannie wysyła, a jak do tej pory żadnej z tego korzyści.

Własnymi drogami chadzacie, na zgrupowania się spóźniacie, w walkach zawodzicie. Sztandary czarcie nad głowami prowadzicie. Już raz nad Odrą pochód niepokonanej armii opóźniliście, teraz zaś uciekliście, planu nie dotrzymawszy. A tobie przewiduję marny koniec. Mogłeś zostać biskupem jak ja, ale wybrałeś wojaczkę. Podejrzewam, że zamiary wielkie skrywasz, wszystkim nam nieprzyjazne, nieszczęsny synu ginących plemion. Wiedzę, posiadasz i siłę, przebiegłość i odwagę, lecz ponad tym wszystkim góruje okrucieństwo i zaślepienie zemstą. Zginiesz marnie, powtarzam, i nic nie zmienisz. – Po czym, nie pożegnawszy się, opuścił komnatę.

Stodor, udając, że ignoruje ostatnie słowa biskupa, podszedł do skrzyni i zajął się zbieraniem oręzą. Ale w głowie mu kołatało. Toczona od 1002 roku wojna pomiędzy Bolesławem Chrobrym a Henrykiem II o wpływy na Połabiu nie zapowiadała rychłego końca. Dwaj przywódcy, podobni przebiegłym lisom, kąsali się nawzajem, obchodzili z chytryością i zastawiali przemyślnie pułapki. W licznych zapasach wyostrzyli do mistrzostwa przebiegłość dyplomacji i geniusz wojenny. Bez rezultatu. Gdy cesarz przekraczał Odrę, prąc w kierunku Poznania, to wnet Chrobry najeżdżał saskie domeny nad Łabą i podchodził pod Magdeburg. Kampanie, bitwy, potyczki, oblężenia. Tak na zmianę od trzynastu lat, w ciągu których Chrobry umocnił się na zajętych Łużycach i nie krył apetytu na dalsze zdobycze. Za długo ta wojna trwała. Z jednej strony dobrze, że wybuchła, dobrze, że uszedł spod

katowskiego miecza, że Henryk zawarł pakt z Lutykami, że żercy przyjęli go w grono dowódców. Niech się Polacy i Niemcy nawzajem wybijają, niech się wykrwawiają, aż im siły stopnieją. Pilnował, by powierzone mu lutyckie oddziały jak najmniejszych strat doznawały. Tam, gdzie trzeba, tłukł Polaków, tam, gdzie mógł, wprowadzał sprytnie Niemców w zasadzki Bolesława lub opóźniał ich marsze. Przykładowo w 1005 roku, gdy Niemcy nadeszli wielką armią wraz z Lutykami i toczyli w okolicach Krosna ciężkie boje o przeprawy na Odrze. Siódmego dnia ich zwiadowcy odkryli niebroniony bród daleko poniżej grodu i bez przeszkód przeprawili na drugi brzeg sześć tysięcy wojska dla zabezpieczenia przyczółka. Rozciągnięci na długiej linii rzeki Polacy wpadli w panikę i poczęli w beładzie wycofywać oddziały w głąb Wielkopolski. Cesarz, wtedy jeszcze tylko król, nakazał szybkie przerzucenie pozostałych wojsk na drugą stronę Odry i błyskawiczny atak na zdezorientowanych Polaków. Zapowiadał się przepiękny sukces niemieckiego oręża. Poznań i Gniezno padłyby niechybnie. I wtedy Stodor, dowodzący lutycką piechotą, sprawił, że przeprawa przeciągała się w nieskończoność. Oczywiście na tyle umiejętnie, że nikt nie mógł go o cokolwiek oskarżyć. Ale pochód Niemców został zatrzymany i ostatecznie cała kampania zakończyła się odwrotem. Czyli ten przechera biskup swoimi domysłami krążył niebezpiecznie blisko prawdy. Jednak za długo to wszystko się przeciągało i bez wymiernego rezultatu dla jego zamierzeń. Bolesław i Henryk mogli tak

jeszcze latami się zmagać, nowe wojska do boju wystawiać. A jemu coraz gwałtowniej czas uciekał, przekroczył już trzydziestkę. Teraz nadarzała się wyśmienita okazja, by wszystko przyspieszyć. Armia cesarska praktycznie w odwrocie, znękana i zniszczona dotychczasowymi bojami. W nieznanym terenie, goniona przez żądnych walki Polaków. Niech się zetrą, już jego w tym głowa, żeby do bitwy doprowadzić, niech się wytracą. Może sam cesarz zginie, może Bolesław również. Wtedy, gdy będą lizać rany, sięgnie po Połabie. Najpierw Kopanik i Lubusz, potem Brenna. Nikt mu w tym nie przeszkodzi. A gdy pociągnie za sobą wszystkie plemiona wieleckie, rozprawi się z żercami. Z nikim nie będzie dzielił władzy.

Z dziedzińca skąpanego blaskiem poranka dobiegły odgłosy głośniejszej krzątaniny. Winifred najadł się i zabierał właśnie Sasów do Strzały. Pewnie na podgrodziu Słowianie służący Niemcom też już ruszali w drogę na Miśnię. Stodor rozejrzał się po komnacie. Wszystko spakowane, pomyślał.

- Wydrąb! - Do komnaty zaglądnął jeden z jego ludzi. - Ruszamy w drogę, zbieraj mi spieszenie drużynę.

- Już siodłają konie. A dokąd?

- Do kraju Dziadoszan na zachodzie Śląska. Czekał - zawołał za nim Stodor. - Ty nie, dla ciebie mam inne zadanie. Wyznaczysz oprócz siebie jeszcze siedmiu doświadczonych ludzi. Każdy z was pogna oddzielnie w kierunku podległych mi lutyckich oddziałów. Który z was pierwszy dotrze do tych, co teraz przyczaili się gdzieś na północ od Lubusza, ma przekazać ustnie rozkaz: zbierać

siły nieopodal Kopanika i czekać na sygnał ode mnie.  
W drogę!

Stodor rzucił z progu ostatnie spojrzenie po komnacie.  
Jeszcze tu wróci, może niebawem. Wtedy biada  
Thietmarowi i całemu Merseburgowi. Biada Sasom,  
Polakom, Sławigostowi i żercom. Biada im wszystkim!

## II

# *Las Dziadoszan*

Kilkunastotysięczna armia cesarska po brawurowym zwycięstwie pod Krosnem zagnała się w pogoni za uciekającym Mieszkiem II w nadodrzańskie rozlewiska i wsiąkła w beznadziejne położenie. Zwycięski pochód w kierunku Poznania zamienił się raptownie w sytuację bez wyjścia. Mieszko ustępował, lecz powoli. Cofał się na kilkanaście kilometrów, po czym ustawiał zebrane oddziały piechoty do następnego starcia. Niemcy parli uparcie naprzód, niepomni doznawanych strat, których nijak nie mogli uzupełnić. Do Mieszka zaś nieustannie ściągaly kolejne zastępy wojowników. Rezerwy z Giecza i Gniezna. A także oddziały z odleglejszych prowincji: Kujaw, Mazowsza, Pomorza Gdańskiego, wysłane uprzednio na koncentrację wojsk pod Krosnem. Ze względu na szmat drogi nadchodziły dopiero teraz, uzupełniając sukcesywnie polskie szeregi. Siły piastowskiego lwiatka rosły z dnia na dzień, a niemieckie topniały. Wtedy spadł na Henryka szereg niepomyślnych wieści. Oldrzych zawrócił z wojskiem na Czechy, książę Bernard do Saksonii, a Lutyce poszli własnymi ścieżkami, prawdopodobnie na prywatne rozboje.

I jak tu wyjść z matni? Na wschodzie i południowym wschodzie trzęsawiska Obry z brodami obłożonymi zasiekami, najeżonymi dziesiątkami polskich łuczników. Od północy Bolesław z całą jazdą ciężkozbrojną, uwolniony od obowiązku powstrzymywania Bernarda i Lutyków. Lada dzień połączy się z piechotą i konnymi syna, o ile już tego nie dokonał. Wtedy pocznie ich okrążyć. A gdy zaciśnie pętlę, wyda walną bitwę. Widmo straszliwej zagłady zawisło nad Henrykiem. Cesarz zrozumiał, że inicjatywa strategiczna przeszła w ręce Polaków, a on sam z łowczego zamienił się w ściganą zwierzynę. Postanowił przerwać kampanię i wycofać armię z Polski.

Przy czym przechytrył Bolesława, udowadniając, że talent dowodzenia objawia się nie tylko wygraną bitwy, lecz także umiejętnym jej uniknięciem. Początkowo wszyscy byli przekonani, że Henryk obierze ten sam szlak, którym przybył do Polski – przez Krosno, zgliszcza Lubuszy na błotach lasu Szprewy i Białą Górę na Magdeburg. Wszyscy, zarówno pospolite rycerstwo w niemieckim obozie, jak i całe dowództwo polskich sił zbrojnych. Wprowadzony w błąd Bolesław nakazał wzmocnienie przejść na Odrze w okolicach Krosna i skierował tam wszystkie oddziały. Tymczasem cesarz skręcił raptem na południe, udając, że podąża przez Śląsk na Czechy, by stamtąd powrócić do Merseburga. Zanim Bolesław połapał się w tym i wysłał oddziały dla zablokowania przejść wzdłuż Odry na południe od Krosna, było już za późno. Niemcy sforsowali rzekę na północ od Głogowa i wkroczyli na Śląsk. Bolesław rzucił się



za nimi, przedsięwziawszy jednocześnie środki, aby odciąć szlaki wiodące na Czechy. Niepotrzebnie, ponieważ Henryk ponownie wyprowadził go w pole. Na terenie Śląska do obozu cesarskiego zawitał z trzydziestoosobową drużyną stodorański odszczepieniec książęcej krwi imieniem Stodor, od początku wojny dowodzący jednym z większych lutyckich oddziałów. Po krótkiej naradzie ze Stodorem cesarz ogłosił ponowną zmianę planu. Zamiast na Czechy armia wykonała gwałtowny zwrot na zachód i zagłębiła się w dziki i niezbadany kraj plemienia Dziadoszan. Stodor miał poprowadzić Niemców nieprzebytymi puszciami środkowego Bobru i Szprotawy, a następnie przez Łużyce prosto na Strzałę nad Łabą.

\* \* \*

Na zachód od Bytomia Odrzańskiego armia polska zatrzymała się na kilkugodzinny postój. W wielkim książęcym namiocie od wczesnego świtu trwała ożywiona dyskusja. Bolesław Chrobry wraz z synem Mieszkiem, doradcami, duchownymi i sztabem dowódców debatowali nad skutecznym dopadnięciem Henryka.

- Nie do wiary! - Bolesław trzasnął pięścią w ławę zastawioną jadłem i napitkiem, aż gęste sosy z mis na zebranych wokół chlapnęły. - Ślizga mi się między palcami niczym ślimak czy glista. Cesarz wyblakły, ale przebiegły zeń dowódca.

- Opanuj się, władco. - Opat Antonius, zwany potocznie Tunim, wycierał zwisający mu na piersiach pokaźnych

rozmiarów krzyż. - Chrystusa mi grzybami oblepiłeś. A Henryka niesłusznie do ślimaka przyrównujesz. Prędyj on do mureny podobny.

- Nie znam, zwierz jakiś?

- Ryba drapieżna grubości dwóch ramion i długa na nogawicę spodni. W mojej ojczyźnie w morzach italskich, które wy Słowianie włoskimi zwiecie, przy dnie grasuje, pożera wszystko wokół, ale gdy trzeba, potrafi się najwęższą szparą między kamieniami prześliznąć, tak gibka i śliska.

- Tak jak nasze węgorze.

- Węgorz to zajęczy bobek przy murenie.

Przez uchyloną połę namiotu zaglądnął gwardzista Bolesława.

- Książę, gońcy ze śląskich warowni przybyli. Zaprowadziliśmy ich do ognisk, by się posilili. Przed chwilą też straż z zachodniego krańca obozu doniosły o jakimś niemieckim rycerzu. Twierdzi, że wyrwał się z cesarskiego obozu z pilnymi wieściami dla ciebie, Panie.

- To jeden z moich saskich szpiegów. - Książę ożywił się, powstał i skinął na Mieszka. - Idziemy, synu. Przepytaemy ich osobiście.

Po wyjściu władców zebrani rzucili się na strawy, przeczuwając, że wkrótce nastąpi ogólny wymarsz. Nie pomylili się. Przepytywanie śląskich posłańców i saskiego uciekiniera nie trwało długo. Na Śląsku doszło do spontanicznej mobilizacji ludności rozwścieczonej brutalnym zniszczeniem Biezuńca (zwanego przez

niektórych Busnic) na granicy z Milskiem i wyrżnięciem całej załogi przez armię Czechów. Garnizony w Zgorzelcu, Wrocławiu i Niemczy nie mogły powstrzymać wzburzenia ludności, a mówiąc szczerze, było im to nawet na rękę. Gdy zagony Oldrzycha po masakrze w Biezuńcu pojawiły się na przedpolach Zgorzelca, zostały bezpardonowo zaatakowane przez rozszalałe zastępy prostych wojów. Przerażony Oldrzych uciekł z powrotem na Czechy. Oznaczało to, że Henryk na pewno nie poszedł na południe przez Śląsk. Obrął najbardziej ryzykowną opcję. Jak potwierdził saski rycerz, cesarz zagłębił się z całą armią w kraj Dziadoszan. Wczoraj. Kierują się prosto na zachód, na brody Bobru i Szprotawy. Podobno drogę wskazuje im jakaś niewielka grupka słowiańskich wojowników, która niedawno do nich zawitała.

- A to oznacza, że muszą przejść lasem Dziadoszańskim - zakończył Bolesław relację. - I już nam nie umkną. Rozległa i gęsta to puszcza, najeżona mokradłami. Prowadzi przez nią jeden tylko szlak, wąski i rzadko używany, niezdatny dla szybkiego pochodu tysięcy ciężkozbrojnych wojsk. Na kilka kilometrów przed rozlewiskiem Bobru lasy rozwidlają się na szereg polan i łąk, za nimi nieprzebyte bagna. Dla ich ominięcia droga urywa się tam gwałtownie i rozdziela na dwie ścieżynki. Jedna wije się na północny zachód w kierunku Łużyc, druga na południowy zachód w kierunku Milska. - Chrobry odczekał chwilę, by informacje dotarły do zebranych. - Mieszko, zacznij objaśniać nasz plan.

Ten nie zwlekał ani chwili:

- Piesze oddziały prostych wojowników zebrane spośród Dziadoszan, Bobrzan i pozostałych śląskich plemion wyruszyły już w drogę, tyle że po obu stronach przez lasy, równoległe do szlaku i kroczącej nim armii cesarskiej. Lud to bitny i zacięty, ale lekkobrojni, mało który żelazem obleczone. Dlatego pomimo braku koni będą szybciej się poruszać niż ciężkobrojni Niemcy, nieobeznani w terenie. Niewielu ich co prawda, około jednego tysiąca, ale mają jedynie niepostrzeżenie towarzyszyć Niemcom i szpiegować ich ruchy, a do ataku ruszą wtedy, gdy my nadejdziemy. Ja wyruszę zaraz na czele siedmiu legionów jazdy w kierunku Budziszyna, a stamtąd na Miśnię. Mam związać siły niemieckie na wypadek, gdyby z lasu Dziadoszan poszli na południe i próbowali przebić się do Miśni. Jeśli Niemcy nie pojawią się na południu, to zaatakuję Miśnię. A jeśli wyjdą z lasu Dziadoszan na północ, trafią na zebrane w armię oddziały złożone z łuzyczkich garnizonów, do których już pognął goniec. Resztę wojsk, całą jazdę ciężkobrojną oraz piechotę i łuczników na koniach poprowadzi mój ojciec, kierując się bezpośrednio tropem umykających. Jeśli ich dopadnie, zanim opuszczą główny szlak, wyda im walną bitwę, wzmocniony wspomnianymi Dziadoszanami i Bobrzanami. A jak nie, to dopadnie ich, gdy będą walczyć ze mną lub z Łuzyczanami. Jednym słowem, mamy ich, pytanie tylko, gdzie ich dorwiemy. Z taktycznego punktu widzenia najlepiej jeszcze na głównym szlaku, w środku

lasów. Problem w tym, że mają dwa dni przewagi i trzeba ich jakoś spowolnić, przytrzymać na miejscu.

- W tym celu - głos zabrał ponownie Bolesław - wyślemy za nimi poselstwo. Pojedzie Tuni z niewielką eskortą: trzech, czterech wybranych rycerzy. Niby z propozycją układów. Mają dopaść Henryka i pod pozorem nawiązania rozmów przytrzymać go na miejscu, dając mi czas na dojście z wojskiem. Tuni obeznany jest z dworem cesarskim, ma tam licznych znajomych i zauszników, a owiewająca go aura kościelnej rangi doda poselstwu powagi i znaczenia. Mnisi z kancelarii przygotowują właśnie odpowiedni dokument do okazania Henrykowi, zawierający pustosłowania i obietniczki z mojej strony. Ważne, by cesarz wstrzymał ucieczkę. - Bolesław spojrział na opata. - Wierzę w twoją lisią chytryść, że wykonasz zadanie. Ruszasz natychmiast, dobierz sobie tylko rycerzy.

- Wcale nie jestem zaskoczony - Tuni rozłożył dłonie - tym, że obarczysz mnie najcięższymi zadaniami, czcigodny Bolesławie. Taka już dola obcokrajowca w dzikim kraju barbarzyńców. Za nic macie mój prastary rzymski rodowód - ciągnął z udawaną powagą. - Ale osłody dodaje kropla pochwały z twych ust, władco Słowiańszczyzny. Lisia chytryść, ha! To większe uznanie niżbyś ot tak, spontanicznie trzy wsie z lasami klasztorowi w Międzyrzeczu podarował...

- Na żarty i ironie będzie czas po bitwie, również na nagrody - przerwał mu zniecierpliwiony książę. - Dobieraj sobie towarzystwo.

- Zabrałbym chętnie Randulfa, longobardzkiego rycerza z Italii, o którym słyszałem, ale nie miałem jeszcze okazji osobiście poznać. Zna go otoczenie Henryka, a po drodze różniej z rodakiem po italsku się poprzekomarzać.

- Randulf należy do grona przyjaciół Gromosława, syna komesa na Lubuszu i namiestnika ziemi lubuskiej - wtrącił Mieszko. - A Gromosław służy w mojej drużynie od 1007 roku. Przez te lata walk zebrał wokół siebie dobrane towarzystwo młodzieży, sami synowie wielmożów z różnych prowincji państwa, jak Czambor, Żdaniec czy Rościmir, a i zza granicy paru, jak chociażby wspomniany Randulf czy Bernard, zwany Benno, siostrzeniec margrafa Gerona II z marchii łżyckiej. Rozprawiają już o nich przy ogniskach polowych, wieloma bitewnymi czynami się wsławili. Nie sposób ich rozdzielić, dlatego - zwrócił się do Tuniego - będziesz musiał chyba całe to towarzystwo zabrać.

- Cieszy mnie, że ludzi sobie odpowiednich dobierasz. - Bolesław podszedł do syna i objął go z czułością ramieniem. - Pamiętaj, na nich władzę oprzesz, gdy rządy po mnie przejmiesz. Ale to nie wycieczka po przygody - dodał po chwili - lecz zadanie niezwyklej wagi i pójdzie tyłu, ilu wyznaczę. Czterech wystarczy, niech sobie Randulf i Gromosław dobiorą jeszcze dwóch. Oprócz tego - obrócił się w stronę Tuniego - będą wam towarzyszyć zwiadowcy Dziadoszan na zwinnych koniach. Raz, by was uchronić przed zasadzką swoich, dwa, by drogę wam wskazać w nieznanym terenie. I jeszcze jedno - przytrzymał wzrok na Srogoszu.

Zasłużony wojownik ze względu na zaawansowany wiek powinien był już zakończyć służbę i przejść na spoczynek. Ale od kilkunastu lat obarczony był szczególnym zadaniem: został strażnikiem włóczni świętego Maurycego, to znaczy jej kopii, podarowanej Bolesławowi w 1000 roku przez cesarza Ottona III. Nosił ją wszędzie przy sobie, owiniętą w skórzaną pochwę i złożoną w drewniany futerał. Stąd towarzyszył polskiemu władcy na każdym kroku. Czyścił ją, doglądał, przed każdą bitwą wręczał Bolesławowi do ręki.

- Srogosz, wypoleruj włócznię na połysk, szczególnie ostrze, połączenie ma się mienić blaskiem jak słońce odbite od lodowej góry. Samemu cesarzowi moje imię na piersiach będziemy wyrzynać.

Zebrani, rechocząc głośno, poczęli zbierać się do wyjścia. Koniec biesiadowania, czas do boju.

\* \* \*

W prastarej podmokłej kniei zazdrośnie strzegącej mrocznych głębi łatwo się zagubić. Ledwie uchwytny wąski trakt wijący się leśną głuszą nie wzbudzał zaufania pomimo niemrawych promyków poświtania z mozołem przebijających przez korony drzew. Kilka nieopatrznych kroków wiodło na wieczne błąkanie po lasach lub groziło wciągnięciem przez upiorne grzędzawiska. Napierające zewsząd gęste palisady drzew otulonych skłębionymi chaszczami i targające wyobraźnię tajemnicze dźwięki nie napawały otuchą.

Już drugi dzień od wczorajszego ranka Tuni wraz z czterema rycerzami - Gromosławem, Randulfem, Czamborem i Bernardem - gnali bez opamiętania w pogoni za umykającą armią cesarza Henryka. Towarzyszyli im zwiadowcy Dziadoszan na gibkich koniach, świetnie obeznani z własnym terenem. Dwóch nieco przed nimi, trzech daleko w przodzie. Za dnia trop był wyraźny, skopana tysiącami końskich kopyt droga nie pozostawiała wątpliwości. Dopiero nocą ogarnęła ich panika. W smolistej ciemności tańczące płomienie żagwi mieszały wzajem wszystkie odblaski i cienie. Musieliby zejść z koni i poruszać się pieszo bardzo powoli, z oczyma i pochodniami niemal przy ziemi, by nie pobłądzić ze szlaku i nie stracić tropu. W ten sposób mogliby gonić Niemców do samego Magdeburga. Na szczęście prowadzili ich Dziadoszanie, którzy również nocą poruszali się po lesie jak we własnej izbie. Dzięki nim nie tracili czasu i być może do południa dogonią Niemców.

Gdy poranek już na dobre rozświetlił świat, jeden ze zwiadowców zatrzymał się i odczekał, aż Tuni zrówna z nim konia.

- Przed nami wkrótce rozległe trzęsawiska. Pewnie opary gęste nad bagnami uniosło, stąd stęchłe powietrze z wiatrem już tutaj dochodzić poczyna.

- Tak niedaleko do bagien? - Tuni nie krył zaniepokojenia. - Przecież jeszcze na koniec drogi nie trafiliśmy. Czyżby Niemcy uszli w któreś z rozwidleń?



- Trudno powiedzieć, wielebny opacie, niebawem się przekonamy. A nawet gdyby... - Dziadoszanin rozejrzał się wkoło z namysłem - do bagien ze cztery staje, ale chyba nie są na tyle szaleni, by się tam przebijać lasem, zresztą co dalej? A w odgałęzieniach drogi muszą zwolnić, tam trzy konie obok siebie nie... - Raptem zamilkł.

Z daleka w przodzie sześć razy z rzędu dobiegło ochryple „kraaa”. Tuni i rycerze wpatrywali się w zwiadowcę w napięciu, oczekując dalszych wyjaśnień.

- Co jest? - spytał Gromosław.

- Zwiadowca przed nami ostrzega wronim sygnałem, że wrogowie, znaczy Sasi, nadciągają. Nic tu po nas, dalej musicie sobie sami radzić - rzekł spiesznie i ku zdumieniu wszystkich zarówno on, jak i pozostali Dziadoszanie wsiąkli błyskawicznie w ścianę lasu.

- Krucyfiks! - mamrocząc nerwowo, Tuni wyplątał z rzemieni przypasany do końskiego boku drewniany krzyż pokaźnych rozmiarów. - A wy co? - rzucił pozostałym. - Miecze odwrócone na wysokość dzierżyć! Zanim nas Sasi strzałami naszpikują. - Jednocześnie lewą ręką wyjął zwinięty w rulon dokument od Bolesława.

- Sasi rzadko używają łuków. A ty, Benno - Gromosław spojrzął na przyjaciela - chowaj miecz do pochwy i zmykaj z powrotem do Bolesława, tak jak się umawialiśmy. Przekaż księciu, że dopadliśmy tylne straże Niemców jeszcze przed rozwidleniem szlaku. Poselstwo poselstwem - wyjaśnił spiesznie pozostałym - ale jak wiecie, Benno u niektórych Sasów uchodzi za zdrajcę i w zaperzeniu mogą go ubić.

Dogoń Dziadoszan, będzie ci raźniej! – krzyknął jeszcze Gromosław za Bernardem popędzającym konia.

– Ja bym pomyślał, że to prawdziwa wrona kracze, a nie człowiek – obruszył się Czambor, gdy już Bernard zniknął za zakrętem drogi, którą przybyli. – Randulf, mądralo, wyczułeś naśladowanie?

– Nie wyczułem, tylko wiedziałem. Prawdziwa wrona może maksymalnie cztery razy pod rząd kraknąć.

– Magia, tfu.

– Nauka o liczbach, Czamborze. Przed laty w walkach z Arabami na południu Italii ojciec wziął do niewoli znanego na cały Kalifat mędrca, ibn-Musufa. Zabrał go do Benewentu i zrobił moim nauczycielem, między innymi algebry. Od niego to wiem. Ich uczeni, szukając związków natury z liczbami, próbowali ustalić mądrość zwierząt. Musuf pokazał mi przykład z wronami. Pewna wrona uwiła sobie gniazdo w niszy okiennej na samym szczycie jednej z naszych zamkowych wież. Do wieży prowadziło jedno jedyne wejście, doskonale widoczne z gniazda. Gdy do wieży wszedł strażnik i wystraszył cholernicę, ta przysiadła na koronie pobliskiego drzewa, wlepiając ślepią w drzwi. Zaledwie strażnik opuścił wieżę, natychmiast powróciła do gniazda. Po jakimś czasie do wieży weszło dwóch strażników. Wrona ponownie odleciała na drzewo. Gdy pierwszy strażnik opuścił wieżę, pozostała bez ruchu na gałęzi, strosząc jedynie pióra. Dopiero gdy drugi strażnik wyszedł, pofrunęła natychmiast do jaj. Powtórzyliśmy sytuację z trzema, a następnie z czterema strażnikami. Za

każdym razem ptaszysko nie dało się zwieść i doskonale potrafiło policzyć, ilu strażników wchodzi, a ilu wychodzi. Ale gdy do wieży weszło pięciu strażników, wrona straciła rozeznanie. Jej ptasi łeb umiał liczyć tylko do czterech. Eksperyment powtórzyliśmy kilkakrotnie, dla pewności również z innymi wronami, za każdym razem z tym samym wynikiem.

- Jeżeli dwie siedzące obok siebie wrony zakraczą jednocześnie, jedna zaraz po drugiej, to można i do sześciu albo więcej policzyć. A jak wtedy Dziadoszanie odróżnią, że to dwa ptaszyska? Bo żaden uczony Arab tu nie pomoże.

- Mądrość ludowa wynikająca z obserwacji natury.

- Według mojej pomorskiej mądrości ludowej zapomnij arabskie sztuczki z liczbami.

- I nie myśl sobie, Randulfie - włączył się Gromosław - że my Arabów nie znamy. Jeszcze za Mieszka, ojca Bolesława, kupcy szlakiem handlowym z krajów arabskich przez Kijów, Przemyśl, Czerwień i Kraków na Pragę, i dalej na zachód ciągnęli. Dzięki nim dobra rzadkie i niespotykane do Gniezna napływały, zanim nam Waregowie Przemyśla i Czerwienia nie zajęli. Pewnego razu stary książę uwięził całą karawanę, gdy go przebiegłe Arabcy na sprzedaży wielbłądów haniebnie oszukać chciały. Dopiero po latach puścił ich na wolność. A jednego z tych wielbłądów podarował małoletniemu cesarzowi Ottonowi III, by się, dzieckiem wtedy jeszcze będąc, stworem nacieszył.

Z pomiędzy drzew skrywających wijącą się przed nimi drogę dobiegł tętent kopyt. Niebawem z lekkiej kurzawy

wzniesionego piachu wyłonili się jeźdźcy, co najmniej trzydziestu. Nie jacyś pachółkowie czy zwykli zwiadowcy, lecz świetnie uzbrojone ciężkozbrojne rycerstwo saskie w połyskujących kolczugach, przykrytych długimi żółtoszarymi płaszczami oznaczonymi czarnymi orłami dynastii Ottonów. Okrągłe tarcze przerzucone na plecy, pochwy z mieczami u boków. Gwardia cesarska. Szybko ich dojrzeli. Z wyciągniętymi do przodu włóczniami otoczyli kuliście trwającą w bezruchu grupkę Tuniego z rycerzami. Dziwne, pomyślał Gromosław, Henryk wysyła przyboczną elitę na zwiady?

- Poselstwo od księcia Polski Bolesława do cesarza. Z propozycją układów pokojowych. - Tuni opuścił wprawdzie krzyż, ale tym energiczniej pomachiwał rolką pergaminu.

Po krótkiej dyskusji Sasi odebrali im broń i zabrali pod eskortą w kierunku, z którego przybyli, w stronę domniemanych bagien. Gdy zbliżali się do tyle razy omawianego rozwidlenia drogi, ich spojrzenia skrzyżowały się, pełne zdziwienia i niepokoju. Brak śladów kopyt zarówno na szlaku na północ, jak i na południe. Za to stratowana ziemia i połamane drzewa na wprost. Właśnie tam poprowadzili ich gwardziści. A jednak Niemcy poszli przez las prosto na zachód, w kierunku bagien. Ledwie zagłębili się między drzewa, do ich uszu doszły odgłosy narastającego harmideru: pokrzykiwania, huki rąbanych pni, wrzawa. Niebawem las, czy też raczej to, co z niego pozostało, urywał się raptownie i przed posłami otwarł się

niesamowity widok. Linia lasu otaczała okręgiem wielką otwartą przestrzeń porośniętą wysokimi trawami i urozmaiconą kilkoma nieśmiałymi zagajnikami. Niczym gigantyczna podkowa stykająca około trzy staje w przodzie swą podstawą do rozległych bagien i trzęsawisk ciągnących się aż po horyzont. Niemal cała wolna przestrzeń wypełniona była namiotami, ludźmi i końmi. Mrowie ludzi, większość zajęta układaniem szerokiego drewnianego pomostu prowadzącego przez mokradła. Wyjaśniło się, dlaczego przechwycili ich gwardziści, a nie zwykli zwiadowcy, zapędzeni najwyraźniej do robót. Stało się również jasne, co zamierzał cesarz: pokonać bagna pomostem i pognać prosto na zachód. Pewnie szeregi zamykające kolumnę armii zniszczą za sobą pomost po przejściu nim na drugą stronę. Zanim Bolesław tu nadejdzie, Henryk będzie już niemal w bezpiecznych dla niego okolicach. Zresztą gdy Bolesław nadejdzie, stanie wobec niemożliwości dalszej gonitwy. Bagien nie sposób szybko obejść, zajęłoby to parę dni. Obojętnie, w którym kierunku podąży, na północ czy południe. A na wprost... musiałyby wybudować nowy pomost. Wszystkie opcje oznaczały zbyt dużą stratę czasu, by marzyć o dopadnięciu Henryka. Chyba że Tuniemu uda się pod płaszczykiem rokowań przytrzymać cesarza na miejscu. Półtora do dwóch dni wystarczyłoby. Poza tym spieszący równoległe lasami lekkobrojni Mieszka i okolicznych plemion musieli już razem z Niemcami tutaj dotrzeć. Zapewne przyczaili się na obu krańcach puszczy stykającej do bagien.

- Niesamowita okolica, rozległe łąki w środku dziewiczej kniei, doskonałe miejsce na warowny obóz, a nawet gród - rozważał głośno Gromosław.

- A te bagna - wtrącił Randulf - mogły przed wielu laty być wielkim jeziorem lub korytem rzeki. Strategicznie świetna lokalizacja. Nie zdziwiłbym się, gdyby nasze rzymskie legiony przed stuleciami tędy maszerowały, przez Śląsk w kierunku Bałtyku. Do ciebie, Czamborze, po bursztyn.

- Twoje legiony? - Tuni się roześmiał. - Twoje? Ty longobardzki dzikusie, gdyście przed pięcioma wiekami do Italii wtargnęli, to nasze legiony, powtarzam nasze, już nie istniały.

Tymczasem dotarli do obozu, gdzie zaprowadzono ich do silnie strzeżonego namiotu. Niespodziewanie szybko zawitał do nich obleczony bojowym uzbrojeniem arcybiskup magdeburski Gero w towarzystwie kilku rycerzy. Bez kurtuazji Gero przeszedł do rzeczy:

- Gdzie jest Bolesław z wojskiem?

- Jesteśmy posłami, a nie więźniami na przesłuchaniu - obruszył się Tuni. - Zwyczaj nakazuje...

- Jesteście więźniami, opacie. Możesz sobie to zachować. - Gero rzucił Tuniemu odebrane uprzednio pismo od Bolesława. - Znamy się nie od dziś, ty stara liszko, chytrącią obleczona. Cesarz nie wierzy ani jednemu słowu twojego władcy i nie ma zamiaru cię wysłuchiwać. Zostaniecie pod strażą, dopóki armia nie pokona bagien. Spętać! - zakrzyknął do strażników.

Sprawnie owinięto ich sznurami od stóp po ramiona i rzucono pojedynczo na ziemię. Dodatkowo przymocowano każdego łańcuchem do powbijanych w namiocie masywnych kołków, wykluczając możliwość przetaczania się i zbliżenia nawzajem.

- Tośmy się spisali - wysapał Czambor, gdy zostali sami.

- Uciekną, zanim nasi tu dotrą. A jeszcze łby nam zetną lub obwieszą.

- Do południa jeszcze daleko, od dwóch dni i nocy gnamy nieustannie za Niemcami. - Randulf zawiesił głos. - Na dobrą sprawę, to od bitwy pod Krosnem nie było czasu na porządne wyspanie się, ciągle w drodze, ucieczka, potyczki, gonitwa... Radzę wszystkim przymknąć oka i wypocząć. Z nadejściem nocy może wiele się zmienić.

- Masz jakiś plan? - spytał Gromosław.

- Nie mam, ale przecież po lasach wokół czatują miejscowi razem z wysłanymi przodem wojownikami Mieszka. Benno też zapewne o nas doniósł.

Bez dalszych dyskusji wszyscy niebawem pozapadali w głęboki sen. Bardzo głęboki, pomimo więzów i niewygody, i tyleż pokrzepiający. I pewnie pospaliły do następnego dnia, gdyby nie nagłe ożywienie w niemieckim obozie, powstałe zanim jeszcze dzień począł na dobre chylić się ku końcowi. Harmider niesłychany, okrzyki rozkazów i ponagleń zmieszane z rzeniem koni wybiły ich ze snu. Jak się okazało, niespodziewane poruszenie Niemców wywołały przygotowania do wieczornej uczyty. Uroczystej, dla całego wojska. Cesarz nakazał, by przy żadnym ognisku nie

zabrakło jadła i napitku. Gromosław nie musiał nawet zbyt­nio molestować stojących na zewnątrz strażników, by wy­wiedzieć się przyczyny radosnego nastroju w obozie. Budowa pomostu dobiegła końca i nic nie stało na przeszkodzie, by za dzień, góra dwa armia rozpoczęła forsowanie bagien suchą nogą. Nareszcie opuszczą niegościnną, wrogą polską ziemię, pełną czyhających zewsząd niebezpieczeństw. Powrócą do ojczyzny, co prawda bez łupów, ale niepobici. Czyż to nie wspaniały powód do świętowania? Wygrali przecież wielką bitwę pod Krosnem i wygraliby całą kampanię, gdyby oba skrzydła nie zawiodły. Z każdym wypitym trunkiem i kawałem pochłoniętego mięs­iwa nastroje biesiadujących nabierały rozmachu, deprymując siłą rzeczy uwięzioną grupę Tuniego. Gdzieś w pobliżu ich namiotu rozbrzmiał ochryply śpiew, podchwycony zaraz następnymi głosami:

*Miecze, włócznie i topory –  
Bolesławie, szykuj się,  
nauczymy cię pokory  
i zniszczymy plemię tve.  
Bohaterski saski oręż  
kroczy naprzód w polskiej krwi.  
Zdobędziemy Poznań, Gniezno,  
policzone Piastów dni \*...*

– Ale mają odwagę, gbury! – wykrzyknął Tuni. – Typowe dla Sasów, typowe. Nie róbcie mi tu przygnębionych



grymasów i nie szamotać się w więzach. – Rozejrzył się po pozostałych. – Otuchy sobie dodają po klęsce kampanii. A poza tym wasze przyśpiewki nie lepsze, a nawet jeszcze bardziej butne, a na dokładkę w większości pogańskie.

– Gdyby Bolesław na czas doszedł, toby im nastroje jeszcze bardziej poprawił. A tak... śpiewają sobie bezkarnie, obżerają się i spijają... Jeszcze im przypomnimy bezczelne słowa – obruszył się Gromosław.

– Przygnębienie nic tu nie pomoże, Gromosławie. Randulf dobrze radził odczekać do nocy, to i zobaczymy, co się wydarzy. Opowiedzcie coś o sobie i pozostałych. Nie miałem dotąd zbyt licznych okazji na pogawędki z rycerzami Mieszka, a zaciekało mnie, jak was w namiocie wychwalał. – Tuni najwyraźniej próbował odpędzić złe nastroje.

Tym sposobem dla zabicia czasu, oderwania myśli od gwaru przy ogniskach i dla zaspokojenia ciekawości opata zagłębili się w wynurzeniach.

Rozpoczął Gromosław, sięgając opowieścią w czasy, gdy Polska wspólnie z Niemcami najeżdżała Połabie. Jego ród pochodził spod Poznania. Ojciec Wodzisław służył jeszcze w przybocznej drużynie Mieszka I, ojca Bolesława, i brał wielokrotnie udział w wyprawach zbrojnych, kilkakrotnie na Połabie czy przy odbijaniu Śląska i Krakowa z rąk czeskich. Odznaczył się w zdobywaniu Kopanika w 991 roku. W tym samym roku zasłonił własnym ciałem słaniającego się ze starości księcia, gdy w trakcie oblężenia Brenny podstępni Lutycy zasypali ich gradem strzał

z wysokości wałów. Któryś z pocisków nadszarpnął szyję Mieszka, okrutnie go raniąc, ale na szczęście nie okazał się zatruty. Reszta strzał utkwiała w Wodzisławie, głównie w tarczy i grubym skórzanym kaftanie nabijanym żelaznymi płytkami. Ale jedna przebiła mu dłoń dzierżącą miecz i rozorała ją straszliwie. Gdy w impulsie bólu spiął konia i zakręcił nim, trafił go celnie miotnięty oszczep, który po przebiciu uda przykuł go do boku oszalałego zwierzęcia. Mieszko nie zapomniał o ofiarnym poświęceniu ciężko rannego drużynnika i jeszcze w trakcie odwrotu spod Brenny, gdy dotarli do Lubusza, mianował go namiestnikiem rzeczzonego grodu i włodarzem przyległych ziem plemienia Lubuszan. Zasługi zasługami, ale w samym wywyższeniu Wodzisława dopomógł zbieg trzech pomyslnych okoliczności. Pierwszą była niedawna śmierć dotychczasowego pana na Lubuszu, Stępora, *notabene* dalekiego kuzyna Mieszka. Stępor nie pozostawił potomków oprócz córki w dorodnym wieku, imieniem Lubisza. Co okazało się drugą z nadmienionych okoliczności: zaledwie po jednym dniu i nocy pobytu w grodzie Wodzisław i Lubisza zakochali się w sobie bezgranicznie. Tym samym przypieczętowali plan Mieszka. Po ich ślubie Wodzisław objął powierzone mu stanowisko. Już niebawem z ich właśnie związku na początku 992 roku zrodził się Gromosław. Ostatnim przyczynkiem sprzyjającym takiemu obrotowi wydarzeń były zmiany zachodzące od jakiegoś czasu w wewnętrznych strukturach politycznych monarchii piastowskiej. Za bezpośrednich przodków Mieszka, od

pradziada do ojca, wszystkie stanowiska zarządu grodami, terytoriami i ziemiemi rozdzielane były jedynie i wyłącznie w obrębie licznego piastowskiego rodu, którego obfitość nie powinna dziwić: pradziad Mieszka miał dwadzieścia cztery żony, dziad dwadzieścia siedem, ojciec dwanaście. Sam Mieszko, zanim przyjął chrzest, współżył z siedmioma pogańskimi kobietami. Rzeczone żony zdobywali sobie jurni Piastowie, poślubiając księżniczki podbijanych kolejno plemion i córki władców poszczególnych zdobywanych grodów. Łatwo sobie zatem wyobrazić, jak w szybkim tempie dynastia obrodziła mrowiem synów, współbraci, wujów i kuzynów. A ponieważ prawem ustanowionym już przez Siemowita w każdej generacji wyłącznie jeden jedyny potomek był wyznaczony na dziedziczenie tronu władczego nad całym państwem, siłą rzeczy pozostałą piastowską hordeę umieszczano na wspomnianych stanowiskach. Przykładem Czcibor, brat Mieszka, piastujący namiestnictwo nad grodem i ziemiemi wokół Cedyni. Cała ta skutecznie spleciona siatka piastowskich zarządców poczęła się gwałtownie rwać po 965 roku, z chwilą gdy Mieszko poślubił pierwszą chrześcijańską żonę, Dobrawę z Pragi. Nowa małżonka w bezlitosny sposób wygnała pogańskie konkurentki i przerwała raz na zawsze dotychczasowy piastowski tryb bujnego rozmnażania się. A po ponad dwudziestu pięciu latach od tej zmiany szeregi piastowskiego rodu przeredziły się, i to znacznie. Naturalna śmierć, a głównie liczne boje zrobiły swoje. I raptem poczęło stopniowo brakować uzupełnienia

wywodzącego się z piastowskiej krwi. Oczywiście struktura władzy książęcej, dynastycznej, nie była tym rozwojem sytuacji naruszona, Bolesław dziedziczył po ojcu, po nim tron obejmie Mieszko młodszy, zwany Drugim. Ale w strukturach administracyjnych następowała gwałtowna przemiana. Już Mieszko I w drugim okresie swych rządów, a teraz Bolesław zmuszeni byli do powierzania naczelnictwa grodów czy namiestnictwa prowincji wybranym polskim rycerzom lub lojalnym wielmożom.

- To kiedy poszedłeś do drużyny Mieszka?

- Gdy skończyłem szesnaście lat, w 1007 roku.

- Nie kłam, Gromo - wtrącił się Czambor. - W naszej pierwszej bitwie przy odbijaniu Budziszyna miałeś jeszcze piętnaście.

- Kończyłem piętnaście. A ty się nie wymądrzaj, starszy jesteś zaledwie o parę miesięcy.

- I dlatego pierwszy wdarłem się na palisadę...

- Ale dopiero po tym, jak ja jednym rzutem liny wczepiłem hak w dwóch ogromniastych Sasów i zdjąłem ich z góry.

- Ale do grodu nie wdarliśmy się, odparli nas.

- Co z tego, i tak niebawem się poddali.

- Toście młodo się spisali - sapnął z podziwem Tuni.

- Ha, ale gdy zdobywaliśmy Lubuszę w lasach Szprewy - zaciętrzewił się Gromosław - wtedy ja pierwszy wspiąłem się na wał i wpadłem do grodu, a reszta dopiero za mną.

- To było przed trzema laty. Stoczono przecież wtedy straszną bitwę o gród - rzekł z uznaniem Tuni. - Padło co

najmniej tysiąc Niemców z garnizonu.

- Cały garnizon wybiliśmy. Ale w naszych szeregach też wielu zginęło - podniecił się Gromosław. - Nie zapomnę, jak saski miecz rozczepił hełm z czaszką walczącego obok mnie weterana z Giecza. Albo tego szaleńca bez zbroi, co zeskokczył z wału w sam środek naszego kłębowiska i zarąbał toporem trzech przednich piastowskich tarczowników, zanim go reszta, włóczniami dźgając, na ziemi nie rozłożyła. To był jakiś Połabianin, dla Niemców walczący.

- Obroną też dowodził Połabianin, niejaki Ścich znad Muldy, lennik arcybiskupa Gerona - uzupełnił Czambor.

- Dużo tych Połabian, co was, Polaków, nie lubią, a wy chcecie tu na siłę Polskę wprowadzać - zauważył zgryźliwie Randulf, ale nikt nie podjął jego zaczepki.

Gromosław kontynuował opowieść. Mieszko II, zaledwie o dwa lata starszy od Gromosława, od wczesnej młodości zaprawiał się pod baczny okiem ojca w arkanach wojowania. Gdy skończył szesnaście lat, Bolesław wyznaczył mu własną drużynę stworzoną z rówieśników, synów najprzedniejszych rodów, namiestników grodów i terytoriów. W ten sposób, podobnie jak Gromosław, do drużyny młodziaków trafił Czambor, syn namiestnika gdańskiego podgrodzia, i wielu im podobnych. Poza tym władca Polski przydzielił synowi do pomocy grupę starszych wiekiem, doświadczonych rycerzy wydzielonych z własnych oddziałów ciężkozbrojnych. Żeby młodym nie odbiło za bardzo, nie poniosło w jakąś awanturę, no i żeby mieli od

kogo się uczyć. Po kilku latach wypełnionych nieustannie służbą wojenną młodzieńcy powyrastali na mężnych, zaprawionych w bojach rycerzy. Przed dwoma laty Bolesław powierzył synowi komendę nad własną niewielką armią, złożoną z około dwóch tysięcy rycerzy i wojowników, podzielonych na siedem hufców jazdy. Wtedy wielu z drużynników młodego następcy piastowskiego tronu awansowało do jego rady doradczej i otrzymało dowództwo nad mniejszymi lub większymi formacjami taktycznymi w powierzonej mu armii. Tak jak Gromosław na czele hufca lubuszańskiej jazdy czy Czambor dowodzący jednym z pomorskich oddziałów. W bitwie pod Krosnem, gdzie ze względu na uwarunkowania terenu do pierwszego starcia stanęli pieszo, ponieśli bardzo ciężkie straty. Praktycznie cała armia Mieszka, pomimo wzmocnienia posiłkami piechoty z nadodrzańskich grodów, została dotkliwie przetrzebiona. Oddział Czambora ustawiono na brzegu Odry w blokach pierwszej linii obrony, która przyjęła na siebie początkowy impet nieprzyjacielskiego uderzenia. Pomimo masywnego ostrzału z ich strony sześć tysięcy Niemców, nie licząc się ze stratami, sforsowało płytkie brody, wdarło się na brzeg i uderzyło w nich, niesione nieopisaną werwą. Po zaciętym boju liczebność Niemców przeważała, zamieniając bitwę w krwawą jatkę. Z dwóch tysięcy Polaków zaledwie połowa przebiła się do odległej o dwie staje drugiej linii obrony. Wśród nich również Czambor, straciwszy niemal wszystkich ludzi. W tym pierwszym starciu zginął starszy brat Czambora, Wisław.

Natychmiast, pomimo ran i zmęczenia, Czambor dołączył do szeregu Gromosława. Lecz ich odwaga nie na wiele się zdała. W tym momencie na brzeg wdzierała się następna fala niemieckiego uderzenia, równie liczna jak pierwsza, na dodatek niemal wyłącznie jazda ciężkozbrojna. Obrona drugiej linii, w której walczył sam Mieszko, potrwała do popołudnia, lecz pomimo męstwa Polacy musieli ponownie ustąpić pola i wycofać się z ciężkimi stratami na trzecią linię obrony. Tam walczono aż do zmroku i dopiero ciemności przerwały bitwę. Mieszko zebrał pobite i rozsypane wojska i wycofał się w głąb kraju na odległość dziesięciu stająg, gdzie przystąpiono do organizowania kolejnego punktu oporu. Tak jak nakazał mu ojciec: walczyć do upadłego, wycofywać się, zadawać nieprzyjacielowi straty i czekać, aż on nadejdzie osobiście z odsieczą. W tym czasie oddział Gromosława stracił połowę ludzi. Wtedy nastąpił impas w zmaganiach. Do Mieszka poczęły ściągać licznie rezerwy z głębi kraju, Bolesław nadciągał z całą jazdą, a Henryk wpadł w panikę.

- A co z Bernardem? - zapytał Tuni. - Wiem, że pokaźna liczba Sasów walczy po naszej stronie, ale ciekawi mnie tylko, co zagnało margrabiowskiego krewniaka w szeregi Bolesława.

- Mieszka - skorygował Gromosław - w szeregi Mieszka, nie Bolesława.

- Miałem na myśli ogólnie, że po naszej stronie.

- Benno trafił do nas w 1010 roku, w trakcie kolejnej kampanii Henryka na Polskę. Armia niemiecka przez trzy

tygodnie ściągają na koncentrację pod Białą Górę nad Łabą, siedzibę margrabiego marchii łużyckiej Gerona II. A margrabia, jak wszyscy doskonale wiedzą, sprzyja po kryjomu Bolesławowi. To znaczy należy do saskiej opozycji niechętniej Henrykowi. Był jednym z pierwszych niemieckich możnowładców, który w pełni poparł ideę renowacji Imperium Rzymskiego, propagowaną przez cesarza Ottona III. Imperium, w którym Bolesław władałby całą Słowiańszczyzną przy poparciu cesarstwa. Stąd, gdy tylko do władzy doszedł Henryk II, zagorzały przeciwnik wizji Ottona III, zaliczył margrabiego w poczet wrogów. Cesarz nie może mu odebrać marchii, przynajmniej dopóki Gero wypełnia oficjalnie obowiązki wasalne. Tyle że Gero igra z ogniem: opóźnia dostawy własnych oddziałów na wyprawę Henryka, wspiera potajemnie saskich rycerzy, którzy pozostali na zajętych przez nas Łużycach i złożyli Bolesławowi przysięgę wierności, utrzymuje szpiegów na cesarskim dworze, zasilając Bolesława informacjami. I trudno mu się dziwić. Z całego terytorium marchii pozostały mu jedynie skrawki wokół Białej Góry i kilku grodów nad Łabą oraz niewielkie obszary po prawej stronie rzeki. Reszta Łużyc należy do Polski wraz z osiadłym tam saskim rycerstwem, które bez szemrania złożyło przysięgę wasalną Bolesławowi. Tak więc Gero włada jedynie na skromnym wycinku marchii, a większość jego poddanych stała się lennikami polskiego władcy. On sam najchętniej poszedłby zapewne w ich ślady, ale wtedy Henryk, jego prawowity zwierzchnik, zdeptałby go natychmiast.



- To jest właśnie jedna z tych anomalii tutejszych krain  
- przerwał mu Randulf - na zrozumienie których potrzebowałem nieco czasu. Niemcy, Sasi, Polacy, Stodoranie, Lutycy... to, że wszyscy nawzajem się kotłują o to biedne Połabie, to jeszcze ujdzie, wojna, jakich pełno w całej Europie. Ale żeby tylu Sasów sprzyjało polskiemu władcy pomimo obowiązku wierności wobec własnego cesarza, to już chyba żart jakiś. Lepiej niech obalą Henryka i zrobią Bolesława cesarzem, przynajmniej póki zapanuje.

- Nie zapędzaj się, przyjacielu - ukrócił go Gromosław - i nie rób zbyt pochopnie naszego władcy cesarzem. Bo mu jeszcze po tym ochota przyjdzie na wycieczkę poza Alpy, a wtedy żegnajcie się z wolnością, Longobardowie!

- Ha, ha, co ty o nas wiesz?! W samym Benewencie więcej znakomitego rycerstwa niż wszystkich tutejszych dzikusów razem wziętych...

- Tak? To włóż do swojej wielce uczonej głowy rozumowanie nieoczytanego dzikusa: wszyscy niemieccy cesarze dawali wam łupnia i zhołdowali, Otto pierwszy, drugi i trzeci, a nawet obecny niedorajda Henryk. Jak myślisz, co zrobi z wami Bolesław, który Henryka od trzynastu lat jak psa batoży?

- Niech mi ze strachu stęchła flądra w gardle utknie - wtrącił Czambor. - Rycerze z Benewentu... tak jak ty za kobietami ganiają?

- Czy dowiem się w końcu, jak Bernard do was przystał?  
- zniecierpliwił się Tuni.

- No więc Henryk - Gromosław podjął przerwany wątek - w pełni świadom pozorowanej lojalności Gerona, od dłuższego czasu szykanował go na rozmaite sposoby. A to do podpisu na dokumentach nie dopuszczał, a to obciążenia i posługi dodatkowe narzucał. A podczas wspomnianej koncentracji wojsk pod Białą Górą przymknął oczy na swawolę gromadzącego się rycerstwa. Rozzuchwalone masy wojska poczęły zachowywać się jak na wrogim terenie niby w poszukiwaniu prowiantu. Zniszczono, splądrowano i spalono wiele posiadłości margrabiego, nie tylko wokół Białej Góry, lecz także w pomniejszych grodach. Taki los spotkał Niszany na południe od Białej Góry, gród w rękach Geronowego siostrzeńca, czyli naszego Bernarda. Rozszalały oddział królewski najechał Niszany, wybił załogę słowiańskich wietników, poturbował srodze i poranił saski garnizon, chociaż to ich rodacy byli, po czym zrównali gród z ziemią po obrabowaniu wszystkiego. Benno się wściekł, zebrał wokół siebie resztki niewielkiej drużyny i uciekł do nas. Chciał do Bolesława, ale ten przyczał się z armią daleko, pod Głogowem, więc podążył najkrótszą drogą do młodego Mieszka stacjonującego na łużyckich grodach granicznych. Mieszko przyjął go na służbę, wyznaczając uposażenie w srebrze, i włączył do mojej grupy. Później Chrobry przyjął od Bernarda przysięgę wojenną na miecz. Od tego czasu razem wojujemy, niejednokrotnie w bojach ramię przy ramieniu, i...

- Porządny rycerz - Randulf ponownie nie wytrzymał, wchodząc Gromosławowi w słowo - i przyjaciel serdeczny.

Do panien też się rwie, że aż miło patrzeć... A na koniec, wielebny opacie, by zakończyć te rzewne opowieści, dorzucę coś o sobie. Wiesz, że tak jak ty, pochodzę z Italii, tyle że południowej. Mój ojciec Pandulf wspólnie z najstarszym bratem Landulfem włada longobardzkim księstwem Benewentu. Ja jestem najmłodszym z dziewięciu braci. W 1010 roku, gdy miałem dziewiętnaście lat, ojciec wysłał mnie z misją dyplomatyczną do księcia Spoleto Romanusa. Miałem przedstawić Romanusowi propozycje pokojowe, by zakończyć trwającą pomiędzy naszymi księstwami wojnę pograniczną, roznieconą z powodu kradzieży jakichś świętych relikwii. Benewentowi bardzo zależało na ułagodzeniu konfliktu, gdyż w tym samym czasie wdaliśmy się w zatargi z Kapuą, a na dodatek Bizantyjczycy z Apulii nasilili wobec nas wrogie działania. Przybywszy na dwór do Spoleto, zadurzyłem się bezgranicznie w młodziutkiej małżonce księcia imieniem Richilda. Z tego wszystkiego straciłem głowę, zaniedbałem nakazy ojca i urwałem się z Richildą na parę dni nad morze, gdzie pogłębialiśmy wzajemne uwielbienie. Stary Romanus wpadł we wściekłość i umarłbym w męczarniach, gdyby nie osobista interwencja ojca. Dla wyciągnięcia mnie z opresji zmuszony został do zawarcia pokoju z Romanusem wyłącznie na jego warunkach. Dodatkowo zobowiązał się wygnać mnie z Italii. A ponieważ księstwo Benewentu królom i cesarzom niemieckim posłuszeństwo wasalne winne, więc ojciec wysłał mnie pod skrzydła Henryka. Tak przebyłem Alpy i wylądowałem w Magdeburgu oficjalnie

jako gość, a nieoficjalnie oczekując, aż ten stary grzyb Romanus szczętnie i zdjęte zostanie ze mnie piętno wygnańca. Niebawem w tej zapadłej saskiej dziurze popadłem ponownie w tarapaty. Miejscowe rycerstwo poszło na wojny do Burgundii, Lotaryngii, Polski...

- A ty nie musiałeś razem z nimi wyruszać?

- Nie, ponieważ nie mam wobec Henryka żadnych zobowiązań, gościem jestem, ksiązęcym synem. Wracając do tematu, rycerze wyruszyli na wojny, zostawiając nieopatrznie damy zasmucone brakiem towarzystwa. Ujęty ich powabem, pocieszyłem niektóre i wynikły z tego kłopoty. Grunt zaczął mi się palić pod nogami, lecz na szczęście w 1013 roku do Magdeburga zawitał Mieszko z misją od Bolesława. To czym prędzej, poznavszy Gromo i pozostałych, przyłączyłem się do nich. Bardzo sobie tę zmianę pochwalam.

- No dobrze - rzekł Tuni - pozostał jeszcze Czambor z Gdańska. Wiem już, Czamborze, z opowieści Gromosława, że mając szesnaście lat, znalazłeś się w 1007 roku w drużynie naszego młodego Mieszka i w jej szeregach przeszedłeś dotychczasowy szlak bojowy. Opowiedz mi, proszę, nieco więcej o twoim rodzie.

- Ojciec mój Stęgniew jest zarządcą podgrodzia w Gdańsku - rozpoczął Czambor - i dowodzi kontyngentem pomorskich sił zbrojnych...

- Jak to podgrodzia? - wtrącił się Randulf. - Myślałem cały czas, że twój ojciec jest komesem Gdańska?

- Nie jest - odpowiedział mu Czambor. - Mówiłem ci już o tym i dziękuję serdecznie, przyjacielu, że z taką uwagą słuchasz moich słów. Wracając do ciebie, opacie - podjął Czambor po krótkiej chwili - namiestnikiem podatkowym całego okręgu gdańskiego, czyli zarówno grodu w Gdańsku, jak i pozostałych grodów na ziemiach Pomorza Wschodniego jest Przypor, bogaty wielmoża, którego ród z okręgu gnieźnieńskiego się wywodzi, pełniący tę godność z nadania władcy Polski. Do dyspozycji stoi mu garnizon piastowskich wojowników, skoszarowany w książęcej rezydencji.

- To Gdańsk nie ma księcia? - spytał Randulf.

- Widać, że nie znasz jeszcze naszego kraju. W Polsce nie ma książąt oprócz tylko i wyłącznie przedstawicieli piastowskiej dynastii - odparł Czambor. - Ale kiedyś Gdańskiem władała nasza rodzima dynastia, zanim Piastowie nas zawojowali w poprzednim stuleciu. Jeszcze za Mieszka, ojca Bolesława, w Gdańsku władał potomek tejże dynastii, ożeniony z siostrą Mieszka, dzierżył nawet książęcą godność i rezydował na książęcym, świeżo wzniesionym zamku górującym nad podgrodzem. Po nim w Gdańsku panował brat Mieszka, ożeniony z kolei z księżniczką z rodzimego gdańskiego rodu. Wszyscy zwali go księciem, aczkolwiek wyłącznie z przyzwyczajenia niż z oficjalnego tytułu. Stary już był wiekiem, gdy w 1003 roku na Pomorzu Zachodnim z poduszczenia Lutyków wybuchły zamieszki pogańskie. Wyruszył na odsiecz Kołobrzegowi i zginął w bitwie, tracąc większość wojska ekspedycyjnego.

Po nim nastął wspomniany Przypor jako piastowski namiestnik Pomorza Gdańskiego, mający trzymać pieczę nad poborem podatków i utrwalaniem chrześcijaństwa. Oprócz tego zarządza piastowskim garnizonem książęcego grodu i feruje wyroki sądowe w imieniu Bolesława. Zasiada na książęcym zamku, aczkolwiek jest tylko piastowskim urzędnikiem. Wzenił się w niektóre wiodące pomorskie rody, on sam i jego dwóch synów. Mój ród zaś od niepamiętnych czasów i pokoleń w Gdańsku osiadły. Było nas sześciu braci, lecz w ostatniej bitwie pod Krosnem zginął najstarszy, Wisław. Sasi rozplatali mu głowę toporem i wyrznęli cały oddział, którym dowodził. Wszyscy służymy w wojsku Bolesława lub Mieszka. Jedynie najmłodszy, Gniewosz, pozostał jeszcze przy ojcu. Widziałem się z nim na krótko przed bitwą pod Krosnem, gdy przybył z wieściami od ojca.

- A sióstr nie masz? - dopytywał Tuni.

- Miałem - odparł Czambor niespodziewanie rozdrażnionym głosem. - Znaczy mam jedną, Glabunkę. Ale to nieważne - dodał po chwili. - Tak więc ojciec zawiaduje podgrodzem i wojskiem pomorskim Gdańska i ziem przyległych.

Tymczasem nadeszła noc, ucichły śpiewy i rozgardiasz obozu. Spętanych w namiocie więźniów ogarnęły ciemności. Tematy pogawędki wyczerpały się, poczęło wracać przygnębienie. Nawet sylwetki strażników, ledwo majaczące na tle płacht namiotu podświetlonych żarem z dogasających ognisk, zamarły w bezruchu. Jakby posnęli

na stojąco. Zastygłą ciszę przerwał ożywionym szeptem Randulf:

- Coś się nie zgadza, z mojej strony cień strażnika pogrubiał nagle, upadł i powstał... a teraz zbliża się... Widzicie to?

Wszyscy powykręcali głowy w kierunku wejścia, ale zanim ktokolwiek zdążył odpowiedzieć, do namiotu wkradła się bezszelestnie jakaś postać. Twarzy nie mogli dojrzeć, jedynie obrys sylwetki. Bez hełmu, tarczy i włóczni. To nie strażnik. Postać zbliżyła się do leżącego najbliżej wyjścia Randulfa, przyklękła i wyjąwszy nóż, poczęła bez słowa przecinać więzy.

- Kim jesteś? - spytał Randulf.

- Ciii... Pozwólcie, że najpierw was uwolnię, zaraz wszystko wyjaśnię - odparł szeptem tajemniczy oswobodziciel.

Przecinanie sznurów przebiegło szybko i sprawnie. Nieznajomy miał przy sobie również zabrany strażnikom klucz do łańcucha, tak że niebawem wszyscy czterej zostali w pełni uwolnieni.

- Pozwól, że się przedstawię - rzekł Tuni. - Opat z Międzyrzecza...

- Wiem, kim jesteś, oszczędź sobie wyjaśnień. A pozostali są wojownikami Bolesława - rzekł wybawca. - Nie czas teraz na dyskusje, posłuchajcie...

Lecz przerwał mu Gromosław:

- Ale z Sasów nie pochodzisz, od Polaków też nie, mowa twoja czysto połabska, wielecka, rzekłszy dokładniej.

- Stodorańska, jeżeli chodzi o ścisłość. Działam w imieniu księcia Sławigosta. Jest nas tu w obozie ze trzydziestu i udajemy przed Niemcami Lutyków.

- A twoje imię?

- Nieważne. Posłuchajcie, w czym rzecz, bo trzeba szybko działać. Straże wyrżnięte. Uciekajcie czym prędzej do swoich, moi ludzie przeprowadzą was pomiędzy uśpionymi namiotami. Zaraz na krańcu lasu czekają konie i cały wasz dobytek. Stamtąd pomimo ciemności traficie bez trudu do drogi, którą przybyliście, to tylko parędziesiąt końskich biegów, zresztą dostaniecie łuczywa. Nie wiem, gdzie wasz Bolesław, mam nadzieję, że już w pobliżu. Przekażecie mu ważną wiadomość... Bo mam nadzieję, że nadchodzi i zamierza zaatakować Niemców?

- Pewnie, że zaatakujemy Niemców, ważne, żeby nie uciekli pomostem przez topiele. Dlatego mieliśmy, znaczy opat miał przytrzymać Henryka rozmowami, by dać czas Bolesławowi na dojście z wojskiem.

- To wy nic nie wiecie? Pomost gotowy, najpóźniej za jeden dzień ruszają...

- Tego się dowiedzieliśmy od strażników. Co nam po tym, że się teraz wyrwiemy do Bolesława? Samo dotarcie doń potrwa ze dwa dni. - Tuni nie ukrywał rozczarowania.

- Jeden dzień, opacie, jeden dzień - zaprzeczył mu Gromosław. - Policz przecie, że Bolesław nie siedzi na miejscu, lecz cały czas zbliża się w naszą stronę.

- Na to nie ma rady - rzekł nieznajomy. - Ale posłuchajcie teraz uważnie, co wam rzeknę, i powtórzcie



niezwłocznie Bolesławowi. Moi ludzie zdołali podpiłować częściowo kilka grubych pni powbijanych pionowo w wodę na początku pomostu i podtrzymujących ułożone nań belki i faszyny. Nie na tyle, by się rozpekły pod ciężarem normalnej kolumny wycofujących się Niemców, ale gdyby przy samym wejściu na pomost zebrała się jak największa kupa ludzi i poczęła wszystkim trząść, to pnie powinny puścić i początek pomostu zawali się. Musicie zatem na początku bitwy rzucić masy wojowników z dwóch stron na boki wejścia na pomost. Być może zawałą go i Niemcy znajdą się w potrzasku.

- A co nam po tym? Przecież gdy nadejdziemy, choćby nie wiem jak szybko, to Niemcy będą już po drugiej stronie bagien.

- To wy nic nie wiecie? Pojawienie się opata z towarzystwem wprowadziło cesarza w popłoch. Natychmiast wydał nowe dyspozycje. Na tym brzegu pozostaną znaczne siły dla osłony jego odwrotu, bliski zaufany Henryka palatyn saski Burchard z podległymi mu siłami i arcybiskup Gero z całym rycerstwem wasalnym arcybiskupstwa, razem niemal dwa i pół tysiąca ciężkozbrojnych. W tym mrowiu rycerstwa i wojowników samych wysoko urodzonych prawie ze dwie setki. Są wśród nich też służące im liczne oddziały Połabian. Będą bronić przeprawy do upadłego co najmniej kilka godzin. Gdy już zmuszeni zostaną do wycofania, to mają zniszczyć za sobą pomost.

- Przecież cesarz może przeprowadzić teraz całą armię i zniszczyć pomost po przejściu ostatnich oddziałów. Wtedy

nasi nic nie wskórają, a niepotrzebna ofiara Burcharda i magdeburckiego Gerona.

- Strach cesarza przed Bolesławem i jego sztuczkami? A może zimne, bezlitosne wyrachowanie? - obruszył się nieznajomy. - Tak czy inaczej, stoczycie waszą bitwę i na pociechę wybijecie ponad dwa tysiące najprzedniejszego ciężkozbrojnego ludu wojennego cesarza. Za niecałą godzinę zmiana straży, najpóźniej wtedy się połapią, dlatego zmykajcie natychmiast.

Zaledwie zniknęli w lesie, gdy Stodor, bo on był tym tajemniczym nieznajomym, podniósł alarm. Nie czekał na zmianę straży. „Więźniowie uciekli!”, wołał bez opamiętania, „Strażnicy zarżnięci! Zdrada!”. Niech się dzieje, co chce, może teraz Niemcy wpadną w panikę i w ciemnościach stratują się nawzajem. Na Stodorianię! Nie tak to planował. Nie spodziewał się, że cesarz pójdzie na bagna i nakaze budowanie pomostu. Liczył na to, że cesarscy zagłębią się w którąś z odnóg szlaku, spowolnią tym samym jeszcze bardziej tempo, a wtedy Polacy dorwą ich. I niechby się nawzajem powybijali! A tak... no cóż, tysiące martwych Niemców okupione równym stosem trupów po stronie Polaków, dobre i to. Czas na niego, ludzi zwołać i na Kopanik! „Polacy, Polacy!”, począł przeraźliwie krzyczeć. „Wychodzą z lasów! Sam Bolesław na przeolbrzymim koniu z całą jazdą!”, i pognał w miejsce, gdzie czekano na niego z końmi.

Henryk stracił do reszty panowanie nad nerwami. Od popołudnia męczyła go kolka, zastęp duchownych

w przedsionku namiotu torturował rzewnymi psalmami, a nakładające się obrazy postaci tego pyszałka Bolesława zaćmiewały nieustannie myśli. Nakazał natychmiastowy odwrót. Pomostem na suchą stronę, byle jak najszybciej na zachód, w kierunku zbawiennej Łaby. W ostatniej chwili przed wyruszeniem w drogę, siedząc już na koniu, postanowił zwiększyć liczebność pozostawionych na miejscu sił. Wydając rozkaz, nie krył samozadowolenia:

- Dodatkowo na miejscu pozostaną zastępy margrabiego Gerona.

Może ten buntowniczy intrygant Gero zginie od miecza Bolesława, kołatało się w głowie Henryka, i dodał na zakończenie: - Z wyłączeniem jego syna, który natychmiast dołączy do mojej gwardii.

Zanim cesarz podążył na czoło kolumny wojsk opuszczających obóz, zatoczył koniem łuk, podjechał do niekryjących zasępionych min palatyna, arcybiskupa i margrabiego, po czym rzekł na odchodnym:

- W imię Boga i na chwałę cesarstwa, nie dajcie przejść Polakom. Mielibyście się wycofywać, to zniszczcie za sobą pomost. A ty, sławetny margrabi - Henryk zbliżył konia jak najbliżej Gerona - masz okazję wykazać lojalność wobec mnie i ojczyzny. I pamiętaj, że twój syn, młody Thietmar, znajduje się pod moją opieką.

Od tego momentu wydarzenia potoczyły się szybciej, niż przypuszczano, i nie tak, jak wielu planowało. Na trzy godziny przed nadejściem świtu cesarz na czele ośmiotysięcznej armii przeprawił się pomostem na drugą

stronę bagien. W obozie pozostała straż tylna, będąca w istocie małą armią liczącą, po dodaniu sił margrabiego, około trzech tysięcy zbrojnych. Nie minęła godzina od wycofania się głównych sił cesarskich, gdy margrabia Gero postradał zmysły. Tak to przynajmniej wyglądało w oczach pozostałych. Wojownicy margrabiego zajęli przyczółek pomostu, na co początkowo nikt nie zwrócił uwagi, ot, pewnie rozlokowanie sił przed bitwą. Raptem poczęli rąbać i niszczyć belki i faszyny. Nim kto się zorientował, pierwsze kilkadziesiąt metrów pomostu zniknęło pod wodą. Oczywiście, o czym nikt nie wiedział, uprzednie podpiłowanie drewna przez ludzi Stodora przyspieszyło dzieła zniszczenia. Na interwencję było już za późno, gdy tymczasem margrabia z wyciągniętym w górę mieczem rzucał się na spienionym koniu, wykrzykując w stronę zdumionych Burcharda i arcybiskupa:

- I co teraz!? Nie ma ucieczki! Polacy nas na różna ponabijają i upieczonych cesarzowi odeślą! Ha!

Gdy po jakimś czasie opadły emocje i opanowano zamieszanie, wynikły następne trudności. Aż zawrzało w namiocie narad. Nikt z wielmożów nie chciał objąć głównej komendy nad całością sił, co wynikało z różnicy zdań i interesów. Gero (arcybiskup) przemyślał skrycie nad możliwościami ucieczki, gdy tylko rozpęta się bitewne piekło. Gero (margrabia) chciał, by całą armią wyszli Bolesławowi naprzeciw i przyjęli walkę w lasach, twierdząc, że będą mieli więcej szans tam niż na otwartym polu wobec przewagi liczebnej przeciwnika. Burchard (palatyn)

proponował, by natychmiast wykopać głęboki i szeroki rów wokół ich pozycji, stykający końcami do bagien – w ten sposób mogliby się bronić do upadłego i w tym samym czasie próbować naprawić pomost. Gero (arcybiskup) przyklasnął mu i zaproponował, że już teraz można zacząć budowanie tratw, którymi łatwiej dotrzeć do nieuszkodzonej części pomostu. Obradowali tak ze dwie godziny. Ostatecznie nie uzgodnili żadnego wspólnego planu, opuścili namiot i przystąpili do ustawiania podległych im oddziałów na pozycjach obronnych: margrabiego na lewym skrzydle, palatyna pośrodku, arcybiskupa na prawym skrzydle. Całość w formie półkola stykającego na tyle linią prostą do brzegu bagien i skierowanego frontem do otaczającej ich łukowato ściany lasu. W pierwszej linii półkola płytkie, trzyczędowe bloki spiesznej jazdy ciężkozbrojnej. Reszta ciężkozbrojnych na koniach skupiona w trzech grupach: po jednej na każdym boku i główna masa złożona z rycerzy palatyna w środku. Jednocześnie na rozkaz arcybiskupa zbudowano tratwę i zdążono nią już przetransportować na nienaruszoną część pomostu kilkanaście koni.

Nie mniej zamieszania wynikło wśród nadciągających szlakiem i lasami polskich zastępów, gdy natknęły się na zdążających z naprzeciwka Tuniego z rycerzami. Gromosław nie krył radości, napotkawszy swój lubuszański hufiec jazdy, nad którym natychmiast objął komendę.

- Myślałem, że poszliście z Mieszkiem na Miśnię.

- Nie - odpowiedziano mu. - Księżę dał synowi w zamian trzystu ciężkozbrojnych z Krakowa.

Po szybkim przywitaniu z Bernardem podążyli wspólnie w poszukiwaniu osobistej drużyny Bolesława, lawirując pomiędzy gęstwiną sunącej kolumnami jazdy. Bolesław nie okazał zdziwienia zasłyszczanymi wieściami. Ani tym, że Henryk zostawił na placu boju sporą armię dla osłony swej ucieczki, ani rewelacjami o nieznanym wybawcy. Okazało się, że uwolnił ich nie kto inny, jak Stodor, oznajmił im księżę.

- Wcielenie samego Belzebuba - wyrwało się spontanicznie Tuniemu. - Zgroza!

Bolesław doskonale wiedział o pobycie Stodora w cesarskiej armii, doniósł mu o tym saski szpieg już pod Bytomiem, nadmieniając o niewielkim oddziale słowiańskich wojowników, którzy dołączyli do cesarskiej armii. A że Bolesław nie wyjawiał innym obecności Stodora wśród owych Słowian... Polski władca ma swoje plany związane z tym stodorańskim odszczepieńcem i na tym koniec dyskusji. Na ślepego odyńca, kołatało w głowie Gromosława, gdybym wiedział, kto zacz, gardło bym bestii poderznął. Również pomysł Stodora o ataku na pomost niewiele przejął Bolesława, „bez znaczenia”, rzekł, „i tak już nam nie ujdą”. Jedyne, co go niepokoiło, to obecność margrabiego.

- Szkoda Gerona, gdyby zginął przychylny mi. Może nie podniesie miecza i podda się? Jak myślisz? - zwrócił się do Bernarda, który zdążył dołączyć do grona przyjaciół. - Co

zamierza twój wuj? - Lecz ujrawszy głębokie zatroskanie w twarzy młodego Saksończyka, nie nalegał na odpowiedź.

Tymczasem przednie oddziały dotarły do rozwidlenia drogi. Ich dowódcy zawrócili do nadciągającej nieco z tyłu głównej masy wojska z Bolesławem na czele.

- Książę, jakie rozkazy? Do obozu Niemców niedaleko.

\* \* \*

Ledwie rześki poranek rozświetlił okolicę, gdy powietrzem targnęły ogłuszające dźwięki bojowych rogów. Zewsząd, z każdego zakamarka lasu. „Polacy”, poniosło poważnymi pomrukami wzdłuż stłoczonych niemieckich i połabskich szpalerów, „Polacy nadchodzą”. Drzewa jakby się poruszyły i zatrzęsyły koronami, ale pozostały w miejscu. Spomiędzy nich poczęły się wyłaniać duże, okrągłe tarcze lekkobroejnej piechoty. Prawie tysiąc. Wojownicy plemion śląskich, które już od dwóch dni wyczekiwały przyczajone w lasach, przystępowali do ataku. Bolesław, który pojawił się właśnie na czele pierwszych oddziałów jazdy, nakazał im nacierać, dopóki cała armia nie dotrze na krańce pola walki. On sam, przyczajony w cieniu linii lasu, obserwował z wysokości konia przebieg walki. Maszerowali spokojnym krokiem w kierunku niemieckiej linii obronnej, na razie bez zwyczajowych okrzyków i wyzwisk. Milcząco. Mieli tylko uderzyć i po wstępnej walce wycofać się. Będzie ciężko, czuli, że idą w objęcia okrutnego starcia. Ale co tam, wódz na nich patrzył, okażą męstwo. Skórzane kaftany, oszczepy, łuki i toporki, gdzieniegdzie ostrze miecza przeciwko

żelaznej masie kolczug i błyszczących tysiącami stalowych odblasków mieczy niemieckiego ludu wojennego i ich połabskich sojuszników. Na przodzie wyłącznie brodaci Sasi, rzucający im pogardliwe spojrzenia spod głęboko nasuniętych hełmów. Pewni siebie, jako że za nimi kłębiły się niezliczone rzędy ciężkozbrojnej jazdy. Na obu bokach zmieszani z Sasami słowiańscy poddani margrabiego i arcybiskupa. Wnet Polacy dojrzeliby pobratymców z Połabia: „Hej, zaprzedańcy!”, poniosło z szeregów atakujących, „Jaja wam pourywamy i baby zniewolimy!”. „Samiście baby, durnie!”, nadeszła szybka odpowiedź, „Oderwali was od roli, uzbroili w grabie i widły!”. Pierwsza linia nacierających szepiła razem tarcze w jednolitą ścianę. Kroczący za nimi rozpoczęli ostrzał z łuków, przystając krótko przy oddawaniu kolejnej salwy. Niemcy pookrywali się tarczami i przygotowanymi zawczasu drewnianymi zasłonami zbitych ze sobą belek. Tu i ówdzie pocisk dosięgał jednak skutecznie celu i wyrywał któregoś pechowca z szeregu, lecz ogólnie ostrzał nie zrobił na obrońcach większego wrażenia. Tymczasem atakujący doszli na odległość około dwudziestu metrów i zatrzymali pochód. Wszyscy jak jeden mąż rzucili w niemiecką linię oszczepami, zakrzyknęli trzykrotnie „Pobieda!”, po czym z impetem rzucili się do natarcia. Po chwili rozpętało się bitewne piekło. Tarcze huknęły z trzaskiem o siebie, w ruch poszły włócznie, miecze i topory. Linia obrony wygięła się tu i ówdzie pod naporem uderzenia, ale nie załamała szyku. Trup padał gęsto, w większości po polskiej stronie.



Niebawem atak się załamał. Na ten czas prawy bok niemieckiej piechoty rozchylił się, przepuszczając konnicę, kilkudziesięciu ciężkozbrojnych z magdeburskiego kontyngentu. „Co ten arcybiskup wyprawia?!”, obruszył się margrabia, „Nie ma szansy na szarżę, ziemia podmokła, pełna nierówności i nadziana dołkami po namiotach. Chce jazdę wygubić?”. Arcybiskup nie był tu niczemu winien, ot, poniosło grupę podwładnych rozochoconych łątwością, z jaką odparto natarcie. Prowadził ich graf Folkmar, jeden z ważniejszych wasali arcybiskupa. Nie musieli nawet rozwijać prędkości, a tym samym narażać koni na zdradliwym terenie, po kilkunastu metrach dopadli przeciwnika. Uderzenie ciężkozbrojnej jazdy rozproszyło do końca bloki Polaków na ich lewym skrzydle. Wtedy na znak Bolesława spomiędzy drzew dobiegły sygnały rogów nakazujące odwrót. Nie zważając na nic, konnica Folkmara wbiła się głęboko w masę uchodzącej polskiej piechoty i dała się ponieść z gąszczem uciekających. Siekając zapamiętałe mieczami, zagnali się nieopatrznie w pobliże lasu, gdzie wpadli pod zmasowany ostrzał łuczników poukrywanych między drzewami. Dopiero gdy kilkunastu rycerzy śmiertelnie trafionych spadło z koni, Folkmar ochłonął nieco z oparów animuszu i pokrzykując na swoich, usiłował się wycofać. Pędząc na koniu wzdłuż linii lasu, dojrzał kątem oka pomiędzy drzewami mrowie polskich wojowników niebiorących dotąd udziału w bitwie. „Na co oni czekają?”, przemknęło w skołatanej głowie grafa. Była to jego ostatnia myśl. Silnie wyrzucona włócznia trafiła go

z boku nisko pod hełmem i zakrwawione ostrze wyszło uchem po prawej stronie głowy. Folkmar spadł martwy z konia, który tocząc pianą, pognął dalej. Z lasu wybiegło dwóch ciężkozbrojnych piastowskich wojowników. Jeden zdjął trupowi hełm, odrąbał sprawnie toporem głowę i odrzucił ją wysokim łukiem w kierunku niemieckich pozycji. Drugi zajął się zdzieraniem zbroi. Na ten widok w bloku magdeburskim podniosła się lawina wzburzonych okrzyków, niektórzy, wznosząc miecze, chcieli się wyrwać w kierunku linii lasu. Dopiero ostre i zdecydowane komendy arcybiskupa i dowódców powstrzymały śmiałków. „Tam!”, wrzeszczał arcybiskup, „Tam patrzcie, na pole przed nami! Zwycięstwo!”. Faktycznie, widok przedpola niemieckich linii zaścielały stosy trupów polskich wojowników, reszta, umykając, znikła już w ścianie lasu. Duma rozparła niemieckie piersi. Tak jak pod Krosnem, zmielili Polaków.

Radość nie trwała długo. Na drugi atak Bolesław postanowił rzucić do boju resztki wojowników z poprzedniego natarcia i dwa tysiące tarczowników. Tarczownicy, lżej uzbrojeni i na zwinniejszych koniach, przybyli tu prędzej, przed jazdą ciężkozbrojną. „Wodzu”, próbował oponować wojewoda Stoigniew, „poczekajmy na resztę wojska, na wszystkich ciężkozbrojnych, i wtedy zgnieciemy ich doszczętnie”. „Nie”, uciął krótko Bolesław, „nie dam wrogom czasu na złapanie oddechu. Tarczownicy z koni, na których i tak nie umieją walczyć, i do natarcia!”. „A my?”, zapytał Gromosław, „Dwustu moich to nie lada

siła, poca się tylko pod zbrojami”. „Ty czekasz jeszcze”, rzekł mu Bolesław. Tym razem polski władca, pod wpływem obserwacji pierwszego starcia, zmienił taktykę. Teraz wiedział już, jak rozstawione są niemieckie formacje. Gdzie są siły arcybiskupa, palatyna i margrabiego. „Wszyscy lekkozbrojni z pierwszego rzutu wzmocnieni jednym tysiącem tarczowników uderzą na środek i lewy bok Niemców. Mają szarpnąć wroga i związać walką. I niech uważają, by nie ubić margrabiego Gerona, chcę go żywcem. „Ty, Stoigniewie”, Bolesław zwrócił się do wojewody, „weźmiesz swoich przybocznych rycerzy, pięciuset z ciężkozbrojnych, co już dotarli na miejsce, oraz drugi tysiąc tarczowników, i poprowadzisz ich na flankę magdeburską. Z boku lasu będą was wspierać łucznicy. U tego tchórzliwego arcybiskupa zamieszanie teraz wielkie”.

Na nowo rozbrzmiały ogłuszające rogi bojowe Polaków. Niemcy obserwowali początkowo beztrosko, jak z lasu wychodzą kolejne zastępy przeciwnika. Miny poczęły im jednak rzednąć, gdy w nadchodzących rozpoznali regularną polską piechotę. Tarczownik to nie wojownik szczepowy. Każdy okryty kaftanem ponabijanym żelaznymi płytkami i ćwiekami, w hełmie i z solidną tarczą, uzbrojony w topór bojowy i włócznię, wielu z mieczami. Wojenne rzemiosło to dla nich chleb powszedni. Miny zrzędy Niemcom jeszcze bardziej, gdy wśród polskiej falangi kroczącej w stronę magdeburskiego bloku dojrzeli błyszczące kolczugi

spieszonyj jazdy ciężkozbrojnej, nieliczne co prawda, ale jednak.

Fala polskiego natarcia nadchodziła nieubłaganie, nie zważając na zwały rodaków poległych w pierwszym starciu. Gdy już dochodzili na kilkanaście metrów, pomiędzy drzew posypały się strzały na niemieckie pozycje. Szczególnie intensywnie ostrzeliwano obie flanki, tam gdzie odległość między obroną a linią lasu była najmniejsza. Na krótko przed starciem podniosły się krzyki, wzrosło do nieopisanego zgiełku i wrzawy, gdy w końcu tarcza uderzyła o tarczę, a oręż zaczął zbierać krwawe żniwo. Powoli, lecz nieubłaganie niemiecka obrona pękała tu i ówdzie pod naporem atakujących. W kilku miejscach tarczownicy, rozprawiwszy się z pierwszym szeregiem, wdarli się całymi grupami w głąb niemieckich bloków. Nastąpiło zamieszanie, nikt już nie był pewien, czy to wróg, czy też przyjaciel stoi za nim lub po bokach. Pod naporem cofającej się piechoty stłoczone z tyłu konie oszalały ze strachu i wpadły w panikę. Wielu niemieckich rycerzy straciło głowę, próbując opanować zwierzęta, nie zważali, że tratują własnych wojowników walczących pieszo. Niezwykle zacięcie walczone na odcinku arcybiskupa. Magdeburskie oddziały, rozwścieczone haniebną śmiercią Folkmara, biły się zajadle, a mimo to ponosiły ciężkie straty. Polskie miecze i topory elitarnych piastowskich tarczowników cięły nieubłaganie przez saskie hełmy i zbroje, rozczepiając tarcze i głowy, odrabując kończyny, by po stratowanych trupach przeć dalej do przodu. Arcybiskup

wpadł w panikę. Rozglądając się za możliwością ucieczki i próbując opanować rumaka, stracił orientację i raptem poczuł ciężkie uderzenie mieczem w udo. Ostrze rozłupało kółka w nogawicy długiej po kolana kolczugi, lecz straciwszy impet, nie przecięło znajdującego się pod nią grubego skórzanego kaftana. Polski rycerz z drużyny Stoigniewa puścił miecz i prawą ręką zamachnął się wyrwanym zza pleców toporem, chcąc dokończyć dzieła. W tym momencie, gdy już broń zatoczyła połowę drogi w powietrzu, drużynnik arcybiskupa wbił Polakowi miecz w gardło. W mdlejącej z konania ręce topór stracił siłę rozpędu i kierunek i uderzył w kark konia. Zwierzę padło i pociągnęło za sobą arcybiskupa na ziemię, nie czyniąc mu jednak większej szkody. Wokół leżącego zebrali się natychmiast podwładni opętani żądzą zemsty. Najpierw Folkmar, a teraz o mało nie stracili zwierzchnika magdeburskiej metropolii kościelnej. Rozwścieczeni magdeburchy rzucili się na napierających Polaków i położyli pokotem kilkunastu napierających tarczowników i rycerzy Stoigniewa. W tym momencie z lasu dobiegło buczenie rogów nakazujące odwrót. Jak na komendę Polacy spieszenie zaprzestali walki i przedzierając się pomiędzy zwałami trupów, odstąpili od linii starcia. Nad polem bitwy zapadła cisza, nienaturalne milczenie, przerywane jękami rannych i rzeniem niespokojnych koni. Tym razem Niemcy pojęli powagę sytuacji i nikt już nie był skory do niesfornych żartów. Nikt też nie odważył się na gonitwę za wycofującymi się Polakami. Rozglądali się zdezorientowani

wokół siebie, schlapani krwią, brocząc pośród poległych i poranionych. Na opanowanie sytuacji nie było już czasu, a najgorsze dla nich miało dopiero nadejść.

Wycofujący się Polacy zatrzymali się gwałtownie w połowie drogi do lasu, odwrócili i przegrupowali sprawnie szyki. Jednocześnie z lasu poczęły się wyłaniać kolejne zastępy. Ponad trzy tysiące spieszonyj jazdy ciężkozbrojnej, najbardziej mordercze i bitne wojsko, jakim dysponował Bolesław, zahartowane w niezliczonych bojach, świetnie wyszkolone, zdyscyplinowane i uzbrojone. Weterani. Wśród nich trzystu gwardzistów polskiego władcy, jego osobista, przyboczna drużyna. Ich znakiem rozpoznawczym był biały orzeł na tarczy z mieniącymi się czerwienią piórami skrzydeł, jakby krwią spływającymi. Stąd wołano na nich potocznie Krwawe Skrzydła. Nowo przybyli wmieszali się błyskawicznie w formacje tarczowników i... całość zamarła w bezruchu na podobieństwo muru. Niemcy przyglądali im się nerwowo, szykując jednocześnie do odparcia rychłego natarcia. Na co oni czekają? Dlaczego nie atakują? Wielu z nich nie miało jeszcze do czynienia z ciężkozbrojną elitą Bolesława, ale opowieści okrutne o nich krążyły, a widok nie dodawał otuchy. Mężę silne, z sumiastymi wąsami, lecz bez bujnych bród, jak to w Saksonii moda nakazywała. Każdy w hełmie z nasalem i powiewającymi piórami zatkniętymi na spiczastym czubku. Na sięgające kolan kolczugi nałożone bezramienne zbroje z niewielkich żelaznych płytek trzymanyh w poprzek skórzanymi pasami. Drewniane

okrągłe tarcze, niedużej średnicy, jak na jazdę przystało, wzmocnione żelaznym rantem i umbem pośrodku, oklejone z przodu skórą pokrytą przeważnie czerwoną farbą. Na niektórych widniały wizerunki symbolizujące poszczególne polskie prowincje. W wolnej od tarczy ręce niedługie włócznie, przy boku miecze, na plecach zatknięte topory bojowe. W pewnej odległości za polskimi liniami z lasu wyłoniło się kilku duchownych czyniących w powietrzu znaki krzyża. „Dacie im radę”, dowódcy na niemieckiej linii dodawali swoim otuchy, „woje jak każde inne, zarąbiemy ich naszym żelazem i męstwem. Zobaczcie, ilu Polaków leży już pokotem na przedpolu”. W tym momencie przez polskie szeregi przebiegł pomruk niczym fala nadchodzącego sztormu. Z lasu wyjechał na potężnym rumaku bojowym Bolesław w otoczeniu oddziału zbrojnych dzierżących sztandary bojowe, doradców i zastępu duchownych ze znakami Kościoła. Bezpośrednio wokół księcia kilku weteranów z Krwawych Skrzydeł na parskających z niepokoju koniach czuwało nad jego bezpieczeństwem. To znaczy nad tym, by powstrzymać dochodzącego już pięćdziesiątki, choć nadal krewkiego władcę przed osobistym rzuceniem się w wir bitwy. Wszyscy Polacy poodchylali lekko głowy i spozierali w milczeniu na wodza z nieukrywaną dumą i uwielbieniem. Do księcia podjechał Srogosz i podał mu wysupłaną z opakowań włócznie świętego Maurycego. Na ten widok całe polskie wojsko rozerwało gardła prastarą piastowską pieśnią:

*Od gór po morze toczy grzmot  
potężnej nawałnicy,  
tarcza przy tarczy kroczą w bój  
polańscy wojownicy.  
Spójrzcie nam w twarze, wrogie psy,  
ostatnie wasze tchnienie,  
zabierzcie w grób słowiański śmiech  
i mieczów krwawe lśnienie\*\*...*

- Tuni - Bolesław z wyrazem nagany na twarzy spojrzał w stronę opata - ile razy powtarzałem, że nie mają śpiewać tych pogańskich pieśni? Kiedy w końcu ułożycie słowa chwające Boga i świętego Wojciecha?

- Wybacz, władco - Tuni nie krył zmieszania - pracujemy nad tym. Aaa... ale to dobra pieśń, nic w niej pogańskiego, z miłości do ciebie śpiewają, z umiłowania dla walecznej tradycji, a trzeba im otuchy.

- Mhm... Jaki dzisiaj mamy dzień? - spytał Bolesław, przekrzykując ogłuszający śpiew.

- Pierwszy września 1015 roku, władco - odparł Tuni.

Bolesław odczekał, aż przebrzmi śpiew i opadnie cisza. Dźgnął konia i wysunąwszy się do przodu, zakrzyknął donośnie, wznosząc prawicą w górę ostrze miecza:

- Zaczynać w imię świętego Wojciecha! - A trzymaną w lewej ręce włócznią świętego Maurycego, wskazał w kierunku zwartych linii obronnych przeciwnika: - Bez litości dla wrogów naszej ojczyzny!



I ruszyli. Zdecydowanie, lecz bez pośpiechu. Gdzieś ktoś począł w marszu uderzać miarowo bronią o tarczę. Wśród Krwawych Skrzydeł zakrzyknięto donośnie: „Chrobry!”. Po chwili zawołanie podjęli następni i wnet okolicą zatrzęsło potężne skandowanie: „Chro-bry! Chro-bry! Chro-bry!”. Niemcy nie pozostali dłużni, wołając na przemian: „Kaiser!”, „Magdeburg!” i „Sachsen! Sachsen!”. Nacierający zwiększyli tempo marszu i po chwili wbili się na całej linii w niemieckie szeregi. Bardzo szybko na wielu odcinkach przełamano opór obrony. Jednocześnie z obu krańców lasu, stykających do bagien, wychynęły zbite gromady łuczników ostrzeliwujących bezlitośnie odkryte boki kontyngentów Miśni i Magdeburga. Długo nie potrało i nastał chaos. Bitwa przemieniła się w drgające setkami szaleńczych starć mrowisko walczących. Gromosław wraz z przyjaciółmi na czele Lubuszan, sunący w środkowych blokach, wbił się w szeregi rycerstwa palatyna. Przebijając się z ciężkimi stratami przez przełamane linie piechoty, dochodzili powoli do skłębionej masy jeźdźców. Początkowo rycerze palatyna wykorzystali przewagę, rzucając włócznie z wysokości koni w atakujących pieszo. Ten i ów Lubuszanin padał śmiertelnie trafiony, lecz parli uporczywie naprzód. Wkrótce jednak Niemcy wyczerpali swoje włócznie i sytuacja obróciła się na ich niekorzyść, gdy Polacy roznieśli niemal całkowicie falangi piechoty i doszli na bezpośrednią odległość do koni. Rąbiąc bez opamiętania po zwierzętach, ściągali jeźdźców i dobijali ich na ziemi.

Łucznicy spod lasu dojrżeli sytuację i skoncentrowali ostrzał na tylnych szeregach przeciwnika. Burchard, widząc, że masakrują mu ludzi, zarządził zejście z koni i podjęcie walki pieszo. Randulf, Czambor i Gromosław, walczący obok siebie ramię w ramię, asekurowali się wzajem i jak do tej pory nie odnieśli żadnych ran. Gromosław wypatrywał Burcharda. Na krótko przed starciem zmówili się w gronie przyjaciół, by dorwać palatyna, i początkowo trzymali się razem, lecz w ferworze walki potracili kontakt. Bernard najwyraźniej bardziej był zainteresowany losem swojego wuja Gerona i prawdopodobnie przebijał się z grupą wojowników w kierunku miśnieńskiego skrzydła. Czambor jak do tej pory miał największe spustoszenie wokół siebie. Rąbiąc, tnąc i nakłuwając bez opamiętania mieczem, wysunął się przed wszystkich do przodu, zostawiając za sobą krwawą ścieżkę zabitych i poranionych Niemców i Połabian. W pewnym momencie dojrzał go Widred, szlachetnie urodzony rycerz z przybocznej drużyny Burcharda, i rozpychając swoich, zastawił mu w końcu drogę. Potężny z postury brodaty Saksończyk machnął z góry trzymanym oburącz mieczem i trzasnąwszy w tarczę Czambora, rozbił ją jednym uderzeniem na dwoje. „Widred!”, wrzasnął Sas w bojowej ekstazie, „Widred zwycięzca!”. Siła uderzenia i efekt zaskoczyły na krótko gdańskiego rycerza. W ułamku sekundy spojrzał poirytowany na lewą rękę, na zwisające na rzemieniach strzepy tarczy. Widred wykorzystał sytuację i zdzielił go w twarz pięścią lewej ręki. Uderzenie

zamroczyło na krótko Czambora i odrzuciło nieco do tyłu, na szczęście przed upadkiem powstrzymał go panujący ścisk. Instyktownie wyszarpnął zza pleców ciężki topór zdobyty ongiś na Duńczykach i ciął pod skosem z góry, niemal na oślep, w sylwetkę mającego przed nim wroga. Szeroki skandynawski obuch przeciął gładko spojenie zbroi Widreda na ramieniu i zagłębił się do połowy barku. Widred opadł na kolana, oparłszy w oszołomieniu miecz ostrzem o ziemię. Czambor porzucił stylisko unieruchomionego topora, odebrał Widredowi miecz i wbił mu go głęboko w gardziel. „Gdańsk! Gdańsk!”, zakrzyknął triumfalnie, wyszarpnął ostrze, kopnął konającego i przeszedłszy nad nim, rzucił się na następnego przeciwnika. Do Burcharda, walczącego niczym lew w otoczeniu drużyny, było już niedaleko. W tym momencie, rozpoznawszy okrzyk, dojrzeli go w końcu Gromosław z Randulfem i podążyli za nim. Dwóch Saksończyków rzuciło się jednocześnie na Czambora, okrutny tłok nie zezwalał jednak na swobodne użycie broni. Ścisnęli go zatem wespół z dwóch stron i szamotali się w trójkę. Randulf, biegnąc, zamachnął się mieczem, chcąc uwolnić Czambora przynajmniej od jednego z zajadłych Sasów, lecz w panującym zgiełku ktoś, nie wiadomo: wróg czy obcy, wytrącił mu klingę z ręki. Zdołał jednak wyciągnąć błyskawicznie longobardzki sztylet i wbił go w kark rycerza, który od tyłu usiłował zgnieść ramieniem Czamborową szyję. W oka mgnieniu wyszarpnął sztylet z dygającego ciała i wbił ostrze drugiemu Sasowi w odsłonięty bok aż po sam jelec. Widząc to kątem oka,

Gromosław nie zatrzymał się, tylko przedzierał dalej w kierunku Burcharda. Jednemu Sasowi odciął mieczem dłoń z toporem, drugiemu obok wbił ostrze w oko, przyklęknął i pojedynczym poprzecznym cięciem nadraubał trzeciemu nogę tuż przy kolanie. Zerwał się, skoczył do przodu i nagle... znalazł się naprzeciwko samego palatyna. Skrzyżowali miecze w oszalałym pląsie, na tyle, na ile przestrzeń wokół nich zezwalała. Burchard okazał się doświadczonym i silnym przeciwnikiem. Odparł wściekły atak Gromosława, zrobił unik i ciął z góry, celując w głowę z hełmem. Na szczęście klinga uderzyła na płask, obsunęła się po przekrzywionym hełmie i nadcięła okrutnie Gromosławowi jedynie lewe ucho. Ten opadł na oba kolana, nieco otumaniony silnym uderzeniem, nieczuły w ferworze walki na ból rozchodzący się od nadraбанego ucha. Ręce przy ziemi wyczuły drzewce włóczni lub oszczepu i zacisnęły wokół niej palce. Poderwał włócznię i pchnął ją podłużnie do przodu, trafiając palatyna w lewy bok, powyżej pasa. Grot nie przebił kolczugi, ale zatrzymał skutecznie w miejscu Burcharda szykującego się do zadania następnego ciosu. Gromosław wystrzelił z podskoku do góry i uderzył czubem swego hełmu w podbródek Burcharda. Siłą ciosu zwałił go na ziemię, ale sam też upadł. Szukając panicznie wokół jakiegokolwiek broni, próbował jednocześnie powstać. W tym momencie jeden z rycerzy palatyna zamachnął się na niego toporem. Gromosław zginąłby niechybnie, rozplątany jak połowa wołu przy uboju, gdyby na ten czas nie nadbiegli Randulf,

Czambor i lubuszański rycerz imieniem Strachomir. Strachomir z niemałym wysiłkiem sparował mieczem opadający na głowę Gromosława topór, odepchnął przeciwnika na dystans potężnym kopnięciem, po czym gładkim pchnięciem wbił mu miecz poprzez rozdartą kolczugę w sam środek piersi. Dało to czas Gromosławowi na poderwanie się z ziemi i przechwycenie topora upadającego Sasa. Ponownie rzucił się w kierunku Burcharda, który również zdążył powstać. Tym razem Gromosław był szybszy. Zdzielił go toporem i nadraubał mu na wysokości łokcia prawą rękę dzierżącą miecz. Burchard zawył z bólu i zasłonił tarczą w lewej ręce. Gromosław ponownie zamachnął się toporem i trafił go w udo. Na szczęście dla palatyna kilkunastu jego rycerzy rzuciło się naraz w jego obronie. Odparli atak Gromosława i jego ludzi i otoczyli szczelnym kordonem ciężko poranionego, praktycznie posiekanego na kawałki, ale jeszcze żywego Burcharda. Niebawem inni z drużyny palatyna odciągnęli go w kierunku bagien.

A tam rozgrywały się właśnie apokaliptyczne sceny. Na skuteczną obronę, nie mówiąc o kontruderzeniu czy ucieczce, było już za późno. Polacy byli wszędzie, niemieckie formacje taktyczne zostały kompletnie rozproszone. Teren bitwy został otoczony szczelnym kordonem stykającym do bagien. Sasi i Połabianie nie mieli teraz praktycznie żadnego wyboru, pozostawało im jedynie zginąć mężnie z bronią w ręku. Aczkolwiek niektórzy pojedynczo lub grupami próbowali przebić się w stronę

drzew lub dostać na odległy od brzegu o kilkadziesiąt metrów zbawienny pomost. Arcybiskup Gero jako pierwszy zdołał dopaść zbawiennej tratwy i załadowawszy się wraz z kilkoma rycerzami z drużyny, próbował odbić od brzegu. Na ten czas nadbiegła grupa niosąca pokrwawione ciało Burcharda. Arcybiskup - o zgrozo - nawoływał, by nie czekać i odbijać, lecz rycerze palatyna byli szybsi. Zatlukli czterech magdeburszczyków broniących dostępu i wdrapali się na tratwę, wciągając nań nieprzytomnego palatyna. Teraz już wspólnie i bez dalszych sporów odpłynęli spieszenie w kierunku pomostu i czekających tam koni. Arcybiskup i palatyn uratowali skórę.

Rzeź dobiegała końca. Z trzech tysięcy Niemców i walczących w ich szeregach Połabian niemal wszyscy padli na polu bitwy. Skromna resztką dostała się do niewoli, wśród nich młody magdeburski rycerz imieniem Ludolf wraz z kilkoma towarzyszami. Ludolf miał to szczęście, że starł się z Bernardem i został przezeń rozpoznany. Bernard uchronił go przed zarąbaniem i po bitwie przypomniał Bolesławowi, że to właśnie Ludolf wstawiał się zdecydowanie za Mieszkiem, gdy go więziono wbrew woli w Magdeburgu. Margrabiego Gerona znaleziono dogorywającego w stosie trupów i umierających. Walczył rozpaczliwie do końca, wierny przysiędze złożonej swemu cesarzowi. Lustrujący pole bitwy Bolesław dojrzał go, podszedł i przyklęknął.

- Gero - rzekł Bolesław, podtrzymując mu głowę i spoglądając w zachodzące mgłą oczy - szlachetny

margrabio, odważnie się biłeś, ale... czy warto było? Nie dawałem ci tylekroć znaków, że pode mną dostąpiłbyś należnych sobie zaszczytów?

- A dałbyś mi Łużyce w lenno?

- Dałbym. Nie jako marchię, lecz jako namiestnikowi prowincji mojego państwa.

Niespodziewanie przez wykręconą cierpieniem twarz Gerona przeleciał powiew wesołości.

- Sasaki margrabia polskim palatynem? Ty naprawdę odbierzesz jeszcze kiedyś Henrykowi cesarską koronę. A tak na poważnie, wiesz dobrze, że nie zerwałbym przysięgi danej mojemu cesarzowi. Co innego nasze niemieckie wewnętrzne utarczki, a co innego zdrada ojczyzny i władcy. Sam nie chciałbyś mieć poddanych, co jak kaczkę na stawie raz w tę, raz w tamtą stronę za pokarmem suną. Nie, Bolesławie, sprzyjałem ci, bo należę do antycesarskiej opozycji.

- Dostałbyś polską księżniczkę za żonę i ona zrobiłaby już z ciebie lojalnego poddanego - odparł z udawaną powagą Bolesław.

- Książę - Gero ostatkiem sił złapał Bolesława za rękę - Władco - podjął z wysiłkiem - musiałem walczyć, już nie tylko ze względu na przysięgę wierności wobec Henryka. Cesarz trzyma mojego syna, młodego Thietmara. Zwią go Tiemmo. Mojego jedyne go syna i następcę, nadzieję całego rodu. Moją śmiercią tutaj dowiodłem lojalności i mam nadzieję, że Tiemmo odziedziczy tytuł i dobra rodzinne.

- A on, twój syn, jakiego pokroju? - spytał Bolesław. - Będzie mi przychylny?

Lecz nie otrzymał już odpowiedzi. Spoglądnął na stojących obok duchownych zagłębionych w modlitwie. Jeden z nich na pytające spojrzenie władcy pokręcił przecząco głową. Gero wyzionął ducha. Bolesław powstał, rozejrzał się w skupieniu i po dłuższej chwili rzekł do zgromadzonych wokół możnych, duchowieństwa i rycerstwa:

- Zapisać złotą farbą dzisiejszy dzień na pergaminach. Pierwszego września 1015 roku Polska pod moim berłem zadała niemieckiej armii cesarza Henryka straszliwą klęskę w walnej bitwie w Lesie Dziadoszan. Największe zwycięstwo naszych dziejów. W walnej bitwie, nie zapomnijcie dodać! Raz tylko dokonał tego mój ojciec, pod Cedynią.

Czambor, który wraz z innymi zapędził się pod koniec walki daleko między drzewa za uciekającymi wrogami, wracał teraz powoli nad bagna. Znużony, lekko poraniony i z kołącą nadal w głowie bitewną wrzawą, rejestrował jakby przez mgłę mijane po drodze sceny. Zwyczajowe, tak jak po każdym zbrojnym starciu. Pod nadzorem zwycięzców pole bitwy przeczesywały grupki ocalałych z klęski wojowników przeciwnika. Zadanie mieli niewdzięczne, wręcz okrutne: dobijali własnych towarzyszy. Bezlitośnie. Zarówno tych ciężko, jak i lżej rannych. Chyba że ktoś potrafił wstać o własnych siłach, a do tego miał



nienaruszone ręce i żadnych głębszych ran na ciele, choć zdarzali się i tacy, którzy podczas starcia zostali jedynie

ogłuszeni i teraz gramolili się niemrawo, przychodząc do siebie - tych niewielu brano natychmiast w niewolę. Zwyczajowo przystąpiono do obdzierania ciał zabitych wrogów z uzbrojenia i grabienia wszystkiego, co przedstawiało jakąkolwiek wartość. Inaczej postępowano z własnymi, polskimi rycerzami i zwykłymi wojownikami. Dobijano jedynie przypadki beznadziejne, nie rokujące żadnych szans na wyzdrowienie.

Początkowo zamierzano trupy Niemców powrzucać do bagien, a swoich pochować w masowej mogile. Słyszając to, Bolesław oburzył się wielce i nakazał, by Niemcom również sprawiono godziwy pochówek i odprawiono mszę świętą. Wtedy wywiązała się zażarta dyskusja, niektórzy zaoponowali, że jak to, wroga z własnymi do wspólnej mogiły, inni parowali, że przed Panem Bogiem teraz oni wszyscy równi, a różnice nie z kraju pochodzenia, lecz z popełnionych za życia uczynków wynikają. Dla kompromisu wykopano dwie wielkie zbiorowe mogiły i odprawiono nad nimi wspólną mszę. Jedynie ciała Słowian połabskich walczących w szeregach Niemców, jeżeli takowe nie miały krzyżyka na szyi lub innego znaku wskazującego na chrześcijanina, planowano początkowo, po odarciu z uzbrojenia i cennych rzeczy, pozostawić na pastwę dzikich zwierząt lub pospychać w bagna. Zaraz jednak podniosły się głosy sprzeciwu. Ostatecznie ciała poległych pogan

wrzucano do wspólnej mogiły wykopanej jak najdalej od miejsca pochówku chrześcijan.

Problemy wynikły z ciałem margrabiego. Wielu, łącznie z księciem, uważało, że saskiemu wielmoży należy się uroczysty pogrzeb. Najlepiej w jakimś kościele czy klasztorze. A jeszcze lepiej w dobrach rodzinnych nieszczęsnego Gerona. Tylko jak tu tego dokonać w wojennym czasie? Nad problemem ciała margrabiego obradowano bez rezultatu od ponad dwóch godzin, gdy raptem znad bagien dobiegły sygnały i odgłosy zamieszania. Na krańcu pomostu pojawiła się niewielka bezbronna grupka Niemców z jakimś duchownym na czele. Załadowali się na tratwę i wołali o przepuszczenie ich do Bolesława. Z jakąś ważną misją. Jak się okazało, arcybiskup i palatyn dotarli do cesarza i powiadomili go o klęsce i śmierci Gerona. Henryk natychmiast wysłał biskupa Miśni, Idziego, z prośbą, by Bolesław wydał ciało margrabiego. Nie mówiąc już o tym, że Idzi u Bolesława wielkim poważaniem i szacunkiem się cieszył, więc taki obrót sprawy był wszystkim na rękę.

\* \* \*

Wojska zaległy w okolicy na spoczynek po wojennym trudzie. Grupami poprzysiadali przy licznych ogniskach, delektując się jadłem i napitkiem. Opatrywano rany, snuto opowieści, chwalono się zdobyczami.

- Aleśmy bój stoczyli. - Gromosław pociągnął kilkakrotnie z bukłaka, otarł usta ręką i odsapnął głęboko. -

Jeszcze takiej jatki nie przeżyłem. Twoi sascy pobratymcy potrafią straszliwie walczyć. – Podał bukłak wylegującemu się obok Bernardowi. – Pokazali nam to już pod Krosnem, ale tutaj... mężne woje te Sasy.

– Sasi jak to Sasi, wiadomo, ale Słowianie połabscy w ich szeregach to dopiero bestie wojny. Mało nas nie pobili – wtrącił Randulf niby poważnym tonem, ale z posmakiem zjadliwej prowokacji.

– Ten znowu zaczyna. – Czambor przykucnął obok Randulfa. – Ty, marudo – przyłożywszy mu palec do piersi, naciskał, akcentując każde słowo – miód ci nie smakuje? Powietrze za mroźne? Bitew za mało? Kobiety nieładne? Przyjaciele za nisko urodzeni? Łupów brakuje?

– Nie zaperzaj się, muszelko z małej północnej kałuży, bo ci skorupka pęknie. Od ponad miesiąca w polu jesteśmy, żadnego grodu, sioła, ba, chaty nędznej. W normalnym królestwie tabory z niewiastami za wojskiem ciągną. Kuglarze i grajki. Z jedzeniem i napitkami. Wam tylko mord i zniszczenie w łepetynach albo zakopywanie zdobytego srebra po kryjówkach, ale rycerz znamienity i muzyki na brzękadłach posłucha, i głowę do ciepłej piersi przytuli...

– Ale przedtem, jak po grodach się objaliśmy, to jęczałeś dla odmiany...

– Gromosław, który to?! – Zakuty w zbroję gwardzista Bolesława stanął przed nimi w rozkroku, rzucając wokół groźne spojrzenia.

Zamilkli.

- Czego, panienko? Grzeczniej, gdy z rycerzami rozmawiasz. - Randulf powstał.

- Zmysły ci pomieszało!?! - Oburzony Czambor dostał się do Randulfa, pchając go lekko w ramię. - Najpierw sam pomyśl, co pleciesz, zanim weterana obrazisz!

- Władca wzywa Gromosława - oznajmił gwardzista, udając, że ignoruje zaczepkę Randulfa, ale z delikatnie przymrużonych oczu skrzyło lekkim rozbawieniem. - Ma się stawić z saskim rycerzem imieniem Bernard. Za trzy pacierze.

Ledwie gwardzista oddalił się od ich ogniska, Czambor naskoczył na Randulfa:

- Wiesz, durniu, kim są Krwawe Skrzydła? Widziałeś, jak przedtem w bitwie poczynali? Co cię opadło?

- Bene, bene. - Randulf rozłożył ręce w skruszonym geście. - Poniosło mnie. Faktycznie, parli do przodu przeraźliwie... A skąd ta nazwa, Krwawe Skrzydła? - zagaił, chcąc chyba pytaniem uśmierzyć gniew gdańszczanina.

- Gdy Bolesław miał niecałe dwadzieścia lat, ojciec jego, znaczy Mieszko I - Gromosław podjął się wyjaśnienia - sam zajęty walkami na Połabiu, wysłał go na ziemie Łędzian,

tam, gdzie grody Czerwieńskie, by odparł najazd wojsk z Kijowa. Bolesław dowodził własną drużyną, ponad czterystu ciężkozbrojnych jeźdźców, wszyscy niemal w jego wieku, synowie zebrani z przednich rodów całego państwa. Dodatkowo Mieszko wysłał za nim pięć legionów jazdy z Krakowa i Sandomierza. Gdzieś na południowo-wschodnich krańcach Polski starli się z nawałą Rusów

i Waregów. Bolesław ustępował wrogom liczebnie chyba jeden do pięciu. Mimo to stanął z drużyną do boju. Walczyli wiele godzin. Wiele zaciętych, krwawych godzin. Nasi padali okrutnie, lecz nie ustępowali pola. Wrogów padało jeszcze więcej. Bolesław walczył na przedzie środka formacji. W końcu Rusy i Waregi otoczyli ich i niepomiernie na straty wrzynali się z lewa i prawa w boki Bolesławowej drużyny. Na ten czas nadciągnęła jazda z Krakowa i Sandomierza, uderzyła na zaskoczonych Rusów i Waregów i rozniosła ich z kretesem. Bolesław został uratowany. A pole bitwy, gdzie walczył na czele drużyny, wyglądało jak oszańcowane koło, z którego na lewo i prawo wychodziły szeregi poległych drużynników. Już po wszystkim dowódca jazdy krakowskiej, przyglądając się polu bitwy z niedalekiego wzgórza, orzekł, że miejsce, w którym walczył Bolesław z drużyną, przypomina, patrząc z góry, rannego orła z zakrwawionymi skrzydłami. Tak zrodziła się nazwa drużyny Bolesława, z czasem jego elitarnej gwardii weteranów – Krwawe Skrzydła.

- Gromo - przerwał mu Bernard - trzy pacierze już przeminęły, czas na nas do Chrobrego.

Zaledwie weszli do książęcego namiotu, Bolesław przeszedł od razu do rzeczy.

- Mocno poranieni? - spytał, spoglądając na owinięte zakrwawionym płótnem naderwane ucho Gromosława.

- Nie, trochę nas tylko poturbowało.

- A pozostali? Syn książęcy z Italii i ten przeogromny gdański rycerz?

- Nic im nie dolega.

- Doskonale, niebiosom dziękować. Ilu ludzi zdolnych do walki w twoim hufcu, Gromosławie?

- Ledwo sześćdziesięciu pięciu, stu sześciu padło w bitwie, piętnastu nie dożyje wieczora, czternastu potrzebuje wielu dni na podlizanie ran. Jednemu właśnie teraz odejmują nogę.

- Dostaniesz uzupełnienie. Mam dla was bardzo ważne zadanie.

I po odpoczynku, pomyśleli obaj jednocześnie, spoglądając w napięciu na Bolesława. Księżę zrelacjonował im szybko, w czym rzecz. Z Lubusza przybył ledwo żywy od popędzania konia goniec od Wodzisława, ojca Gromosława. Tamtejsi zwiadowcy wysledzili dużą aktywność kilku większych grup lutyckich wojowników na północno-zachodnich krańcach lubuszańskich lasów. Być może należeli do wycofującej się znad Odry lutyckiej armii odpędzonej przez Bolesława. W każdym razie zmierzali w południowo-zachodnim kierunku, omijając okoliczne sioła i pomniejsze grody. Zwiadowcy wdali się w potyczkę i złapali języka. Po ciężkich torturach jeńcy wyśpiewali wszystko. Dwa do trzech tysięcy Lutyków, a może i więcej, szykowało się do napaści na Kopanik. Czekali tylko na wodza.

W tym momencie słuchający księcia zaniemówili z wrażenia, gdy usłyszeli nazwisko owegoż wodza. Tak, Lutyicy czekali na Stodora, który miał nadciągnąć od południa. Zadaniem drużyny było dotrzeć pod Kopanik,

rozeznąć się w sytuacji i w razie potrzeby wspomóc załogę grodu w obronie przed napaścią Lutyków. W grodzie stacjonował polski garnizon złożony zaledwie z osiemdziesięciu tarczowników i dwudziestu ciężkozbrojnych podległych księciu Kopanika, Tęgobirowi. Sam Tęgobir dysponował dodatkowo własną siłą zbrojną złożoną z przybocznej drużyny liczącej kilkunastu rycerzy, około trzydziestu jeźdźców ciężkozbrojnych i pięćdziesięciu wyborowych stodorańskich łuczników. Wszystkiego razem około dwustu zbrojnych, a to za mało na lutycką nawałę, nawet gdy zwykła ludność grodu chwyci za siekiery, łuki i oszczepy i wzmocni garnizon. To za mało na co najmniej dwa, trzy tysiące elitarnej lutyckiej piechoty. Poza tym nie wiadomo, jakie siły przyprowadzi sam Stodor. Bolesław zaznaczył, że w miarę możliwości mają wziąć Stodora żywcem. Gromosława obarczył komendą nad całym przedsięwzięciem.

- W okolicach Bukowa nad Szprewą do twoich Lubuszan dołączy stu czterdziestu jeźdźców wysłanych przez Wodzysława. Oprócz tego dokładam stu ciężkozbrojnych z Santoka, stu z Gniezna i stu z Wrocławia. Łącznie z twoimi przyjaciółmi i ich drużynami otrzymujesz dowództwo nad ponad połową legionu. Spraw się dobrze.

- A z tym Stodorem, księżę - zapytał na odchodnym Gromosław - dlaczego mamy go oszczędzić?

- To sprawa wielkiej polityki - odparł mu Bolesław - pomiędzy władcami. A twoim zadaniem jest walczyć i wykonywać rozkazy moje i Mieszka. Tak przy okazji -

dodał jeszcze łagodniejszym tonem - czy wiecie, że Stodor uratował wam życie? Wam i waszym przyjaciółom? Patrzyli na księcia.

- No, to że nam więzy odciął - zaczął niepewnie Bernard - ale to z własnego wyrachowania...

- Ha - odparł Bolesław - przepytany Ludolf wyjawiał, że jak tylko was przechwycili, cesarz nakazał natychmiastową egzekucję. Jedynie opata miano zostawić przy życiu. Na ten czas Stodor stanął bez respektu przed Henrykiem i zagroził mu, że natychmiast całe Połabie ruszy na Magdeburg, jeżeli spadnie wam choćby włos z głowy. To tyle.

Usłyszane słowa wprawiły ich w szok. W milczeniu oddali pokłony i opuścili namiot Bolesława.

Świtaniem następnego dnia wyruszyli w drogę. Gromosław w otoczeniu przyjaciół na czele około sześciuset ciężkozbrojnych.

---

\* - słowa pieśni wojennej pochodzą od autora powieści (wszystkie przypisy pochodzą od redaktora).

\*\* - słowa pieśni wojennej pochodzą od autora powieści.



### III

## *Kopanik*

Pierwsze promienie wschodzącego dnia rozjaśniały mroczną komnatę. Matylda siedziała przed lustrem, zawiązując w warkocze długie włosy. Nuciała z zadowoleniem zwrotną piosnkę, ciesząc się z wyjazdu na polowanie. Warkocze za kołnierz lekkiego skórzanego kaftana, jeszcze tylko obuwie i niebawem w pełni odziana podeszła do kąta z uzbrojeniem. Wystarczy lekki krótki łuk, jeden kołczan ze strzałami, dwa oszczepy i sztylet w pochwie. W tym momencie zapukano do drzwi.

- To ja, księżniczko, Aelfgar.

- Gotowa! - zakrzyknęła Matylda. - Możesz wejść.

Do komnaty zawitał wysokiego wzrostu mężczyzna w wieku około czterdziestu paru lat, chudy jak szczapa, z zapadniętymi policzkami pokrytymi niedbałym zarostem. Ksiądz, a właściwie mnich Aelfgar, od 1003 roku wychowawca i nauczyciel Matyldy, od jakiegoś czasu był jej osobistym kapelanem. Pomimo przywdzianego stroju łowieckiego stan duchowny zdradzała wygolona na głowie tonsura. Aelfgar odbył długą drogę, zanim wylądował na Połabiu w Kopaniku. Anglosaskiego pochodzenia,

dzieciństwo spędził we Wschodniej Anglii, w posiadłości rodzinnej ojca, średniozamożnego anglosaskiego rycerza. W zawirowaniach wikingich najazdów na Anglię Aelfgar stracił wszystko, to znaczy całą rodzinę i - jako bezdomne dziecko - prawo do ojcowizny. Przygarnęli go mnisi z pobliskiego opactwa, w którym funkcję przeora pełnił jakiś daleki kuzyn ojca. Tam wypełnił śluby zakonne, nauczył się pisać i czytać, z czasem wyspecjalizował się w produkcji przedniego piwa. W 1002 roku, dnia trzynastego listopada, czyli w dzień św. Brycjusza, z polecenia króla Wessexu Ethelreda II zwanego Bezradnym, dokonano rzezi na setkach duńskich osadników zamieszkujących Anglię. Wśród ofiar masakry znalazła się również Gunhilda, siostra króla Danii Swena Widłobrodego, wraz z jej małżonkiem i małoletnim synkiem, którego przebito czterema włóczniami. Widłobrody wpadł w szal i zaprzysiął zemstę na Ethelredzie. W nie mniejszy szal wpadli władcy Obodrytów, książę Mściwoj i jego syn Mścisław, który praktycznie objął panowanie w imieniu mocno podstarzałego ojca. Otóż matką Swena Widłobrodego i Gunhildy była Tofa, córka Mściwoja. Nic dziwnego, że dziadek Gunhildy i jej kuzyn zaprzysięgli Ethelredowi nie mniejszą zemstę niż ta Widłobrodego. Już w 1003 roku król Danii wyruszył na czele floty w kierunku Anglii. Towarzyszyło mu kilkanaście łodzi bojowych wypełnionych obodryckimi wojownikami, wyekspediowanych przez Mścislawa. Po dotarciu do Wschodniej Anglii Widłobrody rozpoczął bezlitosny najazd.

W jego trakcie oddziały słowiańskie napadły na klasztor, w którym przebywał Aelfgar. Pomimo wyraźnego zakazu Widłobrodego, będącego pobożnym chrześcijaninem, by nie naruszać domów bożych. Ale oddziały obodryckie były mieszane, jedynie niewielu wojowników mieniło się chrześcijanami, reszta nadal tkwiła w pogańskich wierzeniach przodków. Stąd ich frywolna ignorancja dla rozkazu duńskiego króla. Na krótko przed napadem na klasztor ostrzeżeni mnisi zdążyli zbiec w pobliskie lasy. Wszyscy prócz pechowego Aelfgara, zajętego pracą w mrocznych piwnicach, do którego nie dotarły panujące u góry zgiełk i zamieszanie. Zapomniany przez umykających klasztornych współbraci. Odnaleziony przez buszujących po klasztorze Obodrytów i zaciągnięty niczym zwykły jeńiec na którąś z łodzi razem z gromadą innych brańców. Wyprawa Widłobrodego szybko dobiegła końca, przerwana ze względu na brak żywności. Nikt z Duńczyków nie zwracał uwagi na jeńców, jakich zaciągnęli ze sobą Obodryci. Tym sposobem wystraszony nie na żarty Aelfgar dotarł z obodrycką flotą do Mechlina, w tym czasie największego grodu księstwa Obodryckiego. Ledwo od kilku lat uczył się duńskiego ze względu na wielu duńskich osadników w okolicach klasztoru, to teraz na dokładkę przez całą morską podróż przysłuchiwał się całkowicie mu obcej słowiańskiej mowie. W Mechlinie jednak dopisało mu szczęście. Książę Mściśław na wieść o powrocie obodryckich łodzi nakazał swemu nadwornemu kapelanowi imieniem Awiko udanie się do portu i dopilnowanie, by

wojownicy obstający przy pogaństwie nie wpadli na pomysł sprzedaży brańców na jakichś rugijskich targach niewolników. Nie przystało to chrześcijanom, chociażby nawet byli brańcami. Awiko natychmiast rozpoznał w Aelfgarze duchownego, dogadali się po łacinie i wnet nieszczęsny anglosaski mnich znalazł się na wolności. Tyle że nie bardzo wiedział, co z tą wolnością począć. W obcym państwie, u obcych ludzi, bez znajomości tutejszego języka. Dopomógł mu zbieg okoliczności. Akurat w Mechlinie gościli na zaproszenie Mścisława księcia stodorańscy, Sławigost z Brenny, Unisław z Hobolina i Tęgobir z Kopanika. Podczas biesiady Sławigost zaproponował Aelfgarowi posadę na księżęcym grodzie w Kopaniku, przede wszystkim zajęcie się wychowaniem w duchu chrześcijańskim jego dzieci, dziesięcioletniej Matyldy i siedmioletniego Burzysława, dodatkowo pomoc nielicznym duchownym Kopanika w wypełnianiu obowiązków duszpasterskich.

Aelfgar nauczył się języka połabskiego, przybliżył Matyldzie i Burzysławowi arkana łaciny, pisania i czytania. Później zajmował się już tylko nauczaniem Matyldy, ponieważ Burzysław oddany został pod innych nauczycieli, a następnie wysłany do Gniezna. Z czasem między nim a Matyldą zawiązała się głęboka przyjaźń jak między rodzicem a dzieckiem.

- Przed polowaniem najpierw modlitwa poranna - upomniał Aelfgar Matyldę, gdy już opuszczali komnatę.

Udali się wspólnie do rodowej książęcej kapliczki wybudowanej tu jeszcze na rozkaz Mieszka, ojca obecnego władcy Polski Bolesława. Raptem niezmaconą ciszę modlitwy przerwały dochodzące z zewnątrz wrzaski i okrzyki, narastające na podobieństwo fali nadciągającej burzy. Niebawem doszło oszalałe bicie niewielkiego dzwonu na wieżycze książęcej kapliczki. Pożar! – przemknęło przez głowę Aelfgara. Dopiero gdy do ogólnego harmideru włączyły się grzmienia trąb bojowych i sygnałów ostrzegawczych, stało się jasnym, że ktoś atakuje Kopanik. Matyllda przeżegnała się szybko, zerwała z klęczek i pociągnęła Aelfgara za ramię.

- Alarm! – krzyknęła. – Wróg przed wałami grodu! – wołała, wybiegając z kapliczki, a Aelfgar za nią.

Na korytarzach książęcej rezydencji bieganina zbrojnych, rycerze drużyny Tęgobira. Sam Tęgobir w pełni obleczone zbroją wyłonił się spiesznie zza załomu korytarza, dojrzał Matyldę.

- Wdziewaj szybko uzbrojenie, dziewczyno! – krzyknął do niej. – Ani mi się waż wyłazić na wały bez kolczugi.

- Ojcie, co się dzieje?! – zapytała ze zadyszczanym oddechem.

- Lutycy oblegli Kopanik i szturmują. Całą potęgą! – Będąc już przy schodach, odwrócił się jeszcze na moment. – A ty, wielebny mnichu – lewą rękę z tarczą na ramieniu skierował w stronę Aelfgara – zważaj na nią, życiem za nią odpowiadasz, dodaję ci jeszcze dwóch moich drużynników.

- Po czym zniknął na stopniach schodów prowadzących do wyjścia.

Matylda pobiegła do swojej komnaty w baszcie. Aelfgar nieodłącznie za nią. W pomieszczeniu zastała kulącą się ze strachu dwórkę. Jedyłą, jaką posiadała, której wyłącznym zajęciem było nieustanne sprzątanie po Matyldzie, która była małą bałaganiarą.

- Uciekaj do piwnic i chroń się razem z czeladzią niezdolną do noszenia broni, kobietami i dziećmi - nakazała spieszenie dwórcę, a gdy ta już zniknęła za drzwiami, zwróciła się do Aelfgara: - Szybko, pomóż mi tylko wdziać tę kolczugę i zapnij naramiennik na prawym barku, z resztą poradzę sobie sama.

Matylda wyrosła na przepiękną, zmysłową kobietę, roztaczającą wokół siebie powab i wdzięki, niezwykle inteligentną i dzięki Aelfgarowi biegłą w pisaniu i czytaniu. To nie wszystko. Od dzieciństwa uczestniczyła w ćwiczeniach brata Burzysława, doskonalących umiejętności walki. Początkowo ojciec próbował oponować, ale dał za wygraną. Z czasem drużynnicy Tęgobira uczący ich obchodzenia się z bronią obnosili się dumnie, że ich księżniczka z powodzeniem stawia czoła niejednemu wojownikowi. Gdy skończyła siedemnaście lat, osiągnąwszy wzrost i pełnię kształtów, zażyczyła od ojca, że chce posiadać własne uzbrojenie. Tęgobir nawet nie próbował sprzeciwić się córce, gdyż zbyt dobrze znał jej upór. Wysupłał okazały trzos srebra i wysłał umyślonych do Kolonii nad Renem. Tamtejsi zbrojmistrze najsłynniejsi. Matylda otrzymała

kompletne uzbrojenie wojownika: kolczugę z wycięciem na pól uda, prawy naramiennik, hełm z ozdobami i nosalem, jakie teraz już wszędzie w modzie, zgrabny miecz z pochwą i sztylet, blachę na przodzie kolczugi z wygrawerowanym nań obrysem białej czapli, godła Kopanika. Tarczę i łuki ze strzałami dostała od zbrojmistrzów ojca, nikt na całym świecie nie wyrabiał lepszych łuków niż miejscowi Połabianie. Włóczni nie używała, jedynie oszczepów na polowaniach.

Gdy w końcu uzbrojeni Matylda i Aelfgar oraz dwóch towarzyszących im drużynników ojca pojawili się na wałach, bój o Kopanik wrzał w najlepsze. Główny szturm napastników skierowany był na wały największej z wysp, jedynej połączonej z lądem stałym trzema długimi na dwadzieścia metrów pomostami. Wojownicy Lutyków parli nie tylko po pomostach. Cała przestrzeń wokół pomostów usiana była licznymi łodziami przerzucającymi wojska i sprzęt z lądu na obrzeża wyspy pod wałem. Największy bój toczył się w okolicach bramy wjazdowej. Tam, w tłumie walczących na wale, Matylda dojrzała ojca, Tęgobira. Stary książę, sprawiający od miesięcy wrażenie popadania w postępującą niemoc fizyczną, jakby odzyskał na nowo siły i wigor. Bez tarczy, zapewne uprzednio rozplątanej uderzeniami wrogów, wywijał zamazyście mieczem, uderzając z góry na napierających lutyckich wojowników. Matylda chciała już biec w stronę ojca, do przebycia miała sporą odległość: z posiadłości książęcej bramą w wysokim wale, następnie przez całą przestrzeń średniej wyspy,

kolejną bramą w następnym wale, prowadzącą na wyspę największą, o którą toczyła się walka. Nie zdążyła nawet zejść na dziedziniec, gdy z blanków baszty dobiegły ostrzegawcze okrzyki:

- Tu też przystępują do ataku! - wołał rycerz kierujący obroną na dziesięciometrowej wysokości wale otaczającym księżęcą siedzibę. - Z kilku stron podpływają łodziami, szybko, łuczników tutaj!

Na te słowa Matylda zawróciła z obranej drogi, rzuciwszy rozkazująco przydzielonym jej przez ojca drużynnikom:

- Biegnijcie do księcia, tam się liczy każdy miecz!

Jeszcze w biegu do palisady wieńczącej koronę wału wyciągała strzałę z kołczana, nałożyła na cięciwę, spojrzała z wysokości dziesięciu metrów na głębokie nurty Dębowej, obmywające wyspę z grodem z trzech stron. Kilkanaście łodzi najeżonych lutyckimi łucznikami dotarło do wąskiej piaszczystej łachy okalającej podstawę grodowego wału. Strzelali do góry w ich kierunku. Niedobrze, pomyślała Matylda. Na wale zaledwie kilkunastu kopanickich łuczników. Lutyków zbierało się coraz więcej, następne łodzie dobijały już stałego lądu. Matylda strzeliła. Trafiając śmiertelnie, zwała do wody jednego przeciwnika. Błyskawicznie wysłała następną strzałę, zabijając kolejnego Lutyka. W tym momencie zaświstało jej koło lewego ucha. Po chwili Aelfgar, który już przedtem odrzucił łuk, zasłonił ją tarczą, kolejna strzała utkwiała w obciążonym skórą drewnie. Niedobrze i niebezpiecznie, skorygowała



poprzednią myśl. Jak tak dalej pójdzie, to nas tu po kolei wystrzelają!

- Przynieś tu szybko kilka pełnych kołczanów - zwróciła się do Aelfgara.

- Nie opuszczę cię - zaproponował mnich. - Przed chwilą sama widziałas, że...

- Przytaskaj tu więcej strzał! - przerwała mu rozkazująco.

- Nie! - sprzeciwił się Aelfgar. - Za twe życie odpowiadam, przed księciem... Dziewczyno, ty szalona...

W tym momencie na palisadę poczęli licznie wbiegać kolejni grodowi łucznicy. Nie z grodowego garnizonu, ale męże z podgrodzi. Wielu: dwudziestu, trzydziestu. Jednocześnie z wysokości Matylda dojrzała, że na wałach pierwszej wyspy walka przybiera dramatyczny obrót. Coraz więcej lutyckich wojowników przedzierało się przez koronę palisady. Szybko zdecydowała:

- Tu na razie ludzi wystarczy, biegniemy wspomóc ojca!  
- I pociągnęła za sobą dezorientowanego Aelfgara.

Gdy dobiegali, w kilku miejscach wałów poczęły się unosić smugi dymu. Lutyce powybierali ziemię z wałów, zapchali chaszczami i podpaliłi. Drewniane skrzynie konstrukcji wewnętrzwałowej załapały już ogień. Niebawem wały w tych miejscach całkiem się zapadną. Matylda pędziła wzdłuż grani palisady w stronę ojca. Tęgobir odciął właśnie jednym ciosem miecza rękę lutyckiego wojownika obejmujące drewniane pale. Odwrócił się plecami do palisady, by stawić czoła kolejnemu

Lutykowi, któremu udało się wtargnąć na górę. Zamachnął do góry mieczem. W tej samej chwili poślana z dołu strzała trafiła go w spojenie barku z szyją, znajdując wolne miejsce między klamrami kaftana. Stary książę obsunął się gwałtownie na kolana. Drużynnicy rozprawili się z kilkoma kłębiącymi się wokół napastnikami, pochwycili omdlałego księcia i ponieśli z dala od bitewnego zamieszania. Matylda dopadła do ojca, przytuliła się doń, spojrzała błagalnie w jego twarz, na powleczone mgłą oczy.

- Książę żyw jeszcze, ale strzała pewnie zatruta, zbyt szybko traci jaźń - wtrącił jeden z drużynników. - Musimy go niezwłocznie zanieść do komnat, medyka przywołać!

- A co z wyspą, z obroną? - zapytała, powstając.

- Sama widzisz. Wdzierają się na całego. Wały stają już płomieniami, pod bramą to niebawem po stosie własnych trupów się wdrapią.

Matylda rozejrzała się szybko, uważnie, z napięciem na twarzy.

- Oddajemy zaraz wyspę! - zakrzyknęła donośnie. - Wszyscy zbierać, co się da, i na średnią wyspę, tam odeprzemy kolejne szturmy!

Rozległy się wokół zdumienia i szemrania. Matylda ucięła wszelkie dyskusje:

- Prawem dynastii i z przyrodzenia ja tu teraz dowodzę!  
- Spojrzała wyczekująco na stojącego naprzeciwko Drąbala, dowódcę książęcej drużyny, mroząc go wzrokiem.

Minęły ze trzy, cztery sekundy, zanim Drąbal zareagował:

- Słyszeliście wszyscy! Matylda przejmuje komendę! - zawołał donośnie do zebranych. - Co każesz zrobić, księżniczko?

- Jak mówiłam, bronimy teraz średniej wyspy, wszyscy zbrojni na wały! Kasztel książęcy na małej wyspie też pod atakiem Lutyków, ale tam wały wysokie i na blankach sporo naszych łuczników. Kontakt z nimi utrzymywać. Czy zdążyliście wysłać gońców przed atakiem? - spytała Drąbala.

- Tak, kilkunastu na łodziach rzeką Dębową na zachodni brzeg. Rozsypią się po osadach i ściągną na pomoc wojowników, pytanie tylko, kiedy i ilu. A zresztą już przed paroma dniami książę wysyłał wici po całym księstwie, ostrzeżony meldunkami z Lubusza.

- Aelfgar - Matylda zwróciła się teraz do mnicha - przynieś ze zbrojowni sztandar Kopanika, będziesz go dzierzył, stojąc obok mnie w trakcie boju. Tak, tak - dodała, widząc wyraz protestu na jego twarzy - a w drugiej ręce będziesz trzymał tarczę, chroniąc mnie.

Doszli już na wały średniej wyspy. Akurat wał największej wyspy, której obronę porzucili, zapadł się w kilku miejscach. Wysokie płomienie, trawiąc drewniany szkielet wewnętrznej konstrukcji, strzeliły wysoko pod niebo. Brama rozpadła się z hukiem, na podgrodzie poczęły się wlewać masy lutyckiego wojska.

Raptem znad ściany lasów na południu wystrzeliły w niebo duże płonące strzały, jedna za drugą, siedem, zataczając wysoki łuk nad Kopanikiem w północnym

kierunku. Jakby na znak tego spomiędzy drzew linii lasu na wschodzie na przedpoła wychodziły zbrojne zastępy. Mrowie. Zwykły lud wojenny z okolicznych osad. Nasi! Szprewianie! - wyrwało się radośnie z piersi obrońców. Nagle dobiegły ich okrzyki z wysokości wałów książęcego grodu:

- Z lasów na południu, tam, skąd nadleciały płonące strzały, wyłania się jazda w pełnym galopie! Ciężkozbrojni nacierają na Lutyków! Polacy!

\* \* \*

Do południa przebyli szmat drogi, zostawili za sobą kraj Dziadoszan i skierowali konie w kierunku Gubina. W okolicy Sławina skręcili na zachód. Podążając szlakiem łączącym Łużyce z grodami ziemi lubuskiej, dotarli po dwóch dniach do Przyboru i zagłębili się w lasy Szprewy. Puszcze wokół tak samo gęste i dziewicze jak na całym Połabiu, tyle że porośłe na terenie usianym licznymi jeziorami i rzeczkami, dopływami i odnogami Szprewy i Dębowej. Stąd też Łużyczanie nazywają ten kraj Błotami, a woda ustala tutaj rytm życia mieszkańców. Każde napotkane opole, sioło czy nawet pojedyncze zagrody posiadają małe przystanie rzeczne i łodzie, którymi odbywa się wszelki transport i komunikacja. Szlaków lądowych prawie nie uświadczysz, a te nieliczne znane są jedynie miejscowym. Tak jak zapowiedział Bolesław, niedaleko Przyboru dołączyło do nich uzupełnienie jazdy lubuszańskiej. Gromosław uradował się widokiem rodaków

i najnowszyimi wieściami z Lubusza. Czwartego dnia zmudnego przedzierania się lasami Błot dotarli do gródka Goliszyn wzniesionego nad brzegiem Dębowej, lewego dopływu Szprewy. Nazwę rzecze nadali osiadli tu Szprewianie, ponieważ na wielu odcinkach jej wody płyną przez dębowe lasy. Sasi, według Bernarda, zwał ją Dahme, a Połabianie z Milska - Dubja. Dębowa płynie równolegle do Szprewy i łączy się z nią na wysokości Kopanika. A mówiąc dokładniej, obmywa trzy połączone ze sobą skrawkami lądu wyspy, na których rozłożone są gród i dwa podgrodzia Kopanika, po czym wpada od południa do Szprewy płynącej dalej na zachód, gdzie pod Spędowem łączy się z Hobolą. Kompleks grodowy Kopanika oblegały zatem z wszystkich stron wody rzek. Patrząc od południa, wyglądało to tak: na pierwszej i najmniejszej z wysp wznosił się gród książęcy złożony z obszernego murowanego kasztelu, niewielkiego drewnianego kościołka na kamiennych podstawach i kilku drewnianych zabudowań dla rycerstwa i gości. Wyspę otaczał wysoki na prawie dziesięć metrów wał ziemny z okalającą go na koronie palisadą z zadaszaniem, chroniącą stanowiska obronne. Na drugiej, średniej co do wielkości wyspie rozlokowano obszerne podgrodzie zamieszkałe przede wszystkim przez drużynę książęcą i wojowników garnizonowych oraz ich rodziny, a także co znacniejszych przedstawicieli grodowej społeczności. Wyspę chronił wał wysoki na pięć metrów. Na trzeciej i największej z wysp rozłożyło się drugie podgrodzie z mieszkańcami, służbą, warsztatami i straganami. Również

i ta wyspa otoczona była wałem, tyle że najmniejszym, trzymetrowym. Ta trzecia wyspa leżała już praktycznie w nurtach połączenia Dębowej ze Szprewą. Jedyne do lądu zapewniały Kopanikowi pomosty łączące prawy brzeg Dębowej z największą wyspą - trzy szerokie i niedługie, jako że odległość od lądu do wyspy wynosiła w tym miejscu niecałe dwadzieścia metrów. Tam zmierzał Gromosław na czele jazdy. Ważnym było dotarcie do pomostów i podjęcie dalszych działań w zależności od tego, czy wojownicy Rozwścieczonego Swaróżyca, zwący się ongiś Wioletami, a teraz Lutykami, rozpoczęli już atak, czy też dopiero gromadzą się w okolicach Kopanika. Najkrótsza doń droga prowadziła wzdłuż prawego brzegu Dębowej. Najkrótsza i najłatwiejsza, jako że szlak wił się równolegle do rzeki, pośród niezbyt gęsto zbitych lasów dębowych.

Od opuszczenia Goliszyńca minęło kilka godzin. Chylące się ku widnokręgowi słońce i szybkie tempo jazdy ostatnich dni, a także narastające w kolumnie wojsk coraz głośniejsze narzekania skłoniły Gromosława do zatrzymania pochodu. Do zmierzchu ze dwie godziny, okolica zdatna na obozowisko, niech przenocują, by rankiem wyruszyć z większą werwą i lepszymi humorami. Nakazał, by rozłożyli się bardziej w głębi lasu, nieco z dala od rzeki, tak by ukryć na ile się da płomienie ognisk przed nieproszonymi gośćmi. Ostrożności nigdy za wiele, na wypadek gdyby w pobliżu grasowały lutyckie oddziały. Jednocześnie wysłał na zwiad kilka podjazdów. Właśnie zasiadali przy wesoło trzaskających płomieniach świeżo

rozpalonego ogniska, a Czambor rozpoczął narzekania, że znowu stare mięso przyjdzie im piec, od kilku dni w kulbakach wleczone, gdy do obozu przygalopowało trzech jeźdźców któregoś z podjazdów, w tym dwóch razem na jednym koniu.

- Co wy tacy zziajani i przerażeni, gołego żerca zobaczyliście?

- Nie, ale... - zwiadowca spozierał niepewnie, przenosząc nerwowo wzrok między Gromosławem i otaczającą go grupą - tam w przodzie, na szlaku, eee... - ociągał się, jakby zażenowany - ...napotkaliśmy dziwoląga - wykrztusił wreszcie. Gromosław obserwował go, oczekując dalszych wyjaśnień. Rozłożył przed sobą otwarte na zewnątrz dłonie w geście niemego pytania.

- Dziwoląga? - wtrącił się Czambor. - I? Co dalej?

- No i rzekł, że nie przepuści nikogo. Drogę grubym pniakiem zawałił.

- Was trzech uzbrojonych odesłał z powrotem, bo mu się tak zachciało? - Gromosław uniósł głos, starając się, by zabrzmiał gniewnie. - Wilczych jagód nażarliście się po drodze czy żarty sobie czynicie z dowódcy?

- Ani jedno, ani drugie, Gromo. Nawet nam nie dał zsiąść z koni. Strzałami nas zatrzymał, jak tylko za broń chwycić chcieliśmy. Po nieludzku nas zatrzymał, w mgnieniu oka. I groził, że strzela jedynie dla postrachu, ale jak nie odejdziemy, to nas pozabija.

- A gdzie trzeci koń?

Zwiadowcy popatrzyli na siebie w milczeniu, jakby w myślach coś uradzali.

- To ja zacznę od jelenia - wykrztusił w koniec jeden. - Na szlaku napotkaliśmy kroczącego z naprzeciwka człowieka w wojennym kaftanie i po zęby uzbrojonego. Nie od Lutyków, ale jakiś miejscowy. Ciągnął za sobą płożę z narzuconym nań świeżo upolowanym jelenkiem. Ot, niewielka młodziutka dziczyzna, ale smakowicie wyglądająca. A że nam od paru dni w brzuchach za świeżym mięsem burczy, więc Krastoch zażądał wydania nam zdobyczy. I wtedy, nim żeśmy się obejrzeli, poleciała pierwsza strzała, trafiając w dupsko konia Krastocha. Koń zarżał, stanął dęba, Krastoch spadł na ziemię, a koń pognał jak opętany i zniknął między drzewami. Chcieliśmy się we dwójkę rzucić na zbója, ale jak już mówiłem, zatrzymał nas strzałami. Jedna strzała przeleciała mi na wylot przez nogawicę, a druga, o, tkwi tutaj, w tarczy.

- A ja mam strzałę w tarczy i w drzewcu włóczni - dodał drugi.

- W dwa oddechy wypuścił pięć strzał. Jako ostrzeżenie.

Zapadło milczenie. Wszyscy w skupieniu obserwowali pechową trójkę. Bernard podszedł do nich, wyszarpnął z wysiłkiem strzałę tkwiącą w grubej wiklinowej pleciance osłony tarczy i przyjrzał jej się z uwagą.

- Połabska - stwierdził. - Ale nie od Lutyków. - Przybliżył grot do oczu i nosa. - Nie zatruta.

- Powiadacie, że zanim po broń sięgnęliście, hm... W dwa oddechy. Szybki i skuteczny. Nawet was nie zranił,



ale pokazał, na co go stać. - Czambor oglądał podaną mu przez Bernarda strzałę.

- Sam był, tak? - zapytał Gromosław. - Rzekł coś konkretnego?

- Że do Polaków chętnie by się przyłączył, ale pogadać musi z samym księciem. Znaczy z naszym Bolesławem. A do tego czasu nie przepuści nikogo. I jak odjeżdżaliśmy, to zawałił drogę drzewem.

- Na koń! - rozkazał Gromosław skupionym wokół przyjaciółom. - Jedziemy *dziwoląga* do naszej armii przyjmować. Szybciej, zanim się ściemni. - Wy nie - rzekł do Bernarda i Randulfa - bo jeszcze go wystraszycie. Słyszeliście, że chce do Polaków.

- Rozkazuj swoim podwładnym. - Randulf już przypasywał miecz do boku. - Chodź, Benno, nie damy sobą pomiatać.

- Tak, tak, chodź, Benno - Czambor, wsiadając na konia, przedrzeźniał głos Randulfa - on to miejscowy Słowianin, na pewno uraduje się niezmiernie na widok bujnej saskiej brody.

- Spójrz na swoje wąsiska zwisające jak smutne snopy zboża - odciął się Bernard Czamborowi, szykując się do drogi.

Pocwałowali w piątkę w kierunku wskazanym przez zwiadowców. Gromosław, Bernard, Randulf, Czambor i Palibor, najlepszy łucznik lubuszańskiej jazdy. Po niecałym kilometrze dotarli do miejsca opisanego przez kompanów. W poprzek drogi leżało ścięte drzewo. Wystające z pnia ku

górze gęste gałęzie uniemożliwiały przeskok koniem. Za przeszkodą, w odległości około trzydziestu metrów, siedział na ziemi ów tajemniczy nieznajomy. Na ich widok powstał, opierając lewą rękę na długim łuku, w prawej trzymając przygotowaną strzałę. Jeden kołczan z wystającymi bełtami zwiślał mu przy prawym kolanie, drugi, przymocowany na plecach, również był wypełniony strzałami.

- My Polacy, od Bolesława! - krzyknął donośnie Gromosław. - Nie strzelaj, pogadać chcemy! - Podjechali do przeszkody, zsiadli z koni i podążyli pieszo w kierunku nieznajomego. Palibor pozostał przy koniach z zadaniem osłaniania ich. Gdy się zbliżyli na kilka kroków, *dziwoląg* przysiadł na pieńku i odłożył łuk.

- Na Polaków wygląda tylko dwóch.

- Ci dwaj inni to moi przyjaciele i sojusznicy Bolesława, Benno i Randulf. Bez obaw. Na imię mam Gromosław, Czambor pochodzi z Gdańska. Jestem dowódcą oddziału polskiej jazdy ciężkozbrojnej. Teraz kolej na ciebie. I dlaczego strzelasz do moich wojowników?

- A ten przy koniach?

- Najlepszy łucznik w Lubuszu.

- Strzelałem dla postrachu i w obronie upolowanej zdobyczy.

- Jak ci na imię?

- Jeżeli mnie przyjmiecie, to możecie wołać na mnie „Człeku”.

Raptem wszyscy czterej spojrzeli z jeszcze większym zaciekawieniem i zdumieniem na nieznajomego.

- „Człeku”?

- Gdy przewodziłem południowemu odłamowi Wkrzańców, byłem „Wodzem”. Po przegranej bitwie z Lutykami i wcieleniu wraz z moimi oddziałami do ich armii zostałem „Dowódcą”. W ich szeregach poszedłem na Sasów, z którymi stoczyliśmy przegraną bitwę nad Hobolą. Dostałem się do niewoli i przesiedlono mnie do niewielkiego grodu na granicy lasów Szprewy, zajętego przez Sasów po jakimś miejscowym szczepie. Tam wołano na mnie „Wietnik”, a przy okazji Sascy żercy, znaczy ich kapłani w sutannach, podtopili mnie w jeziorze i oblewając wodą, nazwali „Heinrich”. Po jakimś czasie Lutykom ponownie odbiło, zaatakowali nas, roznieśli saski garnizon i mianowali mnie „Starczym” nad grodem. Niedługo po tym nadeszła liczna armia polska, przegnała Lutyków i ustanowiła mnie „Komesem” na tym samym grodzie, przydając dla pewności trzydziestu tarczowników. Nakazali też budowę drewnianego kościółka pod baczynym okiem dwóch bardzo zaangażowanych mnichów. Długo sobie nie pokomesowałem, ponieważ Lutycy zawarli sojusz z Sasami przeciwko Polakom. Wtedy w okolicy pojawił się Stodor – prawdziwy stodorański książę, tyle że na usługach Lutyków, na pewno o nim słyszeliście. Rozniósł nas jednym szturmem, zmasakrował połabską i polską załogę, spalił kościółek, przegnał mnichów, na szczęście ich nie uśmiercił, poczciwi byli i miłosierni, a mnie nazwawszy „Psubratem”, wrzucił do głębokiej jamy, do której srali, sikali i rzygali jego wojownicy. Pewnego razu uwolniłem się i uciekłem,

pominę już jak. Od tej pory wołają mnie już tylko „Człeku”, nieraz „Ty, wojownik”. Grasuję po lasach niczym samotny wilk, a samotność sprzyja myślom. Całe moje połabskie życie przyglądam się, jak ojczyzna idzie w zatracenie, skłócone plemiona rodaków wyrzynają się nawzajem i zdążają nieuchronnie pod obce jarzmo. Nic już nas nie uratuje. Wolność Połabia jest tylko marzeniem i nie oprze się potędze Sasów i Polaków. I jak tu marzyć i jednocześnie godnie żyć? Doszedłem do wniosku, że tylko Bolesław pobije wszystkich i wcieli ten kraj do Polski. Dlatego chcę się do was przyłączyć.

Po tym długim wywodzie zapadła cisza. Wszyscy obracali w myślach zasłyszaną historię.

- Przyjmujemy cię, będziesz odtąd nieodłącznie przy moim boku - odezwał się w końcu Gromosław. - Możesz już zacząć się do nas przyzwyczajać. I wyjaw nam w końcu swoje prawdziwe imię, jak cię zwali w twoim szczepie i gdy byłeś wodzem u Wkrzanów.

- Do siedmiu lat Maciosz, a po postrzyżynach Wojomir.

- No to witaj, Wojomirze, w gronie moich przyjaciół. Starszy jesteś nieco od naszej czwórki, ale lepiej się nie wymądrzaj - zakończył przyjaźnie Gromosław.

Czambor powstał i klepnął Wojomira po plecach.

- To jak, do obozu i nadziewamy twojego jelonka na rożen? Randulf jest specjalistą od przypraw.

\* \* \*

Rankiem następnego dnia zwinęli obóz i ruszyli w dalszą drogę. Gromosław zwiększył liczbę wysyłanych we wszystkie strony patroli, gdyż w każdej chwili należało się liczyć z lutyckimi oddziałami. „Albo z następnymi Wojomirami”, wtrącił kąśliwie Randulf. Gdy znajdowali się już niecałe trzy stajania od Kopanika, patrol napotkał grupę czternastu połabskich wojowników. Szprewianie. Podążali konno na odsiecz grodowi. Przed paroma godzinami pod Kopanik podeszła sporej wielkości armia lutycka. Tęgobir postawił w stan gotowości zbrojnej całe księstwo, śląc we wszystkie strony wici. Stąd ze wszelakich zakamarków księstwa, pomniejszych gródków, opoli i siół sunęły w kierunku Kopanika mniejsze lub większe gromady wojowników. W większości lekkozbrojni na koniach, tak jak napotkana grupa.

- Dla nas to nie pierwszyczna - wyjaśniał przewodzący grupie starszy wojownik. - Czynimy tak już od urodzenia, jak nasi przodkowie. Gród wzywa, my zdążamy na pomoc.

- Ilu was się zbierze?

- Do tego czasu ze dwie, trzy setki.

- Macie jakiś plan? Kto będzie wami dowodził?

- Zgrupujemy się w lasach na wschód od pomostów, a reszta w zależności od zastałej sytuacji. A dowodzić będzie zapewne Stachłost, naczelnik z Kobłowa, jak za ostatnim razem, gdy pod gród podeszli sascy rozbójnicy. Stachłost służył za młodu w polskiej jeździe i jest zaprawiony w wojennym rzemiośle.

- Wszyscy tak jak wy lekkozbrojni? - nagabywał dalej Gromosław.

- Będzie i paru ciężkozbrojnych, zależy, gdzie już człowiek walczył i co na wrogach pozdobywał. Ale my do boju schodzimy z koni, walczymy głównie łukami, a w zwarcu oszczepami i toporkami.

- To się wszystko dobrze składa. Ruszajcie natychmiast na miejsce zborne, ale wprzód posłuchaj uważnie, co przekażesz Stachłostowi. - I Gromosław wyjawiał plan działania.

Gdy dotarli wreszcie pod Kopanik, bitwa wrzała już w najlepsze. Jazda Gromosława zatrzymała się na brzegu lasu stykającego od południa do Kopanika, na lewym brzegu Dębowej. Ukryci w cieniu drzew, mieli doskonały widok na panoramę roztaczającego się przed nimi dramatu. Z przodu, na rozległej otwartej przestrzeni wypełnionej łąkami i polami uprawnymi sięgającymi aż po brzegi płynącej na północy Szprewy, ponad tysiąc rozsypanej w luźne gromady piechoty lutyckiej oczekiwało przed pomostami na wejście do walki. Na trzech szerokich pomostach prowadzących z lądu na największą z wysp kilkudziesięciu lutyckich wojowników ostrzeliwało z łuków obrońców na palisadzie wału i kamiennej baszcie strzegącej bramy wejściowej. Główny bój toczył się o wał i bramę. Co najmniej tysiąc lutyckich wojowników wspinało się po przystawionych do wału drabinach, walczyło na palisadzie okalającej wał, kłębiło pod bramą lub odciągało ciała poległych i rannych, by zająć ich miejsce. Ale to nie

wszystko, gdyż najazd odbywał się na dwóch frontach. W tym samym czasie co bój o największą wyspę trwał szturm na najmniejszą z wysp, mieszczącą książęcą siedzibę. Z otaczających ją z trzech stron kilkunastu tratw szła nieustannie, salwa za salwą, chmara strzał trzebiąca skupionych na wysokiej palisadzie obrońców. Z niektórych tratw przycumowanych do wąskiej łąchy piachu okalającej wał wysiadała piechota z drabinami szturmowymi i linami. Sytuacja dochodziła do krytycznego momentu. Lada chwila padnie obrona największej wyspy. Wtedy cała masa lutyckiego wojska wleje się do podgrodzia, wybije garnizon i przystąpi do szturm na wały środkowej wyspy, która zbyt długo nie podoła nawale. Za nimi pociągnie pozostały tyśiąc, skupiony na stałym lądzie. Prędzej czy później końcowa bitwa rozegra się o wyspę książęcą i Kopanik przejdzie pod panowanie Stodora, bo on to niewątpliwie dowodził napaścią.

Gromosław wydał rozkazy: umówionym uprzednio sygnałem natychmiast posłać w niebo siedem płonących strzał. Na ten znak skupione w lasach na wschód od pomostów i łąk oddziały szprewańskie ruszą do natarcia i uderzą na tyły zgrupowania Lutyków zgromadzonych na otwartej przestrzeni przed pomostami.

- Gdy już się zewrą w boju, u wroga nastąpi na krótko zamieszanie. Z prawej Szprewianie Stachłosta, z lewej pomosty, z tyłu za nimi wartka i głęboka Szprewa - uzupełniał Gromosław - a wtedy my wychyniemy z lasu i natrzemy z przodu od południa całą jazdą w ich luźne

szeregi stojące do nas bokiem, nieosłonięte tarczami. Do przebycia mamy ze sto metrów, nie zdążą szczepić bloków w naszą stronę, obłożyć się tarczami i wystawić oszczepów. Na nasze szczęście nie spodziewają się odsieczki dla Kopanika i nie ustawili szyków zbitej falangi. Rozgnieciemy ich jak robale. I masakrować, rycerze, masakrować bez opamiętania! Jest nas mniej, ale zanim się otrząsną, usieczemy, ilu się da, i wpadną w panikę. Gdy już ich zwiążemy walką, Stachłost ma odstąpić, obejść pole walki od południa za naszymi plecami, wtargnąć na pomosty i opanować je. Wtedy wspólnie ze Szprewianami wpadniemy pod wały i wybijemy tych, co teraz tam szturmuje.

W górę ponad korony drzew poszło siedem płonących strzał. Jeszcze zanim doszły zenitu i poczęły opadać, z lasów od wschodniej strony podniosła się ogłuszająca wrzawa i buczenia rogów bojowych. Szprewianie ruszyli do natarcia, pieszo, tak jak to w wieleckim zwyczaju bywało. Szeregi Lutyków, dezorientowane niespodziewanym atakiem, poczęły się chwiać we wszystkie strony niczym łany zboża na wietrze.

- Czekać!!! - zakrzyknął potężnie Gromosław, widząc, że niektóre szeregi jazdy już występowały z lasu. - Jeszcze chwila, niech się najpierw zetrą! - Odwrócił się do Wojomira. - Ty pędź szybko do Palibora, niech weźmie trzydziestu łuczników. Wspólnie podążcie nad brzeg i wybijcie tych na tratwach. Cel macie łatwy, na pięćdziesiąt metrów wystrzelacie ich jak kaczki, a przynajmniej



przetrzebicie na tyle, że przerwą szturm na książęcą warownię, a...

- Gromo - przerwał mu gwałtownie Bernard, wskazując włóczęgą naprzeciwko - pierwsza wyspa padła!

Wielka brama rozleciała się w drzazgi pod uderzeniami lutyckich toporów, a może wyparł ją taran - z tej odległości spod lasu nie można było dokładnie rozeznaczyć. Wał stał w kilku miejscach w płomieniach sięgających językami palisady. Widocznie szturmujący wybrali ziemię u podstaw i podpalili drewniane konstrukcje wewnętrzne. Lutycki przerwali umocnienia obrony i wlewali się niczym wzburzona lawa do podgrodzia. Okrzyki grozy i szczęk oręża wzbijały się pod niebiosami. Resztki obrońców zdążyły czym prędzej w kierunku średniej wyspy, by dołączyć do stojących tam na wałach towarzyszy. Widząc to, Gromosław zmienił natychmiast dyspozycje. Pierwsze szeregi jazdy mają się wbić w linie wroga, wybić, ilu się da, i związać ewentualną walką tych, co się opamiętają i stawiają opór. Natomiast dwie tylne linie jazdy wykonają w trakcie natarcia manewr na lewą stronę i podążą na odcinek przed pomostami, do tego czasu oczyszczony z lutyckiej piechoty szarżą głównego uderzenia. Mają opanować pomosty. Wtedy pozostali, w zależności od sytuacji na polu bitwy, odstąpią od zwarcia, podążą na pomosty i pieszo mają się przedostać na wyspę. Konie zostawiać przed pomostami, niech zwiększą chaos i zamieszanie na przedpolu. Niestety powiadomienie Szprewian o zmianie taktycznej nie było już możliwe. Akurat w tym momencie dopadli od wschodu

pierwszych szeregów wroga. Gromosław dał znak i ruszyli do szarży. Sześciuset ciężkozbrojnych wychynęło z lasu. Po kilkunastu metrach galopu przeszli w szybki cwał, pochyleni w siodłach, z włóczynami wzniesionymi nad głowami. Przeciwnik nie zdążył nawet pojąć, co się dzieje, zaabsorbowany wydarzeniami na wschodnim i zachodnim krańcu pola. Niewielu w panującym zamieszaniu zauważyło nadciągającą konnicę. Na kilkanaście metrów przed odwróconą bokiem ścianą lutyckiej piechoty jeźdźcy z przedniej linii miotnęli włóczynami i sięgnęli po miecze. Włócznie na podobieństwo gromów błyskawicy dosięgły celów, przebijając i rozorując nieszczęśników. Dwie sekundy po tym na Lutyków wpadła z niesamowitym pędem bryła polskiego żelaza na koniach, wbijając się miejscami na kilkanaście metrów w masy spanikowanych wojowników. Jakby kto ostrokołem w rozmiękle błoto trzepnął. Pod wpływem impetu uderzenia spychane tylne szeregi Lutyków poczęły wpadać do rzeki. Polacy siekali mieczami i toporami z wysokości koni, siejąc wokół śmierć i przerażenie. Natarcie jazdy przyniosło sukces. Cały lewy bok szyków przeciwnika – niemal połowa lutyckiej piechoty zgromadzonej przed pomostami – przestał istnieć. Wybici orężem Polaków, zgnieceni końmi, utopieni w Szprewie, w rozsypce. Ba, niektórzy polscy jeźdźcy z rozpędu sami powpadali do rzeki wraz z końmi. Zanim pozostała lutycka piechota zorientowała się w sytuacji, Polacy gwałtownym manewrem skierowali się w stronę pomostów, zsiadali z koni i pędzili w stronę bramy. Dodatkowy chaos

wprowadzili Szprewianie, którzy kierując się pierwotnym rozkazem, odstąpili od zwarcia i usiłowali obejść pole bitwy od południa w kierunku pomostów. Niebawem Lutycy otrząsnęli się z szoku, poczęli wyc przeraźliwie i wydając okrzyki bojowe, rzucili się do kontrnatarcia. Jedni uderzyli na tyły Polaków forsujących pomosty, pozostali zmagali się z gromadami rozbieganych wszędzie Szprewian. Za późno. Polacy wpadali już do podgrodzia, blokując jednocześnie wąski pas ziemi pomiędzy pomostami a basztą. Gromosław pozostawił na tym odcinku pięćdziesięciu ciężkozbrojnych, nakazując, by bronili się do upadłego, sam zaś próbował ogarnąć okiem sytuację na podgrodziu. Lutycy wyparli już resztki obrońców z terenu wyspy i przystępowali do natarcia na wały średniej wyspy, na których zgromadziła się chyba cała reszta garnizonu. Wśród obrońców rozróżnić można było zarówno tarcze polskich tarczowników, jak i barwy stodorańskich ciężkozbrojnych. Znakiem tego grupa łuczników Wojomira i Palibora odegnała jednak tratwy spod wyspy książęcej i tamtejsi zbrojni wzmocnili obronę wału. Na koronie palisady uwagę przyciągał smagły wojownik w pięknej świecącej z daleka kolczudze, z długimi, jasnymi, rozwianymi włosami wychodzącymi spod hełmu, strzelający zapamiętałe z łuku w nacierających Lutyków. Obok stał jakiś wysoki chudzielec, jedną ręką osłaniający tarczą długowłosego łucznika, a w drugiej dzierżący sztandar na długim drzewcu. Barwy i godło Kopanika, biała, odzwierciedlona z boku czapla na intensywnie zielonym tle. Czyżby Tęgobir? Ale smukła

sylwetka wojownika nie pasowała do podeszłego wieku księcia Kopanika. Jego syn Burzysław? Niemożliwe, on przecież dopiero młodzieńczego wieku dochodząc, na naukach w Gnieźnie przebywał.

Lutycy zorientowali się w sytuacji. Znaleźli się w pułapce, uwięzieni wewnątrz wyspy. Od wschodu od strony bramy spieszona polska jazda ciężkozbrojna ustawiała szeregi ścian z tarcz. Od południa obrońcy Kopanika rozpoczęli ostrzał z wysokości palisady średniej wyspy. Od zachodu i północy wały, za którymi głęboka woda. Potrzask. Pozostała tylko walka, która nie była jeszcze z góry rozstrzygnięta. Dotychczasowy bój przyniósł straty wszystkim stronom. Na wałach średniej wyspy zgromadziła się niecała setka obrońców. Lutycy po krwawym zdobyciu bramy i pierwszym szturmie na średnią wyspę dysponowali być może siedmiuset wojownikami. Gromosław stracił w natarciu i boju przed pomostami prawie stu jeźdźców. Raptem od bramy nadbiegł wojownik z meldunkiem:

- Łucznicy Palibora zbliżają się brzegiem do pomostów!
- Przejdą? - spytał Gromosław, mając na uwadze toczącą się na zewnątrz walkę.
- Przejdą, pomosty wolne, na bramę nikt nie napiera.
- A co z Lutykami na lądzie?
- Tam się teraz piekło rozpętało, Gromo. Z lasów powychodziły następne gromady Szprewian i mordują się nawzajem bez opamiętania z resztkami Lutyków. Ganiają jak opętani po polach i lasach. Piekło.

Gromosław wycofał oddział spod bramy, zostawiając tam jedynie kilku wojowników na straży. Dysponował zatem niecałym pół tysiącem ciężkozbrojnych, w tym wielu poranionych dotychczasową walką. Pół tysiąca własnych i stu miejscowych na wałach przeciwko siedmiu setkom Lutyków, wśród których ten i ów również ledwo stał na nogach. Siły prawie wyrównane. Przyjdzie ciężki i krwawy bój stoczyć.

Chwilowo nastąpiła przerwa w walce. Wojska ustawiły się prostopadle do wałów środkowej wyspy. Lutycy, odstąpiwszy od szturmu, podążyli spieszenie w kierunku na wpół zburzonych chałup dających im osłonę przed strzałami z wału. Zaczęli tam formować falangi ścian tarcz najeżone drzewcami oszczepów. Gromosław również ustawił naprzeciwko szeregi oblepione tarczami, tyle że bez oszczepów, których polscy ciężkozbrojni nigdy nie używali. A włącznie wyczerpali podczas boju na lądzie. Lewy bok polskiego wojska stykał się niemal z wałami środkowej wyspy. Stamtąd będą wspierać ich obrońcy strzałami z wysokości palisady. Wtenczas nadbiegli Wojomir i Palibor z pozostałymi łucznikami. Gromosław wysłał ich na przeciwległą, prawą polską flankę. W ten sposób Lutycy dostaną się pod śmiercionośne strzały z dwóch boków. On poprowadzi natarcie osobiście w pierwszej linii na lewym skrzydle, w otoczeniu przyjaciół. „Widział już kto Stodora?”, zakrzyknął Gromosław. „Gromo”, rzekł któryś ze stojących w pobliżu rycerzy, wskazując naprzeciwko na przerwę między chałupami, „spójrz tam, widać go obok chorągwi”.

W trzecim szeregu lutyckiej piechoty kręcił się Stodor w pełnym uzbrojeniu. Drużynnik obok dzierżył wielki sztandar. Nie Brenny, Hobolina czy Kopanika, udzielnych stodorańskich księstw, lecz rozłożysty pradawny sztandar, wielką, otoczoną świętością chorągiew zapomnianego królestwa Wioletów. Wspaniała biały orzeł na intensywnie zielonym tle, ściskający w prawych pazurach złocistą koronę. Boki sztandaru świeciły purpurowym obszyciem.

- Co oni tu wszyscy znaki na zielonym tle? - wtrącił ktoś w polskim szeregu.

- Zieleń to barwa całego Połabia. Obodryci mają konia na zielonym tle.

- Niesamowite - rzucił Gromosław do otaczających go przyjaciół. - Zauważyliście, że ani Lutycki na lądzie, ani ci tutaj nie prowadzą żadnych ich diabelskich chorągwi? Zawsze ich pełno ze sobą wloką, bożki, boginie, a tutaj - dokończył z namysłem - wielki sztandar Stodoranii?

- Przyjrzyj się otoczeniu Stodora, stąd widać, że wokół niego mnóstwo stodorańskich rycerzy, takich jak on rebeliantów - zauważył Bernard.

- Odbiło Stodorowi do końca - wtrącił Czambor. - Żercy z Radogoszczy jaja by mu urwali i nakarmili nimi Swarozycy, gdyby to zobaczyli. Pewnie dziadek Pakosz osobiście by wnuczce przyrodzenie odciął.

- A Sławigost pewnie z wściekłości się zwija, że niechciany syn chorągiew mu ze skarbca podebrał - uzupełnił Bernard.

- Koniec dziwowania! - Gromosław wyjął miecz i zakrzyknął donośnie: - Do boju, Bóg prowadzi!

Ruszyli. Jakby kto ławy w kościele do przodu powoli popychał. Miarowo, bez śpiewów i okrzyków. Daleko nie mieli, jakieś czterdzieści metrów. Ze wszystkich stron posypały się strzały. Z wałów po lewej, z obu polskich skrzydeł i od strony Lutyków. Bez większego uszczerbku dotarli do pierwszej linii wroga i zwarli się w okrutnym boju. Pchanie nawzajem tarczami, kłucia oszczepami i mieczami, rąbanie toporami. Wrzaski, nawoływania, wyzwiska. Dłuższy czas szcepiona linia pierwszych szeregów wyginała się jak giętka żmija na piasku, falisto raz w jedną, raz w drugą stronę, lecz ściana tarcz nie puszczała. W miejsce ubitych lub poranionych wstępował z tyłu kolejny wojownik. Ciężkozbrojni Polacy trafili na chyba najlepszą piechotę w tej części Europy, karną i zdyscyplinowaną do perfekcji, świetnie uzbrojoną do walki w zwarciu, obleczonej znakomitymi zbrojami z grubych skórzanych lamelek, fanatyczną w duchu. Nikt jeszcze dotąd, Polacy, Czesi, Niemcy czy Skandynawowie, nie pokonał osławionej, dawniej wieleckiej, a teraz lutyckiej piechoty w walnym starciu, dopóki trzymała zwarty szyk. Dopiero gdy blok puścił lub odsłonił któryś z boków formacji, następowała zazwyczaj katastrofa. Jak ongiś pod Łączynem w 929 roku, gdy pięćdziesięciu ciężkozbrojnych Sasów wpadło konno w nieopatrznie odsłonięte skrzydło Redarów. Lub jak w 967 na Połabiu, gdy Mieszko I pozorowaną ucieczką sprowokował wielecką piechotę do

rozluźnienia formacji, a wtedy z ukrycia na krańcach pola bitwy uderzyła na nich polsko-czeska jazda. Ale tu nie było miejsca i możliwości na takie manewry. Dopiero nieustanny ostrzał z wałów zmieniał powoli obraz bitwy. Strzały z palisady na tyle dotkliwie kąsały Lutyków, że powoli musieli odstępować jak najdalej od wałów i zbijać się wokół chat.

Co prawda sprawnie zwijali i przegrupowywali szyki, ale jednocześnie otwarli przestrzeń, w którą wlewać się poczęło lewe polskie skrzydło, na którym walczył Gromosław. Jakiś oszczep przejechał mu ostrzem po hełmie i nie czyniąc uszczerbku, zerwał go z głowy, rozsypując zarazem opatrunek owijający nadszarpane ucho. Świeżo zasklepiona rana otworzyła się, puszczając krew. Niebawem Polacy wbili się w Lutyckie szeregi, rozrywając je w kilku miejscach. Niespodziewanie w kierunku zabudowań posypały się z wałów płonące strzały. Obrońcy Kopaniaka postanowili poświęcić podgrodzie. Drewno szybko zajęło się ogniem i wkrótce budynki stanęły w huczących płomieniach. Żar ognia odegnał we wszystkie strony skupione lutyckie falangi i zwarte dotąd ściany tarcz pękły. Zdyscyplinowana formacja Lutyków poszła w rozsypkę, a pole bitwy przemieniło się w bezładną mieszaninę walczących. Gromosław odparł tarczą uderzenie topora, pchnął mieczem od spodu, czując, jak ostrze zanurza się w udzie przeciwnika, zgrzytając o kość. Wyszarpnął szybko miecz i z zamachem ciął od góry w wykrzywioną bólem twarz młodego wojownika, rozrąbując mu do połowy szyję.



Naparł do przodu tarczą, przekraczając opadającego na ziemię trupa w oczekiwaniu na odparcie kolejnego wrogiego uderzenia. Pod osłoną tarczy odwrócił mimowolnie głowę nieco na bok, wzrokiem w kierunku bliskiej teraz palisady, i dojrzał owegoż tajemniczego młodzieńca z rozwianymi włosami. Gromosław osłupiał, zobaczywszy, że to młoda kobieta. Sztandar Kopanika obok niej dzierżył mnich chyba czy jak? Głowa z wygoloną tonsurą? Ona sama zaś walczyła niczym zwinny ryś, śląc strzałę za strzałą, urocza i dumna zarazem. Nie tylko on dojrzał wojowniczkę, zewsząd dolatywały okrzyki:

- Jezu, jaka cudna!
- Przepiękna!
- Ale walczy!

Gromosław odbił mieczem kolejne uderzenie przeciwnika i nie mogąc się powstrzymać, odwrócił ponownie wzrok w stronę wojowniczkę. Ich spojrzenia spotkały się wzajem na jeden oddech i utkwiły w sobie splecione czarowną chwilą. Taką jedyną, ściskającą żołądek i tamującą myśli. Raptem wojowniczka podniosła prawą dłoń, zakrywając w przerażeniu usta, i to było ostatnie, co zobaczył Gromosław. Topór przeciwnika trzasnął go z góry w ramię, przeciął skórzane klamry lamelkowej zbroi i zatrzymał się na gęstej pleciance drobnych żelaznych kółek kolczugi, wgniatając je z bólem w obojczyk. Jednocześnie inny Lutyk uderzył go z rozmachem mieczem, celując w głowę, na szczęście na płask, i trafił w prawą skroń. Z obrazem wojowniczej piękności przed oczyma

i brzmieniem wielkiego dzwonu w głowie Gromosław osunął się nieprzytomny na ziemię.

- Gromo ranny! Tutaj! - ryknął przeraźliwie Bernard z taką siłą, jakby trzy bojowe rogi w piersi nosił.

Niepotrzebnie. Jeszcze zanim wrogowie zdołali dopaść upadającego Gromosława, Polacy rzucili się z werwą na przeciwników. Jak oszalałe z wściekłości dziki, grzmocąc orężem, odparli napierających Lutyków. Wyróżniał się szczególnie nie najmłodszy już wiekiem rycerz z Gniezna, walczący samym toporem i bez tarczy. Parł do przodu, trzymając stylisko topora oboma rękoma, lewą prawie u nasady. Do tego z okrutnym uśmiechem spod długich wąsisk. Tnąc, pchając i dźgając, położył trupem najbliższych Lutyków i wyrąbał wokół Gromosława wolną przestrzeń. Za nim poszli następni. Bernard, Randulf i Czambor, upewniwszy się, że Gromosław wprawdzie nieprzytomny, ale przy życiu, zostawili przy nim dwóch zbrojnych dla osłony, a sami rzucili się w poszukiwaniu Stodora. Dojrzeli go pomiędzy dwiema zniszczonymi chałupami w otoczeniu licznej grupy stodorańskich rycerzy i lutyckich wojowników, skupionych wokół sztandaru Wioletów. „Ja pierwszy!”, wrzasnął Bernard i wybiegł do przodu. W tym momencie spomiędzy zabudowań wysunął się kolejny oddział lutyckich wojowników, zastawiając dostęp do grupy Stodora. Gdy Polacy podeszli bliżej, wybuchły wśród nich skonsternowane okrzyki: „Co to, diablance?“, „Kobiety?!“. W grupie Lutyków wyróżniało się kilka wojowniczek z północnego odłamu Wkrzanów,

sąsiadujących od zachodu ze Szczecinianami. W barwionych na czarno kaftanach z miękkiej skóry obszytych metalowymi płytkami, sięgających pół kolana, w hełmach, z tarczami, mieczami i oszczepami. Długie włosy spływające spod hełmów, a przede wszystkim twarze, zgrabne kształty i uwypuklenia piersi opiętych dopasowanymi kaftanami nie pozostawiały wątpliwości. Wojowniczkami z połabskich kniei, o których nieraz opowiadano przy ogniskach i po wyszynkach. Lutycy zbili się w dwa rzędy oblepione tarczami i wystawili oszczepy. W starciu niektórzy Polacy potracili początkowo głowy, zszokowani sytuacją. Skrzyżowanie oręża w krwawym boju z kobietą nie należało do codzienności. Nawet dla dojrzałych wiekiem i obrosłych bitewnym doświadczeniem weteranów. Ale na wątpliwości i wahania nie było tu miejsca, kto o sekundę za długo ociągał się z zadaniem ciosu, padał od kobiecej ręki, przebity oszczepem lub mieczem, z nadržanymi kończynami lub rozplataną głową. W ściśniętym tłumie walczących nie wybiera się przeciwnika. Albo się ginie, albo pokonuje wroga, by podjąć walkę z następnym. Randulf miał pecha zetrzeć się z jedną z wojowniczek. Rąbnął mieczem po jej tarczy, roztrzaskując ją w dwa płaty, wystawił do przodu dla osłony własną tarczę i zamachnął się. Ujrawszy z bliska jej ładne oblicze z kształtnymi rysami, oczami zwodzającymi głębią czerni, kuszącymi wargami, łukowato zarysowanymi brwiami, z całością okoloną długimi włosami koloru słomy podświetlonej czerwienią zachodzącego słońca... ogłupiał.

Wymierzona do uderzenia ręka z podniesionym mieczem zawisała na chwilę w górze, na chwilę, na jedną, dwie sekundy. Na wystarczająco długo, by dać wojownicze czas na wyprowadzenie pod jego własną tarczą pchnięcia mieczem pod skosem w dół. Ostrze przebiło miękką skórę buta i zagłębiło się w palcach lewej nogi Randulfa. Wrzasnąwszy z bólu, wypuścił z rąk miecz i tarczę. Siłą rozpędu wpadł na wojowniczkę, wytrącając jej miecz z ręki, i masą własnego ciała powalił ją do tyłu. Tak szepieni, sturlali się po jakimś trupie i potoczyli na ziemię. Wojowniczką była szybsza. Leżąc na nim, lewą ręką wgniatała mu prawy łokieć do ziemi, prawą ręką wyciągnęła błyskawicznie zatknięty z tyłu za pasem nóż i zamierzyła się do zadania ciosu z góry. Zdołał uchwycić jej uniesioną dłoń u nadgarstka, próbując jednocześnie uwolnić prawą rękę. Zmagali się tak przez kilka sekund niemal twarz przy twarzy. Spod skórzanej opaski na czole, okalającej jej włosy, spadły krople ciepłego potu. Prosto na usta Randulfa. Poczul zapach i smak jej ciała. Silna była i zwinna, lecz w końcu uwolnił prawą rękę i oplótł dłoń wokół jej szyi, chcąc ją poddusić. Jęknęła i przesunęła po nim z wysiłkiem do przodu, uwalniając automatycznie szyję z uścisku. Przez krótką chwilę miał przed oczyma wycięcie dekoltu kaftana, ukazujące jej dorodne piersi. Nagle wypuściła nóż z ręki i kopnęła go silnie kolanem w krocze, po czym zerwała się i zniknęła w tłumie walczących. Randulf zawył przeraźliwie, powstał z wysiłkiem, tłumiąc ból promieniujący od stopy i przyrodzenia. Poderwawszy

jakiś miecz, próbował, kulejąc, podążyć za nią. W tym momencie został trafiony, jak to często w bitewnym zamieszaniu bywa, przez własnych. Wypuszczona z palisady strzała ze świstem ugrzęzła mu w lewym udzie. Tego było już za wiele jak dla nieszczęsnej nogi Longobardy. Oblewająca fala gwałtownej niemocy zawirowała mu na krótko świat przed oczami i po kilku słabnących krokach rzuciła go na ziemię. Pechowiec klął z głośna po italsku, wpatrując się, zszokowany, w drgającą konwulsjami bólu nogę. „Fanculo, a tutti voi bastardi!\*”. Obok wrzeszczącego Randulfa zatrzymał się na krótko skonfundowany Czambor. „Zamknij się! Po polsku nie umiesz? Chcesz, żeby cię któryś z naszych ze strachu toporem rozplątał?”. W mgnieniu oka stwierdziwszy, że postrzał przyjaciela nie jest zbyt groźny, zostawił go i pognał dalej w ślady Bernarda, który tymczasem dopadał już do Polaków napierających na otoczenie Stodora. Zaciętość toczzonej tu walki przerażała ilością rozsianych wokół trupów i opętańczo wyjących rannych. Bernard odepchnął na bok przebitego na wylot oszczepem polskiego rycerza, przełożył miecz do lewej ręki, prawą wyjął z pochwy długi saski nóż i w biegu miotnął nim w stojącego o dwa metry dalej lutyckiego wojownika, trafiwszy go w oko. Nie tracąc tempa, przełożył miecz do prawej ręki i z rozpędu wbił ostrze w pierś kolejnego przeciwnika usiłującego zastawić mu drogę. Wtedy dojrzał go Stodor. „Na pewno nie z ręki Sasa!”, zakrzyknął, wyrwał z jakiegoś trupa oszczep, zrobił krok naprzeciwko rozpędzonego Bernarda i błyskawicznie przyklękając na

jedno kolano, dźgnął pod skosem do przodu długim drzewcem, opierając tylny koniec broni o ziemię. Podłużne smukłe ostrze przebiło kolczugę i zagłębiło się z plaśnięciem w dolną partię lewego boku saskiego rycerza. Biegący obok ciężkozbrojny przeskoczył opadającego Bernarda i zamachnął się toporem. Stodor porzucił oszczep, uchwycił leżący obok miecz i, nadal w przykłęku, w ostatniej chwili sparował opadające nań z góry ostrze styliska. Po czym zakręcił mieczem młyna nad głową i ciął na ukos, odrąbując nogę przeciwnika na wysokości kolana. W tej samej sekundzie kolejny polski rycerz, nadbiegający z lewej strony, wpadł siłą rozpędu na Stodora, taranując go tarczą. „Żywcem! Żywcem!”, krzyczał znajdujący się nieopodal Czambor. Stodor zerwał się na nogi. W towarzystwie trzech drużynników, z powiewającym nad nimi sztandarem Wioletów dotarli do niedalekiej rampy i wbiegli na koronę zachodniego wału wyspy. Bez szans na ucieczkę. Z tyłu za palisadą mieli głębokie wody, a na podeście palisady ze wszystkich stron otaczała ich zbita masa Polaków. Gdy łucznicy wymierzyli w nich strzały, odpadła możliwość skoku w wody rzeki za wałem. Stojący najbliżej Stodora z napiętą cięciwą łuku Wojomir rzekł, nie skrywając satysfakcji:

- Zrób jeden krok, jeden jedyny w stronę wału, proszę.

Stodor spojrzał na niego z lekkim roztargnieniem i spytał:

- Ej, ty, człeku, my się chyba znamy?

- Przed laty do sralnicy mnie wrzuciłeś, psubratem nazwawszy.

Stodor zignorował Wojomira, opuścił miecz, wbił ostrze w klepisko i omiótł wzrokiem pobojuwisko. Z wyrazem tragicznej rezygnacji na twarzy podniósł prawą rękę w geście poddania. W tym momencie któryś z Polaków chwycił za drzewce sztandaru. Stodor wyrwał miecz z ziemi i przyłożył mu błyskawicznie ostrze do szyi:

- Precz od świętego znaku moich przodków, plugawcze!

\* \* \*

Po trzech dniach Gromosław ocknął się z zapaści. Leżąc na łożu, otworzył oczy i wpatrywał się bezmyślnie w grube belki podtrzymujące drewniane sklepienie. Nagle widok przesłoniło mu zatroskane oblicze pochylonego nad nim Czambora, tak nisko, że poczuł na twarzy łaskotanie zwisających wąsów gdańszczanina.

- Żyje! - Czambor wyprostował się i obracając wokół głowę, krzyczał radośnie: - Ocknął się, tylko patrzy głupawo.

- Teraz wiesz, jak inni reagują na twój widok - dobiegł skądś głos Randulfa.

- Medyka! Medyka tu dawać!

Książęca komnata zamieniona została na lazaret. Wielki podłużny stół biesiadny przysunięto pod okna, a uzyskaną w ten sposób wolną przestrzeń zalegały pościągane zewsząd łoża z rannymi: Gromosławem, Bernardem i Randulfem. Poprzedniego dnia usunięto łoże po zmarłym

Jarynie, szlachetnym rycerzu, dowódcy jazdy wrocławskiej. Pomimo ciepłych promieni porannego słońca rozświetlających halę w kominie naprzeciwko okien huczały wysokimi płomieniami bryły drewnianych kłoców. Druga połowa września, jesień otulała świat mroźnym, wilgotnym powietrzem idącym od rzeki. W komnacie pojawił się żydowski medyk z pomocnikiem. Podszedł do Gromosława i odwijając w skupieniu opatrunki z głowy, mruzczał coś pod nosem, gdy tymczasem jego pomocnik zajął się nakładaniem świeżych maści na rany Bernarda.

- Możecie go oprzeć na poduchach, rany goją się, ale będzie jeszcze parę dni strupami spluwał - rzekł medyk, powstał od Gromosława i skierował się do łoża z Randulfem.

- Ma jeszcze ucho? - spytał Randulf.

- Przeszyłem je na nowo, teraz już nie odpadnie - uśmiechnął się medyk. - Obojczyk też tylko lekko naruszony, pancerz uchronił go przed pęknięciem. Najwięcej zmartwienia z jego głową, wielmożo. Trzepnięcie mieczem zatrzęsło okrutnie jej wnętrzem. Wizje przeróżne mogą nocami nękać, ale z czasem powinno minąć.

Wspólnie z pomocnikiem i Czamborem usadzili ostrożnie Gromosława w pozycji półsiedzącej. Rozglądał się po hali, obracając powoli głowę.

- Gdzie ja jestem?

- Na zamku książęcym Kopanika.

Dopiero teraz do Gromosława poczęły docierać szczegóły. Obszerna komnata niczym hala audiencyjna,



okna, ogień w kominku, skóry i uzbrojenie na ścianach, kamienna posadzka, umeblowanie, twarze wpatrzonych w niego przyjaciół, Bernard na łożu po lewej, Randulf po prawej, obaj owinięci bandażami, Czambor przy stole z posiniaczoną twarzą, ale najwyraźniej bez większego uszczerbku. Zaczęli, nawzajem sobie przerywając, opowiadać Gromosławowi wydarzenia ostatnich dni. Bitwę wygrali, roznosząc kompletnie wojsko Stodora. Z Lutyków przeżyło około trzystu, trzymano ich pod strażą w obozie na stałym lądzie. Około pięćdziesięciu zdołało się jednak uratować ucieczką, wsiąkając w lasy. Byli i tacy, co nie zważając na głębię rwącej rzeki, w ostatniej fazie zmagania na podgrodziu powskakiwali z wałów do wody. Niektórym udało się dopłynąć cało do zachodniego brzegu Dębowej. Ze stodorańskich rebeliantów ocalał jedynie Stodor i trzech jego drużynników. Samego Stodora, który z boju wyszedł bez szwanku, nie licząc drobnych ran, trzymano pod silną strażą w komnacie baszty stykającej do kasztelu. Poległo sporo okolicznych Szprewian, którzy stawili się na wezwanie Tęgobira. Przed dwoma dniami, otrzymawszy część zdobyczy, rozeszli się do rodzinnych osad. Z naszych zginęło prawie dwustu, czy to bezpośrednio w bitwie, czy też oddali ducha w ciągu ostatnich trzech dni na skutek odniesionych ran.

- To dużo - zaniepokoił się Gromosław. - Bolesław w niełaskę mnie odstawi, że tylu ciężkozbrojnych natraciłem.

- Przecież sam brałeś udział w bitwie, widziałeś, z kim nam walczyć przyszło - próbowali uspokoić go przyjaciele.

- Wiecie, jak Bolesław hołubi wojsko, każdego by osobiście po zbroi głaskał. - Niepocieszony Gromosław kręcił głową. - Zresztą szkoda tylu dobrych ludzi.

Część wojska pilnowała jeńców na lądzie, część pomagała miejscowym w odbudowie podgrodzia, wałów i bramy największej wyspy. Rannych rozłożono w domostwach na średniej wyspie.

- A z obrońców Kopanika?

- Zginęła ponad połowa, większość przy odpieraniu szturmów na największą wyspę.

- A łupy?

- Mnóstwo prześwietnych lutyckich zbroi i oręża, do tego trzy wory srebra i cennych ozdób, które ich wojownicy przy sobie targali. Oprócz podziału łupów trzeba ludziom nagrody z wojennej szkatuły wypłacić. Czekaliśmy z tym, aż się ockniesz, to zadanie dowódcy. Poza tym wysłaliśmy w twym imieniu umyślnych do Bolesława z wieściami o napadzie Lutyków, obronie Kopanika i ujęciu Stodora.

Ich samych umieszczono w książęcej komnacie biesiadnej na kasztelu. Najwięcej ucierpiał Bernard. Ostrze oszczepu przebiło mu lewy bok głęboko. Medyk długo nad nim się uwijał, codziennie zmieniał wielokrotnie opatrunki i smarował maściami. Powiedział, że Bernard długo będzie do siebie dochodził, chyba że prędzej wda się zaropiała stęchlizna, to wtedy po nim. Biedaczysko, po nocach trawiły go gorączki i bóle, jęczał i wył w malignie po niemiecku:

„O, Gott!”, „Hilfe!, Hilfe!”, „Wasser!”, aż zaniepokojone strażę na wałach pod oknami się zbierały.

- Przecież to jego język ojczysty - Gromosław przyjrzał się bladej, wymęczonej twarzy Bernarda - to jak ma wołać? Ty, Czambor, we śnie to po swojemu bajdurzysz czy w obcych językach? Benno, przyjacielu serdeczny - wyciągnął do niego rękę pomiędzy łożami - wyjdiesz z tego, przyrzeknij druhowi.

Bernard podał mu z wysiłkiem dłoń i uśmiechnął się słabo.

- Wyjdę, Gromo, wyjdę, tyle że potrwa to tygodniami albo miesiącami, zanim na koń wsiądę. A jeszcze prędzej bym wyzdrowiał, gdyby nie te dwa opoje. - Wskazał oczyma na Randulfa i Czambora. - Chleją na umór piwo i wina z książęcej piwnicy, co mi dodatkowych cierpień przydaje. Bo ja tylko na wywarach i ziołach śmierdzących się męcę.

- A co mam sobie odmawiać? - wtrącił Randulf. - Medyk nie zabronił. Nogę mi tylko przekłete Lutyki poharatały, a trunki idą przez gardło do żołądka, to co ma jedno do drugiego?

- Lutyki? - roześmiał się Czambor. - Jakie Lutyki? Palec u nogi odcięła ci wojowniczką Wkrzanów, z którą się tarzałeś, zamiast walczyć, a udo przebiła strzała nieumyślnie puszczona z palisady. Opowiedz naszemu Gromo, jak było naprawdę.

- He? - zdezorientowany Gromosław spoglądał raz na jednego, raz na drugiego.

- Zwarł się z Radanką, niebywale waleczną kocicą od Wkrzanów...

- A skąd znacie jej imię?

- Bo nam Stodor wyjawiał, jak go zaraz po bitwie przepytaliśmy. Ona zdołała umknąć i teraz pewnie czai się po lasach, by dokończyć dzieła, gdy tylko Randulf wysunie swój piękny italski łeb z grodu. Będzie Randulfowi dalej obcinać...

- Ty, Czambor, poczekaj, aż będę mógł chodzić, to najpierw dokończę na tobie dzieła, które już dawno powinienem zacząć.

- A ładna jest? - spytał szelmowsko Gromosław.

- Wspaniała! - Randulf przytknął do ust puchar z piwem i upiwszy głęboki łyk, ciągnął z rozmarzeniem: - Wspaniała! Chyba się zakochałem. Ale nie wiem na pewno, coś mnie tak podnieciło i omotało, jak się starliśmy... Zwinną, kształtną i silną zarazem, groźną i piękną... Jeszcze takiej kobiety nie napotkałem.

- To te wszystkie panny z Italii, Saksonii i Polski to już teraz nieważne? - wiercił Gromosław.

- Co ty tam wiesz - odciął się Randulf. - Zresztą - spojrzał z udawaną powagą na przyjaciela - ciebie również kobiece wdzięki opętały! Co, nie pamiętasz?

Nie pamiętał. Zaczęli mu po kolei objaśniać:

- Tajemnicza wojowniczką na wałach, stojąca obok mnicha dzierżącego na początku bitwy sztandar Kopanika, brawurowo strzelająca z łuku, to nikt inny, jak Matylda, dwudziestodwuletnia córka Tęgobira. Dowodziła

samodzielnie obroną po tym, jak Tęgobir pod koniec oblężenia największej wyspy trafiony został w szyję lutycką strzałą. Jak się okazało, zatrutą. Ponad sześćdziesięcioletni książę Kopanika, któremu już na długo przed bitwą dolegała postępująca starość, zmagał się teraz w swej sypialni ze śmiercią. Według ostrożnej opinii medyka nie wyliże się z tego, w każdej chwili można spodziewać się jego zgonu. Nawet jego umysł błądzi już w innym świecie, praktycznie nie ma z nim kontaktu. A co do Matyldy, no, nie tylko piękna, lecz także rozumna ponad miarę i obyta z wojaczką. Niezwykła i nieco dumna, ale bez okazywania zbytnej wyniosłości. Zagląda tu do nas nieustannie i spędza dużo czasu w komnacie, ale nie na rozmowach z nami, a na doglądaniu ciebie głównie. Tak, tak, przesiaduje przy twoim łóżu, wpatruje się w twarz, wyciera i obmywa, hm, coś tam do siebie mamrocze. Niedobrze, Gromo, niedobrze, wpadłeś jej w oko. Koniec z awanturami po wyszynkach, koniec. Matylda wypytuje nas nieustannie, chce wszystko o tobie wiedzieć, kto zacz, skąd rodzina, czy już żonaty, gdzie walczył, i tak bez końca. Jak się okazało, poznaliście się już, będąc dziećmi. Tęgobir i twój ojciec Wodzisław nieraz w przeszłości odwiedzali się nawzajem, z Lubusza do Kopanika niedaleko. Ale nie mogła sobie ciebie przypomnieć, zresztą wcześniej poszedłeś w świat na wojny Bolesława. Tak sobie rozważamy, to już po tobie, Gromo, przepadłeś, usidlony.

Gromosław purpurowiał z zażenowania w miarę słuchania. Powoli zaczynał sobie przypominać. Ostatnie

promyki świadomości, zanim go lutycki miecz po skroni nie trzepnął. Twarz Matyldy z daleka, jej zgrabna wojownicza sylwetka, rozwiane włosy, napięty łuk... Ponownie ścisnęło go w żołądku i fala ciepła oblała całe ciało. Spojrzał na Randulfa, długo nie odwracając wzroku od pełnej zaciekawienia twarzy przyjaciela.

- Coś tam sobie przypominam, chyba ładna ta Matylda.

- Na fale Bałtyku, biada nam wszystkim, Polsce, Sasom i całemu Połabiu! - Czambor wznosił obie ręce do góry i wpatrywał się w sklepienie komnaty, jakby szukając tam odpowiedzi na wielkie pytania. - Najmężniejsi wojownicy wszech czasów kądzielami oplątani! O, ja nieszczęsny, i ten zabiedzony Benno, kto nas teraz do boju poprowadzi? O zgrozo! - Rozglądął się wokół nadal z rozłożonymi rękoma. Widząc brak reakcji, upił piwa, powstał i rzekł, kierując się w stronę wyjścia: - Idę na podgrodzie, między ludzi. Tu tylko narzekania lub wzdychania.

W tym momencie rozwarły się drzwi, wpuszczając do środka kobiecą postać. W wełnianej pelerynie obszytej na kołnierzu puszystym miodowym lisem, narzuconej na długą ciemnoniebieską suknię. Jasne rozrzucone włosy spięte na czole wąską przepaską upiększoną niewielkim, zielono połyskującym diademem. Matylda, za nią służebna dwórka i mnich Aelfgar. Księżęca córka rozejrzała się z uwagą po komnacie, omiotła przelotnym spojrzeniem leżących na łóżkach.

- Miłego dnia, szlachetni rycerze. - Zatrzymała wzrok na szykującym się do wyjścia Czamborze. - Czyżby znowu

na podgrodzie? Panny w karczmie podszczypywać i opowieści chełpliwe roztaczać? Już mruczą po Kopaniku o drągalu z Gdańska.

- Witaj, pani. - Czambor skłonił się z zażenowaniem i cofnął do stołu, czekając, aż Matylda pierwsza zasiądzie. Pozostali, wyrzekłszy słowa powitania, wpatrywali się w nią niemo. Wcale nie patrzyła na mnie zbyt długo, pomyślał Gromosław.

- Przyszłam jedynie na chwilę dowiedzieć się krótko o zdrowie naszych bohaterów. - Skierowała się w stronę łóżek, zatrzymując pobieżnie z osobna przy każdym rannym. Gromosławowi przesunęła nieco okład na głowie, nie poświęcając mu więcej uwagi niż pozostałym. Opuszczając komnatę, zapowiedziała, że spotkają się ponownie pod wieczór, podczas kolacji. - Będzie o czym rozmawiać, teraz gdy już Gromosław odzyskał świadomość. Na razie muszę podążyć do Strzałowa dla rozsądzenia sporu między okolicznymi rybakami a mieszkańcami osady.

- Strzałów to jakaś wioska niedaleko od Kopanika? - spytał Gromosław. - Bo chyba nie chodzi o Strzałów nad Łabą?

- Nie, chodzi o nasz Strzałów, kilkanaście staj na zachód wzdłuż Szprewy. Osada leży na półwyspie w kształcie strzały, wrzynającym się w zakole rzeki, stąd jej nazwa - odparła.

Do wieczora czas zleciał im szybko. Bernard jęczał w półśnie, Randulf zanurzył się w czytaniu jakichś pergaminów otrzymanych od Matyldy, Gromosław zatopił

się w rozmarzonych myślach, a Czambor, wróciwszy po godzinie, zajął się czyszczeniem zbroi i oręża własnych i przyjaciół. Dwa razy zaglądnął do nich medyk, zmieniając opatrunki, kładąc maści i ziołowe okłady. Późnym popołudniem pojawił się Wojomir sprawiający wrażenie ciężko zapracowanego. Zauważywszy opartego o poduchy Gromosława, podszedł doń, poklepał po ramieniu i przysiadł na skraju łoża.

- No nareszcie, dowódcu, odzyskałeś przytomność - rzekł Wojomir z wyrazem ulgi na twarzy. - Uwijam się od rana do wieczora, problemów nieustannych bez liku, ale z wojskiem wszystko w porządku. Ranni pod opieką na podgrodziu, reszta na polach przed wyspą otoczyła obóz palisadą, pilnują jeńców i zdobyczy. Treningi im organizuję, na polowania wysyłam, do odbudowy podgrodzia zaganiam, gońców do Bolesława wysłałem z wieściami.

- Bardzo dobrze się spisuje - wtrącił się Czambor, widząc nieme pytanie w oczach Gromosława. - Nie patrz tak na mnie, Gromo, ktoś musiał się tym wszystkim zająć. Wy poranieni, ja tu przy was za giermka i opiekuna w dwójnasób się uwijam, Jaryn z Wrocławia zmarł, Zbysław z Santoka i Niedarz z Gniezna ciężko ranni jak wy, tyle że wśród swoich leżeć wolą, to ktoś musiał przejąć baczenie nad wszystkim. A Wojomir posłuch u wszystkich znalazł, widać, że był przywódcą i do zarządzania ma łeb. Łucznicy drepczą za nim jak stado kaczątek za matką.

Wieczorem służba poczęła znosić jadło i napitki. Po czasie pojawiła się Matylda i dosiadła się do Wojomira przy



stole zastawionym smakołykami. Gromosławowi i Randulfowi przystawiono tace do łóżek, Bernardem zajął się osobiście Czambor, karmiąc go cienką zupką nakazaną przez medyka. Po pewnym czasie w trakcie ogólnej konwersacji Gromosław zapytał Matyldę:

- Że z ciebie taka wojowniczką, jestem pełen podziwu.

- Takie są kobiety na Połabiu - odparła, ledwo musnąwszy go wzrokiem. - Powinniście o tym wszyscy wiedzieć, hulacie już kilka lat po naszej krainie. Nie mam racji? - zwróciła się nagle do Wojomira.

- Potwierdzam, księżniczko, potwierdzam - rzekł Wojomir.

- Przestań mnie nazywać księżniczką - obruszyła się Matylda - dopóki jesteśmy między sobą. Jak przewodziłeś Wkrzanom, to miałeś zapewne więcej poddanych niż to całe kopanickie księstwo razem wzięte. Zresztą Kopanik usamodzielniał się dopiero piętnaście lat temu, po tym jak Mieszko I zdobył nasz gród, wyrwał spod panowania Brenny i przekazał w lenno mojemu ojcu Tęgobirowi wraz z przyległymi doń terytoriami. Tęgobir, tak jak jego brat Sławigost, ze stodorańskiej dynastii się wywodzi, stąd Kopanik wraz z przyległymi ziemiami niby do książęcej rangi urósł.

- Nieprawda, że Kopanik taki mały - przerwał jej Bernard. - Do księstwa należy przecież jeszcze rozciągająca się na północny wschód ziemia Barnima, a także położona na południu ziemia Tęclawa, którą my Land Teltow nazywamy. Tym samym obszarem przewyższacie

pięciokrotnie taką dla przykładu ziemię Lubusza, skąd Gromo się wywodzi. Poza tym całe Księstwo Stodorańskie w powolnym rozkładzie. Najpierw Polacy oderwali wam Kopanik. Przed trzema laty na Hobolinie osiadł kuzyn Sławigosta i Tęgobira jako udzielny książę i z tego, co wiem, w konszachty z księciem Saksonii się wdaje. A o te wszystkie ziemie upomina się archidiecezja magdeburska z racji założonych tu w 948 roku i zatwierdzonych przez papieża biskupstw.

- Polska dopomina się z racji pradawnego dziedzictwa Piastów - rzekł Gromosław.

- I z racji tego, że Połabianie tradycją i językiem nam wspólni - poparł Gromosława Czambor.

- Tyle że ani Polacy, ani Sasi nie pytają o zdanie nas, prawowitego ludu tej krainy - dorzucił spokojnym głosem Wojomir.

- Żeby was wszystkich jeszcze bardziej rozkręcić - niespodziewanie do wymiany zdań włączył się Randulf. - To nad Łabą, zanim tu nadeszli Słowianie czy Sasi, mieszkali od dawien dawna moi przodkowie, Longobardowie. Zanim do Italii wywędrowali. Ale ja o nic się nie dopominam. - Uchylił wina z pucharu i spojrzawszy na Matyldę, mrugnął okiem.

- Longobardowie? - prychnął Wojomir. - Nad Łabą? Przecież to nasza ziemia, nie musieliśmy tu nadchodzić, skoro zawsze tu byliśmy. Może kiedyś, za starych czasów, przechodziły tędy różne plemiona, i co z tego, pobyli i poszli dalej.

Gest Randulfa w stronę Matyldy nie uszedł uwadze Gromosława. Schmurzywszy lekko czoło, zastanawiał się nad czymś w skupieniu. Po chwili rzekł w stronę Matyldy:

- Randulf nieustannie się przed nami wymądrza. Niby wiedzę przeczytaną w księgach, tak byśmy nie mogli sprawdzić, ile w tym prawdy. Niezdrowe to u rycerza, by jak mnich pisaniem i czytaniem się zajmował.

- Najlichsze pióro większą potęgę i moc posiada niż najwspanialszy miecz - odciął się z zaciętrzewieniem Randulf.

Na co wszyscy skierowali na niego skonsternowane spojrzenia. Czambor powstał od stołu i przysiadł na jego łożu.

- A może ty nie tylko w nogę trafiony? - Gdańszczanin przybrał zatroskaną minę. Wysunął rękę w stronę głowy Randulfa. - Sprawdzę, czy pod włosami jakaś rana ukryta nie jątrzy.

- Przestań! - Randulf odepchnął dłoń Czambora. - To nie mój wymysł, tylko myśl pewnego mędrca zapisana w jednej z tych wyśmiewanych przez was ksiąg. A wiecie, dlaczego pióro silniejsze od miecza? - Randulf zwrócił się do wszystkich: - Bo plamy krwi łatwiej zmyć niż atrament.

Zapadłą po słowach Randulfa ciszę przerwał Gromosław:

- Teraz widzisz, Matyldo, jakiego mądralę mamy w towarzystwie. Zagadkami nas karmi.

- A jak u pozostałych z umiejętnością pisania i czytania?  
- zapytała Matylda.

Gromosława nauczono jako tako czytać, gdy nastolatkiem będąc, na naukach w Gnieźnie przebywał. Poza tym umiał się podpisać. Na tym koniec. Nie miał zdolności, ochoty, czasu i możliwości na *zbyteczne* zajęcia. Bernard pobierał nauki w wieku chłopięcym w Magdeburgu, przy katedrze, i podobnie jak u Gromosława, jego umiejętności kończyły się na czytaniu rozkazów i dokumentów. Czambor i Wojomir nie umieli nawet się podpisać, nie wspominając o czytaniu.

- Tak nas wypytujesz, Matylde - zagadnął Gromosław - o sprawy nierycerskie.

- Arkana pisarskie nie tylko duchownym dozwolone - odparła Matylde. - Nie tylko. I nie tylko mężczyznom - dodała z lekkim rozbawieniem.

- Coraz lepiej. - Nie wytrzymał Randulf. - Piękna jesteś, chyba każdy przyzna - rozglądnął się wokół, zatrzymując dłużej wzrok na Gromosławie - powabna, czarująca. Wymarzona kobieta dla szukającego miłości rycerza. Do tego potrafisz walczyć i dowodzić bitwą jak stary wojak, sam widziałem, a obecni tu mogą potwierdzić, co już napawa mnie niepokojem. Wiem, wiem, zaraz Wojomir zacznie mi wyklądać, że kobiety na Połabiu to i tamto, i tak dalej, ale normalne to nie jest. Nie strasz nas jeszcze, że umiesz czytać, bo na bosy do sanktuarium świętego Michała w Monte Sant'Angelo pójdę, by złe wizje odegnąć.

- Umieję czytać i pisać, znam łacinę - odrzekła Matylde - a walczyć nauczyłam się, ćwicząc wspólnie z bratem

Burzysławem i na polowaniach. A co, zabronione? – zakończyła z wyzwaniem.

– Ale żeby jak mężczyzna? – nie wytrzymał Czambor.

Matylda długo zastanawiała się nad odpowiedzią, trzymając ich w napięciu. Nawet Wojomir, dotąd niewiele zabierający głosu, zamarł z pieczenią przed ustami.

– Czym według was zajmuje się kobieta – podjęła Matylda – oprócz wzdychania jako panna do dorodnych wojowników lub zamężna, oczekując na powrót ukochanego z wypraw wojennych? Hm, co wy na to? Gdy Lutycy napadli na nas, a ojciec padł trafiony zatrutą strzałą – podjęła – garnizon Kopanika wpadł w panikę. Wszyscy potracili głowy, od zwykłych wojowników po rycerzy z drużyny. Wszyscy mężczyźni. W tej sytuacji przywdziałam zbroję, chwyciłam za oręż, wyniosłam sztandar z komnaty ojca i przejęłam dowództwo nad obroną. Cóż – westchnęła na zakończenie – taka już rola kobiet, wkraczać tam, gdzie mężczyźni zawodzą.

W komnacie zapadła cisza, nikt nie kwapił się do podjęcia dyskusji. Dopiero Wojomir, podjąwszy na nowo jedzenie, wyrzekł:

– A nie mówiłem? Połabskie kobiety niezdarte.

– Arkanów piśmiennych nauczył mnie Aelfgar – Matylda przerwała ciszę, wskazując głową na siedzącego u końca stołu duchownego. Tenże spłonił się nieznacznie na dźwięk swego imienia i rzucił nieśmiało:

– Zdolna uczennica po prostu...

- Wracając do poprzedniej dyskusji - Gromosław zmienił temat - dla Bolesława, dla piastowskiej dynastii na terenie państwa nie ma żadnych księstw, książąt. Żadnych innych dynastii poza Piastami. Oficjalnie w kancelarii państwa nie używa się terminu Księstwo Kopanika, tylko prowincja Kopanicka z grodem Kopanik.

Następnego dnia do Kopanika zawitali jeźdźcy ze Spędowa z najnowszymi wieściami i z pismem od Sławigosta do Tęgobira. Ponieważ konający Tęgobir nadal nie odzyskał przytomności, Matylda odczytała na głos zebranych w biesiadnej komnacie treść pergaminu od władcy Brenny. Wiadomość była krótka. Na wstępie Sławigost dowiadywał się o zdrowie brata, Matyldy i Burzysława. Następnie powiadamiał o krwawym odparciu przed kilkoma dniami niespodziewanego ataku Lutyków na Spędów i Brennę. Padł za to Podstupin. Sławigost szykował kontruderzenie dla odbicia grodu. List kończyło zapytanie, czy Tęgobir wie coś o nagłych ruchach wojsk lutyckich.

Po odczytaniu wywiązała się dyskusja. Czyli że Lutyicy uderzyli nie tylko na Kopanik, lecz także na wszystkie stodorańskie grody. Nawała jakaś? Sami? Bo przecież Niemcy po niedawnej porażce nijak mogli tak szybko zebrać siły do ponownej walki. A zresztą, o tej porze roku, gdy już jesienne słoty nadchodzą, nie mogło być mowy o kolejnej kampanii przeciwko Polsce. To znaczy, że Lutyicy działali na własną rękę. Gromosław zaniepokoił się o ojca, trzeba natychmiast wysłać gońca do Lubusza. Matylda uspokoiła go, że gdyby Lutyicy zaatakowali Lubusz, już

dawno przysłano by im wiadomość. Wojomir przypomniał im jeden szczegół z relacji posłańców ze Spędowa, którzy brali udział w odparciu ataku na gród: że zdziwienie i zamieszanie na wałach wywołał widok nacierających lutyckich wojowników, ponieważ nie prowadzili tak licznych zwyczajowo sztandarów i chorągwi pogaństwa. Żadnych bogiń i bóstw. Żadnej stancy Swarózyca. Jedynie znaki poszczególnych plemion i wieleckich grodów.

Zebranych w komnacie ogarnęło zdziwienie. Przecież podczas boju o Kopanik zauważyli to samo. Nie licząc wielkiego sztandaru Stodoranii w otoczeniu Stodora. Coś tu się nie zgadzało. Należy chyba jak najszybciej przepytac Stodora. Jutro. Jutro Gromo opuści w końcu łoże, wtedy zajmą się Stodorem. A tymczasem trzeba przekazać posłańcom ze Spędowa, którzy właśnie posilali się na podgrodziu, żeby powiadomili Sławigosta nie tylko o wydarzeniach w Kopaniku i o nadchodzącej śmierci Tęgobira, lecz także o pojmaniu Stodora i odzyskaniu sztandaru.

Następnym popołudniem, gdy zasiadali do obiadu, wprowadzono związanego Stodora. Przedtem zezwolono mu zażyć kąpieli i użyczono czystych szat. Rozejrzał się spokojnie po komnacie, taksując wzrokiem Matyldę, Aelfgara, Gromosława, Czambora i Wojomira przy stole oraz Bernarda i Randulfa na łóżach.

- Witaj, ukochana kuzynko - zwrócił się do Matyldy, nie poświęcając reszcie większej uwagi. - Ukłonem bym się

głębokim i objęciem serdecznym, jak na krewnych przystało, przywitał, ale więzy krępują dobre wychowanie.

- Na dobre maniery to już chyba za późno - odparła bez namysłu Matylda. - Nie uważasz, ty zbójco? Mój ojciec, a twój stryj, kona, trafiony zatrutą strzałą. Z hordami morderców przyszedłeś w odwiedziny! - zakrzyknęła.

Nie odpowiedział.

- Posadźcie go przy stole, niech się z nami wspólnie posili - rozkazał Gromosław. - Zostawcie mu wolne ręce, przywiążcie jedynie ciałem do krzesła.

Po odejściu strażników zabrali się w milczeniu do spożywania potraw. Ciszę przerwał Stodor:

- Stary zwyczaj znany u wielu kultur: przed ubiciem nakarmić wieprza. - Sięgnął po następną potrawę i ciągnął dalej: - To jak, panowie rycerze i droga kuzynko, radziliście nad tym, jaki rodzaj męczarni mi zadać?

- U nas włos ci z głowy nie spadnie - odparł Gromosław. - Przekażemy cię władcy Polski, Bolesławowi.

- On cię ze skóry obedrze - rzekł Czambor. - Tak się karze w Polsce odstępców, co wiary w Boga się wyparli.

- Ludzi takich zwie się apostatami - dorzucił Randulf. Aelfgar przytaknął milcząco głową.

- Ten znowu swoje - obruszył się Czambor. - Zwij go, jak chcesz. Sługom kościoła piersi otwierał i serca wyrywał, domy boże palił, z lutyckimi czartami Pomorze w pogaństwie pogrążył, wojsk nam nabił, niewinną ludność Połabia okrucieństwami dręczył...



- O, właśnie - wtrącił ponuro Wojomir - okrucieństwami.

- ...a do tego braci przyrodnych wymordował i na własnego ojca miecz podniósł - wyliczał nieugięcie Czambor. - Za co jeszcze kary nie doznał.

- Przepiękna litania - odpowiedział Stodor Czamborowi.

- Z powołaniem się minąłeś, pomorski rycerzu. Narzuć habit, wygol włosy na czubie głowy i psalmami nas zabawiaj.

- Z postury nie pasuje na mnicha - zagaił słabym głosem Bernard. - Ale w Skandynawii zasłynąłby jako Czambor skald.

- Dlatego powiedziałem, by jako mnich litanie wyśpiewywał ze swymi skargami, bo jako duński skald musiałyby pieśni sławiące moje czyny układać.

Brak było reakcji zebranych na ostatnią uwagę Stodora. Albo go nie zrozumieli, albo zrozumieć nie chcieli. Dopiero Czambor przerwał ciszę niespodziewanym pytaniem:

- Znasz Duńczyków, bywałeś u nich?

Stodor, obserwując poczerwieniałą twarz Czambora, spytał ironicznie, ignorując ostatnie pytanie gdańszczanina:

- Naprawdę nie żartujesz z tym wrywaniem serc? Sam widziałeś?

- Tak wszędzie mawiają - odparł Czambor.

- Jesteś nadal chrześcijaninem, czy wyrzekłeś się krzyża chrystusowego - spytał Gromosław Stodora. - Odpowiedz wreszcie.

Stodor odwrócił wzrok od Czambora i spoglądał z zastanowieniem na Gromosława. Po jakiejś chwili rzekł:

- Nic wam do tego. Zresztą co to zmieni? Ale jak pytasz, tak, trwam przy chrześcijaństwie.

- Bo zastanawiamy się nad brakiem pogańskich chorągwi w oddziałach Lutyków, które tu przyprowadziłeś. Jak i nad brakiem wszelkich pogańskich znaków w innych oddziałach, co najechały grody Stodoranii - wtrącił się Randulf.

Na ostatnie słowa Randulfa Stodor ożywił się, nie skrywając ogarniających go emocji. Próbował powstać, zapomniawszy

o więzach krępujących go do krzesła. W końcu wyrzucił z siebie podniesionym głosem:

- Mówcie, co w Stodoranii!

- Bez zmian - odparł Gromosław. - Przestań się miotać. Bandy Lutyków zostały wszędzie przegnane, tak jak twoja tutaj w Kopaniku. - Celowo zataił, że Lutyicy zdobyli Podstupin. Po chwili, cedząc powoli słowa, dodał: - Co odbiło Radogoszczy wszczynać wojnę o tej porze? I jaka w tym twoja rola?

- Nic wam nie powiem - wyrzekł Stodor, przybrawszy podobny wyraz twarzy jak przed kilkoma dniami, w chwili poddania się po przegranej bitwie. - Odprowadźcie mnie z powrotem do baszty. - Spuścił nieco głowę.

- Powiesz, powiesz - uspokajał go Gromosław. - Jak nie ty, to któryś z lutyckich jeńców.

- Mniemam, że groźbami nic nie wskóramy - zwrócił się Randulf do przyjaciół - a na oskarżenia i sądy przyjdzie czas, gdy go przed Bolesławem postawią. Myślę, że rozmowę z nim powinniśmy rozpocząć od słów podziękowania za to, że wpłynął na zmianę decyzji cesarza chcącego nas wprzódę uśmiercić, a następnie uwolnił nas z więzów i dopomógł w ucieczce. Wtedy, w lesie Dziadoszan, uniknęliśmy katowskiego miecza. - Randulf spuścił poranioną nogę z łóżka na ziemię i podparłszy się na szczudle, dobrnął do stołu, zaciskając z bólu usta. Usiadł naprzeciwko Stodora i wpatrując się w niego, zastanawiał nad dobozem słów.

Niespodziewanie ciszę przerwała Matylda:

- To prawda, kuzynie? - spytała Stodora. - Uwolniłeś tych młodzieńców?

- Uwolniłem - rzekł z ociąganiem Stodor.

Matylda otwierała już usta, lecz ubiegł ją Randulf:

- Dlaczego? Jesteśmy ci za to wdzięczni, ale też ciekawi, czemu tak postąpiłeś? Porozmawiajmy jak przystało na ludzi honoru.

- Wrogów zabijam tylko w boju - odparł mu Stodor. Po czym, po namyśle, dodał: - Chcecie porozmawiać? To zacznijmy od bitwy w lesie Dziadoszan. Jak się zakończyła? Z waszej tu obecności wnoszę, że Bolesław pobił Henryka?

Gromosław przysiadł obok Randulfa, naprzeciwko Stodora, zamierzając opowiedzieć o bitwie z Niemcami, gdy do komnaty wszedł Drąbal, dowódca przetrzebionej drużyny Tęgobira.

- Pani - zwrócił się do Matyldy - bezpośrednio z Brenny nadjechał umyślny z wieściami od Sławigosta.

- Znowu? - zdziwiła się księżna. - Ledwo wczoraj ruszyli w drogę powrotną posłańcy ze Spędowa. Kto zacz? Ma pismo przy sobie?

- To nie jest zwykły posłaniec, księżno - odparł Drąbal - lecz szlachetny stodorański rycerz Lekuno z rady doradczej Sławigosta.

- Wprowadzaj! - rozkazała Matylda. Spojrzała niespokojnie na Stodora. - A co z nim? - spytała pozostałych. - Ma tu zostać? Nie wiadomo, czy Lekuno nie rzuci się na niego z mieczem.

- Najpierw musiałby się rzucić na mnie, Gromosława i Wojomira - odparł uspokajająco Czambor.

Gromosław zerwał się na nogi, nie zważając na pulsowanie w głowie.

- Szybko! - zawołał. - Do alkowy z nim! Czambor, Wojomir, do pomocy. - Wezwani podskoczyli do Gromosława i wspólnymi siłami zanieśli krzesło z przywiązany na nim Stodorem do pomieszczenia w załomie komnaty, przesłoniętego ciężką kotarą. - Randulf - rzekł Gromosław - bierz jakąś broń i pilnuj go!

Czambor zakneblował Stodorowi usta, Wojomir wniósł do alkowy dodatkowe krzesło. Randulf pokuśtykał do swojej zbroi rozłożonej na stojaku, wyjął longobardzki sztylet. Następnie, udawszy się do alkowy, przysiadł obok zdeorientowanego Stodora, przyłożył mu ostrze do szyi i wyszeptał:

- Jedno głośne sapnięcie i posłę cię wraz z twoimi zamierzeniami do piekła.

Lekuno przyniósł wieści, które wszystkich zebranych wprawiły w osłupienie. Wszystkich prócz zapewne ukrytego Stodora. U Lutyków wybuchła wojna domowa. Krwawa, okrutna, bezpardonowa. Chyżanie i Czrezipianie zerwali się do ogólnej rewolty przeciwko autokratycznym rządóm żerców z Radogoszczy i dominacji Redarów wewnątrz lutyckiej federacji. Reakcje plemion sąsiadujących z federacją? Podzielone. Rieczanie, odłamy Wkrzanów i Morzycy częściowo po stronie powstańców, częściowo po stronie Redarów. Toleżanie ze wszystkimi grodami wiernie po stronie Radogoszczy. Powstanie wybuchło z inicjatywy i pod przywództwem Stodora. Stodor, uważany dotąd za wiernego sprzymierzeńca i pupilka Radogoszczy, zaskoczył wszystkich. Nikt się tego nie spodziewał ani w Brennie, ani w Gnieźnie, ani w Magdeburgu. Stodor ogłosił się jedynym władcą Połabia. Zamierza zniszczyć Radogoszcz, wyrznąć żerców wraz ze stronnikami i roztoczyć nad tamtejszymi plemionami władzę dynastyczną. Pod jego berłem. Jednocześnie zaatakował grody Stodoranii, łącznie z Kopanikiem, dążąc do odzyskania zagrabionego mu, jego zdaniem, dziedzictwa. Najazd na Kopanik wzniecił iskrę zapalną powstania. Jak się okazało, iskrę w Kopaniku nieudaną, zanim na dobre się zatliła, ale zarzewie ogarnęło Połabie niczym burza. Przedwczoraj powstańcy przy pomocy spieszonych ciężkozbrojnych księstwa Obodryckiego zaatakowali i zdobyli Hobolin. Tamtejszy

książę Unisław poległ w boju. Znaczy, że Stodor zawarł przymierze z Obodrytami, z księciem Mściławem. Teraz na Hobolinie obodrycki garnizon, ale nie wiadomo, kto nad grodem namiestnictwo dzierży. Wszystko wskazuje na to, że syn Unisława, Unibor, dogada się z Obodrytami i za sutą opłatą przejmie dziedzictwo po ojcu i panowanie nad Hobolinem. To nie wszystko. Przepytani jeńcy wyjawili, że po stronie Radogoszczy stanęli Ranowie z Rugii. Ich flotyle krążą wzdłuż wybrzeży Bałtyku i trzymają w szachu porty Obodrytów i Chyżan. Podobno doszło już do zaciętych walk pod Starigardem na wybrzeżu Wagrii i pod Mechlinem, stolicą Obodrytów. Z kolei Obodryci wezwali na pomoc Duńczyków. Nie wiadomo tylko, czy to oddziały samowolnych jarłów poroządzanych na wyspach i trudniących się na przemian to wikińskim rozbojem, to odpieraniem najazdów chąśników, czy też regularne siły duńskiego króla Haralda. Harald, syna Swena Widłobrodego i piastowskiej Świętosławy, siostry Bolesława, pełnił w Danii rządy królewskie pod nieobecność Kanuta, który od roku walczy w Anglii. Niedawno obaj, Kanut i Harald, zjechali do Gniezna i namówili matkę Świętosławę do powrotu do Danii. Zawarli wtedy porozumienie z Bolesławem, ale o ich treści i znaczeniu wiedziało tylko najbliższe otoczenie polskiego władcy. Jakby nie było, zagony duńskich wojowników jak za starych dobrych czasów pojawiły się ponownie na Połabiu, szczególnie w okolicach Rugii i ujścia Odry. Tam z kolei Wolin opowiedział się wiernie po stronie Radogoszczy.

Jednym słowem, całe środkowe i północne Połabie oraz побереże Bałtyku od Odry po Wagrię stanęły w ogniu. Zgroza. A wszystko za sprawą Stodora. Na północ od granic Stodoranii dniami i nocami płoną łuny pożarów, niechybnie oznaka straszliwych walk. Niemcy wpadli w panikę. Nie stać ich na jakąkolwiek reakcję, podobno Henryk niedawno połowę armii w jakiejś straszliwej bitwie przeciwko Polakom wytracił. A w samych Niemczech problemów bez liku. Burgundia się zbuntowała, w Saksonii rody możnowładcze w prywatnych zatargach się pogrążyły, z Italii wieści mocno niepokojące dochodzą, o samowoli Krescencjuszy w Rzymie i wrogich działaniach Bizantyjczyków na południu półwyspu nie wspominając. Cesarz nakazał jedynie wzmocnienie grodów na Łabie, i to wszystko. Nawet nie stać go na zbrojne wsparcie Radogoszczy, z którą przecież pakt zawarł. Chyba że nie chce. A Polacy? Mogliby teraz przecież wykorzystać sytuację i wkroczyć na tereny Lutyków. A przynajmniej na Pomorze i poskromić Wolin za rebelię i pogańską reakcję.

Po odejściu Lekuna natychmiast wyprowadzili Stodora z ukrycia, posadzili przy stole i zdjęli knebel. Pierwsza zabrała głos Matylda:

- Chcesz wyróżnić całą rodzinę? - zarzuciła Stodorowi.
- Trony księstw stodorańskich będą oczyszczone z tych nieudolnych, przekupnych, słabych staruchów - odparł spokojnie - którzy kolaborują z Niemcami i Polakami. A poszczególne księstwa zlikwidowane. Radogoszcz będzie zniszczona, żercy wytępieni. Jest tylko jeden tron,

w Brennie, na którym ja zasiądę i władzę nad wszystkimi plemionami Wioletów roztoczę. Ale - dodał - czy to teraz istotne? Nie tak wyszło, jak planowałem. Tam na zewnątrz powstanie, a ja uwięziony, w niewoli.

- A co z religią? - spytał Gromosław. - Chciałeś utrwaląć pogaństwo czy je wyplenić?

- Co ty rozumiesz pod pojęciem pogaństwo? Gadasz bezwiednie jak bezrozumny chochoł. O wiarę przodków się rozchodzi, przez ludy nasze pielęgnowaną, zanim Chrystus się narodził i do Krzyża dał się przykuć. Nie wiara tu winna, lecz obłeśne źerce lud w strachu, ciemnocie i terrorze trzymający. Postęp hamują, Połabie izolują przed wszystkimi naokoło, zaślepieni w utrzymaniu władzy. Jak ma prosperować kraj, w którym o podjęciu wyprawy wojennej decyduje koń skaczący ponad skrzyżowanymi oszczepami? Co ma zrobić wojownik, gdy mu własna baba zabrania iść na wyprawę, bo tak jej wyszło z grzebania patykami w sadzy ogniska? Durnie z tych źerców, durnie nierozumiejące świata i polityki. Ich zamierzam wytępić i oficjalnie chrześcijaństwo wprowadzić, ale z poszanowaniem tradycji moich poddanych - rzekł Stodor. - A poza tym nie pod kuratelą Magdeburga czy Gniezna. Po objęciu władzy zamierzam biskupów misyjnych z Rzymu sprowadzić. - Po chwili dodał - tak jak ongiś Mieszko, ojciec twojego władcy Bolesława.

- Starej wiary przodków nie wytępisz na Połabiu wśród prostego ludu - odezwał się znienacka Wojomir. - Niejeden już próbował i kończył rozszarpany na sztuki.



- Dałbym radę - odparł Stodor. - Mam już swoje sposoby.

- Ach tam - machnął ręką Wojomir - skłóconego ludu nie pogodzisz, a na przekupienie wszystkich srebra by ci nie starczyło.

- Brak mi słów - Gromosław zabrał ponownie głos. - Gadasz, jakbyś zapomniał, że w naszej niewoli się znajdujesz. Może tyś szalony, człeku? Mówią, żeś w księgach uczony, tak jak nasz Randulf, a to widocznie na rozum źle wpływa. A jednocześnie ślady cierpień za sobą zostawiasz. - Gromosław popił piwa i ciągnął dalej: - Ile w tobie przeciwności! Szlachetność i wielkość nawzajem z bezwzględnym okrucieństwem się wazą. Nie mnie cię oceniać, niech Bolesław decyduje o twoim losie. Odprowadźcie go do baszty.

- Ach, Polacy, nie znacie historii waszej dynastii? - zabrał głos Bernard. - Przecież on nie inaczej zamierza, jak niegdyś wasi Piastowie, którzy do władzy dochodzili.

- Poczekaj - Randulf powstrzymał ręką zmierzającego w kierunku więźnia Czambora - zaciekawiał mnie ten Stodor.

Czambor spojrział pytająco na Gromosława i wrócił na swoje miejsce. Randulf pokuśtykał po komnacie w milczeniu tam i z powrotem, podszedł do stołu, odłożył szczudło, zasiadł naprzeciwko Stodora i zwrócił się do niego:

- Coś mi się o uszy obilo o twoim wykształceniu. Gdzie nauki zdobywałeś?

Stodor wpatrywał się w Randulfa z uwagą. Nalał sobie wina, popił i odpowiedział pytaniem:

- Pochodzisz z Italii, nieprawdaż? Ze szlacheckiego rodu, mniemam?

- Z książęcego. Jestem synem Pandulfa, władcy Benewentu. Splot niepomyślnych wydarzeń przygnał mnie przez Alpy w wasze zimne, niegościnne, barbarzyńskie kraje.

- Księciem jesteś? - zainteresował się Stodor z uznaniem. - Z Benewentu? Byłem tam raz przejazdem w orszaku Ottona III. Hm, to i nauki odpowiednie pobierałeś?

- Nie najgorsze. Nauczycieli miałem przednich, biblioteka na zamku ojca obszerna i zbiorami wypełniona, przeważnie odpisy, ale i oryginałów niemało. Miałem okazję pobuszować w zbiorach klasztoru na Monte Cassino, w Rzymie też parokrotnie przebywałem. A ty?

- Przeważnie w Magdeburgu, w szkole katedralnej. Jako chłopca mnie tam oddali i do stanu duchownego wyuczyć chcieli. Przeczytałem chyba wszystkie tamtejsze pergaminy z odpisami, od Horacego i Cezara, po późnorzymskie podręczniki militarne i dzieła bizantyjskie.

- Jakoś biskupem nie zostałeś.

- Bo ani mi to w głowie. Później wybrałem się trzy razy do Italii, do Rzymu, z wojskami Ottona III.

- Ooo?! I co powiesz o mojej ojczyźnie?

- Kłębowski rozwścieczonych intrygantów, takie odniosłem wrażenie. Ale w domach co poniektórych

patrycjuszy zbiory ksiąg imponujące. Życia nie starczy na ich przeczytanie.

Randulf zastanawiał się nad czymś. Po chwili podjął rozmowę:

- Mówisz, że Cezara czytałeś? Zapewne wojnę galijską?

- Tak właśnie - odparł Stodor. - W Magdeburgu jest jeden odpis *Bellum Gallicum*.

- To pamiętasz, jaki los spotkał Wercyngetoryksa. Poczekaj, objaśnię krótko reszcie towarzystwa, o czym rozmawiamy. - Randulf zwrócił się do przyjaciół i Matyldy przysłuchujących się ich dialogowi. - Przed ponad tysiącem lat Cezar, wielki rzymski polityk i przywódca, najechał legionami na Galię, dzisiejsze królestwo Franków Zachodnich, lub - jak ich od niedawna nazywają - Francję. Genialnymi kampaniami pokonał w krwawych bitwach wszystkie plemiona Galii, od Alp po Morze Północne, od Renu po Atlantyk. To były bitwy! Setki tysięcy zabitych. W jednej z nich sześćdziesiąt tysięcy galijskich wojowników przeciwko trzem rzymskim legionom. Albo zmagania pod Alezją. Okrażonych w grodzie osiemdziesiąt tysięcy pieszych wojowników, z zewnątrz nadciąga z odsieczą ponad dwieście pięćdziesiąt tysięcy następnych Galów, a pomiędzy nimi Cezar z legionami. Możecie to sobie wyobrazić? W jednej bitwie więcej zbrojnych niż mieszkańców w dzisiejszym Magdeburgu, Gnieźnie, Rzymie, Paryżu i Pradze razem wziętych. - Randulf zamyślił się na chwilę. Zaraz ciągnął dalej: - Gdy już cała Galia została podbita, wybuchło powstanie przeciwko rzymskim

najeżdźcom pod wodzą króla Arwernów, Wercyngetoryksa. Cała Galia ponownie stanęła w ogniu walki. Wercyngetoryks pociągnął za sobą niemal wszystkie ujarzmione przez Rzymian plemiona i ogłosił bój o wolność ojczyzny. Po pierwszych sukcesach został jednak sromotnie przez Cezara pobity, wzięty do niewoli i uduszony po latach w rzymskim lochu. Wiesz - Randalf zwrócił się bezpośrednio do Stodora - tak mi się porównania nasunęły między tobą a Wercyngetoryksem.

- Bzdura - odparł Stodor. - Nie słuchajcie go, historie opowiada prawdziwe, ale niemające nic wspólnego ze mną i Połabiem. Po pierwsze, Połabie zerwało się do powstania z wielkim sukcesem w 983 roku. Wygnano Niemców za Łabę, zniszczono ich garnizony i spalono kościoły. Po drugie, Wercyngetoryks nie był wcale takim utalentowanym wodzem, obrał złą strategię. Po trzecie, i co najważniejsze, ja walczę o zjednoczenie Połabia pod moim przywództwem, moimi wrogami są kasta kapłanów w Radogoszczy i zgnuśniali, skorumpowani niemieckim i polskim srebrem członkowie mojego rodu, mieniący się władcami Stodoranii.

- Kopanik jest lennikiem Polski, napadając nań, wszcząłeś wojnę z Bolesławem - zauważył Gromosław.

- Brenna i Hobolin są stolicami naszych niemieckich biskupstw, zatwierdzonych przez papieża - dodał Bernard. - Nie zmienisz już tego, kościół niemiecki powróci tutaj, upomni się o swoje prędeż czy później.

- Ty wielkim wodzem, tak? - wmieszał się niespodziewanie Wojomir. - Król Połabia, tak? Naiwny

jesteś, nieważne, jaka twoja godność, zobacz, jak skończyłeś, zanim cokolwiek zacząłeś! – wykrzyknął. Podeszedł do komina, splunął w buzujące płomienie i mruzczał coś niedosłyszalnie pod nosem. Wszyscy wpatrywali się w niego, zdumieni nieco tą gwałtowną reakcją. Wojomir odwrócił się od komina i rzekł do Stodora bardziej opanowanym głosem: – Tak jak ty, też trzymałem głowę w chmurach. Długo. Zanim chmury się rozwiały wraz z marzeniami. – Skierował się do wyjścia, rzekłszy na odchodnym: – Obowiązki wołają, idę dopatrzeć wszystkiego przed zapadnięciem nocy.

Ponieważ nikt nie kwapił się do dalszej dyskusji, na znak Gromosława Czambor przywołał strażników i odprowadzili Stodora do baszty. Gdy zostali sami, Randulf zauważył, że Stodor umiejętnie unikał odpowiedzi na pytania zasadnicze: dlaczego ich uratował i jak zamierzał wprowadzić chrześcijaństwo, nie narażając się na bunty ludności. Nikt mu nie odpowiedział, każdy z osobna zagłębiany we własnych myślach. Wtedy Randulf zaznajomił ich z treścią rękopisu znalezionej w rzeczach Stodora. Ale i to nie wzbudziło u nikogo zainteresowania. Gromosław wydał zarządzenia: zapowiedział wysłanie następnego dnia posłańców z najnowszymi wieściami do Bolesława, zwiększenie podjazdów patrolujących północne rubieże Kopanika i wzmocnienie wart na wałach. W tym czasie wrócił Czambor i zauważył:

– Dzień przeminął, ziąb mrocznawy za oknami, a piwo nie chce jakoś do głowy wejść.

- Zgrabnie powiedziane - pochwalił go Randulf. - Lepiej bym tego nie ujął.

- Za dużo się w ostatnich dniach wydarzyło. - Matylda powstała od stołu, dopiła ostatni łyk wina, po czym westchnąwszy, rzekła: - Idę spać, przedtem wstąpię do Stodora porozmawiać jeszcze.

- Poczekaj - zawołał do Matyldy Gromosław i zerwał się na nogi. - Jutro rano wyprawimy się na polowanie, ja i ty, pokażesz mi przy okazji okolice Kopanika, no i te sztuczki przeróżne... - Matylda spojrzała na niego z zaokrąglonymi ze zdumienia oczami - ...znaczy sztuczki z łukiem i strzałami - dokończył Gromosław.

- O, jakie zdecydowanie - rzekła Matylda z lekkim rozbawieniem w głosie. - A nie powinienes na zdrowie zważać, Gromo? Bo mogę się do ciebie zwracać jak twoi przyjaciele, Gromo, nieprawdaż? - po czym dodała: - Ledwo z łoża zszedłeś, a medyk przecież napomina, żebyś na głowę uważał, uczynków gwałtownych unikał, bo znowu zaczniesz płuć strupami.

- Co tam - odparł Gromo i potrząsnął głową. - Mroźny wiatr i pęd konia słabości do końca przewieją. To jak? Z samego rana?

- Z samego rana - zgodziła się niespodziewanie Matylda. Skierowała się do wyjścia, choć jeszcze na odchodnym odwróciła się i rzekła do zebranych w komnacie: - Ale macie dowódcę! Narwany i we wrzątku kąpany.

- Nie narwany, tylko jak na prawdziwego dowódcę przystało - zawołał za nią Czambor - zdecydowany!

Faktycznie, następnego dnia o poranku Matylda i Gromosław wybrali się na polowanie. Oczywiście przyjaciele Gromosława nie powstrzymali się przed przeróżnymi komentarzami. W ciągu dnia, po powrocie z polowania, Matylda zaszyła się w swoich komnatach, nie schodząc nawet na obiad do sali biesiadnej. Po południu zawitała do nich na krótko, oznajmiając, że wieczór spędzi przy łożu umierającego ojca. Natomiast Gromosław z wielką energią zabrał się do przejmowania zadań, które do tej pory zastępczo w jego imieniu wykonywali Wojomir i Czambor. Przyjaciele odetchnęli z ulgą - dowódca wracał do pełni sił. W południe wysłał gońców do Bolesława, zawiadamiając między innymi o wojnie domowej u Lutyków. Wieczorem naradzali się wspólnie nad najbliższą przyszłością, rozmowy przeciągnęły się do późnej nocy. Najbardziej martwił ich stan zdrowia Bernarda. Wyglądało na to, że jeszcze tygodniami będzie leżał przykuty do łoża. Postanowili, że następnego dnia Bernard i Randulf przeprowadzą się na pojedyncze komnaty. Poza tym wciągnęły ich rozmowy z Aelfgarem. Chłonęli ciekawie wieści z dalekiej Anglii. Udając się na spoczynek, Gromosław pożegnał przyjaciół i opuścił salę biesiadną. W drodze do własnej komnaty naszała go chęć wstąpienia na krótko do Stodora, być może nie spał jeszcze, a rozbiegane myśli nie dawały mu spokoju. Wyszedł na krużganek książęcego kasztelu i skierował się w stronę wyjścia

prowadzącego bezpośrednio na koronę wału obronnego. Powitał patrolujących na przedpiersiu strażników i podążył do majaczącej w ciemnościach baszty wbudowanej w linię wału. W baszcie najwyższe piętro należało do Matyldy, przedostatnie, do którego prowadziła droga wałowa, zajmował Burzysław. Z racji tego, że Burzysław przebywał w Gnieźnie, w jednej z jego komnat umieszczono Stodora. Do ściany nad łóżem przykuto masywne koło z grubym łańcuchem, którego drugi koniec przytwierdzono do zamykanej na klucz żelaznej obroży okalającej łydkę Stodora. Łańcuch ograniczał mu przestrzeń ruchów, na pół metra od okna do drzwi na wyciągnięcie ręki, na tyle tylko, by mógł załomotać w razie potrzeby. Gdy Gromosław zjawiał się niespodziewanie na korytarzu przedostatniego piętra, wystraszył trzech strażników strzegących wejścia do Stodorowego więzienia. Jego ludzie, wybrani spośród lubuszańskiej jazdy. Mógł na nich polegać.

- Gromo, co cię nachodzi po nocy? - rzekł jeden z nich, spojrzawszy na niego ze zdziwieniem. - Tutaj wszystko w porządku, Stodor przed półtorej godziną skończył posiłek, odwiedził latrynę i teraz pewnie śpi. A my tu sobie po cichu w kości pogrywamy. I popijamy przednie piwo, ale tylko dla posmakowania.

- Śpi? - spytał Gromosław z odcieniem wahania. - Szkoda, coś mi po głowie chodzi. Zapytam go jutro. A wy nie grajcie o zbroje i oręż, bo później jeden z drugim jak dziady wyglądacie, gdy do boju stawać trzeba.



- Nie, skąd! - odparł wojownik. - Tak tylko ćwiczymy dla zabicia czasu. A gdyby co, to mamy przecież piękne łupy po ostatnich bitwach, byłoby o co kości turlać.

- To sobie ćwiczcie, byleby tylko nie posypiać, bo Bolesław by mnie ze skóry obdarł, gdyby Stodor uciekł, a przedtem ja zdążyłbym jeszcze wami się zająć.

- Ale, ale - obruszył się inny ze strażników - biadolisz, jakbyś nas nie znał. Jakim cudem ma uciec?

- Odwiedzał go ktoś dzisiaj? - spytał jeszcze Gromosław, szykując się do odejścia.

- Po kolei wszyscy przyjaciele z twojej kompanii, najpierw kuśtykający Randulf, potem ten wielgachny Czambor, po nim bardzo długo przesiedział u Stodora Wojomir, ale wybiegł wzburzony, a na koniec ta ślicznotka, księżna. Czambor to nawet przysiadł z nami na krótko dla poturlania kości.

Gromosław pożegnał się z nimi i podążył korytarzem w powrotną drogę. Przechodząc obok schodów prowadzących na ostatnie piętro, usłyszał własne imię wypowiedziane tonem zawierającym ni to pytanie, ni to stwierdzenie: „Gromo?”. Spojrzał w górę schodów, skąd dobiegł go głos. Na półpiętrze, przed wielkim oknem przedzielonym w połowie kamienną kolumnką, stała Matylda. W narzuconej na ramiona pelerynie z lisim kołnierzem, spod której wypływała długa nocna suknia, z pucharem wina w prawej ręce. Stała i wpatrywała się w nocne niebo pokryte mrowiem pobłyskujących gwiazd. Gromosław wszedł na górę i przystanął obok, spozierając

na profil jej twarzy. Zamierzał już coś powiedzieć, ale go uprzedziła:

- I co, chciałeś uwolnić mojego kuzyna? - spytała z lekkim półuśmiechem Matylda. Oderwała wzrok od nieba i upiła wina, spoglądając na niego znad brzegu pucharu uwodzicielską czernią oczu. Głęboką czernią odbijającą iskierki gwiazd. Wpatrywał się w nią, oczarowany, próbując ukryć oblewające go fale uczuć. „Powiedz coś, durniu”, pomyślał, „że ją miłujesz, że chcesz się oświadczyć, że... gdzie twoja rycerska odwaga?”. Ale milczał. Po dłuższej chwili wzajemnego wpatrywania się w siebie Matylda odstawiła kielich na gzyms okna. Zbliżyła się do Gromosława, położyła mu dłoń na ramieniu i wyrzekła szeptem:

- No chodźże wreszcie.

Po czym pociągnęła go z powabem w stronę uchylonych drzwi komnaty. Gwiazdy zamrugały tysiącami figlarnych mgnień, jakby wołając za nimi: radujcie się nocą, nim czar prysnie! Tej nocy Gromosław i Matylda wyznali sobie miłość, snując wspólne plany na przyszłość.

\* \* \*

Czar nie prysnął, lecz późnym rankiem małym światem Kopanika wstrząsnęły dwa wydarzenia, wyrywając Matyldę i Gromosława z miłosnego błogostanu. Dzwon na wieżycze kaplicy rozkołysał po okolicy smutną wiadomość o śmierci Tęgobira. A gdy Gromosław i Matylda zbiegali schodami w dół baszty, zderzyli się na półpiętrze z gromadą

zbrojnych: Stodor uciekł. W ciągu nocy. Ściskająca łydkę Stodora obroża z łańcuchem przymocowanym do ściany, mająca trzymać go na odległość od okna, leżała rozwarta na łożu. Ktoś wszedł tu z kluczem i otworzył ją. Do kolumnienki przedzielającej okno przywiązana była lina ginąca na zewnątrz w czeluściach. Długa lina, po której Stodor zsunął się na dół murem baszty bezpośrednio na skrawek piaszczystej łachy okalającej zewsząd wał grodu. Tam musiała już czekać na niego łódź, a raczej łódka, którą przepłynął wartkie wody rzek i wylądował suchą nogą na północnym brzegu Szprewy. Tam z kolei musiał się przesiąść na konia. Tyle po Stodorze. Przepadł bez wątpienia na wieleckich ziemiach objętych powstaniem, które sam rozniecił. Mało tego. Wybawca lub wybawcy Stodora dostarczyli mu jego dobytek wraz ze zbroją i orężem. Jedynie legendarny sztandar Wioletów ostał się bezpiecznie, złożony w książęcym skarbcu Kopanika. Wysłani na poszukiwania zwiadowcy dotarli aż pod lutycką granicę, choć powrócili bez rezultatu, meldując jedynie o łunach pożarów na dalekim północnym horyzoncie. Gromosław oszalał ze wściekłości, podsyconej dodatkowo strachem przed gniewem Bolesława. Wszczął natychmiast śledztwo, lecz na nic zdały się przepytywania. Żadnego punktu zaczepienia. Gromosław cały dzień prowadził ostre przesłuchania, nie szczędząc nikogo, kto tylko miał dostęp do książęcej części grodowej. Trzej pilnujący Stodora strażnicy, z którymi Gromosław jeszcze poprzedniego wieczora rozmawiał i na których w pełni polegał, leżeli

nieprzytomni przed drzwiami do celi uciekiniera, zmagając się ze śmiercią. Po przebadaniu medyk zawyrokował, że zostali otruci. Ale czym? Nie znaleziono przy nich żadnych resztek jadła czy napitku. Dla Gromosława był to pierwszy punkt zaczepienia, przypomniał sobie przecież, jak poprzedniego wieczora strażnicy podczas rzucania kośćmi raczyli się piwkiem z wielkiego dzbana. Po dzbanie z zatrutym bez wątpienia piwem ani śladu. Sprawca lub sprawcy usunęli wszelkie ślady. Gromosław nie ominął przepytywaniami nawet swych przyjaciół i Wojomira. Wojomir z kolei rzucił mimochodem podejrzenie na Matyldę, że niby kuzyni, rodzina, to kto wie. Pograżona w żalu i rozpacz po utracie ojca Matylda, dowiedziawszy się przez służbę o słowach Wojomira, znalazła w żałobie chwilę czasu, by wstąpić na krótko do sali biesiadnej i oznajmić, że ona nie ma z tym nic wspólnego. Zmieszany Gromosław dodał, że potwierdza osobiście słowa Matyldy. „A skądęś taki pewny?”, nalegał na niego Wojomir. „Nie twoja w tym rzecz”, odparł poirytowany Gromosław, ucinając zapędy Wojomira. Tracił powoli panowanie nad sobą, a może wzburzyły go insynuacje Wojomira, gdyż niespodziewanie zażądał wyjaśnień od zabiedzonego chorobą i pobladłego z bólu Bernarda. Oburzony Randulf chwycił Gromosława za ramiona, wykrzykując: „Oszalałeś?! Spójrz na niego!”. Czambor również stanął w obronie saskiego rycerza, nie omieszkując zarzucić Gromosławowi złośliwie: „może to ty uwolniłeś Stodora, a teraz odstawiasz przedstawienie?!”. Przez cały wieczór siedzieli w sali

biesiadnej, nie rozmawiając ze sobą, każdy pogrążony w ponurych myślach unoszonych na falach pochłanianego wina i piwa.

\* \* \*

Tak mijały następne dni – w przygnębiającej atmosferze przygotowań do pogrzebu Tęgobira, spotęgowanej nastrojami wzajemnej nieufności i niewypowiedzianych podejrzeń, wywołanymi ucieczką Stodora. Gromosław z troski o ukochaną otoczył Matyldę delikatnymi czułościami i nienarzucającą się opiekuńczością. Matylda otrząsnęła się niebawem z zasepionego nastroju, wykazując hart ducha i więcej opanowania niż niejeden zatwardziały wojownik. Zwróciła Gromosławowi uwagę, że należy jak najszybciej wysłać pilnych gońców do Gniezna dla sprowadzenia Burzysława, tak by zdążył na pogrzeb ojca, zaplanowany na pierwszy piątek października, czyli za niecałe dwa tygodnie. A jednocześnie należało powiadomić Bolesława o śmierci księcia Kopanika i oficjalnym objęciu tronu przez Burzysława. Gromosław odparł, że wysłał posłańców już dzień po śmierci Tęgobira, zarówno do Gniezna, jak i do Bolesława. Zresztą do Bolesława już dwukrotnie, ale bez rezultatu, gdyż do tej pory nie było wiadomo, gdzie akurat przebywa polski władca.

Dopiero po ponad dwóch tygodniach od bitwy o Kopanik pojawili się w końcu posłańcy od Bolesława, jeden z ustnymi wiadomościami dla Gromosława, dwóch podążyło w tajnej misji dalej, do Brenny, z pismami dla Sławigosta.

Bolesław wyrażał zadowolenie z pomyślnie przeprowadzonej odsieczy Kopanika. Ubolewał nad poniesionymi stratami, lecz bez cienia nagany czy gniewu, napomykając, że przegnanie Lutyków było zadaniem najwyższej wagi. Stodora mają trzymać pod strażą, ale traktować z należytych respektem i w miarę gościnnie.

- Gościnnie? Z respektem? - Wystraszzonego Gromosława ogarnęła panika. Wiedział, że ten moment musi nadejść, ale teraz, gdy nadszedł... Spojrzał w ziemię, zbierając myśli. Posłaniec wpatrywał się w niego wyczekująco. W końcu Gromosław odetchnął głęboko i oznajmił z nutą desperacji w głosie: - Stodor uciekł. Przed kilkoma dniami. Zniknął bez śladu. Na nic śledztwo i przesłuchania, nadal nie wiemy, kto go uwolnił spod klucza i dopomógł w ucieczce. - Widząc całkowite zaskoczenie na twarzy posłańca, zaczął wyrzucać z siebie niemal chaotycznie szybkie półzdania, jakby nie chcąc dopuścić go do słowa: - I wiele innych rzeczy się wydarzyło: Tęgobir zmarł od odniesionej rany... Burzysław musi jak najszybciej powrócić, by na pogrzeb zdążyć... Na ziemiach Wioletów wybuchło powstanie... Bernard męczy się w boleściach, walcząc z ranami, nie wiadomo, kiedy na nogi powstanie... Randulf kuśtyka jak żebrak pod kościołem... Oddziały mam przetrzebione po bitwie o Kopanik, a tu przecież powstanie u Wioletów... Bolesław dopiero teraz daje o sobie znać, a przecież już dwukrotnie wiadomości wysyłałem... A właśnie - Gromosław przerwał raptownie

tyradę i spytał posłańca ze zdziwieniem: - Gdzie właściwie przebywa nasz władca?

Posłaniec zwlekał z odpowiedzią, najwyraźniej zaskoczony wybuchem Gromosława. W końcu odparł:

- Bolesław przebywał nad Bugiem, na granicy z Rusią, dlatego tak długo trwało, zanim dotarły do niego pierwsze wieści od ciebie. Od jakiegoś czasu podąża z wojskiem na obrzeża Pomorza, szlakiem przez Lubusz i Santok.

- Z całą armią?

- Nie, jedynie z niecałym tysiącem jazdy.

- A ja? Mówiłem, że oddziały mam przetrzebione i...

- Mają zostać w Kopaniku do odwołania. Natomiast ty masz natychmiast podążyć w kierunku Lubusza, odnaleźć obóz Bolesława i przekazać mu Stodora. Znaczący tak było planowane. A w tej sytuacji stawisz się u Bolesława sam, bez Stodora.

Posłaniec wyjawiał mu szereg kolejnych wieści, z którymi Gromosław udał się natychmiast do sali biesiadnej, by podzielić się nimi z przyjaciółmi. Co z dalszą wojną z Niemcami? Na razie wstrzymano działania wojenne, i to z różnych przyczyn. Henryk po klęsce kampanii przeciwko Polsce stanął w obliczu kilku zagrożeń naraz: wojna z opozycją Burgundii, uśmierzanie zamieszek w północnej Italii i poskromienie feudalnych zatargów między możnymi Saksonii. Polacy również nie byli zdolni do podjęcia kroków zaczepnych. Bitwy pod Krosnem i w lesie Dziadoszan nadkruszyły poważnie stan liczebny armii. Do tego nieudany wypad Mieszka na Miśnię. Podeszli w siedem

legii, zajęli podgrodzie i szykowali się do szturm na gród, gdy raptem wylała Łaba. A wojsko straciło dyscyplinę, zajęte grabieniem podgrodzia. Mieszko wycofał się ze stratami. To nie wszystko. Na Rusi szykuje się wojna domowa, o ile już nie wybuchła. Po śmierci władcy Kijowa i pana całej Rusi Włodzimierza w połowie lipca tegoż roku jego synowie skoczyli sobie do gardeł w zmaganiach o kijowski tron. Jak pamiętacie, jednym z synów Włodzimierza jest Światopełk, zięć Bolesława, wtrącony przez ojca w 1014 roku do kijowskiego więzienia za próbę usamodzielnienia się i sprzyjanie naszemu władcy. Wraz ze Światopełkiem Włodzimierz uwięził również jego żonę, córkę Bolesława imieniem Wierzysława, i biskupa Rainberna, tego, co go pogańska nawała przegnała z kołobrzesckiej diecezji w 1003 roku. Dlatego Bolesław zaraz po bitwie w lesie Dziadoszan podążył spieszenie z armią i zbieranymi po drodze odwodami nad Bug, na granicę z Rusią dla uwolnienia zięcia, córki Wierzysławy oraz Rainberna. Zanim jednak nasi dotarli nad Bug, Światopełk umknął z więzienia i przejął władzę w Kijowie własnymi siłami. Natomiast największy konkurent Światopełka, a zarazem jego brat przyrodni Jarosław, usadowił się w Nowogrodzie. Los Rainberna nie jest znany, prawdopodobnie już nie żyje. Bolesław nie mógł się dalej angażować w sprawy Rusi, gdyż jednocześnie doszły doń niepokojące wieści znad granicy z Lutykami i zachodnim Pomorzem, a także utarczki Morawian z Czechami. Zawrócił więc wojska z marszu na wschód, mając nadzieję,



że Światopełk poradzi sobie sam na kijowskim tronie, a jednocześnie wydobędzie żonę z niewoli. Ale w otoczeniu doradców Bolesława wszyscy szemrają, że pomiędzy Światopełkiem a Jarosławem dojdzie niebawem do krwawej rozprawy i być może trzeba będzie wnet ponownie ruszać na Ruś. Zobaczymy, co pokaże najbliższa przyszłość. W drodze powrotnej dotarli do Bolesława pierwsi z wysłanych przez nas gońców, informując go o wydarzeniach w Kopaniku, o bitwie i pojmaniu Stodora. Wraz z naszymi gońcami do Bolesława przygnali również konni wysłani przez grody strzegące pomorskiej granicy. Okazało się, że na południe od Szczecina siły lokalnych piastowskich namiestników stoczyły zaciętą bitwę i rozgromiły idące na rozbój oddziały Wolina, Szczecina, Kamienia i Kołobrzegu. W tym samym mniej więcej czasie, gdy my walczyliśmy tutaj o Kopanik. O zwycięstwie Polaków zadecydowało niestawienie się armii lutyckiej po stronie przeciwnika. „Dlaczego?“, zastanawiano się. Co się stało z Lutykami, którzy najpierw wszczęli rozruchy antychrześcijańskie na Pomorzu Zachodnim, wyrywając je spod polskiej kontroli, a teraz nie przysłali zbrojnego wsparcia? Wiadomość nadeszła akurat po tym, jak Bolesław rozesłał już większość wojsk na zimowe pielesze, część na graniczne garnizony, resztę na grody rodzinne. Ostał się przy nim jedynie, prócz przybocznej gwardii, kontyngent jazdy z Santoka, który zamierzał osobiście odprowadzić władcę na zimowisko, razem około tysiąca ciężkozbrojnych. Czyli i tak podążał w kierunku granicy z Pomorzem

Zachodnim. W tej sytuacji Bolesław wysłał szpiegów na Połabie dla wykrycia przyczyny pasywnego zachowania Lutyków. A jednocześnie wyruszył na czele dostępnej mu jazdy w kierunku pomorskiej granicy. Nie żeby planował większą wyprawę czy zakrojoną na dłuższy czas kampanię, bo ani pora roku do tego nieodpowiednia, ani liczba prowadzonego wojska niewystarczająca. Chodziło mu raczej o zorientowanie się w sytuacji. „Być może dotarli już do Bolesława wysłani przez nas za drugim razem gońcy i zawiadomili go o wybuchu wojny domowej u Lutyków?”, zastanowił się pytająco Czambor. Przynajmniej teraz stało się jasnym, dlaczego Lutyicy pozostawili Pomorzan własnemu losowi – zajęli się wzajemnym wyrzynaniem. Na koniec Gromosław poinformował, że musi natychmiast ruszać w drogę na spotkanie z Bolesławem, który w drodze na Santok rozłoży się obozem niedaleko Lubusza. Czambor podąży wraz z nim, Randulf i Bernard mają się dalej kurować, a Wojomir dopomagać Matyldzie w zarządzaniu grodem. Zdobyty na Stodorze sztandar Wioletów, zrolowany i opakowany w skóry, wezmą ze sobą i przekażą Bolesławowi, niech władca decyduje, co z nim uczynić.

---

\* *Fanculo, a tutti voi bastardi* (wł.) – Pieprzcie się, wszyscy dranie!

## IV

# *Lubusz*

Popołudnie chyliło się ku wieczorowi, gdy wyruszyli. Gromosław zamierzał początkowo zabrać ze sobą jedynie kilku zbrojnych z własnej lubuszańskej jazdy, lecz gdy oznajmił, że będzie podążał przez Lubusz, zgłosiło się kilku chętnych chcących odwiedzić rodziny, tak więc ostatecznie zabrał ze sobą niewielki, dwudziestoosobowy oddziałek. Na więcej nie mógł sobie pozwolić, nie chcąc zbytnio osłabiać nadwątlonych sił Kopanika. Nie wiadomo, czy pożoga wojny domowej nie przygna tu większych lutyckich oddziałów. Czambor rzucił na odchodnym półzartobliwie do Bernarda i Randulfa: „Dam wam znać, gdy Bolesław ukarze Gromo za utratę Stodora, zdegraduje go do szeregowego tarczownika i wyśle gdzieś do zapadłej strażnicy na ruskim albo pruskim pograniczu. Trzeba wiedzieć, gdzie przebywa przyjaciel, gdy przyjdzie nam go odwiedzić”.

W Lubuszu Gromosław nareszcie zobaczył się z ojcem, matką i piętnastoletnią siostrą Zwodziśławą po ponad roku niewidzenia. Zrelacjonował szybko przeżyte wojenne przygody, zawiadamiając z rozpierającym go szczęściem, że zakochał się w Matyldzie i planują zaręczyny na Boże

Narodzenie, a ślub na Wielkanoc następnego roku, zanim Bolesław ruszy wojska na którąś z kolejnych wojen. Rodzice ucieszyli się niezmiernie na wszelkie nowiny. Ojciec Wodzisław ostudził nieco zapał Gromosława, dodając, że do swadźby, czyli wesela, droga jeszcze daleka. Wprzód należy uzyskać zgodę Bolesława na ślub z Matyldą. Matylda jest księżącą córką, a obowiązujące prawo stanowi, że o zaślubinach członków rodów dynastycznych decyduje ostatecznie władca panujący. Takie to już prawo i nie da się go obejść. Nie wiadomo, czy Bolesław ze względów politycznych nie zamierza, lub zamierzał, oddać rękę Matyldy komu innemu. Dodatkowa trudność wynikała z faktu, że umarł Tęgobir, a przecież swatów i dziewosłębów należy wysłać – tylko do kogo, skoro ojciec Matyldy nie żyje? Wodzisław zaproponował synowi, że uda się wraz z nim do Bolesława i poprze jego starania. Ma przecież u Bolesława duże poważanie za zasługi oddane nie tylko jemu, lecz także i jego ojcu Mieszkowi. Na to zmieszany Gromosław, widząc rosnący zapał ojca, opowiedział o Stodorze i jego ucieczce, i że raczej z tego powodu spodziewa się prędzej kary z rąk polskiego władcy niż łaskawości. Wtedy Wodzisław tym bardziej się uparł, że musi mu towarzyszyć i stawić się w jego obronie przed Bolesławem. Jednak Gromosław odmówił zdecydowanie pomocy ojca. Jest dorosły i sam musi stawić czoła problemom, które spowodował. Gdy się nieco uspokoił, Wodzisław przypomniał sobie o rzeczy najważniejszej: że przecież Bolesław nocował w Lubuszu przed dwoma dniami

i zapowiedział, że rozłoży się obozem na północny wschód od Lubusza, po drugiej stronie Odry, zaraz za spalonymi resztkami pradawnej stancy, strzegącej w niepamiętnych czasach płytkich brodów na rzece. Na dłuższe pogawędki zabrakło niestety czasu. Po posiłku Gromosław ruszył wraz z Czamborem i oddziałem dalej, w stronę pogorzeliska na Odrze, na spotkanie z Bolesławem.

Wbrew obawom władca nie okazał zbytniego gniewu, ale też nie ukrywał rozczarowania. Najwyraźniej w obliczu zaistniałej sytuacji politycznej wiązał ze Stodorem jakieś plany. Jakie, nie chciał początkowo wyjawić, ale oznajmił, że wysłał już specjalnych posłańców mających dotrzeć do Stodora i przekazać mu tajne poselstwo. Dopiero na pytające i skonfundowane miny zebranych wokół dowódców Bolesław wyjawiał swój punkt widzenia. Powstanie może okazać się korzystnym dla Polski. Lutycy, wybijając się nawzajem, osłabiają własny potencjał militarny, a tym samym możliwości odparcia ataku z zewnątrz. Nadarzała się świetna okazja do uderzenia na nich lub na grody pomorskie pozbawione lutyckiego wsparcia, lub nawet na jednych i drugich jednocześnie, lecz niestety nie sprzyjały temu okoliczności.

- Wojsko nasze ucierpiało srodze tego roku w bojach z Niemcami i ich sojusznikami - wyjaśniał Bolesław. - Zarówno jazda ciężkozbrojna, tarczownicy, jak i garnizony naszych połabskich grodów poniosły duże straty. Tegoroczną kampanię wygraliśmy wprawdzie, lecz nie stać nas teraz na szybkie podjęcie kolejnej wielkiej wojny - ani

zaczepnej, ani obronnej. Dobrze, że nasi wrogowie wokół również trudnościami oplątani i nie są zdolni do wojny zaczepnej. A po drugie, nadchodzi zima, i to ostra, jak zapowiadają. Rankami już pola szronami przykryte. Do wyprawy zimowej nie jestem przygotowany. A nadciągnąłem tutaj z innymi zamiarami. Gdy doszły mnie słuchy, że nasze wojska graniczne rozbiły w bitwie niedaleko Szczecina oddziały pomorskie, postanowiłem osobiście na miejscu przyjrzeć się sytuacji. Dlatego przyprowadziłem tylko jeden tysiąc jazdy. Wieść o wybuchu powstania dotarła do mnie zbyt późno, gdy już byłem w drodze. - Bolesław zrobił przerwę, uchylił wina i spojrzawszy na Gromosłowa, ciągnął dalej: - Wielka szkoda, Gromosławie, że Stodor umknął, ale nie da się tego odwrócić. Zaprzepaszczona okazja. Może przeciągnąłbym go na naszą stronę, może nie, ale przynajmniej próbowałbym wyciągnąć z tego polityczne korzyści.

- Wybacz, władco, że się wtrączę - przerwał mu Gromosław - ale spędziliśmy ze Stodorem wiele godzin na rozmowach. Sprawia wrażenie mocno zaciętego w swych zamiarach. Pragnie jedynowładztwa nad całym Połabiem i wrogość w sercu zarówno do nas, jak i do Niemców nosi. Człek to zarówno ponad miarę uczony, jak i doświadczeniem wojennym błyszczący. Nosi się dumnie na miarę królów. Z tego, co wszyscy powiadają, nienawidzi chrześcijaństwa, ale coś mi się widzi, że on ma jedynie uraz do metropolii w Magdeburgu. Tak naprawdę to chce schryścianizować Połabie, choć w całkowitej niezależności

od Niemców i od nas. Nie wierzę, by poszedł na układy z nami.

- Gromosławie - odparł Bolesław po zastanowieniu - właśnie dlatego prędzej bym z nim doszedł do porozumienia niż ze wszystkimi członkami jego dynastii razem wziętymi. Odnoszę wrażenie, że Stodor to przywódca z prawdziwego zdarzenia, idący bezwzględnie po trupach dla osiągnięcia celów, ale jednocześnie potrafiący trzeźwo ocenić sytuację polityczną. Jeżeli wygra walkę z Radogoszczą, to bądź pewien, że wprowadzi chrześcijaństwo i wtedy lepiej by było mieć go za sojusznika. Henryk by oszalał i Niemcy mogliby na zawsze zapomnieć o wcieleniu Połabia do cesarstwa. Gotów byłbym uznać go za udzielnego władcę, oczywiście jako wasala Polski, ale za cenę dużych ustępstw, tak by nie stracił na reputacji i znaczeniu. Misje kapłańskie wyszłyby spod mojej kurateli, oddałbym mu za żonę moją najmłodszą córkę... - Nagle Bolesław przerwał. - Koniec z gdybaniem, jest jak jest. Uciekł. Albo wygra, albo żercy rozćwiartują go przed plugawym Swarozycem. Zobaczymy, czy moi posłańcy go odnajdą. Niezależnie od tego na wiosnę uderzamy na Pomorze Zachodnie. Wojna u Lutyków na pewno przeciągnie się przez zimę i grody pomorskich odszczepieńców zostawione będą na własną dołę. Na wiosnę po Wielkanocy ruszamy z całą naszą potęgą na Szczecin, Wolin, Kamień i Kołobrzeg. Muszę odbić Pomorze, zanim zemrę i spotkam ojca w czyścicu, inaczej będzie mi rzędził do końca świata, że spadku nie upilnowałem.

Koniunktura będzie po naszej stronie, Niemcy, zajęci na innych frontach, przez następne dwa lata nie odważą się na kolejny najazd na moje państwo. Rusy osłabione wewnętrznymi zatargami. Mam też nadzieję, że mój zięć Światopełk, dobry władca, tylko pech go prześladowuje, utrzyma się na kijowskim tronie do czasu, aż rozprawię się z Pomorzem. Bo niechybnie przyjdzie nam w niedalekiej przyszłości wkroczyć na Ruś i zaprowadzić tam porządek. Ale to już nie wasza sprawa.

W trakcie toczonyj dalej narady postanowiono wzmocnić garnizony w Kopaniku, Lubuszu i Santoku. Jednocześnie wysłano szereg podjazdów zwiadowczych, zarówno na Połabie, jak i Pomorze Zachodnie, mających na bieżąco informować o rozwoju sytuacji. Na zakończenie, gdy zebrani poczęli powstawać i opuszczać namiot władcy, Bolesław zatrzymał Gromosława i nakazał gwardziście, by sprowadził Czambora. Po nadejściu gdańszczanina Bolesław wskazał mu miejsce obok Gromosława i zażądał, by opowiedzieli w szczególności o wydarzeniach w Kopaniku. Wysłuchiwał ich uważnie, nie przerywając. Raz tylko, gdy Gromosław wspomniał o zdobyciu sztandaru Wioletów, Bolesław zażądał, aby natychmiast przyniesiono zdobycz do namiotu. Rycerz z drużyny Gromosława przyniósł pakunek i rozwinął sztandar na podłodze. Dopiero gdy opuścił namiot, Gromosław podjął dalsze relacjonowanie, wodząc oczyma za Bolesławem spacerującym wokół sztandaru. Po jakimś czasie Gromosław skończył opowiadać. W namiocie zapadła cisza. „Taaak”, rzekł Bolesław rozkraczony przed



sztandarem, jakby błakając się w innym świecie, „wielki biały orzeł... dumniej się prezentuje od cesarskiego”. W końcu zasiadł na powrót do stołu.

- Mam już diadem cesarski na głowie, mam tron Karola Wielkiego wygrzebany w grobowcu w Akwizgranie, mam włócznię świętego Maurycego, mam tasak, którym święty Piotr odciął ucho Malchosowi, gdy ten przyszedł pojmać Jezusa w Ogrodzie Oliwnym, a teraz posiadam pradawny sztandar Wioletów - wyrzekł Bolesław ni to stwierdzeniem, ale jakby o coś pytając. Gromosław i Czambor milczeli, nie wiedząc za bardzo, jak zareagować. Wtrącić coś, pochwalić, zapytać, okazać podziw? Ale ponieważ Bolesław nadal wpatrywał się w nich z uwagą, Gromosław zaryzykował, pytając z respektem:

- Wodzu i władco, skarby to niezwykle, potężne, relikwie prastare...

- Mam też silne i rozległe państwo, mam armię liczną i bitną, ba, niezwyciężoną! - Bolesław przerwał Gromosławowi głębokim głosem. - Mam lud wiernie mi poddany, mam wielmożów mi lojalnych, mam szczątki świętego Wojciecha. Obce monarchy naokoło pobite przed Polską ze strachu się kulą. Cesarz kąsa jak wściekły pies i za każdym razem ucieka z podkulonym ogonem. Mam własną archidiecezję. Planuję założenie następnych. Papieskim przymierzem się cieszę. Mam wspaniałego potomka, który dzieło naszej dynastii dalej pociągnie. Moja siostra władcami skandynawskimi trzęsie. Właśnie się dowiedziałem, że mój siostrzeniec Kanut Anglię na kolana

rzuca. Zięć uległy mojej woli na kijowskim tronie zasiadł. Misjonarzy do Szwecji wysłałem, z pomyślnym rezultatem, ochrzcili innego mojego siostrzeńca, króla Szwecji Olafa. Między Pieczyngami biskupów umieściłem. To rzeknijcie mi - Bolesław pochylił się nad stołem w stronę zdezorientowanych Gromosława i Czambora - czego mi brakuje?

- Nie wiemy - wyjąkał, siląc się na odwagę Gromosław.

- Korony! - zakrzyknął potężnie Bolesław, uderzając pięścią w stół.

Poły wejścia do namiotu rozchyliły się, ukazując głowy trzech zaniepokojonych gwardzistów.

- Panie? - spytał jeden wyczekująco.

- Przynieście mi tu wina. - Bolesław machnął ręką w ich kierunku, nie odwracając głowy od Gromosława i Czambora. - Albo nie, lepiej piwa. I spakujcie ten sztandar.

Gdy już gwardziści wykonali rozkazy i zostali ponownie tylko we trójkę w namiocie, Bolesław odezwał się, tym razem już opanowanym głosem:

- Za każdym razem, przebywając w Gnieźnie, przesiaduję częstokroć w komnacie rodowej wypełnionej pamiątkami po moich przodkach. Wpatruję się w miejsce, gdzie spoczywają moje zdobycze: diadem, włócznia, tron, tasak, teraz dojdzie sztandar. Wpatruję się z dumą w te wszystkie monarsze insygnia. I wtedy słyszę szepty moich przodków, ojca Mieszka, dziada Siemomysła, którego nie znałem, i poprzednich, co dynastię naszą stworzyli. Ich

głosy dolatują z każdego zakamarka komnaty. Słyszę, jak pytają natarczywie, z naganą: a gdzie korona królewska, Bolesławie? Na cóż ci te oznaki władzy, skoro najważniejszej nie posiadasz? – Bolesław przerwał wywód i zwrócił się bezpośrednio do Gromosława i Czambora: – I co, nie mają racji? Mają. Polska musi być królestwem, a mój syn odziedziczy po mnie koronę nie książęcą, lecz królewską.

– Władco – Gromosław poderwał się od stołu, nie potrafiąc ukryć ogarniających go emocji – dla nas jesteś królem! Rzeknij jeno słowo, a my wszyscy, co po polskiej ziemi stąpamy, za oręż chwycimy i pójdziemy, gdzie rozkażesz. Do Magdeburga pójdziemy i zerwiemy koronę z Henrykowego łba, do Konstantynopola pójdziemy i strącimy koronę Bazylemu Bułgarobójcy, do Rzymu pójdziemy i wyprosimy na papieżu wydanie należnej ci korony. Czambor stanął obok przyjaciela i dodał impulsywnie:

– Skandynawię najedziemy i zbierzemy korony tamtejszych władców. Przy okazji przetrzebimy zbójckie gniazda jarłów na wyspach.

Bolesław wpatrywał się w nich, początkowo zaskoczony, lecz niebawem uśmiech rozjaśnił mu oblicze.

– Siadajcie – rzekł – i oszczędźcie zapалу na następne bitwy. Korona królewska to nie sprawa oręża, lecz kwestia polityki. Zmieńmy temat.

Czambor powrócił na swoje miejsce. Gromosław rozlał piwo po dzbanach, poczynając od Bolesława, po czym

przysiadł obok przyjaciela. Bolesław upił piwa, otarł rękawem wąsy i rzekł:

- Wracając do naszych aktualnych spraw, wspaniale się spisaliście. Żeby zaraz po tej rzezi w lesie Dziadoszan następną krwawą bitwę, i to zwycięską, stoczyć, chwała wam. Już nie raz powtarzałem i powtarzam z uznaniem, że z ulgą serca obserwuję, jak mój syn wielce mężnymi wojownikami się otacza. Kiedyś, w niedalekiej przyszłości, na was będzie opierał władztwo. Ty, Gromosławie, wyrastasz mi na najprzedniejszego dowódcę, wiem, że moi weterani z zazdrości szemrają. Ale cóż, ktoś musi zająć ich miejsce, gdy czas nieubłagany nadejdzie. Szkoda tylko, że nie było okazji, byś w arkanach pisania się wyuczył, w obecnych czasach to niezbędna umiejętność dla objęcia wyższych stanowisk.

- Randulf, przyjaciel mój, ten syn longobardzkiego księcia z Italii, o którym zapewne słyszałeś, władco, obiecał, że mnie przyuczy - odpowiedział Gromosław.

- Dobrze, dobrze - pochwalił Bolesław. - Co do Matyldy, nie zgadzam się na ślub. Takie już prawo i nie życzę sobie żadnej dyskusji na ten temat. - Spojrzał ostro na Gromosława, który skamieniał, nie potrafiąc ukryć wielkiego rozczarowania.

- Pozostańmy na razie przy pomorskiej kampanii - podjął na nowo Bolesław. - Zainteresował mnie Wojomir, o którym opowiadaliście. Czy on naprawdę po stronie Polski, czy tylko jakiś następny desperat?

- Raczej zgorzknialec - wyjaśnił Gromosław. - Ale po tym, co przeszedł, nie ma co się dziwić. W bitwie o Kopanik mocno się zasłużył, a kiedy leżeliśmy poranieni, sprawnie dowodzenie przejął. Łucznik najprzedniejszy i posłuch sobie wśród wojowników szybko znajduje. Sam o sobie mówi, że był wodzem plemiennym u Wkrzanów, czy też synem wodza, dokładnie nie wiemy.

- W jakim on wieku? - spytał Bolesław.

- Nieco starszy od nas, ma ze dwa, trzy lata do trzydziestki - wtrącił się Czambor. - Krótko go znamy, ale chyba podzielam zdanie Gromo, znaczy Gromosława, że Wojomir na zaufanie zasługuje.

- Kto wie, kto wie - zastanawiał się Bolesław - ten Wojomir może nam się jeszcze przydać. Gromosławie, koniecznie zabierz go ze sobą na wyprawę na Pomorze, chciałbym go osobiście poznać. Może gdy zdobędziemy Szczecin, ustanowię go namiestnikiem grodu? Bo na pewno wybiję jak plagę tamtejsze rody wielmożów, co piastowską rękę ukąsiły i Chrystusa się wyparły, wybiję albo karawanom arabskim w niewolę sprzedam, niech im w Bagdadzie jaja poobcinają. Mój ojciec dał im tyle swobód i przywilejów, ja też im zawierzyłem... - Gromosław i Czambor nie przerywali władcy, milcząco malując sobie w wyobraźni los pomorskich zdrajców - ...tak że tego... - ciągnął dalej Bolesław - niedobrze z tym Pomorzem. Dochodzą mnie słuchy, że i na Pomorzu Wschodnim jakoweś niesnaski pośród wielmożów. Podatnicy skarbowi skarżyli się, że za ostatnim razem Przypor, namiestnik

Gdańska, nieprzyjaźnie ich przyjął. Czamborze, co powiesz na to?

- Gdańsk jest wierny tobie, Panie, i nie słyszałem, by nasze rycerstwo i ludność wstręty jakoweś czynili. Wiem tylko, że mój ojciec Stęgniew od jakiegoś czasu na niezbyt przyjaznej stopie z namiestnikiem Gdańska Przyporem, boczą się na siebie. Ojciec zarzuca Przyporowi, że poczyna się nosić niczym księżę jakowyś.

- No właśnie tego się obawiam - przerwał mu Bolesław - by Przyporowi władza zbyt do głowy nie uderzyła. Na bunty w następnej prowincji nie mogę sobie pozwolić. Już mi doradcy podszeptują, by usunąć Przypora i zastąpić go Stęgniewem. Ale wiara w Gdańsku mocno osadzona?

- Mocno, mnie samego przecież święty Wojciech ongiś do chrztu w wodzie zanurzał. Tylko nam biskupa własnego brakuje i zastępu misjonarzy. Bo nie tylko poganie z Pomorza Zachodniego agituja, lecz także i Prusowie ostatnimi czasy aktywni.

- Na wszystko przyjdzie czas. Będę musiał w końcu do Gdańska zawitać, raz tam tylko przed laty byłem. A przy okazji, niebawem zjedzie tu jutro, najpóźniej pojutrze, twój najmłodszy brat Gniewosz i przyprowadzi uzupełnienia jazdy.

- Gniewosz? - uradował się Czambor, ale szybko spoważniał, co nie uszło uwadze Gromosława.

- Uzupełnienia są dla mojej gwardii, która mocno ucierpiała w ostatnich bojach, a szczególnie w bitwie w lesie Dziadoszan - dodał Bolesław. - Ja tu poczekam

jeszcze ze dwa, trzy dni na wieści od zwiadowców. Wypadu raczej nie przeprowadzę, jazda santocka uda się na zimowanie na terytorium grodu rodzinnego, a ja wracam z gwardią do Gniezna. Ty, Czamborze, masz do wiosny czas, możesz pognać do Gdańska, do rodziny. Najpóźniej do Wielkanocy masz się stawić w Lubuszu. Pewnie na pomorską kampanię dostaniesz komendę nad oddziałem jazdy. Podobnie ty, Gromosławie, wypocznij do wiosny. Pohulaj między Lubuszem a Kopanikiem, na razie Matylda wolna. Na połowę maja następnego roku wyznaczam koncentrację wojsk pod Santokiem. Stawisz się na czele jazdy lubuszańskiej ciężkozbrojnej wraz z oddziałem Czambora. Teraz powiedzcie mi, co z ranami Bernarda, zaprawdę takie ciężkie?

- Ciężkie - odparł Gromosław. - Niejeden wojownik już by ducha na jego miejscu wyzionął. Medyk orzekł, że jak przetrwa do końca października, to się wylize, ale pełna kuracja przeciągnie się jeszcze na dwa, trzy miesiące.

- Wielka szkoda - zasepił się Bolesław. - Bardzo go teraz potrzebuję zdrowego i w pełni sił. Rozchodzi się o jego krewniaka, młodego Thietmara zwanego Tiemmo, który po śmierci ojca, margrabiego Gerona, w bitwie na ziemi Dziadoszan marchię miśnieńską z cesarskiego nadania odziedziczył. Nie znam ja Thietmara, młody on, chyba w waszym wieku, i nie wiem, jak do Polski i do mnie nastawiony. Najchętniej wysłałbym Bernarda do Thietmara z misją rozpoznawczą, ale w tej sytuacji trzeba odczekać. Dobra - Bolesław powstał - idźcie na spoczynek, rozkazy

i plany na przyszłość znacie. Aha, Gromosławie, jak wrócisz do Kopanika, to wyślij mi do Gniezna pod eskortą owych trzystu wziętych do niewoli Lutyków. – Widząc pytające spojrzenie Gromosława, Bolesław wyjaśnił: – Ludzi do prac na gwałt potrzebuję, wsie służebne pustoszeją przez te wojny. I jeszcze jedno, Burzysław pojawi się w Kopaniku z pewnym opóźnieniem. Najpierw musi mi w Gnieźnie przysięgę wierności lenniczej złożyć, zanim mu oficjalnie Kopanik pod władanie przekażę.

– A gdzie jest Mieszko? – spytał jeszcze na odchodnym Gromosław.

– Mieszko jest na Morawach, wprawia się tam w samodzielne zarządzanie prowincją, a przy okazji po pograniczach Czechów i Bawarczyków pod strachem trzyma.

W drodze do własnego namiotu Gromosław zagadnął Czambora:

– Hej, stary druhu, przede mną nic nie ukryjesz. Coś tak pomarkotniał na wieść, że Gniewosz przybędzie. Jakieś sprawy rodzinne? Nie chcesz wyjawić?

– Sprawy rodzinne – odparł szorstko Czambor. Po chwili, krocząc obok Gromosława, położył mu rękę na ramieniu i dodał polubownie: – Wybacz, przyjacielu, przyjdzie czas, to ci wyjaśnię.

– No dobrze. Ale powiedz, co ty z tymi duńskimi jarłami wyskoczyłeś? Przecież oni zwady z Polską nie szukają.

– Tak mi się wymsknęło, z rozpędu – odburknął szybko Czambor.



\* \* \*

Gdy po rozmowie z Chrobrym wrócili do Kopanika, sytuacja nieco się skomplikowała. Z Gniezna powrócił nareszcie po niemal trzech latach nieobecności Burzysław. Po uprzednim złożeniu w Gnieźnie przysięgi Bolesławowi objął teraz oficjalnie książęcą władzę w Kopaniku. Niebawem też ściągnęły do Kopanika obiecane przez Bolesława uzupełnienia dla grodowego garnizonu, oddział świeżo zmustrowanych tarczowników z głębi Polski. I nagle w kopanickim grodzie stało się nieco przyciasno dla wszystkich naraz: na zamku Burzysław z doradcami, Matylda, dowódcy tarczowników oraz Gromosław z przyjaciółmi, a na pierwszym podgrodziu tarczownicy, jazda Gromosława i drużyna Burzysława. Wtedy Gromosław nakazał swoim podwładnym i przyjaciołom opuszczenie Kopanika i przeniesienie się do Lubusza. Oczywiście z wewnętrznymi oporami, gdyż gorejąca rozpalonym płomieniem miłość do Matyldy nie ułatwiała podjęcia tej decyzji. Bernarda musieli transportować na wozie.

Medyk w Lubuszu zawyrokował, że Bernard przeżyje. Jego ciało zwalczyło jątrzenia rany, choć pełna rekonwalescencja przewlecze się jeszcze z kilka tygodni. W lutym, najpóźniej na początku marca będzie mógł dosiąść konia.

W porównaniu z obfitującymi w przygody ostatnimi miesiącami listopad i grudzień przeminęły Gromosławowi oraz jego przyjaciołom błyskawicznie i bez znaczniejszych wydarzeń. Żadnych bitew, potyczek, niebezpiecznych misji.

Prawie wszyscy wylizali się z odniesionych ran prócz Bernarda, który jednak, jak było do przewidzenia, bardzo powoli dochodził do siebie. Pod koniec października opuścił ich Czambor. Wraz z bratem Gniewoszem, który przyprowadził Bolesławowi oddział gdańskiej jazdy, udał się do Gdańska. Obiecał, że powróci najpóźniej po Bożym Narodzeniu.

Do Lubusza zawitał pod koniec grudnia. Sprawiał tym wszystkim ogromną radość, aczkolwiek nie uszła uwadze Gromosława i Randulfa nietypowa małomówność i zatroskany wyraz twarzy gdańskiego rycerza.

Jedynym wartym uwagi urozmaiceniem ostatnich dwóch miesięcy odchodzącego 1015 roku była zapowiedź Mieszka, że zawita do Lubusza. Niestety w ostatniej chwili następcą polskiego tronu przysłał wiadomość, że z powodu obowiązków nie zdoła przybyć. Ale przysłał posłów z bogatymi darami i życzeniami. Mieszko nie musiał się z niczego tłumaczyć przed swoimi poddanymi, mimo to jednak kazał przez posłów przekazać Gromosławowi wyjaśnienie niemożności przybycia: trudna i napięta sytuacja na granicy Moraw z Czechami i Bawarią wymagała tam jego nieustannej obecności. Czeski Oldrzych szczerzył kły, pewien poparcia zarówno ze strony cesarza, jak i księcia Bawarii. Na dokładkę z Rusi Kijowskiej nadchodziły z dnia na dzień coraz bardziej niepokojące wiadomości: pomiędzy Światopełkiem a Jarosławem faktycznie doszło do rozłamu, tak jak to przewidywał Bolesław, i teraz bracia rzucili się sobie do gardeł,

rozpętawszy okrutną wojnę domową. Podobno zarzewie wojny wywołał Jarosław, doprowadzając do skrytobójczego zamordowania ich dwóch najmłodszych braci przyrodnich, Borysa i Gleba, po czym w przebiegły sposób zwałił odpowiedzialność na Światopełka. Borys i Gleb, najmłodszy synowie Włodzimierza i bizantyjskiej księżniczki Anny, byli siłą rzeczy hołubieni przez Kościół kijowski, całkowicie zależny od Konstantynopola. Stąd cerkiew uważała Borysa i Gleba za jedynych prawowitych spadkobierców wielkoksiążęcego tronu Rusi. Cerkiew przeklęła Światopełka, potępiając go, niezasłużenie zresztą, za mord, i opowiedziała się po stronie Jarosława. Na Rusi zawrzało. Bolesław w obawie o swego protegowanego szwagra już ściągał rezerwy dla umocnienia grodów granicznych na Bugu i w związku z tym obarczył Mieszka dodatkowymi obowiązkami. Niepokój Bolesława wzmógł się jeszcze bardziej, gdy opłaceni przez opata Tuniego klerycy z magdeburskiej metropolii donieśli o podjętych przez tajnych posłów rozmowach pomiędzy dworem cesarskim a Jarosławem. Pachniało to próbą zawiązania antypolskiego sojuszu Niemców z Rusami, na wypadek gdyby Jarosław pokonał Światopełka i zapanował na Rusi Kijowskiej. Sojusz taki stanowiłby mordercze niebezpieczeństwo dla Polski, ściśniętej z dwóch stron kleszczami potężnych przeciwników.

Na początku stycznia 1016 roku opadły emocje związane ze świętami Bożego Narodzenia i obchodami powitania Nowego Roku. Pewnego mroźnego popołudnia

Gromosław, Randulf, Czambor i Bernard, który już mógł chodzić o własnych siłach, siedzieli na zwieńczeniu korony wału otaczającego gród i dyskutowali nad zasłyszаныmi wieściami:

- Poszaleli wszyscy naokoło czy jak? - komentował Bernard. - Zimową porą dwie wojny domowe, u Lutyków i na Rusi Kijowskiej. Brakuje jeszcze, by w mojej ojczyźnie bunty przeciwko cesarzowi wybuchły.

- A żebyś chciał wiedzieć, że wybuchły - odparł mu na to Gromosław - tyle że nie przeciwko Henrykowi. Chciałem ci to w następnej kolejności wyjawić. Szpiedzy na cesarskim dworze donieśli Bolesławowi, że Saksonia, Turyngia, wschodnia Lotaryngia i część Bawarii pogrążyły się w krwawych walkach wewnętrznych: grafowie napadają arcybiskupów, biskupi najeżdżają margrabiów, margrabiowie walczą pomiędzy sobą. Rody przeciwko rodom. Będzie miał Henryk pełne ręce roboty, by zaprowadzić spokój i porządek.

- Ach tam, to u nas normalne - orzekł z przekonaniem Bernard. - Typowa dla cesarstwa samowola naszych feudałów. Moźni załatwiają z bronią w ręku ich prywatne porachunki. Henryk sobie poradzi. Nie z takimi trudnościami radził sobie do tej pory. Wprowadzi represje, a najpóźniej do połowy roku ogłosi pokój ziemski dla wszystkich prowincji, wywiesiwszy przedtem na szubienicach najbardziej upartych.

- Ot, tak sobie, wysoko urodzonych na szubienice? - zapytał Randulf. - Toż tu nie o zdradę państwa czy obrazę

cesarskiego majestatu się rozchodzi, lecz o walki pomiędzy rodami z powodu zatargów i sporów terytorialnych.

- Dlatego starym i wypróbowanym sposobem stosowanym przez władców mojej ojczyzny - wyjaśniał Bernard - jest przymuszenie skłóconych stron do staczania pojedynków w imię sądu bożego. Jedna strona zawsze przegra i wtedy na szubienice z łotrami, zgodnie z zasadami sądu bożego, bez względu na urodzenie. W ten sposób przerzedza się szeregi zwaśnionych. To plus kilka umiejętnie rzuconych klątw kościelnych, a na koniec wprowadzenie pokoju ziemskiego, czyli zakaz wszczynania prywatnych wojen przez określony czas, i sytuacja będzie opanowana.

- To niedobrze - zauważył Gromosław - bo wtedy Henryk będzie mógł ponownie ruszyć na nas całą cesarską potęgą...

- Ano, tak będzie - wtrącił Bernard.

- ...podczas gdy my zajęci będziemy planowaną wojną na Pomorzu i być może interwencją na Rusi Kijowskiej - dokończył Gromosław.

- Jednym słowem - rzucił beztrosko Randulf - nie zabraknie dla nas zajęcia. Czas najwyższy, bo do Wielkanocy zanudzę się okrutnie.

Tak zleciały w Lubuszu następne miesiące. Na polowaniach, szkoleniu podległych Gromosławowi oddziałów, rekonwalescencji Bernarda, dyskusjach o wielkich i małych sprawach. Randulf dla urozmaicenia sobie czasu rzucił się łapczywie na zbiór pergaminów

przechowywanych pod pieczęią duchownych z lubuszańskiej kaplicy. Ale że niewiele ich było, szybko zaspokoił głód czytania. Czambor przyjmował kilkakrotnie gońców z Gdańska. Zamykał się z nimi na osobności, prowadząc tajemnicze rozmowy. Od czasu do czasu zniknął na kilka dni, udając się konno w niewiadomych kierunkach. Gromosław wykorzystywał każdą nadarzącą się okazję do odwiedzenia narzeczonej. Ale nie tylko tęsknota do ukochanej Matyldy ciągnęła go do Kopanika. Zgodnie z życzeniem Bolesława doglądał, jak sobie radzi Burzysław. Wielce pomocnym okazał się w tej materii Wojomir. Dobrowolnie, do czasu wyprawy na Pomorze, przeniósł się z Lubusza do Kopanika, by służyć Burzysławowi radą i pomocą.

Przez ten cały czas z ziem wieleckich objętych wojną domową nie dochodziły żadne pewne wieści. Wysyłani zwiadowcy albo w ogóle nie powracali, albo przynosili sprzeczne informacje. Opowiadano o wyludnionych spalonych osadach, o grodach wypełnionych zbrojnymi, o śladach okrutnych bitew, o licznych lutyckich oddziałach rozmaitej wielkości, spieszących w różnych kierunkach – jedne upstrzone pogańskimi chorągwiami, inne prowadzone pod plemiennymi znakami, jeszcze inne kroczące pod sztandarem Stodoranii. Czyli walki trwały nadal. I to zacięte, całkowicie absorbujące walczące strony na ich terenach, jako że do tej pory nie pojawiły się żadne lutyckie zagony na granicach Lubusza, Kopanika czy Brenny. Z kolei inne podjazdy twierdziły, że nie odnalazły śladów walk,

a mieszkańcy trwających w zimowym uśpieniu osad i samotnych siół wzruszali jedynie ramionami na pytania o wojnę. Za to wszędzie napotymano liczne stada wilków. W Lubuszu i Kopaniku snuto przypuszczenia co do losu Stodora. Żył jeszcze?

\* \* \*

Gdy przeminęły roztopy, Gromosław postanowił przeprowadzić wypad na Połabie, na tereny lutyckie objęte wojną domową. Ściągnięty w tym celu z Kopanika Wojomir miał służyć za głównego przewodnika. Zamierzali przecież wtargnąć po części w jego rodzinne strony, na ziemię Wkrzanów.

- Najpierw musimy przejść przez tereny Rzeczan, zanim dotrzemy do Wkrzanów - Wojomir jako pierwszy zabrał głos na naradzie.

- Czyli idziemy na niepewne - skonkludował Gromosław.  
- Słyszeliście, co Lekuno powiedział w Kopaniku, że Rzeczenie i Wkrzenie podzielili się na stronników i przeciwników powstania.

- Nie bardzo wierzę w te podziały - zaproponował Wojomir. - Być może jakieś pojedyncze, niemożliwe do zdobycia grody oparły się woli Radogoszczy. Ale Rzeczenie i Wkrzenie wspólnie nie dorównują siłą bojową samym Redarom, raczej w większości walczą przeciwko Stodorowi. Za bardzo leżą na wschodzie Połabia, z dala od Stodoranii. A od Chyżan i Czrezpienian oddzielają ich tereny Redarów i Toleżan. Poza tym od północnego wschodu w każdej chwili

może na Wkrzanów spaść nawała Wolinian i Szczecinian. Obojętnie, czy z własnej woli, czy pod przymusem, Rzeczanie i Wkrzanie walczą w większości pod stanicą Swarozycyca.

Gdy przyszło do omawiania dalszych szczegółów wyprawy, Wojomir obruszył się ponownie na wieść, że Gromosław zamierza pociągnąć na czele trzystu jeźdźców. Przez bagna, jeziora, rzeki, nieprzebyte puszcze, zasieki – na koniach? Tam, gdzie nie ma żadnych szlaków, dróg? „Przecież w tamtym roku książę saksoński Bernard z całą saską jazdą ciężkozbrojną na wskroś północnego Połabia pociągnął”, zaczął się tłumaczyć Gromosław, „od Saksonii przez ziemie Obodrytów, Czrezipienian, Redarów, gdzie dołączyła do niego armia lutycka, a na koniec Wkrzanów, i dotarł nad Odrę. To chyba muszą być jakieś przejścia”. „Tak, jakieś są”, Wojomir wymachiwał gorączkowo rękoma, „ale my nadejdziemy od południa. Puszcze i bagna. Nawet Wkrzanie wielką knieją przedzieleni, przez którą tylko Wkrą przepłyniesz”. W końcu stanęło na tym, że podążą konno, ale bez ciężkiego uzbrojenia i kolczug, jedynie kaftany. Nie w trzysta, lecz jedynie w pięćdziesiąt koni.

Wyruszyli drugiego dnia po naradzie. Po dniu jazdy minęli Leśnicę, po następnych dwóch osiągnęli Błotko, gród lubuszański graniczący z ziemią Barnima, północną częścią terytorium Kopanika. Północno-wschodni kraniec ziemi barnimskiej przecięli na skos w dwa dni, dotarłszy do Bukowiny (od rozłożystych bukowych lasów wokół), najbardziej na północ wysuniętego grodu księstwa



kopanickiego strzegącego granicy z Rzeczanami. Nie tracąc czasu na odpoczynek, po uzupełnieniu zapasów w Bukowinie ruszyli dalej. Piątego dnia od opuszczenia Lubusza zagłębili się w końcu w teren nieznany i wrogi, to znaczy południowo-wschodnie obszary Rzeczan. „Za dwa dni przetniemy ziemie Rzeczan i dotrzemy w końcu do Wkrzanów”, zauważył Wojomir, „jeżeli nic nas tutaj niepotrzebnie nie zatrzyma”, uzupełnił.

Zatrzymało. Po kilku godzinach przeciskania się leśną gęstwiną, omijając nieustannie i zachodząc zdradzieckie trzęsawiska, zwiadowcy z przodu dali znak, że pomiędzy drzewami widać połyskujące w słońcu fale. Niebawem doszli do niezbyt szerokiej, lecz wartkiej rzeki. Na pytanie, czy płytką, Wojomir machnął ręką, ostrzegając: „Nawet nie próbujcie, woda po szyję, ale dno zmiękczone jak bagno, wciągnie konia razem z jeźdźcem”. Wąski brzeg o mocno pofałdowanej trawiastej powierzchni, ograniczony z lewej strony zbitą ścianą drzew. Nie było wyjścia. Podążali mozolnie, po dwóch, trzech obok siebie, prowadząc konie na uzdach wzdłuż wąskiego brzegu, w poszukiwaniu korzystnej płycizny na sforsowanie. Raptem z przeciwległego brzegu nadleciały strzały. Niespodziewanie. Kilkunastu wojowników Gromosława padło trupem, zranione konie rżały przeraźliwie. Panika i zamieszanie. Zanim zdążyli się wycofać, stracili następnych kilkunastu ludzi i konie.

Na tym zakończył się sławetny wypad Gromosława na ziemie Lutyków. Nawet nie wiedzieli, kto ich zaatakował:

oddział żerców czy powstańców? A może Wkrzanowie, rozdrażnieni pojawieniem się obcych? Czas jakiś w Lubuszu panowała skwaśniała atmosfera.

Aż w końcu nadeszła i przeminęła Wielkanoc. Dość sielanki, czas na wojnę zgodnie z rozkazami Bolesława.

## *Santok*

W połowie pierwszego majowego tygodnia 1016 roku Gromosław wyruszył na czele podległych mu oddziałów jazdy ciężkozbrojnej pod Santok, na miejsce koncentracji polskiej armii. U jego boku Randulf, Bernard, Wojomir i dowodzący własnym oddziałem pomorskiej jazdy Czambor. Wydawałoby się, że wszyscy podążają w radosnym nastroju spotęgowanym piękną pogodą. Tak naprawdę Gromosław jedynie udawał przed przyjaciółmi animusz. W rzeczywistości marzył, by ta kampania jak najszybciej minęła, aby mógł powrócić do Lubusza i wyskakiwać do Kopanika na spotkania z Matyldą. „Wspólnie na polowania się udawać”, jak przekornie tłumaczył przyjaciołom. Dopóki Bolesław nie wyznaczy dla niej męża.

Niedaleko Santoka, po prawej stronie Odry, już na kilometr od punktu koncentracji trafili na polski podjazd, który wskazał im drogę do obozu. Na miejscu okazało się, że przybyli jako ostatni, chociaż mieli, oprócz jazdy z samego Santoka, najbliżej ze wszystkich nadciągających kontyngentów. Obóz był prowizoryczny, otoczony jedynie lichą ścianą niskiej palisady, znakiem czego Bolesław nie

planował tutaj dłuższego postoju i niebawem dał sygnał do wymarszu. Za palisadą na rozległym polu usianym mrowiem namiotów panował tłok ludzkiej krzątaniny, w oddali, we wschodniej części obozu stykającej do niewielkiej rzeczki, majaczyły tabuny popasających koni. W wydzielonej dla nich części Gromosław nakazał rozsypianie worów podróżnych i rozstawienie namiotów. Nie zdążyli na dobre się rozgościć, gdy nadjechał gwardzista od Bolesława z wezwaniem, by czym prędzej Gromosław, Bernard i Wojomir udali się do wodzowskiego namiotu, gdzie toczyły się narady. Co prawda dobiegały już końca, ale mimo wszystko mają jak najszybciej się stawić. Gromosław przekazał Czamborowi tymczasową komendę, a sam wraz z Bernardem i Wojomirem udał się pieszo w kierunku książęcej kwatery. Przeciskając się przez tłumy spieszących tu i tam zbrojnych, zastanawiali się wspólnie, ile zbrojnego ludu mogło się tu zgromadzić.

- Dotychczas zauważyłem na pewno znaki Poznania, Gniezna, Krosna, Santoka, Międzyrzecza i Kalisza - orzekł Gromosław.

- A to dużo czy mało? - zapytał Wojomir.

- Razem z moimi trzystu Lubuszanami, setką Pomorzan Czambora i książęcą gwardią będzie ze dwa do trzech tysięcy zbrojnych - ocenił Gromosław. - Tylko że - dodał po chwili - nie widać tylu koni na popasie. To znaczy, że prócz jazdy są też tarczownicy. No ale przecież mamy zdobywać Szczecin, to i piechota wyspecjalizowana w szturmach na grody niezbędna.

- A nie dziwi cię obecność kontyngentów jedynie z centrum Polski? I grodów najbliższych pomorskiej granicy? - spytał Bernard Gromosława.

- Po tym, co opowiedzieli wysłańcy od Mieszka - odparł po zastanowieniu Gromosław - nie dziwi. Słyszałeś przecież, że na wszystkich granicach napięta sytuacja, to i sił na tamtejszych grodach nie sposób uszczuplać.

Nagle utknęli w ludzkim kłębowisku, nie mogąc przepchać się dalej. Rozgardiasz wywołało pojawieniem się zagonu kilkudziesięciu ciężkozbrojnych. Jeźdźcy brutalnie roztrącali tłumy na boki, gnając szybko w kierunku bramy obozowej. Środkiem eskortowali Mieszka i przywdzianą w konny strój jego małżonkę, Ryczezę. Najwyraźniej opuszczali spieszenie obóz.

- Niemka - warknął pogardliwie któryś ze stojących w szpalerze rycerzy.

- To prawda, taka sama jak nienawidząca nas Oda, macocha od Bolesława, cośmy ją przed laty do Saksonii przepędzili - zawtórowali mu starsi wiekiem kompani. Nagle przywarła do nich grupka innych wojowników. - Nieprawda, po polsku do nas gada, księcia naszego i kraj nasz miłuje! Szukacie zwady? - Już poczęli się nawzajem przepychać i srogie miny przybierać.

- Wam, Polakom, hełmy przyciężkie chyba rozum przykrywają. - Kręcił głową stojący nieopodal Bernard. - Jeszcze tarcz z wrogiem prawdziwym nie szczepiliście, a już miecze nawzajem pod nosy podstawiacie.

- Pobrząkają żelazem, i tyle. - Gromosław obserwował scenę z lekkim rozbawieniem. - Na dobre wyjdzie, krew sobie przed starciem podgrzeją. Nic tu po nas, Benno, spieszmy do namiotu wodza. Szkoda tylko, że Mieszko nas opuszcza, nawet nie wiedziałem, że tu przebywa, a miałbym z nim tyle do pogadania.

W końcu dotarli. W wielkim namiocie, oprócz samego Bolesława, zebrali się już dowódcy poszczególnych kontyngentów i kilku członków książęcej rady, w tym palatyn Stoigniew i wojewoda Przyboj. Obecny był również nieodłączny opat Tuni, który zauważywszy ich, wskazał wolne obok siebie miejsca. Gdy zasiedli, oddając przedtem ukłon Bolesławowi, książę podjął przerwany ich wejściem wątek:

- Tak więc być może, że nie dojdzie do najazdu na Szczecin. Wszystko zależy od tego, jakie wieści przyniosą dzisiejszego wieczora, najpóźniej jutro przed południem, gońcy znad bużańskiej granicy. To na razie tyle, zakończmy dzisiejsze obrady.

Gdy zebrani poczęli powstawać i kierować się ku wyjściu, Tuni, powstrzymując gestem ręki Gromosława, Bernarda i Wojomira, rzekł:

- Wy zostajecie razem ze mną.

Zasiedli ponownie. Wtem Gromosław spytał opata:

- Co robił tutaj Mieszko i dlaczego tak spieszenie opuścił obóz? I dlaczego towarzyszyła mu Rycheza?

- Złe wieści z Rusi Kijowskiej i znad wschodniej granicy, bardzo złe. Mieszko spieszy tam z rozkazami i zadaniami od

Bolesława. Ale dowiedziecie się o tym zapewne zaraz od samego władcy. A Ryczeza? Przed kilkoma dniami przybyli tutaj do nas tajni posłańcy od palatyna Lotaryngii, krewnego Ryczezy, dlatego Bolesław sprowadził synową, by uczestniczyła w rozmowach.

W tym czasie Bolesław, stojąc przy wejściu do namiotu, dyskutował zniżonym głosem ze Stoigniewem. Na koniec pożegnał się z palatynem, rzuciwszy mu na odchodnym:

- Spotkamy się na dzisiejszej wieczery, przyprowadź wojewodę Przyboja, dokończymy omawianie planów.

Następnie skierował się w stronę pozostałych. Zerwali się z ławy, prócz Tuniego. Bolesław machnął ręką, by siadali, i zajął miejsce przy stole naprzeciwko, obserwując uważnie każdego po kolei. Ciszę przerwał Tuni:

- Wspomniałem im już o Mieszku i Ryczezie.

- Że też Otto jeszcze za młody na służbę - rozpoczął Bolesław narzekającym tonem. - Za rok, gdy skończy siedemnaście lat, będzie dopiero zdatny, by wyręczyć brata w niektórych obowiązkach. Do tego czasu obarczam Mieszka zadaniami ponad miarę, aż mi się serce z litości kraje, ale co zrobić? Kraj w opałach, gore na trzech granicach, brakuje jeszcze, by Prusowie na rozbój ruszyli.

- Co za Otto? - przerwał księciu Wojomir. - Niemiec jakiś?

- Jak śmiesz przerywać władcy? - z głosu Tuniego przebijała zgroza zmieszana z oburzeniem. Spojrzał na Gromosława i Bernarda: - Coście tutaj za grubianina przed oblicze księcia przyprowadzili?

Wojomir złapał za lśniący ozdobami krzyż na łańcuchu, zwisający na piersi opata, pociągnął ku sobie, aż Tuniemu twarz poczerwieniała, i rzucił przez zaciśnięte usta:

- Zważaj, kapłanie, kogo grubianinem nazywasz.

Gromosław i Bernard zamarli w bezruchu, nie śmiąc się odezwać, sparaliżowani bezczelnością Wojomira. Po kilku sekundach Bolesław roześmiał się głośno, rozładowawszy tym przynajmniej częściowo zaognioną atmosferę. Machnął lekceważąco ręką, jakby natrętną muchę od niechcienia przeganiał, i rzekł do Wojomira:

- Puść opata, zanim moi gwardziści tu wpadną i cię na śmierć rozćwiartują. Nie godzi się najmilszego mi doradcy jak warchlaka na sznurze ciągnąć.

Wojomir puścił łańcuch z krzyżem i wpatrywał się zasepiony w stojący przed nim na stole dzban z piwem.

- Upij sobie trunku, upij - ciągnął dalej obserwujący go Bolesław. - Ochłódź połabską głowę. Chciałem na początek inny temat poruszyć, lecz zacznę od ciebie. Czy to prawda, że byłeś wodzem na Połabiu?

- Byłem, ale to przeszłe czasy - odpowiedział Wojomir, upiwszy przedtem spory łyk piwa.

- Jakiemuś odłamowi Wkrzanów przewodziłeś, tak? - nalegał Bolesław.

- Południowo-zachodniemu, na styku z ziemiami Lubusza i Kopanika. - Wojomir zawiesił na chwilę głos. - Tyle że u nas nie ma już żadnych struktur władzy, żadnej organizacji plemiennej. Rozbite wiecznymi wojnami i najezdami ze wszystkich stron. Najeżdżali nas Sasi, i to



kilkakrotnie, potem Polacy od wschodu i Wieleci od północnego zachodu. Gdy Wieleci zmienili nazwę na Lutyków, podjęli na nowo napady na nasze osady i grody. Na koniec, ostatnimi czasy, nieraz grasował u nas Stodor na czele lutyckich wilków. Zniszczono wiele pomniejszych osad i kilka grodów. Te, co się ostały, straciły wzajemną łączność, rządzą w nich najsilniejsze rody, opłacają się dużymi daninami dla Lutyków.

- Wilków, rzekłeś? - spytał Bolesław.

- Niektórzy wojownicy Lutyków idą do walki z nałożonymi na głowy odciętymi łbami wilków, paszcza z kłami i strzęp zwisającej na ramiona skóry. Stąd zwiemy ich często wilkami.

- W boju lepszy zwykły hełm - obruszył się Bolesław.

- Durne pogańskie gusła - orzekł patetycznie Tuni, który jednocześnie przeszedł na drugą stronę stołu i zasiadł po prawicy Bolesława, jak najdalej od Wojomira.

- Gusła? - Wojomir wpatrywał się w opata roziskrzonymi oczyma. - Chcesz...

- No, no, no - Bolesław trzepnął dłonią po stole - spokój!

- To niech nie zabiera głosu o naszych sprawach - Wojomir nie dawał za wygraną - jak się nie zna. Rozumiem, wodzu, że ten kapłan wysokie stanowisko na twoim dworze piastuje, ale żeby zaraz handlarza z dalekich krajów do godności wywyższać...

- ...handlarza z dalekich krajów? - spytał Bolesław, osłupiały ze zdumienia.

- A co? Gada niby po polsku, ale dziwnie jakoś, obco. Skóra jakby pożółkła, niczym miodem lipowym wysmarowana, włosy czarniejsze od sadzy i skręcone jak miękka barania wełna. Ani on Sas, ani Duńczyk, ani żaden Słowianin. Ni z mowy, ni z wyglądu. Do ciągnących Połabiem kupców żydowskich i arabskich też niepodobny.

- Bluźnierco! - Tuniemu puściły nerwy. Poderwał się z krzesła i wyciągnął krzyż przez długość stołu w kierunku Wojomira, jakby chciał mu go do twarzy przyłożyć, nie przestając przy tym dalej pokrzykiwać: - Boga ponizasz! Wiarę prawdziwą jadem piekielnym opluwasz! Mnie, wiernego sługę kościoła!

- Tchu ci zabraknie! - odkrzyknął Wojomir.

- Do mnie! - zakrzyknął Bolesław.

Do namiotu wbiegło czterech strażników, członków księżęcej gwardii. Bolesław wskazał na Wojomira:

- Wyprowadzić Połabianina!

- W kajdany? Obić? - spytał jeden ze strażników z odczuwalnym podźwięciem nadziei w głosie.

- Który mnie dotknie, nie dożyje poranka - rzekł Wojomir w stronę zbliżających się doń strażników, powstawszy powoli od stołu. - Szczekujów na was zamamroczę, całe stado małych, zwinnych, okrutnych szczekujów z zębami jak u wściekłego bobra. Wyłonią się znienacka z ciemności, wygryzą wam oczy i nasrają do łbów jadowitą śmierdzionką. O! - Wojomir zebrał błyskawicznie w lewą dłoń kupkę okruchów ze stołu, przyklepał i rozmiarzył prawą dłonią, następnie rozwarł obie dłonie

i potężnym dmuchnięciem rozpylił sproszkowane okruchy w stronę zbliżających się strażników. – Już przebudziłem szczekujów, teraz wystarczy jedna moja myśl i po was, poczekajcie tylko do zapadnięcia zmroku.

Strażnicy zamarli przez chwilę w niepewności. Wojomir zwrócił się do Bolesława:

– Nie jestem ani twoim więźniem, ani poddanym, wielki wodzu Polaków. Przyszedłem dobrowolnie, bez broni, bo dużo dobrego o tobie słyszałem. Na tyle dobrego, że chciałem ci oferować mój oręż i doświadczenie w walkach na Połabiu. Przeciwno chciwym Sasom, opętanym przez żerców Lutykom i wszelkim innym plagom targającym moją ojczyznę. Dopóki jeszcze jest moją ojczyznę: w mowie, obyczajach i pamięci o przodkach.

– Władco, mógłbym mieczem machnąć... – zaoferował gwardzista stojący najbliżej Wojomira.

– Nie – powstrzymał go Bolesław zdecydowanym tonem.

– Ale jednym szybkim pchnięciem – gwardzista nie dawał za wygraną – przebiję mu gardziel, zanim zdąży pomyśleć, bo chodzi o tych szczekujów...

– Dość tego! – Bolesław grzmotnął dłonią w stół. Strawy i napoje podskoczyły w górę, jedynie Tuni, znający Bolesława nie od dzisiaj, zdążył jeszcze zawczasu zerwać się od stołu. – Ochrzczeni jesteście od dziecka, krzyże na piersiach nosicie, na msze uczęszczacie, i co? – perorował Bolesław strażnikom. – Strachu wam Połabianin napędził? Szczeku... jakimiś? Poczekajcie na zewnątrz – rozkazał i natychmiast zwrócił się do Wojomira: – Nie tak miała się

potoczyć nasza rozmowa. Siadaj. Wojomir wykonał polecenie księcia, wzruszając nieznacznie ramionami.

- Bez wątpienia zasłużyłeś się naszej sprawie w ostatnich miesiącach... - Wszyscy zebrani wpatrywali się z uwagą w Bolesława, który upiwszy nieco z dzbana, podjął przerwana w pół zdania myśl: - ...czyniąc to jako wolny i nikomu niepodlegający człowiek. Ale czym mam ci to wynagrodzić? Przystań w nasze szeregi, to dostaniesz godność i stanowisko, gdy zaczniemy wyrywać poganom Pomorze, a Lutykom ziemie. Na przykład na Szczecińskim grodzie. A do tego czasu wyznaczam ci funkcję zarządcy grodowego na Kopaniku. Służ radą i pomocą młodemu Burzysławowi w zamian za opłatę w srebrze.

- Ale przysięgi wasalnej ani wierności poddańczej nie będę składał, nie jestem Polakiem ani waszym poddanym, wodzu - odparł po zastanowieniu Wojomir.

- Na razie złożysz mi przyrzeczenie wierności na miecz. Jutro rano, po śniadaniu i mszy.

- To mogę już odejść? - spytał Wojomir. Po krótkim namyśle dodał: - Chociaż nie, co z tym Otto, mam rację, że to Niemiec?

- Otto jest moim najmłodszym synem, bratem rodzonym Mieszka. A imię otrzymał po cesarzu Ottonie III, który go w roku 1000 w Gnieźnie do chrztu przytrzymał.

Wojomir zastanawiał się nad czymś, w końcu rzekł z ociąganiem:

- Teraz mi głupio, wodzu, po tym, co rzekłeś. Ale ten kapłan - wskazał ruchem głowy w stronę Tuniego - mógł od

razu po ludzku wyjaśnić, zamiast obelgami smagać.

- Tuni, ani słowa - Bolesław powstrzymał otwierającego już usta opata. A do Wojomira rzekł: - Możesz odejść. Jutro po złożeniu przyrzeczenia chciałbym jeszcze z tobą porozmawiać. O Połabiu i Stodorze.

Wojomir przy wychodzeniu z namiotu nie omieszkał rzucić półgłosem w stronę strażników:

- Szczekuje, spiczaste zęby.

Po jakimś czasie namiot władcy opuścił również Tuni. Gdy już zostali w trójkę, Bolesław zwrócił się do Bernarda:

- Przejdźmy teraz do omówienia sytuacji wynikłej na skutek śmierci twojego wuja Gerona w sławetnej bitwie tamtego roku. Wiesz o tym, że cesarz przekazał marchię łużycką synowi Gerona, Thietmarowi?

- A jednak? - Bernard nie krył lekkiego zdziwienia.

- Miałeś wątpliwości?

- Domyślałem się, że może do tego dojść - odparł Bernard. - Ale jest to pierwszy przypadek w cesarstwie, by marchia przechodziła na następcę jako dziedzictwo rodowe. Dziedziczenie grafostwa i księstwa praktykowane jest u nas od dawna, lecz przejście marchii z ojca na syna nie zdarzyło się dotąd nigdy. A swoją drogą Zygfyrd, znaczy po naszymu Siegfried, dostanie szau.

- Już chciał wojsko na własną rękę zbierać i maszerować na Białą Górę - przytaknął głową Bolesław na uwagę o Zygfyrdzie.

- O jakim Zygfyrdzie mowa? - spytał znienacka milczący dotychczas Gromosław. - Pytam dlatego, że w naszych

szeregach walczy już paru Zygfydów.

- Ten Zygfyd nie walczy w naszych szeregach - rzekł Bernard. - Wręcz przeciwnie...

- Właśnie że walczy po mojej stronie od niedawna - przerwał mu Bolesław. - Widać, że obaj długo przebywaliście zaszyci w Kopaniku i Lubuszu i wiele wydarzeń uszło waszej wiedzy. - Bolesław zastanawiał się nad doborem słów. - Zacznę od rzeczy wam wiadomych. Zygfyd jest synem Hodona, pierwszego margrabiego marchii łżyckiej. Tego samego Hodona, którego mój ojciec wraz z wujem Czcborem pokonali w sławetnej bitwie pod Cedynią w 972 roku. Hodo miał dwóch synów, Alfrinusa i Zygfyda, obaj oddani zostali do klasztoru w Nowogrodzie nad Soławą, miejscowości zwanej teraz przez Niemców Nienburgiem. Gdy Hodon zmarł w 993 roku, Zygfyd rzucił mnisią sutannę i powróciwszy do stanu rycerskiego, wysunął roszczenia o przejęcie dziedzictwa po Hodonie, czyli godności margrabiego marchii łżyckiej. Wbrew jego staraniom marchię uzyskał Gero zwany drugim, ten, co poległ latem zeszłego roku w bitwie w lesie Dziadoszan. Przez ten cały czas Zygfyd nie porzucił starań o przejęcie marchii, lecz bezskutecznie. Dopiero gdy w 1002 roku Henryk poważył się na wojnę ze mną, dla Zygfyda zabłysła gwiazdka nadziei. Henryk musiał mu coś obiecać i Zygfyd opowiedział się po jego stronie, pomimo że dałem mu przez posłów do zrozumienia, że pod moimi skrzydłami dostanie znaczne lenno. Ale znacie Henryka, wiecie, że zasłynął z niedotrzymywania obietnic i łamania przyrzeczeń

składanych własnym poddanym. Oszukał Zygryda, tak jak przedtem oszukał margrabiego bawarskiej marchii wschodniej Henryka ze Szweinfurtu czy też margrabiego Miśni Guncelina i wielu innych możnych cesarstwa. Wtedy Zygryd przystał do mnie, przyprowadziwszy całkiem sporą liczbę zbrojnych. Po tym, jak zająłem Łużyce, skutkiem czego obszar marchii kontrolowany przez Niemców skurczył się do niewielkiego skrawka ziem pomiędzy Łabą na wschodzie a Czarną Halsterą na zachodzie, z głównym grodem w Białej Górze. Przekazałem Zygrydowi i jego rycerzom dwa grody na przyłączonych do Polski zachodnich rubieżach Łużyc. Henryk jednak, ten mistrz podstęp, chytrości i przebiegłości politycznej, zdołał ponownie przeciągnąć Zygryda na swoją stronę. Nie wiem, co mu tym razem obiecał, ale Zygryd odznaczył się znacznie w bitwie pod Krosnem, bijąc naszych niemiłosiernie. Zresztą walczyliście tam obaj, to musieliście się z nim zetrzeć. - Bolesław przerwał na chwilę, by sięgnąć po kawałek zimnego mięsiwa i upić łyk piwa.

- W lesie Dziadoszan też walczył przeciwko nam - zauważył Bernard.

- Tak, zgadza się. I należał do tych niewielu szczęśliwców, którym udało się umknąć spod naszych mieczy - podjął Bolesław. - Ale krótko po tym Zygryd pokłócił się ponownie z Henrykiem. Śmiertelnie pokłócił. Po bitwie w lesie Dziadoszan. Zygryd znalazł się w armii mającej osłaniać ucieczkę Henryka pomostem przez bagna. Henryk nie przydzielił go do kontyngentu margrabiego

Gerona, z którym Zygfyrd z wiadomych względów był skłócony, ani do oddziałów magdeburckiego arcybiskupa, lecz oddał go pod komendę palatyna Burcharda. Jednocześnie przyrzekł Zygfyrdowi uroczyście, że nada mu bogate lenno, jeżeli odznaczy się w bitwie, a na wypadek gdyby margrabia Gero poległ w nadchodzącym starciu, przekaże mu jego marchię. Uskrzydłony nadziejami Zygfyrd walczył niczym oszalały, kładąc pokotem wielu z naszych. Gero poległ w bitwie. Tymczasem Henryk, dotarłszy do Merseburga, godność margrabiego nadał Thietmarowi, synowi Gerona. Zygfyrd dowiedział się o tym, będąc już w naszej niewoli po bitwie. Reszty możecie się domyślać. Zygfyrd ponownie przeszedł na moją stronę i zięje teraz straszliwą nienawiścią do Henryka i młodego Thietmara. Złożył mi nawet przysięgę poddańczej wierności, wyrzekając się wszelkich zobowiązań wobec Henryka i cesarstwa. Mówiąc inaczej, wyrzekł się własnej ojczyzny. W przeciwieństwie do ciebie, szlachetny Bernardzie, ty walczysz pod moim sztandarem wyłącznie dla odzyskania twoich praw feudalnych na Połabiu, ale nadal jesteś poddanym cesarstwa.

- I tak pozostanie, książę - odpowiedział Bernard.

- Mhm. - Skinął głową Bolesław. - Postawę twą szanuję i doceniam. Teraz rozumiecie zachowanie Zygfyda? Najchętniej wyruszyłby natychmiast wszystkimi siłami na Białą Górę. Gada nieustannie o wymyślnych mękach, jakie zada młodemu Thietmarowi. Moi ludzie z trudnością powstrzymują go przed szaleństwem. Ale Zygfyrd jest dla



mnie cennym sprzymierzeńcem w moich zmaganiach o Połabie, bardzo cennym, dowodzi wieloma saskimi mieczami, a jeszcze więcej się do niego przyłączy. Muszę tylko zważyć, by mi strategii prywatą nie popsuł. Bo na cóż mi obdarty ze skóry i pozbawiony członków Thietmar, dopóki nie wiem, jakimi zamiarami się kieruje? Jeżeli Thietmar podejmie politykę ojca i będzie mi potajemnie przychylny, to lepszego sojusznika wśród możnych cesarstwa nie mogę sobie życzyć. W tym przypadku czeka mnie twardy orzech do zgryzienia – dwóch sprzyjających mi niemieckich możnowładców, Zygfryd i Thietmar, jednocześnie śmiertelnie się nienawidzących. Ale przedtem muszę uzyskać pewność co do intencji Thietmara. I tu mam niezwykle ważne zadanie dla ciebie, Bernardzie. Jesteś przecież jego kuzynem, opowiedz mi o nim. Niezależnie od tego nie pójdziesz z nami na Szczecin, ponieważ wysłę cię do Thietmara z misją dyplomatyczną, byś rozeznał sytuację. Co powiesz?

- Thietmar... hm... - Bernard w skupieniu pocierał dłonią podbródek, zbierając myśli i zastanawiając się nad odpowiedzią - ...u nas wszyscy nazywają Thietmara Tiemmo... taak, Tiemmo, wybac mi książę, że cię rozczaruję, jest złym i zepsutym moralnie człowiekiem, a na dodatek nienawidzi Słowian. Gardzi Słowianami.

Bolesław oniemiał.

- Czyżby? Ale dlaczego?

- To dłuższa opowieść. Dawniej, obaj w wieku dziecięcym, bawiliśmy się często ze słowiańskimi i saskimi

rówieśnikami z podgrodzia i okolicznych włości wasalnych. Okazji było pełno, bo rycerze, poddani margrabiego, często zjeżdżali do Białej Góry, zabierając ze sobą rodziny. Wiadomo, jak to między chłopakami, nieustanne bijatyki na drewniane mieczyki. Tiemmo zawsze dostawał porządne lanie, najczęściej od słowiańskich kolegów, w czym przeważnie sam był sobie winny. Zadzierał nosa, uważając się jako syn margrabiego za lepszego od pozostałych, wywyższał ponad synów okolicznych wasali, ubliżał. Nawet mnie, własnego kuzyna traktował zarozumiale i z niechęcią. A wielu Słowian prowokował, wyśmiewając ich zwyczaje. Z biegiem czasu i dorastania stawał się coraz gorszy, okrutny wobec otoczenia i zepsuty moralnie. Wuj Gero przymykał na wszystko oko, zaślepiony ojcowską miłością do jedyne go syna i spodziewanego spadkobiercy. Pewnego razu Tiemmo zadurzył się w Bystrawie, prześlicznej córce dowódcy wietników z podgrodzia. Naturalnie bez wzajemności, ponieważ ona była już po uszy zakochana w Bogosławie, synu słowiańskiego rycerza spod Białej Góry imieniem Chyżon, Geronowego wasala.

- Na tym Połabiu to teraz co trzeci Bogosław - wtrącił Gromosław.

- Tiemmo nie popuszczał - ciągnął dalej Bernard - łąził za Bystrawą, nagabywał, aż w końcu Bogosław dorwał go w jakimś grodowym zaułku i przydusił mu nieco gardło, dając do zrozumienia, by odczepił się od Bystrawy. Niedługo po tym Tiemmo, ufny prawdopodobnie w swą bezkarność wynikającą z pozycji ojca, a może ze zwykłej

nieposkromionej zemsty, a może po prostu z aroganckiej zuchwałości, dopuścił się gwałtu na Bystrawie. A było to tak: pewnego razu Tiemmo siedział w grodowej karczmie, zapijając niemiłosiernie gorycz i nienawiść do całego świata, gdy raptem w tłumie gości dojrzał Bystrawę, która wstąpiła, by zakupić trunków na biesiadę niedaleko nad rzeką, w której wspólnie z gronem przyjaciół uczestniczyła. Tiemmo udał się niepostrzeżenie za nią. Niedaleko brzegu rzeki dopadł ją od tyłu, ogłuszył ciosem pięści, zdarł z niej szaty i zgwałcił nieszczęsną, i to wielokrotnie. Co było dalej? Po kilku dniach sascy druhowie Bogosława zwabili Tiemmo w ustronne miejsce. Tam spotkała go kara. Nagiego przywiązano go do drzewa i Bogosław wysmagał mu plecy grubym rzemieniem ze skóry, aż czerwone pręgi nawzajem się zlały. To nie wszystko. Rozwiązano go i przywiązano ponownie, tyle że plecami do drzewa. Żeby kora drapnęła świeże rany. Następnie Bogosław osobiście wydzierał mu nożem wzdłuż piersi słowiańskie słowo „Sława”. Już po wszystkim wysłano wiadomość na kasztel do margrabiego, by odebrał syna.

Gdy Bernard zakończył opowieść, w namiocie zapadła dłuższa cisza. Pierwszy odezwał się Gromosław:

- I co, Gero nie zemścił się na rodzie Bogosława?

- Nawet nie śmiał - odparł Bernard. - Może i tak zamierzał, ale od świtu następnego dnia wszyscy wietnicy z podgrodzia ustawili się w szykach bojowych, a dodatkowo pod mury podjechała jazda słowiańska z okolicznych włości. Mało tego, nawet w saskim garnizonie doszło do

rozdźwięków. Szpalerami wietników nadjechał konno Chyżon, ojciec Bogosława, z drużyną i wezwał margrabiego do stawienia się na rozmowę pod bramą. Byłem przy tym, to i słyszałem, o czym mówiono. Chyżon długo się nie rozwodził: „Gero, powinieneś się pogodzić z karą, jaka spotkała Tiemmo, za taki czyn na Połabiu obcina się jaja. A tak zachowasz spadkobiercę nadal zdolnego do płodzenia potomstwa. A gdybyś, margrabio, sam lub z napuszczenia nastawał na dobro i życie Bogosława i mojego rodu, to musisz się liczyć z buntem w marchii”. Teraz rozumiesz, Bolesławie, dlaczego nie możesz liczyć na Tiemmo, no, Thietmara?

- Fascynujące... - Bolesław bębnił palcami po stole, wyraźnie zaintrygowany opowieścią Bernarda. - „Sława”, powiadasz, wzdłuż piersi? Fascynujące. Dochodzą mnie słuchy, że niektórzy z moich walecznych wojowników wycinają wrogom na piersiach „Chrobry”... To, coś mi wyjawiał, niweczy moje oczekiwania. Jeżeli jest, jak powiadasz, to mamy w Thietmarze zagorzałego wroga. A to komplikuje poważnie moje plany. Mimo to udasz się do Thietmara, Bernardzie, i spróbujesz pokojowo z nim porozmawiać. Uposażę cię na drogę w kilka zachęcających pism i nęcące podarki. Może coś wskórasz i nakłonisz tego młodego margrabiego przynajmniej do neutralnej postawy. W przeciwnym razie będziemy musieli w najbliższej przyszłości najechać na Białą Górę. - Bolesław zamilkł i zamyślił się. Nie widział potrzeby zdradzać swych

zamiarów. Gdy już otwierał usta, chcąc podjąć rozmowę, do namiotu zajrzał gwardzista:

- Książę, pilny posłaniec znad bużańskiej granicy.

- Wprowadzaj! - zakrzyknął Bolesław, dodając zaraz jednym tchem: - I przywołaj tu natychmiast doradców!

Do namiotu wszedł utrudzony szybką i daleką jazdą zbrojny. Nie jakiś zwykły posłaniec, lecz rycerz znaczny, spod przykrytego błotem i brudem spiczastego na wschodnią modę hełmu wyzierały złocenia i bogate ozdoby. Również reszta rynsztunku wskazywała na stan wysokiego urodzenia. „Rus z Kijowa”, szepnął Gromosław do Bernarda, trąciwszy go z lekka łokciem. Przybysz, zdjęwszy hełm, przyklęknął na jedno kolano i przywitał Bolesława z nieskrywaną uniżonością. Po chwili okazało się, że przyniósł bardzo złe wieści. Zięc Bolesława, Światopełk, znajdował się w ciężkiej sytuacji pogarszającej się z dnia na dzień. Wszystko za sprawą jego brata przyrodniego Jarosława, który zaszywszy się przed rokiem w Nowogrodzie, postanowił obalić Światopełka z kijowskiego tronu i przejąć samodzielną władzę nad Rusią. Na obszarze północnej Rusi lud począł się jeżyć i buntować, podburzony przez cerkiew przeciwko „przekłętemu” Światopełkowi. Rody możnych podzieliły się na stronników Jarosława i stronników Światopełka. W lutym wszystkie północne grody i większość ze środkowego pasa państwa stanęły oficjalnie po stronie Jarosława. Na początku marca do Nowogrodu napływać zaczęły licznie zaciągnięte przez Jarosława oddziały osławionych

szwedzkich wojowników - Waregów. W odpowiedzi Światopełk zwrócił się o pomoc do Pieczyngów. Szykowała się krwawa wojna. Zanim dojdzie do walnej bitwy, miną może jeszcze miesiące, ale już teraz Światopełk potrzebował pomocy teścia, czyli Bolesława - jego wsparcia militarnego, autorytetu wśród Pieczyngów i doświadczenia wojennego. Na te wieści Bolesław nie ukrywał ogarniającej go złości przechodzącej niemal we wściekłość. Ledwo dzisiaj wysłał tam Mieszka, a teraz niechybnie sam musi podążyć na Ruś. Do tego jeszcze troska o najmłodszą córkę, Wierzysławę, by wśród tych nieznaną granic w okrucieństwie Rusów krzywdy nie doznała.

Tym samym zaniechano wyprawy na Szczecin. Całkowita zmiana planów. Bolesław postanowił ruszyć w kierunku Rusi natychmiast, z samego rana następnego dnia. Po drodze miały do Bolesława dołączać kontyngenty mijanych dzielnic.

- Czyli ruszamy ze wszystkimi zebranymi pod Santokiem siłami? - spytał Gromosław.

- Nie, twoja jazda i oddział Czambora zostajecie tutaj - odparł Bolesław. - Wracajcie do Lubusza, miejcie baczenie na Kopanik i trzymajcie pieczę nad wydarzeniami na lutyckiej granicy. Może zdołacie nawiązać kontakt ze Stodorem, zanim zwycięstwami zbyt się napuszy albo go opętańcy z Radogoszczy ubiją. - Po czym uzupełnił: - A Bernard ma wyruszyć z misją do Białej Góry, tak jak uzgodniliśmy.

Wszystko zostało powiedziane, pożegnali zatem Bolesława i udali się na spoczynek, mijając po drodze zdążających do namiotu książęcych doradców.

Niedane im było jednak zbyt długo pospać. W środku nocy obozem wstrząsnął alarm. Ogłuszający, potężny, jakby niebo na ziemię opadało, a ta rozstępowała się, ukazując rozgrzane czeluści. Takie przynajmniej wrażenie odniósł Gromosław w pierwszych sekundach wychodzenia z sennych zaświatów. Niebawem na przedprożu jawy dźwięki i barwy poczęły nabierać realności. Ryk trąb i rogów, salwy okrzyków, harmider między namiotami. Wyskoczywszy z namiotu półnago, lecz z mieczem dzierzonym obu dłońmi, natknął się na Randulfa pomagającego Bernardowi w przywdzianiu uzbrojenia. Nieco dalej stał Wojomir sprawiający wrażenie w pełni przebudzonego, z łukiem w lewej i przygotowaną strzałą w prawej dłoni.

- Co się dzieje? Lutyce, Stodor, Pomorzanie? - Gromosław niemal zachłystywał się słowami.

- Gorzej - odparł mu Bernard z wnętrza przeciąganej przez głowę kolczugi. - Najwyraźniej o wiele gorzej. - Zaczerpnąwszy świeżego nocnego powietrza, dodał po chwili: - Podobno Krwawe Skrzydła otoczyły szczelnym potrójnym kordonem teren z namiotem księcia. Może była próba zamachu?

- Zamachu!? Zamachu? - Gromosław wpatrywał się w Bernarda, pokręcił przecząco głową. - Nie, Benno, tu nie Saksonia, nie Merseburg, u nas nie ma zamachów na

Bolesława. - Po chwili rzekł, znikając w namiocie: - Spróbujmy się tam przepchać, dajcie mi tylko czas na wdzianie uzbrojenia.

Wojomir schował strzałę do kołczanu, splunął i mruzczył sam do siebie:

- Przekłęte wraszaki-straszaki, przekłęte złośliwe szkaradzieństwa, już przeczuwam, że to ich robota. A swoją drogą podoba mi się u tych Polaków, wesoło jest.

- Wraszaki-straszaki? - spytał zdezorientowany Randulf, dosłyszawszy Wojomira.

- Wystarczy samo wraszaki. - Wojomir odmachnął mu ręką. - Paskudne stworki przesiąknięte każdym złem, plaga na Połabiu, pewnie przyciągnęły tutaj z Lutykami jak zaraza, ale nie czas teraz, wyjaśnię ci później.

- A szczekuje? - wtrącił się niespodziewanie Bernard.

- Wszystko później - odparł Wojomir spieszenie, kierując się w stronę namiotu Gromo. Nagle, wyczuwszy z opóźnieniem nieskrywaną ironię w głosie Bernarda, odwrócił się do niego i rzekł: - Śmieję się, Sasie, śmieję, jeszcze cię dopadną połabskie specjały i nie pomoże krzyżyk na szyi.

Tymczasem pojawił się Gromo w pełnym uzbrojeniu i podążyli wspólnie w kierunku namiotu Bolesława. Niełatwo było się przepchać - im bliżej celu, tym większy ścisk i zamieszanie utrudniały dalszą drogę. W końcu dotarli przed sam szereg zwartych tarcz gwardii. Wokół szepty, komentarze, niepewność. Podniecenie i zdziwienie. Ponad wszystko przebijał ogłuszający ryk wrzeszczącego



Bolesława. Przekleństwa, wyzwiska. Nagle namiot zapadł się niczym opuszczona chusta i wtedy dojrżeli samego księcia. Bez hełmu, z rozczochranymi włosami, boso i bez kolczugi, rąbał wielkim mieczem w leżący przed namiotem pień. Zaciekle, bez opamiętania. Stojący wokół doradcy próbowali uspokoić oszalałego władcę, najwyraźniej bezskutecznie. Tylko raz go takim widziałem, pomyślał Gromosław, gdy Czesi zdradziecko Mieszka uwięzili. Boże, chyba Mieszkowi nic złego się nie stało?

- Rozchodzić się! - poczęli nawoływać w kierunku zebranego tłumu dowódcy gwardii. - Do namiotów! Nic tu po was, czekać na rozkazy.

- Co jest z władcą!?

- Nie odejdziemy...!

- Mówcie, co się stało...!

Wtedy za szeregiem gwardii pojawił się Stoigniew. Wzniósł obie ręce w górę i odczekawszy, aż opadnie harmider, rzekł donośnie:

- Władca miał zły sen i stąd jego wściekłość. Musimy uradzić, jak go do spokoju przywołać, i wasze tumulty nic tu nie wskórają. Do namiotów! - Wtedy dojrzał Gromosława. - Ty, Gromosławie, udasz się ze mną. Włócznia świętego Maurycego zniknęła - szepnął po drodze.

Dwóch gwardzistów rozchyliło tarcze, robiąc mu przejście, i Gromosław podążył za Stoigniewem. Zbliżając się do zwartego kręgu doradców i duchownych starających się zasłonić miejsce, w którym szalał Bolesław, Gromosław

zastanowił się nad nieobecnością Srogosza, opiekuna i strażnika włóczni. Nie, to niemożliwe, przeleciało mu przez skołatane myśli, przecież Srogosz nie porwał włóczni. Prędzej uwierzę w podstęp połabskich szczekujów i wraszaków, czy jak ich tam Wojomir nazywa, niż w zdradę Srogosza. Splunął na ziemię i przeżegnał się dla odegnania złych mocy. Wszyscy aniołowie, rycerze Chrystusa, co ja wygaduję, też mi ten Wojomir w głowie namącił! Tymczasem dotarli na miejsce. Bolesław siedział na przytarganej skądś ławie, obok pniaka, co prawda w całości, lecz z wbitym po nasadę styliska wielkim toporem. Wokół niego walały się resztki porąbanych oszczepów, rozczapierzonych tarcz, drzazgi innego siekanego przedtem z zawziętością pnia. Zbici w bezpiecznej odległości w trwożliwą gromadkę duchowni szemrali modlitwy. Książę, sprawiający wrażenie nieco już uspokojonego, popijał jakiś mocny trunek, tocząc wokół pełnym napięcia wzrokiem. Nikt z zebranych nie ważył się na przerwanie milczenia. Dopiero gdy ukryty w gałęziach szpak zaświergotał radosną melodię, zapowiadając zbliżanie się przedświt, przysła nieco napięta atmosfera.

- Panie - Stoigniew odważył się zabrać głos - rozstawiono już nowy namiot. Musimy się naradzić, a i ludowi wojennemu lepiej w takim stanie z oczu zejść, wrzenie musi opaść.

Bolesław powstał. Rzucił kielichem o ziemię, po czym rzekł do Stoigniewa:

- Przyboj, ty, Tuni i dowódca gwardii, za mną. Aha - dodał - i sprowadź mi tego Gromosława od specjalnych zadań, chyba będzie potrzebny.

- Już o tym pomyślałem - odparł Stoigniew z zadowoleniem, rad, że księżę do zmysłów powraca - znaczy o Gromosławie, jest tu z nami.

W namiocie przystąpili od razu do rzeczy. Mniej więcej przed godziną u wejścia do namiotu Srogosza pojawił się jeden z jego przybocznych wojowników, by złuzować wartę. Taki mieli system od zawsze. W nocy, gdy Srogosz spał, jego ludzie czuwali na zmianę. Nie tylko przed wejściem do namiotu, lecz także zaglądali regularnie do wnętrza. Oczywiście to nie Srogosz był tu przedmiotem kontroli, lecz pakunek z owiniętą weń włócznią świętego Maurycego, przywiązany rzemieniem do nadgarstka dłoni Srogosza. „To nie żarty”, objaśnił Gromosławowi lekko ganiącym tonem Przyboj, widząc malujące się na twarzy lubuszańskiego rycerza olbrzymie zdziwienie i otwierające do pytania usta, „na wyprawach Srogosz nie odstępuje włóczni nigdy, nawet we śnie”. Tym razem zmiennik zdziwił się nieco, widząc wartownika z rozkraczonymi nogami, opartego w pozycji siedzącej o namiot. Chcąc skarcić śpiocha, zbliżył się na tyle, by w słabym świetle zatkniętego przed namiotem łuczywa rozpoznać szczegóły. Całe popiersie zbroi zbroczone było zakrzepłą krwią wyciekłą z poderżniętej gardzieli. Zmiennik podniósł natychmiast alarm, wpadł do namiotu i... potknął się o rozciągnięte na ziemi ciało Srogosza. Żywego, tyle że nieprzytomnego, skrępowanego

wieżami, bez włóczni, miecza i piszczaly bojowej na srebrnym łańcuchu, którą zawsze nosił na piersi. Zarówno miecz, jak i piszczalę otrzymał ongiś w nagrodę za czyny bojowe od samego Mieszka I. Zbiegła się gwardia, pozostali ludzie Srogosza, podniósł się harmider i zgiełk. Nadszedł rozbudzony ze snu Bolesław i po chaotycznej wymianie zdań wpadł w szal. Włócznia przepadła. Skutki gniewu władcy widać było na zewnątrz. „A Srogosz gdzie?”, spytał ktoś z zebranych. „Srogosz, jak otrzeźwiał z otumanienia, również wpadł w szal jak nasz książę, tyle że inaczej. Rozdarł odzienie na piersi i tocząc pianę z ust, chciał się rzucić na stylisko topora, który mieli przytrzymać pomocnicy. Na to pomocnicy walnęli obuchem topora w Srogoszowy łeb i związali bezwolnego”, odparł Stoigniew, „leży pod strażą i chyba jeszcze nie doszedł do siebie”, uzupełnił po chwili.

- Radźcie, radźcie, co teraz! - Bolesław przerwał gromkim głosem wyjaśnienia wojewody. - Moja włócznia! Aaaaa! - Książę zaczął charczeć i rozglądać się po zebranych. Niedobrze patrzyło mu z oczu, jakby szukał miecza bądź topora. Albo ofiary.

W końcu książę znowu jako tako się opanował, a przynajmniej sprawiał takie wrażenie, i mogli rzeczowo naradzić się nad sytuacją. W obozie i na jego obrzeżach nie znaleziono żadnych śladów po zbirach. We wszystkie strony wysłano liczne podjazdy zwiadowcze. Lada chwila pierwsze z nich powinny już powracać z wieściami. Jednocześnie wysłano szybkich gońców do wszystkich grodów

i większych osad w promieniu kilkudziesięciu stajen z nakazem zachowania czujności na wypadek pojawienia się obcych. Gdzieś w końcu ci przekłęci bandyci muszą zostać zauważeni! Na początku dyskusja toczyła się wokół wielkiej niewiadomej: kto ukradł włócznię świętego Maurycego? Zdania były podzielone, a krąg potencjalnych sprawców szeroki: Czesi, Niemcy, Rusy, Prusowie, Lutyki lub Pomorzanie nadodrzańscy.

- A Duńczycy? - rzucił ktoś pytaniem.

- Duńczycy nie, są z nami w przymierzu, chyba że jacyś rozbójnicy z wysp, chadzający na wikińskie łupiestwo - padła odpowiedź. - Niemców nie wykluczam - oświadczył z przekonaniem Bolesław. - Henryk do wszelkiej nikczemności zdolny. Znam go nie od dziś. Na świętoszka się wynosi i wiankiem kleru otacza. Ale pod skórą zimny i wyrachowany, nasyłał już morderców i oszukiwał własnych możnych, to cóż dla niego złodziei nasłać?

Nagle wszyscy naraz zaczęli się prześcigać w przypuszczeniach:

- No właśnie, co innego zleceniodawca, a co innego nasłani przezeń rabusie...

- Musieli z wyglądu naszych przypominać, żadne wikingi czy prusowe woje nie przeszłyby niepostrzeżenie...

- ...Czyli kto? Przekupieni Polacy? Połabianie?

- Lutyki na pewno, z wyglądu też do nas podobni...

- Kto i czyimi rękoma to jedno - przerwał harmider Bolesław. - Póki zwiadowcy nic pewnego nie znajdą, posłów trzeba śłać do Magdeburga i do Czechów z oficjalnymi

misjami, by po kryjomu zasięgnęli języka. Jeśli Niemcy lub Czesi to zlecili, to czegoś w zamian zażądają.

Na wieść o Czechach Gromosława ogarnął niepokój. Tylko żeby mnie nie wysłali do Pragi z jakąś misją, pomyślał, dość mi Czechy za skórę zalazły. Gromosławowi powróciły wspomnienia. Przed dwoma laty towarzyszył Mieszkowi, wysłanemu przez Bolesława na niefortunną misję do Pragi, na układy z księciem Oldrzychem. W drodze powrotnej napadli ich skrytobójcy podstępnego Przemyślidy. Wielu rycerzy z poczty padło w boju, Mieszka wraz z pozostałymi, w tym Gromosławem, zaciągnięto do praskiego lochu. Zbój czeski, napadł poselstwo dyplomatyczne! Ach, zepsuła się czeska dynastia w ostatnim pokoleniu, tak ongiś, jeszcze za Bolesławów Srogiego i Pobożnego, dumna i waleczna. A teraz? Trzech braci, Jaromir wykastrowany, Rudy oślepiiony, a Oldrzych bandytą. Wstyd się Piastom przyznać do pokrewieństwa z nimi, dobrze, że odległego i po kądzieli... Dopiero usilne naciski cesarza wyrwały ich z rąk Oldrzycha. Lecz cóż z tego, skoro samego Mieszka Henryk zatrzymał pod przymusem w Magdeburgu. Gromosław zaniósł złe wieści Bolesławowi, który odesłał go z powrotem z pilnym poselstwem. Władca Polski upomniał się o zwolnienie następcy tronu, przypominając Henrykowi o zawartym pokoju, na co cesarz począł zwodzić i ociągać się z wypuszczeniem mu syna... Taak, spotkanie z Czechami na ich terenie nie uśmiechało się Gromosławowi, nie wiadomo, na jakie pomysły tym razem wpadną.

Wtedy zaczęły powracać pierwsze podjazdy. Złapano ślad. Oddział zwiadowców penetrujący okolice Krosna Odrzańskiego natknął się w tamtejszych lasach na grupę uzbrojonych jak na wyprawę wojenną miejscowych kmieci. Po kolei opowiedzieli, co zaszło. Przed nastaniem świtania do uśpionej i zaszytej na krańcu leśnej gęstwiny zagrody smolarzy wtargnęli obcy. Psy w ostatniej chwili podniosły alarm i smolarze, zwani w miejscowej gwarze budnikami, zdążyli stawić opór napastnikom. Wywiązała się chaotyczna walka. Odgłosy starcia postawiły na nogi oddalone od zagrody sioło. Wnet kmiecie chwycili za łuki, oszczepy i topory i rzucili się na pomoc budnikom. Gdy przybyli na miejsce, walka już dogorywała. Zginęło trzech budników i jedna śpiąca w izbie owca trafiona przez przypadek w łeb toporkiem. Miejsce walki zalegały ciała pięciu napastników, reszta uciekła, ale jeden bronił się jeszcze zaciekle, zagnany do zakola dla koni. Wyszel, największy siłą i wzrostem ze wszystkich kmieci, stanął mu naprzeciw i zamachał przed nosem wyciągniętą zza pleców potężną maczugą. Napastnik, aczkolwiek po zbroi i orężu niechybnie doświadczony wojownik, oniemiał na chwilę. Niebawem Wyszel trafił go z rozmachem i rozłożył na klepisku. Masywne żelazne zęby maczugi przebiły bez trudu nabijany okuciami kaftan i zagłębiły się głęboko w płucach. Napastnik drgał na ziemi, tocząc z ust rzeźącą krwią. Żył jeszcze na tyle długo, że próbowali wydobyć zeń to i owo, ale mamrotał jedynie przekleństwa. Z wyglądu, mowy i po uzbrojeniu nabrali całkowitego przekonania -

napadli ich Lutyce. I to nie jakaś plemienna banda, lecz zawodowi wojownicy. Tylko co ich tu zagnało na wschód od Odry? Naczelnik sioła i starszyzna nakazali natychmiastowy pościg. Na pewno będą szukać pływaczów na rzece. To nie teren Lutyków, łatwo ich dościgną. Nie, nie byli konno, zresztą w tutejszych gęstwinach konie nieprzydatne. I faktycznie, po jakimś czasie trafili na nich, jak mozolnie pokonywali bród na szerokim zakolu Odry. Ponad trzydziestu. Kmiecie puścili strzały, salwa za salwą. Kilkunastu Lutyków padło trupem na piaszczystych wydmach. Reszta zdołała dotrzeć na drugi brzeg i zniknęła w leśnych ciemnościach, nawet nie próbowali podejmować walki. Coś ich musiało pilnie gnać. Odarli trupy z uzbrojenia i dobytku. A przy jednym znaleźli wspaniałą miecz i bojową piszczałę na srebrnym łańcuchu. Na to wszystko nadjechali zwiadowcy Bolesława. Czyli jednak Lutyce ukradli włócznię, piszczałę i miecz należą do Srogosza. A włócznia? Ani śladu, najwidoczniej pozostali przy życiu unieśli ją dalej w lasy. Na pewno zdążają do Radogoszczy.

Gromosław przysłuchiwał się wraz z innymi relacji zwiadowców. Gdy doszli do końca wyjaśnień, poczęły go oblewać fale niewyjaśnionego niepokoju. Bolesław opuścił namiot wyłącznie w towarzystwie Stoigniewa i Tuniego. Po niecałej godzinie Tuni powrócił i przywołał go:

- Szybko, Gromo, do księcia!

Gromosław był już niemal pewny, co usłyszy.



- Masz odzyskać włócznie. Pójdiesz między Lutyki, choćby do samego piekła w Radogoszczy. Ludzi sobie dobierz według uznania, z mojego rozkazu dołączam ci Srogosza - rzekł Bolesław bez ogródek.

- A Srogosz już na tyle przytomny? - spytał Gromosław.

- Srogosz życie sobie odbierze, jeżeli go nie puszczę, a zresztą - dodał Bolesław - on jedyny na tej ziemi zna najlepiej moją włócznie, na pewno ci się przyda.

- A mogę zabrać ze sobą Bernarda? Pytam, bo chciałeś go wysłać, władco, do Białej Góry...

- Zmieniłem decyzję, możesz zabierać Bernarda. - Bolesław spojrzał na Tuniego. - Wyjaśnij mi resztę, opacie, ja idę pogonić skrybów, by przygotowali pisma. - Po czym zwrócił się ponownie do Gromosława: - Przed odjazdem wstąp jeszcze do mnie.

- Chodźmy do mojego namiotu. - Tuni pociągnął za sobą Gromosława. - Trzeba się posilić, dzień już wstał, a my biegamy z pustymi brzuchami. Poza tym czas na modlitwę.

- Zaraz nadejdę - odparł Gromosław. - Powiadomię tylko przyjaciół, żeby się do drogi gotowali.

W trakcie jedzenia Tuni wprowadził Gromosława w plan Bolesława. Jeżeli Lutyki porwali włócznie, to niechybnie zanoszą ją do Radogoszczy. Na chwałę Swaróżyca. Tam też musi podążać Gromosław wraz z wybraną drużyną i odzyskać własność Bolesława. Tak, tak, nikt nie wie, gdzie dokładnie leży Radogoszcz. Wiadomo jedynie, że na ziemi Redarów, najwaleczniejszych i najokrutniejszych spośród wszystkich Lutyków.

- Do Redarów? Na pewną śmierć? - obruszył się Gromosław i dodał: - Zginiemy, jak tylko wstąpimy na ziemię Lutyków, nie mówiąc już o odnalezieniu piekielnej Radogoszczy.

- Poczekaj, zaraz po kolei objaśnię - uspokoił go Tuni. - Podobno, jak donieśli szpiedzy, biskup Thietmar z Merseburga na kartach pisanej przezeń kroniki zawarł opis świątyni w Radogoszczy. Niestety opis dotyczy wyłącznie świątyni, bez podania miejsca, gdzie leży sama Radogoszcz i jak do niej dotrzeć. Ale to już dużo. Thietmar zna być może lokalizację, przecież samego opisu musiał mu dostarczyć jakiś naoczny świadek. Dlatego najpierw udacie się do Merseburga, by wydobyć z Thietmara, co się da. Czas sprzyja ku temu. Akurat Bolesław zawarł z Henrykiem nieoficjalne zawieszenie broni. Już w styczniu tego roku Polacy wysłali do Magdeburga pierwszych tajnych posłańców z propozycjami układów. Cesarzowi nie w smak było zakończenie wojny na tym etapie, nic przecież nie uzyskał poza samymi stratami. Dlatego zwlekał i odraczał podjęcie następnych kroków pokojowych. Jednocześnie nie stać go było na razie na podjęcie kolejnej wyprawy na Polskę. Zresztą w podobnej sytuacji znajdował się Bolesław. Stąd wojna zawisła niejako w próżni, ale przynajmniej posłańcy z obu stron mogli swobodnie się poruszać między Gniezmem a Magdeburgiem, o ile zaopatrzeni byli w stosowne pisma i glejty. Na tej zasadzie udacie się do Merseburga, kanceliści Bolesława już przygotowują wam odpowiednie dokumenty. Przekażecie Thietmarowi kilka

pism od naszego episkopatu, w tym od arcybiskupa Radzimiego, niby w ważnych sprawach kościelnych. Powtarzam, wszystko dla zachowania kamuflażu, by Niemcy nie zwietrzyli, o co chodzi, a jednocześnie wasze pojawienie się w Merseburgu zachowało pozory poselstwa. Stamtąd podążycie do Brenny, do księcia Sławigosta. Oni tam w Brennie muszą znać drogę do Radogoszczy. Sławigost z nami w przymierzu, dlatego powinien okazać pomoc. No a z Brenny udacie się na ziemie Lutyków, w stronę Radogoszczy. Jak odzyskacie włóczę, to będziecie się przebijać na południe, w naszą stronę.

- A padły na naradzie pomysły, jak mamy się poruszać po lutyckiej ziemi? - spytał Gromosław.

- Macie wolną rękę. - Tuni lustrował w zamyśleniu twarz Gromosława. - Z niejednych już opałów wychodziliście, ty i twoi przyjaciele. Najwidoczniej opatrność boska szczególnie wam sprzyja.

- A jak nie odzyskamy włóczę? - Gromosław przerwał Tuniemu.

- Nie odzyskacie? - Opat po krótkim namyśle wzruszył ramionami. - Bolesław podejmie nieobliczalne kroki. Być może za wszelką cenę, nawet poświęciwszy niektóre ziemie, zawrze pokój z Henrykiem. Oprócz tego pozostawi zięcia na Rusi własnemu losowi. A wszystko po to, by całą potęgą polskich sił zbrojnych uderzyć na Lutyków. Taka wyprawa może zakończyć się całkowitą klęską. Upadkiem państwa, ruiną polityczną. A włóczę w każdej chwili jakiś Lutyk może zniszczyć, przełamać na pół, wrzucić do ognia.

Dociera do ciebie ogrom tragedii, jaka grozi nam wszystkim?

- Nie można by wysłać emisariuszy do Lutyków i wykupić włóczni? - próbował ratować się Gromosław.

- Róbcie, jak chcecie, obojętnie, czy ją wykupicie, czy wykradniecie, czy zrównacie z ziemią Radogoszcz, ważne, żeby relikwia wróciła - odpowiedział Tuni, po czym powstał, zakreślił w powietrzu krzyż przed Gromosławem i rzekł na koniec: - Niech Bóg ma ciebie i twoich towarzyszy w opiece. Przed samym odjazdem nie zapomnijcie o świętym sakramencie spowiedzi. Idź teraz do naszego władcy.

W drodze do Bolesława spotkał przed wejściem do książęcego namiotu nadwornego kapelana, który wręczył mu spakowane w skórzaną torbę pisma, spory worek wypełniony srebrnymi i złotymi monetami oraz okazały złoty krzyż owinięty pieczołowicie w sukna.

- Pisma dla biskupa Thietmara, worek z pieniędzmi i krzyż również dla rozwiązania mu języka w sprawie Radogoszczy. Tyle że wprzód oferujcie srebro, potem złoto, a krzyż dopiero, gdyby się opierał. - Na koniec kapelan wręczył mu jeszcze oddzielną torbę. - To dla Sławigosta, prezenty od Bolesława.

Gromosław, odebrawszy wszystko, zamienił z kapelanem kilka zdań. Na tę chwilę usłyszał ich rozmowę Bolesław i wyszedł z namiotu. Odesławszy kapelana, wskazał Gromosławowi ręką, by udał się wraz z nim na przechadzkę. Po przejściu kilkunastu kroków, nieco z dala

od rozstawionych gwardzistów, Bolesław zatrzymał się, spojrzał przeciągle na Gromosława, po czym rzekł:

- Tuni ci wszystko wyjaśnił, wiesz, jak mi zależy na odzyskaniu włóczni. Kogo sobie dobrałeś?

- To chyba jasne, książę, że biorę Bernarda, Randulfa, Wojomira i Czambora - odparł Gromosław - no i z twojego nakazu Srogosza. Plan obmyślimy wspólnie w drodze i w zależności od okoliczności.

- To w drogę. Aha, poczekaj, mam jeszcze dwie sprawy. - Bolesław wstrzymał odwracającego się już Gromosława. - Gdy wrócisz pomyślnie z moją włócznią, przyzwalam na ożenek z Matyldą. Podniosę rangę Lubusza, dodając ziem po obu stronach Odry. Masz na to moje słowo. Wynagrodzę każdego z was, który powróci żywym. I druga sprawa, zabierzesz ze sobą wielki sztandar Stodoranii. Nie patrz na mnie z ogłupiałym zdziwieniem. Kto wie, czy włócznia nie wpadnie w ręce Stodora, jeżeli jeszcze żyje. Wtedy wymienisz włócznię na jego sztandar. A teraz w drogę, do Merseburga. I przyślij tu któregoś z twoich po ten sztandar.

## VI

# *Brenna*

Ruszyli szlakiem przez Międzyrzecz, Krosno, Chociebuż, Dobryług, Strzałę i Würzen. Podróż opóźnili złodzieje. Rycerze dali się podejść jak kurczęta lisowi. W trakcie noclegu w niewielkiej osadzie na kilkanaście stajen przed Strzałą ukradziono im konie. Na szczęście bez bagaży. Osada była niezamożna. Z trudem wypożyczyli jednego konia, na którym Bernard pognał do Strzały, skąd powrócił z zakupionymi końmi. Stąd opóźnienie. Dlatego do Merseburga dotarli dopiero po dwudziestu czterech dniach forsownej jazdy, dwunastego czerwca 1016 roku. Po drodze Gromosław wyjawiał im szczegóły misji. Randulf zaproponował, by dali mu najpierw popróbować wyłuskać informacje od biskupa bez uprzedniego świeceńia pieniędzmi i krzyżem. Przy okazji Gromosław nie wytrzymał i podzielił się z nimi wieścią dla niego najważniejszą: jeżeli szczęśliwie odzyskają włóczęgę, to ma zezwolenie Bolesława na zaślubiny Matyldy.

Dotarłszy do Merseburga, zdecydowali, że Srogosz, Wojomir i Bernard pozostaną w zajeździe z wyszynkiem Pod Baranim Uchem na obrzeżach podgrodzia i opłacą kwatery,

a do samego biskupa uda się Gromosław z Randulfem i Czamborem. Thietmar po zapoznaniu się z przywiezioną przez nich korespondencją przyjął ich gościnnie, proponując każdemu oddzielne pomieszczenie w biskupiej siedzibie. Gromosławowi miałyby się dostać komnata po Stodorze, czym Thietmar nie omieszkał się pochwalić:

- A tu mieszkał ów Stodor, zdrajca przeklęty przez wszystkich - i dodał po chwili, rozczarowany brakiem reakcji u Gromosława: - Ten, co waszych tyłu nabił, a potem umknął z waszej niewoli. Teraz powstanie wielkie u pogan wznieceń.

Gromosław podziękował uprzejmie za kwatery, zaznaczając, że nocować będą na podgrodziu, po czym podjął wątek Stodora:

- Zobaczymy, ilu waszych nabije, gdy zawładnie Stodoranią i całym Połabiem. I nie zapomnij jednego, wielebny biskupie, Stodor upomni się również o Merseburg, to prastara słowiańska ziemia. - Raptem zawahał się, spojrzał uważniej na Thietmara i zapytał: - Zaraz, zaraz, skąd wiesz o ucieczce Stodora z jakiejś niewoli?

- Bo to prawda.

- Mi nic nie wiadomo. Zresztą nie spotkałem dotąd owegoż Stodora.

- Tak jakby Stodor nie uwolnił was w Lesie Dziadoszan, nie niosłeś odsieczy obleganemu Kopanikowi, nie pobiłeś krwawo Lutyków, nie pojmałeś przy tym Stodora, nie kurowałeś się tygodniami na grodzie i nie zakochałeś

w Matyldzie Stodorańskiej. Na koniec dałeś mu umknąć. Teraz wzniecił wojnę domową na Połabiu.

Gromosław zmieszał się.

- Nie wiem, biskupie, zaprawdę zdumiewasz mnie opowieściami. Nieraz przy długich modlitwach od migotania świec wizje przeróżne w głowie się rodzą. Niebezpieczne wizje, kłamliwe i bałamutne. Radzę dłuższe przerwy między psalmami wprowadzić.

- Nie ucz duchownego pacierza.

- To przy pacierzach pozostań, zamiast bajki opowiadać.

- Spięta wymiana zdań dała Gromosławowi dużo do myślenia. Wszędzie szpiedzy, rozmyślał, węszą, donoszą. Dla nas, dla Niemców, dla Połabian. Normalne. Ale że biskup tak szybko ma tak dokładne informacje... A może o włóczni też już wie?

Po wystawnej wieczerzy podczas luźnej pogawędki Randulf skierował rozmowę na pisaną przez biskupa kronikę. Od słowa do słowa, omotał Thietmara umiejętnie swą wiedzą i odczytaniem i otrzymał bez ogródek zezwolenie na wgląd do kroniki. Przywołany służący zaprowadził Randulfa do obszernej pracowni przylegającej do kancelarii, gdzie ośmiu skrybów nadal, pomimo zapadającej nocy, pracowało cierpliwie w blasku świec nad przepisywaniem i nanoszeniem osobistych poprawek biskupa. Po dwóch godzinach Randulf powrócił i odciągnąwszy Gromosława na stronę, naradzali się. Tymczasem uprzątnięto już stoły z większości potraw, wniesiono dzbany z piwem i puchary z winem, na podium



w alkowie zasiadł śpiewak i zaczął brzękać na instrumencie przyciszone melodie.

- Biskupie - zagaił w środku luźnej pogawędki Randulf - czytałem fragment o lutyckiej świątyni Swarozycy w Radogoszczy. Przejmujący opis, tchnący grozą i tajemniczością.

- O tak, Radogoszcz jest stolicą Redarów, wielki i rozległy gród z dwoma czy nawet trzema kręgami wałów, a świątynia promieniuje siłą pogaństwa na wiele słowiańskich plemion.

- A można zapytać, skąd tak dokładny opis tejże świątyni? Jakbyś sam naocznie wszystkiego doświadczył.

- Mam informatorów.

- Słowian zapewne?

- Te przekłete psy... - Zreflektowawszy się, Thietmar skłonił głową w kierunku Gromosława. - Przepraszam, nie o was tu chodzi, ale o tych niegodziwców w mojej diecezji, których za nic do słowa bożego zagnać nie mogę. Oszukują mnie na każdym kroku, zyski z moich i tak mizernych posiadłości pomniejszając. Do kościoła przychodzą na chichoty, zmarłych grzebią pod drzewami i na pagórkach, po kątach do czarcich bożków się modlą, plony skrywają, od powinności służebnych się migają... Za to do Radogoszczy potajemnie sute dary i daniny przesyłają!

- Faktycznie, niegodziwce - przyznał z powagą Gromosław. - Żeby tak do Radogoszczy... Niełatwa twoja misja, biskupie, niełatwa... Słowo boże między lud tak zacięty

nieść... To znaczy, że niektórzy z nich znają drogę do Radogoszczy, skoro ofiary Swarozycowi składają?

- A gdzie tam, drogę znają! - obruszył się Thietmar. - Na tajnych schadzkach posłańcom pogańskich kapłanów dary przekazują. A czemu wypytyujesz o Radogoszcz? - Thietmar stał się nagle czujny. Podpierając się laską i drepcząc z widocznym trudem, podszedł do otwartego okna. Czerpał świeżego powietrza. W końcu, nie odwracając się, wyrzekł: - Myślicie, że nie wiem, kim jesteście? Że niby posłowie z listami kościelnymi od Polaków? Wiem wszystko od naszych rycerzy, którzy mi wypadki bitewne w Lesie Dziadoszan opowiedzieli. Pasujecie do opisu. Polski rycerz, pomorski rycerz i Randulf z Italii dobrze na magdeburkim dworze znany. W zbrojnej obstawie opata Antoniusa do Henryka przybyliście, a później czarcim sposobem z niewoli umknęliście. - Po bardzo długiej chwili zawiesłego w komnacie milczenia Thietmar odwrócił się do nich. - Tak brzmi oficjalna wersja. Jak już napomknąłem Gromosławowi, wiem o wiele więcej i dokładniej. - Nagle biskup powstał z trudem z siedziska przy pomocy służących i zakończył audiencję: - Wybaczcie, ale w auli czekają na mnie komesi i burgrabiowie grodów diecezji merseburskiej. Zapomniałem wspomnieć na początku waszej wizyty, że mamy dzisiaj comiesięczny zjazd możnych, któremu z racji mojej funkcji naczelnej przewodzę. Przyjdźcie jutro po mszy południowej, to dokończymy pogawędkę. Chyba że czasu nie macie i plany nakazują wam dalej podążać.

- Dziękujemy za łaskawość, biskupie, przyjdziemy z wielką ochotą - odparł Gromosław przy pożegnaniu.

Schodząc na wewnętrzny dziedziniec posiadłości, mijali halę audiencyjną. Dzięki otwartym na oścież obu wielkim połowom drzwi mogli przy okazji spojrzeć na zbierających się w auli możnych ziemi merseburskiej. Wśród nich przeważali bogato uzbrojeni przywódcy słowiańscy: hełmy zakończone spiczastymi tulejkami z piórami, wąsiska splecione na końcach w warkocze, przepyszne w barwach płachty narzucone na zbroje. Jedynie w kilku rozpoznać można było Saksończyków. Z gwaru rozmów przebijał jednak język niemiecki. Gdy już opuszczali posiadłość biskupa, Czambor nawiązał do zauważonych scen:

- Zmroziło mnie nieco, jak ich zobaczyłem. Niby Słowianie, niby nasi ziomkowie, ale bardziej do Sasów się upodabniają.

- Miałeś okazję zobaczyć na własne oczy - odparł Gromosław. - Nieraz nam o tym prawili starsi i mądrzejsi. Zapomniałeś, co palatyn Stoigniew tłumaczył nam przed trzema laty? Tereny od Soławy po Łabę od lat przez Niemców zajęte, administracja cesarstwa i kościoła na dobre wsiąkły w tę ziemię. Słowianie odchodzą od swego rodowodu, kiedyś na dobre zapomną rodzimej mowy i zwyczajów. Oni od lat już wierni wasale cesarza i margrabiów.

- Nie rozumiem nigdy tego waszego Połabia - zauważył Randulf.

- Spytaj Bernarda - odparł mu Gromosław - on wie więcej na ten temat. Opowiadał nam kiedyś o bitwach, w których Słowianie z południowego Połabia walecznie i wiernie po stronie Niemców stali. Na przykład w bitwie na Lechowym Polu przeciwko Węgrom, chyba w 955 roku, cały legion słowiańskiej jazdy z marchii Gerona odznaczył się dzielnie w walce. A krótko po tym brali udział w tłumieniu powstania Redarów i Obodrytów. Co z tego, że oni Słowianie. Wszystko, co w Merseburgu, Żyticach, Nieszycach i Miśni to poddani cesarza. Zapomniałeś już o bitwie w Lesie Dziadoszan? Sam ich wychwalałeś, Połabian w szeregach margrabiego i arcybiskupa, jak nam mężnie pola stawili. Oni przechodzą pod niemieckie panowanie najczęściej dobrowolnie. W Budziszynie i Chociebużu też już się na to zapowiadało, lecz nasz Chrobry zmienił bieg historii.

- No dobrze, a co w takim razie ze Stodoranią i federacją Redarów?

- Na nich przyjdzie jeszcze pora. Albo my, albo Niemcy, ktoś ich zawojuje. - Gromosław machnął niecierpliwie ręką.

- Randulf, daj mi teraz spokój, przyjdzie czas, to przy ogniskach pogłębimy temat.

Zza załomu szerokiego traktu między zabudowaniami wyskoczyła w pełnym galopie grupa ciężkozbrojnych jeźdźców. Nie zważając na rozstępujące się na boki tłumy, galopowali w stronę siedziby biskupa. Barwy cesarskie i Magdeburga.

W wyszynku zrelacjonowali pozostałym wizytę u biskupa. Gromosław dorzucił informację o ciężkozbrojnych z Magdeburga, pilnie pędzących do Thietmara. „Coś się zapowiada”, zakończył, „oby już teraz nie doszło do wybuchu kolejnych działań wojennych między Henrykiem a Chrobrym”.

Następnego dnia udali się ponownie do biskupa. Tym razem uderzyła ich zmiana w zachowaniu Thietmara. Po wymianie kilku zdawkowych uwag biskup zakończył niespodziewanie spotkanie:

- Wasza sprawa, w jakiej misji podążacie, najpóźniej jutro opuścicie teren mojej diecezji. Póki jeszcze wątle i nieoficjalne zawieszenie broni między nami panuje.

Smagnięci nagłą, zimną wrogością Thietmara, wybiegli niemal spiesznie z biskupiej rezydencji i podążyli do zajazdu. Zasiadłszy wspólnie ze Srogoszem, Wojomirem i Bernardem, delectowali się napitkami w obszernej karczemnej hali wypełnionej po brzegi merseburskim ludem. Nieopodal nich przy długiej ławie gromada połabskich podgrodzian chlała na umór, słuchając w milczeniu przemowy jakiegoś człeka. Niskiego wzrostu, pulchny, z czujnymi małymi oczkami jak u prosiaka, perorował zawzięcie głosem nad podziw doniosłym, przebijającym wrzawę dziesiątków gardzieli trzęsących karczmą:

- Na co wam Polacy? To dzicz opętana mordowaniem i grabieniem. Jak tu przyjdą, to obedrą was ze wszystkiego i do ciężkich posług zagnają albo sprzedadzą w niewolę...

- A Niemcy lepsi? - wtrącił któryś ze słuchaczy.

- Niemcy to dobre pany, ludzkie pany - odpowiedział z zacięciem mówca. - Porządek zaprowadzają, chronią was przed napadami, zajęcie dają... - w tym tonie przemawiał dalej, nie zostawiając suchej nitki na Polakach.

- Ty przecież też Polak - zaproponował ktoś.

- Jaki Polak? - zaciętrzewił się mówca. - Ja ze Śląska, Polanie nas kiedyś napadli, te przekłete Piasty, i niewolę narzuciły.

W tym tonie toczyła się dyskusja, gdy tymczasem grupa Gromosława, siedząc nieopodal, chłonęła każde słowo. Czambor, Gromosław i Srogosz kręcili w milczeniu głowami z narastającym wzburzeniem. Gromosław powstał, precyzyjnie się do szynku, położył przed karczmarzem srebrnego talara i rzekł:

- Masz tu zapłatę za jadło, napitki i dzisiejszy nocleg, za mnie i moich ludzi. Jutro z rana wyjeżdżamy, to nie zapomnij przedtem koni oporządzić. - Odczekał, aż karczmarz nacieszy się widokiem srebra, i dodał: - Co to za jeden tam za naszą ławą, co tak zajadle ujada?

Karczmarz, nie odpowiedziawszy, wzruszył jedynie ramionami, wpatrując się łakomie w talara.

- Albo mi powiesz - zaznaczył Gromosław - albo rozplątam srebro i dostaniesz tylko jedną czwartą, czyli tyle, ile się należy. Za całą monetę mów, co wiesz o tym człowieku.

Karczmarz po krótkiej chwili namysłu przykrył dla pewności talara szmatą do zmywania, a na szmacie położył

rękę.

- Wołają nań Chaszczol, on Polak. Przynajmniej tak go przezywają, nie wiem, jakie jego prawdziwe imię. Podobno za waszego poprzedniego króla, Mieszka, gdy jeszcze Niemcy z Polakami w zgodzie żyły, wasz Mieszko nakazał niektórym swoim wojownikom, by oddali synów na nauki do Magdeburga i do naszego Merseburga. Chaszczol trafił do szkółki przyklasztornej, lecz po kilku latach wyrzucono go na zbity pysk jeszcze przed wygoleniem tonsury na głowie. Nie wiadomo, co on tam przewinił, jakich zberezeństw się dopuścił, ale plotki plugawe później kursowały. Od tego czasu wysługuje się saskiemu burgrabiemu i biskupowi, a po wybuchu wojny cesarza z Bolesławem agituje wśród nas na rzecz Niemców, przeciw Polakom.

- Wyjeżdżamy jeszcze dzisiaj - rzekł mu Gromosław. - Nakaż natychmiast oporządzić konie. - Powrócił do swoich ludzi i poinformował krótko o Chaszczolu, po czym zarządził natychmiastowe opuszczenie Merseburga.

- Przed wieczorem w drogę? - zaprotestował Randulf.

Gromosław przerwał stanowczo wszelkie dalsze dyskusje:

- Jedzenia w torby napakować, już zapłacone, a odpoczniemy przy ognisku, byle jak najdalej od miasta. Ciasno tu dla nas.

Wyjechali czym prędzej z Merseburga, nie zważając na nadchodzący zmierzch. Planowali udać się bezpośrednio do Brenny, podążając przez zdobyte w 1007 roku przez Bolesława Czerwiszcze. Gród zniszczony działaniami

wojennymi nadal świecił pustką, żadnego garnizonu, mieszkańców. Dopiero na trzecim postoju, gdzieś na styku Miśni ze Stodoranią, zaczęli przed noclegiem omawiać wyniki pobytu w Merseburgu.

- Opowiedz wszystkim, co wyczytałeś w biskupiej kronice - zagał rozmowę Gromosław, zwracając się do Randulfa. - Spróbujemy zebrać dotychczasowe wiadomości.

- A mi cały czas w głowie to, coś mówił o Chaszczolu... - zaczął podchwytnie Randulf.

- Chaszczol nas nie interesuje - przerwał mu stanowczo Gromosław. - Nie jesteśmy tu dla wypleniania zdrajców i szpiegów.

- A byłoby lepiej dla was, gdybyście wyplenili zawczasu - zaperzył się niespodziewanie Wojomir - dla waszego dobra, zanim ta zaraza nikczemna nie rozleje się na dobre po waszym kraju.

- W Polsce by sobie na to nie pozwolił, ubiliby go za takie gadanie. Nie wiem, Wojomir, skąd raptem ta gorycz...

- Bo to prawda. - Wojomir nie dał dokończyć Gromosławowi. - Połabie zgubili sami Połabianie, nie obcy. Zdrajcy, donosiciele, sprzedawczyki. Sprzedają siebie, rodzinę, sioło, plemię, gród, wszystko. Za srebro, konia, zbroję, stanowisko, obojętnie. Sąsiada się pozbyć? Brata wyrugować ze stanowiska? To w te pędy na skargę do Niemca lub Polaka. Przyjdą, pomogą, a przy okazji wszystko wokół zagarną. A jak nie do Niemca czy Polaka, to do zaślepionych żerców, co na jedno wychodzi. Zginęła dawna świetność, rozpadła się jedność plemion.



Gromosław milczał, nie miał ochoty na dalsze prowokowanie Wojomira, choć korciło go wypomnieć Połabianinowi, że przecież sam z siebie zaoferował służbę Polsce. Zmieniając temat, ponownie zwrócił się do Randulfa:

- U Thietmara coś o Radogoszczy?

- Znalazłem bardzo dokładny opis świątyni Swarozyca, okraszony wieloma szczegółami panujących tam obyczajów i rytuałów. Zdążyłem nawet sporządzić naprędce odpis. Tak jak ja to zrozumiałem, to sama Radogoszcz jest wielkim grodem o podstawie trójkąta, położonym pośrodku nieprzebytych lasów, przez tubylców nimbem świętości naznaczonych. Do grodu prowadzą z zewnątrz dwie bramy. Natomiast we wschodniej ścianie grodu znajduje się jeszcze trzecia, najmniejsza brama, która otwiera przejście na wąską ścieżkę. Ścieżka wychodzi bezpośrednio na długą groblę wrzynającą się w położone nieopodal, owiane grozą jezioro. Na końcu grobli, pośrodku jeziora, znajduje się wysepka, a na niej oważ tajemnicza świątynia. Przytoczę mniej więcej z opisu Thietmara: „...zbudowana misternie z drzewa i usadowiona na fundamentach z rogów dzikich zwierząt”. Wewnętrzne ściany świątyni zdobi galeria licznych wizerunków przeróżnych bóstw pogańskich, bogiń i bogów. Najprawdopodobniej są to niezwykle artystycznie wykonane płaskorzeźby, na co nieświadomy Thietmar nie znalazł określenia. Natomiast wewnątrz świątyni zapełniają posągi bogów, każdy uposażony w straszliwe uzbrojenie i podpisany imiennie. Ciekawe, w jakim lub w jakich

językach? Największym i najważniejszym wśród tego słowiańskiego panteonu jest Swaróżyc. Oprócz tego w świątyni znajdują się sztandary bojowe. Dzielne lutyckie woje za każdym wymarszem na wojnę zabierają ze sobą te sztandary. Terenu świątyni strzeże kasta kapłanów. To chyba tyle. Wynika z tego, że aby dostać się do świątyni, trzeba najpierw wtargnąć do grodu i skorzystać z trzeciej, wschodniej bramy. Chyba że popłyniemy łodzią i z brzegu jeziora dostaniemy się bezpośrednio na wyspę. Ale to chyba niemożliwe, w opisie Thietmara jezioro ukrytą zgrozą owiane. Może brzegi są szczelnie strzeżone?

- Wojomir - spytał Gromosław - przypomnij, coś mówił przedtem o możliwej lokalizacji Radogoszczy, czy aby nie wspominałeś jakichś jezior?

- No, wspominałem, według tego, co przez lata o uszy mi się obijało, stolica Redarów leży gdzieś w okolicy dwóch jezior, z których jedno na pewno zwie się Dołęże. Kilkaset metrów na południe od niego leży mniejsze jezioro zwane Lipowym. Natomiast kilkadziesiąt kilometrów na zachód od Dołęża leży największe jezioro tamtego regionu, zwane Morzyckim. Nie wiadomo, ile w tym prawdy i czy Radogoszcz leży pomiędzy tymi jeziorami. Zresztą, którymi? A może w odległości paru kilometrów od nich? Cały ten obszar pokryty jest licznymi jeziorami i rzeczkami powbijanymi w gęste lasy. Nad brzegami Morzyckiego usadowili się Morzyczanie, to już nie jest teren Redarów. Tyle wiem. Czyli wyspa ze świątynią znajduje się na którymś z dwóch jezior, Dołęże lub Lipowe.

- Poczekamy, co przyniesie nam wizyta w Brennie - zawyrokował Gromosław. - Nie chce mi się wierzyć, by Sławigost lub któryś z jego ludzi nie znali drogi do Radogoszczy, przecież Sławigost poślubił przed wieloma laty córkę Pakosza, najwyższego żercy Lutyków. Co, nie pamiętacie, jak nam Randulf w Kopaniku z zapisków Stodora czytał?

- To po cośmy w ogóle jechali do Merseburga, skoro Stodoranie znają drogę do Radogoszczy? - zapytał Czambor.

- Bo tak się uparł Bolesław - odparł Gromosław. - Tuni wmówił księciu, że kronika Thietmara zawiera dokładny opis świątyni. Poza tym Bolesław chciał, byśmy wybadali nastroje wśród Niemców, szczególnie zachowanie Thietmara, czy może wiedzą coś o kradzieży włóczni.

- Gromo - wtrącił się Bernard z podchwytliwą wesołością w głosie - a nie chciałbyś wyskoczyć najpierw do Kopanika, prawie po drodze...

- Hej! - przerwał mu gwałtownie Gromosław, wskazując jednocześnie głową na zajętego obgryzaniem pieczeni Srogosza.

Bernard zamilkł. No tak, Srogosz. Za bardzo nie wiedzieli, jak go traktować. Starszy od nich chyba trzykrotnie, owiany sławą zapomnianych bitew, małomówny. A do tego niewątpliwie bliski zaufany Bolesława. Nie wiadomo, co przy nim można powiedzieć, a co nie, jak się zachować, bo o wszystkim doniesie później księciu. Bernard przysiadł się bliżej do Gromosława i coś

mu tam szeptem tłumaczył. Srogosz, podobnie jak Randulf i Czambor, zapamiętałe skupił się na jedzeniu. Nikt nie zwrócił uwagi na niespokojne zachowanie Wojomira. Raptem Połabianin powstał z wolna od ogniska i podążywszy w północnym kierunku, zagłębił się w ścianę lasu. Po jakimś czasie z przeciwnej strony lasu, przeciwległej do kierunku, w którym udał się Wojomir, dobiegły do nich wrzaski i okrzyki. Zerwali się na równe nogi, chwytając za oręż. Z pomiędzy drzew wychynął Wojomir, ciągnąc za sobą na sznurze miotającego się... Chaszczola.

Oniemieli.

- Co tak spoglądacie? - spytał spokojnie Wojomir i rzucił Chaszczola kopnięciem na ziemię. - Mówiłem, że zrośnięty jestem z otaczającym mnie światem. Czuję każde drgnięcie lasu. To łajno tropiło nas od Merseburga, czekałem tylko na dogodny moment, by go chwycić.

Chaszczol bez tortur wyznał, że działał z rozkazu Thietmara, miał ich śledzić niepostrzeżenie i donieść biskupowi o ich zamiarach.

- Pismo miał przy sobie - zauważył Wojomir - ale zdążył zjeść, zanim go związałem.

- To już w kiszkach zmielone. - Bernard podrapał się po głowie.

- Może nie - zauważył Wojomir. - Całe strzępy odrywał jak zając płaty sałaty i łykał bez przeżuwania.

- Na to jest rada. - Czambor wyjął miecz. - Brzuch rozprujemy.

- Trzeba go ukarać - zdecydował Gromosław. -  
Przykładnie ukarać.

- U nas szpiegom obcinają języki - zaopiniował Randulf.

- Oczy wydłubać. - Niespodziewanie Srogosz stał się rozmowny. - Za patrzeć nie na swoje sprawy, a do tego obciąć język, żeby więcej nie donosił.

- To i dłonie trzeba odrąbać - rzekł Czambor - żeby nie napisał, co widział i słyszał, bo przecież w gospodzie się chwalił, że piśmienny.

- Kiedyś cesarz Henryk, idąc na Polskę przez Połabie, posłańców ze Stodoranii do Bolesława na drzewach powiesił, pomimo że szlachetnie urodzeni byli.

Wojomir był odmiennego zdania.

- Do drzewa przywiązać, brzuch otworzyć i niech czeka z wyprutymi kiszkaami na wilki.

- Po co od razu zabijać? - obruszył się Bernard. - Wystarczy uszy obciąć za podsłuchiwanie.

- Tak, właśnie - zawyrokował Gromosław - obetniemy mu uszy i puścimy wolno. Niech go Thietmar ukoł głaskaniem. Który chętny?

- Ty jesteś dowódcą. - Wzruszył ramionami Bernard. - Do ciebie należy wykonanie wyroku.

- My nie Sasy ani wikińskie Duńczyki - odparł mu Gromosław. - U nas dowódcy rozkazują, a bronią machają na polu bitwy. No co jest? Nagle odechciało wam się karania Chaszczola? Czambor, może ty? Słyszałeś, jak na nas, Polaków, ujadał?

- Ja tam odmawiam. - Czambor rozkraczył się i splótł ręce na piersiach. - Mogę go najwyżej ściąć toporem lub mieczem.

- Wojomir?

- On Polak, to co mi do niego - odparł Połabianin. - Sami między swymi sprzątajcie.

- Randulf? Srogosz? - pytał dalej Gromosław.

- Ja mu obetnę uszy - rzekł niespodziewanie Bernard, wprawiając pozostałych w osłupienie.

- Ty? - spytał Gromosław

- Ano właśnie ja - odparł Bernard. - Z czystej złośliwości. - Pochylił się nad wijącym się na ziemi jąkającym Chaszczolem. - Saskiemu biskupowi się wysługujesz? Na własnych rodaków sarkasz, polskiej krwi się wypierasz? Saski biskup dobry pan, co? Ludzki pan, rękę z pierścieniem guzowatym do polizania poda, srebrem wynagrodzi? To ci teraz rodowity saksoński rycerz służbę wynagrodzi!

- Benno, pożyczyć ci mojego sztyletu? - spytał usłużnie Randulf.

- Mam własnego saksa, po przodkach odziedziczonego - odmówił Bernard i wyjął z pochwy długi szeroki nóż.

Chaszczol darł się wniebogłosy, gdy Bernard unieruchomił mu głowę między kolanami i przymierzał się do wykonania wyroku:

- Nieee! Niece! Zrobię dla was wszystko, darujcie mi uszy!

Nie zważając na wrzaski Chaszczola, Bernard odciął mu sprawnie jednym cięciem lewe ucho. Nieszczęśnik nie stracił przytomności, tylko darł się dalej:

- Ty też zdradzasz! Swoich Sasów! Żeby ci tak twoi kiedyś uszy obcięli!

Wtedy Bernard zamarł. Po chwili wypuścił szamotającego się Chaszczola z uścisku kolan, wsunął saksa do pochwy i wyrzekł tylko:

- Rozmyśliłem się, jedno ucho wystarczy. Wasza sprawa, co z nim dalej zrobicie.

Stało na tym, że Chaszczol zachował i życie, i prawe ucho. Po wszystkim Wojomir nałożył mu maści na ranę i owinął grubą szmatą. Na koniec rozebrali go do naga i puścili wolno.

Nad rankiem, gdy szykowali się do dalszej drogi, Gromosław wtrącił niespodziewanie o zmianie trasy:

- Udamy się najpierw do Kopanika, ponieważ Bernard zwrócił mi poprzedniego dnia słuszną uwagę, że przecież w Kopaniku niejeden z miejscowych znać może drogę do Radogoszczy. A z Kopanika droga do Brenny prosta. - Obserwował przy tym kątem oka twarz Srogosza, wyczekując jego reakcji, lecz piastowski weteran skomentował jeno:

- Pamiętam, jak przed laty zdobyliśmy z Mieszkiem Kopanik. Okrutna walka była. Twój ojciec, czcigodny Wodzisław, też przy tym był.

Zaledwie przybyli do Kopanika, Gromosław poinformował Matyldę o wykradzeniu włóczni i decyzji

Bolesława, po czym oboje zaszyli się w jej komnatach. „Baraszkować będą”, skomentował Randulf.

Pobyt w grodzie okazał się owocny. Zasięgając języka wśród miejscowych, Wojomir potwierdził nie tylko domniemania, że Radogoszcz leży gdzieś w okolicach jezior Dołęże i Lipowego, lecz także wyłuskał jeden istotny szczegół. Jedyne szlaki do stolicy Redarów prowadziły od zachodu północnymi obrzeżami jeziora Morzyckiego, a następnie skosem na południowy wschód. Ze wszystkich pozostałych stron Radogoszcz otaczały nieprzebyte puszcze porośnięte na bagnach. Dlatego nie sposób było tam dotrzeć ani od wschodu – od strony Polski, ani z samego południa – bezpośrednio z Kopanika. Znaczący tam niepostrzeżone drogi na pewno istniały, ale na to trzeba było dobrych przewodników. „To nawet pasuje”, zawyrokował Gromosław, „i tak musimy po Merseburgu najprzód do Brenny, chociażby ze względu na te listy od Bolesława do Sławigosta, a stamtąd mamy drogę na Mechlin, czy jakoś tak, leżącą gdzieś na zachód od jeziora Morzyckiego”.

Kolejnego wieczora, podczas gdy Gromosław nadal baraszkował z Matyldą, poszli całą grupą do karczmy. Nawet Srogosz dał się zaciągnąć. Następnego dnia do Matyldy napłynęły skargi, że „goście całą noc hulali i panny bałamucili”. Księżniczka odesłała oburzonych podgrodzian do dowódcy. Na dokładkę Bernarda zwała gorączka, nie wiadomo, czy z „nocnego przemęczenia”, czy też na skutek nagłych boleści w zranionym przed niespełna rokiem boku. Gromosław wpadł na wspaniały pomysł, w jego mniemaniu



genialny, jak jednocześnie zademonstrować przed mieszkańcami, że przywraca dyscyplinę, dać czas Bernardowi na wykurowanie się i przedłużyć miłosne chwile z ukochaną. Wysłał Randulfa, Wojomira i Srogosza pod dowództwem Czambora na patrol pod lutycką granicę. Niech się rozeznają w sytuacji i ochłodzą głowy. Poniewczasie pożałował swej decyzji. Niesieni jakimś pechem, wpadli w zasadzkę, gdy zapuścili się w nadgraniczne lasy. Niemal podobnie jak na początku wiosny, gdy chcieli dokonać zwiadu u Wkrzanów. W pobliżu pewnej ustronnej, niewinnie wyglądającej polanki zasypały ich chmury strzał. Nawet Wojomir z braku widocznego celu nie zdążył skutecznie zareagować. Po czterech szybkich salwach ostrzał ustał i napastnicy wycofali się bez strat i nierozpoznani, zostawiając na polance pokiereszowaną grupkę. Randulfa trafiły dwie zdradzieckie strzały, od tyłu w plecy, tam, gdzie zbroja najmniej odporna. Jedna utkwiała w barku, druga nieco powyżej pasa. Pod Czamborem ubito konia. Upadając na ziemię, zwichnął nogę w kostce. Wojomir, któremu strzała uszkodziła łydkę, przeklinał boleściwie wniebogłosy. Jedynie Srogosz uszedł bez szwanku, może dlatego, że jako najmniejszy ze wszystkich trudny cel stanowił. Gromosław wpadł we wściekłość. Stare wojenne wygi, weterani bitew, dali się obrzucić strzałami jakimś chłopom? I co z tego, że może lutyccy wojownicy? Co, na spacer pojechali? Nie było rady, komnaty Kopanika ponownie zamieniły się w lazaret, jak przed rokiem. Kuracja ciągnęła się tygodniami. Czambor, który najszybciej

doszedł do siebie, oznajmił pewnego dnia Gromosławowi, że musi na kilka dni opuścić gród. Ma pilne prywatne sprawy do załatwienia, i tyle, dalej nie będzie się tłumaczył. Gromosława niepokoiło zachowanie Czambora, ale nie potrafił sobie jeszcze wyrobić zdania, o co tu chodzi. Przyjdzie czas, to porozmawia z przyjacielem. Czambor powrócił po czterech dniach i nie okazywał ochoty do wyjaśnień, odburkując jedynie coś pod nosem.

Po ponad dwumiesięcznym pobycie, dwudziestego szóstego sierpnia, opuścili Kopanik, kierując się na Spędów, a stamtąd już z biegiem Haweli na stolicę Stodoranii. Do Spędowa dotarli jeszcze tego samego dnia po czterogodzinnej jeździe. Leżał naprawdę niedaleko. A po dwóch następnych dniach, dwudziestego ósmego sierpnia, znaleźli się pod Brenną.

- Brennę też zdobywałem, dwa razy z Mieszkiem i młodym cesarzem. Ale nam się nie udało. - Srogosza naszły wspomnienia na widok masywnych i wysokich wałów grodu.

- A pod Cedynią też walczyłeś? Bo... - spytał zniechęcony Czambor, lecz popchnięty łokciem przez jadącego obok Gromosława, zamilkł. - Czego mnie szturchasz? Z ciekawości pytam.

- Niech pyta. - Na skamieniałej zmarszczkami twarzy Srogosza chyba po raz pierwszy, odkąd razem podróżowali, pojawił się cień uśmiechu. No może po raz drugi, ale pijatyki w kopanickiej karczmie nie potrafili sobie dokładnie przypomnieć. - Też kiedyś będziecie wspominać młodzikom

waleczne czasy. – Gdy przystanęli na widok mającego w oddali patrolu, kontynuował: – W czasach Cedyni na postrzyżyny mi szło, siedem lat miałem. Ojciec, wróciwszy z bitwy, długo wieczorami opowiadał, jak rozbili armię Hodona. Doszczętnie, tylko margrabia z paroma rycerzami i jakiś graf zdołali ująć z rzezi, jaką im Mieszko i Czycbor zgotowali...

– To był Zygfryd, ojciec biskupa Thietmara... – wtrącił Gromosław.

– ...resztę zarabano bez brania jeńców, chyba ze trzy tysiące ludu wojennego, niesamowicie żelazem obleczonego. Czycbor uderzył na nich jazdą, gdy podeszli pod Cedynię za markującym ucieczkę Mieszkiem. Nasi ciężkozbrojni, w których ojciec służył, wypadli na Niemców z pełnego kopyta, zupełnie ich zaskoczywszy. Wtedy Mieszko zawrócił szyki i Niemcy znaleźli się w pułapce. To była bitwa! Ojciec rąbał mieczem jak opętany, nie pamiętał już, ilu wrogów naścinał. Same przednie saskie rycerstwo, jakież oni mieli wspaniałe zbroje! Po bitwie dostał w zdobyczy lśniąca kolczugę, kaftan ćwiekami nabijany, wielgachnego konia z uprzężą, długiego saksa, włócznię z złotym proporcem, dwa topory i worek łamanego srebra. Bogactwo.

– Na Niemcach można się wzbogacić – westchnął Czambor.

– Na Rusach jeszcze bardziej. – Srogosz wskazał na swój hełm mieniący się złocistymi zdobieniami. – U nich

wszystko lśni złotem i srebrem, od końskiego kopyta po czub z piórami na hełmie.

- Tylko Połabiany najbiedniejsze, żadnej na nich zdobyczy.

- A tam gadasz, a pod Kopanikiem to mało się obłowiliśmy? - zaprotestował Gromosław, do Srogosza zaś rzekł: - Tu, pod Brenną, mój ojciec Mieszka ciałem zasłonił, pewnie byłeś przy tym?

- Oczywiście, aleśmy się strachu najedli, gdy Mieszko strzałę zatrutą w szyję dostał.

Dalszą rozmowę przerwało nadejście stodorańskiego patrolu. Gromosław zdążył jeszcze z zadowoleniem pomyśleć, że jednak powoli udaje im się rozruszać tego Srogosza. Po przywitaniu z patrolem udali się wspólnie drogą wiodącą do grodu. Im bliżej wałów obronnych, tym bardziej uderzała w oczy potęga stodorańskiej stolicy. Brenna, wzniesiona na dużej wyspie pośrodku Haweli, była praktycznie niedostępna od strony stałego lądu. A i samo podejście pod brzegi rzeki wymagało lawirowania pomiędzy licznymi dopływami a jeziorami wtopionymi w gęste lasy. Pod Brenną łączyły się dwa szlaki lądowe prowadzące z zachodu: jeden z Magdeburga, drugi z Hobolina. Już po wschodniej stronie Brenny połączona droga wiodła dalej na wschód, przez Spędów i Kopanik, w kierunku Polski. Kto by zatem chciał na nią wkroczyć we wrogich zamiarach, musiałby najpierw opanować gród. Dlatego też, patrząc z perspektywy zachodnich intruzów, Brennę zwano kluczem do Połabia. Stąd walczono o nią okrutnie od ponad dwustu

lat, a kiedy było się już w bezpośrednim pobliżu potężnych wałów, stawało się jasnym, dlaczego dotychczas nikt nie zdobył grodu bezpośrednim szturmem. Obojętnie, czy próbowali tego Frankowie, Niemcy, Lutycy czy Polacy. Brenna padała wprawdzie, i to kilkakrotnie, ale nigdy w wyniku szturmów. W 779 roku, gdy jeszcze Brenna była stolicą wszystkich wieleckich plemion, pod gród podeszła wielka armia Franków i Sasów dowodzona przez Karola Wielkiego. Wraz z nimi związane z Frankami sojuszem siły zbrojne księstwa Obodrytów z samym Drożko na czele. Chodziło o ukaranie Wieleatów za dokuczliwe napady na Obodrytów i wspieranie części Saksończyków buntujących się przeciwko hegemonii Karola Wielkiego. Dowodzący obroną Brenny sam naczelnny władca Wieleatów Drogowit pewnie podjąłby rzucone mu wyzwanie, lecz zmienił zdanie, gdy Łabą, a następnie Hawelą, na wody wokół Brenny wpłynęła potężna i liczna flota wojenna Fryzów. Setki rozstawionych na pokładach łodzi przemysłnych machin oblężniczych przemówiły do rozsądku Drogowita. Poddał gród bez walki i przyjął całkiem łagodne warunki kapitulacji. Zimą 921 roku pod Brenną pojawili się kolejni agresorzy. Król niemiecki Henryk I Ptasznik przystąpił do zawojowania ziem słowiańskich leżących za Łabą, zaczynając podbój od zdobycia stolicy Połabia. Nie bez przyczyny wybrał zimową porę. Nie posiadając floty jak Karol Wielki, nie miałby żadnych szans na sukces oblężenia otoczonej zewsząd wodami wyspy, nie mówiąc już o szturmie na imponujące i silnie obsadzone fortyfikacje. Do

tego brak dróg na terenie pokrytym gęstymi lasami nie zezwalał na szybki transport sprzętu oblężniczego. Natomiast zima skuła wody grubymi lodami, a tym samym oddziały niemieckie mogły swobodnie podejść pod gród z każdej strony. Mimo to obrońcy Brenny odpierali bohatersko szturm za szturmem. Na dokładkę stodorańska jazda ciężkozbrojna, nieliczna acz skuteczna, nękała z lasów oddziały niemieckie niespodziewanymi wypadami. Z drugiej strony, po jakimś czasie grodowi groziło całkowite wyczerpanie żywności. W rezultacie ugodzono się na kompromis. Syn Henryka, młody następca niemieckiego tronu imieniem Otto, późniejszy cesarz, ożenił się z córką księcia Wioletów. Z ich krótkotrwałego, rocznego związku zrodził się przyszły arcybiskup Moguncji Wilhelm. Jednocześnie Brenna poddała się Henrykowi, zachowując własne struktury polityczne. Brenna skapitulowała zatem, pozostając jednak nadal niezdobytą w boju. W 940 roku, już za panowania wspomnianego Ottona nazwanego Wielkim, Niemcy ponownie usiłowali zdobyć Brennę. Dokonali tego sprytem. Uwolniony z magdeburskich lochów członek stodorańskiej dynastii imieniem Tugumir pojawił się pod bramą grodu, udając uciekiniera, i został wpuszczony przez załogę. Niebawem Tugumir zamordował swego krewniaka zasiadającego na stodorańskim tronie i przejąwszy władzę, poddał Brennę Niemcom. Czyli znowu gród został zdobyty nie walką, a podstępem. W 982 roku wybuchło powstanie Słowian połabskich przeciwko niemieckiej ekspansji. W pierwszych dniach walk powstańcy zdobyli wypełnioną

niemieckim wojskiem Brennę - tylko dlatego, że Słowianie wewnątrz grodu przystąpili do wyrzynania niemieckiego garnizonu, co ułatwiło nacierającym rodakom wdarcie się na wały. W kolejnych latach niejednokrotnie Niemcy wspólnie z Polakami nacierali na gród, lecz bezskutecznie. Za którymś z nieudanych najazdów młody cesarz Otto zwany Trzecim w kolejności przymrużył nawet oko na sfalszowanie relacji z walk. Obrońcy ugodzili się z oblegającymi na zawieszenie broni i wymianę zakładników, ale na cesarskim dokumencie wypisano, że gród został zdobyty.

W pierwszych latach rządów Bolesław doprowadził do zawarcia sojuszu między Polską a Stodoranią.

- Wielki gród - rzekł Czambor, który po raz pierwszy widział Brennę na własne oczy. - Z kilka tysięcy ludu pomieści. Gdańsk o wiele mniejszy.

- Lubusz i Kopanik nie mają się co przyrównywać - zauważył Gromosław.

- Na Połabiu więcej takich grodów - odparł im z dumą Wojomir. - Nie widzieliście jeszcze Wołogoszczy, Hobolina, Dymina i nadmorskich miast obodryckich. A podobno Radogoszcz z nich wszystkich najpotężniejsza. Ale tak tylko słyszałem, bo tam nie byłem.

- Dobra, dobra, w Polsce też wielkie grody - odparł mu Gromosław. - W samym Szczecinie kilkanaście tysięcy mieszkańców, Wolin też bardzo ludny. Poznań szybko się rozrasta, Kraków na południu murami z kamienia otoczony.

- Szczecin to najpierw musicie odzyskać - ugasił go Wojomir.

- Na Chrystusa! - wzburzył się nagle Czambor, wskazując ręką w kierunku zachodniej części wałów. - Pogany straszliwe!

Najwidoczniej powierzchnia wyspy usiana była wzgórkami. Na jednym z nich, tam, gdzie wskazywał Czambor, wysoko ponad wielkość wałów, wznosił się masywny obelisk Trzygława wykuty w kamieniu.

- Spójrz na drugą stronę wałów, tam stoi zamek książęcy - przerwał Wojomir. - Widzisz tam nad zamkową kapliczką wielki krzyż?

Czambor kręcił z niedowierzaniem głową pomiędzy krzyżem a Trzygławem.

To jest właśnie prawdziwe Połabie - orzekł wzniesionym głosem Wojomir. - Wiara przodków i krzyż Chrystusa na jednym miejscu. Tak jak ten cały lud i ich wodzowie, rozdarci między starym a nowym... - po chwili zastanowienia dodał z sarkazmem: - i zgniatani między Polską a Niemcami.

Gdy przejeżdżali nieopodal posągu Trzygława, minęli u jego podnóża jakiegoś starca. Prosta szata do stóp, ale zdobiona bogatymi ornamentami, długie włosy i broda dłuższa, jak u Sasów. Siedział rozparty wygodnie i delectował się kawałkiem mięsiwa. „Żerca”, wyrzekł Wojomir. „Co się gapicie?”, zakrzyknął kapłan na ich osłupiałe spojrzenia.



Sławigost przyjął ich gościnnie i wystawnie. Siłą rzeczy rozmowa zeszła od razu na Stodora i wojnę domową u Lutyków. Brenna była doskonale poinformowana o aktualnym stanie rzeczy. Wojna trwała nadal i kilkakrotnie podchodziła pod granice Stodoranii. Raz były to oddziały żerców, innym razem wojska powstańcze. Na wiosnę tego roku Sławigost nie potrafił już opanować wrzenia wśród własnych poddanych i musiał przymknąć oko na dezercję części sił zbrojnych, które bez wyjątku przyłączyły się do Stodora. Gdy tak siedzieli i słuchali wyłuszczeń starego zniedołężniałego księcia, dotarł do nich ogrom rozgrywającego się dramatu. Bezsilny Sławigost, na progu śmierci, balansujący na wątej niezależności między Polską a Niemcami, odchodził targany goryczą i poczuciem klęski. Jedyne męski następca tronu, którego przed laty odtrącił i pozbawił dziedzictwa, walczył o odzyskanie dawnej świetności Połabia. Nawet nie śmieli go zapytać, czy nadal wieje nienawiścią do syna. Nie wspomnieli o rękopisie Stodora i zawartej w nim pogardzie dla ojca. Słuchali cierpliwie dalej, zadając od czasu do czasu pytania związane z samym powstaniem. Od początku walk boje toczyły się w różnych miejscach, raz wygrywał Stodor, innym razem żercy. Grody padały, wznoszono je na nowo, wojska plemienne w ciągłym przemieszczaniu się. Od roku nieustanne bitwy, potyczki, starcia, oblężenia. Z małą przerwą w środku zimy. Pod koniec marca Stodor przeszedł do kolejnej ofensywy. Zebrawszy ponownie siły, przystąpił do natarcia na samą Radogoszcz. O mało jej nie zdobył. Po

trzech dniach i nocach zaciętych szturmów powstańcom udało się wtargnąć w jednym miejscu na wał, wyrąbać przejście w tłumie oszalałych obrońców i zdobyć przyczółek, którym do wnętrza grodu napływać poczęły kolejne chmary wojowników. Bitwa przeniosła się do pierwszego podgrodzia. Ale do sukcesu było jeszcze daleko. Za podgrodzem wznosił się kolejny wianek wałów okalających gród właściwy. A tam czekały w pogotowiu nienaruszone jeszcze walką elitarne oddziały Redarów. I wtedy niespodziewanie od walki odstąpili Obodryci. Jak na rozkaz porzucili bitewne zamieszanie i wycofali się na przedpola miasta, gdzie po zebraniu wszystkich wojsk podążyli spiesznie do ich ojczyzny. Dowodzący Obodrytami syn wielkiego księcia Mścisława zdążył jedynie przekazać Stodorowi krótką wiadomość: „W kraju wybuchła reakcja pogańska podburzona przez lutyckich agitatorów. Lud zaatakował grody, masakruje rycerstwo i garnizony, wyrzyna duchownych, pali domy boże. Ojciec wycofuje się powoli z ciężkich walk do zachodnich części księstwa, z ogromnymi stratami. Wzywa mnie niezwłocznie na pomoc”.

Nagle odejście Obodrytów zmieniło obraz walki, nadszarpięło morale powstańców. Falangi Redarów wysypały się z głównego grodu i wyparły po ciężkim, lecz zwycięskim boju przetrzebione i osłabione wojsko Stodora z podgrodzia. Stodor ledwo uszedł z życiem. Zaprzepaszczona została szansa zdobycia Radogoszczy i być może ostatecznego pokonania żerców, ale klęska nie

była znowu taka wielka. Mniej więcej tyle samo wojowników poległo po obu stronach. Stodor nadal zachował inicjatywę, szybko pozbierał siły po porażce i jeżeli wierzyć doniesieniom zwiadowców, szykował się na nowo do marszu w kierunku Radogoszczy. Tym razem przyszły mu na pomoc niespodziewane posiłki, prawie sześć setek zaprawionych w bojach duńskich wojowników przysłanych przez króla Haralda. Najwyraźniej zadziałał świeżo zawarty polsko-duński sojusz. Jak do niego doszło? Rok po śmierci króla Swena Widłobrodego, w 1015 roku, synowie jego Kanut i Harald zawitali na dwór Bolesława Chrobrego, by ściągnąć do Danii przebywającą na wygnaniu matkę, Świętosławę, siostrę władcy Polski. Wtedy zapewne Bolesław zawarł z nimi bliżej nieokreślone porozumienie dotyczące wspólnej polityki na ziemiach Słowiańskiego Wybrzeża, czyli od obodryckiej Wagrii po Pomorze Zachodnie. Przymierze skierowane było przede wszystkim przeciwko Niemcom i Lutykom. Duńczycy z kolei mieli wpływ na Obodrytów, z którymi łączyła ich nie tylko wspólna lądowo-morska granica, lecz także koligacje małżeńskie na szczeblu dynastycznym. Prawdopodobnie za poduszczeniem Bolesława Harald wysłał pomoc Stodorowi. Mało tego, Mścisław zażegnał chwilowo jako tako antychrześcijańskie wrzenie i przyłączył do duńskiego kontyngentu podobno półtora tysiąca obodryckiej jazdy ciężkozbrojnej. Co prawda to niewiele w porównaniu z poprzednimi posiłkami liczącymi sześć tysięcy zbrojnych, ale na więcej obodrycki władca nie mógł sobie pozwolić

w obliczu tłącego się nadal niebezpieczeństwa rewolty. Duńczycy wylądowali na obodryckim wybrzeżu i ruszyli na punkt zborny Obodrytów, gdzieś w okolicach Dubina, obodryckiej twierdzy strzegącej granicy z Lutykami. Stamtąd ruszą razem w kierunku Dymina, gdzie Stodor koncentruje wojska przed wymarszem...

Sławigost ciągnął dalej relację. Bez odczuwalnej zmiany tonacji głosu dodał, że na jego rozkaz z Brenny wyruszyło około czterystu ochotników palących się do walki po stronie Stodora. Tak więc połabski rebeliant zdołał w krótkim czasie zebrać na nowo pokaźne siły zbrojne. Do jego własnej, rodzimej i licznej armii powstańczej oraz wspomnianych posiłków z zewnątrz w ostatniej chwili dołączyli Glinianie z Łączyna w sile dwóch tysięcy wojowników. Samozwańczo Stodor mienił się już oficjalnie królem Połabia. Gdzie aktualnie znajdowała się jego armia? Pod Dyminem, skąd wyruszy, jeżeli już nie wyruszyła, w kierunku północno-wschodnich obrzeży jeziora Morzyckiego. Pochód na Radogoszcz będą zapewne opóźniać toczony po drodze walki. Nie wiadomo, jak zareagują żercy. Wyjdą Stodorowi naprzeciw dla stoczenia bitwy czy też zorganizują obronę Radogoszczy? I jakimi siłami dysponują?

Rozmowa, a właściwie dotychczasowy monolog Sławigosta, zeszła na sprawy bardziej przyziemne. Ot, co słyhać w Polsce, jakie zmiany w Kopaniku, chwilowe zamrożenie wojny Henryka z Bolesławem i tak dalej. W pewnym momencie Gromosław wtrącił ostrożnie pytanie

o położenie Radogoszczy, starając się nie wzbudzić podejrzeń Sławigosta. Stary książę do pewnego stopnia potwierdził zebrane dotychczas informacje. Gdy zapytał o powód wypytywania, Gromosław odpowiedział mu wprost:

- Mamy do spełnienia zadanie w kraju Redarów. Misja zlecona przez samego Bolesława. Całość okryta jest tajemnicą i, z wielkim szacunkiem dla ciebie, książę, nie mamy prawa złamać przysięgi danej naszemu władcy.

- Ha! - ożywił się Sławigost. - Czy ja już naprawdę taki stary, zniedołężniały, opuszczony przez wszystkich, że najprostszyc rzeczy wokół siebie nie ogarniam? Przed ponad miesiącem byli tu Niemcy, trzydziestu jeźdźców dowodzonych przez Herborda ze Stade. Wypytywali o ziemię Redarów, Radogoszcz, tak jak wy. Przysięgi, tajemnice - westchnął głęboko. - Mogę się tylko domyślać. Henryk wielki polityk, Bolesław wielki polityk. Co mi do tego, niebawem umrę. Ale rozumiem, że pragniecie się dowiedzieć, jaką drogą najlepiej dotrzeć do Radogoszczy?

- Otóż to - odparł Gromosław.

- Zaraz, zaraz - wmieszał się Bernard - powoli. Herbord ze Stade? Jeszcze dzieckiem będąc, opowiadań o nim na grodzie ojca słuchałem. To jeden z licznych krewnych biskupa Thietmara z Merseburga, rycerz wysokiego urodzenia, zasłynął jako człowiek Henryka do specjalnych zadań. To on podobno zorganizował w 1002 roku zasadzkę na Ekkeharda I, margrabiego Miśni, a przed dwoma laty wytropił miejsce pobytu Arduina z Ivrei, uzurpującego sobie

prawo do tronu Italii, i przyczynił się do klęski jego wojsk pod Novarą w Piemoncie. To tylko niektóre z dokonań Herborda.

- Uzurpatorem jest twój Henryk! - wykrzyknął Randulf.  
- Arduin jest prawowitym longobardzkim królem Italii. Ostatnim narodowym władcą mojej ojczyzny, a nie jakiś *tedesco barbarico*<sup>\*</sup>.

- W Italii nazywają Niemców Tedeschi - objaśnił Gromosław Wojomirowi. - I bardzo ich nie lubią. - A zwróciwszy się do Sławigosta, rzekł: - Książę, mniemam, że Herbord nie wyjawiał powodów zainteresowania Redarami i Radogoszczą? Czy udali się do Lutyków?

- Udali, po dniu odpoczynku w Brennie w kierunku Spędowa i stamtąd pod prąd Hoboli.

- Ale czegoś tu nie rozumiem - nalegał Gromosław. - Przecież mamy wojnę, żaden Niemiec nie poważy się pod Brennę.

- Przybyli pod pozorem oficjalnego poselstwa od cesarza.

- Czego Niemcy szukają u Redarów?

- Są przecież w sojuszu.

- Ale nie leźliby przez Brennę, która z nami w przymierzu. Poszliby szlakiem od północnej Saksonii, tak jak wojska księcia Bernarda przed rokiem, gdy z Lutykami na nas sunęli. Dziwne to wszystko - Gromosław kręcił głową - niepokojące. - Chciał już na głos wyrazić obawę, czy aby Niemcy nie szli po odbiór ukradzonej Bolesławowi włóczni, ale zreflektował się w ostatniej chwili obecnością

Sławigosta. Trzeba o tym pogadać, gdy będą sami. Coś ten Thietmar przed nimi skrzętnie ukrywał w Merseburgu, dziwną jego nagła oziębłość, gdy o Radogoszcz zapytali.

- Powróćmy do naszego pytania o drogę.

- Jak wspomniałem, od wschodu i południa nie dotrzecie tam. A szkoda, bo najprostsza, znaczy najkrótsza droga wiedzie ze Spędowa Hobolą do jej źródeł znajdujących się niemal pośrodku obszaru pomiędzy jeziorami Morzyckim a Dołęże. Praktycznie trafilibyście bezpośrednio do siedzib Redarów. Tylko że od wielu lat nikt nie powążył się na pójście tą trasą. Oprócz Niemców Herborda, ale oni mieli swoich lutyckich przewodników. Z tego powodu jedyna droga, o którą wy moglibyście się pokusić, jest nieco okrężna i prowadzi rzekami. Hobolą w dół rzeki do Hobolina, stamtąd wskroś północnego Połabia mniejszymi rzeczkami oraz Ładą nad jezioro Morzyckie, stamtąd Pianą do Dymina na terenie plemienia Czrezipienian, z Dymina Dołężą na południe w stronę północnych brzegów jeziora, z którego ta rzeka wypływa, następnie wodami jeziora Dołęże na jego południowy kraniec. A stamtąd już niedaleko do Radogoszczy. Szkoda, żeście prędeż nie przybyli, to zabralibyście się na łodziach razem z tymi sześciuset ochotnikami z Brenny, oni pozęglowali właśnie wspomnianą trasą.

- A trzeba koniecznie rzekami? - wypytywał Gromosław.

- Do pewnego etapu tak, innej możliwości nie ma. Ewentualnie na wysokości jeziora Morzyckiego moglibyście porzucić Ładę i podążyć lądem na południowy wschód

w kierunku jeziora Dołęże. Ale na to potrzebujecie dobrych i lojalnych przewodników. Tam nie ma szlaków, traktów. Wszędzie rzeczki i jeziora porośnięte gęstymi lasami. Skąpa sieć wąskich dróg strzeżona przesiekami i pułapkami, co rusz łucznicy z pobliskich siół czają się w leśnym mroku.

- Skądś to znamy - wtrącił Czambor - co nie, Gromosław? Przed rokiem w Lesie Dziadoszan?

- Przewodników mieliśmy - odparł Gromosław. - Nie inaczej, jak księżę prawi.

- A przewodników nie znajdziecie - podjął wyjaśnienia Sławigost. - Poza tym tam wojna. Nie wiadomo, na co się natkniecie, kto z kim przeciwko komu.

- Czyli na pewno łodzią po Hoboli i Ładzie, a jak dotrzemy do jeziora Morzyckiego, to zobaczymy - zawyrokował Gromosław. I nikt nie oponował, on tu dowodził.

Jedynie Randulf niespodziewanie zapytał Sławigostę:

- To jak zwie się teren wokół północno-wschodnich obrzeży jeziora Morzyckiego?

- Tam przebiega granica między obodryckimi Warnami a naszymi wieleckimi Morzyczanami - odparł po namyśle księżę. - Jezioro Morzyckie jest przeogromne, stąd Morzyczanie nazywają ten teren Morcze, w naszym języku brzmi to „dla małego morza” lub, w zależności od narzecza, „dla miejsca leżącego nad morzem”.

- Ciekawe... - Randulf zwrócił się w stronę przyjaciół. - Wiecie, że tam właśnie siedzieli moi przodkowie, Longobardowie, zanim zeszli do Italii? Czytałem w dziele



greckiego uczonego Klaudiusza Ptolemeusza, że teren ten nazywano Virunum. – Ponieważ nikt mu nie odpowiedział, Randulf pokręcił tylko głową i zadał Sławigostowi kolejne niespodziewane pytanie: – Książę, czy okażesz mi łaskę i zezwolisz zaglądnąć do biblioteki?

Książę orzekł, że nie widzi przeszkód i osobiście wskaże mu drogę. Jednocześnie namówił pozostałych, by podążyli razem, to przy okazji odwiedzą komnatę pamięci. Komnata okazała się długą, przestronną halą wypełnioną po brzegi wszelkimi przedmiotami. Wejścia strzegło czterech uzbrojonych strażników, a i w środku zauważyli kilku, na co Sławigost wyjaśnił, że ostatnimi czasy kilkakrotnie szpiegzy próbowali wtargnąć do tych pomieszczeń. Szczególnie do znajdującej się poza halą biblioteki. „Jacy szpiegzy?”. Ludzie nasłani przez merseburskiego biskupa Thietmara. Czegoś tu szukali. Dopiero na torturach ostatni ze złapanych wyznał, że Thietmar chce ukraść Księżę Stodoranii. Między innymi. Wszystkich szpiegów Sławigost oddał w ręce kapłanów starej wiary. Wylądowali w dołach nadzianych kłami odyńców.

W hali pamięci na poczesnym miejscu stała niewielka oszklona gablota, do której książę najprzód zaprowadził gości. W gablocie na atlasowym płótnie leżała korona. Królewska, bez wątpienia. O nietypowej formie, rodzaj wysokiej na długość dłoni obręczy wykonanej z grubego czystego złota, nabijanej szlachetnymi kamieniami. Pośrodku obręczy tkwił wielki szmaragd mieniący się intensywną zieloną poświatą, z naniesionym symbolem

białego orła. Koronę wieńczyły srebrne stylizacje kwiatów, koron drzew i poroży jeleni.

- Pradawna korona władców wielkiego królestwa Wioletów - objaśnił Sławigost. - Nikt już jej nie włoży na głowę. Zobaczymy, pomyślał Gromosław, niech tylko Stodor zwycięży. Albo niech Bolesław zdobędzie dla Polski całe Połabie. Cudowna jest, tchnąca przeszłością, majestatyczna. Na ścianach wisiały części uzbrojenia i oręż zebrane przez generacje wieleckich władców, niektóre egzemplarze leżały na stołach. W rogach stały kosze z zatkniętymi sztandarami. Podczas gdy Sławigost objaśniał pochodzenie i historię niektórych przedmiotów, Randulf udał się do biblioteki.

Nazajutrz, zaraz po śniadaniu, Gromosław zwołał zebranie. Więcej informacji nie uzyskają, czas na podjęcie kilku ważnych decyzji. Jaką trasą podążą do Radogoszczy: rzekami do samego Dymina i do jeziora Dołęże czy też opuszczą łódź przy jeziorze Morzyckim i spróbują na własną rękę przebić się lądem? Kwestia wyboru nie była łatwa. Wtedy Randulf niespodziewanie wysupłał z torby pergamin i położył go na stole.

- Mapa Połabia - orzekł z uśmiechem na twarzy.

- Mapa Połabia?

- Znalazłem w bibliotece Sławigosta i pożyczyłem. Jak zrobię odpis, to odniosę.

Pochylili się wszyscy nad rozłożonym pergaminem. Napisy po łacinie, niektóre po niemiecku, widać, mapę narysował jakiś saski mnich. Randulf musiał tłumaczyć

napisy, pomagał mu Bernard. Naniesione były rzeki z dopływami i niektóre grody.

- Tu jesteśmy - wskazał Randulf palcem na *Brendanbor* - w Brennie. Przepływa przezeń *Hawel*, Hobola. O, taką trasę zaproponował Sławigost. - I pociągnął placem wzdłuż Hoboli do *Havelbergu*, Hobolina. - Stamtąd albo *Elde*, Łada, albo *Dosse*, Doszą, w kierunku jeziora Morzyckiego, *Müritzsee*. A tutaj znajduje się *Tollensesee*, jezioro Dołęże.

- Ależ to kawał drogi, naokoło Połabia! - Gromosław wskazał na okolice jeziora Morzyckiego. - I jeszcze tyle drogi lądem pomiędzy jeziorami.

Jeżeli popłyną wyłącznie rzekami, to muszą napotkać armię Stodora - i co wtedy? Gromosław posiadał oficjalne tajne pismo od Bolesława dla „połabskiego króla”, nie wiedząc jednak, co w nim stoi. Wprawdzie Bolesław nie narażałby ich i nie wysyłał na pewną śmierć, lecz któż może przewidzieć reakcję Stodora? Gromosław chętnie zapytałby go, kto brał udział w uwolnieniu z kopanickiej niewoli, ale też ani on, ani pozostali nie palili się do spotkania z nieobliczalnym Połabianinem. Tak się przynajmniej wydawało Gromosławowi. I co dalej? Będą musieli podążyć wraz z powstańczym wojskiem na Radogoszcz. Tu znowu wiele niewiadomych. A jak po drodze dojdzie do walnej bitwy wygranej przez żerców? A jeżeli Stodor zwycięży i zdobędzie Radogoszcz, to czy puści ich wolno z włócznią? Dużo pytań, możliwości, niewiadomych. Niepewnie się to wszystko przedstawia. Plan zastępczy: pójdą sami trasą lądową przez nieznane tereny, od jeziora Morzyckiego do

samej Radogoszczy. Czy to w ogóle wykonalne? Szczególnie po objaśnieniach Sławigosta? Przecież tam aż się roić musi od lutyckich oddziałów.

- Na tej mapie nie ma żadnych nazw grodów oprócz tych znanych nad Łabą, Hobolą i Szprewą. A tam, gdzie plemiona wieleckie, tylko znaki zapytania - zastanawiał się na głos Gromosław.

- Są za to zaznaczone siedziby plemion - zauważył Bernard. - O, tutaj, na południe jeziora Dołęże masz Redarów, wokół wschodnich krańców samego jeziora Toleżan. - Bernard tłumaczył od razu nazwy na słowiański: - Nad Doszą siedzą Doszanie, tutaj masz Morzyczan, Rzeczan. O, Wojomir, nawet twój Wkrzanie są zaznaczeni, jako *Ukraner*. A może przeberzemy się za Wkrzanów?

No właśnie, i tu poczęli dyskutować nad następnym zagadnieniem, nie mniej ważnym niż wybór trasy. Przecież nie mogą, ot tak sobie, pocwałować na koniach w pełnym uzbrojeniu: trzech polskich rycerzy, longobardzki książę, saski wielmoża i połabski oryginał. Trzeba się przebrać, tylko za kogo? Dopóty trafią wyłącznie na Stodora lub jego ludzi, to mniejsza o to, nie muszą nic udawać, ale przed zwolennikami żerców należy ukryć prawdziwą tożsamość. Spontanicznie w grę wchodziły dwie możliwości: jako kupcy z dalekich krajów, najlepiej żydowscy albo arabscy, lub jako ważne poselstwo, na przykład od samego cesarza, z którym Lutyca przecież w sojuszu. Długo nad tym dyskutowali, roztrząsając rozmaite warianty. Ostatecznie zdecydowali, że podążą w roli posłów od Henryka. Bernard jako rodowity

Niemiec nadawał się doskonale do roli przewodzącego misji dyplomatycznej. W kancelarii Sławigosta przygotuje się fałszywe pisma od cesarza. A reszta z nich posłuży jako drużyna przyboczna Bernarda. Skoro cesarski orszak, to i barwy odpowiednie trzeba dostosować. I na to znalazła się rada. Po ponad dwustu latach przetaczania się przez te ziemie ludu zbrojnego z krajów sąsiednich w magazynach stodorańskiej zbrojowni nie brakowało niczego. Każdego wyposażono w niemiecki płaszcz wojenny w żółto-szarych barwach saskiej dynastii Ottonów i włącznie z żółtym proporczykiem. „Płaszczce ponarzucajcie na własne zbroje. Szczególnie Gromosław niech się nie afiszuje skórą rysia na ramionach, od razu poznać piastowskiego rycerza”, zauważył Sławigost, lustrując ich przygotowania. Bernard narzucił dodatkowo na zbroję krótką żółtą tunikę bez rękawów, z czarnym cesarskim orłem na piersiach. Gdy tak przymierzali przebranie, Randulf zgasił ich zapał, zauważywszy, że przecież jeżeli popłyną łodzią, obojętnie – do okolic jeziora Morzyckiego czy też aż pod Dymin – to nie będą mogli zabrać koni. A gdzie zdobyć konie, gdy wysiądą na ląd? No tak, słuszna uwaga, bez koni nie poniosą całego targanego ze sobą dobytku, oporządzenia wojennego i pozostałych tobołów. Zaczęli na nowo roztrząsać możliwe opcje. Gromosław udał się do Sławigosta i przedstawił mu piętrzące się trudności, na co ten rzekł:

– Czyli nie ma innej rady, musicie od początku wyruszyć łądem. – A po zastanowieniu dodał: – Daj mi czas do jutra,

popytam jeszcze raz wśród swoich, może jednak znajdzie się jakiś straceniec na przewodnika.

I znalazł się. Niejaki Sulimir, wojownik z podgrodzia, który poprzez żonę miał powinowatych wśród plemienia Doszan na południowych krańcach jeziora Morzyckiego, stąd niegdyś kilkakrotnie tam zajeżdżał. Nie było rady, Gromosław opłacił go szczerze dwoma pokruszonymi talarami z wora przeznaczzonego w zamiarach dla biskupa Thietmara i omówili plan. Sulimir orzekł, że najszybciej będzie spłynąć łodzią do Hobolina. Tam kupią konie i podążą wzdłuż Doszy, prawego dopływu Hoboli, a potem skierują się trasą przez Malechów na Morcze. „To teren przygraniczny z Obodrytami, oni używają nazwy Warzno”, uściślił Sulimir, „i tam was pozostawię. Dalej musicie sami się przebijać. Dobrowolnie nie będę włąził w paszczę lutyckich bestii”. „Ty chrześcijanin czy...”, zapytał Czambor, przerwał jednak natychmiast, zauważywszy na szyi Sulimira zwisającą na rzemieniu drewnianą figurkę Trzygława.

Po upływie następnych trzech godzin do Sławigosta przybyli gońcy z Hobolina i musieli na nowo układać plan. Z Hobolina nadeszły straszliwe wieści. Unibor, tamtejszy książę, powinowaty Sławigosta, odparł z wielkimi stratami ciężki atak Lutyków. Nie, nie oddziałów Stodora, lecz niezliczonej rzeszy lutyckiej piechoty niosącej pogańskie sztandary. Żercy. Najazd został odparty, lecz wysłana w pogoń hobolińska jazda doznała druzgocącej klęski nad środkową Doszą. Z masakry powróciła zaledwie garstka

trawionych obłądnym strachem wojowników. Cały obszar między Ładą a Doszą pokryty był mrowiem lutyckich oddziałów. „Czyli nikt już tamtędy nie przejdzie”, zawyrokował Gromosław. Pochylili się ponownie nad „pożyczoną” przez Randulfa mapą.

- Wojomirze - zapytał Gromosław - nie rozpoznajesz nic na mapie? Jaki z ciebie Połabianin?

Po namyśle i przy pomocy Bernarda, który objaśniał mu nazwy, Wojomir począł wskazywać niektóre miejsca.

- Tu na zachód od Odry i północ od Lubusza moje rodzinne strony. Ale Szczecina nie nanieśli? Tu, gdzie stoi *Redarowie*, nigdy nie byłem. Ale na północ od jeziora Dołęże nieraz się zapuszczałem. Za młodu chadzaliśmy tam zastawiać pułapki na kupieckie karawany lub z nimi handlować, w zależności od okoliczności. Kupcy żydowscy i arabscy ciągnęli prastarym szlakiem z południa wzdłuż rzeki Dołęża, dalej na Wolin i Wołogoszcz.

- Kupców napadaliście? - wtrącił mu Czambor. - Nieładnie, przecież kupce zawsze opłaty za przejścia składają.

- Zależy, komu składają. - Wzruszył ramionami Wojomir.  
- Mniejsza z tym. Raz nas oszukały Arabcy. Lichymi paciorkami kupionymi w sąsiedniej osadzie omamili umysł żonie jednego z naszych wojowników, że niby perły egzotyczne z samego Bagdadu. Kobieta polazła pod oznaczone drzewo, wykopała garnek ze srebrem uzbieranym przez męża na wyprawach i wymieniła na szklane kulki. Na prośbę jej męża zebraliśmy się w kupe,

pognaliśmy za Arabami i wyrznęliśmy ich, bo nie chcieli oddać srebra. Trzy wielbłądy upiekliśmy nad ogniem, ale jeść się tego nie dało, smrodliwy zapach i łykowane mięso. Nasi wojownicy odrabali łby tym wielbłądom, wyprawili i wkładali później na głowy przed każdą walką. To robiło wrażenie obok naszych zwykłych wilczych łbów. – Wojomir się rozgadał i ciągnął dalej wynurzenia z przeszłości, aż przestali zwracać na niego uwagę.

Nie było innego wyjścia, Gromosław jako dowodzący musiał wypowiedzieć na głos mrozącą krew w żyłach decyzję:

– Idziemy ze Spędowa wzdłuż biegu Hoboli do jej źródeł. Tam, gdzie nikt przy zdrowych zmysłach dobrowolnie nie pójdzie. Chce ktoś się sprzeciwić?

– Niemcy też poszli. – Wzruszył ramionami Srogosz, zaskoczywszy wszystkich tym, że w ogóle coś powiedział. – To w czym problem?

Wyruszyli rankiem następnego dnia, drugiego września 1016 roku.

---

\* *tedesco barbarico* (wł.) – niemiecki barbarzyńca.



## VII

# *Radogoszcz*

Tym razem nie ominęli Spędowa szlakiem wiodącym w polu widzenia wałów, lecz postanowili zawitać do grodu. Spędów składał się z dwóch kompleksów. Na mniejszej wyspie, pośrodku bardzo szerokiej i głębokiej na tym odcinku Hoboli wznosił się gród książęcy, otoczony wysokimi wałami z palisadą i wieżyczkami. Gród posiadał dwie bramy. Do bramy południowej prowadził długi drewniany pomost, jedyne połączenie z lądem stałym. Kolejny pomost łączył bramę wschodnią ze znajdującą się nieopodal większą wyspą, na której wybudowano podgrodzie, otoczone tak jak siedziba księcia - wałem obronnym. Pomost łączący wyspę podgrodzia z lądem znajdował się w odległości około trzystu metrów od pomostu mniejszej wyspy. Dwie wyspy, dwa ośrodki otoczone wałem, trzy pomosty: jeden łączący wyspy i dwa równoległe do siebie położone, zapewniające dojście z lądu stałego. Na lewym brzegu Hoboli, przy wyjściu pomostu większej wyspy, wznosiły się już pierwsze zabudowania nieotoczone wałem. Spędów się rozrastał. Hobola, płynąc z północy na południe, zataczała pod Spędowem łuk i skręcała na zachód.

Widoczni zapewne przez strażę na palisadzie, przystanęli w oczekiwaniu na patrol. Gromosław zapytał podchwytliwie Srogosza, czy nie ma ochoty zobaczyć grodu od wewnątrz, no bo przecież kiedyś za Mieszka to im szturm nie wyszedł.

- Będziesz jeszcze liczył niezdobyte grody i przegrane bitwy, poczekaj, poczekaj - odgryzł się Srogosz.

- Nie czepiaj się zasłużonego woja. - Wojomir odjął od ust bukłak i podał Srogoszowi.

Na to rzekł Czambor:

- Odezwał się znawca, wielki połabski wojownik.

Srogosz zwrócił się do Czambora:

- Przejdź na wino i porzuć ten wstrętny met, bo ci cyce jak ciężarnej niedźwiedzicy wyrosną.

- Pasują do siebie - poparł Czambora Randulf. - Jeden długi i żyłasty, drugi mały i krępy.

- Nie mały - zaperzył się Wojomir i odwrócił do Randulfa. - Srogosz przysiadły i szeroki w barach.

Czambor skomentował:

- Wojomir znalazł kolegę.

- A wy tam za górami to liczne wojsko macie? - odciął się Srogosz Randulfowi. - Umiecie wznosić grody niezdobyte? Randulf poczerwieniał, szukając odpowiedzi, a Gromosław wznosił ręce jak do modlitwy.

- Na niebiosa, patrol się zbliża, nie wszczynajcie kłótni, bo nas wyśmieją.

- Sam wszcząłeś - odburknął Wojomir.

- Ale nie chciał celowo obruszać Srogosza - rzekł ugodowo Bernard. - Sam bym chętnie posłuchał, jak moi rodacy ongiś wspólnie z wami przeciwko Połabianom wojowali.

Srogosz zagulgotał ostatnim łykiem wina w gardle.

- Przyjdzie czas, jak wejdziemy w lutyckie lasy, to wam opowiem. Nastroje przy pieczeni na ogniu wynurzeniom sprzyjające.

Patrol znajdował się już w połowie drogi między nimi a grodem.

- ...A grodu nie zdobyliśmy, bo wojsko wbrew zakazowi księcia poszło najpierw grabić podgrodzie.

Na grodowym dziedzińcu oczekiwał na nich władca Spędowa, Chwalimir, w otoczeniu świty złożonej z paru doradców, kapelana i kilku rycerzy z drużyny. Prawie czterdziestoletni Chwalimir nie nosił książęcego tytułu, Spędów był jedynie jednym z grodów Księstwa Brenneńskiego. Ale był członkiem stodorańskiej dynastii, bliskim krewnym Sławigosta, Burzysława oraz Unisława i przez wielu stodorańskich możnych uważany za następcę brenneńskiego tronu. Aż dziw, że jeszcze Stodor nie napadł na Spędów, by wyeliminować najpoważniejszego konkurenta. Po przywitaniu Gromosław i Bernard udali się z Chwalimirem do kasztelu, reszta grupy poszła na podgrodzie. W hali panującego Gromosław wyjął trzosik ze srebrem i położył na stole przed Chwalimirem.

- Taki drobny prezent od naszego władcy Bolesława. - Po czym wyjął drugi trzosik i położywszy obok pierwszego,

dodał: - A to zapłata od nas za pozwolenie przejścia przez twój teren.

Chwalimir zgarnął oba woreczki.

- Gdzie się udajecie? Bo jak do Kopanika, to na cóż opłata?

- Chcemy podążyć w górę Hoboli.

Chwalimir namyślał się, ważąc w prawej ręce otrzymane srebro. - A to co innego. Mało dajecie, Niemcy przed kilkoma tygodniami sypnęli więcej.

- My przecież sprzymierzeńcy, tak nieoficjalnie, ale jednak. Jak dasz przewodnika, rzetelnego, nie żadnego oszusta, to dostaniesz więcej.

- Nie ma przewodników, ostatnich dwóch, którzy odważyli się na wyprawę, opłacili Niemcy. I to złotem.

- Trudno. Przy okazji zapytam: Niemcy nie zdradzili przypadkiem zamiarów?

- Nie. Ich dowódca, Herbord ze Stade wraz z kilkoma z drużyny przespali jedną noc na gościnnych komnatach kasztelu. Mój sługa podsłuchał jedynie, że rozmawiali o świętym Maurycym, ale szczegółów nie wyłapał. Nawet nie pytam, czego wy szukacie u Lutyków.

Gromosław i Bernard spojrzeli niemo na siebie, złączeni tą samą niewypowiedzianą myślą. Święty Maurycy? Niedobrze. Czyżby jednak Niemcy maczali palce w kradzieży włóczni?

- Kiedy chcecie wyruszyć? - spytał Chwalimir.

- Zaraz. Czekamy tylko na naszych, poszli na podgrodzie uzupełnić zapasy.

- Pilno wam. Chodźcie na dach wieży kasztelu, to wskażę wam okolicę.

Siedziba władcy Spędowa zbudowana była z drewna, ale usadowiona na kamiennych podwalinach. Do siedziby przylegał drewniany jednonawowy kościół salowy, zwieńczony połączonym krzyżem wkomponowanym w okrąg. Za to górująca nad siedzibą wieża zbudowana była w całości z polnych kamieni spojonych zaprawą. Wąska, lecz solidna, z czterema kondygnacjami, uwieńczona obronnym gankiem na dachu. Ponieważ okolica wokół Spędowa była niemal płaska, jeżeli nie liczyć niewielkich zalesionych wzniesień, widok ze szczytu wieży zapierał dech w piersi.

- Tam, na wschodzie, niedaleko stąd jest Kopanik. Wasza Polska. - Wskazał ręką Chwalimir.

- Nie nasza, jestem Niemcem. Moja ojczyzna jest tam - skorygował Bernard, wskazując ręką w przeciwną stronę.

Niesamowite, pomyślał z dumą Gromosław, Polska, prawie widoczna. Teraz dopiero dotarło do niego, jak głęboko w Połabie wrzynała się granica Polski. Jak blisko Spędowa i Brenny.

- A stamtąd - Chwalimir skierował ich uwagę na ginącą na północnym horyzoncie wstęgę rzeki - nadpływa Hobola. Tam zaczynają się ziemie Lutyków.

- Wygląda, jakby wzniesień coraz więcej, im dalej na północ - zauważył Gromosław.

- Tam kraje bardziej urozmaicone pagórkami i dolinami - odparł Chwalimir - ale tak jak tutaj, pokryte lasami,

rzekami i jeziorami. Gdzieś tam przebiega granica Spędowa, znaczy Stodoranii.

- Gdzieś tam? Macie jakąś stanicę?

- Na rzece pośrodku wysepki niewielki gród z wysokimi wałami. Broni przejścia, dodatkowo zapory i ukryte pod wodą pale wszere Hoboli. Żadna łódź nie przepłynie bez zezwolenia.

- Daleko?

- Kilkanaście staję stąd.

Gromosław zerknął na dziedziniec; Randulf i pozostali powrócili już z podgrodzia.

- Gromo - zakrzyknął Czambor - zezwól na jeden nocleg, ostatni normalny przecięż!

Czemuż nie, pomyślał Gromosław, wyruszą jutro, a przy okazji może dowiedzą się czegoś więcej. Chwalimir wzruszył tylko ramionami i udostępnił im dwie komnaty, po jednej na trzech.

Późnym popołudniem, po sutym posiłku, siedzieli na dziedzińcu, delektując się promieniami wczesnojesiennego słońca i trunkami ze Spędowskiej piwnicy. W pewnym momencie Srogosz powstał i z tobołkiem na ramieniu udał się na palisadę. Zasiadł wygodnie, pogrzebał w tobołku i zajął się czymś w skupieniu, zerkając na przemian to po okolicy i zabudowaniach, to znowu na jakieś przedmioty rozłożone na kolanach. Nikt na niego nie zwracał uwagi, dopiero Wojomir jako pierwszy zagadnął:

- Co on tam robi?

Zaskoczeni pytaniem, stroili niepewne miny.

- Idę zobaczyć. - Nie wytrzymał Wojomir. Wdrapał się na palisadę, przysiadł obok Srogosza i... pozostał tam. O czymś z ożywieniem rozmawiali. Po jakimś czasie obaj powstali i zeszli do pozostałych.

- I? - Tym razem nie wytrzymał Czambor.

- Czaruje obrazki - pochwalił się Wojomir. - Objasnij im sam, Srogosz.

- Rysuję - wyrzekł ze spokojem stary wojownik. - Węgielkami na miękkich brzoźowych korach.

Zaniemówili. Pierwszy ocknął się ze zdumienia Randulf.

- Rysujesz?

Wtedy Srogosz wyjął z tobołka kilka zrolowanych płatów kory, rozwinął, puścił w obieg i począł opowiadać. Od zawsze, od małego chłopca, fascynowało go uwiecznianie rysunkami otaczającego świata: ludzi, przedmiotów, miejsc, budowli, przyrody, wszystkiego. Nawet gdy już poszedł na wojny, na służbę w Mieszkowej drużynie, nie zaprzestał rysować. „Artistico, bellissimo!”, podziwiał zachwycony Randulf. Z czasem jego niecodzienne zdolności zainteresowały samego księcia. W kancelarii duchowni nauczyli go posługiwać się piórami i atramentem, zapoznali z technikami nanoszenia na pergamin. Wtedy uwiecznił na pergaminie wizerunek Mieszka i kilku jeszcze postaci z dworu, naszkicował parę scen bitewnych. Gdy do władzy doszedł Bolesław, Srogosz dostawał już specjalne zlecenia.

- Nic nam o tym nie wiadomo, bywaliśmy przecież w Gnieźnie, Poznaniu... - zmieszał się Gromosław.

- Bo wam tylko baby, chłanie, obżeranie i zbieranie wojennych zdobyczy w głowie. A później zakopywanie tych zdobyczy na polach pod drzewami, sami zapominacie gdzie - odciął się Srogosz. - Dwór Piastów nie tylko wojnami żyje.

Nie, pisać i czytać się nie nauczył. W 1000 roku uwiecznił na pergaminie dokładny wizerunek włóczni świętego Maurycego, zarówno oryginału, jak i kopii podarowanej Bolesławowi przez młodego cesarza. Gnieźnieńskie mnichy przerysowały z tego kilka swoich kopii. Kopie rysunków obu włóczni nosi stale przy sobie. Wyjął z torby dwa pergaminowe ruloniki i puścił w obieg.

- Ależ bym zobaczył, jak nasz wielki Mieszko wyglądał - nie wytrzymał rozmarzonym głosem Gromosław. - Koniecznie za następnym razem w Gnieźnie...

- Mam przy sobie jeszcze inne rysunki.

- Pokazuj! - nie wytrzymał Czambor.

- No, no, Pomorzanie - Wojomir zareagował nieco wyzywającym tonem - z szacunkiem do weterana.

Gdy tak Srogosz wyjmował z torby swoje skarby i rozdzielał do oglądania, Wojomir rozwinął niewielki płat kory i zamarł z podziwu. Lekką dłonią Srogosz nakreślił postać kobiety, od głowy do pasa. Rękoma gładziła długi gruby warkocz, miała zamysłoną twarz, pięknie zarysowane rysy, wielkie oczy. „Piękna”, wyszeptał Wojomir. Srogosz spojrzał mu przez ramię, „to moja córka, Bożejka”. Widząc nieme pytanie w oczach Połabianina, zaczął cierpliwie wyjaśniać. Srogosz dorobił się trzech synów i jednej córki. Synowie zginęli na Bolesławowych wojnach. Pierwszy



podczas polskiej interwencji w Bawarii w 1003 roku. Drugi na moście w Pradze w 1004 roku, gdy wraz z innymi osłaniał odwrót Bolesława przed rozjuszonymi Czechami. W miarę jak opowiadał, wszyscy bez wyjątku przestali oglądać obrazki i słuchali z nieskrywanym zaciekawieniem. Trzeci, ostatni syn, zginął w 1014 roku w bitwie pod Krosnem Odrzańskim. Dwóch z synów nie zdążyło się ożenić i nie dorobili się potomków. Trzeci, ten, co zginął w Pradze, miał żonę i trójkę małych dzieci. Po jego śmierci Srogosz umieścił synową wraz z wnukami pod opieką starego przyjaciela z drużyny, który zakończywszy służby wojenne, osiadł na nadanym mu przez Bolesława majątku na kujawsko-pomorskim pograniczu. Niestety, w 1009 roku podczas kolejnego najazdu wojownicy z Prus wybili wszystkich mieszkańców osady, bez wyjątku: mężczyzn, kobiety i dzieci, w tym synową i wnuki Srogosza. Jedyna córka, Bożejka, wyszła w 1010 roku za młodzieńca z dobrego poznańskiego rodu, wybijającego się wojowniczymi zaletami. Zginął on cztery lata później w walkach nad Bugiem, w potyczce z wojownikami Rusi Kijowskiej. I tak z całej rodziny została się Srogoszowi jedynie Bożejka z dwójką dzieci, trzyletnią dziewczynką i dwuletnim chłopcem. Srogosz umieścił ich pod Gnieznem na wsi, którą przed laty podarował mu Bolesław w nagrodę za służby. Jeszcze rok, może dwa, gdy ta wojna się zakończy, przejdzie na zasłużony odpoczynek. Kto inny obejmie opiekę nad włóczęgą, jeżeli ją odzyskają. Osiądzie w swej wsi, poświęci resztę życia córce i wnukom. Może

znajdzie dla niej jakiegoś godziwego męża. Jakiś czas temu narysował ten wizerunek Bożejki. „Ile lat ma Bożejka?“, zapytał Wojomir. Trzydzieści dwa. Tyle i aż tyle dowiedzieli się naraz o Srogoszu. Gdy już się rozchodzili na nocleg, Wojomir pozostał jeszcze ze Srogoszem na dziedzińcu, rozmawiając z nim przyciszonym głosem.

Ruszyli w południe następnego dnia. Sześciu jeźdźców, dwanaście koni, w bagażach pełne wyposażenie bojowe, dwa liche namioty, nawet przebranie cesarskich posłów. Może się przydadzą, nie wiadomo. Gromosław nie miał żadnego planu, wiedzieli o tym dobrze. Przed wieczorem dotarli do wspomnianej przez Chwalimira wyspy, ostatniego zbrojnego bastionu przed ziemiami Lutyków. Wyspa miała nieco podłużną formę, długa na osiemdziesiąt, szeroka na prawie czterdzieści metrów. Wysoki wał okalający szczelnie obrys wyspy, zwieńczony palisadą i paroma drewnianymi wieżyczkami. Dwa drewniane pomosty łączące wyspę z brzegami rzeki. Po zachodniej stronie stałego lądu widoczny niewielki wpadający do Hoboli potok zwany Modra. Praktycznie żadnych szans na zdobycie wałów szturmem. Gród i wyspa nie miały nazwy, miejscowi określali to miejsce Małym Wałem. Po okazaniu glejtu z pieczęcią Chwalimira wpuszczeni zostali na teren grodu, gdzie postanowili przenocować. Dowódca niewielkiego garnizonu potwierdził, że przed ponad miesiącem wzdłuż wschodniego brzegu Hoboli przejechał oddział niemieckich jeźdźców, podążając na północ.

Grupa Gromosława pozostała w kontakcie wzrokowym ze strażnikami na wałach, ale do wyspy się nie zbliżyła.

- Jutro z rana wyruszamy. Wyśpijcie się dobrze, nasza misja dopiero się zaczyna - zapowiedział Gromosław.

\* \* \*

Przeciskanie się z końmi obładowanymi bagażami przez gęsty las pozbawiony uczęszczanych szlaków nie należało do przyjemności. Wąskie ścieżki, na które od czasu do czasu trafiali, zezwalały jedynie na poruszanie się gęsiego. Na dokładkę, czego zresztą należało się spodziewać i co zapowiadali miejscowi w Spędowie, spadły deszcze. Zimne, przewlekłe, wczesnojesienne ulewy zwiększające niedogodności podróżowania. Pogoda, niezdecydowana niczym panna zmieniająca suknie, na przemian to przypiekała słońcem, to topiła świat w szarych strugach wody. Noce zimne, poranki skłębione mgłami.

Wojomir poszedł przodem, wysunięty o jakieś trzydzieści metrów, pozorując rasowy zwiad. Zresztą początkowe założenie trzymania się brzegów Hoboli bardzo szybko okazało się niewykonalną iluzją. Szerokie zabagnione rozlewiska i liczne potoki sprawiały, że co rusz musieli oddalać się od koryta rzeki w poszukiwaniu dogodnych obejść. Napotykanie od czasu do czasu polanki, a nawet większe łąki, okazywały się gęstym kożuchem traw na zdradzieckich trzęsawiskach. W tych warunkach o jeździe wierzchem nie mogło być mowy, poruszali się więc powoli, ze znużeniem, marząc o kolejnym wieczorze

i namiastce snu w dzikiej, nieprzyjaznej scenerii. Po czterech dniach mozolnego marszu nadal nie trafili na najmniejszy ślad ludzkiej działalności. A przecież niedawno musieli przejść tędy Niemcy. Ale w tych warunkach terenowych? Istniały niezliczone możliwości obchodzenia meandrów rzeki i niedostępnych miejsc. Wystarczyło kilkanaście metrów w lewo czy prawo dla obrania innej drogi.

Ku zaskoczeniu piątego dnia trafili na sioło, a właściwie jego resztki. Rybacy, budniki? W tej gąszczu? Spalone doszczętnie chaty, przy pomoście Hoboli roztrzaskane toporami dwie większe dłubanki. Chyba jednak rybacy. Już Redarowie czy też członkowie miejscowych Rzeczan? Żadnych trupów, jak zauważył Gromosław, ale za to ślady walki. „Trupy zapewne rzucone do wody”, stwierdził Bernard, „a resztę uprowadzono w niewolę”. Od walki minęło co najmniej kilka miesięcy, zawyrokował Wojomir po dłuższym badaniu śladów. Zapewne pozostałości pierwszej fazy działań wojny domowej. A poza tym nie rybacy, lecz wytapiacze żelaza. Za spalonymi chatami odkryli wiele wykopanych dołów o pokrytej gliną powierzchni z grubymi warstwami spalenizny na dnie. Resztki drewna i rudego, niemal czerwonego popiołu, zmieszane z kawałkami żużlu. Na tych obszarach, mocno podmokłych i bogatych w torfowiska, aż roiło się od rud darniowych zawierających niewielkie ilości żelaza. Łatwo rozpoznawalne po charakterystycznym zabarwieniu przypominającym rdzę. Wytapiacze zbierali darń i palili w dołach, mieszając

z węglem drzewnym. W trakcie palenia dymano w płomień powietrzem z worków z miękkiej skóry. Kilka zniszczonych worków walało się wokół. W żarze wysokiej temperatury stopione żelazo osiadało na dnie dołu w postaci gąbczastych porowatych kawałków. Wypalacze zbierali wytop i transportowali najpewniej tam, gdzie produkowano narzędzia i broń. Stąd te dwie zniszczone łubianki. To znaczy, że po pierwsze, gdzieś niedaleko jest jakaś osada albo nawet gród, a po drugie, nie ma co szukać drogi lądowej, skoro tutejsi używali łubianek.

A jednak Czambor, który oddalił się nieco od innych w przeszukiwaniu okolicy, zawołał, że znalazł ścieżkę. Stali się bardziej ostrożni, tym bardziej gdy gęste lasy poczęły się nieco rozwidniać, otwierając coraz więcej wolnej przestrzeni. W każdej chwili należało się liczyć z napotkaniem ludzi. Gdy do tego teren stał się mniej podmokły, Gromosław nakazał przyobleczenie uzbrojenia. Koniec żartów. I faktycznie, gdy ominęli podłużne zalesione wzniesienie, wyjechali na otwarty teren – pofalowane pagórkami pola, środkiem których wiała się rzeka. Za duża na potok, o wiele za wąska na Hobolę, zapewne któryś z jej wschodnich dopływów. Pośrodku rzeki, jakżeby inaczej – na wyspie, wznosił się kolisty gród otoczony wałem z palisadą. Mały, na trzydziestu, czterdziestu luda, pewnie siedziba jakiegoś miejscowego wodza. Nad palisadą żadnych sztandarów, chorągwi, żadnych odznak plemiennej czy politycznej przynależności. Żadnych bóstw, żadnego krzyża. A może on pusty, opuszczony? Zniszczeń nie widać...

Dopiero zbliżywszy się nieco, zauważyli, że palisada aż się roi od wystawionych w górę ostrzy włóczni i oszczepów. Łby hełmów, co najmniej pięćdziesiąt. Gromosław nakazał Srogoszowi, by przysiadł za nim na koniu i osłaniał drugą tarczą. Podjechawszy na odległość głosu, zakrzyknął, że chce pogadać.

- Kto wy? - odkrzyknęli z palisady.
- Poselstwo z dalekich krajów na Rugię.
- Niedawno byli tu Niemcy z poselstwem do Redarów.
- Wy nie Redarzy?
- Nie, należymy do Rzeczan.

W końcu dogadali się z załogą, że za niewielką opłatą jeden z ludzi Gromosława może w grodzie uzupełnić zapasy. Podążył Wojomir z jednym koniem i pustymi torbami. Gdy powrócił po trzech godzinach, mocno podpity, ruszyli od razu dalej. Od Wojomira dowiedzieli się ciekawych rzeczy. W środku siedziało sześćdziesięciu uzbrojonych po zęby wojowników. Nie mieli przywódcy. Dowodziło trzech najznacześniejszych rangą i doświadczeniem. Na początku powstania wódz tutejszego okręgu przyłączył się z dwustu wojownikami do Stodora. Jego syn na czele trzystu innych poszedł w szeregi Redarów. Reszta zbrojnych, zebranych z przynależnych do okręgu osad i siół, okopała się w grodzie, by bronić plemiennych dobytów. Rodziny, dzieci, kobiety, starcy poukrywali się w tajemnych, niedostępnych dla obcych leśnych ostępach. Do dzisiaj nie mieli znaku życia ani od wodza, ani jego syna. Tak, wojna przechodziła tędy parokrotnie, ale nikt się nie poważył na

szturmowanie grodu. Zresztą po co? Za każdym razem deklarowali przynależność do Stodora lub żerców w zależności od sytuacji. Jak? sześćdziesięciu chłopów i żadnej kobiety? Oj niedobrze, zidocieją. Nie, no kobiety też się kręcą wśród namiotów. Całe wnętrze grodu, każda wolna piędź ziemi zastawione namiotami. Sama piechota, mają chyba tylko trzy konie. Nasi Niemcy, ci od Herborda ze Stade, też tędy ciągnęli. Podjechali pod wały i zaczęli nieładnie pyskować. Bez żadnej kultury, nie tak jak my, grzecznie i z trzosikiem. To chłopaki na palisadzie ściągnęły jednego gbura strzałami z konia na ziemię. Niemcy się odgrażali, ale pocwałowali dalej. Szkoda, że nie chcieli szturmować, takie ładne zbroje nosili, wspominali wojownicy. Skąd Wojomir zaczerpnął tak wiele informacji? Od krajana. Poszedł do kowala, by przy okazji przeglądnąć kopyta konia i doszlifował groty strzał. A kowal okazał się Wkrzaninem. Dostał się do niewoli w chłopięcym wieku i wylądował tutaj. Z czasem z niewolnika zamienił się w cenionego kowala. No, to jak Wkrzanin spotka swojego... Nie bardzo, nie bardzo, obruszył się Wojomir. Musiał krajana nieco podochocić srebrem i zaprosić na mięsiwo z piwem do karczmy. Dlatego trochę to trwało, ale się opłacało. Jeżeli będą dalej podążać na północ do źródeł Hoboli, to za dwa dni trafią na dobrze udeptany szlak, tyle że posuwając się nim, będą napotykać coraz więcej i gęściej skupiska grodowe. Mogą się przebijać dalej lasami, ale w głuszach też mnóstwo ustronnych siół, których wojownicy pułapkami i zasiekami wszystko obsadzają.

Radogoszcz? Między jeziorami Dołęże a Lipowe. Nie, kowal słyszał jedynie od tych, co do Swarozycy daniny i podarki zanosili, że stolica Redarów między jeziorami, których nazw on nie zna, u źródeł Hoboli się wznosi. Czyli mniej więcej w połowie drogi między jeziorem Dołęże a jeziorem Morzyckim. To nawet lepiej, stwierdzili jednomyślnie, droga krótsza. A saska mapa w Brennie wcale taka dokładna. Co kowal sądzi o wojnie i komu stawia na zwycięstwo? Jest mu obojętnym. Stare bogi nie są takie złe, a żercy jak to żercy, ale dbają o sprawiedliwe wyroki. Nowemu Bogu, jeżeli wygra, też będą musieli darami i podatkami się opłacać. A to już tak na cały głos wszyscy, że niby Stodor za chrześcijaństwem stoi? Tak niby prawili wysłańcy z Radogoszczy, że on wiarę przodków zdradził i lud chce uciskać gorzej od Niemców i Polaków razem wziętych. Ale kowal w to za bardzo nie wierzy, bo jak z kolei przyszli powstańcy, to sutą ofiarę pod figurą grodowego bóstwa złożyli i o żadnym przymuszaniu do czczenia drewnianego krzyża nie wspominali. Pomimo że większość z nich drewniane i metalowe krzyżyki na szyjach nosiła. Może dlatego, że to byli Stodoranie. A Rzeczanie należą do federacji Lutyków czy są poddanymi Stodoranii? Są i tu, i tam, granice się zacierają i przesuwają.

Temat rozmowy spełził ponownie na Niemców Herborda. Czego oni tak naprawdę szukają u Lutyków? Może szpiedzy w Merseburga się mylili?

Następnego dnia dotarli do rozwidlenia dróg. Wojomir ze Srogoszem poszli na zwiad w jedną, Czambor



z Randulfem w drugą odnogę. Po kilkunastu godzinach, na krótko przed zapadnięciem mroku, jako pierwsi powrócili Wojomir i Srogosz. Droga zbliżała się coraz bardziej do koryta Hoboli, po kilku kilometrach rozwidlała się ponownie. Węższa odnoga wiła się dalej na północny wschód, oddalając się stopniowo od biegu rzeki. Prowadziła – jak daleko mogli sięgnąć wzrokiem – przez bardziej otwarte tereny, mało lasów dla osłony. Druga część rozwidlenia prowadziła bezpośrednio w nurt rzeki, najwyraźniej płytki bród umożliwiający swobodną przeprawę na drugą stronę. Wypróbowali bród, stwierdziwszy, że pomimo wylewów wód spowodowanych ostatnimi opadami jest tak płytki, że można przejść po pas w wodzie, nie mówiąc już o przejechaniu koniem. Dno kamienno-piaszczyste, żadnych zamulonych pułapek. Po drugiej stronie rzeki droga prowadziła bezpośrednio wzdłuż zachodniego brzegu, przez gęsto zalesiony pagórkowaty teren. Nad przeprawą straszyły kikuty doszczętnie zniszczonego grodu. Niewielkiego, o idealnie kolistym obrysie wałów, po których pozostała jedynie rozgrzebana ziemia zmieszana z kamieniami i drewnem. Typowa niewielka placówka obronna strzegąca dogodnego przejścia przez rzekę. Nawet palisada, sądząc po resztkach, wykonana była z grubych gałęzi zamiast obrobionych pali. Do zniszczenia grodu musiało dojść niedawno, o czym świadczyły nie do końca jeszcze rozłożone trupy wojowników, zrzucone do niedalekiego dołu. Obdarte ze wszystkiego.

Nadeszła noc. Gromosław nie potrafił ukryć zaniepokojenia nieobecnością Czambora i Randulfa. Może trafili na coś interesującego? Gdy następnego dnia słońce chyliło się ku nadchodzącemu wieczorowi, a oni nadal nie wracali, Wojomir zaoferował się podążyć ich śladami. „Poczekamy jeszcze dwa dni”, zarządził Gromosław, „wtedy wszyscy udamy się ich tropem”. Bernard poszedł z Wojomirem na polowanie. „Trzeba Czamborowi świeżą pieczeń zapewnić, gdy wróci”, rzekł na odchodnym.

Minął następny dzień na czekaniu. Dopiero czwartego dnia od chwili wyruszenia Randulf i Czambor powrócili z patrolu. Umęczeni, wybrudzeni, pieszo, bez koni. Mieli co opowiadać. Rozpoczął Czambor, mlaskając z zadowoleniem nad udźcem upolowanej przez Bernarda sarenki:

- Wszędzie śmierć, zniszczenie i pożoga. Nawet małe sioła, na które trafiliśmy w gąszczach, wyludnione i spalone.

- Aż trafiliśmy na naszych Niemców, tych od Herborda ze Stade, znaczy na to, co z nich pozostało, i na końskie padliny - włączył się Randulf.

- Wpadli albo w zasadzkę, albo sami sprowokowali starcie - teraz już gadali jeden przez drugiego, nie dając dojść słuchaczom do słowa.

- Na większej łące walają się ich ciała odarte z uzbrojenia, ale poznać, że to cesarscy, po saskich brodach i koszulach z czarnymi orłami. Oceniając po ich ranach, musieli stoczyć srogą bitwę.

- Z kim walczyli? Stodor czy żercy?

- Nie wiemy, przeciwnicy zabrali ciała swoich zбитych. Znaleźliśmy tylko nieopodal zabłąkanego konia z saską uprzężą. Długo szukaliśmy ukrytych skarbów, ale bez rezultatu.

- Wiadomo, jak w takiej sytuacji, przy napaści, człowiek stara się szybko schować wszelkie dobro, trzosiki, łańcuchy, pod kamień czy pod ściółkę.

- Pochowaliśmy ciała i postawiliśmy wspólny drewniany krzyż, jak chrześcijanom się należy.

- Potem poszliśmy bardziej na wschód, tam się ścieżki na wszystkie strony rozchodzą.

- Naokół świeże roztopy. Wdepnęliśmy w zdradzieckie trzęsawiska, konie nam w kozuch topieliska wciągnęło.

- Nie było szans na wyciągnięcie ich, szamotały się, rżały z trwogi i tąpały coraz głębiej. Tylko bąble na powierzchni po nich zostały.

- Randulf chwycił za swoje toboły, odbił z konia i odskoczył na suche miejsce. Rzucił mi konar i pomógł się wydobyć. Zdążyłem jeszcze uwolnić swoje bagaże z biednego koniska.

- Miałem ratować konie czy ciebie? Dobrze, żeśmy zbroi bitewnych na patrol nie wdziali.

- Później nadszedł wieczór, Randulf zaczął marudzić, że potrzebuje snu, to ułożyliśmy się do spoczynku.

- Nie ja marudziłem, tylko ty począłeś stękać, żeś głodny.

- Nie rozpaliliśmy ognia i musiałem zimne mięso przeżuwać. Przegryzać wędzoną rybą. Podczas trzeciej

straży obudziłem Randulfa, bo naokół w lesie dziwne odgłosy ożyły.

- Dla mnie to brzmiało tak, jakby stado saren i jeleni biegało między drzewami.

- Wychyliliśmy głowy ponad pień drzewa, pod którym spaliśmy, i wtedy, pomimo ciemności, dojrzeliliśmy ich, bo księżyc srebrzyście cienie oświetlał.

- Kogo dojrzeliliście? - zapytali jednocześnie Gromosław i Bernard.

- Szczekujów albo hordeę wraszaków... - przyciął Wojomir.

- Wojowników Redarów. - Czambor nie zareagował na zaczepkę Połabianina. - W pełnej krasie.

- Wszędzie naokoło nas poruszali się szybko, niemal biegiem, pochyleni, oszczepy błyskały, te ich hełmy ze skórzanymi klapami na uszach, wielkie okrągłe tarcze. Dla mnie podobni do watahy przygarbionych dzików z wysuniętymi do przodu kłami.

- Skóry wilków lub innych bestii na ramionach, sierść jeżyła się na sztorc od chyżego pędu...

- Krótkie skórzane zbroje...

- Czambor zesrał się ze strachu...

- Nie ze strachu, tylko zimne mięso w poprzek kiszek stanęło!

- Dobrze, że cichaczem, ale taki fetor się rozniósł, że mogli nas po smrodzie nakryć.

- Ilu ich było? W którą stronę biegli?

- Dwustu, trzystu, może więcej, trochę to trwało...  
Zmierzali na północ, tak ze skosem na północny wschód.

- Co dalej?

- Dalej? Nic. Najpierw Czambor szukał po ciemku potoku, żeby umyć dupę. Przeczekaliśmy noc pod drzewem i rankiem wycofaliśmy się.

Utrata trzech koni, sunące od wschodu i południa oddziały Redarów, polegli Niemcy z tajemnicą zabraną do grobu. Co robili Redarowie na wschodzie i południu? Przecież ich siedziby na północy, u źródeł Hoboli. Wracali z jakiegoś najazdu? Zbierali się na mobilizację? Czamborowi coś się jeszcze przypomniało:

- Niektóre Sasy miały obcięte jaja.

Wszyscy spojrzeli na Wojomira. On tu przecież znawca, u siebie.

- Słyszałem, że u Toleżan są takie wiedźmy, co z jaj zabitych wrogów okrutne mikstury warzą - odparł Połabianin przepełnionym powagą głosem.

- To w końcu Redarowie czy Toleżanie?

- Wszystko jedno. Oni teraz przecież jeden związek. - Wojomir wydał z pogardą wargi. - F-e-d-e-r-a-c-j-a plemion. Kapłani lud w ryzach trzymają wyroczniami, gniewem i łaską bogów. Oszuści. Lud równy, ale na srebro chytry, srebro i strach przed kapłanami rozum im odbierają... tfu... bez wodzów... f-e-d-e-r-a-c-j-a głupoli...

- Dobra, dobra - Gromosław przyhamował Wojomira. - Wiemy już, znamy...

Mogli dyskutować do woli, na koniec decyzję musiał podjąć Gromosław:

- Jutro z rana ruszamy drogą spenetrowaną przez Wojomira i Srogosza. Nie będziemy się pchać na siłę w zasięg lutyckich watah. Po zachodniej stronie Hoboli może już wszystko zniszczone i wyludnione, tak jak odkryty gródek na przeprawie, większa szansa na przemknięcie się.

Rachuby zawiodły zaledwie trzy godziny po minięciu zniszczonego grodu. Wojomir podążał jak zwykle niecałe sto metrów przodem. Wyjechał na łąkę roztoczoną u podnóża niewielkiego zalesionego pagórka. Droga wiła się tutaj pośród traw, zataczając łukiem pagórek, przecinała niewielki strumyk i ginęła w ścianie lasu. Omijając pagórek, obserwował z czujnością okolicę. Nic podejrzanego. Gdy już wsiąkł między pierwsze drzewa, podążająca za nim grupa wychyłała właśnie na początku krańca łąki. W tym momencie spomiędzy drzew pagórka dobiegły trzaski, na polanę wypadła w szalonym pędzie jazda. Gnali najwyraźniej w kierunku przecinającym prostopadle drogę na łące. Obopólne zaskoczenie trwało kilka sekund. Siedmiu jeźdźców w pełnym uzbrojeniu. Wydali okrzyki i natarli na ludzi Gromosława. Zaalarmowany Wojomir zdążył zawrócić i wystrzelił z łuku, zanim doszło do starcia. Obcy wojownik spadł z konia, przebity od tyłu strzałą. Sześciu na pięciu. W pełnym pędzie konia Wojomir posłał następną strzałą, równie celną jak pierwsza. Zostało jeszcze pięciu przeciwników. Dobył miecza i wpadł, spieniwszy konia, w kłęb walczących. Starcie nie trwało długo.

Gromosław i reszta rozprawili się szybko z napastnikami. Po chwili siedem trupów pokrywało łąkę. Niechybnie ludzie Stodora, sądząc po uzbrojeniu i koniach. Lutycy z federacji zawsze walczą pieszo.

- Co ich tak pędziło? - sapał zdziwiony Czambor, ocierając pot z czoła. - Gnali jak na złamanie karku.

- Trzeba zebrać, co kosztowne, i zakopać na później - orzekł fachowo Srogosz.

- Czekaj! - upomniał go gwałtownie Gromosław. - Nie zsiadać z koni! Nie wiadomo, co tu jeszcze się czai za drzewami.

Ostrożność dowódcy okazała się zbawienną. Jeszcze zanim ktokolwiek zdążył zaoponować, powietrze przeciął świst. Zdumiony Bernard spoglądał na trzepoczącą w jego tarczy strzałę. Kolejny świst - trafiony w zad jeden z jucznych koni zarżał przeraźliwie, przysiadając na tylnych kopytach, zerwał uprząż i począł się tarzać w trawie.

- Tarcze! - wrzasnął Gromosław. - Rozstawiać się! Nie w kupie!

Spomiędzy drzew pagórka posypało jeszcze paroma strzałami, bez większego uszczerbku. Za strzałami na polanę wychynęli wojownicy. Piesi. Kilku, dziesięciu, liczba nieustannie wzrastała. Osiemnastu. Lutycka piechota. Ustawili ścianę z podwójnie nałożonymi tarczami.

- Podobni naszym diabelskim dzikom sprzed dwu nocy - zauważył Czambor. - Wojownicy Redarów.

- Gromo - spytał Bernard - walczymy czy co?

- Uciekamy. Zdecydowanie uciekamy. Wojomir, ta droga, co wchodzi w las, daleko ją zbadales?

- No skąd, przecież zaraz zawróciłem, jak was zaatakowano. Udeptana, szeroka na dwa konie.

- Ci od Stodora to chcieli łąką na wskroś... - zauważył Randulf.

- Za duże ryzyko, końmi między gęste drzewa to nas dogonią. Sami widzieliście, jak nawet po ciemku biegają. W te pędy drogą Wojomira!

Udało im się uciec. Popędzali konie, na ile zezwalała droga, i zatrzymali się dopiero pod wieczór. Pomimo zziębnięcia goniwą nie odczuwali zmęczenia, zbyt dużo wrażeń kołatało się w głowach. Rozłożyli się biwakiem, na szczęście jasne niebo zapowiadało bezdeszczową noc. Wojomir przysiadł do Srogosza, prosząc, by mu pokazał wizerunek Bożejki. Bernard stanął na pierwszej warcie. Gromosław ułożył się do snu, unosząc rozmarzone myśli ku Matyldzie. Czambor grzebał w swoich tobołach. Ciszę przerwał Randulf:

- Jak ja was kocham, Polacy, Niemcy, Połabianie! Co za kraj, ile przygód, wydarzeń, bitew. Czasu mi nie starczy na pisanie eposów. Jednak nikt nie podjął rozmowy. Następnego dnia droga wyszła z lasu na sięgające po horyzont łąki i pola nieśmiało pokryte kępami zagajników, usiane rzeczками i stawami. Wojomir powrócił z krótkiego zwiadu, informując, że zbliżyli się ku zachodniemu brzegowi Hoboli.



- To dobrze, znaczy, że zmierzamy w prawidłowym kierunku. Ale - dodał po chwili Gromosław - niedobrze, bo teren otwarty, na pewno trafimy na osady i ludzi. Musimy poruszać się ostrożnie, równoległe do drogi, ale jak najbliżej ściany lasu.

- Gromo - Wojomir zastanowił się nad doborem słów - że tak zapytam po przyjacielsku jako tutejszy niejako, jaki masz plan? Co zrobimy, gdy dotrzemy do Radogoszczy albo świątyni?

- Zobaczymy - odpowiedział Gromosław bez zająknięcia.

Cóż było rzec? Nie miał planu. Wszystko zależało od okoliczności. I szczęścia. Przebiorą się za posłów, cesarskich czy innych. Może jako dyplomacja z dalekiej Italii, mają przecież Randulfa. Albo za kupców zdążających na targ niewolników na Rugii.

Minęło kilkanaście dni. Nadal posuwali się w północnym kierunku. Niczym nieufne dzikie zwierzęta, płochliwie, ostrożnie. Przemykali obrzeżami lasów, omijali zakolami snujące się nad okolicą dymy, nie rozpalali ognisk. Coraz częściej trafiali na ślady wojny. Spalone domostwa, zniszczone gródki, tu i ówdzie niepogrzebane trupy. Wielokrotnie chowali się w gąszczach, obserwując z napięciem przechodzące wojska. Na przemian powstańców i lutyckiej federacji. Większe i mniejsze oddziały. W ostatnich dniach ruch ożywił się znacznie, Randulf stwierdził, poirytowany, że chyba znajdują się w centrum koncentracji gromadzących się armii. Bardziej

niepokojąca była uwaga Wojomira: od paru dni nie mieli kontaktu z Hobolą. Obojętnie, jak daleko zapuszczali się na wschód, nie napotykali oczekiwanych nurtów rzeki. Przeróżnych rzeczek i dopływów nie brakowało, ale Hoboli nie mogli odnaleźć.

Któregoś dnia, po pokonaniu kolejnego wzniesienia, pojawiła się okazja do podjęcia natychmiastowej decyzji. Stanęli na skraju lasu, obserwując opadający łagodnie stok, przechodzący w dole w rozległe pole uprawne. W odległości około pięćdziesięciu metrów niewielki cypel wrzynał się podkowiastym półkolem w jezioro. Cypel pokrywały domostwa i zagrody niewielkiej osady. Nieobronnej, bez wału, nie licząc resztek najwyraźniej świeżo zniszczonego niewysokiego żywopłotu z chaszczki skłębionych gałęzi, przedzielającego nasadę cypla od stałego lądu. Pomędzy zabudowaniami panował ożywiony ruch. Gromady pieszych wojowników kręciły się tu i tam, zgarniając dobytek i wyłapując mieszkańców. Młode kobiety i dzieci upychano do klatek na dwóch wozach. Starców zarzynano na miejscu. Mężczyzn zagnano na plac na przedpolach osady, zbito w kupę i otoczono wianuszkami wystawionych oszczepów. Kilka metrów dalej, nieco bliżej ich pozycji, inni napastnicy, w których rozpoznali piechotę Redarów, kręcili się wokół szeregu kilkunastu jeńców klęczących ze związanymi z tyłu rękoma. Powstańcy, wojownicy Stodora. Jeden z Redarów podszedł do jeńców, zamachnął toporem o szerokim stylisku i odciął głowę klęczącemu na lewym końcu szeregu powstańcowi. Przy akompaniamencie euforycznych

okrzyków. Inny napastnik wyprowadził z grupy stłoczonych mieszkańców jakiegoś młodzieniaszka, rzucił go kopnięciem na ziemię i zarąbał trzema uderzeniami miecza. Ten z toporem upił z bukłaka, zarechotał coś do pozostałych i potężnym cięciem ściał głowę następnemu powstańcowi. Wyszarpnęli kolejnego mężczyznę z grupki mieszkańców i zadźgali oszczepami. Masowa egzekucja. Na przemian powstaniec i nieszczęśnik z osady.

- Szybko, zanim zarąbią wszystkich - rzekł spieszenie Gromosław. - Juczne konie przywiązać do drzew, wyciągać oręż i nacieramy.

- Zaraz - zaoponował Bernard. - Szalony jesteś? Niech się wybijają nawzajem.

- Benno, ja tu rozkazuję! To nasza jedyna szansa. Uratujemy miejscowych, to mamy ich dozgonną wdzięczność, mamy przewodników!

Wojomir już nakładał strzałę na cięciwę.

- Czekaj! - powstrzymał go Gromosław. - Odbierzesz nam zaskoczenie. Nacieramy, chyba nie muszę was uczyć, w jaki sposób. Pełny galop, rzut włóczniami przed dojściem i rąbać po nich, ile wlezie. Ty, Wojomirze, zważaj na ewentualnych łuczników.

Wypadli z lasu, dźgając konie do pełnego pędu, bez okrzyków. Zaskoczenie było całkowite: zanim Redarowie pojęli, co się dzieje, pięciu z nich przebitych włóczniami drgało na ziemi w konwulsjach. Nie zdążyli nawet odwrócić głów w ich stronę, a już siekały po nich miecze. Jedynie Czambor walczył swym ulubionym toporem. Na tańczącym

w płasach koniu rozdzielał na lewo i prawo mordercze uderzenia. Tu prysnął lutycki hełm, chlapiąc w górę mózgiem, tam darł się wniebogłosy następny wojownik ze zwisającym na strzępach skóry ramieniem. Czambor wyszarpnął topór z rany, pchnął konia do przodu i wbił stylisko w plecy kolejnego wojownika. Wbił mocno i nie mógł uwolnić topora z głębokiej rany. Dwóch Redarów wyskoczyło na niego z oszczepami. Czambor wyjął miecz. Redarowie usiłowali dźgać konia w nogi, w boki. „Gdzie, kundle niemyte!? Precz od konia!”, darł się Czambor, usiłując dosięgnąć ich mieczem. Na próżno, odskakiwali umiejętnie, nie zaprzestając machania oszczepami. Gdy ostrze zraniło zwierzę w szyję, Czambor oszalał bardziej niż jego koń rżący przeraźliwie z bólu. Zeskoczył błyskawicznie na ziemię. „Mówiłem, psy, precz od konia!” Złapał jedną ręką u nasady oszczepu wymierzone weń ostrze, a drugą ręką sieknął z góry mieczem, otwierając przeciwnikowi pół szyi. Szybkim obrotem ciała sparował mieczem oszczep drugiego przeciwnika, dopadł go skokiem i kopnięciem rzucił na ziemię. Wbił mu miecz w pierś, wyszarpnął i rozglądawszy się szybko po poboju, rzucił na pomoc Randulfowi. Niepotrzebnie, longobardzki rycerz rozprawił się umiejętnie błyskawicznymi płasami miecza z trzema przeciwnikami. Wtedy też chłopcy wyswobodzili się z pęt, chwywali, co się dało z porozrzucanej broni, i gnali ze wściekłością na Redarów. Bój dobiegał końca. Ostatniego wojownika Redarów, usiłującego pognać brzegiem jeziora, dosięgła strzała Wojomira. Zziajani walką, skupili się wokół

opartego o konia Gromosława. Nikt nie ranny? Nie, prócz paru zadraśnień.

- Uwolnijcie tych powstańców, wypytajcie, co się da, ja pogadam z chłopami. - Gromosław położył rękę na ramieniu Wojomira. - Chodź ze mną.

Na pytanie o Radogoszcz chłopci ze zdziwieniem wskazali na południowy wschód. Tam jest stolica Redarów, tam są źródła Hoboli. Trzy, cztery dni marszu stąd. Czyli pobłądzili, minęli cel. Zawędrowali za daleko na północ. Równie niepomysłne wieści uzyskali od powstańców. Teraz dopiero, podczas przecinania więzów, zauważyli, że to sami ranni. Poobwijani okrwawionymi opatrunkami, widoczne rany, nacięcia. Należeli do stuosobowego oddziału wysłanego przed paru dniami na patrol w kierunku Radogoszczy. Stodor nadchodził od północy na czele potężnej armii. Powysyłał we wszystkie podejrzane kierunki liczne oddziały zwiadowcze. Przed trzema dniami, nieco na wschód od tutejszej osady, wpadli w pułapkę. Wywiązała się potyczka, w trakcie której do walki włączały się kolejne nadchodzące grupy lutyckich wojowników. W końcu wycofali się z bardzo ciężkimi stratami. Ich dowódca zostawił ich w tutejszej osadzie, prosząc mieszkańców o zapewnienie opieki rannym i zabranie ich natychmiast w ukryte miejsca po lasach. Bez zwłoki. Prośbę poparto kilkoma odłamkami srebra. Ze wszystkich stron, prócz północy, nadchodziły armie żerców. W osadzie zostało piętnastu rannych, teraz już trzynastu po egzekucjach Redarów. Chłopci zignorowali ostrzeżenia, postanowili

opuścić osadę następnego ranka, po uprzednim zebraniu wszelkiego dobra. No i dzisiaj z gęstej porannej mgły sunącej od jeziora wyłoniła się piechota żerców. Za pomoc rannym powstańcom postanowili wybić wszystkich mężczyzn, a kobiety i dzieci zgarnąć w niewolę. Wtedy spadli jak burza oni, Gromosław i jego ludzie. Na pytanie, czego oni tu szukają i kim w ogóle są, Gromosław przedstawił wersję z italskim poselstwem do... na Rugię. Na Rugię? Teraz? Przez Połabie? Niemcy walczą z Polakami, wojna domowa między Połabianami, a oni tędy na Rugię? Tak, teraz na Rugię. W Charenzie Ranowie trzymają w niewoli syna księcia Pandulfa II z Benewentu, brata obecnego tu Randulfa. Idą go wykupić. „Ale przecież wy nie z Italii, oprócz tego Randulfa z anielskimi loczkami. Ty Polak, ten tam też, ten mały stary też, jeden z Saksonii, no i ten Połabianin”. „My już od dawna pod rozkazami Randulfa, *milites*, rycerze na służbie”. Tajemnicze nazwy i pojęcia zrobiły wrażenie na uwolnionych powstańcach i przestali nagabywać pytaniami.

Raptem chłopci poczęli wznosić okrzyki, że od jeziora, lądem na lewym brzegu, nadciąga kurzawa. Jazda konna. „Bez paniki!”, zawołali powstańcy, „To muszą być nasi, wojsko żerców nieosiodłane!”. Niebawem do osady wjechał liczny oddział około dwustu jeźdźców. Dowodził Lekuno, doradca Sławigosta, i kamuflaż Gromosława uleciał jak zapomniany dym z ogniska. Lekuno znał Gromosława osobiście z dawniejszych czasów. Ostatnio spotkali się

przed rokiem w Kopaniku, gdy się kurowali, a Lekuno przybył z wieściami z Brenny.

- Kogo my tu mamy - uradował się zgryźliwie Lekuno - sławetnych Polaków! To się król ucieszy, taka zwierzyna wpadła nam w sidła.

- Zdradziłeś Sławigosta? - spytał Gromosław. - Do rebeliantów przeszedłeś? Ty, stary doświadczony wielmoża i polityk?

- Nic ci do tego.

- A o jakim królu mowa?

- O naszym królu, prawowitym władcy Połabia, Stodorze.

- To wiedz, że my dla Stodora ważne pismo od samego Bolesława wieziemy. - Gromosław pogrzebał w tobołach, wyjął odpowiednią rolę pergaminu i podał Lekuno. - Oficjalnie. Spójrz na pieczęć. Piastowski znak dynastyczny.

Lekuno oglądał podejrzanie rolę, obracając w dłoniach, nawet powąchał. Począł z zastanowieniem lustrować ludzi Gromosława. Dojrzawszy i rozpoznawszy Czambora, rzekł:

- Czambor? Mamy dla ciebie... - nie dokończył.

Czambor rzucił się nagle na ziemię i począł gwałtownie kaszleć i się krztusić, jakby mu kość stanęła w gardle. Twarz mu nabrzmiała buraczanym zabarwieniem, machał rozpaczliwie prawą ręką. Randulf dobiegł, uderzył go pięścią w plecy i złapawszy pod ramiona, podniósł mu ręce do góry. Krztuszenie przeszło. Wszyscy zebrani wpatrywali się z przerażeniem w Czambora, który nie zdejmował

zasepionego wzroku z twarzy Lekuno. Ten zaś kiwnął z namysłem głową i zmienił temat:

- Zabieramy was ze sobą, jak mają pismo od Bolesława, to niech król sam zadecyduje. Nie musicie ich wiązać - rzucił swoim ludziom - podążą dobrowolnie, na własnych koniach.

- Jaka jest sytuacja? - zapytał później Gromosław Lekuno, gdy cwałowali obok siebie. - Atakujecie Radogoszcz?

- Atakujemy? - odpowiedział Lekuno pytaniem. - Będzie dobrze, jak przeżyjemy jutrzejszy dzień.

I nakreślił pokrótce aktualny stan rzeczy. Pierwotnie Stodor zamierzał dokończyć nieudanego dzieła sprzed miesiący: zaatakować ponownie Radogoszcz i zniszczyć federację Lutyków. Wyplenić żerców, uwolnić lud spod ich władzy. Zjednoczyć całe Połabie pod swym berłem. Armia powstańcza, na nowo zebrana po ostatniej klęsce, wzmocniona posiłkami z Danii i księstwa Obodrytów, dotarła już w okolicę zgliszcza prastarego grodu zwanego przez miejscowych Ciemne Bagna, leżącego dokładnie pośrodku przecięcia dróg między jeziorem Morzyckim na zachodzie, jeziorem Dołęże na wschodzie a Radogoszczą na południu. Teren na południowy wschód od Ciemnego Bagna stanowiła rozległa równina usiana wzniesieniami i kępami lasów. Wtedy dotarły wieści o nadchodzącej armii federacji Lutyków. Nie jednej, a kilku armiach naraz, z różnych kierunków. Stodor rozłożył obóz w strategicznej pozycji, pomiędzy dwoma wzgórzami, po uprzednim obsadzeniu ich



wojskiem. Za wzgórzami wiała się jakaś rzeka, zabezpieczając mu tyły przed niespodziewanym manewrem przeciwnika. Wysłał liczne patrole i czekał na nadejście wrogów. Od południa szli Redarowie, od wschodu Toleżanie, od północy Czrezipienianie, którzy przed kilkoma miesiącami przeszli na stronę żerców, a od zachodu Glinianie. A wraz z nimi kontyngenty pomniejszych plemion. Z Redarami ciągnęły liczne oddziały tych Rzeczan i Zamczyców znad jeziora Rypińskiego, które zadeklarowały wierność Radogoszczy. Z Toleżanami ciągnęły odłamy Wkrzanów. Z Czrezipienianami część Trzebuszanów. Z Glinianami północy Doszanie. Oprócz tego Radogoszcz poparli Ranowie z Rugii, okręty rańskie sieją zamęt i terror na Słowiańskim Wybrzeżu, napadają jednostki obodryckie i duńskie. Na ląd nie przysłali wsparcia, nie licząc niewielkiego oddziału stuosobowej konnicy. Chyba jedyna jazda w szeregach federacji. To kto jest w armii powstańczej? Morzyczanie, Nieletycy, Chyżanie, Stodorianie i te odłamy wspomnianych uprzednio plemion, które chcą zrzucić dominację Redarów. Dodatkowo posiłki Obodrytów i Duńczyków. Są też oddziały Wkrzanów. Kto przeważa liczebnie? Siły nie są wyrównane. Samych Redarów maszeruje około sześciu tysięcy, zmobilizowali niemal wszystko. Toleżan dwa tysiące, Glinian jeden tysiąc, Czrezipienian trzy tysiące. Pozostałych kontyngentów pomniejszych plemion może ze dwa tysiące razem. W sumie pod sztandarem Swarozycy żercy prowadzili jakieś niewiele ponad czternaście tysięcy wojowników. A Stodor, znaczy

król Stodor? Siedem tysięcy powstańców, sześciuset Duńczyków, dwa tysiące Obodrytów. Razem prawie dziesięć tysięcy. Faktycznie, siły nie są wyrównane, federacja przeważa liczebnie. Co z tego, że Stodor dysponuje świetną jazdą obodrycką i stodorańską? Może wcale nie dojdź do jej użycia. A co z Pomorzanami? Wolinianami? Nic o nich nie słyhać, męczą się z własnymi trudnościami, podobno Duńczycy albo jarlowie na wikingu ich najechali. Takie pogłoski przywiał morski wiatr.

Późnym popołudniem dojechali do obozowiska powstańczej armii. Doszło do nieuchronnego spotkania grupy Gromosława z samym Stodorem. Samozwańczy król Połabia powitał ich z nieskrywaną ironią, czyniąc uszczypliwe uwagi, ale nie potraktował jako jeńców. Po przeczytaniu wiadomości od Bolesława mina mu spoważniała i ochota do żartów ulotniła się. Aż im głowy pękały z ciekawości. Co było w treści listu? Pogróżki, propozycje? Gromosław zdecydował odkryć karty. Inaczej stracą ostatnią być może szansę dotarcia do świątyni. Poprosił Stodora o rozmowę w cztery oczy, a gdy zostali sami w „królewskim” namiocie, wyjawiał mu prawdziwy cel misji. Stodor osłupiał: „Lutycy podebrali Bolesławowi włócznie?”. Od słowa do słowa, Gromosław opowiedział dotychczasowy przebieg wydarzeń, przemilczawszy rzecz jasna utarczkę, w której wybili powstańczy oddziałek. Nie mają wyjścia, muszą się przedostać do tajemniczej świątyni Swarozycy. Za wszelką cenę. Świątynia znajduje się niedaleko Radogoszczy, objaśnił Stodor, na wysepce

pośrodku mniejszego z dwóch jezior. Bywał tam parokrotnie. Sami tam nie dotrą, nie ma takiego przebrania i fortelu, by przedostali się na wyspę. Zresztą teraz to nawet mysz się nie prześliznie w pobliże Radogoszczy, wszystko wypełnione nadciągającymi wojskami federacji. Poza tym co mu do kłopotów Bolesława? Mogą jutro stanąć w jego szeregach, gdy pokona żerców, to może im zezwoli na wejście do świątyni, zanim jej nie zniszczy. To ich jedyna szansa. „Kto cię uwolnił w Kopaniku?”, spytał zniecka Gromosław, licząc może, że Stodor z rozpędu się zdradzi. „A to już sobie rozwiążcie we własnym gronie”, odpowiedział Stodor złośliwie. Gromosław nie podjął dalszej dyskusji. Zamilkł i popadł w zadumę. Myśli kłębiły mu się w głowie, wahania. Stodor zauważył, że rozmowa zakończona. Trzeba wracać do swoich, pomyślał. Niespodziewanie Gromosław zerwał się i poprosiwszy o chwilę cierpliwości, opuścił namiot. Powróciwszy z wielkim worem, położył go na ziemi, wysupłał zeń pierwsze zwoje wielkiego sztandaru Stodoranii i ukazał Stodorowi ze słowami: „Oddaję ci symbol twoich marzeń, niech powieje nad Połabiem, kiedy będziecie się nawzajem zarzynać”. Stodor uchwycił za zwoje, począł je rozwijać i oglądać z narastającym podnieceniem. Wyskoczył przed namiot, ciągnąc za sobą worek. „Straże! Drzewie szykować!”, wołał do zbierających się wokół wojowników z osobistej drużyny. Gromosław chciał już odejść, lecz Stodor powstrzymał go:

- Chodź ze mną na szczyt wzniesienia, popatrzymy na pole jutrzejszej bitwy.

- Chciałbym, żeby moi też się przyjrzeni... jeżeli przyjdzie nam walczyć... jeżeli się zdecydujemy...

Gdy Gromosław opisał sytuację, Wojomir już w drodze w kierunku wzniesienia zapowiedział, że nie będzie walczył dla Stodora. Ani dla Stodora, ani dla Wilków. Mogą go poćwiartować, odtrącić, zdjąć z Bolesławowej służby, nieważne. Nigdy, dopóty żyje, nie przyłoży ręki do sukcesu ani tego mordercy, samozwańczego „władcy” Połabia, ani krwiożerczych zerców. Zanim Gromosław zdążył przetrwać wzburzenie Połabianina, Srogosz wyskoczył z tym samym. Nie wyciągnie broni dla tych szeszłych bestii. Nie po to całe życie walczył przeciwko nim, wrogom wiary w Chrystusa, by teraz im się wysługiwać. Niech inni robią, co chcą, pójdzie z Wojomirem w lasy i na własną rękę przebija się do świątyni. Nie przebija się, choćby z pomocą pogańskich czarów, próbował im wyjaśnić Gromosław. Nie i koniec, uparli się jednocześnie Wojomir i Srogosz. Srogosz dodał złośliwie, że co mu do spraw rodzinnych Połabian. „Jakich spraw rodzinnych?” „No przecież Pakosz jest dziadkiem Stodora”, oznajmił Srogosz. Gromosław wściekł się w myślach na przyjaciół, Bernarda, Randulfa i Czambora, że nabrali wody w usta i nie stanęli po jego stronie. W takim nastroju dotarli do miejsca, gdzie oczekiwał ich samozwańczy król Połabia.

Znajdowali się na jednym z dwóch wysokich na ponad dwadzieścia chłopa wzniesień o bardzo łagodnych stokach,

oddalonych od siebie o mniej więcej pół staja. Widok z wysokości był imponujący. Wzniesienia, niczym dwie odwrócone misy, białe były w wielką, urozmaiconą kępami niewielkich zagajników i cienkimi strumykami równinę. Na wschodzie i zachodzie równinę ograniczały w odległości dwóch staj linie gęstych lasów. Za ich plecami, w odległości pół kilometra na północ, równina dochodziła do pagórkowatego łańcucha wysokiego na kilkanaście łokci, zaś za łańcuchem płynęła niewidoczna stąd rzeka. Przestrzeń wokół wzniesień wypełniały masy powstańczego wojska ustawionego liniami bojowymi w południowym kierunku. Tam, w odległości staja, zbierały się wojska przeciwników. Jeden przez drugiego wypytywali Stodora o szczegóły, jedynie Wojomir i Srogosz milczeli, przybrawszy ponure miny.

- Co z lasami na wschodzie i zachodzie?

- Pod nieustanną kontrolą patroli. Nie damy się zejść od boków.

- Dlaczego nie atakujesz teraz, dzisiaj? Tamci może jeszcze nie zebrali wszystkich sił.

- Wojsko mam wymęczone forsownym marszem, większość zemdleje, zanim dojdzie do tarcz przeciwnika. Muszą wypocząć przed bitwą.

- Nie widzę Obodrytów.

- Dojdą lada chwila, szli razem z Duńczykami, ale zatrzymał ich jakiś rebeliancki gródek na terenie Warnów. Ich forpoczty zawitały już do obozu.

- Uderzysz jazdą na falangi Redarów?

- Zobaczymy.

- Czy w twoich szeregach są wojowniczkę Wkrzanów, jak pod Kopanikiem?

- Raaandulf, zgadza się? W Kopaniku śliniłeś się do takiej jednej...

- Jak na króla, mógłbyś trochę mniej impertynencko...

- ...Radanka, nieprawdaż? Jest tam, na lewo od naszego wzgórza. - Wskazał Stodor ręką.

Rozmowa się urwała. Powoli nadchodził wieczór, słońce dochodziło już zachodniego horyzontu. Przypatrywali się w milczeniu tysiącom rozpalonych ognisk. Akurat nadeszli Obodryci i rozłożyli się obok Duńczyków. Współ rozstawili prowizoryczne krzyże i przystąpili do wieczornej mszy. W innych miejscach celebrowano rytuały wiary przodków. Pomieszanie obrzędów, ludów, plemion, uzbrojenia. Również naprzeciwko, na południu, gąszcz nieprzyjacielskich ognisk. Na wzniesienie wdrapał się stodorański rycerz dzierżący z wysiłkiem na masywnym drzewcu sztandar Stodoranii. „Królu, chorągiew gotowa”. Przepiękna zielona płachta, wielka niczym kobierzec na komnatowej ścianie, rozwiała się pełną krasą. Zebrani wokół na wzniesieniu rycerze i wojownicy, chrześcijanie i poganie mimowolnie przyklękli jak na komendę. Oprócz grupy Gromosława. Stodor podszedł do sztandaru i wtulił weń twarz. Odwrócił się w stronę ognisk przeciwnika i zakrzyknął donośnie: „Władca powraca!”.

Gromosław nakazał swoim powrót do ogniska. Trzeba pilnie przedyskutować sytuację, zanim położą się na

spoczynek. Nie rozstawiano namiotów. Nie było na to miejsca pomimo zimnej nocy. Początek października, nad rankami pierwsze nieśmiałe smugi szronu okrywały ziemię. Tysiące ludzi po obu stronach, ściśniętych na ograniczonej przestrzeni. Jedynie Stodorowi rozstawiono namiot na wzniesieniu. Wojownicy kładli się na skórach, otulali, czym się dało, gromadzili jak najbliżej niezliczonych ognisk.

- Stodor albo oszalał, albo uwadze umknęła mi taktyka przewyższająca moje doświadczenie - rozpoczął Gromosław. - Z lasów pomimo patroli mogą wypaść na skrzydła powstańców niespodziewane odwody, katastrofa gotowa. Za plecami rzeka, jak federacja ich przyprze, to potoną w odmętach, katastrofa. Jazda całkowicie zbędna, nie ma pola do manewru, prawie dwa tysiące zbrojnych bez taktycznego celu, katastrofa. Ustępują liczebnie, uzbrojeniem nie przewyższają...

Randulf: - Właśnie to mnie dziwi. Bywał już Aleksander Wielki, co z garstką rozbijał w puch perskie potęgi, bywali już rzymscy wodzowie, co samą wyższością wojennych technik niwelowali każdą przewagę przeciwników, bywał już Hannibal, genialny strateg i mistrz wybiegów. Ale Stodor? Nie ma czym zniwelować przewagi liczebnej przeciwnika: ani większą bitnością, ani wspaniałą techniką, ani wyrefinowaną taktyką, ani lepszym uzbrojeniem. Niczym. Na co on liczy?

Wojomir: - Przecież cały czas próbuję przemówić wam do rozsądku. Stodor to zwykły idiota z morderczymi zamiarami.

Randulf: - Nie taki idiota, odczytany jest, wykształcony. A i waleczności nie możecie mu odmówić.

Bernard: - Pokazał już pod Kopanikiem mierne talenty wodzowskie.

Gromosław: - Trzymamy się razem, wokół mnie, na wzgórzu dowodzenia. Niech nikt się nie odważy łązić samowolnie w ściany tarcz.

Srogosz: - Połabianie przebiegli na polu bitwy. Nie tylko waleczni. Pytanie, kto kogo przechytry: powstańcy federację czy na odwrót.

Gromosław: - Powtarzam, żaden nie opuści miejsca przy mnie.

Czambor: - A tam, gadanie! A jak Lutyki wdrapią się na wzniesienie? Mamy się modlić i czekać, aż nas rozsiekają?

Gromosław: - Jak przyjdzie walczyć, to co innego.

Srogosz: - Najważniejsze to odzyskanie włóczni, a nie bohaterska śmierć.

Gromosław: - Masz pomysł?

Srogosz: - W lasy i wiać, póki jeszcze przejścia wolne.

Gromosław: - I co, prosto do świątyni? Gdzie kapłani włócznie zapakują i oddadzą nam z przeprosinami?

Wojomir: - Ja cały czas ostrzegałem.

Czambor: - A może ty jesteś szpiegiem zerców? Zwodzisz nas po Połabiu całymi dniami, niby źródła Hoboli uszły twojej uwadze...

Wojomir: - A może ty działasz na naszą zgubę? Na spotkania tajemnicze w lasach znikalesz, ze Stodorem podszepty...



Gromosław: - Nie zaczynajcie teraz awantury!

Bernard: - Rozdzielić się musimy. Wiem, Gromo, wiem... ale pomyśl, co nam z tego, że wszyscy zginiemy na pagórku? Wojomira i Srogosza nie zmusisz do wyciągnięcia miecza, i tak uciekną samowolnie, gdy tylko piechota Redarów podejdzie w pobliże wzniesienia. Niech idą w lasy na własną rękę. Srogosz wie, jak wygląda włócznia. Jeżeli my zginiemy, to pozostaną oni, a jeżeli nie zginiemy, ba, może nawet Stodor wygra, to się ponownie z nimi połączymy.

Gromosław długo ważył w myślach propozycję Bernarda. Głupia nie była:

- Poczekamy wspólnie do jutrzejszego poranka i rozpoczęcia bitwy, wtedy zadecyduję w zależności od sytuacji. Na wszelki wypadek trzymać w pogotowiu cesarskie przebrania.

Wojomir: - Ja mam lepszy pomysł. Utniemy w nocy łeb Stodorowi, przekradniemy się do źerców i zażądamy zwrotu włóczni jako nagrody.

Srogosz spojrział z uznaniem na Wojomira: - O!

Randulf: - Mogę na chwilę pomiędzy Wkrzany?

Czambor: - Skądś taki pewny, że ona tobie przychylną będzie? Może ci nóż w krocze wsadzi, raz już próbowała.

Randulf: - Gromo, mogę do Radanki? Muszę się przekonać.

Gromosław: - Zwariuję zaraz. My tu o sprawach najwyższej wagi, a on do kobiety. Możesz, tylko przed północą jesteś z powrotem, na leżu. Wiesz, że jutro bitwa?

Randulf wrócił, jak mu nakazano, o północy. Umościł się bezszelestnie pomiędzy chrapiącymi Gromosławem a Bernardem.

\* \* \*

Orzeł szybował majestatycznie, niesiony falą powietrza ponad gęstymi oparami siwego przedświt, rozmywającymi się nieśmiało wzdłuż rozlewiska powolnie płynącej rzeki. W poszukiwaniu śniadania wypatrywał uważnie wyłaniających się z ustępującego mroku konturów gęstego lasu, wysepek na rzece, trzęsawisk wokół zakoli. Na południe od biegu rzeki rozciągała się rozległa równina. Tam zwyczajowo hasały smakowite kąski. Ostatnimi czasy pewien hardy zając rzucił mu wyzwanie. Pojawiał się na otwartych przestrzeniach i wyprężał strzeliście w górę. Cekał urągliwie, aż orzeł bezszelestnie zapikuje, by w ostatnim momencie czmychnąć pod przechył skarpy, cieniste konary zagajników czy w gęste łąny starganych traw. I jak tu uganiać się za pyszałkiem, kiedy młode w gnieździe dzioby z głodu rozrywają? Raptem, wstrząśnięty instynktownie odruchem niebywałego przerażenia, odbił gwałtownie w górę i uleciał w przeciwnym kierunku. Na równinie roiło się od ludzi. Mrowie jednych trwało w bezruchu na obszarze stykającym do rzeki, tysiące innych zbliżały się z naprzeciwka, hucząc hałaśliwie pobrzękującym uzbrojeniem.

Federacja Lutyków ruszyła do starcia. Na całej szerokości równiny, od lasu na wschodzie do lasu na

zachodzie. Nieprzebrane falangi piechoty, szereg za szeregiem. Pierwszy uderzeniowy blok liczył osiem tysięcy. Środkiem kroczyły oddziały Redarów, trzy tysiące, niemalże połowa ich kontyngentu. Na lewo dwa tysiące Toleżan, na prawo trzy tysiące Czrezipienian. Nad maszerującym wojskiem powiewały liczne bojowe sztandary z wizerunkami bóstw i bogiń. Na miejscu w pozycjach bojowych pozostała rezerwa w liczbie trzech bloków. Lewy i prawy, złożone z oddziałów wszystkich plemion, każdy po półtora tysiąca wojowników, stykały do lasów. Formacje te, o kształtach długich prostokątów, przylegały dłuższym bokiem do linii drzew. Pośrodku, w odstępach od lewego i prawego boku, stała reszta Redarów niczym bryła monolitu, oblepionego tarczami i najeżonego włóczniami. Trzy tysiące elitarnej jednostki zwanej Strażnikami Swarożycza. Przed nimi tańczyło w niespokojnych płasach kilka koni. Kapłani. Między nimi na ogierze o nieskazitelnie białej barwie siedział Pakosz, naczelny żerca. Okrywała go świecąca zdobieniami zbroja, długa po kolana. Jedynie spływające spod hełmu po pas popielate włosy i długa bujna broda mieniąca się srebrzystą siwizną zdradzały wiek ponad sześćdziesięcioletniego starca.

Przed wzniesieniami powstańcy sformowali ściany tarcz wszerz całej równiny, głębokie na kilkanaście szeregów. Z tyłu piechoty, na lewym skrzydle pod lasem, gdzie teren był bardziej wyrównany, ustawiała się jazda ciężkozbrojna złożona z tysiąca Obodrytów i trzystu Stodoran. Reszta Obodrytów i jeźdźców z innych plemion zsiadła z koni

i zasilła szeregi piechoty. Duńczycy zajęli prawe skrzydło ściany tarcz razem z Chyżanami. Na obu wzniesieniach, górujących niczym wyspy pośród mrowia wojowników, zajęli pozycje wyborowi łucznicy. Na jednym z nich usadowił się Stodor z przyboczną drużyną pod rozwianym na całą szerokość sztandarem. W pewnej odległości za wzniesieniami oczekiwała trzytysięczna rezerwa.

Atakujący doszli do linii powstańców i okolicą wstrząsnął ogłuszający huk uderzających o siebie tarcz. Z obu stron posypały się pociski miotane z tylnych linii. Strzały, oszczepy, włócznie, kamienie. Ciśnienie napierających z tyłu szeregów wypełniało od razu każdą wolną lukę. Kto padał trafiony, ustępował natychmiast miejsca kolejnemu wojownikowi. Wrzaski tysięcy gardeł, szczęk oręża.

Rzeź rozpoczęła się na dobre. Po dwóch godzinach boju obraz niewiele się zmienił, żadna ze stron nie wywalczyła przewagi. Napieranie, przepychanie, deptanie po trupach i rannych. Parę metrów w tył, parę do przodu. Ściana tarcz powstańców nie utraciła spójności pomimo dużych strat. Linia markująca front wyginała się faliście i wracała do poprzedniej pozycji. Aż w końcu poczęły wkraczać zmiany zniekształcające dotychczasowy obraz. Linia pękła w paru miejscach. Stopniowo pierwsze dwa, trzy szeregi obu stron mieszały się nawzajem. Pas kłębowa ludzi i oręża na całej długości pola bitwy, napierany od tyłu przez ciśnienie ścian tarcz. Bój nie utracił na zaciętości i okrucieństwie. Na prawym skrzydle Duńczycy wbili się w zmieszany tłum

wojowników i przeszli brutalnie te kilkanaście metrów, wtlaczając w ziemię każdego, czy to swój, czy przeciwnik. Niespodziewanie stanęli przed tarczami wojowników federacji, bardziej zajętych zagrzewaniem swoich walczących w środku zamieszania niż zachowaniem dyscypliny. Zaskoczenie trwało może parę sekund, ale wystarczyło ciężko opancerzonym skandynawskim weteranom. Długimi toporami powyrywali tarcze przeciwników i wtargnęli w nadszarpniętą linię, przypominającą szeroki uśmiech szczerbatego. Lewy blok federacji pękł na kilka szeregów. Coraz więcej Duńczyków parło do przodu. Gromosław obserwował z boku twarz Stodora, któremu na widok szarpaniny na duńskim boku roziskrzyły się oczy z podniecenia. To była ta szansa, na którą czekał. Dał sygnał jeździe, by natychmiast przegalopowała z lewego na prawe skrzydło i wbiła się w wolne luki lutyckiej falangi. Na próżno. Jeźdźcy dotarli wprawdzie i przyłączyli się do walki, jednak Lutyacy zdążyli opanować początkowe zamieszanie we własnych szeregach i przeszli do kontruderzenia. Naszpikowane włóczniami falangi wymiotły z powstałych luk zarówno Duńczyków, jak i Obodrytów. Nie od razu i po ciężkiej walce, ale niebezpieczeństwo rozproszenia lutyckiego prawego skrzydła zostało zażegnane. Zanim do tego doszło, w innym miejscu nastąpiły zmiany. Na znak Pakosza spomiędzy rezerwy Redarów wyłoniły się wozy. Liczne. Podjechały do tylnych szeregów bloku uderzeniowego, dokładnie pośrodku pola bitwy. Natychmiast otwarto im przejście,

wojownicy z szeregów za pierwszą linią coś tam zbierali, wyładowywali z wozów. Po chwili nad głowami pierwszej linii poleciały jakieś przedmioty, zataczając łuki w powietrzu i lądując pośród zdezorientowanych powstańców. Setki, jak nie tysiące. Z daleka, z odległości wzniesienia, wyglądały niczym spadająca z nieba kapusta. Pod wzniesienie przebił się goniec, zdzierając gardło: „Rzucają odciętymi głowami!!!”. Redarowie zabili jeńców nałapanych przez miesiące wojny domowej i rzucali teraz odciętymi, ociekającymi jeszcze krwią głowami w przeciwnika. Nie na całej linii. Dokładnie w szeregi powstańców zgrupowane na osi środka pola bitwy. Efekt był natychmiastowy. Zgroza opadających głów, zamieszanie, wybuch ogólnej paniki zmieszanej z utratą dyscypliny. Niejeden odbijał tarczą lub został trafiony głową kogoś bliskiego z rodziny, krewnego, znajomego. Zanim ostatnie głowy na dobre opadły, piechota pośrodku bloku uderzeniowego - zbity falanga Redarów - ruszyła do gwałtownego szturmu. Z ogromnym sukcesem. Kilka tysięcy wojowników wbiło się w szeregi opanowanego chaosem przeciwnika i parło naprzód z niebywałą prędkością. Nie na całej linii. Jedynie środkiem pola, na szerokości około kilkudziesięciu metrów. Na ten widok Gromosław, podbiegłszy szybko do Wojomira i Srogosza, wydał rozkaz, by natychmiast udali się poza wzniesienie, gdzie trzymano ich konie, wzięli juczne obładowane dobrem, pognali na tyły, na styk lasów z nasypem zasłaniającym rzekę, zakopali wszystko, co cenne, pod

skarpami – tam gdzie białe głazy na wpół wtopione w brzeg rzeki – i ratowali życie, chroniąc się w lasach. Niech czekają w ukryciu na rozwój sytuacji. Jeżeli on i reszta grupy przeżyją tutejszą bitwę, to połączą się na nowo. Jeżeli nie, to Wojomir i Srogosz muszą na własną rękę dążyć do odzyskania włóczni. Wojomir i Srogosz przystąpili bez komentarzy do wykonania rozkazu. Gromosław powrócił do Bernarda, Czambora i Randulfa w momencie, gdy prace do przodu oddziały Redarów podchodziły coraz bliżej. Umysł Gromosława pracował na najwyższych obrotach. Nakazał natychmiastowe wdzianie na zbroje tunik i płaszczy z cesarskimi barwami. Ledwo wykonali rozkaz, gdy fala uderzeniowa Redarów na kształt dmuchanego od tyłu pęcherza, wrzynając się coraz głębiej i głębiej, dotarła do podnóża wzniesienia. Nie było czasu na dalsze zastanawianie się. Gromosław, Bernard, Randulf i Czambor nieoczekiwanie stanęli oko w oko z przeciwnikiem. Tymczasem Wojomir i Srogosz zdążyli już zniknąć z jucznymi końmi za skarpą przesłaniającą rzekę.

Gromosław otrzymał w ścisku pchnięcie mieczem na wylot uda prawej nogi. Stojący obok niego Bernard, widząc opadającego przyjaciela, odrąbał przeciwnikowi rękę z fatalnym mieczem, ale za chwilę sam dostał potężne uderzenie toporem w bok. Dokładnie w gojącą się wcześniej miesiącami ranę po włóczni. Znakomita saska zbroja zatrzymała większość impetu uderzenia, mimo to stylisko przebiło łuski kolczugi i skórę kaftana. Nie za głęboko, choć wystarczająco, by tknąć i rozorać na nowo ranę. Bernard

zachwiał się, ale nie stracił przytomności, pomimo że ogarnęła go gwałtowna słabość. Przyklęknął obok leżącego Gromosława, otulił mu głowę lewym ramieniem, trzymając przed sobą miecz na wyciągnięcie prawej ręki. Z kolei doskoczył do nich Randulf i zasłonił obu dwiema tarczami. Czambor, machając toporem jak oszalały, próbował odganiać wrogów od grupki przyjaciół, płasząc wokół nich niczym niedźwiedź chroniący się przed pszczołami. Wielka maczuga nabijana kolcami opadła z hukiem na głowę Czambora. Na szczęście trzaśnięcie nie rozłupało hełmu, inaczej kolce utknęłyby w mózgu gdańszczanina, jednak uderzenie powaliło go na ziemię. Czambor stracił przytomność. W tym momencie nastąpiło przesilenie w natarciu Redarów. Pochód stracił impet, zdusił się w tłoku napierających bokami na pęczek tarcz powstańców. I począł się cofać. Do walki włączyły się spieszne oddziały Obodrytów i rezerwa spomiędzy wzgórz. Efekt nacisku odwrócił kierunek działania. Powoli i z wielkimi stratami. Powstańcy nieubłaganie wciskali wroga wybrzuszenie coraz dalej na pozycje wyjściowe. Niebawem wbili się w środek formacji ustępujących Redarów. Blok uderzeniowy federacji ustępował pola. Powoli środek powstańczego przeciwuderzenia wypierał lekko zaokrąglony na kształt łuku środek Redarów z powrotem w linie z początku bitwy, a następnie do tyłu, wbijając się coraz dalej w ustępujące szeregi wrogiej formacji. Niejako odwróciła się sytuacja – teraz wybrzuszenie nacierających powstańców pęczyła



w szeregach przeciwnika. Coraz głębiej i głębiej. Skrzydła federacji nie podjęły obrony pozycji, lecz dały się ponieść naciskowi i również ustępowały. Wolniej od środkowych szeregów. Wytworzyła się groźna dla federacji sytuacja. Jeżeli napierający powstańcy przemielą zastępy wroga pośrodku pola do ostatniego szeregu, to przetną blok uderzeniowy federacji na dwie części, które otoczą z trzech stron - oprócz linii lasu - i przystąpią do ich likwidacji. Stodor nie wytrzymał i rzucił wszystko do natarcia, wietrząc szansę na wygraną. Przy wzniesieniach pozostała niewielka rezerwa tysiąca wojowników i rosnąca liczba zbieranych z pola bitwy rannych oraz Gromosław i jego ludzie na wzniesieniu, poranieni, prócz Randulfa, zbici w grupkę, odziani w cesarskie barwy. Obserwowali przebieg wydarzeń, lecz wciąż bez Czambora, leżącego bez przytomności jak kłoda. Randulf, najbardziej przytomny i jedyny jak dotąd bez rany, komentował rozgrywane sceny. Jeżeli tylko Stodorowi uda się przepołowić armię wroga na dwie części... Jednak czego nie mógł dostrzec ani Randulf, ani tym bardziej walczący poniżej powstańcy, to zachowane rezerwy przeciwnika. Nikt nie zwrócił na nich uwagi, nie przykładał wagi w ferworze walki. Tymczasem rezerwa Lutyków nie szła na pomoc blokowi uderzeniowemu, lecz również się cofała, przynajmniej blok środkowy - Strażnicy Swarozycy z Pakoszem i pozostałymi kapłanami. Boki rezerwy, lewy i prawy, wykonały manewr całkowicie niewidoczny dla powstańców. Niby ustępowały do tyłu, ale tylko pozornie czyniły to pierwsze trzy szeregi. Pozostałe

zniknęły, wsiąkły niepostrzeżenie w lasy i ruszyły pod ochroną drzew w kierunku przeciwnym do oddziałów ustępujących na otwartym polu.

W pewnym momencie napierająca armia powstańców, naciskając na cofających się przeciwników, dotarła do miejsca, w którym pierwotnie stała rezerwa federacji. Na krótko przed przerwaniem ostatniego szeregu walczących w środku Redarów nastąpiły gwałtowne zmiany, tworząc diametralnie inny obraz bitwy. Z lasów na wschodnie i zachodnie skrzydła powstańców uderzyły rezerwy federacji, prawie cztery tysiące wojowników po każdej stronie. Jednocześnie zawróciły trzy tysiące Strażników Swarozycy i błyskawicznie uderzyły w środek pola. Powstańcy znaleźli się z trzech stron w objęciach śmiertelnych kleszczy, zaciskających się, dążących do zamknięcia okrążenia. Wszystko przebiegało bardzo szybko, niespodziewanie. Zanim wojownicy powstańców pomyśleli o wyrwaniu się z pułapki i odwróceniu na swoje tyły, w kierunku wzniesień, od strony rzeki dobiegł ogłuszający wrzask trąb i piszczał bojowych. Randulf aż zaniemówił. Z rzecznej skarpy schodziły w prędkim marszu, niemal biegu, tysiące wojowników i parły w ich kierunku. Bojowe sztandary Pomorza. A jednak. Razem około sześciu tysięcy: Wolinianie, Szczecinianie i wojownicy z pozostałych ośrodków Pomorza nadodrzańskiego, wszyscy oni szli na pomoc Radogoszczy. Przechodząc przez wzniesienie, zarzucili na grupę Gromosława wielką sieć i postawili wokół strażników. W kilka sekund stało się jasne, że żercy

od początku zaplanowali wciągnięcie Stodora w pułapkę przygotowaną w najdrobniejszych szczegółach. Pomorzanie wbili się od tyłu w masę powstańczego wojska i zamknęli kocioł. Teraz dopiero rozpoczęła się prawdziwa rzeź. Powstanie upadło ostatecznie. Dopełniła się tragedia wojny domowej.

\* \* \*

Jechali na trzęsącym niemiłosiernie wozie ciągniętym przez wielkiego tura. Potężne zwierzę, wyższe i dłuższe od samego wozu.

- Wygląda jak wcielenie samego Minotaura, trzy dorodne byki pomieściłby w sobie.

Czambor: - Randulf znowu wyskakuje z jakimiś dziwami. „Mino...” coś tam, a to zwykły swojski tur.

Bernard: - Coraz ich mniej, coraz mniej. U nas w Saksonii wymierają, w rzadkość przechodzą.

Gromosław: - Na Połabiu i w Polsce jeszcze ich pełno. Rozejrzyjcie się z przodu, z tyłu, nie widać końca kolumny wozów, setki turów.

Od bitwy minęły cztery dni, oni zniewoleni, w drodze do Radogoszczy, jak mniemali. Nie musieli ciągnąć pieszo z tysiącami innych jeńców maszerujących po obu stronach kolumny. Czy to cesarskie przebrania, czy odniesione rany spowodowały, że umieszczono ich na wozie. O tyle dziwne, że ranni transportowani na innych wozach należeli wyłącznie do zwycięskiej armii. Jak można się domyśleć, rannych powstańców dobito na miejscu po bitwie.

Najciężej zraniony był Gromosław. Pomimo usunięcia strzały z uda rana wciąż się jątrzyła, krwawiła i sprawiała mu niesamowity ból. Bernardowi przestało wyciekać z naruszonej w boku blizny. Czambor nadal rzygał i pocił się obficie, ale przestał bredzić, jak przez pierwsze dwa dni. Zdolny był jedynie do powolnego poruszania się. Uderzenie maczugą porządnie mu wewnątrz głowy zatrzęsło.

Oprócz rannych wozy transportowały głównie zebrane z pola bitwy uzbrojenie, broń i dobytek znaleziony przy pokonanych. Stodora nie zauważyli i nikt w pobliżu nie wiedział nic o jego losie. Randulf, który najprzytomniej z nich obserwował do końca przebieg bitwy, twierdził, że Stodor walczył konno i że znikł mu z oczu, gdy Pomorzanie zarzucili na nich sieć.

Randulf: - Ta bitwa to istne cudo genialnej taktyki Redarów...

Gromosław: - Po prostu więcej ich było...

Czambor: - Pomorzanie znad Odry od tyłu zdradziecko naszli...

Randulf: - Idealne zgranie w czasie wszystkich elementów taktyki i zaskoczenia w połączeniu z żelazną dyscypliną wojowników i perfekcyjnością manewrów.

Czambor: - Nie zsikaj się z podniecenia.

Randulf, najpierw nie zważając na zaczepkę: - Wielki podziw i uznanie im się należy. Znaczy żercom i wodzom... - po czym zgryźliwie do Czambora: - Ja nie sram ze strachu na widok piechoty Redarów.

Bernard: - U nich nie ma wodzów.

Randulf: - Słyszeliście o jednej takiej bitwie w starożytności, w której Hannibal rozganił mniejszymi siłami armię dwóch rzymskich konsulów? Na pewno nie słyszeliście, niepiśmienne dzikusy...

Bernard, który mu przerwał: - Ja słyszałem, na wykładach z taktyki wspomina się przy czytaniu z różnych militarnych podręczników, chyba z książki Wegecjusza *Epitoma rei militaris*.

Randulf: - No, chociaż jeden. Pod Kannami na południu Italii czterdzieści tysięcy legionistów, czterdzieści tysięcy sprzymierzonej z Rzymem piechoty i osiem tysięcy jazdy ekwitonów rozniesionych na strzepy przez o połowę mniejszą armię Kartagińczyków. Wiecie, jak Hannibal tego dokonał?

Czambor z szerokim uśmiechem: - Nie wiemy.

Randulf: - Podobnym manewrem jak wasi Lutycy przed paroma dniami. Kartagińczycy wcisnęli się na początku bitwy niczym bąbel w środek rzymskich formacji, a następnie udali, że się wycofują, prowokując Rzymian do kontrataku. Legiony dały się wessać, dosłownie wessać w powstały lej, objąć kartagińskimi kleszczami i wybić. Na cóż ponad osiemdziesiąt tysięcy Rzymian stłoczonych kuliście, skoro w otoczeniu mogli walczyć jedynie ci na obwodzie?

Gromosław: - A Kartagińczycy też rzucali tysiącami obciętych głów?

Bernard: - Coś mieszasz i mylisz, Randulfie. Powstańcy dali się otoczyć, bo było ich o wiele mniej.

Randulf, machając zrezygnowany ręką: - A tam, wam coś wyjaśniać. Nie dziwota, że nie możecie pokonać Lutyków.

Bernard, oburzony: - Spokojnie, myśmy ich już parokrotnie pokonali.

Gromosław: - My też.

W południe na horyzoncie zamajaczyły kontury grodu. Wielkiego grodu, rozłożystego. Radogoszcz. Większość wozów i jeńców odbiła szlakiem na stolicę Redarów. Pozostali, w tym grupa Gromosława, podążyli rozwidleniem drogi wijącym się w odległości stu metrów wokół zachodniego i północnego obwodu wałów. Dalej droga prowadziła na wschód, w gęstniejące lasy i błyskające wśród nich jeziora. Zdążyli przyjrzeć się Radogoszczy. Mrowie ludzi pracowało w wytężeniu przy naprawie wewnętrznego pasa wałów. Pozostałości po szturmach powstańców sprzed kilku miesięcy. Widoczna za pierwszą, niemal o połowę wyższa druga linia wałów wydawała się nienaruszona działaniami wojennymi. Na rozległej równinie przed grodem zalegała horda namiotów. Wojska federacji i sojuszników. Pozostaną, dopóki nie nastąpi podział łupów. Na wydzielonej przestrzeni siedziały zbite masy wziętych do niewoli. Tysiące. Gdy wiozące ich wozy przejeżdżały w pobliżu jeńców, Randulf zakrzyknął głośno:

- Jest, tam, Radanka! Widzę ją! Radanka! Raaadankaa!  
- zaczął się wydzierać, zrywając na nogi, dopóty jeden z eskortujących ich Lutyków nie zdzielił go przez głowę na płask ostrzem włóczni.

Po jakimś czasie dotarli nad brzeg podłużnego jeziora z wyspą pośrodku. Dostępu do długiego pomostu łączącego wyspę ze stałym lądem strzegł masywny gródek. W miarę zbliżania się rozróżniali coraz więcej szczegółów. Najpierw gęstwinę trzymetrowych pali wbitych w ziemię wokół bramy wjazdowej grodu. Krótco po tym powiało grozą. W oczy uderzył widok obciętych głów nadzianych na pale. Ważniejsi wodzowie armii powstańczej i doradcy ze świty Stodora. Za chwilę, gdy lawirując między palami, zbliżyli się do bramy, ujrzeli rzecz najstraszniejszą. Nad łukowatym zwieńczeniem bramy tkwił przybity do drewna rozczłonkowany Stodor. Każda część ciała oddzielnie: głowa, korpus, ręce, nogi. Zmrozeni okrucieństwem, przeszli pod bramą z myślami wypełnionymi ostatnim widokiem króla Połabia. Bezwiednie dali się poprowadzić pomostem w kierunku wyspy, następnie między drzewami świętego gaju, aż do świątyni. Budowla z zewnątrz okazała się wielką halą, o wiele bardziej okazałą, wyższą i dłuższą niż w opisie biskupa Thietmara. Zgadzały się jedynie szczegóły ozdób.

- Chcą nas poświęcić Swarożycowi? - syknął z przestraczem przez zęby Czambor.

Świątynia składał się z kilku pomieszczeń. W największej sali z okrągłym otworem w dachu królował Swarożyc w otoczeniu pozostałych bogów i bogiń, rozstawionych w szeregu po jego lewej i prawej stronie. Najwyższe bóstwo Połabia, pan wojny i wszystkiego. Wysoki na cztery metry posąg, wykuty w monumentalnej bryle

kamienia. Artystycznie, precyzyjnie, z zachowaniem najdrobniejszych szczegółów twarzy. Przybrany w starożytną, tchnącą grozą i obcością zbroję. Podparty lewą ręką na dużej prostokątnej tarczy, sięgającej od ziemi do połowy boku. W prawej ręce dzierżył wystawiony na ukos do góry miecz, szeroki, choć stosunkowo krótki, nietypowy w porównaniu z obecną modłą. Głowę przyozdabiał hełm o równie nieswojskim wyglądzie, z biegnącym wzdłuż krótkim, gęstym pióropuszem. Parada pozostałych bóstw, mniejszych od Swaróżyca, sprawiała wrażenie zbieraniny znanych i nieznanymi rodzajów oręża zaczepnego i ochronnego.

Gdy byli już w środku, przywiązano ich, każdego z osobna, do słupów naprzeciwko Swaróżyca, pozostawiając samych sobie. Mieli czas na podziwianie otoczenia. Rozglądali się wokół, milcząc. Ścianę z lewej strony pomieszczenia wypełniały stojaki na sztandary, chorągwie i proporce, wiele z nich pustych. Po prawej piętrzyły się zbiory uzbrojenia, ale nie tylko, stały również skrzynie wypełnione zapewne cenną zawartością. Powierzchnię pomiędzy nimi a Swaróżycem tworzył okrąg złożony z kilkunastu pieńków, najwyraźniej służących do siedzenia.

W pewnej chwili Gromosław zauważył:

- Jest włócznia.
- Gdzie? Gdzie? - Wszyscy naraz poczęli pytać.
- Na prawo od Swaróżyca. Widzicie?

Rzeczywiście, teraz dojrzeli. We wskazanym przez Gromosława miejscu, prawie na końcu rzędu bóstw stało



coś, jakby następny posąg, ale przykryty narzutą. Spod przykrycia wystawała prawa dłoń dzierżąca włócznie świętego Maurycego. Ich włócznie. Jednak najbardziej przykuła ich uwagę wystająca ponad narzutę głowa. Okryta w pełni kapturem kolczugi, prócz... czarnej twarzy ze świecącymi białkami oczu i wydatnymi wargami.

- Jezu - wyjąkał Czambor. - Diabeł najprawdziwszy.

- To nie diabeł - pospieszył z wyjaśnieniem Bernard rozgorączkowanym tonem. - To... to jest głowa świętego Maurycego z Magdeburga... - zabrakło mu dalszych słów.

- Święty Maurycy miał skórę jak ciemnia nocy? To kim on był? - w głosie Gromosława pobrzmiwało niedowierzanie.

- Rzymskim legionistą... ze starożytności... - Bernard, targany emocjami, nie potrafił skupić się na wyjaśnieniach.

Na to odezwał się Randulf:

- Spokojnie, Benno, ja im wyjaśnię. Maurycy był centurionem, oficerem w rzymskiej legii zwanej Tebańską, ponieważ sformowano ją w Tebach, w Górnym Egipcie, trzysta lat po ukrzyżowaniu Chrystusa. Legionistami byli chrześcijanie z Egiptu, wśród nich wielu Mauretańczyków, mieszkańców północnej Afryki, mających czarną skórę, tak jak Maurycy. Tak się oficjalnie mówi. Maurycy i wielu żołnierzy z tej legii, prawie sześć tysięcy, zginęli śmiercią męczeńską, gdyż odmówili przed bitwą złożenia ofiar pogańskim bóstwom. Ta włócznia należała do niego, do Maurycego, a że w jej grocie znajduje się gwóźdź z krzyża

Jezusa Chrystusa, to teraz wiecie, jakie to wszystko ma dla nas, chrześcijan, znaczenie. I Maurycy, i jego włócznia.

Dopiero teraz Bernard powoli dochodził do siebie.

- Czy wy rozumiecie... co to oznacza? Dlaczego Herbord ze Stade ciągnął na czele cesarskiego oddziału przez Połabie? Nie? To wam powiem. Lutyicy odcięli głowę z rzeźby świętego Maurycego w magdeburskiej katedrze. Odcięli, ukradli i ponieśli tutaj. Dlatego cesarz wysłał Herborda z misją odzyskania głowy Maurycego.

- Ale przecież Lutyicy w sojuszu z cesarzem - wtrącił Czambor. - To po cóż mieliby go okradać?

- Lutykom już chyba całkowicie odbiło - skwitował Gromosław.

Na to odezwał się Bernard:

- Tak się kończy paktowanie z żercami, dobrze Henrykowi. Do Magdeburga na biesiady ich zapraszał. Przy jednym stole podczas Wielkiej Nocy zasiadał.

- Okrutniki, na świętości rękę podnoszą - zaperzył się Czambor.

- Coś tam o niesnaskach pomiędzy Lutykami a cesarzem szeptali ostatnio doradcy Bolesława, po ich ostatniej wspólnej wyprawie na nasz kraj doszło do szamotań rycerstwa saskiego z lutyckimi wojownikami - uzupełnił Gromosław.

- Czy wy nie rozumiecie, co tu się dzieje? Jesteśmy świadkami tworzenia nowego pogańskiego bóstwa - rzekł podekscytowany Randulf.

Gromosław zareagował na to z ironią:

- Bóstwa się tworzy? Randulf nie zamierzał się poddać.  
- Spójrzcie na te wszystkie posągi. Przecież to ludzkie wizerunki przybrane w przeróżne zbroje. Z różnych czasów, niektóre bardzo stare, sprzed wieków. Wiecie, kogo tak naprawdę przypomina Swarożyc? Rzymskiego senatora w bitewnym uzbrojeniu. Z rysów nawet do Cezara podobny, zresztą i tak nie wiecie, kim był Cezar. Albo do Germanikusa.

- Aż taki głupi nie jestem. Tylko co mają rzymskie legiony ze starożytności czy też ich przywódcy do Połabia? - rzucił pytanie Gromosław.

Randulf poraczył przyjaciela dawką historii:

- A jak myślisz, jakim cudem dostawał się bursztyn znad Bałtyku do starożytnego Rzymu? Już za cesarza Nerona, a było to nie tak długo po ukrzyżowaniu syna Bożego, wysyłano ekspedycje nad Zatokę Gdańską. Tak, tak, Czambor, do twojego Gdańska, no, wtedy pewnie jeszcze niewielkiej osady, dla zdobycia bursztynu. Znaczący wyhandlowania od miejscowych, od Słowian czy tam Pomorzan, nie wyznają się w waszych polskich plemionach. Raz ekspedycja wysłana przez Nerona sprowadziła do Rzymu tyle bursztynu, że wyłożono nimi ściany Koloseum, a gladiatorzy walczyli obwieszeni bursztynowymi ozdobami. Takie rozpasanie panowało wtedy.

- To co, Rzymianie szli przez Połabie do Gdańska? - nie dowierzał Gromosław.

- Też, ale nie tylko. Raz opłynęli statkami Danię od Morza Północnego na Bałtyk.

Odezwał się na to Bernard:

- Na Połabiu byli wtedy Słowianie? Sam przecież mówiłeś, Randulf, że siedziały tutaj germańskie plemiona, twoi Longobardowie na przykład.

- Siedzieli, ale po obu stronach środkowej Łaby. Między nimi a Odrą, a tutaj nad tymi jeziorami byli najwidoczniej Słowianie - odrzekł mu Randulf.

Gromosław nie wytrzymał i wypalił:

- Chcesz, Italiańcu, nas, Polaków, naszej przeszłości uczyć? Myślisz, że nie wiemy, gdzie korzenie naszych polskich plemion? Pewnie, że Połabie zawsze polskie plemiona zamieszkiwały.

Teraz do rozmowy znowu włączył się Czambor:

- Jak mówiłeś? Że niby nie wyznajesz się w naszych plemionach? My, Pomorzanie, od zawsze blisko z polskimi plemionami żyliśmy, tyle że swoich wodzów mieliśmy, dopóki Piasty nie nadeszły.

- Zanim zaczniecie się na dobre sprzeczać, wróćmy do rzeczywistości. Co teraz? - odezwał się Bernard.

- Musimy się uwolnić, podebrać włócznie i głowę Maurycego i uciec - skomentował bez zbędnego tłumaczenia Gromosław.

- Pomyśl tylko, Benno, za tę głowę mógłbyś wiele wyhandlować u twojego cesarza. Henryk darowałaby ci przejście na stronę Bolesława, godnościami i ziemiami obdarował, może nawet marchię łżycką byś dostał w miejsce Genorowego pokurcza, młodego Thietmara... - zakpił Randulf.

- *Schnauze du Idiot*\* - nie wytrzymał Bernard.

Z tyłu za nimi, gdzie nie mogli odwrócić głów, dobiegły ich odgłosy. Do hali wkraczali ludzie. Wojownicy. Mijali ich z lewej i prawej strony. Jedni ustawiali sztandary bojowe na miejsca, inni znosili co cenniejsze zdobycze z pola bitwy. Po jakimś czasie nadeszli kapłani. Zasiedli w kręgu na pieńkach. Naradzali się, mamrotali w trudno zrozumiałym nawet dla Gromosława narzeczu, raczyli się napitkami. W końcu pojawił się sam Pakosz, już bez zbroi, w długich rytualnych szatach, z rozwianymi włosami do pasa. Teraz dojrzeli, jak rzeczywiście musiał być stary: poorana głębokimi jak bruzdy spalonego słońcem pola zmarszczkami twarz nie pozostawiała wątpliwości. Pakosz dosiadł do reszty kapłanów, udając, że nie zwraca na nich uwagi. Dopiero po niejakej godzinie podszedł do nich, nawiązując rozmowę. Żercy o wszystkim wiedzieli od samego początku. Prawie o wszystkim. Mieli równie dobrych szpiegów, jak Bolesław czy Merseburski biskup Thietmar. Wszędzie, w Polsce, w cesarstwie, w Stodoranii, u Obodrytów, a nawet w Danii. Wiedzieli o wysłaniu grupy Gromosława przez Bolesława, o ich pobycie w Merseburgu, Kopaniku, Brennie i Spędowie. Stracili ich ślad na granicy Stodoranii i obszarze walk powstańczych. Znali każdego imiennie. Kto zacz, skąd, w jakiej randze. Dlaczego ukradli włócznie? O, to skomplikowana historia, ale czemu nie? Niech się dowiedzą, i tak niebawem zginą. Po niemieckim nieudanym najeździe na Polskę w 1015 roku Lutycy chcieli natychmiast otworzyć drugi front i zaatakować Stodoranię.

Wszystkie grody, zarówno należące do Polski, jak i do stodorańskich książąt. Cesarz kategorycznie odmówił, zasłaniając się osłabieniem własnych sił zbrojnych i atmosferą niechęci pośród saskiego rycerstwa. Szpiedzy donieśli żercom prawdziwe powody odmowy cesarza, a przynajmniej jeden z głównych. Henryk nie życzył sobie, by Lutyce zagarnęli Stodoranię i doszczętnie utopili w pogaństwie. Henryk uważał Stodoranię za kraj należący prawnie do Niemiec, za własność królewską. Od 948 roku istniały dwa biskupstwa niemieckie, co prawda tylko oficjalnie po powstaniu Słowian połabskich w 983 roku, ale jednak istniały. Warstwy rządzące poszczególnych grodów Stodoranii przyjęły chrześcijaństwo, wielu ich przedstawicieli sprzyjało cesarstwu, a nie Polsce. Nie, za nic Niemcy nie pozwolą, by żercy zagarnęli ten kraj. Wtedy Pakosz wybrał się do Magdeburga, by pertraktować osobiście z Henrykiem. Bez rezultatu, cesarz nie ustąpił, ryzykując nawet przymierze z jedynym sojusznikiem przeciwko Polsce. Sojusznikiem ważnym dla Niemców, bo działającym na kluczowej arenie w teatrze działań wojennych. A Ruś Kijowska to nie sojusznicy? Paktowanie z Rusią Kijowską służyło Henrykowi w celu realizacji innych planów, jedynie pośrednio związanych z polsko-niemiecką wojną. Na tym szczeblu chodziło o zmagania polityczne z cesarstwem Bizantyjskim. Pakosz powrócił wściekły do Radogoszczy, lecz sojuszu nie ważył się zrywać, zbyt wiele korzyści obiecywała sobie federacja ze współpracy z Niemcami. Wtedy szpiedzy lutyccy, nie szczędząc srebra,

dowiedzieli się następnych szczegółów. O tym, że to sam Henryk planował w 1015 roku otwarcie drugiego frontu w Stodoranii, a najazdem miał dowodzić Stodor. Stodor? Jeden z ich najlepszych dowódców? - oniemieli żercy. Wnuk Pakosza zdradziłby ich dla Niemców? Jeszcze nie zdążyli na dobre przetrwać tej wieści, gdy wybuchło powstanie, Stodor ogłosił się królem Połabia, wypowiadając wojnę wszystkim: żercom, Niemcom i Polakom. Pakosz wysłał natychmiast gońców do Magdeburga z prośbą o wsparcie militarne. Bezskutecznie. Henryk co prawda również wściekł się na wieść o samowoli Stodora i zdradzie, ale odmówił pomocy z tych samych powodów, co poprzednio: zaangażowaniem sił zbrojnych na innych europejskich frontach i osłabieniem kontyngentów saskich. Pakosz dostał napadu szału. Na zebraniu rada kapłańska wpadła na diabelski pomysł - ukraść włócznie Bolesławowi i jednocześnie ograbić potajemnie katedrę Magdeburską z relikwii i cennego dobra. Włócznie zaszachują Bolesława, by nie mieszał się do powstania po stronie Stodora. Za zwrot skarbów z Magdeburga nakłonią Henryka do wsparcia w stłumieniu powstania. Kradzieże powiodły się niemal całkowicie. Dlaczego niemal? Bo z Magdeburgiem poszło nie tak, jak planowano. Ale po kolei. Włócznie podebrali, gdy Bolesław obozował pod Santokiem, i unieśli szczęśliwie do Radogoszczy. W Magdeburgu wkradli się nocą do katedry, zamordowawszy uprzednio strażę, również kręcącym się w środku duchownym poderżnęli bezgłośnie gardła. Ile tam kosztowności przeróżnych się walało! Posąg

Maurycego był za ciężki, więc odpiłowali mu łeb i wrzucili do worka. Z ołtarza, ścian, ław w niszach zebrali wszystko, co się świeciło i mieniło złotem lub srebrem. W tym piękny mszalny krzyż z głównego ołtarza, wysoki na pół wojownika, pokryty niemal w całości szlachetnymi kamieniami. Unieśli sześć dużych worków wypełnionych skarbami, nie licząc tobołu z głową Maurycego. Do tego momentu przebiegało wszystko sprawnie, łącznie z niepostrzeżonym czmychnięciem z Magdeburga. Łódkami przez Łabę i w lasy. Wtedy doszło do kłótni, zaczęli się spierać między sobą. A poszło o to, czy cały rabunek donieść do Radogoszczy, czy też może uszczknąć część dla siebie. Od słowa do kłótni, zakończyło się bijatyką na noże i siekiery. Kilku padło trupem, kilku uciekło w swoją stronę, porywając większą część skarbów. Już oni na pewno nie wrócą dobrowolnie w rodzinne strony, opanowani złymi mocami chciwości. Bogowie ich ukarzą. Jedynie pięciu wiernych w spełnieniu misji dotarło do Radogoszczy. Z głową Maurycego i owym wspomnianym krzyżem. Następnie wysłano oficjalnych posłów do Henryka z zapytaniem, czy jest teraz, w obliczu nowych faktów, gotów do ustępstw i podjęcia na nowo rozmów. Tymczasem nowy splot okoliczności zmienił obraz sytuacji. Niezależnie od Lutyków do Magdeburga zjechali również posłowie od Wolinian i Czechów. Ze skargami na Bolesława, że pieniędzmi i chytryściami namawia ich do wspólnej walki przeciwko Henrykowi. Cesarz zapowiedział, że najpóźniej wczesnym latem następnego roku wyruszy ponownie na



Polskę. Z całą potęgą, przy współudziale Czechów oraz Lutyków, z którymi uroczyście odnowił sojusz okraszony sówicie srebrem z cesarskich szkatuł. Jednocześnie Henryk opłacił Wolinian i pozostałych Pomorzian znad ujścia Odry, by natychmiast wspomogli militarnie federację lutycką w walce z powstańcami. Żercom przyrzekł dodatkowo, że oprócz udziału w podziale zdobyczy na Polakach daje im wolną rękę w konflikcie z Obodrytami. Na zakończenie ustalono oddanie głowy Maurycego i magdeburskiego krzyża. W tym celu w kierunku Radogoszczy wyruszył Herbord ze Stade na czele oficjalnego cesarskiego poselstwa. Dalej Pakosz nie musiał opowiadać. Grupa Gromosława dostała się w środek rozstrzygającej bitwy, powstanie upadło z kretesem, a Stodora rozczłonkowano.

- Kto zamordował Herborda i jego ludzi? - zapytał Gromosław.

- Na pewno nie nasi wojownicy - wyjaśnił Pakosz po krótkim namyśle i dodał: - Nie wiem. Może odszczepieńcy od Stodora, może jakaś dzika banda grasująca po Połabiu?

- To jak teraz oddacie głowę i krzyż? - naciskał dalej Gromosław.

- Na razie nie oddamy, znaczy głowy, bo krzyż już wysłaliśmy do Magdeburga razem z dobytkiem znalezionym przy rycerzach Herborda - odparł Pakosz. - Ale głowę? Po co? Cel osiągnęliśmy, powstanie stłumione, za niecały rok idziemy z cesarzem na wojnę, później ukarzymy Obodrytów za wiarołomstwo. O głowę cesarz musi ponownie z nami

pertraktować. Ha, ha, ha - zakończył bezzębnym uśmiechem.

Słuchali wyjaśnień starego kapłana, czekając, aż wyjawi, co zamierzają z nimi zrobić. Nadaremnie, gdyż uwagę Pakosza przykuli jacyś ludzie wchodzący do hali. Byli to nienależący do federacji przywódcy sprzymierzonych z Radogoszczą kontyngentów walczących w bitwie: wódz, a może nawet sam książę Ranów, oraz trzech przywódcy Pomorzan znad ujścia Odry: Wolinian, Szczecinian i chyba tych z Kamienia. Zasedli przy kapłanach, wdając się w dyskusje. Pozostało im jedynie czekać.

Po jakimś czasie wódz Ranów imieniem Krut opuścił krąg, podszedł do nich, przedstawił się i zapytał Randulfa:

- Tyś jest zapewne Randulf z Italii, sądząc po wyglądzie?

Randulf skinął głową.

- Twój ojciec jako książę bogaty pewnie? Zależy mu na tobie?

- Bardzo bogaty i bardzo mu na mnie zależy - odparł natychmiast Randulf.

Krut pokiwał w zamyśleniu głową i odwrócił się, zdążając z powrotem do kręgu narady. Gromosław zawołał szybko za nim:

- Wiesz, co zamierzają z nami zrobić?

- Ty kto?

- Gromosław, dowódca. - Właśnie nad tym debatują, ale złe, bardzo złe widoki dla was.

I nie mylił się. Gromosława i Czambora postanowiono poświęcić rytualnie Swarożycowi. Dzisiejszej nocy, dokładnie o północy. Tak nienawidzono Polaków wśród Redarów. Na nic protesty Kruta, że przecież Bolesław da za nich wielki okup. Rański wielmoża miotał się i przekonywał, tyle srebra na zmarnowanie, ale na nic. Redarowie nigdy nie puszczają żywcem Polaków za żaden okup. Nad Bernardem zastanawiano się dłużej, rozważano nawet możliwość oddania go w kajdanach Henrykowi. Ale przeważały głosy żądające śmierci saskiego rycerza. Podzieli zatem los Gromosława i Czambora. Jedynie życie Randulfa udało się wytargować Krutowi. Żercy odstąpili mu Randulfa w ramach zapłaty za pomoc Ranów na morzu. Nie tylko jego. Krut miał prawo wybrać spośród pojmanych w bitwie powstańców trzystu jeńców i zabrać ze sobą na targi niewolników na Rugii. Randulf pozostanie przywiązany do słupa do końca rytuału. Niech się przyjrzy, co spotyka wrogów podnoszących rękę na świętości Połabia.

Po naradzie wszyscy opuścili halę oprócz dwóch kapłanów rozsiadłych w kręgu, delektujących się trunkami. Sprawiali wrażenie mocno już podpitych, mamrotali coś niezrozumiale, bełkotali, pewnie zaraz padną pokotem.

Wpadające przez otwór w dachu promienie słoneczne wskazywały, że do wieczora jeszcze daleko. Stali przywiązani do pali, zatopieni w ponurych rozmyślaniach. O czym tu jeszcze rozważać? Żadnych widoków na ratunek, chyba tylko opatrność boska mogłaby ich wyrwać

z paszczy pogańskiej bestii. Myśli zmrożone wizją okrucieństw. Żal za odchodzącym tak młodo życiem, tyle jeszcze marzeń, oczekiwań, planów przed nimi. Wszystko przecięte niebawem, o północy. Randulf, współczując w duchu przyjaciółom, powstrzymywał się przed jakimikolwiek komentarzami.

Ciszę przerwał Czambor:

- Pogodziłem się w głębi duszy z Bogiem, obnażyłem swoje grzechy, prosząc o łaskę i przebaczenie. Na koniec jestem wam winien straszliwe wyznanie. Byliście mi zawsze najwierniejszymi przyjaciółmi, nie chcę stawać przed Sądem Bożym z poczuciem nieprawości wobec was.

Milczeli, każdy wyrwany z głębi własnych przemyśleń. „Zrywałeś potajemnie i zbierałeś w ukryciu ostrogi pokonanym po drodze wrogom?”, chciał spytać Randulf, powstrzymał się jednak w ostatnim momencie.

Czambor westchnął bardzo głęboko:

- To ja uwolniłem Stodora z więzienia. Wtedy w Kopaniku.

Wiadomość uderzyła w nich jak grom. Zanim ktokolwiek zdążył coś powiedzieć, Czambor, odetchnąwszy z wyczuwalną ulgą, opowiedział całą historię. Udając się do Polski wiosną 1015 roku po matkę Świętosławę, bracia Harald i Kanut wylądowali najpierw w Gdańsku. Pojawili się w otoczeniu orszaku złożonego z przybocznej drużyny królewskiej, duchownych i licznych wodzów z Jutlandii, Skanii i wysp duńskich. W tym kilku jarłów. Przybycie było długo zapowiadane, stąd zarządcy miasta Przypor

i Stęgniew zawiesili czasowo osobiste animozje i wspólnym wysiłkiem stanęli na wysokości zadania, przyjmując godnie królewskich gości. Jakby nie było, król Anglii Kanut i król Danii Harald byli siostrzeńcami Bolesława Chrobrego. Dzień po ich przybyciu do Gdańska nadjechał na czele trzystu ciężkozbrojnych jeźdźców Mieszko, by powitać kuzynów. Wspólne biesiady, hulanki i popijawy trwały dwa dni i dwie noce. Bawiła się cała ludność Gdańska, a i z okolic pojeżdżali co możniejsi. W końcu Harald i Kanut pod opieką i ochroną Mieszka podążyli w głąb Polski. Jednocześnie do Danii powróciła większa część wodzów i jarłów z wojownikami. I wydawało się, że następnego dnia gdańszczanie spokojnie powrócą do codziennych zajęć, gdyby nie... zniknięcie córki Stęgniewa imieniem Glabunka, siostry Czambora. A wraz z nią przynależnego jej posagu - wielkiej skrzyni wypełnionej kosztownościami - i oprócz tego części rodowych pamiątek. Stęgniew wpadł w niepohamowany szał. Podejrzewając w pierwszej kolejności Przypora o niecny czyn, postawił pod broń wojsko podgrodzia i podszedł po mury książęcej rezydencji, grożąc szturmem. Garnizon piastowskich tarczowników z głębi Polski stanął na palisadzie wałów, gotów do walki. Między nimi pojawił się Przypor, naigrawając się ze Stęgniewa. Że córki nie upilnował, że skarby stracił. Bitwa wisiała na włosku. Na szczęście przedtem, jak tylko sprawa wyszła na jaw, ludzie Stęgniewa powysyłali wokół umyślnych dla przepytania ludności. Właśnie na tę chwilę, na krótko przed bratobójczym

starciem, przybiegł ktoś z portu, donosząc, że Glabunkę porwał jakiś Duńczyk, któryś ze świty goszczących tu przez ostatnie dni Haralda i Kanuta. Kto? Nie wiadomo, zapewne jakiś jarl porwał Glabunkę i uciekł na morze trzema łodziami. To i skarby pewnie też ukradł. W jakim kierunku? Na północ, na zachód? Nie wiadomo. Stęgniew wysłał natychmiast najmłodszego syna Gniewosza, jedyne, który mu się jeszcze ostał na miejscu, z pilną misją do Bolesława. Niech skarży przed księciem i żąda zadośćuczynienia. Harald i Kanut mają wskazać winnego, przecież to któryś z ich poddanych. Poselstwo Gniewosza nie przyniosło pożądanego rezultatu. Harald i Kanut o niczym nie wiedzieli, z Gdańska do Danii powróciła większość ich poddanych, nie mieli pojęcia, który z nich mógł się poważnie na porwanie. Obiecali wprawdzie, że rozkażą rozpytać po wyspach, po Jutlandii i Skanii, ale za pomyślny wynik nie mogli ręczyć. No i czas. Zanim powrócą do kraju, zanim posłańcy dotrą do najdalszych zakątków królestwa, mogą upłynąć miesiące, jak nie lata. Poza tym do tego czasu wiele może się zmienić. Bolesław przesłał Stęgniewowi przez Gniewosza wyraźny rozkaz newszczyniania awantur ani z Przyporem, ani z Duńczykami. Jednocześnie przyrzekł, że gdy wojna z Niemcami dobiegnie końca, wyśle własnych zaufanych dla zbadania sprawy i, obojętnie, jaki będzie wynik końcowy całej afery, wynagrodzi Stęgniewowi osobiście i po królewsku straty i uszczerbek na honorze. W tym czasie cesarz ponownie zaatakował Polskę, a Stęgniew szalał dalej. Wysłał Gniewosza do Czambora

i Wisława, dowodzących pomorskim kontyngentem w zgrupowaniu Mieszka pod Krosnem. Czambor i Wisław zbledli na wieść o losie siostry i pewnie wpadliby w szal jak ojciec, tyle że akurat szykowała się bitwa z Niemcami i na prywaty nie było czasu. Gniewosz na odchodnym przekazał im rozkaz ojca. Rozkaz niczym święte przykazanie. Wojny wojnami, władcy władcami, niech spełniają obowiązek wobec ojczyzny, dopóty potrzeba, ale gdy tylko zyskają wolną rękę, mają natychmiast wszcząć wszelkie starania dla odzyskania Glabunki. I pomszczenia zniewagi rodowej na zapluty Duńczyku. Inaczej nie mają po co wracać do domu. A niech tylko ojciec się dowie, że nie dokładają starań, to sam zbierze całe Pomorze i ruszy na Danię. Zresztą już się rozochocił i wspomaga potajemnie gniazda słowiańskich chąśników na wyspach duńskich i zachęca do wzmożonych rozbojów.

Czambor przerwał na chwilę, dając czas przyjaciołom na przetrwanie dotychczasowej opowieści, po czym kontynuował. No a później to wiedzą, jak było, wspólnie przeszli piekło pod Krosnem, gdzie zginął Wisław, chwalebne zwycięstwo w Lesie Dziadoszan, odsiecz Kopanika, pojmanie Stodora. Pamiętają, jak rozmawiali ze Stodorem w Kopaniku? Kilka razy wspólnie, a później każdy z osobna udawał się do jego komnaty zamienionej na celę. Czambor zapytał go, czy zna się dobrze na duńskich sprawach, pamiętając, jak Stodor przedtem się chwalił, że dużo podróżował po Danii, że ma na wyspach swoich szpiegów. I tak od słowa do słowa porozumieli się. Stodor

przysięgł mu, że za uwolnienie zdobędzie wszystkie potrzebne informacje: imię jarła, który porwał Glabunkę, i nazwę wyspy czy też okręgu na stałym lądzie, którym zarządza. Mało tego, Stodor zapewnił, że regularnie będzie informował Czambora o postępie dochodzenia. Jak? Nieważne, Czambor ma mieć oczy i uszy otwarte, bez względu na przebieg powstania i innych wojen na Połabiu będą się do niego zgłaszać wysłannicy Stodora. Przysięgł nie tylko na psalterz, który Czambor potajemnie wypożyczył z komnaty umierającego Tęgobira, lecz także na sztandar Stodoranii. To przekonało Czambora, doprowadził więc do ucieczki Stodora z Kopanika, jednocześnie gorejąc wewnętrznie poczuciem zdrady i winy. Stodor faktycznie dotrzymał przysięgi. Czambor regularnie dostawał znaki od przypadkowych ludzi, że ma się stawić tu lub tam na spotkanie z wysłannikami Stodora. Po lasach, w ukrytych miejscach. Stąd jego kilkakrotne tajemne wyprawy, o które go nieraz wypytywali. Ludzie Stodora dowiedzieli się wszystkiego. Na krótko przed bitwą pod Ciemnymi Błotami wyjawili Czamborowi imię porywacza Glabunki: Halldórr, jarl na wyspie Ærø w Małym Bełcie, położonej niedaleko od Hedeby w Szlezwiku, na krańcu południowo-wschodniej Jutlandii. Zanim wybuchła bitwa, Stodor chciał mu jeszcze coś przekazać przez Lekuno, ale w zamieszaniu nie było już okazji. Czy to ważne? Czambor zdobył potrzebne informacje. Chciał po odzyskaniu włóczni wyruszyć na Ærø, zabić Halldórra i uwolnić siostrę z rąk rozbójnika. Teraz wszystko wzięło w łeb, wpadli w niewolę, o północy zginą



w mękach. Kto uwolni siostrę, kto wskaże ojcu, gdzie się znajduje?

Po tym pytaniu rzuconym w przestrzeń, Czambor zwrócił się niespodziewanie do Randulfa:

- A może ty? Przecież darują ci życie i kiedyś wykupisz się Rugii.

- Człowieku, czy wiesz, coś uczynił? - Bernard nie krył oburzenia. - Gdybyś nie uwolnił Stodora, to pewnie powstanie nie rozgorzałoby takim płomieniem trwającym ponad rok! Tyle ofiar, zniszczeń, nieszczęść! Toż to zwykła zdrada państwa, u nas cesarz obwiesiłby cię natychmiast jak zwykłego złoczyńcę, na miejscu, rodowy majątek i godności by odebrał.

- Myślisz, Benno, że nasz Bolesław - zaperzył się Gromosław - łagodniejszy od Henryka? Wszystkich by ukarał, co do kompanii Czambora w Kopaniku należeli. Wszystkich!

- Podniecacie się jak raczki w kipieli - Randulf wziął Czambora w obronę. - Też bym tak postąpił, dzielny ten pomorski wielkolud, a do tego z fantazją. Masz, Czamborze, moją dozgonną przyjaźń... - Po chwili refleksji dodał: - ... No, do północy, ale ułożę o tobie epos rycerski, przysięgam.

- Odezwał się ten, co sam cudów w Italii nawywijał - Bernard nie krył oburzenia, ciskając się przy pału w więzach. - Księstwa niemal do wojny sprowadziłeś, za babami się uganiając, ty... ty... gadać tylko słodko umiesz.

- Pojedziesz do ojca - Czambor spojrzał z nadzieją na Randulfa - i opowiesz?

- Zaraz, powoli - rozkazał Gromosław. - Kłótnią nic nie zaradzimy. Dajcie mi się zastanowić i zamknijcie na ten czas gęby. - Po jakimś czasie podjął opanowanym głosem: - Spójrzmy na to tak: nie wiadomo, co pisał Bolesław Stodorowi w pismach, które wieźliśmy. Nasz władca to wielki polityk, na pewno starałby się wykorzystać Stodora dla własnych celów, a już wojna domowa wewnątrz federacji Lutyków była Polsce na rękę. Gdyby Czambor nie uwolnił Stodora, to i tak Bolesław by go wypuścił, znaczy napuścił na żerców. To jedno. Po drugie, Czambor jest moim najbliższym, najwierniejszym przyjacielem. Oczywiście wy - tu zwrócił się do Bernarda i Randulfa - też, bez dwóch zdań, ale Czambor to poza tym mój rodak, Polak, wiąże nas dodatkowo miłość do wspólnej ojczyzny. Postępek jego karygodny na pierwszy rzut oka, choć patrząc na chłodno, nie zdradził Polski. Zawiódł jedynie nasze zaufanie i od nas jako przyjaciół zależy, czy mu wybaczymy. Ja wybaczam. Mało, że wybaczam, przyrzekam, że nigdy nikomu nie zdradzę jego postępków. Co wy na to? Na oddech starego odyńca, gdyby mi Matyldę porwano, to też bym nie ręczył za siebie...

Bernard wahał się, wahał i w końcu wyrzekł uroczyście:

- Ja też przyrzekam, od dzisiaj to nasza wspólna tajemnica. A ty, Randulf?

Randulf kręcił głową z udawanym niedowierzaniem.

- Jakie przyrzeczenia? Przecież wam zostało jeszcze tylko parę godzin. Mam się śmiać czy płakać nad wami? Nie

lepiej pogłówkować, jak wyrwać się z matni? Dobra, dobra, mogę przyrzec, szkoda, bo pomysł na epos wyśmienity.

- Wyrwać, ha! - zaperzył się Gromosław. - Zębami więzów nie sięgnę, to jak wyrwać? Myślałem, żeby tych dwóch kapłanów zagadać, srebra obiecać, ale spójrzcie na nich. Leżą jak wory, wywarów jakichś grzybowych się opili lub nawąchali, oczy wywrócone, gęby zidiociałe, oni w innym, innym świecie. A może...

Raptem zamilkł. Ktoś wszedł do hali i zbliżał się od tyłu. Po chwili stanął przed nimi Krut i zagadał:

- Pogadamy o zapłacie?

- O zapłacie? - odparł zdziwiony Gromosław.

- O sutej, bardzo sutej zapłacie - oznajmił Krut z uśmiechem. Wyjął z zanadru srebrny łańcuszek Srogosza z dyndającą nań bojową piszczałką i pomachał im przed oczyma:

- Poznajecie?

- Na Boga jedyne, piszczała Srogosza! - wyrwało się Czamborowi.

- Ano Srogosza.

Znaczy, Wojomir też żyw. Wypełnili skrupulatnie polecenie Gromosława. Dotarli do skarpy nadrzecznej i pozakopywali wszelkie dobro pod białymi kamieniami. A w jukach było tego sporo: krucyfiks z masywnego złota i worek srebra od Bolesława na utargi z biskupem Thietmarem w Merseburgu, również od Bolesława kolejny worek srebra z przeznaczeniem na wydatki związane z wypełnieniem misji oraz osobiste dobra członków grupy.

Worki, juki, sakiewki. Po zabezpieczeniu wszystkiego, oprócz krucyfiks i garści srebra, które Wojomir wolał mieć pod ręką, rozpuścili juczne konie i pocwałowali w lasy. W ostatniej chwili. Gdy już znikali między drzewami, dojrzeliby jeszcze, jak rzekę forsuje na przywleczonych łodziach armia Pomorzan. W lesie natknęli się na trzech pałętających się Lutyków. Wojomir wypuścił dwie strzały, Srogosz rzucił toporkiem. Trzy trupy. Przebrali się w zbroje Lutyków i ruszyli lasami w pobliże miejsca bitwy. Widzieli końcowy etap boju, masakrę powstańców i jak na grupę Gromosława zarzucono sieć. Jak ich wleczono na wozie w stronę Radogoszczy. Podążali cały czas w ukryciu. Później, już pod samą Radogoszczą, Wojomir powziął decyzję. Zna język, zna obyczaje, Połabie to jego kraj. W lutyckim przebraniu zszedł do obozu wojowników, pomiędzy tysiące namiotów. Szukał Ranów, wiedział, że oni do wszystkiego zdolni za odpowiednią zapłatą. Tak było zawsze i nic się nie zmieniło od czasów bitwy nad rzeką Reknica. Odnalazł Kruta i przedstawił propozycję. Było to niebotyczne wynagrodzenie za uwolnienie Gromosława, Bernarda, Czambora i Randulfa. Na dobry początek, na zachętę, przekazał wodzowi Ranów złoty krucyfiks. Podziałało. Krut zdębiał na widok krzyża, rańska dusza stopniała. Topniała coraz bardziej, w miarę jak Wojomir zagłębiał się w szczegóły. Za uwolnienie przyjaciół otrzyma tyle dobra, w samym srebrze, złocie i kosztownościach, że będzie musiał od Duńczyków długi okręt wojenny wypożyczyć, by to wszystko przetransportować na wyspę.

Doszli do porozumienia. Krut naprędce obmyślił plan i pokrótce im teraz przedstawił. Do północy jeszcze ponad sześć godzin. Pierwsze dni października, niebawem pocznie zapadać zmrok. Na zewnątrz wszyscy wojownicy federacji, podzieliwszy uprzednio zdobycze bitewne, chleją na umór, większość już teraz leży pokotem. Podobnie kapłani, z Pakoszem na czele. Po tym, jak ogłosili na wielkim wiecu wyroki bogów, przyłączyli się do świętowania. Dopiero przed północą przyjdą tutaj dla odprawienia na nich rytualnego mordy. A zatem sprzyjające okoliczności.

- Udawajcie jeszcze czas jakiś, że niby nadal stoicie przywiązani do pali - objaśniał wódz Ranów. - Niebawem, gdy się pocznie ściemniać, przyjdzie sześciu moich ludzi. Przewodzi nimi Turgel, doświadczony rański wojownik, mój zaufany. Wyprowadzą was bezpiecznie ze świątyni nad brzeg, gdzie czekają dwa statki transportowe. Popłyniecie wszyscy razem na północny kraniec jeziora. Tam w lasach czekają na was Wojomir i Srogosz z końmi. Pognacie na północny zachód nieuczęszczanymi drogami, lecz znanymi moim ludziom. Wtedy będziecie już prawie poza zagrożeniem, ci tutaj dopiero wtedy zauważą wasze zniknięcie. Po kilku godzinach przekroczycie granicę Czrezipienian i znajdziecie się u Chyżan. Po następnych kilku dniach dotrzecie do niewielkiego portu Barta. Czekają tam na was dwa moje statki, którymi pożeglujecie na Rugię. Tam otoczmy was czujną opieką. W tym czasie Wojomir uda się z moimi ludźmi we wskazane miejsce, niedaleko pola bitwy pod Ciemnymi Bagnami, i wykopie wasze skarby,

moją zapłatę za wasze uwolnienie. Dopiero wtedy, jeżeli wszystko przebiegnie pomyślnie, załadujecie się na jakiś statek handlowy zdążający do Gdańska. Jakieś pytania?

Czambor ubiegł wszystkich: - Z Rugii to już sami płynicie do Gdańska. Ja do domu nie wrócę bez Głabunki.

Rozgadali się jeden przez drugiego, ignorując uwagę Czambora.

Gromosław do Kruta: - Lutycy pomiarkują, żeś nam pomógł, wiedzą przecież, że masz pod sobą setkę ludzi, a sześciu będzie brakować.

Krut: - Nic nie pomiarkują, cały czas wysyłam podjazdy za różnymi sprawami, transport tysiąca jeńców to skomplikowane zadanie. A zresztą, bo zapomniałem dodać, całość jest tak zorganizowana, jakby to Obodrycy was uwolnili. Porzucone przebrania, umiejętnie podstawione zguby, zeznania moich ludzi, że widzieli Obodrytów po lasach. O wszystkim pomyślałem.

Bernard: - A nasze zbroje i broń?

Krut: - Już zabezpieczone.

Bernard: - Głowę Maurycego też musimy zabrać ze sobą. Cenna rzecz, może nam jeszcze pożytku przynieść.

Gromosław: - Masz rację. Kto wie, kto wie...

Czambor: - Wody na Bałtyku o tej porze mogą być skute lodem.

Krut: - Może pod Gdańskiem, ale wokół Rugii żeglujemy aż do ostrej zimy, nawet między płatami lodu. Nawet na wyspy duńskie za zdobyczą wypływamy.

Randulf: - Brać z tej świątyni, ile się da, nawet sobie sprawy nie zdajecie, jakie tutaj unikalne skarby.

Czambor: - Swarżycowi łeb odetniemy. Tym dwóm kapłanom trzeba gardła poderżnąć.

Gromosław: - Najważniejsza włócznia! I głowa Maurycego, Bernard ma rację.

Bernard: - Pomyśleliście o sztandarze Stodoranii? Stoi tam pomiędzy innymi.

Gromosław: - Sztandar też.

Randulf: - Krut, ile byś wziął za uwolnienie jeszcze jednej osoby?

Krut z zainteresowaniem: - Jakiej osoby?

Randulf: - Wojowniczką od Wkrzanów. Na imię ma Radanka, widziałem ją wśród jeńców.

Krut: - A ile byś dał?

Randulf: - Dwie wielkie jak pół dłoni ciężkie monety. Złote.

Krut: - Złote, powiadasz? A gdzie je masz?

Randulf: - Cięższe od dyndającego ci na uchu koła. Czyste złoto. Prawdziwe bizantyjskie monety z wizerunkiem cesarza.

Krut: - Pokaż.

Randulf: - Dostaniesz, jak uwolnisz Radankę i dołączysz do naszej grupy.

Krut: - Gdzie schowałeś? W dupie? Przecież masz tylko koszulę na sobie.

Randulf: - Przeprowadzisz Radankę i nasz dobytek, co mieliśmy podczas bitwy, dostaniesz i złoto.

Krut uparł się jednak, że chce otrzymać złoto natychmiast. Randulf nie wiedział już, jak mu wyjaśnić, że najpierw musi sięgnąć w swoje rzeczy. W końcu Krut zrozumiał, ale w swym zaparciu nie popuścił. „Najpierw przyniosę ci twoje rzeczy i dasz mi monety, a wszystko inne dopiero potem.” I zniknął. Zdenerwowani przyjaciele naskoczyli na Randulfa.

- Oszalałeś? A jak go teraz Lutyki złapią przy podbieraniu twojego tobołka? Cały nasz ratunek z powodu jakiejś baby? Na szczęście Krut pojawił się ponownie i rzucił Randulfowi pod nogi jego dobytek.

- Gdzie? - zapytał.

- W kołnierzu kaftana, jedna po prawej, druga po lewej stronie.

Krut rozpruł kołnierz, wysupłał monety, oniemiawszy chwilowo na ich widok.

- Wojownicza twoja - wyrzekł tylko. Opuścił świątynię, by „wydać dyspozycje w sprawie Radanki”, jak się wyraził z dziwną ironią w głosie, i przysłać Turgula dla ich uwolnienia.

Randulfowi poprawił się nastrój:

- Czambor - zapytał - twoja siostra, Głabunka, to ładna? Na pewno ładna, brzydkiej by nie porywano - odpowiedział sobie sam.

Czambor się odgryzł, aczkolwiek z opóźnieniem:

- Jeżeli ta Radanka poganką, nie wpuszczę na statek. Po odejściu Kruta ogarnęła ich euforia. Teraz wszystko obróci



się na dobre. Uratują życie, uniosą włócznię. W podnieceniu czekali na wybawienie w postaci Turgela.

Turgel nadszedł z pięcioma rańskimi wojownikami. Wszyscy wyciągnęli noże, patrząc na nich dziwnym wzrokiem. Gromosław wyczuł, że coś się nie zgadza. - Na co czekacie, przecinajcie nam więzy. Otrzymacie przecież dobra obiecane przez Srogosza, jak tylko dotrzemy do statków, z Krutem, waszym wodzem, wszystko ustalone.

Ranowie rozglądali się z zaciekawieniem po wnętrzu świątyni.

- Krut nie jest naszym wodzem - rzekł Turgel. - To zwykły bogaty kupiec, który przywiózł nas z wyspy na własny koszt i przewodzi naszej delegacji w imieniu Dunmara, księcia na Rugii - skończywszy, wskazał jednemu ze swych ludzi na pogrążonych w ekstazie kapłanów. - Rżnij.

Wojownik schylił się i przeciął nożem gardła nieświadomym niczego nieszczęśnikom. Gromosław i przyjaciele zaniemówili. Zaniemówienie spotęgowało się, gdy stojący dotąd z tyłu w cieniu dwaj Ranowie rzucili na ziemię ciało... Kruta i wetknęli trupowi do ręki nóż, którym zabito kapłanów. Uwiązani przy palach zdrętwieli w przerażeniu, niezdolni do żadnej reakcji.

Turgel obserwował z niekrytym rozbawieniem ich reakcję.

- Krut to idiota i szelma - rzekł. - Zamierzał pobrać od was opłatę za uwolnienie, a nas puścić z gołymi rękoma. To

sobie sami weźmiemy zapłatę. Skarbów tu nabranych starczy nam na całe życie.

- Ale przecież my ci zapłacimy, tak jak przyrzekliśmy Krutowi - wystękał Gromosław.

- O nie, nie. To nie pasuje do naszego planu - zaprzeczył Turgel, nadal w wesołym nastroju. - Niech się wami przekłete Lutyki nacieszą. My mamy zadanie do spełnienia, zleczone przez samą Arkonę.

- Ale, ale... - nie ustępował Gromosław - po co te mordy, i na kapłanach, i na Krucie...

- Wina spadnie na niego, znajdą go z nożem w ręku. Zanim się opamiętają, będziemy już daleko w drodze.

- Uciekacie jego statkami? - spytał podchwytliwie Randulf, odzyskujący powoli trzeźwość umysłu.

- Statkami? Jednym statkiem. Drugi statek Kruta uszkodziliśmy, a na brzegu wokół rozrzučiliśmy trupy z jego świty. Niech się Lutyki płaczą w domysłach.

Tymczasem Ranowie kończyli pakowanie do przytaszczonych worów rozłożonych wokół dóbr. Srebro, złoto i drogocenne wyroby. Ze Swarozycyca i pozostałych bóstw pozdzierali kosztowności i uzbrojenie. Zapakowali również włócznię św. Maurycego, ale chyba tylko dlatego, że ostrze świeciło owiniętą wokół złotą blachą. Głowę Maurycego zostawili w spokoju, jeden z nich zaważył jej ciężar w ręku, pośmiał się, splunął nań i rzucił na ziemię. Gdy obwieszeni worami opuszczali świątynię, Turgel rzekł na odchodnym:

- Powodzenia w tych waszych pozaziemskich światach, jak już was umęczą i poświęcą. - I zniknęli.

- Wojomir miał rację - przerwał zastygłą ciszę Bernard.

- Połabianie wyrzną się nawzajem, zanim my albo wy, Polacy, zdążymy ich ujarzmić. Złodzieje, bandyci, mordercy, jeden drugiemu oczy wydlubie za krztynę srebra.

- Poganie! - Czambor nie krył pogardy.

- Kozie gówno, a nie poganie - zaprzeczył mu Randulf. - Co to ma z wiarą wspólnego? Srebrem każdego przekupisz. Pomyślcie lepiej, co z nami. Lutyki się wściekną, jak tu nadejdą, teraz to nawet mnie upieką na ogniu.

Zamilkli.

Ratunek nadszedł niespodziewanie. W półmroku migoczących żagwi w świątyni zamajaczyła jakaś postać. Poruszała się zwinnie, z gracją. Gdy stanęła przed nimi, osłupieli ze zdziwienia. Radanka. Po przecięciu więzów zarzucili ją chaotycznymi pytaniami. Wojowniczką objęła oniemiałego Randulfa, pocałowała z czułością i poczęła wyjaśniać. Należała do trzystu jeńców, których Ranowie mieli zabrać na Rugię. Krut po przyjęciu monet od Randulfa przyszedł do zagrodzenia, gdzie ich trzymano, zdjął jej dyby, wręczył oręż, oznajmił, że jest wolna, i wtajemniczył w plan uwolnienia grupy Gromosława. „Zarobiłem na tobie dwadzieścia razy więcej niż na targu niewolników w Ralswiku”, rzekł, gdy podążali wspólnie w stronę przygotowanych do ucieczki statków. „Mógł twój wielbiciel poczekać, aż dowieziemy transport na Rugię”, ciągnął dalej Krut z satysfakcją, „toby zapłacił jedynie trzysta sztuk

srebra”. Doszli do niewielkiej przystani, gdzie czekały dwa statki oraz Turgel z pięcioma wojownikami. W Radance obudziły się sygnały ostrzegawcze, gdyż jeden statek sprawiał wrażenie uszkodzonego. Ranowie przywitani ich z ponurymi minami. Gdy Krut odezwał się słowami: „Idźcie do świątyni i uwolnijcie tych Polaków i resztę...”, stojący za nim wojownik wbił mu oszczep w plecy. Krut ostatnim spojrzeniem odchodzącej świadomości wpatrywał się w wychodzące mu z piersi zakrwawione ostrze. Radanka w okamgnieniu skoczyła w pobliskie gęste chaszczki porastające brzeg i zniknęła między drzewami. „Zostawcie ją”, usłyszała jeszcze za plecami głos Turgela, a potem jeszcze: „Rozłóżcie tutaj kilka trupów i szybko do świątyni ogałać Swaróżyca ze skarbów!”. „No i jestem”, zakończyła zwięźle Radanka, „bierzcie, co wasze, i szybko nad wodę, zanim się Lutyki połapią. Musimy znaleźć jakieś łodzie”.

Błyskawicznie zebrali odebrany im dobytek złożony w pomieszczeniu za parawanami: Bernard upchał głowę Maurycego do wora, Gromosław zaś zwinął i zabrał wielki sztandar Stodoranii, który u złodziei Turgela nie wzbudził żadnego zainteresowania. „Płaszcz z cesarskimi barwami też macie?”, pytał dla pewności Gromosław. „Mamy wszystko”, zameldował Czambor. Gdy zmrok przygaszał ostatnie tchnienia dziennej światłości, dotarli wąską ścieżką do brzegu wyspy. Zastali zniszczony jeden statek Kruta, walające się wokół trupy kilkunastu Ranów i Obodrytów. Dzieło Turgela. Czas jakiś zajęło im znalezienie łodzi,

niewielkiej, płaskodennej. Miał rację Wojomir, rozmyślał Gromosław, napierając z wytężeniem na wiosło, stracone to Połabie, jedni drugich okradają, nawzajem się mordują, żadnej jedności. Lutyki i Ranowie niby sprzymierzeni. Tak to jest, jak nie ma jedności pomiędzy plemionami, ludy bez władców silnych i mądrych. Do różnych bożków czarcich się modlą, wróżby uprawiają, tfu, o sprawach wielkiej wagi decydują. Na przekupstwa wrogów łasi, do zdrady ochotni. Stracą ziemię, wolność, na koniec zapomną, kim byli. A tacy waleczni i dumni, tak długie tradycje. Zniewolą ich Niemcy albo przyłączy Bolesław do Polski. Miał rację Wojomir, oj miał. Boże najwyższy w niebiosach, opatrności święte, uchronicie nasz kraj przed takim upodleniem!

Zabrali głowę Maurycego i wielki sztandar Stodoranii, zabrali dobytek i oręż. Uratowali życie, przynajmniej na razie. Ale nie odzyskali włóczni św. Maurycego. Wiosłowali zawzięcie byle jak najszybciej i jak najdalej od stolicy Redarów. Byle jak najszybciej dorwać tego złodzieja, Turgela.

Noc była jasna, księżyc niczym wielki krąg żółtego sera wisiał im nad głowami. Niedobrze, zbyt wystawieni na wodzie na widok, zbyt łatwy łup dla pogoni. A do przebycia długa trasa, jezioro bardzo długie. W końcu Lutyicy się połapią, któryś z nich wejdzie do świątyni albo zaczną szukać któregoś z zabitych kapłanów, albo przypadkowo natkną się na jatkę nad brzegiem. Najpóźniej nad ranem wyślą za nimi całą armię. Jeżeli już nie wysłali.

Wiosłowali chyba całą noc. Po prawej stronie na wschodzie, nad koroną lasów, pojawiło się już pierwsze mgnienie porannej zorzy. Wtedy Czambor dojrzał sunące za nimi trzy lutyckie okręty. Grupa Gromosława nacisnęła z jeszcze większym natężeniem na wiosła. Sytuacja wydawała się beznadziejna. Trzy duże okręty zbliżały się szybko w pogoni za niewielką łodzią. Jednocześnie zauważyli północny kraniec jeziora. Szuwary i zieliska wychodziły bardzo daleko w wodę. Lutycy zaczęli strzelać do nich z łuków. Pierwsze strzały padały za nimi niemal na wyciągnięcie ręki. „Radanka!”, rozkazał Gromosław, „Na tył łodzi, po tarczy w każdą rękę i osłaniaj nas przed ostrzałem!”. Radanka usadowiła się, jak jej nakazano. Jedna strzała ugrzęzła już ze świstem w tarczy. „Wiosłujcie, ile wlezie!”, zakrzyknęła raptem Radanka, która miała chyba najlepszy wzrok z nich wszystkich, „Zaraz płycizny!”. Płytkie rozlewisko, szerokie na całą północną końcówkę jeziora i długie niemal na trzy staje. To była dla nich szansa, stosunkowo niewielka łódź pewnie przejdzie, lecz ścigające ich głęboko zanurzone okręty muszą utknąć. Dotarli już na rozlewisko, dno łodzi szurało niemal po dnie. Tymczasem Lutycy, dopadłszy ich niemal na rzut oszczepem, nieopatrznie manewrując, poosiadali na mieliznach. Na nic wiosła. Natychmiast powyskakiwali ze statków na płycizny, próbując siłą rąk poprzeciągać jednostki na głębsze wody.

Zostawili ich daleko w tyle, na mieliznach, i dotarli w końcu do upragnionego brzegu, gdzie oczekiwali na nich Wojomir i Srogosz z końmi. Na rozlewne powitania

i czułości nie było czasu, musieli gnać dalej. Srogosz, wysłużony piastowski weteran, niemal pękł ze wściekłości, gdy mu zrelacjonowali przebieg wydarzeń. Co do jednego wszyscy byli zgodni – obojętnie jak, muszą dostać się na Rugię w pogoni za włóczęgą.

---

\* *Schnauze du Idiot* (niem.) – Zamknij się, idioto.

## VIII

# *Charenza*

Gdy nadeszła północ, znajdowali się już w połowie drogi do Dymina. Jak dotychczas nie natknęli się na ślad Turgela. Albo uciekał inną trasą, albo był tak sprytny. Aczkolwiek, jak zauważył Bernard, Turgel nie miał prawa spodziewać się, że uciekną cało z Radogoszczy i rzucą się za nim w pogoń. Po następnych trzech dniach i nocach dotarli do nadmorskiej osady Barta albo Bardo – jak ją niektórzy zwa, średniej wielkości grodu otoczonego wałem, z portem i podgrodzem. Przedtem wdziali cesarskie narzuty i ustalili, że udają grupę saskiego posłannictwa na Rugię. Bernard jest dowódcą, grafem z marchii miśnieńskiej, oni jego wasalnymi poddanymi. Radanka jest służebną wojowniczką Randulfa, którą kiedyś zdobył na Połabiu. A Randulf? Ma pozostać przy swojej prawdziwej tożsamości, bez dodawania, że służy teraz u Polaków.

W porcie i na podgrodziu panował ożywiony ruch, wiadomo, jak to nad Bałtykiem. Kupcy i handlarze różnych nacji, warsztaty rzemieślnicze, niewielki targ niewolników. Oficjalnie Barta należała do Chyżan. Bliskość Rugii, której południowo-zachodnie krańce majaczyły na morskim



horyzoncie, oraz słabnący w Barcie wpływ Radogoszczy spowodowały, że miasto przechodziło pod coraz silniejszą kontrolę Ranów. Dary i daniny wysyłano nie do Swarozycy, lecz do świątyni Świątowita na Arkonie, czy nawet do pomniejszych bogów: Rugiewita, Porewita i Porenuta w Charenzie. W grodzie stacjonował mieszany, chyżańsko-rański garnizon pod dowództwem namiestnika mianowanego przez księcia Rugii. W panującej obecnie na Połabiu sytuacji politycznej uzbrojeni Polacy czy Niemcy nie mieliby tutaj wstępu, na szczęście podrobiony glejt cesarski zapewnił Gromosławowi i jego ludziom nietykalność. „Barta? Co to za nazwa?“, zdziwił się Gromosław. „*Małe Wzniesienie*, w miejscowym narzeczu“, wyjaśnił Wojomir. Gdy tylko znaleźli kwatery na nocleg, Gromosław wysłał opłaconego umyślnego najkrótszą drogą przez Połabie do Kopanika z zadaniem przekazania krótkiego pisma napisanego naprędce przez Randulfa: że udają się na Rugię w pogoni za włóczęgami.

Wieczorem zaszli do przytulnej karczmy stykającej od wewnątrz wałów grodu. Przy sąsiedniej ławie raczył się piwem znaczny rański wielmoża w otoczeniu kilku wojowników. Od słowa do słowa, na skutek obopólnej ciekawości nawiązali z nimi przyjazną konwersację. Wielmoża imieniem Dobięgniew znajdował się w drodze do obodryckich Liubic z poselstwem od rańskiego księcia do Mścislawa. Gromosławowi nie pozostało nic innego, jak skłamać, podając, że są w drodze na Rugię z misją od cesarza. Misji przewodzi Bernard, graf z marchii

miśnieńskiej. Siebie samego zaś i pozostałych przedstawił pod fałszywymi imionami. Dobiegnew się zdziwił:

- Sasaki graf z Polakami i Połabianami?

- W marchii wiele służebnego rycerstwa z Polski, z Połabia - usłyszał w odpowiedzi.

- Udajecie się do kapłanów na Arkonie czy do księcia Dunmara w Charenzie? - zapytał Dobiegnew.

- Do Charenzy, oczywiście - odpowiedział Gromosław. - My chrześcijanie przecież, na cóż nam do Arkony.

- Nie dziw się, że pytam - wyjaśnił Dobiegnew. - Do Arkony ostatnimi czasy posłańcy z różnych chrześcijańskich krajów zachodzą, na przykład z Danii. Nasi kapłani wysłali nawet mędrców do Rzymu na dysputę na zaproszenie samego papieża.

- Bajki. Nie ma dysput między wiernymi a pogaństwem - zaperzył się Czambor.

- Tak myślisz? - Dobiegnew ociągał słowa. - Sprawy bogów lepiej mędrcom duchownym pozostawić, którzy z nimi w komunikacji.

- Bóg jest tylko jeden... - nie ustępował Czambor.

- I chwała mu... - zakończył za niego Gromosław, jednocześnie zmieniając umiejętnie temat: - Do Mścislawa powiadasz, Dobiegnewie? Chcecie z Obodrytami pokój zawrzeć?

- Nie zapędzaj się, Polaku, na saskiej służbie - roześmiał się Dobiegnew. - Czy ja was rozpytuję o wasze tajemnicze poselstwa?

Tym razem to Bernard zmienił kierunek rozmowy:

- Obyty jesteś w dyplomacji, Dobiegniewie, pewnie dużo podróżujesz. Jakie są najnowsze wieści z Niemiec i Polski, bo my od miesięcy w misjach po dzikim Połabiu się tułamy.

- Ciężkie macie zadanie - odpowiedział Dobiegniew z nieskrywaną lekką ironią. - Od miesięcy na Połabiu... no cóż, hm. O samym Połabiu nie muszę wam mówić, utopione we krwi, rozdarte, federacja wygrała i teraz liże rany. Natomiast Polska, Niemcy... niewiele się zmieniło, wojna trwa nadal, chociaż działania z obu stron zawieszono. Na razie. Zapewne późną wiosną lub wczesnym latem walka rozgorzeje od nowa.

- Co na Rusi Kijowskiej?

- Na Rusi? Wieści mam najświeższe, ostatnimi czasy kupcy z Nowogrodu zwanego Wielkim często na Rugię z towarami nadpływają. Podbudowany poparciem poddanych i wzmocnieniem sił zbrojnych Jarosław ruszył w pole na czele około czterech tysięcy ruskich wojowników zebranych w Nowogrodzie Wielkim i grodach północnej Rusi oraz około jednego tysiąca Waregów. Światopełk wyruszył mu naprzeciw na czele kilkutysięcznej armii złożonej z wojsk Rusi południowej i kontyngentów Pieczyngów. Do spotkania obu armii doszło pod koniec sierpnia 1016 roku pod grodem Lubecz nad Dnieprem, w odległości stu kilkunastu kilometrów na północ od Kijowa. Siły były wyrównane liczebnie, kierowani ostrożnością bracia nie palili się do otwarcia bitwy. Przez ponad dwa miesiące częstowano się jedynie wyzwiskami rzucanymi przez rzekę. Przed niecałymi dwoma tygodniami

wody poczęły z lekka przymarzać. Wtedy Jarosław zdecydował się na atak. Przeprowadził wojsko przez rzekę, nacierając na obóz Światopełka rozłożony pomiędzy dwoma skutymi cienkim lodem jeziorami. Wywiązała się zacięta bitwa. Na nieszczęście dla władcy Kijowa posiłkujący go Pieczyngowie rozłożyli się obozem po drugiej stronie któregoś z jezior i ze względu na niepewny lód nie byli w stanie przyjść mu z pomocą. Podczas bitwy oddziały Jarosława poczęły spychać przeciwnika na jedno z tych jezior, lód począł pękać i bitewna jątka urozmaicona została masowym znikaniem pod wodą Światopełkowych wojowników. Zwycięstwo Nowogrodzian było kompletne, sam Światopełk ledwo uszedł z życiem z pola bitwy. Umknął do Kijowa. Zlecił żonie Wierzysławie, córce waszego Bolesława, obronę miasta, sam zaś udał się do Polski pewnie dla zebrania nowych sił. To wszystko, co wiem. Aha, nasi szpiedzy donoszą, że cesarz niemiecki ponownie wszedł z Jarosławem w potajemne konszachty, widząc w nim cennego sprzymierzeńca przeciwko Polsce.

Później rozmowa spełzła na tematy Rugii i tutejszego regionu. Dobiegniew rzucił od niechcienia, że Ranowie zerwali układ z Lutykami, zawarty zresztą wyłącznie na czas zwalczania powstańców. Dyskutowali do późnej nocy, dopóty Gromosław nie zagnał swoich na spoczynek. Będąc już na kwaterach, zagadał jeszcze Bernarda:

- Co sądzisz o tym, Benno? Niedobrze, co? Od wschodu Ruś Kijowska w pogoni za Światopełkiem, mogą wkroczyć w nasze granice. Jeżeli Henryk zawrze z nimi ponownie

pakt i zaatakuje nas jednocześnie od zachodu... – dalej nie kończył, czekając na reakcję Saksończyka.

– Do tego Lutycy – rzekł po namyśle Bernard. – Zdławili opozycję, mogą znowu wojska na zewnątrz wyprowadzić. Z cesarzem paktu oficjalnie nie zerwali. Nie zapomnij również o Wolinianach. I Czechach.

– Bolesław sam – zastanawiał się Gromosław. – A my mu nawet jeszcze tej włóczni nie odzyskaliśmy, nie mówiąc już o dowiezieniu jej Bolesławowi.

– Przestań – zaprotestował Bernard – nie bądź dzieckiem. Włócznia to tylko symbol, polityki i bitew nie rozstrzygnie.

Zebrawszy na nowo siły, świtaniem drugiego listopada 1016 roku załadowali się wraz z innymi handlarzami na jeden z kilku statków kupieckich odpływających grupą w kierunku Rugii do portu Ralswiek w towarzystwie eskortujących ich dla bezpieczeństwa rańskich okrętów pod czarnymi żaglami. Faktycznie, Krut miał rację, pomimo wczesnozimowej pory Bałtyk w tym rejonie nadal nadawał się do żeglugi.

\* \* \*

Na pełne zdziwienia pytania, dlaczego nie pokonają wąskiego przesmyku między wyspą a stałym lądem, a następnie koźmi do Charenzy, sternik wyjaśnił, że najwyraźniej nie znają ani terenu Rugii, ani jej wód przybrzeżnych. Wyspa jest bardzo silnie rozczłonkowana, z licznymi zatokami i lagunami, kilkoma półwyspami

posiadającymi własne półwyspy, cyplami, szeregiem wysepek wokół, poorana mierzejami, cieśninami, przesmykami i wcięciami morskich zatok. Od lądu na południu przedzielona jest wąską cieśniną Strela, którą Polacy nazywają Strzała. Wyspa pokryta jest bujnymi lasami, bagnami, polami uprawnymi, gęstą siecią rzeczek, jezior, niezliczonych strumieni, urozmaicona bogato falującymi wzniesieniami. Jednym słowem, jazda koniem oznacza mozolne pokonywanie wielu przeszkód, które utrudniają szybkie poruszanie się. Droga lądem od portu na południu wyspy do Charenzy potrwałaby wiele dni. Dlatego popłyną morzem do Ralswieku. Trasa morska wiedzie najpierw na północ, wąskim gardłem wodnym pomiędzy długą i powyginaną jak wąż wyspą Chycina po zachodniej stronie a wybrzeżem Rugii po wschodniej stronie. Następnie wąskim przesmykiem przedzielającym półwyspy Zabrodzie i Bug wpłyną na zatokę Miedowską. Okręty bojowe pozostaną na patrolu przed przesmykiem. Z zatoki Miedowskiej wpłyną do zatoki Jasmundzkiej rozczłonkowanej na wiele pomniejszych zatok, która oddziela półwyspy Witowski i Jasmundzki od centralnej części wyspy. W zatoce Jasmundzkiej, jeżeli złożą dodatkową opłatę, to sternik zrobi odstęp od kursu i poprowadzi ich do południowego krańca zatoki Brzeg, gdzie wysiądą na ląd, a statek popłynie dalej do Ralswieku. Stamtąd będą mieli już niecałe półtora stajania końmi do Charenzy.

Podróż potrwała niemal cały dzień. Po drodze sternik objaśniał im mijane widoki. Te po prawej stronie brzegu Rugii fascynowały bogactwem rzeźby terenu. Linia brzegowa nieustannie pofalowana, upstrzona niezliczonymi większymi i mniejszymi zatoczkami, na przemian lasy, pola uprawne, pastwiska. W zatoczkach osady rybackie, gdzieś tam zacumowane okręty rańskich patroli. Na pastwiskach stada bydła i owiec. Kraj sprawiał wrażenie urodzajnego i bogatego.

- A na tej wyspie nie macie żadnych osad? - spytał Gromosław sternika, wskazując ręką na Chycinę po lewej stronie.

- Przecież to wąska łacha piachu, tyle że długa i powyginana - odparł sternik. - Nic tam zasiać, owiec nie wypędzisz na karmę, żadne domostwo się nie utrzyma. Jedynie Duńczycy, bandyci przekłęci, używają Chyciny jako bazy wypadowej, gdy nas napadają.

- Dlaczego używają Chyciny? - dopytywał zaciekawiony Gromosław. - Przecież mogą Rugię atakować z każdej strony, toż to wyspa.

- Ha, ha, ha, - zaśmiał się sternik - widać, żeście nietutejsi. Od północy i wschodu wyspa jest całkowicie niedostępna dla statków. Nie ma możliwości dopłynięcia i zacumowania przy brzegu. W żadnym miejscu. Głębokość wody jest za mała. Jak myślicie, dlaczego cały czas spozieram na wodę? Wzdłuż całej trasy cieśniny Strela, jak i tutaj, płynąć można wzdłuż rynny wodnej głębokiej na około dwóch ludzi. Parę nieopatrznych łokci w lewo lub

prawo i osiadamy na podwodnych łąkach. Tak samo jest na wodach wewnętrznych wyspy, szczególnie w zatokach Miedowskiej i Jasmundzkiej. Stąd w całej zatoce Miedowskiej jedynym miejscem, gdzie mogą dobić statki, jest gród Miedów. Duńczycy mają tylko jedną możliwość żeglowania ze swoich wysp na naszą Rugię. Muszą najpierw dopłynąć od północy do Chyciny, a dopiero stąd planować napady na zachodnie wybrzeże Rugii lub południowe, gdyby odważyli się wpłynąć do cieśniny Strela. Albo na wybrzeże chyżańskie.

- Często walczyacie z Duńczykami? - wtrącił się Czambor.

- Nieustannie - odparł sternik. - Rzecz można, na okrągło. Albo my napadamy na ich wyspy, albo oni na nasze. Dodatkowo nasi chęścicy grabią ich statki handlowe na morzu.

- A niejaki Halldórr z wyspy Ærø obił się wam o uszy? - wiercił dalej Czambor pytaniami. - Podobno jest jarlem.

Przyjaciele Czambora wymienili między sobą nieme spojrzenia. Co on tutaj z jakimś Halldórrem wyskakuje? Sternik wzruszył ramionami i odparł, że nic mu na ten temat nie wiadomo.

- Dużo tych owiec się wypasuje - zmienił temat Czambor. - A świnie też hodujecie?

- Oczywiście.

- Pytam, bo po ostatnich przejściach strawa godna mi się marzy.



- My jesteśmy bardzo gościnnym ludem. Sławią nas za to po sąsiednich krajach. Na pewno zażyjesz dostatniego posiłku. Ważne tylko, żebyście praw ustalonych na wyspie się trzymali.

Przed zapadnięciem nocy dotarli do osady rybackiej na krańcu zatoki Brzeg. Po opłaceniu sternika i pożegnaniu ruszyli w stronę domostw w poszukiwaniu noclegu. Szybko znaleźli kwatery u rybaka imieniem Zabel, stojącą pustą chatę na uboczu osady. „Tylko żebyście żadnych praktyk chrześcijańskich nie odprawiali, bo doniosę natychmiast do zerców w Charenzie”, ostrzegł Zabel. Od razu też załatwili sprawy organizacyjne na następny dzień, w tym najważniejsze - zakup koni. Choć Zabel dziwował się, po co im konie, skoro do Charenzy pieszo, niemal spacerkiem dojść można.

Następnego dnia o poranku wyruszyli ubitym traktem w stronę Charenzy. Niebawem, dojechawszy do skrzyżowania, skręcili na prawo, zgodnie z instrukcją towarzyszącego im Zabela. Rybak wybierał się również do Charenzy na mający się odbyć tego dnia rynek. Droga zwężała się teraz nieco, prowadząc prosto przez rozległe pole, najwidoczniej nie całkiem suche, gdyż kierując ostrożnie końmi, zauważyli, że droga usypana została sztucznie na naturalnej grobli kamiennej prowadzącej środkiem tegoż pola. Na zachodzie górowały już dobrze widoczne wysokie wały Charenzy. Przez cały czas Zabel nieustannie zabawiał ich opowieściami i wyjaśnieniami:

- Charenza wielkie miasto, zobaczycie. Ogromny teren za wałami, okiem nie ogarniesz. Domy liczne i wysokie, ludu w nich pełno. Siedziba naszych książąt. Chramów z bogami aż trzy: Rugiewita, Porewita i Porenuta. Najpotężniejszy jest Świątowit na Arkonie, ale u nas aż trzech bogów, równie mocarnych. Przez Charenzę przebiega ważny szlak handlowy zwany trasą śledziową, biegnący od Streli na południu aż na półwysep Witów.

- Wiem - wtrącił Bernard - słyszałem, po naszymu rugijska *Heringsstraße*.

- Kilka stajañ na zachód od Charenzy zaczyna się półwysep Zabrodzie - kontynuował wywody Zabel - na który najczęściej Duńczyki napadają. Ale Charenzy, nawet gdyby tutaj podeszli, nigdy nie zdobędą. Z trzech stron chroniona, od południa, zachodu i północy, przez nieprzebyte głębokie bagna, moczary i trzęsawiska. Jedynie od naszej strony, skąd podążamy, do miasta styka stosunkowo mało podmokłe pole, stąd od tej strony wał niezwykle wysoki i gruby. Natomiast na północnym i zachodnim boku jedynie nasypy ochronne, bo i tak nikt tam przez topiele nie przejdzie.

Z tego, co opowiada, konstatował Gromosław, miasto nie jest koliste czy podkowiaste, lecz musi mieć kształt czworokątny... Takim też było, co unaocznilo im się, gdy już dojechali w pobliże wschodniego boku. Boki prostokąta chronione były wałem obronnym, tyle że o bardzo zróżnicowanej wysokości. Wzdłuż północnego i zachodniego boku wzniesiono jedynie niewielki nasyp, ponieważ

przedpola w tych kierunkach otoczone były wspomnianymi nieprzebytymi bagnami. Natomiast wzdłuż wschodniego i południowego boku wzniesiono gruby i wysoki na co najmniej kilkanaście metrów wał, ukoronowany palisadą. Zrozumiałe, że zbudowano wał od strony wschodniej, tam przecież stykało do grodu mało podmokłe pole, którym właśnie podążali i po którym mogli dotrzeć potencjalni napastnicy. Ale dlaczego równie silny wał znajdował się na południowym boku, którego przedpole, podobnie jak na północy i zachodzie, tworzyły bagna, zastanawiał się Gromosław. Tajemnica wyjaśniła się po odkryciu dostępu do grodu. Otóż jedyna wąska droga wiodąca przez pole na wschodzie dochodziła do samego wału (wschodniego), następnie wiła się wzdłuż jego podnóża na południe, zakręcała dokładnie na rogu w kierunku zachodnim, wijąc się teraz wzdłuż podnóża wału południowego, by w jego połowie dochodzić do jedynej bramy grodowej, strzeżonej przez basztę obronną. Stąd ten wał na południowym boku, ze względu na drogę. O wielkości miasta poza samymi wałami świadczyła ich długość. Wał wschodni był długi na co najmniej jedną staję, wał południowy na co najmniej dwie staje.

Przy baszcie chroniącej bramę wjazdową zostali skontrolowani przez strażników i bez przeszkód wpuszczeni do środka. Barwy cesarskie i glejty spełniły swoje zadanie. Widok wnętrza miasta sprawił, że brakło im z wrażenia tchu w piersiach, Zabel nie przesadzał. Domy gęsto pobudowane przy wąskich uliczkach, a na dodatek

trzypiętrowe. Wszystko z drewna, żadnego kamienia czy wypalanych cegieł. Trzypiętrowe! Tłumy, mrowie ludzi na ulicach i rynkach. Oprócz gęstej zabudowy miejskiej na terenie Charenzy wyróżniała się stojąca wolno siedziba książęca z murowanym okrągłym kasztel otoczona własnym wałem i otwarte przestrzenie zagajników w zachodniej części miasta, mieszczące bez wątpienia wspomniane trzy chramy. A mimo to na terenie miasta było dosyć wolnego miejsca, by jeszcze pomieścić okoliczną ludność wraz z bydłem na wypadek zagrożenia. Przeciskając się przez ciżbę w stronę książęcego kasztelu, nadziwić się nie mogli różnorodności napotykanego ludu. Karnacje, ubiory, języki. Wszystkiemu winne tłumy handlarzy ze wszystkich niemal zakątków świata. Obok miejscowych Ranów kupcy ze wszystkich ważniejszych plemion Połabia. Do tego Duńczycy, Polacy, Sasi, Frankowie, Italieńcy, Rusini, Czesi, Fryzowie, Arabowie, Żydzi. Jak im to Zabel z rana objaśniał: „...trzy świątynie, dwa wielkie rynki i pierwszy pod względem wielkości – nawet większy niż w Ralswieku – targ niewolników. Największy targ niewolników na całym słowiańskim wybrzeżu. W mieście cała dzielnica zapełniona wyłącznie samymi wyszynkami i karczmami...”.

Po dotarciu do kasztelu okazało się, że książę Dunmar jest nieobecny. Powróci dopiero nazajutrz po wizycie u kapłanów na Arkonie. Nie mając innego wyjścia, poszukali noclegu w pierwszej karczmie, która jeszcze

dysponowała wolnymi izbami. Wynajęli dwie, w tym jedną dla Randulfa i Radanki.

\* \* \*

Księżę przyjął ich nazajutrz wcześniej, na godzinę przed południem. Widocznie z Arkony powrócił z samego rana. Dunmar, mężczyzna w sile wieku, wysoki, z długimi czarnymi włosami spiętymi na czole książęcym diademem, okazał się człowiekiem sympatycznym i gościnnym, lecz już po wymianie pierwszych zdań wyczuli, że trapią go jakieś poważne troski. Obejrzał glejt, przeczytał sfalszowane w Brennie pisma i machnąwszy ręką, rzekł:

- Nadal nie wiem, z jaką misją przybywacie. W dokumencie same ogólniki, że niby w imieniu cesarza coś omówić chcecie, ale co? Słucham.

Bernard powstrzymał nieznacznym ruchem głowy Gromosława szykującego się już do odpowiedzi. Jednak muszą dalej odgrywać farsę, że niby on tu jest dowódcą. Jak delegacja saska, to trzeba się trzymać pozorów. Gromosław zamarł na krótko z na wpół otwartymi ustami. Pojawszy w lot znak przyjaciela, potarł tylko dłonią twarz.

- Nie ma co obwijać w bawełnę - rozpoczął w końcu Bernard - więc przystąpię od razu do sedna sprawy. Cesarzowi ukradziono włócznie świętego Maurycego oraz głowę tegoż samego z figury w magdeburskiej katedrze. Głowę odzyskaliśmy. W pogoni za włócznią los rzucił nas na twoją wyspę. Wiemy, jak nazywa się aktualny złodziej - Turgel...

Dunmar raptem okazał zainteresowanie. Obserwował Bernarda z ciekawością, przysłuchując się opowieści, rozglądał z namysłem po pozostałych. Gdy już Bernard zbliżał się do końca, książę w pewnej chwili jakby zatopił się we własnych myślach, bębniąc bezwiednie palcami po stole.

- ...cesarz gotów sownie wynagrodzić za odzyskanie włócznie - zakończył wywody Bernard.

- Zaraz, zaraz - odezwał się Dunmar stanowczym głosem. - Zaraz. - Potarł w zamyśleniu czoło. - Dziwne historie krążą po świecie - rozpoczął na nowo z ledwo wyczuwalną wesołością w głosie. - Dotarły nas słuchy, że wspomnianą włócznię podkradli Lutycy Chrobremu, władcy Polaków. A wy rozprawiacie o włócznie cesarza.

- Nie wiadomo - zaproponował szybko Gromosław. - Może Lutycy ukradli obie włocznie?

- Ale Turgel chwalił się, że w Radogoszczy więziono ludzi Chrobrego udających poselstwo Henryka - w głosie Dunmara dało się wyczuć zdziwienie.

- Turgel?! - nagle odezwali się wszyscy naraz.

Pierwszy opanował się Gromosław.

- My jesteśmy ludźmi Henryka, tyle że w połabskich zawieruchach musieliśmy kryć nasze zamiary. Turgel to złodziej, bandyta i morderca. Naocznie widzieliśmy, jak ubił lutyckich kapłanów, jak się chwalił, że zabił Kruta. - W końcu zamilkł, obserwując w napięciu Dunmara.

Książę przytaknął bezwiednie głową.

- Zgadza się, Turgel to łajdak. - Zastanawiał się czas jakiś, w końcu podjął dalsze wyjaśnienia: - Widzę, że muszę was najpierw wprowadzić w zawiłości życia na naszej wyspie. Rozsiądźcie się wygodnie, zaraz przyniosą nam jadło i napitki, i szykujcie się na dłuższą opowieść.

Dowiedzieli się wielu ciekawych rzeczy, z których pewnie ani na cesarskim, ani na polskim dworze nie zdawano sobie w pełni sprawy. Powszechnie uważano, że Rugia to wyspa z ludem pogrążonym w bezdennym pogaństwie, bitnym, chytrym, zdradliwym i przekupnym, rządzonym przez własną dynastię i kapłanów rodzimej wiary. Ranowie - liczni, na morzach prym wiodący, z żadnym sąsiadem w sojusze się niewdający, ale za odpowiednią zapłatą gotowi do wojennej ingerencji. Tak myślano. Dunmar nakreślił im obraz otwierający nowe spojrzenie.

Prawdziwą i realną władzę na Rugii sprawowało zgromadzenie kapłanów rodzimej wiary, wśród których rolę naczelną odgrywał wąski krąg opiekujący się czcią Świętowita na Arkonie. Pozostałe rozrzucone po wyspie świątynie z pomniejszych bóstwami były im podporządkowane. Kapłani decydowali o życiu religijnym, społecznym i militarnym mieszkańców. Decydowali też o podejmowaniu lub zaniechaniu wypraw wojennych poza wyspę, o zawieraniu lub zrywaniu układów z obcymi siłami politycznymi. Cała liczna rańska flota wojenna podlegała ich zwierzchnictwu. Natomiast rola dynastii książęcej ograniczała się do trzech zadań, praw i obowiązków:

kierowanie obroną wyspy na wypadek najazdów zewnętrznych, zbieranie podatków i danin od ludności na rzecz świątyń oraz doprowadzanie przed oblicze sądu kapłańskiego ludzi skazanych za różne przewinienia. Praktycznie zatem księżę nie dysponował władzą polityczną, był jedynie wykonawcą woli kapłanów. Raz do roku o określonej porze każdy dorosły mieszkaniec wyspy, bez względu na płeć, musiał do każdej świątyni oddzielnego bóstwa, a było ich na wyspie sześć, przynieść „dobrowolnie” w podarunku srebrnego denara. Zadaniem księcia i jego drużyny było dopilnowanie spełnienia tego obowiązku. Raz na trzy lata kapłani dokonują spisu ludności, żeby znać ilość dorosłych głów, a tym samym liczbę należnych denarów. Do księcia i jego ludzi należy przeprowadzanie tychże spisów. Niezależnie od obowiązkowego denara mieszkańcy wyspy zachodzą często, a nawet bardzo często do świątyń po poradę, wyrocznie, po wydanie wyroku w spornej sprawie, a także po rozstrzygnięcie spraw i błahych, i skomplikowanych – każde takie odwiedziny muszą być poprzedzone opłatą, obojętnie, czy w srebrze, w cennych przedmiotach, czy w darach natury. Po każdej wyprawie wojennej poza wyspę kapłani świątyni na Arkonie otrzymują obowiązkowo jedną trzecią zdobytych łupów. Każdy obcy handlarz i kupiec musi złożyć w którejś ze świątyń odpowiednią opłatę. Handlarze niewolników po każdym zakończonym targu składają kapłanom jedną trzecią z utargu. Nad prawidłowym przebiegiem tego procederu czuwają ludzie księcia.



A gdyby sobie nie dawali rady, to wtedy do akcji wkraczają osobiste oddziały zbrojne kapłanów, w tym okryta sławą, znana z okrucieństwa i bezwzględności konna gwardia Świętowita w liczbie trzystu jeźdźców. Osady i grody na słowiańskim wybrzeżu lądu stałego podbite przez Ranów muszą składać regularne trybuty dla Arkony, ściąganiem których obarczony jest książę z drużyną. Kiedyś ściągano trybuty również z wielu osad na wyspach duńskich, ale te czasy już dawno przeminęły, gdy Dania przyjęła chrześcijaństwo i stała się silna militarnie pod berłem mocarnych królów. Teraz jedynie najezdami na wyspy i piractwem na morzu można łupić Duńczyków. Oprócz regularnej floty bojowej podległej Arkonie każdy zamożniejszy mieszkaniec dysponuje własnymi statkami, niektórzy możni nawet całymi eskadrami okrętów, Dunmar na przykład posiada trzydzieści własnych wielkich snek. Oficjalnie wolno im parać się piractwem i najezdami na wyspy duńskie czy wybrzeże słowiańskie, dopóty z każdej wyprawy złożą Arkonie daninę z zysków. Na przykład z trzydziestu ukradzionych na wyprawie owiec dziesięć zapędzanych jest potulnie do Arkony. I tu jest pies pogrzebany. Każdy możny, którego stać na prowadzenie wypraw, próbuje oszukiwać kapłanów, kiedy tylko się da. Nie inaczej Dunmar. Między kapłanami a książęcą dynastią nieustannie napięta sytuacja. Szpiedzy krążą tu i tam. Kapłani kontrolują, czy aby dany książę i jego stronnicy nie rosną za bardzo w siłę, czy aby nie planują przewrotu, czy nie wchodzą w konszachty z chrześcijańskimi władcami

otaczającego ich świata. Bo tego boją się kapłani niczym ognia zaproszonego w świątyni, czyli chrześcijaństwa. Gdyby tu weszło, straciliby władzę i znaczenie. Oczywiście uzupełnił Dunmar, nie raz myślał on i jego poprzednicy o chryścianizacji wyspy. Co najmniej z jednego powodu – żeby móc objąć realną władzę. Tak jak u Obodrytów, Polaków czy Duńczyków. Tyle że to płoche marzenia. Nie ma szans. On sam jest za słaby, by dokonać przewrotu – nawet przy pomocy wiernej mu drużyny i stronników wśród możliwych nie mają szans. Jedno słowo kapłanów i rozszarpani zostaną na strzepy przez lud. Jediną możliwością byłaby interwencja zbrojna z zewnątrz. Ale nie jakiś napad rabunkowy. Prawdziwa inwazja całą wielką armią, która zniszczyłaby świątynie i wymiotła kapłanów z wyspy. Dopiero wtedy misjonarze chrześcijańscy mogliby pod kuratelą księcia wprowadzać nową wiarę na wyspie. Bez wpływu kapłanów i ich zauszników, bez strachu przed wyklęciem, za to pod baczным okiem warstwy rządzącej – wtedy lud przyjąłby z czasem chrześcijaństwo. Do tego jednak nigdy nie dojdzie.

Wywody Dunmara przerwało nagłe wejście do komnaty dorodnego młodego mężczyzny w pełnym uzbrojeniu. Miłobrat, najstarszy syn Dunmara, zarazem jego następcą. Skłonił najpierw na powitanie głową obecnym i zwrócił się do ojca, łapiąc przy tym oddech jak po biegu:

– Ojczy, Duńczyki się pojawiły. Patrole znad Chyciny zaobserwowały dziesięć wielkich drakkarów sunących w stronę zatok.

- Wiadomo, gdzie wylądują? Czy już wylądowali?

- Nie wiadomo. Pewnie wysłali najpierw swoich szpiegów na rozpoznanie. Ale to było przed czterema godzinami. Teraz już na pewno grasują gdzieś na wybrzeżu.

- Próbowano z nimi walczyć na morzu?

- Było niewielkie starcie na początku. Straciliśmy trzy okręty, z załóg wielu potonęło. - Odpowiadając na pytania ojca, Miłobrat spojrział mimowolnie na Radankę i zamarł na chwilę. W oczach mu zaiskrzyło. Radanka odwzajemniła spojrzenie lekkim uśmiechem, co nie uszło uwadze Randulfa. Szturchnął Wkrzanę łokciem i syknął: „sso jest?”. Prychnąwszy jedynie, objęła go czule ramieniem, nie przestając przy tym nadal przyglądać się Miłobratowi.

- Bierz czterdziestu jeźdźców z mojej drużyny i pędź w stronę Zabrodzia. Jestem pewien, że tam zaatakują. Po drodze zbieraj regularne ruszenia z osad i grodów. Powinieneś zgromadzić kilkuset wojowników. Wszystko z mojego rozkazu. Przyczajcie się na Duńczyków i zaatakujcie z zaskoczenia, najlepiej gdy w drodze powrotnej do okrętów obciążeni łupami będą brodzić po strumieniach i mokradłach. Dacie sobie radę, nie raz już walczyłeś z tymi duńskimi psami. Tylko nie waż mi się atakować ich okrętów przycumowanych gdzieś nad brzegiem! - zawołał za opuszczającym już komnatę synem.

- Dlaczego nie ma atakować duńskich okrętów? - spytał po chwili Czambor. - Nie prościej wybić załogę i przyczać się na wracające z grabieży oddziały?

- Nie - odparł krótko Dunmar. - Walczymy z nimi już od pokoleń i znamy nawzajem swoje zwyczaje. Przy okrętach pozostawiają taką samą liczbę uzbrojonych co w oddziałach grasujących po lądzie i cumują zawsze w miejscu korzystnym dla nich pod względem obrony. Poza tym porozumiewają się skutecznie znakami, załogi i wojownicy broniący bazy przywołają natychmiast resztę.

- A nie prościej zniszczyć ich okręty od strony morza? - zapytał ponownie Czambor po chwili zastanowienia. - Macie podobno tak liczną i zaprawioną w bojach flotę.

- Gdyby cała rańska flota stała pod komendą jednego wodza, to może byłoby inaczej - Dunmar nie krył ironii, odpowiadając gdańszczaninowi. - Flota wyspy podległa Arkonie pływa nadal gdzieś po słowiańskim wybrzeżu, jeszcze większość jednostek nie powróciła po zakończeniu powstania na Połabiu. Moje trzydzieści okrętów krąży wokół przylądka Zadur, na południowo-wschodnim krańcu wyspy. A jednostki patrolowe pod różnymi komendami. Nie chce mi się dalej wyjaśniać.

- Dobrze, dobrze, książę - uspokajał Gromosław - nie nasza rzecz wasze strategie. Tak przy okazji, Miłobrat nie jest prawdziwie rańskim imieniem, nieprawdaż?

- Jego matka jest Obodrytką, stąd imię po jej ojcu. Porwałem ją kiedyś przed ponad dwudziestoma laty przy napadzie na Wyszomir i pojąłem za żonę. Wszyscy moi synowie noszą imiona w zależności od pochodzenia swojej matki.

- To ile masz żon?

- Pięć i pięciu synów: Tesek, Tangomir, Wesil, Jasko i Miłobrat, którego właśnie poznaliście. Ja mam na imię Dunmar, dlatego że mój ojciec przywiózł sobie moją matkę, Dunkę, z najazdu na grody gdzieś na duńskim morzu.

- Książę, a może byśmy porozmawiali o tym Turgelu, Krucie i naszej włóczni? - Gromosław zmienił płynnie temat. - Bo przerwano nam pojawieniem się waszego syna.

Dunmar podjął poprzednie wywody. Arkona zawarła z federacją Lutyków porozumienie na czas powstania Stodora: 1) Okręty rańskie będą patrolować intensywnie wybrzeże słowiańskie, niszczyć jednostki Obodrytów, Chyżan i Duńczyków, gdyby takie pojawiły się na wybrzeżu, czy to z zamiarem dostarczenia zapasów w sprzęcie i prowiancie powstańcom, czy też transportujące wrogie wojska, 2) Ranowie będą desantami nękać nadmorskie grody Chyżan, Czrezpienian i Obodrytów.

W zamian Radogoszcz zobowiązała się: 1) wypłacić Arkonie natychmiast trzysta sztuk srebrnych talarów oraz dostarczyć trzydzieści krów i sto owiec, 2) przekazać Arkonie nieodpłatnie na własność stu niewolników wybranych spośród jeńców nałapanych przez federację w trakcie walk z powstańcami. Układ pozornie dla obu stron korzystny. Stąd też przed ostatnią, decydującą bitwą nad Ciemnymi Błotami wśród wojsk federacji pojawił się Krut z niewielkim rańskim oddziałkiem dla wybrania obiecanych układem stu jeńców i przetransportowania ich na Rugię. Krut, jeden z moich zaufanych ludzi, nie był wojownikiem, lecz bardzo zamożnym kupcem, jakich wielu

na wyspie. Posiadał własne statki i stać go było na opłacenie zaciężnych wojowników. Do dziesięciu jeźdźców, których zmobilizował na wyprawę, Arkona dodała mu dwudziestu własnych wojowników, łącznie z dowodzącym nimi Turgelem. To znaczy Arkona narzuciła Krutowi towarzystwo Turgela. Niby dla dopilnowania, by przejęcie i transport jeńców przebiegły bez zakłóceń. O prawdziwej roli Turgela przekonaliście się naocznie, działał w tajnej misji dla kapłanów Świątowita: ograbić świątynię Swarozycy w Radogoszczy z wszelkiego dobra i dowieźć łupy na Arkonę.

- Ranowie jak zawsze wierni swemu zawołaniu - przerwał księciu Bernard.

- A u was biskupi i inni książęta waszej wiary nie zwalczają się nawzajem? - odparował mu bez namysłu Dunmar i podjął przerwany wątek. Dlatego od kilku dni aż do wczoraj przebywał na Arkonie. Zażądał od kapłanów zadośćuczynienia, ukarania sprawcy i wypłacenia odszkodowania. Bezskutecznie. Zagroził zwołaniem ogólnego wiecu. Bezskutecznie, ale kapłani nieco ustąpili. Dostał odszkodowanie, w srebrze, za przewidywany udział w zysku ze sprzedaży stu jeńców. O ukaraniu Turgela mógł tylko pomarzyć. Zniknął bez śladu, najpewniej ukryty pod opieką kapłanów na którejś z ich tajnych wysepek. Teraz co do włóczy. Dobra nakradzione przez Turgela w Radogoszczy onieśmielają swym bogactwem, szczególnie - oprócz srebra, złota i klejnotów - wrażenie robi liczny arsenał wojenny: uzbrojenie obronne i zaczepne, pięknie

wykonane i bogato zdobione złoceniami i motywami kolczugi, pancerze, hełmy, tarcze, miecze, topory, maczugi, łuki, oszczepy, włócznie. Cała zdobycz złożona została w świątyni Świętowita. Prawie cała. Pozostałe świątynie na wyspie otrzymały po jednej sztuce z uzbrojenia. Wasza włócznia znajduje się tutaj, w Charenzie. Leży u podstawy cokołu boga Rujewita, w stosie innych poprzednich zdobyczy i darów.

- Ale... - Dunmar wznosił obie ręce z otwartymi dłońmi w górę, jakby powstrzymywał lawinę pytań, które niechybnie nań spadną - żadnych szans na jej wydobycie ze świątyni. Nie mam na to ani władzy, ani środków.

- Środki zawsze się znajdują! - rozgorączkowany Gromosław nie mógł ukryć podniecenia. - Każdy jest na swój sposób przekupny, nawet ci wasi kapłani to tylko ludzie!

- Nie rozumiałeś, co przedtem powiedziałem, czy też nie chcesz zrozumieć - przerwał mu Dunmar. - U nas żądzą kapłani, nie ja. Oni kąpią się w dostatku i zbytkach, ja muszę wszystko zdobywać na wyprawach wojennych albo piractwem. Ich słowo jest święte i prawomocne, ja muszę stronników zdobywać srebrem albo przywilejami. Na ich rozkaz cała wyspa stanie pod bronią, mój rozkaz musi być najpierw przez nich zatwierdzony. Nie mam takiej mocy i wpływu, by ich nakłonić do wydania włóczni, zresztą między nami wrogość panuje.

- Sposób się znajdzie - stwierdził po dłuższej chwili milczenia uspokojony nieco Gromosław. - Nie opuścimy

wyspy bez włóczni.

I na tym stanęło. Przy pożegnaniu Dunmar przypomniał im o zakazie afiszowania się chrześcijaństwem na wyspie. Zakazie bardzo surowym. Żadnych modłów, praktyk religijnych, żadnych odznak i symboli zewnętrznych, poukrywać skrzątnie krzyżyki, nie rozmawiać z mieszkańcami o Jezusie i chrześcijanach, nie namawiać do niczego, nie wyśmiewać lub lżyć rodzimej wiary. Za każde odstępstwo grożą bardzo surowe kary, łącznie z wyrokiem śmierci.

\* \* \*

Resztę dnia spędzili na włóczeniu się po Charenzie. Wieczorem uradzili wspólnie poszaleć po karczmach, by otrząsnąć się nieco z przeżyć ostatnich miesięcy, a dopiero nazajutrz przystąpić do układania planu odzyskania włóczni. Wyrocznie losu nie dały im jednak zaznać spokoju choćby na jeden wieczór.

Późnym popołudniem raczyli się wspólnie posiłkiem na tarasie piętra karczmy, w której nocowali. Obficie zastawione ławy z jadłem i napitkiem, przepiękny widok z góry na zachodnią część miasta. Największą uwagę skupili na oddalonej o rzut oszczepem świątyni Rujewita. Duża drewniana budowla o podstawie prostokąta, z wysokimi ścianami pokrytymi bogato malowanymi rzeźbieniami. Z tego, co opowiadał Dunmar, konstrukcja wewnętrzna kryła pomieszczenie, a w nim cztery słupy obciążone naokoło czerwonym sukrem zamiast ścian.



Pośrodku wewnętrznej komnaty znajdował się drewniany posąg Rujewita wysoki na dwóch chłopów, a wokół niego dary przebogate, między innymi ich włócznia. Budynek świątyni chroniła zewnętrzna palisada obsadzona strażnikami wojownikami, osobista drużyna kapłanów. Wczoraj Gromosław wyraził ochotę na odwiedzenie świątyni, pytając, jakie są ku temu zakazy i nakazy. Dunmar odparł, że każdy może przyjść na audiencję do kapłanów, musi tylko złożyć odpowiedni dar Rujewitowi. Przed oblicze samego boga nikt nie jest dopuszczany, jedynie dwa razy w roku kapłani otwierają przednie wrota budynku i zdejmują zasłony, żeby zgromadzone w odpowiedniej odległości tłumy napatrzeć się mogły na Rujewita. Czyli że przed posąg nikt nie jest dopuszczany, czyli że nie ma sensu składać ofiar, skoro i tak nie zobaczą włóczni. „A poza tym”, ostrzegł ich Dunmar, „wszyscy w mieście już wiedzą o waszym poselstwie i że w imieniu cesarza staracie się o zwrot włóczni”. Tak to już jest na Rugii, wszędzie szpiedzy, donosiciele.

Przyglądając się oddalonej świątyni i delektując posiłkiem, snuli plany. W pewnej chwili Czambor dojrzał jeźdźca pędzącego na spienionym koniu w ich stronę. Drużynnik księcia.

- Książę... - wojownik, zatrzymawszy konia przed tarasem karczmy, zawołał do nich, przekrzykując harmider miasta - żąda, byście natychmiast stawili się u niego. Stało się nieszczęście... - I pognał z powrotem.

W siedzibie księżęcej zastali gorączkowe przygotowania do wojennego wymarszu. Cała księżęca drużyna siodłała konie, brzękało orężem. Dunmar, wyszedłszy na dziedziniec w pełnym bojowym rynsztunku, skierował kroki w ich stronę, nieustannie wydając po drodze dyspozycje podwładnym.

- Miłobrat doznał klęski - oznajmił im krótko. - Duńczycy pojмали go i pewnie zaciągną na wyspy, by zażądać wielkiego okupu. Jadę uwolnić syna, zanim te przekłete skandynawskie ścierwa zdążą opuścić nasze wody.

Gromosław i przyjaciele rozglądali się wokół w podnieceniu, zasłyszana wieść wzbudziła szalejące myśli. Pierwszy odezwał się Srogosz:

- Nie ma rady, to jest nasza szansa. Jeżeli dopomożemy w uwolnieniu Miłobrata, to księżę musi doprowadzić do wydania nam włóczni. Nieważne, czy Duńczyki chrześcijanami, czy nie, nieważne, że nasz Chrobry z nimi w układach. To nasza jedyna szansa.

Wszyscy spojrzeli pytająco na Gromosława.

- W drogę! - wydał krótką komendę lubuszański rycerz.

Po szybkim oporządzeniu koni, wdzianiu uzbrojenia i zebraniu oręża zdążyli dopaść oddział Dunmara dwie staje na zachód od Charenzy. Gromosław bez ogródek wyjawiał ich zamiary, na co księżę skinął jedynie przytakująco głową, dodając jednak:

- Obiecywać nie mogę, ale zrobię, co w mojej mocy, jeżeli dopomożecie w wyrwaniu Miłobrata z rąk tych bestii.

Po trzech godzinach dotarli do grodu Zabrodzie, głównej twierdzy półwyspu. Załoga nic nie wiedziała o aktualnej pozycji lądowych oddziałów duńskich, jedynie to, że flota duńska cumuje w zakolach osady Warszkowiec, na północy półwyspu, i że bitwę lądową stoczono w okolicy zwanej Las Świecie. „To wielki, rozmokły teren”, orzekł Dunmar, „pokryty wieloma rzeczkami, strumieniami, bagnami. Na pewno będą z mozołem wracać do okrętów, obciążeni łupami i jeńcami”. Księżę ściągnął z Zabrodzia cały garnizon oraz dodatkowo uzupełnienia z okolicznych osad, łącznie z własną drużyną dysponował teraz około czterema setkami wojowników, w większości piechotę. Ruszyli w drogę, pomimo że już zapadały ciemności. Z grupy Gromosława nikt nie okazywał zdziwienia, a Wojomir skomentował tylko: „Znają teren jak własną sakiewkę. A Duńczycy na pewno przerwą pochód w nocy, jedyna okazja, by ich dopaść, zanim dotrą do okrętów”.

Po drodze trafili na doszczętnie spaloną przez najeźdźców osadę. Kikuty chałup, smród spalenizny z pól uprawnych, ciała kilku obrońców. Resztę ludności, która nie zdążyła umknąć w kryjówki, zaciągnięto bez wątpienia w niewolę. Po jakimś czasie minęli kolejną osadę, podobnie zniszczoną jak poprzednia. Grubo po północy doszli do podmokłych terenów pokrytych bujnymi lasami. „Duńczycy mogą być niedaleko”, poniosło szeptami pomiędzy skradające się szeregi. Na krótko przed świtaniem odkryli w końcu wrogi obóz. Jednocześnie z pierwszymi promykami brzasku świat wokół spowiła gęsta mgła, umożliwiająca

widzenie nie dalej niż na wyciągnięcie ręki. Dunmar dał znak do ataku.

Po chwili wybuchł zgiełk, wrzawa, zamieszanie. Nieświadomi wzajemnej obecności, Duńczycy i Ranowie zmieszali się prawie. Raptem strzelające promieniami słońce rozwiało błyskawicznie, ale tylko na chwilę, opary mgły. Wykorzystując przelotną okazję, otrząśnięci z obopólnego zaskoczenia, Ranowie i Duńczycy okładali się nawzajem orężem, by po chwili ponownie wtopić się w opary mgły. Chaos. Wydawało się, że Duńczycy rzucili się do ucieczki, rozpierzchli na wszystkie strony. Niektórzy przez pola, lasy, inni przez zalegające w okolicy rozległe grzędzawiska, bagna, moczary.

Ludzie Gromosława, pomimo uprzednich próśb i nakazów dowódcy, pogubili się nawzajem. Randulf stracił nawet kontakt z nieodstępującą go dotychczas na krok Radanką. Zapędził się za dwoma konnymi, na ile zezwalały mu luki w strzędach mgły. W jednym z dwóch jeźdźców, tym uciekającym, rozpoznał Miłobrata. Pomimo że na koniach, nieporadnie poruszali się w niepewnym terenie, pozbawieni orientacji. Na jakimś mokradle jeden z koni zapadł się po zad w topielisku, wyrzucając jeźdźca z siodła. Na tę chwilę nadbiegł Randulf, stwierdziwszy po chwili, że gonił dwóch duńskich rycerzy. Nie zrozumiał, co pokrzykiwali w obcej mu mowie. Pobiegł dalej przez mokradło, skacząc z kamienia na kamień. Dobiegł na suchsze miejsce, niewielki pagórek. Za nim rów i rwący strumień wpadający do szerszej rzeki naznaczonej wystającymi ponad wodę

piaskowymi łachami. Wtedy dojrzał Miłobrata. Brocząc po pas w wodzie, uciekał przed goniącym go duńskim rycerzem. Uciekał powoli, na ile pozwalała toń rzeki, próbując z namysłem każdego kolejnego kroku. Ścigający go Duńczyk, znajdujący się w odległości kilkunastu kroków, równie uważnie szukał oparcia dla stóp. Pomimo obciążenia ciężkim uzbrojeniem ochronnym zmniejszał odległość do ofiary. Miłobrat być może zraniony, a na pewno bezbronny, z tego, co mógł dojrzeć Randulf. Jeżeli uzbrojony w miecz i tarczę prześladowca dopadnie Miłobrata, to żegnaj, książęcy synu. Raczej mało prawdopodobne, by w zaistniałej sytuacji Duńczyk chciał brać jeńca. „Psia mać, że też nie mam przy sobie łuku”, zaklął Randulf i rzucił się biegiem w ich stronę. Mieczem w prawej dłoni nakłuwał toń rzeki przed sobą, szukając podwodnych kamieni i mielizn. Nie zdążył, pomyślał, widząc, że Duńczyk już niemal dopadał uciekiniera. Miłobrat miotał się na wszystkie strony w miejscu. Najwidoczniej trafił na wiry albo skończyła się podwodna kamienna grobla. „Nie zdąży”, wściekał się Randulf. Dopadł ich już na kilka kroków, gdy Duńczyk wznosił miecz i sieknął z góry, rąbiąc Miłobrata w ramię u nasady barku. Randulf wbił miecz po rękojeść w dno rzeki, wysunął błyskawicznie z pochwy swój longobardzki sztylet i rzucił. Trafił celnie. Ostrze zagłębiło się od tyłu w podstawie szyi Duńczyka, zabijając go natychmiast. Szybko dobiegł do omdlewającego Miłobrata, któremu krew tryskała z rozciętego mieczem ramienia, pochwycił oboma rękoma pod ramiona i nie zważając na

krzyki rannego, usiłował zaciągnąć go z powrotem w stronę brzegu. „Randulf, wytrzymaj!”, usłyszał krzyk Radanki, „Nadchodzę z pomocą!”. A jednak biegła za nim. Wspólnie dociągnęli Miłobrata na zbawienny brzeg. Radanka przystąpiła natychmiast do opatrywania rany. Randulf wrócił po wbity w dno rzeki miecz, kręcąc z niepokojem głową, „Niedobrze, na otwartej przestrzeni, jak mi tu więcej Duńczyków nadciągnie, to będzie ciężko”. Na szczęście niebawem pojawili się wojownicy Dunmara. Starcie z Duńczykami było zakończone, resztki napastników gonione po lasach i bagnach umykały w stronę okrętów. Dunmar nie potrafił opanować szczęścia, obejmując pojękującego z bólu syna. Wszyscy pozostali na miejscu jeszcze do wieczora, czekając na sprowadzenie wozów dla transportu Miłobrata, pozostałych rannych oraz zdobytego w bitwie dobra. Radanka wdrapała się na wóz i nie opuszczała Miłobrata, troskliwie się nim opiekując.

Uratowali syna księcia. Gromosław i przyjaciele czekali teraz z niecierpliwością na stosowny moment, by ponownie nakłonić Dunmara do odzyskania dla nich włóczni.

\* \* \*

- Wszystko nadaremnie, wszystko na nic! - Gromosław nie mógł opanować podniesionego głosu. Następnego dnia siedzieli ponownie na tarasie karczmy i nawzajem użalali się nad nieprzychylnym losem. Dunmar rozczarował ich, oznajmiając, że nie posiada takiej mocy i środków, by wymusić na kapłanach wydanie włóczni. Niech żądają wszystkiego, czego tylko zapragną, w nagrodę za

uratowanie Miłobrata: srebra, złota, uzbrojenia, koni, klejnotów, statków. Da im dwa albo trzy okręty na własność, z pełną załogą zaprawionych piratów, będą im regularnie zyski z morza zwozić. Zapewni im każdą eskortę na powrót w bezpieczne dla nich strony. Mogą sobie wybrać za darmo najładniejsze niewolnice na targu. Słowem, da im wszystko... wszystko prócz włóczni.

- Idziemy na dół, do karczmy - rzucił posepnie Randulf.

- Potrzebuję gwaru, muzyki, ludzi wokół mnie.

- A gdzie jest właściwie Radanka? - spytał podstępnie Czambor, gdy powstawali.

- Nadal opiekuje się Miłobratem - odwarknął Randulf, unikając wzroku gdańszczanina.

Gromosław w przeczuciu dalszych uszczypliwych uwag powstrzymał Czambora uściskiem za łokieć i rzucił:

- Do karczmy? Ledwo południe przeszło, a wy już chłać zaczynacie!

W hali karczemnej panował niesamowity tłok. Dopiero srebro Gromosława skłoniło właściciela do działania. Przy pomocy strażników wyrzucił na zewnątrz jakąś zbieraninę obcych kupców uchlanych do nieprzytomności. Dostali całą połowę długiej ławy biesiadnej, na końcu której grupa rańskich wojowników, wyglądających bardziej na piratów, w oparach trunków grała namiętnie w kości. Gdy im w końcu przyniesiono piwa - jedynie Srogosz zażądał miodu - podjęli przerwany na tarasie temat odzyskania włóczni, przekrzykując się nawzajem w otoczeniu wrzasków, okrzyków, muzyki i tańców. Tylko Bernard jakby stracił

ochotę do dyskusji. Zatopił się we własnych myślach, nie zwracając na nich uwagi.

Czambor: - Wyspy nie możemy opuścić bez włóczni. W ostateczności napadniemy na pogańskich dziadów w świątyni, odbierzemy włócznie i uciekniemy statkiem, który obiecał nam Dunmar.

Gromosław: - Walnij się dzbanem, z którego chlasz, w łeb. Gruba glina, może cię otrzeźwi. Zatłuką nas prędzej czy później, zanim w ogóle zdążymy uciec z Charenzy!

Randulf: - Naprawdę nie da się wkraść? Po kryjomu, w przebraniach?

Gromosław: - Sam nie wierzysz w to, co mówisz. W jakich przebraniach? Może szczekujów albo wraszaków-straszaków Wojomira?

Srogosz z wyrzutem do Gromosława: - Ale rozmawiać z nimi nie próbowałeś. Kto wie, może jednak połaszą się na coś?

Wojomir: - Moglibyśmy udawać kapłanów z innej świątyni, znaczy ja bym tylko się do tego nadawał. Wtedy jakąś wymianę zaproponować.

Gromosław: - Nie wierzę w to, oni wszyscy znają się od lat i pokoleń, myślisz, że jak żeś Połabianin, to i kapłana możesz udawać?

Czambor: - A może Wojomir tak naprawdę to pogański kapłan? Przed nami tylko sławetnego wodza udaje?

Wojomir do Czambora: - Wiesz, jak szybko strzała przejdzie przez twój pusty łeb, na opór nie napotykając?



Randulf: - Trzeba wymyślić jakiś chytry podstęp. Może Wojomir pójdzie w las i nazbiera nam grzybów specjalnych, w ekstazie różne ciekawe pomysły nachodzą.

Srogosz: - Wymyślcie coś! Bo aż mnie dłonie z wściekłości świerzbić zaczynają!

Bezpośrednio po dwóch ostatnich uwagach, Randulfa i Srogosza, w Bernarda raptem jakby jakiś demon wstąpił.

- Maaam! - zakrzyknął potężnie i jeszcze potężniej uderzył pięścią w ławę. - Maam podstęp!!! Ława zatrzęsała się okrutnie, niemal wygięła w łuk, wszystko na niej podskoczyło, pospadało na dechy podłogi. Przeciwny koniec ławy, gdzie zabawiali się rańscy wojownicy, walnął z łomotem w ścianę, aż wiszący na niej wielki łeb niedźwiedzia spadł z hukiem, grzebiąc pod sobą rozsypane kości grających. Ranowie powstali, wyciągając miecze.

- Najlepszy rzut mi zniszczyliście, kundle obce z lądu! - zakrzyknął jeden z barczystych wojowników. - Trzy świnie miałem już prawie wygrane! Najlepszy rzut!

Zaraz się na nich rzucą. Oniemiały Gromosław i przyjaciele wyciągali już nerwowo broń, gdy wkroczył między nich karczmarz. Machając ścierą do zmywania, zawołał:

- Żadnej krwawej jatki w moich progach!

Po wstępnej szarpaninie i szturchaniach sytuację rozładował w końcu Randulf, wręczając poszkodowanemu wojownikowi kilka srebrnych monet.

- Kup sobie za to całe stado świń, ale rozejdźmy się w pokoju.

Podziałało. Opuścili szybko karczmę, zdezorientowani obrotem sprawy, na dokładkę Bernard, jakby nie rozumiejąc, co się wokół niego dzieje, prawił nieustannie z rozognionymi oczyma o jakimś podstępie. Kupili zatem u karczmarza dzbany z trunkami i poszli w ustronne miejsce, pod niewielki zagajnik, z dala od tłumów i harmideru miasta. Wtedy Bernard objaśnił im swój pomysł:

- Jak wiecie, nauki pobierałem przy magdeburskiej katedrze, później dzieła liczne starożytnych autorów przepisane przez naszych mnichów poczytywałem. I w magdeburskich zbiorach kościelnych, i w bibliotece arcybiskupa, i na zamku mego wuja, margrabiego. Zbiory przebogate. Nie tylko księgi o strategiach wojennych i historii dawne mnie interesowały, lecz także pergaminy o światach odległych i naukach przeróżnych. Szczególnie jedna księga zapadła mi w pamięć, czytałem ją kilkakrotnie. Odpis z odpisu wykonanego przez mnichów z Monte Cassino z jakiegoś starego greckiego traktatu. O zwierzętach nam nie znanych, na przykład takie trzy razy większe od tura z uszami na wzrost chłopa, nosem węzowatym do ziemi i wygiętymi kłami długimi na dwie włócznie. W tej samej księdze o rozmaitych miksturach i truciznach. Wiecie, że są mieszaniny, po których spożyciu człowiek niby umiera, męczony dolegliwościami i objawami na ciele straszliwymi? Ale nie są śmiertelne. Odtrutki wykonalne, na co opisy recept przy miksturach...

Bernard zagłębiał ich powoli w szczegóły planu. Na koniec wszyscy przystali na jego pomysł. Natychmiast wydano dyspozycje. Po otrzymaniu od Bernarda dokładnych instrukcji, czego i gdzie należy szukać, podzielili się zadaniami. Bernard i Wojomir udali się w okolice Charenzy. „Najpierw musimy znaleźć młody zagajnik lipowy na suchym poszyciu, następnie wrzosowiska na wzniesieniach, wystawione na słońce i wiatry i jeszcze stare dęby na półpnia zanurzone w moczarach”, oznajmił Saksończyk, „dlatego potrzebny mi Wojomir, łąd stały czy wyspa, Połabie jego krajem i najszybciej mi wskazówkami poradzi”. Czambor i Randulf udali się na targowisko z zadaniem odwiedzenia określonych kramarzy. Gromosław i Srogosz podążyli nad brzeg zatoki, na której wylądowali przed dwoma dniami, tam, gdzie leniwe wodne łachy wylegiwały się w cieniu zwisających konarów drzew. „Mamy czas do późnego popołudnia”, oznajmił na zakończenie Bernard, „zbieramy się ponownie w karczmie po wykonaniu zadań, znaczy każdy musi naznosić wymaganych składników. Gdy przygotuję mikstury, udajemy się do Dunmara”.

Przed wieczornym posiłkiem zażądali widzenia z księciem. Przyjął ich bez większych oporów, z uśmiechem na twarzy, ale rozkładając ręce w niemym geście, wymownym geście. Spodziewał się zapewne, że znowuż będą usiłowali nakłonić go do wymuszenia na kapłanach wydania włóczni. Gdy zasiedli wspólnie przy stole, Bernard bez ogródek przeszedł do rzeczy:

- Mówiłeś, księżę, że masz wszędzie swoich szpiegów, donosicieli, stronników, że w samej świątyni też...

- No, pośród służby, pacholków tak, ale nie u samych kapłanów i ich otoczenia...

- To wystarczy. Masz tam przynajmniej kilku naprawdę zaufanych ludzi?

- Zaufani, zaufani - kręcił głową Dunmar - komu dzisiaj można ufać? Opłacam sowicie, to mi przychylni, a jak trzeba, usłużni. Ale oni wam włóczy nie podbiorą, zapomnijcie...

- Nie chodzi nam o kradzież. Odzyskamy włóczy podstępem pod warunkiem, że dopomożesz nam, nakazując swoim szpiegom wykonanie najprostszych czynności. - Przy tych słowach Bernard położył przed sobą na stole sześć niewielkich baniek z rybich pęcherzy, wypełnionych jakąś cieczą. Trzy po lewej, trzy po prawej stronie. Dunmara jakby zatkało na ten widok, pojął w lot, co mogą zawierać bańki.

- O nie, nie - podniósł gwałtownie głos - Nie ma mowy! Żadnych trucizn! Poszaleliście? Chcecie, by mi natychmiast na wiecu członki rozerwano? Mnie i całemu mojemu rodowi? Niech tylko włos z głowy spadnie któremuś z kapłanów albo ich ludziom, a do tego jeszcze włóczy zniknie, to koniec z nami wszystkimi! Wam serca żywcem z piersi powyrywają, szaleńcy...

- Księżę, uspokój się, proszę - wpadł mu w słowo Bernard. - Wysłuchaj najpierw do końca.

Dunmar zamilkł, kręcąc z niedowierzaniem głową.

- Nikt nie zginie, nikt nie umrze - kontynuował Bernard, powolnie tonując sylaby. - Nikomu żadna krzywda się nie stanie ani na ciele, ani na umyśle. Pocierpią jedynie przez krótki czas. Przysięgam na wszystko, co mi święte, Boga, dziesięć przykazań, honor i rodzinę. Moi podwładni również przysięgają.

- Ale, ale. - Dunmarem targają rozterki - ja nie rozumiem... Co zamierzacie?

- Wszystkie złota, srebra, klejnoty, wszystkie oręża, niewolnice i okręty, jakie nam zamierzasz ofiarować w podzięcie za ratowanie Miłobrata - wyjaśniał Bernard - przeznaczysz na przekupienie swoich zauszników w świątyni, najlepiej tylko jednego, by tajemnica tajemnicą pozostała. Przekupisz go, czy też ją, by wykonał następujące zadanie. Słuchaj teraz uważnie, książę - Bernard położył dłoń na pierwszym pęcherzu z lewej strony, aż ciemnoniebieska ciecz w środku z lekka zafalowała - po lewej stronie są trucizny... nie zabijają, powtarzam! Po prawej odtrutki. Jutro z samego rana, przed pierwszym posiłkiem, zawartość tej bańki musi zażyć święty koń w świątyni. Prawieś przecież o tym koniu? Wyrocznie spełniający...

- Świętowicie, uchroni mnie przed przekleństwem... - wymamrotał Dunmar.

- ...zawartość tej bańki - Bernard położył dłoń na drugim pęcherzu z lewej strony - podana zostanie po upływie spalania jednej czwartej świecy od momentu zażycia mikstury przez konia jednemu z kapłanów

z wewnętrznego kręgu, a po upływie spalenia kolejnej czwartej części świecy ciecz z trzeciej bańki po mojej lewej stronie musi zażyć medyk na usługach świątyni. Zrozumiałeś?

Dunmar pokiwał wprawdzie przytakująco głową, ale nic nie wyrzekł. Bernard powtarzał jeszcze kilkakrotnie instrukcję, aż w końcu Dunmar ze zrozumieniem sam wymienił kolejność.

Bernard odetchnął głęboko i przystąpił do dalszego wyjaśniania: – Teraz przejdziemy do baniek po mojej prawej stronie. To są odtrutki. Podawane będą w tej samej kolejności co trucizny, począwszy od południa: koń, kapłan, medyk. To wszystko. Powtórz, proszę, kilka razy. Tak jakbyś tłumaczył swemu człowiekowi w świątyni.

Dunmar powtarzał i powtarzał, aż nabrali pewności, że nic nie pokręci i nie pomyli. Na koniec książę westchnął i zapytał:

– Którego kapłana macie na myśli? Ich jest pięciu w najwęższym kręgu, w tym główny przewodzący.

– Któregoś z tych pięciu, ale nie tego najważniejszego.

Dopiero gdy już wszystko ustalili, książę zaciekawiał się, jaki związek ma ta cała akcja z odzyskaniem włóczni.

– Nasza w tym głowa. Wszystko polega na precyzji wykonania i sile perswazji – odparł jedynie Bernard. – Nikomu krzywda się nie stanie, natomiast włócznie oddadzą nam kapłani dobrowolnie.

Dunmar wpatrywał się w niego rozszerzonymi oczyma pełnymi zdziwienia i niedowierzania. Bernard dodał

jeszcze:

- Z ulgą, że tak powiem, i z wdzięcznością, że się jej pozbędą. Jedyne, o co cię prosimy, to przekupienie i nakłonienie twoich szpiegów, by sumiennie i skrupulatnie wypełnili zadanie. Pamiętaj również o jednym: w twoim interesie leży, żeby intryga nie wyszła na jaw ani przed, ani po. To znaczy nikt z twojego grona nie może się o tym dowiedzieć, łącznie z rodziną. Twoja sprawa, jak tego dopilnujesz, nakaz skrytobójczo zabić szpiega albo go wykup od kapłanów i ukryj gdzieś. Ale zmieńmy już temat i omówmy kwestię opuszczenia przez nas wyspy.

- Natychmiast płyniemy na wyspy duńskie - ożywił się Czambor - ukarać Halldórra i uwolnić moją siostrę.

- Jak to na wyspy duńskie? - Dunmar wpatrywał się z niedowierzaniem w Czambora. - Chcecie ich najechać? Naszymi okrętami?

- Czambor nie to miał na myśli - zabrał głos Gromosław. - Mamy jeszcze do spełnienia misję w Danii. Pytanie, jaki kurs obrać, by z włóczęgami dotrzeć do naszych. - Oczywiście nie dodał, że „naszych” oznaczało Chrobrego. Dla Dunmara nadal byli wysłannikami z saksońskich marchii na Połabiu.

Dunmar pokiwał ze zrozumieniem głową:

- Popłyniecie statkiem handlowym pod eskortą kilku naszych okrętów zachodnią stroną wyspy Chyciny w kierunku zatoki Wyszomirskiej. Tam przejmą was okręty patrolowe Obodrytów...

- Przecież wy z Obodrytami w stanie wojny - zaczął Gromosław.

- Tak, lecz nadal przekazujemy sobie nawzajem z Obodrytami statki handlarzy i kupców płynące przez ich i nasze wody. Wojna wojną, ale bezpieczeństwo obcych kupców leży w ich i naszym interesie. No więc na wschodnim krańcu zatoki Wyszomirskiej przejmą was Obodryci i popłyniecie w ich eskorcie najpierw na wysokości wysepki Poel do Starigardu na Wagrii. Tam mieści się teraz ich druga stolica, obok Mechlina. W Starigardzie niemal na okrągło urzęduje ich książę i władca Mścisław. A że on nieustannie w konszachtach przyjacielskich z Sasami, to od Starigardu macie już tylko parę dni bezpiecznej podróży do granicy Saksonii.

Ze Starigardu, pomyślał Gromosław, to mamy bezpieczną drogę do Polski przez Hobolin, Brennę i Spędowo do Kopanika.

Gdy opuszczali komnatę księcia, Randulf zapytał, czy Radanka jest jeszcze u Miłobrata. „Musieliście chyba się minąć w drodze”, oświadczył Dunmar, „z tego, co wiem, to udała się do waszych kwater na krótko przed waszym przyjściem tutaj”. Faktycznie, gdy zbliżali się do karczmy, Radanka pomachała do nich ręką z wysokości tarasu. „Ani słowa Radance o naszych planach”, uprzedził ich Gromosław, kierując ostatnią uwagę w stronę Randulfa: „nie wypapłaj się podczas igraszek miłosnych”.

Następnego dnia po śniadaniu stawili się przed wjazdem na obszar świątyni Rujewita. Wszyscy oprócz Radanki, która znowu polazła do siedziby księżęcej. Wypucowali się na połysk. Płaszcze cesarskie, lśniące



zbroje. Gromosław, Wojomir, Randulf i Czambor przysiedli na łące przed palisadą otaczającą teren świątyni. Bernard i Srogosz po wyjaśnieniach i dyskusjach ze strażnikami, którzy trzykrotnie musieli zachodzić do świątyni po instrukcje, wpuszczeni zostali na audiencję u kapłanów.

\* \* \*

Spotkanie z kapłanami odbyło się pod gołym niebem na niewielkim placu otoczonym młodymi dębami. Miejsce narad i posiedzeń. Siedzieli na pniakach powbijanych kłosa w ziemię na zewnętrznym okręgu placu. Bernard, Srogosz i pięciu kapłanów Rujewita, wśród nich najwyższy rangą imieniem Haranza. W oddali za szpalerem drzew majaczyła budowla świątyni z kręcącymi się wokół strażnikami i służącymi. Po formalnych kurtuazjach Bernard przeszedł bez ogródek do sedna sprawy:

- Wiecie doskonale, z jaką misją przybyłem. Musicie nam wydać własność cesarstwa, włącznie świętego Maurycego.

- Niepotrzebnie się trudziłeś, przybyszu z dalekiej Saksonii - rzekł Haranza. - Nie sięga tu ani władza twojego cesarza, ani waszych bogów.

- Cesarstwo nie ma nawet portu na Bałtyku - wtrącił uszczypliwy kapłan siedzący po lewej stronie Haranzy.

- Jednego Boga, kapłanie - wtrącił Bernard - jest tylko jeden Bóg w Niebiosach.

- Nasze bogi mocniejsze od waszego - odparł Haranza.

- Nie przybyłem tu na dysputy religijne - westchnął Bernard. - Ani na przetargi. Nie chcecie po dobroci oddać włóczni, nie chcecie przyjąć bogatego wykupu... - Bernard spojrzawszy ukradkiem na Srogosza, który udając poirytowanie, począł się drapać po wnętrzach dłoni, na przemian po lewej i po prawej - ...a czas nagli. Nadchodzi straszliwa katastrofa dla całego waszego świata... wyspy, ludzi, bogów, zwierząt. Już nadeszła...

Zdezorientowani kapłani wpatrywali się w niego bez słowa. Bernard wskazał na drapiącego się po dłoniach Srogosza:

- Widzicie, co wyprawia ten oto rycerz? Słuchajcie teraz uważnie. Włócznia posiada nadnaturalną moc daną przez Boga. Naszego Boga. Ostrzem włóczni oprawca z rzymskiego legionu dźgnął w bok cierpiącego za całą ludzkość na krzyżu Syna Bożego Jezusa Chrystusa. W grocie znajduje się gwóźdź, którym przybito Jezusa do krzyża. Stąd wszędzie pozostałości Jezusowej krwi, na ostrzu i na gwoździu. Dlatego Bóg zesłał na włócznię święte atrybuty i obdarzył ją potężnymi zaklęciami. Przynosi zwycięstwo cesarzowi w każdej bitwie. Zsyła zniszczenie, choroby i śmierć na wrogów, wrogów chrześcijaństwa. Dla włóczni przeznaczone jest tylko jedno miejsce przechowywania, katedra w Magdeburgu, lub bezpośredni kontakt z dwiema tylko osobami na tym świecie, z cesarzem lub z tym tutaj rycerzem, jej opiekunem. Jeżeli jeden z tych warunków nie będzie spełniony, włócznia zaczyna rzucać straszliwe, niepojęte dla nikogo przekleństwo.

Przekleństwo potężniejsze od wszystkiego, co człowiek może sobie wyobrazić. Najpierw w okrutne męczarnie wpadają ludzie i zwierzęta znajdujące się w jej pobliżu. Skóra blednie, białka oczu krwią zachodzą, duszności oddech hamują, na całym ciele krosty wielkie i okropne wyskakują, ropą bulgocząc. Męczarnia trwa kilka dni, po czymznaczony umiera... - z chwilą, gdy Bernard wymienił krosty, kapłani wymieniali między sobą znaczące spojrzenia - ...a przekleństwo zatacza coraz szersze kręgi, ogarniając wszystkie zwierzęta i niechrześcijan. - Bernard spojrzał w niebo, pomyślał, że do południa jeszcze jedna czwarta świecy, i kontynuował: - Włócznia już od naszego pobytu w Radogoszczy znajduje się poza opieką Srogosza. Niebawem, jeżeli nie już, zacznie działać przekleństwo. Wasz Rujewit nic tu nie wskóra, obyś się o tym nie przekonał, gdy będzie za późno. Przyznaj, czcigodny Haranzo, nie zauważyliście pośród was pierwszych objawów?

Haranza, podobnie jak pozostali kapłani, wpatrywał się w trakcie wywodów z narastającym przerażeniem raz w Bernarda, raz w Srogosza. Na pytanie Saksończyka skinął jedynie w niepewności głową i wymamrotał:

- Nasz święty koń... nie może być...

Raptem siedzący po jego lewej stronie kapłan spadł z pieńka i począł wić się w konwulsyjnych drgawkach. Twarz mu zbladła, na skórze pojawiły się obrzydliwe krosty, niemal wrzody. „Medyka, medyka!”, wołali na przemian kapłani, nie odważając się na zbliżenie do nieszczęśnika.

Między drzewkami zagajnika pojawił się jakiś uzbrojony wojownik, pewnie jeden ze strażników świątyni, i odkrzyknął: „Medyk umiera, cierpi jak nasz święty koń!”. Po chwili nadeszło więcej zbrojnych i ponieśli dotkniętego chorobą kapłana w stronę budynku za świątynią.

- Koń?! Waszego świętego konia dopadło przekleństwo?  
- zakrzyknął z wielce udawanym oburzeniem Bernard. - Haranzo, każ natychmiast przynieść włócznię i przekaz Srogoszowi, póki nie jest za późno! Zanim Srogosz zedrze sobie skórę do krwi. Wtedy nic już was nie uratuje!

Zerwani z pieńków kapłani, zbiwszy się w ciasną grupkę, dyskutowali zawzięcie między sobą. Do Bernarda i Srogosza dolatywały jedynie pojedyncze sylaby i słowa. Na koniec podszedł do nich Haranza. Srogosz drapał się już po głowie i plecach.

- Zniszczymy włócznię - orzekł kapłan. - Przetopimy ostrze, zmielimy złoto na pył i rozsiejemy na morzu, a drzewce spalimy. Zniszczymy działanie klątwy.

- Rób, jak chcesz - Bernard odzyskał raptem spokojny, opanowany głos. - Zaraz sścieżnie wasz święty rumak, po nim kapłan i jeżeli dobrze posłyszałem, również medyk. Po nich przyjdzie kolej na was wszystkich. Oprócz chrześcijan na wyspie, ale to zapewne tylko ja i moja drużyna, no i może paru kupców. Grozisz zniszczeniem włóczni? Proszę bardzo, tyle że będzie to krok nieodwracalny. Klątwa jeszcze bardziej spotęguje swą niszczycielską moc. Wszyscy zemrzecie w męczarniach, a na koniec wasza sławetna Rugia zapadnie się pod falami Bałtyku. Chcesz

zaryzykować? Mało ci dotychczasowych dowodów? Z koniem, kapłanem i medykiem? Nakaz przyniesienie włóczni i wręcz ją Srogoszowi do ręki. Wtedy usiądziecie ponownie na pieńkach i przekonacie się, co się stanie. Zapewniam cię, że dotknięci klątwą powrócą do zdrowia, jak długo Srogosz będzie trzymał włócznię. A całe przekleństwo zaniknie, gdy opuścimy waszą wyspę. Oczywiście z włócznią.

Przyniesiono włócznię. Srogoszowi niemal łzy spłynęły po twarzy. Ale ukrył emocje, chwycił włócznię w obie dłonie i położył sobie na kolanach. Zapadła cisza. Bernard wpatrywał się w kapłanów, kapłani w Srogosza, Srogosz we włócznię. Gdy mijało południe, Bernard spojrzał nieznacznie w niebo i pomyślał, że jeżeli szpieg Dunmara nie podał na czas odtrutki, to po nich. Upieką ich żywcem na ogniu.

Nie upieczono ich na ogniu. Szpieg Dunmara spełnił zadanie, odtrutki poczęły działać, gdy słońce nieznacznie schyliło się ku zachodowi. Od strony świątyni nadbiegli podnieceni z wrażenia strażnicy.

- Choroby odchodzą! Święty rumak stanął na kopyta, krosty odpadły, kupsko wielkie narobił. Medyk i kapłan też dochodzą do siebie!

\* \* \*

Bernard i Srogosz z przewieszoną przez ramię włócznią zapakowaną w pokrowiec z miękkiej jeleniej skóry powrócili do oczekujących na zewnątrz Gromosława

i pozostałych. Pytaniom i odpowiedziom nie było końca. Gromosław przerwał w końcu dyskusję i pognął wszystkich w drogę w stronę oczekującego na nich w porcie statku. „Nie czekamy na Radankę?”, spytał niespodziewanie Wojomir. „Radanka zostaje tutaj”, odparł krótko twardym, pozbawionym emocji głosem Randulf, „oznajmiła mi dzisiaj z rana”. Widząc wyraz jego twarzy, nikt z przyjaciół nie ważył się go dalej nagabywać.

## IX

# *Møn*

Trasa morska wiodła na zachód wodami zatoki, następnie na północ, a na koniec wzdłuż zachodnich obrzeży długiej, powyginanej jak wąż i bardzo wąskiej wyspy Chycina, od strony otwartego morza. W normalnych, niezimowych warunkach pogodowych popłynęliby wodami wąskiego gardła pomiędzy Chyciną a Rugią, teraz jednak z wolna pokrywających się lodem. Podróż miała potrwać całą resztę dnia, do późnego wieczora, zanim dopłyną do zatoki Wyszomirskiej, gdzie przejęci zostaną przez eskortę okrętów obodryckich.

Po dwóch godzinach żeglugi, już po zachodniej stronie Chyciny, napotkali zbliżające się od północy trzy rańskie okręty patrolowe. Żadnych zagrożeń, mogą płynąć dalej. Żadnych wrogich jednostek grasujących po wodach między Rugią a duńskimi wyspami. No tak, zapomnieli, że przecież Rugia znajdowała się w stanie permanentnej wojny z Danią.

A ponieważ los nie obchodził się łaskawie z Gromosławem i jego przyjaciółmi, niebawem, godzinę po minięciu rańskiego patrolu, spotkała ich przykra niespodzianka. Niebezpieczeństwo nadeszło od strony

majaczej po prawej stronie Chyciny. Siedem okrętów pracujących szybko w ich kierunku. Siedem długich okrętów duńskich typu *langskipa*, po trzydzieści tarcz i wiosł na każdej burcie. Przyczajonych dotąd w zakolach Chyciny, czekających cierpliwie na ofiarę. I się doczekały. Duńczycy przeszli do zaplanowanego manewru. Dwie jednostki pomknęły ukośnie na północ, a dwie na południe, odcinając im drogi ucieczki. Trzy pozostałe, nie zmieniając kursu, pręły fale w ich kierunku. Mogli jeszcze obrócić na zachód, co też zrobili, ale jak długo można uciekać przed szybkim przeciwnikiem? To znaczy, jak długo mógł uciekać ich statek kupiecki, wyposażony zaledwie w dwanaście wiosł, bez żagla? Na zastanawianie nie było zresztą czasu, wszystko przebiegało bardzo szybko. Duńczycy utworzyli teraz zbliżające się półkole, niebawem jednostki na północnym i południowym krańcu wyprzedziły ich. Znaleźli się w potrzasku. Dobrze, że weszli na pokład w pełnym uzbrojeniu. Siedem bojowych okrętów, razem co najmniej trzystu wojowników na pokładach, przeciwko dwóm rańskim jednostkom. W tym tylko jedna, sneka, z czterdziestoma rańskimi wojownikami, nadająca się do walki morskiej. Drugi statek, a właściwie większa łódź, z sześciuosobową grupą Gromosława, jednym rańskim sternikiem i sześcioma rańskimi wiosłarzami nie przedstawiała żadnej wartości bojowej.

- Wojomir, chwytaj za łuk! A my włóczniami w nich! - zakrzyknął Gromosław. - Pokażcie, co potraficie! A reszta wiosłować ile tchu!



Raptem płynąca obok, mająca ich chronić, rugijska sneka wykonała pod kątem skręt w ich stronę i przepłynęła wzdłuż prawej burty, łamiąc im wiosła. W tym samym momencie sternik i wiosłarze poczęli przeskakiwać do przepływającego okrętu rodaków, który następnie szybko oddalał się w zachodnim kierunku. Czterech nie doskoczyło i potonęli w lodowatych odmętach, ale sternik i jeszcze jeden zdołali się uratować. Ranowie, stare morskie rzezimieszki, zostawili ich na pastwę Duńczyków, bez możliwości manewru i dalszej ucieczki, licząc, że napastnicy zaniechają pościgu za szybkim rańskim okrętem, skupiając się na łakomym kawałku unieruchomionej przynęty. Nieco się przeliczyli. Cztery duńskie okręty, nie zwalniając tempa, pomknęły za nimi. Natomiast wokół grupy Gromosława stłoczonej na niewielkim stateczku pętla zacieśniła się ostatecznie. Bój wisiał na włosku. Nierówny wobec przygniatającej przewagi przeciwnika. Duńczycy, okrutnie opancerzeni ozdobnymi zbrojami i hełmami, oblepieni kolistymi tarczami, wystawili na pokaz broń. Na tę śmiertelną odległość, nieledwie dziesięć metrów z każdej strony, wystarczyłoby zarzucić ich włóczniami i toporami, to utonęliby pod ich ciężarem razem z łodzią. Wojomir wahał się z nałożoną na napiętą cięciwę strzałą. Srogosz zacisnął mocniej rzemienie przyczepionej na plecach włóczni świętego Maurycego. Randulf odrzucił tarczę i stanął hardo w rozkroku, trzymając w prawej ręce miecz, w lewej rodowy longobardzki sztylet. Czambor i Bernard przyłgnęli

do siebie plecami, ściskając oburącz topory bojowe. Widząc, że nie mają najmniejszych szans, Gromosław nakazał swoim przerwanie walki. Poddali się.

Duńczykom przewodził Guttorm, jarl na wyspie Møn, do której niedaleko z północno-zachodnich krańców Rugii. Siedziba jarla znajdowała się w portowej osadzie Hielm na południowo-zachodnim wybrzeżu wyspy. Guttorm wybudował na niewielkim wzniesieniu powyżej portu własne siedlisko, otoczone niewysokim wałem z palisadą, dwiema bramami wjazdowymi i kilkumetrową drewnianą wieżyczką nad południową bramą, z której wzrok sięgał po daleki horyzont Bałtyku. Wewnątrz siedliska znajdowały się warsztaty, kuźnia, stajnia, budynki gospodarcze, domostwa dla członków drużyny jarla i górująca nad wszystkim podłużna obszerna hala.

\* \* \*

Po dobieciu do Hielm zawleczono ich zakutyh w kajdany do przestronnej hali jarla i ustawiono na wolnej przestrzeni pośrodku rozstawionych wokół ław i długich stołów. Przed nimi rzucono na ziemię cały wieziony na łodzi dobytek, wraz z ich uzbrojeniem i bronią. Trzepoczącego się Srogosza musiało trzymać czterech wojowników naraz, za ręce i nogi, dopiero piąty odwiązał mu z pleców włócznie i rzucił na piętrzący się przed uwięzionymi stos przedmiotów stanowiących ich mienie. Stali ściśnięci w kupę, pobici, umęczeni, wściekli, rozglądając się wokół z niemocą. Hala poczęła wypełniać się wojownikami.

Guttorm zasiadł na szczycie poprzecznego do nich stołu, otoczony z lewej i prawej strony gronem zaufanych, pośród których zauważyli księdza. Podstarzałego, ze sterczącymi w nieładzie włosami i przybrudnej szacie, ale z twarzą wyrażającą kojące miłosierdzie. Głos zabrał Guttorm. Znał dobrze zrozumiałe dla nich pomorskie narzecze:

- Coście za jedni? Wyglądacie na upstrzańców z rozmaitych krain. Ten mały, gnomowaty, co z włócznią się opierał, przypadł mi do gustu - po czym roześmiał się rubasznie, rozglądając wokół, czy żart przypadł wszystkim do gustu. Gdy rechot nieco opadł, jarl podjął na nowo: - Mówcie!

- Gadasz po słowiańsku, to po co pytasz, kim jesteśmy?

- rzekł mu na to buńczucznie Gromosław.

- Bo Guttorm za głupi na nauki języków! - zaśmiał się wojownik nieopodal jarla. Ponownie hałą wstrząsnął rechot i stukanie kubłów z metem.

- Jesteśmy ważnymi posłami Bolesława, władcy Polski. Trzech Polaków, jeden Niemiec, jeden longobardzki książę i jeden Połabianin.

- I co z tego? - zapytał Guttorm.

- To z tego, że niesłusznie nas więzisz. Polska z Danią w sojuszu, Bolesław wujem waszych królów. No i nie po chrześcijańsku.

Guttorm udał zdziwienie.

- I co z tego, powtarzam. Pisma macie? Nie macie. Dowody jakieś, glejty, znaki? Nie. Niemiec, Italianiec, Polacy i Połabianie? Bolesław zrobił się jakiś

międzynarodowy nagle? Szpiegami jesteście, banitami albo zamachowcami, ot, co o was myślę - zakrzyknął. - Wokół Rugii się kręciliście, z przeklętymi Ranami trzymacie. Do klatek z nimi! - rozkazał.

Jeszcze na odchodnym dojrzeli, jak wojownicy rzucają się na ich dobytek.

Na zewnątrz przylegała do hali obszerna szopa. Tam ich wtrącono, każdego do osobnej klatki z drewnianych słupków, wysokiej na półtora metra. Przed zapadnięciem wieczora dwie kobiety przyniosły im jadło i napitek. Następnego dnia w szopie pojawił się zauważony w hali duchowny. Podszedł do nich i nawiązał rozmowę:

- Po ślubach kościelnych przybrałem imię Andreas. Jestem księdzem w kapliczce Guttorma, wzniesionej przeze mnie przed dwudziestu laty, przylegającej od zachodniej strony do hali jarla. Przykro mi z powodu traktowania was, Guttorm jest chrześcijaninem wprawdzie, lecz obyczaje szerzy gorszące. Wokół niego same zbiry mu podobne.

- Mam nadzieję, że dotrze do niego, com rzekł. - Gromosław spojrział na Andresa z nadzieją. - Chyba nie podniesie ręki na ludzi Bolesława, władcy Polski?

- Guttorm? Do wszystkiego jest zdolny. Rozmawiałem z nim, próbując przemówić do rozsądku. Obiecał, że wyśle gońców do Polski dla wywiedzenia się, znaczy sprawdzenia, czyście prawdę mówili. Przed godziną opuścili Møn w przebraniu kupców, kierując się w stronę Gdańska.

- Nie prędzej wysłać posłańca do króla Haralda? - zaproponował Bernard. - Albo jeszcze lepiej bezpośrednio

do Świętosławy, siostry Bolesława? Podobno królowa rezyduje w stołecznej Roskilde. Ile trwa podróż statkiem z Møn na Zelandię? Kilka dni?

- Obawiam się, że sprawy nie wyglądają tak prosto, jak wam się wydaje. Guttorm wpadł w wielką niełaskę u Haralda i dworu królewskiego. W każdej chwili spodziewam się tutaj najazdu królewskiej ekspedycji karnej - odparł Andreas, rozłożywszy ręce na znak niemocy. Po kolei wyjaśnił im aktualną sytuację:

- Ojciec Guttorma, pochodzący z północnej Jutlandii, dokonał wielkich czynów wojennych, służąc wiernie koronie królewskiej pod rządami Swena Widłobrodego. Tak wielkich, że Swen obdarzył go godnościami, włościami i przyjął do osobistej drużyny. Wtedy Guttorm rozpoczął karierę wojenną u boku ojca, towarzysząc mu we wszystkich wyprawach Swena. W 1013 roku w trakcie najazdu Swena na Anglię ojciec Guttorma zginął w wielkiej bitwie pod Londynem. Guttorm powrócił na krótko do Danii, zamierzając pochować szczątki ojca w rodzinnych stronach. Niebawem, w 1014 roku, zanim Guttorm ponownie wyruszył do Anglii pod sztandary Swena, król Danii zmarł. Jego synowie podzielili się władzą: Kanut zajął się dalszym podbojem Anglii, Harald zaś włożył na skroń koronę Danii. Coś tam musiało zajść nieprzyjemnego pomiędzy Guttormem a Kanutem, w każdym razie Guttorm powrócił do Danii. Harald przyjął go na służbę w uznaniu zasług ojca, mianował jarlem na Møn, oddając pod zarząd pięć z dziewięciu królewskich posiadłości na wyspie,

i zobowiązał do obrony podległego terytorium. Obrony przed kim? Wiadomo, przed waszymi pobratymcami – wyjaśniał Andreas, kierując słowa do Gromosława, Czambora, Srogosza i Wojomira. – Do walki ze Słowianami: głównie z morskimi rozbójnikami, czyli chąśnikami rozplenionymi po kryjówkach duńskich wysp, ale nie tylko, także z najazdami Ranów, Pomorzan, Obodrytów oraz Chyżan i Czrezipienian z lutyckiej, nadmorskiej części Połabia. Guttorm szybko pokazał, na co go stać, dając w pełni upust swej waleczności i przywódczym talentom. Zebrał wokół siebie drużynę znakomitych, a jednocześnie oddanych mu wojowników. Wybudował punkt obronny w Hielm, skąd zarządzał wyspą. Bronił nie tylko wód wokół wyspy. Wielokrotnie podejmował wyprawy wojenne, przeważnie przeciwko Ranom i Pomorzanom, u ujścia Odry. Niestety, wbrew królewskiemu zakazowi nie stroni od łupienia przygodnie napotkanych statków handlowych, nawet tych płynących pod rodzimą duńską flagą czy zaprzyjaźnionych z nami Norwegów. Dla Guttorma liczy się tylko jedno: zdobycz, łupy i wojenna sława. Rosnące błyskawicznie uznanie uczyniło zeń popularnego wodza, co przysporzyło mu coraz liczniejszej grupy gromadzących się wokół niego wojowników. Piętrzyły się też wydatki związane z utrzymaniem powiększającej się drużyny, co z kolei powodowało, że Guttorm coraz częściej chadzał na wyprawy, z których większość była zwykłym rozbojem. Postępowanie Guttorma coraz bardziej niepokoiło Haralda. Król wysłał mu jedno upomnienie, drugie, trzecie, że ma

zaprzestać rozbojów, czasy wikingu odeszły na zawsze, żeby zredukował liczebność drużyny i nie napadał na statki kupieckie. Guttorm za każdym upomnieniem przyrzekał pokornie poprawę i trzymanie się ściśle królewskich nakazów. Czego dotrzymać nie mógł, taką już ma naturę. Po jakimś czasie napadł przepływającą w pobliżu Møn łódź kupiecką zdążającą z Gdańska do Haithabu. Kupców i załogę, wszyscy bez wyjątku chrześcijanie, o zgrozo, sprzedał Ranom na targ niewolników. Już pomijając obrabowanie łodzi, ale żeby chrześcijan w pogańską niewolę sprzedawać?! Pomimo moich usilnych upomnień, by tego nie czynił! Natychmiast wysłałem wiadomość Haraldowi. Król się wściekł. Wylądował na Møn na czele królewskiej drużyny i przybocznego rycerstwa, niemal tysiąc tarczy. Guttorm i jego ludzie posrali się ze strachu. Gdy Harald dotarł pod halę, Guttorm tarzał się przed nim kajajaco, błagając o wybaczenie i szansę zadośćuczynienia. Harald potraktował go surowo, choć jarlostwa nie odebrał. Z jednej strony, król jest niejako zdany na Guttorma, który skrupulatnie ściąga z wyspy podatki, chłopstwo trzyma w ryzach, pilnując, by nie rozkradali królewskich posiadłości, bo musicie wiedzieć, że cała ziemia, wody, lasy, pola są własnością korony, dba o dobro religii, na kościoły łoży, duchowieństwo wspiera, wód przybrzeżnych i osad przed chąśnikami broni, przepisane kontyngenty w łodziach i wojownikach na wyprawy dostarcza. Z drugiej strony, Guttorm swym zachowaniem, swym obnoszeniem się, podważa królewski autorytet, siłę militarną gromadzi, na

rozboje chadza. Jak za dawnych wikińskich czasów. Dlatego Harald narzucił mu kary. Na własny koszt, olbrzymi, Guttorm musiał wykupywać pechowych gdańszczan z Rugii, sownie ich wynagrodzić i własnymi statkami eskortować na bezpieczne wody Zatoki Gdańskiej. Dodatkowo Harald nakazał mu zredukowanie drużyny ze stu dwudziestu do maksymalnie sześćdziesięciu wojowników, czego Guttorm oczywiście nie dotrzymał i gdy tylko okręty królewskie opuściły Møn, powrócił w najlepsze do starych praktyk. Mało tego, rozwścieczony na mnie za donos, narzucił mi areszt. Poruszać się mogę swobodnie jedynie po terenie ograniczonym wałem, nie wolno mi się z nikim kontaktować, nawet z obsadą kościoła w najbliższej osadzie. Nieustannie towarzyszy mi jeden z ponuraków Guttorma. Teraz też stoi przed wejściem do szopy. Nie wiem, naprawdę nie wiem, co wam powiedzieć na temat waszej przyszłości. Chyba sam Guttorm nie kontroluje już swych poczynań.

Nie zdając sobie sprawy z ważności informacji, Andreas najgorszą zachował na sam koniec, gdy Srogosz spytał go:

- A co z włócznią?

- Włócznią? - W pierwszej chwili zdeorientowany-Andreas nie krył zdziwienia, że w ich sytuacji pytają o jakąś broń.

- Włócznia - nastawał Srogosz. - Owinięta w skórzany pakunek. Wczoraj jeszcze leżała na wierzchu naszego dobytku.



- A, włócznia - zaskoczył Andreas. - Nie ma włóczni. Zniszczyli. Jak rozdrapywali wasze dobro, któryś z nich wyrwał włócznię z pokrowca, pooglądał, pooglądał... i połamał, położywszy na dwóch kamieniach. Tylko grot zachował, bo złotem się mieni. Chciał już w ogniu przetapiać...

- Przecież tam gwóźdź z...! - wydarło się Srogoszowi, ale zamilkł raptem, upomniany sykami pozostałych.

- Wiem! - przekrzyknął go Andreas. - Gwóźdź, jeden z wojowników obwinął go naokoło palca, a potem wrzucił do paleniska.

Srogosz zamilkł, miotając się po ciasnej klatce niczym rozdrażniony żbik. Dalsze słowa Andreasa wcale go nie uspokoiły:

- Rzuciłem się do wojownika, wyrwałem mu grot i w ostrych słowach wyjaśniłem Guttormowi, że nie wypada niszczyć tak misternej roboty. Że może poświęcona? Na nic. Wrzucił grot do tygla, topiąc złoto. Ale udało mi się uratować niektóre wasze rzeczy.

- Jakie?

- Uzbrojenie, broń, wszystkie pergaminy Randulfa i torbę Srogosza z malunkami.

- A głowa Maurycego? - spytał Bernard.

- Najpierw się zastanawiali, co z nią zrobić, ale stwierdziwszy, że bezwartościowa, stracili zainteresowanie. Poturlałem ją w kąt hali na wypadek, gdyby któremuś przyszła ochota roztrzaskać ją maczugą, a później wyniosłem do mojej izby.

Milczeli. O czym tu rozprawiać? Wszystko przepadło. Włócznia zniszczona, relikwia zniszczona. Zawiedli, nie wypełnili misji. Zawiedli Bolesława. A tyle już przeszli, by ją odzyskać... Gromosław może zapomnieć o ożenku z Matyldą. I tkwili w beznadziejnym położeniu, w rękach szalonego jarła, bez widoków na ocalenie.

- Naprawdę nie masz żadnych możliwości przesłania wieści na zewnątrz? - zapytał Gromosław Andreasa.

- Żadnych - odpowiedział ksiądz. - Zresztą do pierwszych roztopów, dopóty wody niezeglowne, komunikacja między wyspami praktycznie zawieszona.

- Kiedy będzie można żeglować?

- Zimą zapowiadają łagodną, pewnie już z połową kwietnia ruch na Bałtyku na nowo ożyje. Zobaczymy, co przyniesie przyszłość - kończąc rozmowę, Andreas zabierał się do opuszczenia szopy.

- A my?

- Nie wiem. Nie wiem tak naprawdę, co Guttorm z wami zamierza. On chyba sam nie wie, co zrobi za kilka dni, nie mówiąc o miesiącach. Żyje jakby z dnia na dzień. Na wiosnę, jak już wspomniałem, może tu zawitać Harald, by ostatecznie pozbyć się Guttorma. Harald nadszedłby pewnie już tej jesieni, ale skoncentrował się na militarnym wspieraniu brata Kanuta w Anglii. Na wiosnę jarł rozpocznie swoje wyprawy, i te dozwolone, i te rozbójnicze. Przecież pojawią się wtedy Słowianie, z którymi trzeba walczyć.

\* \* \*

Zimowe miesiące w niewoli jarla Guttorma dały im się we znaki. Niedożywienie, brak ruchu, nuda, rozgoryczenie spowodowane utratą włóczni, brak ciepła i słońca, żadnej perspektywy na poprawę sytuacji, wszystko naraz trawiło ich codzienną torturą. Tracili siły ducha i ciała. Bezczynność uatrakcyjniali sobie opowieściami. Wojomir nareszcie znalazł czas na opisanie nieludzkich szczekujów i wraszaków-straszaków, którymi tylekroć straszył. Na wstępie objaśnił, że na Połabiu roi się od przeróżnych stworków i dziwotworów, rzadko widocznych dla człowieka, lecz zostawiających mnóstwo śladów, które trzeba umieć odczytać. Większość z nich jest nieszkodliwa dla ludzi, nawet pożyteczna w ten czy inny sposób, gdy się o nie odpowiednio dba. Na przykład mrucczaje, zamieszkujące po kątach każdego domostwa, dbają o spokojny sen mieszkańców, jeżeli co wieczór wystawi im się z lewej strony progu miseczkę z jadłem, ale tylko z kaszą gryczaną. Odpowiednio nasycone, omaszczone jadłem, czuwają, by z nocą do izby nie wpełzły złe i złośliwe kreatury. Dla dorosłych niewidoczne, podobno zauważalne tylko przez dzieci. A rozpoznać je można po charakterystycznym przytłumionym mrucczeniu, podobnym nieco do kociego. Nie, to nie koty, tylko mrucczaje, oponował Wojomir na podśmiewania Czambora. Inna sprawa ze szczekujami i wraszakami-straszakami. Szczekuje, jak już kiedyś napomknął, są małe, nie większe od połowy pięści człowieka, zwinne, okrutne, z potrójnym rzędem spiczastych zębów w szerokiej gębie. Zębów jak

u wściekłego bobra. Nie atakują same z siebie, trzeba je przywołać specjalnymi zaklęciami i znakami i wskazać ofiarę. Na szczęście równie łatwo je odgonić, jak przywołać, aczkolwiek trzeba na to znać sposoby. Na Połabiu każdy o tym wie od dziecka. Jednak najgorsze ze wszystkich są wraszaki-straszaki. Podobno od samego początku tworzenia świata najbardziej nieudany pomysł, na jaki mogli wpaść bogowie. Potrafią przybrać ludzką postać. Niewielkiego wzrostu, obrzmiałe z sadełka, z małymi świńskimi oczkami osadzonymi w pulchnej gębie. Różowo-blada skóra. Niewiadomej płci, strach pomyśleć, jak się rozmnażają, aczkolwiek ludzie, którzy mieli okazję je zobaczyć, twierdzą, że to na pewno nie kobiety. Wraszaki-straszaki nienawidzą samych siebie i całego świata, jedynym pędem trzymającym je przy istnieniu jest sianie nienawiści do człowieka, na którego się uprą, czynienie mu złości, podjudzanie przeciwko niemu innych ludzi. Ponieważ nie są zdolne do przyswajania nauk, nienawidzą przede wszystkim ludzi rozumnych, wybijających się ponad innych, mających coś do powiedzenia. Dokuczają swojej ofierze na wszelaki sposób, rozniecając w jej otoczeniu kłamliwe pogłoski, negując jej wiedzę, namawiając do nienawiści.

- O, tak - przerwał Wojomirowi Bernard - pełno takich wraszaków-straszaków na świecie, pełno. To nie tylko połabski specjał.

Za którymiś odwiedzinami księdza Czambor nie wytrzymał i zadał mu pytanie, na które pozostali czekali od

samego początku niewoli. Aż się do tej pory niepokoił, dlaczego Czambor tak długo zwlekał:

- Znasz jarla Halldórra z wyspy Ærø?

- Jarla Halldórra? - Andreas nie krył lekkiego zaskoczenia. - Nie. Z wyspy Ærø? Nie. O ile mi wiadomo, tam od ponad dziesięciu lat zarządza Ubbe, jeszcze z nadania Swena Widłobrodego.

- Nie może być! - Czambor zacisnął palce na prętach klatki. - Wiem na pewno, że jarlem jest Halldórr!

Andreas obserwował go w skupieniu, przeglądając w myślach wszystko, co wiedział o Ærø. Nagle twarz mu rozpromieniała.

- Halldórr, powiadasz? Czeka, czeka, Ubbe ma syna imieniem Halldórr. Może jego masz na myśli?

- Ile on ma lat?

- No, mniej więcej w twoim wieku, chyba jeszcze dwudziestu pięciu nie przekroczył. Teraz sobie dokładnie przypominam. Dorodny i wielce zacy młodzienc. Znakomity wojownik, który gdy trzeba, rozumem się kieruje. Pobożny, jak przystoi. Charyzmę roztacza, rówieśnicy go uwielbiają, ale do głowy mu nie uderza. Tradycje i starszych szanuje, królowi i koronie wiernie oddany. Nie tylko ojciec z niego dumny, lecz także i Harald królewskiej łaski mu nie szczędzi. To jakiś twój przyjaciel, znajomy?

- Przyjaciel?! - zawył niemal Czambor. - To zbir, bandyta, złodziej!

Wybuch Czambora wystraszył Andreasa. Ksiądz skulił się i rozglądał strachliwie po pozostałych. Konsternację przerwał Randulf:

- Wybacz, pobożny kapłanie, Pomorzaninowi odbija, bo chodzi o jego siostrę...

- Nie wtrącaj się - rzekł do Randulfa Czambor. - Lepiej zważaj na swoje przygody z pogankami.

- Radanki to ja już nie zobaczę - zasepił się Randulf. - Rzuciła mnie dla tego Miłobrata.

- Bo Randulf - zaczął objaśniać Wojomir Andreasowi - zakochał się w wojowniczej Wkrzanów, zapartej pogance. Później zapłacił za nią dwa złote bizantyjskie denary wielkości ucha, aczkolwiek niepotrzebnie, bo ona i tak miała opuścić z nami Radogoszcz. Za co Radanka odwdzieczyła się biednemu Randulfkowi, rzucając go na Rugii dla innego książęcego syna... bo Randulf też książęcej krwi.

Niespodziewanie Czambor wziął Randulfa w obronę, dogryzając Wojomirowi:

- Ty uważaj na swoje miłostki, ty nie wiadomo ile razy chrzczony. Naśmiewa się z innych - tu zwrócił się do Andreasa - a sam zakochał się w malowidełku na kawałku brzozy kory...

- Baran jesteś - odciął się Czamborowi Wojomir. - Wełna ci głowę wypełniła...

- ...a Srogosza już traktuje jak teścia - nie ustępował Czambor.

Poczęli się kłócić, nie zauważywszy, że Andreas wymknął się cichaczem z izby.

Pewnego razu Gromosław zaprotestował, że nie wytrzymają dłużej bez ruchu, ściśnięci w ciasnych klatkach. Guttorm bez większych ceregieli zagnał ich do podłych robót. Chcą ruchu, to proszę bardzo. Wyprowadzano ich często połączonych nawzajem linami w otoczeniu kilkunastu strażników i gnano do robót. Przeważnie wycinanie drzew, obróbka i transport drewna. Dla urozmaicenia szorowanie pokładów łodzi zacumowanych pod hangarami lub pielęgnowanie licznych koni w stadninie. Po prawie sześciu tygodniach trzymania ich w klatkach Guttorm zdecydował się na poprawę ich niedoli. Zostali przeniesieni do oddzielnie stojącej chaty z jednym wejściem i niewielkim oknem z kratą. Niedaleko hali. W środku znajdowały się leża, stół z dwiema ławami, palenisko z wypalanej gliny pośrodku i wielki głaz w lewym kącie izby, wokół którego najwyraźniej zbudowano chatę. Z głazu wystawała masywna żelazna obręcz z przymocowanymi doń sześcioma długimi na kilka metrów łańcuchami. Po jednym łańcuchu na każdego z nich, przymocowanym do prawej łydki. Po izbie mogli poruszać się swobodnie, uważając jedynie, by nawzajem nie poplątać łańcuchów. Naokoło chaty nieustannie patrolowało czterech strażników.

W miarę przedłużania się zimowej pory Duńczykom poczęło odbijać. Na dobre. Dniami i nocami z hali dolatywały odgłosy hulank, bijatyk, wrzaski, śmiechy,

harmider. Nuda odbierała im resztki rozumu. Nie wróżyło to nic dobrego dla uwięzionych. Złe przeczucia sprawdziły się, gdy pewnego razu zagnano ich do obróbki grubych drzew ściętych poprzedniego dnia. Czterech strażników, przysiadłszy na pieńkach, przyglądało się ich mordędze, racząc się piwem i sprośnymi żartami.

- Ten mały staruch - zauważył jeden z wartowników, mając na uwadze Srogosza - wywija toporem jak na prawdziwego wikinga przystało. W młodości musiał okrutnie wojować.

- Zaraz wiking - parsknął pogardliwie inny wartownik. - Gdzie tam Słowianom do nas!

- Do nas? - wzburzył się z kolei trzeci z Duńczyków. - Chyba dawnymi legendami żyjesz albo pieśni skaldów cię odurzyły. Ile razy walczyłeś ze Słowianami?

Zapytany prychnął pogardliwie przez wydęte wargi:

- Ilu naszych bohaterów przydomkiem „Zabijacz Słowian” się ozdabia? - To rzuć toporem w tego starucha i nazwij się „Zabijaczem Słowian”, tyle wart taki przydomek, co smarknięcie.

- Sam rzuć, idioto, zobaczymy, czy w ogóle trafisz.

Nabijający się ze Srogosza wartownik nie odpowiedział na zaczepkę. Podszedł do Srogosza z toporem przygotowanym jak do uderzenia. W tym momencie Srogosz odwrócił się niespodziewanie od obrabianego pniaka i zamachnął błyskawicznie niewielką siekierką. Wartownik zdębiał, widząc własny palec, ten najmniejszy, odrąbany w kałuży krwi na śniegu. Zawył z bólu. Zrobiło się



zamieszanie, pozostali wartownicy obezwładnili Srogosza, sprowadzono pomoc. Wkrótce nadszedł Guttorm. Jarl wysłuchał uważnie wyjaśnień wartowników. Zgromadzeni wokół jarla wojownicy żądali głośno pojedynku ze Srogoszem. Guttorm podszedł do piastowskiego weterana, wznosząc rękę, by zaprzestali pokrzykiwań. Zapadła cisza. Jarl długo i uważnie wpatrywał się w spokojne oblicze Srogosza, po czym rzekł:

- Nie będzie pojedynku. Żaden honor starucha pokonać, a z drugiej strony niebezpieczny on nadal, sękaty i zacięty. Nie chcę tracić ludzi.

Aż nadeszły gwałtowne roztopy, przedwiośnie wzięło świat w posiadanie.

Początek kwietnia 1017 roku.

\* \* \*

Odwiedzający ich często Andreas zapowiadał, że lada chwila Guttorm wyruszy okrętami na morze. Wyprawi się na Słowian, pewnie najedzie wybrzeża Rugii.

Stało się jednak inaczej. Słowianie pierwsi przyszli do niego, a splot następujących po sobie zaskakujących wydarzeń odmienił los Gromosława i jego grupy.

Pewnego świtania ze snu wyrwał ich harmider. W siedlisku jarla zapanowało przedbitewne zamieszanie. Zewsząd okrzyki komend, nawoływania, rzenie koni, szczęk oręza. Andreas wpadł do nich, wołając: „Guttorm idzie na wyprawę”. „Dokąd?”, zawołali za nim. Bez odpowiedzi, strażnicy zdążyli odciągnąć księdza od framugi. Dopiero po

trzech godzinach dowiedzieli się więcej od kobiety przynoszącej im codziennie posiłki. Zresztą Słowianki z wybrzeża Czrezipienian, spod Wołogoszczy, w niewoli od pięciu lat. Sprzątając w hali po całonocnej hulance wojowników, podsłuchiwała, jak do śpiącego przy stole jarła podbiegł zadyszany wojownik z wiadomością. Szpiedzy donieśli, że z Norwegii płyną w kierunku Haithabu dwa wielkie okręty. Oficjalna delegacja norweskiego króla do Haralda. Duży drakkar wypełniony wojownikami i stanowiący osłonę mniejszego od niego snekkar, transportujący dwóch ważnych norweskich duchownych, z których jeden był dalekim krewnym norweskiego króla. Po drodze okręty zatrzymały się kolejno w Konungahelli w Kattegacie, a następnie w Skanör na południowo-zachodnim cyplu Skanii. Na obu postojach ładowano do snekkara skarby kościelne, poza tym w Skanör do duchownych dołączył kolejny ksiądz przybyły z Lundu. A wraz z nim trzy skrzynie wypełnione srebrem, złotem i klejnotami. Stamtąd okręty zamierzały podążać do Haithabu, najpewniej najbezpieczniejszą trasą wiodącą przez cieśninę między Zelandią od północy a Møn i Falsterem od południa, następnie wzdłuż południowych obrzeży Langelandu i Ærø. Guttorm zamierzał napaść na norweskie jednostki, zanim te dopłyną do cieśniny między Møn a Zelandią. Na wieść o skrzyniach z kosztownościami i pozostałymi skarbami obudziła się w nim nieposkromiona natura piracka, nieostygła krew *wikingowania*. Wyruszył trzema langskipami, zabierając na pokład wyłącznie

wojowników własnej drużyny. Stu dziesięciu wiernie mu oddanych straceńców. Zawsze tak czynił, gdy szedł na nielegalną wyprawę, na rozbój. W siedlisku pozostał jedynie garnizon złożony z sześćdziesięciu wojowników zebranych z okolicznych osad i dziesięciu zaufanych z drużyny Guttorma. W porcie cumowały trzy pozostałe langskipy.

Gromosław i przyjaciele zaniemówili, słuchając nowin Słowianki. Napaść na delegację norweskiego króla? Czyżby Guttorm do końca postradał zmysły? Jeszcze nie ochłonęli na dobre, gdy ponownie pojawił się Andreas. Księdzu skamieniała twarz na usłyszane wieści. Rzekł jedynie: „Żegnajcie, uciekam do Haralda”, i zniknął.

Następnego dnia czekali niecierpliwie na rozwój wydarzeń. Kiedy wróci Guttorm? Czy faktycznie napadnie na norweską delegację? Czy Andreasowi udało się wymknąć z wyspy? Wiele pytań, wiele niewiadomych.

Tak minęły trzy tygodnie oraz cztery dni i noce. Na oczekiwaniu. Po Andreasie ani śladu, niechybnie uciekł. Dwudziestego szóstego dnia od wypłynięcia Guttorma, mniej więcej w południe, w siedlisku zabrzmiały dźwięki rogów. Alarm, niebezpieczeństwo! „Guttorm wraca, ale tylko jednym okrętem!”, usłyszeli nawoływania biegających na zewnątrz wojowników. I jeszcze: „Ścigają go! Chmara żagli! Czarnych żagli, Ranowie! Przekłete *Vinda!*”.

Vinda? Słowianie? Ranowie? Miotali się w izbie, płacząc nawzajem łańcuchy. Co się dzieje?! Zamierzenie Guttorma przebiegało początkowo zgodnie z planem. Przyczaili się na wschodnio-północnych wodach niedaleko Møn, czekając na

norweskie statki. Czekali cierpliwie ponad trzy tygodnie. W końcu doczekali się, od wschodu nadpłynęły oczekiwane okręty, kierując się na wody cieśniny, na północ od Møn. Guttorm nakazał postawienie czarnych żagli. „Niech myślą, że to Ranowie”, i rzucili się na ofiary. Norweski drakkar walczył zaciekle. Duńczycy dopadli go z dwóch stron dwiema jednostkami, szczepili burty bosakami i wtargnęli na pokład. Rozgorzała okrutna walka, wojownik przeciwko wojownikowi, w której Duńczycy ze względu na liczebną przewagę poczęli brać górę. Jednocześnie trzeci langskip Guttorma staranował snekkara. Po krótkiej walce i wybiciu zbrojnych Duńczycy poczęli przeładowywać skarby na własny okręt. Duchownych, członków norweskiej delegacji nawet nie wiązali, prawdopodobnie na rozkaz Guttorma zamierzano ich zamordować, by pozbyć się wszelkich śladów przestępstwa. Na tę chwilę rozbrzmiały podniecone okrzyki niektórych walczących wojowników, zarówno duńskich, jak i norweskich, wskazujących chaotycznie na południe, skąd w szybkim tempie nadciągały obce okręty. Liczne, ponad dwadzieścia. Wydęte korzystnym wiatrem czarne żagle, Ranowie. Nie było czasu na manewry, reakcje, gdyż Ranowie już wbijali się w szczepioną walką grupę Duńczyków i Norwegów. Dopiero teraz na dobre rozpoczęła się rzeź. Szalejący z wielkim toporem na norweskim drakkarze Guttorm w mgnieniu oka przeskoczył z niektórymi wojownikami na własny langskip i manewrując rozpaczliwie, zdołali odbić od kłębowiska walki. Podążyli w kierunku siedliska, ścigani przez osiem

rańskich jednostek. Tak dotarli do portu, za nimi w odległości pół mili Ranowie. Dojrzały ich strażę na palisadzie i wszczęły alarm. Guttorm, dobiwszy do brzegu, porzucił okręt i na czele pozostałej garstki wojowników z drużyny, nieco ponad trzydziestu, dotarli w zbawienną osłonę wału. Tymczasem Ranowie lądowali już w porcie i wylądowawszy wojsko, szykowali się niechybnie do szturm na Hielm. Guttorm, niedobitki z jego drużyny i sześćdziesięciu wojowników garnizonu. Niecała setka przeciwko ponad trzem setkom zaprawionych w bojach rańskich wojowników.

Guttorm wpadł do chaty z więźniami. Rozwiane jasnorudawe włosy splamione krwią, poszczerbiona zbroja, obie ręce zaciśnięte na wielkim toporze.

- Chcecie walczyć?! - zakrzyknął. - Dam wam wolność, jeżeli staniecie do boju! - Zanim, zdezorientowani, zdążyli cokolwiek powiedzieć, krzyczał dalej: - Najazd! Vindowie najechali wyspę!

- Jacy Vindowie? - zdołał wykrztusić Gromosław.

- Ranowie przekłęci! Diabły okrutne!

- A co nam do tego?

- We wschodniej części wyspy wylądowały ich główne siły - wyjaśniał chaotycznie Guttorm - może ze dwanaście okrętów, ponad czterystu wojowników. Zniszczą wszystkie osady, spalą kościoły, zagrabią dobytek lud wezmą w niewolę. A tam słowiańskie osady, Gorken sten, Polzegaart, Golcze høj, Rejse i inne. Poddani duńskiej korony, ale wasi pobratymcy.

- Kościoły spalą?! - zakrzyknął Czambor.

- Walczymy! - zawołał niespodziewanie Srogosz. - Ty dowódcą - rzekł spieszenie do Gromosława - ale ja tu najstarszym piastowskim wojownikiem. I rozkazuję: walczymy! Dania naszym sprzymierzeńcem, królowie rodziną Bolesława, królowa jego siostrą. A poza tym, rodacy czy nie, naszym obowiązkiem lud przed poganami bronić.

- Walczymy - zdecydował Gromosław.

Jarl wydał rozkazy, otwarto im obręcze łańcuchów, zniesiono szybko uzbrojenie i broń. Gromosław chciał już impulsywnie biec w stronę palisady, gdzie wrzała walka, lecz powstrzymał go Guttorm:

- Tutaj poradzę sobie sam. Już poczynają w obręb wałów ściągać na pomoc uzbrojeni chłopci z okolic. Bierz swoich ludzi i gnajcie końmi na wschód wyspy, ratujcie ludzi, domostwa, kościoły. Wysłałem już umyślonych, po drodze w każdej osadzie będą do was dołączać wojownicy leidangu, pospolitego ruszenia, chłopci to, ale równie dobrzy w boju, jak zbrojni na służbie.

- Chłopci? - Gromosław nie wiedział, jak zareagować.

- Bez obaw - uspokoił go Guttorm. - Oni z wojaczką obeznani, zarówno na lądzie, jak i na morzu, każdy dobrze uzbrojony: topory, tarcze, kolczugi, hełmy, włócznie, łuki, jeszcze żeś naszych chłopów nie poznał.

- Kto ma dowodzić?

- Oczywiście ty. - Jarl spojrzał na Gromosława z lekkim uśmiechem. - Myślisz, że nie wywiedziałem się, co wy za jedni tak naprawdę? Ty, słynny piastowski rycerz, o którego

wyczynach przy ogniach i po halach rozprawiają, nawet u nas skaldowie strofy układają. I twoi przyjaciele, jeden lepszy od drugiego. Dałem już wszystkim znać, że obejmujesz komendę nad odsieczą.

- Jacy skaldowie? - Gromosław zamarł z rozwartymi ustami.

- Żartowałem. - Jarl spoważniał, rzucił jeszcze okiem wokół i pobiegł w stronę palisady, gdzie wrzała bitwa.

- Daj mi paru ludzi! - zdążył za nim krzyknąć Gromosław. - Wiem, że na palisadzie ciężki szturm odpieracie i każdy topór się liczy, ale muszę jak najwięcej koni wyprowadzić, szybciej dotrzemy na wschód z tą chłopską zbieraniną.

Guttorm miał rację, już w pierwszej mijanej osadzie dołączyło do nich dwudziestu uzbrojonych. Na własnych koniach. Po pewnym czasie Gromosław pędził na czele stu czterdziestu wojowników, nie licząc przyjaciół. W jednym napotkanym ustronnym gospodarstwie, samotnie rozłożonym pośród rozległych pól, czekała na nich uzbrojona po zęby kobieta w towarzystwie pięciu podległych jej wojowników. Słowianka. Od trzech lat prowadziła samodzielnie zagrodę po tym, jak jej mąż, Duńczyk, zginął w walkach w Anglii. Po drodze dołączyły do nich kolejne wojowniczkki. Trzy Słowianki i osiem Dunek. „Schildmägde\*\*”, rzekła jedna w niemieckiej mowie. W połowie drogi grupa zwiększyła się do dwustu wojowników. Dołączali już tylko wyłącznie konni, po tym jak wyczerpał się zapas koni prowadzonych z Hielm luzem.

Wszystkim pieszym Gromosław nakazał podążać jak najszybciej ich śladami. Niebawem dojrzeli łuny pożarów nad lasami mającymi we wschodniej części wyspy. Po następnych dwóch godzinach dotarli na miejsce. Płonęła Gorken sten. Na przedpolu leżały trupy kilkunastu obrońców, poza tym całkowity brak ludności. I zwierząt. Guttorm wspominał, że osadę zaludnia około sześćdziesięciu mieszkańców. „Ranowie zabijają opornych, rabują dobytek i zwierzęta, uprowadzają w niewolę ludność i uchodzą na okręty po uprzednim spaleniu osady”, tak pokrótce nakreślił kiedyś Andreas postępowanie słowiańskich najeźdźców. Znakiem tego, pomyślał Gromosław, zagony rańskie kierują się ze zdobyczą w stronę morza. Przynajmniej ci, co byli tutaj; inne oddziały dopiero zaczynały plądrowanie kolejnych siedlisk. Wkrótce zbliżyli się do Golcze høi, podobnie zniszczonej jak Gorken sten. Mieli szczęście, z pobliskiego lasu wyskoczyło trzech chłopów wojowników i zdali im relację. Zdążyli się ukryć, gdy jasnym się stało, że nie podołają rańskiej nawale. Według ich słów Ranowie zacumowali okrętami w Klintholm Havn, wyładowali wojsko i ruszyli w północnym kierunku, zdobywając po drodze napotkane osady. W tym czasie ich flota opłynęła wschodni kraniec wyspy i zacumowała pod Sømarkegaard, na północno-wschodnim krańcu Møn. Tam czekają bez wątpienia na wojska lądowe i znoszące łupy mniejsze oddziały. W Sømarkegaard jest niewielki garnizon, dwudziestu wojowników, pewnie już padli pod nawałą. Znajduje się tam również największy kościół w tej części



wyspy, bogato uposażony w sprzęt liturgiczny. Dużo złota, srebra i klejnotów. W kościele pięciu duchownych. „Pod Sømarkegaard!”, wydał komendę Gromosław, „Tam rozegra się decydujące starcie!”. Raptem z lasu, z którego przedtem wybiegli uzbrojeni chłopci, poczęły się wyłaniać chmury rańskich wojowników. Kilkudziesięciu, stu, na koniec około dwustu. Któryś z ich większych oddziałów zapędzony za rabunkiem, podążający zapewne w kierunku zacumowanych łodzi.

Natychmiast rzucili się na nich ludzie Gromosława, nie czekając jego komendy. Zaskoczeni Ranowie, pieszo i obciążeni nagrabionym dobytkiem, z pętającymi się wokół nich gromadkami pobekujących owiec, nie mieli praktycznie szans. Jeźdźcy Gromosława, wbiwszy się ze wszystkich stron końmi w ich szeregi, siali wokół panikę i śmierć, siekając zapamiętale orężem. Pryskały rańskie tarcze i czerepy. Dopiero po jakimś czasie Ranowie przyszli do siebie, wojownicy zbijali się w grupki plecami do siebie, szczepiali tarcze, wystawiali włócznie przeciw atakującym. „Staaać!”, zaryczał raptem niesamowitym głosem Randulf. „Staać!”, pokrzykiwał na rozpalonych wokół bojem jeźdźców. Zeskoczył z konia, podbiegł do jednej małej zbitej grupki rańskich wojowników, wśród których rozpoznał... Radankę? „Radanka, wyskakuj z szeregu!”, zawołał do niej oddalony o kilkanaście metrów Randulf. „Tak, to ja, Randulf, wiedzmo przepiękna, nie poznajesz mnie?”. A gromadzących się z lewa i prawa rozdrażnionych sytuacją duńskich wojowników powstrzymywał rozczapierzonymi

ramionami: „To moja kobieta, dajcie jej spokój! Ranowie ją zniewolili!”. Wojowniczką nie wyskoczyła z szeregu, tylko odkrzyknęła: „Chodź tu, idioto, to posmakujesz mojego miecza!”. Teraz dopiero Randulf zrozumiał pomyłkę. To nie była Radanka. Z wściekłością rzucił się na szereg Ranów, za nim pozostali. Po krótkiej walce wycięli całą grupę napastników. Gromosław pogonił wszystkich do dalszych działań.

Dotarli pod Sømärkegaard od strony lądu. Z lekkiego wzniesienia roztaczał się widok na osadę i niewielki gród z kamienno-drewnianym kościołem imponującej wielkości. Z grodu prowadziła droga do wąskiej łąki wrzynającej się w wysokie nadmorskie klify i opadającej ku piaszczystej plaży z portowymi pomostami. Przy nich cumowała flota Ranów, dwanaście jednostek. Wokół okrętów krzątali się wojownicy, inne grupy kierowały się w stronę zejścia między klifami, eskortując pojmaną ludność, nagrąbiony dobytek i zwierzęta, wyłącznie owce i barany. W samym grodzie trwała jeszcze walka, rańskie zastępy szturmowały kościół; trudny do zdobycia, gdyż zbudowany na wzór twierdzy obronnej.

- Klify jak na Rugii - zauważył Czambor.
- Co z tymi klifami? - zapytał Gromosław.
- W mojej ojczyźnie znane są przypadki, jak morze wyspy na części przedzielało - wtrącił się Randulf. - Wyglądają jak dwa przekrojone kawałki tego samego bochenka...

- Nie, nie! - Wszyscy poczęli machać demonstracyjnie rękoma, jakby odganiaли się od wściekłych komarów. - Gromo, nie daj mu dalej bredzić - zaprotestował Czambor. - Słuchać już nie można tych przemądrzałości...

Gromosław zsiadł z konia, wyjął miecz z pochwy i nakazał ruszać do natarcia. Atak jazdą odpadał ze względu na porzeźbiony dołkami teren. Jedynie Bernard ruszył z kopyta na czele pięćdziesięciu jeźdźców w kierunku zejścia na plażę, zataczając łuk wokół pola, na którym za chwilę miało dojść do starcia. Zadaniem Bernarda było zasianie paniki wśród Ranów krzątających się wokół łodzi i ewentualne zajście wroga z boku. Gromosław z Czamborem prowadzili środek natarcia, Randulf prawe, Wojomir i Srogosz lewe skrzydło. Zaledwie wyszli pierwszym szeregiem tarcz przed pokrywające łagodny stok zarośla, Ranowie dojrzeli ich. Sprawnie ustawiali naprzeciwko falangi piechoty. Grupy szturmujące kościół przerwały atak i dołączyły do bloków na przedpolach Sømärkegaard. Jedynie w porcie w ożywionym ruchu wieść o nadchodzącej bitwie dopiero docierała do gromad wojowników. Któryś z transportujących owce oddziałów porzucił struchlałe zwierzęta i zawrócił pod osadę.

Teoretycznie Ranowie stanowili większość, ale na samym początku bitwy część ich wojowników rozrzucona była jeszcze na terenie między osadą a portem, pojedyncze grupy schodziły dopiero z różnych stron. Siły były zatem przy pierwszym starciu liczebnie wyrównane, mniej więcej około czterystu wojowników po każdej stronie. Tarcze

trzasnęły nawzajem i rozgorzał bój. Szybko roznieśli pierwszą rańską linię. Połamane tarcze, ciała zabitych lub wijących się w mękach przeciwników. obrońcy wyspy bez pardonu wbili się w drugą linię, która pękła, po chwili doszli już do trzeciej. Gdy na tyłach rańskich bloków pojawiła się jazda Bernarda, bitwa była już praktycznie przesądzona. Ranowie porzucali masowo pole walki i gnali w beładzie do zbawiennych okrętów. Pogoń za nimi przypominała polowanie na kulawe zające. Gdy obrońcy, ramię w ramię mieszkańcy wyspy i ludzie Gromosława, dotarli nad brzeg, na wody wypływały już niektóre rańskie okręty. Z pogromu uratowało się pięć jednostek, resztę zdążono podpalić. Pole walki pokrywały trupy dwustu trzydziestu napastników, rannych mieszkańcy dobili, zanim Gromosław zdążył zaprotestować. Do niewoli dostało się czterdziestu siedmiu rańskich wojowników. Reszta Ranów znalazła schronienie na okrętach. Po przetrząśnięciu zdobyczy nie odnaleziono skarbów norweskiej delegacji, na którą napadł Guttorm, przejętych później przez niespodziewany atak Ranów. Uwięzili je na Rugię. Po stronie obrońców wyspy w samej bitwie zginęło stu trzydziestu dwóch wojowników. W grupie Gromosława nikt nie odniósł poważniejszych ran.

Wróciwszy zwycięsko do Hielm, zastali zadowolonego Guttorma. Jemu również udało się pokonać napastników. Najpierw odparł kilkakrotnie szturmy na palisadę. Później, gdy coraz więcej wojowników napływało zewsząd do grodu, jarl przeprowadził kontrnatarcie. W tym samym czasie od

zachodniej strony wzdłuż brzegu nadpłynęła nareszcie zaalarmowana flota leidangu, piętnaście okrętów. Ranowie dostali się w śmiertelne kleszcze. Lądem wypierali ich Duńczycy z rozjątrzonego Guttormem na czele, na wodzie pierwsze jednostki stanęły w płomieniach. Walczono do końca, na rozkaz jarla nie brano jeńców. Ranowie stracili osiem okrętów i trzystu wojowników.

Gromosław pojawił się już po wszystkim. Zasiedli wspólnie w hali, opowiadali jeden przez drugiego o stoczonych bojach, raczyli się zachłannie oziębionym piwem. Poranionym nakładano opatrunki. Pełne zwycięstwo dla wyspy, nareszcie wolność dla grupy Gromosława. Świątowali do późnego wieczora i uczta przeciągnęłaby się pewnie do następnego dnia, gdyby... gdyby nie kolejny zwrot wydarzeń.

Na początku napaści Ranów na Møn ksiądz Andreas wymknął się z Hielm i dotarł na koniu nad północny brzeg wyspy, gdzie opłacił załogę i szybki statek. Pożeglowali na zachód. Dotarłszy na Ærø, zamierzali pierwotnie po krótkim odpoczynku udać się do Haithabu, gdzie Andreas spodziewał się zastać króla. Tymczasem, ku zaskoczeniu Andreasa, król znajdował się już na Ærø. Harald dotrzymał dawanych Guttormowi ostrzeżeń i kierował się właśnie w stronę Møn na czele karnej ekspedycji. Na zasłyszane od Andreasa wieści Harald zmienił decyzję. Początkowo zamierzał ukarać Guttorma, co prawda surowo, ale jedynie ukarać. Odebrać mu jedynowładztwo nad wyspą. Podzielić Møn na dwa okręgi administracyjne, wschodni i zachodni,

w każdym usadzić oddzielnego jarla. Guttorm miał otrzymać część wschodnią. Osobista drużyna Guttorma miała zostać zredukowana do trzydziestu wojowników. W jego siedzibie miał na stałe koszarować królewski garnizon w sile sześćdziesięciu wojowników, dowodzony przez zaufanego królewskiego rycerza. Jednak usłyszawszy, że jarl zamierza, czego zapewne już dokonał, napaść i obrabować norweską delegację, a i prawdopodobnie wymordować jej uczestników - bo cóż innego mu pozostawało, by zatrzeć ślady przestępstwa - Harald wydał natychmiastowy wyrok na Guttorma. Jarl zostanie powieszony wraz ze swoimi ludźmi. Na Møn osadzony zostanie w randze jarla Halldórr, syn Ubbe, jarla Ærø. Halldórr wraz z własną drużyną dołączy do królewskiej ekspedycji i podąży z nią na Møn dla objęcia namiestnictwa. Niebawem też Harald wraz z Halldórrem opuścili Ærø, żeglując w kierunku Møn. Dwanaście wielkich królewskich drakkarów z tysiącem dwustu wojownikami i rycerzami na pokładzie, dwa mniejsze langskippy z drużyną i rodziną Halldórra, wśród nich Glabunka i ich jednoroczna córeczka imieniem Styddara. Andreas dołączył do duchownych z otoczenia króla.

Dotarłszy w okolice Møn na zachodnim krańcu, nie wysiadali na brzeg, tylko pożeglowali wzdłuż południowych krańców wyspy. Do Hielm dotarli tego samego wieczora po odparciu najazdu Ranów, kiedy Guttorm z resztkami drużyny i ludzie Gromosława świętowali w hali. Wojownicy w porcie i na palisadzie nie zdążyli nawet zareagować na

widok królewskich oddziałów, raz, że wszyscy upajali się zwycięstwem, dwa, że pojawienie się Haralda kompletnie ich zaskoczyło.

Drzwi do hali rozwarły się gwałtownie jak pod silnym uderzeniem. Do środka wkroczył Andreas. Wszyscy oniemieli na jego widok. Guttorm zdążył tylko wymamrotać: „Gdzie strażę...?”. Za księdzem do hali wchodzili rycerze z drużyny Haralda, zmieszani z królewskimi łucznikami. Niebawem, zanim ktokolwiek z obecnych zdążył połapać się w sytuacji, celowały w nich napięte łuki. Wtedy wkroczył Harald, w lśniącej ozdobami kolczudze i bojowym hełmie obramowanym u nasady królewską koroną.

- Guttorm, twój żywot dobiegł końca - rzekł król donośnym głosem. - Skazuję ciebie i twoich ludzi na śmierć. Który to osławiony w bojach polski rycerz Gromosław?

Gromosław, nadal w szoku, powstał bezwiednie.

- Bierz swoich ludzi i dobytek i wychodźcie na zewnątrz - nakazał Harald. Gdy już Gromosław z przyjaciółmi opuścili halę, król znowu rzekł do Guttorma: - Liczymy do dwudziestu, kto nie opuści hali, usmaży się w płomieniach. Na zewnątrz czekają na was moi kapelani dla odebrania ostatniej spowiedzi, po tym zostaniecie straceni. Wasz wybór - rzekł i opuścił halę.

Na zewnątrz wmieszani w kordon zbrojnych Gromosław i przyjaciele przyglądali się w milczeniu ostatniemu aktowi dramatu jarła Guttorma. Wyglądało na to, że żaden z jego ludzi nie ważył się pozostać w hali, wszyscy wyszli zgodnie

na dziedziniec, gdzie duchowni odbierali od nich spowiedź. „W hali pod ławą leży jeszcze Harfdlin”, wtrącił któryś ze skazańców, „pijany na umór”. Harald spojrział pytająco na stojącego obok nadwornego kapelana.

- Skazany musi być przytomny przy ścinaniu głowy - odparł duchowny. Po chwili namysłu dodał: - Przy topieniu i wieszaniu też, i przy odrywaniu kończyn też, przynajmniej na początku.

- Łucznicy! - zakrzyknął Harald. - Palić halę! Niech się usmaży, na nic mu spowiedź, i tak od razu do piekła trafi - dokończył przyciszonym głosem. Nadworny kapłan zdążył jeszcze potrząsnąć kropidłem w stronę hali, zanim opadły na nią pierwsze płonące strzały.

W blasku strzelających pod ciemność nocy płomieni ludzi Guttorma prowadzono kolejno na ubocze, gdzie ścinano każdemu głowę. Jarla Guttorma powieszono na gałęzi najbliższego drzewa. Do ostatnich sekund życia nie wyrzekł ani jednego słowa.

Już po wszystkim Harald podszedł do Gromosława. Ten ukląkł impulsywnie na jedno kolano.

- Dziękuję, władco, za uratowanie mnie i moich ludzi.

- Powstań, powstań - rzekł król, obejmując Gromosława za ramiona. - Wiem wszystko od Andreasa, a sława waszych wyczynów już dawno was wyprzedziła. To się matka ucieszy na widok tak znamienitych rodaków, gdy zawitamy do Roskilde. No - poprawił się, rozejrzawszy po grupce Gromosława - nie tylko rodaków, bo i Bernard tutaj,



znamienity Saksończyk, i Randulf z dalekiej Italii, krwi książęcej, i... i Połabianin.

- Do Roskilde? My musimy jak najprędzej do Polski. Nawet nie wiemy, co w kraju, od miesiąca tu tkwimy.

- Na wszystko przyjdzie czas - odparł Harald. - A w Polsce? Opowiem po drodze, ale wojna szybkimi krokami nadchodzi. Cesarz już ogłosił mobilizację do wyprawy na wasz kraj. Najpierw muszę tutaj do końca sprawy uregulować. - Zamyślił się na chwilę. - Nowego jarla przywiozłem, wielce obiecujący młodzieniec. - Rozglądając się, zawołał: - Halldórr!

Spomiędzy zebranej wokół króla świty wystąpił młody mężczyzna uzbrojony na skandynawską modłę. W Czambora wstąpił diabeł. Wyrwał zza pleców topór, wystąpił przed Halldórra. Zaskoczony Duńczyk obserwował Pomorzanina, położywszy niepewnie rękę na rękojeści przypasanego miecza.

Czambor odezwał się przez zaciśnięte zęby:

- Stawaj, psie!

Zapanowała całkowita konsternacja, zamieszanie. Gromosław rzucił się, by powstrzymać Czambora, Harald podnosił już rękę na znak dla stojących obok wojowników chwytających za broń, Wojomir błyskawicznie wycelował w nich nałożoną na cięciwę strzałę. Dwóch gwardzistów zasłoniło króla tarczami. Randulf i Srogosz, stanąwszy w półkolu plecami do Czambora, wysunęli do przodu ostrza pochylonych włóczni. Bernard, objąwszy stylisko topora obiema dłońmi, rozglądał się nerwowo. Halldórr wyjął

powoli miecz, przymrużył oczy, obserwując z napięciem Czambora. Poczuli się ostrożnie obchodzić. Sytuacja groziła wybuchem spontanicznej jatki. Jeszcze chwila, ułamek sekundy. W napiętą ciszę wdarł się przeraźliwy kobiecy okrzyk:

- Czambor, głuptaku! Rzuć broń!

Czambor zdrętwiał. Odwrócił głowę. Dojrzawszy wkraczającą do kręgu siostrę, wypuścił z rąk topór. Podszedł do Glabunki, objął ją w pasie i przytulił. „Właśnie poznałem szwagra”, oznajmił cierpko Halldórr królowi, chowając miecz do pochwy. Wyjaśnieniom nie było końca, długo jeszcze siedzieli we trójkę na zwalonym pniaku: Halldórr, Czambor i Glabunka. Jak to było z tym porwaniem? Podczas wizyty Haralda i Kanuta w Gdańsku przed dwoma laty Glabunka i Halldórr zakochali się namiętnie, obopólnie, od pierwszego wejrzenia. Ale bez szans na pomyślność. Glabunka przyrzeczona była Jaczelowi, najstarszemu synowi Przypora, piastowskiego namiestnika grodu. Planowany ślub zaaranżowano z inicjatywy Chrobrego, szukającego sposobu na zażegnanie konfliktu pomiędzy seniorami obu wiodących rodów ziemi gdańskiej: Przyporem a Stęgniewem. Jaczel napawał Glabunkę obrzydzeniem, odrazą. O wiele starszy, okrutny z wyglądu i zachowania, wszczynający nieustannie burdy i zatargi, bez najmniejszego cienia łagodniejszych uczuć. Grubiański tępól. A tu pojawił się Halldórr i... gwiazdy na niebie zatańczyły! Więź miłości splątała nierozzerwalnie duńsko-polskie serca. Poili się tą miłością

trzy dni i dwie noce, sycili z potraconymi głowami, zapominając o otaczającym ich świecie. Trzeciego wieczora w całym Gdańsku świętowano pożegnalną ucztę. Następnego dnia Harald i Kanut mieli w towarzystwie Mieszka opuścić miasto i podążyć po matkę w głąb Polski. Natomiast jeszcze tego wieczora wielu możnych ze świty duńskich władców szykowało się do powrotu do Danii. Wtedy Glabunka postanowiła uciec potajemnie z Halldórrem do jego kraju, na wyspę Ærø, i tam wziąć ślub. Planowi sprzyjała sytuacja w mieście, gdzie wszyscy ucztowali, mocno już podpici. Wspólnie udali się do komnat ojca, Stęgniewa. Glabunka chciała wziąć ze sobą jedynie kilka drobnych pamiątek, zdając sobie sprawę, że być może nigdy już nie ujrzy rodziny i ojczystych stron. Czego obaj nie wiedzieli, od godziny śledził ich Jaczel w towarzystwie zaufanego wojownika. Gdy Glabunka z Halldórrem kręcili się po przestronnej hali wypełnionej rodowymi pamiątkami i skarbami, oświetlonej jedynie dwoma łuczywami, przyczajony przy wejściu Jaczel potrącił nieopatrznie skrzynię, z której spadły na podłogę srebrne świeczniki. Doszło do bijatyki. Halldórr unieszkodliwił podglądaczy, ogłuszywszy obu, po czym uciekł z Glabunką z hali. Przez nikogo niezauważeni, wsiedli na okręt Halldórra wypełniony jego drużyną i pożeglowali na Ærø. Ot, i cała historia. Jeżeli z hali Stęgniewa zniknęły wartościowe rzeczy, to mógł tego dokonać jedynie Jaczel. Z tego powodu syn Przypora zataił prawdę, zwalając porwanie Glabunki i kradzież dobra na nieznanego Duńczyka.

Glabunka przywołała niańkę. Podeszła do nich kobieta, przekazując Glabunce coś niewielkiego, otulonego pledzikiem. Glabunka odsłoniła górną część okrycia, ukazując Czamborowi twarzyczkę małego dziecka:

- Twoja siostrzenica, Styddara. Zobacz, córeczko, jak wuj się do ciebie uśmiecha.

---

\* *Vinda* - nazwa Słowian w językach staronordyckich.

\*\* *Schildmägde* - słowo w języku staroniemieckim, oznacza kobiety wojowniczkę walczące w ścianie tarcz.

## *Haithabu*

Następnego dnia wyruszyli wszyscy w orszaku Haralda do Roskilde. Wszyscy prócz Czambora. Uprosił Gromosława, by zezwolił mu na pozostanie na wyspie do czasu, aż wracając z Roskilde, zabiorą go ze sobą. Chciał się nacieszyć siostrą, siostrzenicą, no i poznać bliżej owegoż Halldórra. Srogosz obiecał, że narysuje portrety nowej rodziny Glabunki, by Czambor mógł je pokazać ojcu w Gdańsku. Załadowali cały dobytek; wojownicy Guttorma nie zdążyli nic zniszczyć ani zaprzepaścić. Cały dobytek, lecz bez włóczni. Bernard zdążył sklecić niewielką skrzynkę i wpakował do niej głowę świętego Maurycego. Widząc to, poczęli się naigrawać. Na cóż mu „łeb czarnoskórego”? Nie ich sprawa, odparował Bernard, głowa należy do Niemców, jej miejsce w magdeburskiej katedrze, niech sobie myślą, co chcą, on zawiezie ją na miejsce, gdy się nadarzy okazja. „Zostawcie Benno w spokoju”, nakazał Gromosław.

Do Roskilde dotarli szesnastego maja 1017 roku. Podróż morską przedłużyła się ze względu na gwałtowne wiosenne sztormy. Po drodze Harald naświetlił im aktualną sytuację polityczną. Na początek o Rusi Kijowskiej, jako że ostatnio

kupcy z Nowogrodu wieści najnowsze przywieźli. Po zwycięstwie pod Lubeczem Jarosław podszedł pod Kijów broniony przez Wierzysławę. Po długim oblężeniu i zaciętych walkach Jarosław zdobył Kijów na początku stycznia 1017 roku i ogłosił się nowym, jedynym władcą całej Rusi Kijowskiej. Podobno córkę Chrobrego odesłał w niewolę na północ, do Nowogrodu. Podobno - zaznaczył Harald - ponieważ któryś z kupców wtrącił, że w samym mieście nikt jej nie widział. Po odparciu najazdu Pieczyngów Jarosław ruszył w pogoń za Światopełkiem, zajął pod koniec marca jego księstwo na granicy z Polską, zdaje się pińskie czy turowskie. Tymczasem Światopełk dotarł do polskiej twierdzy Brześć nad Bugiem, gdzie znalazł schronienie. Na rozkaz Chrobrego okopał się w Brześciu na wypadek nadejścia Jarosława. Ma bronić warowni i czekać na reakcję Chrobrego, który boryka się równocześnie z kilkoma problemami naraz. Nie tylko, że chce uwolnić Wierzysławę z nowogrodzkiej niewoli, nie tylko, że musi dopomóc zięciowi w odzyskaniu kijowskiego tronu, nie tylko, że Czesi nękają Morawy, Pomorzanie nadodrzańscy tereny nad Notecią, a Prusowie dorzecze Wisły, to na dokładkę spełzły na niczym wstępne rozmowy pokojowe z cesarzem. Henryk, podbudowany tajnym porozumieniem zawartym ze zwycięskim Jarosławem, torpedował możliwość pokoju, stawiając Chrobremu niemożliwe do przyjęcia warunki. Dlatego fiaskiem zakończyło się przybycie na początku stycznia 1017 roku do Allstedt delegacji polskiego poselstwa, sygnalizującej

cesarzowi gotowość podjęcia rozmów. W ostatniej chwili, w początkach marca, Chrobry usiłował jeszcze rozerwać niemiecko-ruski sojusz, proponując Jarosławowi ożenek dynastyczny z jego siostrą Przedstawą, podobno kobietą niespotykanej piękności, choć już nie najmłodszą. W zamian żądał zwrotu córki i pokoju podczas nadchodzących walk z Niemcami. Jarosław odmówił. Niemcy gotowały się do wojny. Na tym samym zjeździe w Allstedt, gdzie niepowodzenia doznała polska delegacja, Henryk uregulował rozgorzałe wewnątrz cesarstwa zwady i wojenki wielmożów i ogłosił pokój ziemski do dwudziestego dziewiątego września. Drugiego lutego w Merseburgu cesarz zarządził wszczęcie przygotowań do najazdu na Polskę. Rozpoczęcie wojny zapowiedziano na początek lipca 1017 roku, czyli za dwa miesiące. Do antypolskiego sojuszu przystąpiły również Węgry, chyba z racji tego, że żoną ich króla Stefana jest siostra cesarza, Gizela. Tak więc Niemcy, Czechy, Ruś Kijowska, Węgry i Lutycy przeciwko Polsce. „Ciężko wam będzie”, wrzucił ramionami Harald, „a na naszą pomoc nie możecie liczyć”. Pomimo ścisłych więzów między polskim a duńskim domem panującym i zawartego w 1015 roku porozumienia Dania nie była w stanie militarnie wesprzeć Polski. Kruchy sojusz sprzed dwóch lat rozmył się na skutek rozwoju sytuacji politycznej. Dania inwestowała niemal wszystkie dostępne siły w walki Kanuta w Anglii, toczony wokół stabilizacji jego panowania na wyspie. W Norwegii srożyli się podlegli Danii jarlowie. W powstaniu Stodora stracili ponad tysiąc wojowników.

Niemcy postawili na granicy w Szlezwiku, nieopodal linii obronnej Danewirke, znaczne siły zbrojne, grożąc w każdej chwili wkroczeniem. W tej sytuacji Kanut przekonywał Haralda do zawarcia porozumienia z Niemcami.

- Musimy jak najszybciej wracać do kraju - Gromosław nie potrafił ukryć zgorzkniałości. - Polska w potrzebie. A my bez włóczni.

- W Roskilde wyposaże was w szybkie okręty z załogami. Pożegłujecie prosto do Gdańska - przyobiecał im Harald na pocieszenie.

W Roskilde zaprowadzono ich bezzwłocznie przed oblicze Świętosławy. Wszyscy bez wyjątku, łącznie z Gromosławem, po raz pierwszy ujrzeli na własne oczy piastowską władczynię. Pomimo zbliżającej się pięćdziesiątki nadal piękna i wyniosła, wysokiego wzrostu jak jej brat Bolesław. O łagodnych słowiańskich rysach twarzy, oczach bijących mądrością. Po wstępnych opowieściach Świętosława drażyła uporczywie temat ich misji, powód, dla którego poddali się tylu trudnościom i niebezpieczeństwom. Gromosław, nie widząc innego wyjścia, wyjawiał królowej historię włóczni Maurycego. Królowa zadumała się głęboko. Milczeli. Na odchodnym rzekła, by wstąpili do niej jutrzejszego poranka przed odpłynięciem, może znajdzie się jakaś rada.

I znalazła się. Nie bez powodu nie tylko piękność i charyzma Piastówny, lecz także jej mądrość zasłynęły w całej Skandynawii. Świętosława wpadła na niesamowity pomysł: wykonanie repliki włóczni u Reginolda Ullfreda,



najsłynniejszego zbrojmistrza i kowala w Haithabu. Zaniemówili z wrażenia. Królowa objaśniała dalsze szczegóły. Kupią w kuźni gwóźdź, dadzą poświęcić u biskupa, drzewie i grot to tylko oprawa. Ważne, żeby wyglądały jak oryginał. Przecież Srogosz może opisać każdy szczegół po ciemku, poza tym ma swoje rysunki. Ale oszukać Bolesława? To nie jest oszustwo, otrzyma włącznie niejako „po renowacji”. Ważne, że braciszek, skostatowała Świętosława, będzie mógł ponownie wymachiwać włócznią na polach bitew. Symbol pozostanie symbolem. Muszą naturalnie dochować tajemnicy, ona jej dotrzyma. Coś wymyślą. Mimo przekonywającego tonu królowej i przytłaczającej aury bijącej od niej władczości nie schodził im z twarzy wyraz zdumienia, niedowierzania. Czambor odważył się wyrazić oburzenie:

- Oszukańcza relikwia, obraza boskiego majestatu, nawet się z tego nie ma jak wypowiedzieć...

Zapadła cisza. Świętosława obserwowała ich wyczekująco. Niedobrze, pomyślał Randulf, gotowi odrzucić pomysł. Odrzucić jedyne możliwe wyjście z sytuacji bez wyjścia. Ale Czambor ma swoją drugą rację, toż to świętokradztwo straszliwe. Nagle wpadła mu do głowy myśl:

- Posłuchajcie... posłuchajcie uważnie. Zastanówmy się nad kwestią zasadniczą.

- Ty... - rozpoczął Czambor.

- Nie, proszę cię, nie przerywaj mi teraz - rozognił się Randulf. - Spójrzmy na, jak by tu rzec, sytuację wyjściową.

Na początku był gwóźdź z krzyża Chrystusa. Gwóźdź, który później umieszczono w grocie włóczni świętego Maurycego, która z kolei znalazła się w rękach króla Henryka Ptasznika, po tym, jak ją wyhandlował od króla Burgundii Rudolfa w zamian za Bazyleę i ziemie wokół niej wielkości całej prowincji. Ale mniejsza o to. Jest włócznia z relikwią, ze świętym gwoździem. Przechodziła z rąk do rąk kolejnych niemieckich królów i cesarzy. W 1000 roku cesarz Otto III nakazuje wykonanie kopii włóczni i wręczenie jej Bolesławowi Chrobremu. I teraz uważajcie na mój tok rozumowania: a co ze świętym gwoździem? Co umieszczono w grocie kopii podarowanej Bolesławowi?

Milczeli, wpatrzeni w Randulfa, który zaczerpnąwszy tchu, perorował dalej:

- Chyba gwóźdź nie rozmnożył się cudownie? Hm... Co wy na to?

Milczeli nadal. Czambor kręcił powoli z niedowierzaniem głową, z szeroko otwartymi oczyma zagubionymi we własnych myślach. Świętosława podparła głowę na jednej dłoni, wpatrując się z głęboką uwagą w Randulfa. Z oddali, z którejs komnaty, dobiegły przytłumione dźwięki instrumentu i śpiew skalda.

- To nie wszystko - Randulf, odczekawszy dłuższą chwilę, kontynuował: - Przecież wykonano jeszcze jedną kopię dla Stefana Węgierskiego. I co z gwoździem w tej drugiej kopii?

Randulf powstał, podszedł do ławy z trunkami. Nalawszy do kielicha szlachetnego wina znad Renu,

powrócił na swoje miejsce. Upiwszy nieco, rozglądał się triumfalnie po zebranych. Jakaś służebna królowej przysiadła do niego i objęła w pasie. Świętosława klasnęła w dłonie, przerywając zastygłe napięcie.

- Dylematu nie rozwiążemy. Ale chyba teraz rozwiały się wasze obiekcje, nieprawdaż? Gromosławie, Czamborze? A ty Srogosz, nic nie rzekniesz?

I nagle prysło napięcie. Rozgadali się jeden przez drugiego nad planowaniem dalszych szczegółów. Jadą do Haithabu. Z samym Reginoldem nieco skomplikowana sprawa. Najsłynniejszy obecnie zbrojmistrz przytłoczony jest zleceniami. Ze wszystkich stron Europy. Nawet od arabskich kalifów. Ullfred to jego imię rodowe, już pradziad Ullfred wybił się ponad wszystkich w Danii, wykonując przepiękne rękojeści mieczy do sprowadzanych od Franków ostrzy. Reginold to mistrz ponad mistrzami. Jest coś winny Świętosławie i rzuci wszystkie roboty dla wykonania włóczni, okażą mu jej pismo poparte ciężkim trzosem złota. Złoto otrzymają od niej.

Czas naglił. Odpłynęli jeszcze tego samego dnia, kierując się najpierw na Møn po Czambora. Do Haithabu dotarli szóstego czerwca 1017 roku.

\* \* \*

Żadne miasto w Skandynawii nie jest bogatsze, ani żaden port większy od Haithabu. Słynna na cały świat metropolia handlowa leży na końcu zatoki Szlei wrzynającej się czterdzieści kilometrów w głąb nasady Półwyspu

Jutlandzkiego. W Haithabu handluje się wszystkim: jedwab z Chin, rtęć z Hiszpanii, kryształy górskie znad Morza Czarnego, frankijskie szkła, żelazo z Norwegii, egzotyczne przyprawy, futra i sól z ziem słowiańskich, wino znad Renu, broń ze wszystkich stron świata i tysiące niewolników. Liczba mieszkańców dochodzi tysiąca, dziesięciokrotnie więcej niż w każdym duńskim osiedlu w głębi lądu. Haithabu kontroluje przepływ towarów pomiędzy Morzami Północnym a Bałtykiem. Poganie, chrześcijanie, a nawet kupcy arabscy zapełniają niewielki areał miasta. Haithabu śmierdzi, tonie w zwałach odpadów, drewniane domy prędko gniją. W porcie wychodzą w wody zatoki liczne pomosty, do których cumują przybyłe łodzie.

Gdy nadpłynęli w pobliże zatoki, w oczy uderzyła drewniana, masywna zaporą. Wysoka palisada wyrastająca z wody, zasłaniająca widok na leżące z tyłu miasto. Niewielkie otwarte przejście pośrodku palisady chroniły po bokach dwie solidne wieże. Silnie obsadzone licznym garnizonem. Wojownicy na wieżach obserwowali czujnie każdą zbliżającą się jednostkę. Jedynie statki kupieckie z towarami miały prawo wpływu do portu. Na widok ciężko zanurzonych jednostek transportujących wojowników strażnicy uderzali natychmiast na alarm.

Przy łodzi pozostali na straży Randulf i Czambor. Gromosław z resztą wkroczyli na główną ulicę miasta, przebijając się z wielkim mazołem przez ścisk ludzkiego tłumu. Przechodnie wskazali, że dzielnica kowali znajduje się na zachodnim krańcu Haithabu, na łagodnie

wznoszącym się terenie miasta, tam, gdzie z ziemi bije niewielkie źródło. Zarządcy miasta specjalnie umieścili kowale na obrzeżach. Raz ze względu na żar bijący z pieców hutniczych, a dwa - na paniczny strach mieszkańców przed rozprzestrzenieniem się niepożądanych pożarów wśród gęsto zbitej drewnianej zabudowy. Pomimo że Dania od pół wieku chrześcijańska, mieszkańcy Haithabu wierzyli zabobonnie, że kowale nadal są w przymierzu z dawnymi bogami. Czyż mocarny Thor nie walczył młotem? Czyż sagi nie opowiadają o krasnalach, olbrzymach i bóstwach, które z rozżarzonego żelaza tworzyły nowe światy? Wielu nadal podejrzewało mistrzów kowalskich o magiczne zdolności.

W końcu dotarli do warsztatu Reginolda. Imię „Ullfred” wygrawerowane było na tablicy wiszącej nad wejściem. Wyobrażali sobie Reginolda jako mocarza o sylwetce pokrytej lśniąco od potu muskułami. Kowal okazał się jednak starcem niskiej, niemalże filigranowej postury, jedynie żylaste ręce i spracowane dłonie zdradzały długoletnie praktyki rzemieślnicze. Nie czynił trudności, pismo od królowej i złoto nakłoniły go do przyjęcia zlecenia. Po dłuższej rozmowie ze Srogoszem - przy czym Bernard czynił za tłumacza, jako że Reginold poza duńskim i niemieckim po słowiańsku znał tylko kilka słów - i uważnym przeglądnięciu szkiców kowal zapowiedział, że potrzebuje około pięciu dni na solidne, zgodne z oryginałem wykonanie repliki włóczni. Pięć dni w tym śmierdzącym tyglu niemytych, roznoszących przeróżne choroby ciała? Na szczęście Bernard dogadał się z duchownymi położonej

obok miasta biskupiej rezydencji i za sutą opłatą otrzymali kwatery w dwóch mnisich celach. Jedynie Srogosz z Bernardem musieli prawie nieustannie towarzyszyć Reginoldowi podczas kolejnych faz tworzenia włóczni. Tylko dzięki cennym wskazówkom Srogosza dotyczącym każdego najmniejszego szczegółu kowal mógł kontynuować pracę.

Na koniec, piątego dnia, jak zapowiedział mistrz, otrzymali gotową włócznię. Srogoszowi popłynęły łzy ze szczęścia, gdy ścisnął w dłoniach ukochaną broń. Nareszcie. Lecz chwilowe uniesienie przeszło szybko. Fałszywa włócznia. Teraz jak najszybciej do Bolesława, najlepiej zanim wybuchnie wojna. Droga morzem do Gdańska odpadała. Nie przepłyną niepostrzeżenie obok Rugii. Od królewskiego namiestnika dowiedzieli się, że Bałtyk na obodryckim wybrzeżu bezpieczny. Mścisław zawarł przymierze z Danią, świadom grozy lutyckiej nawały, która w każdej chwili mogła wkroczyć do jego księstwa. Postanowili zatem popłynąć do obodryckich Liubic, następnie lądem pocwałować kolejno do Hobolina, Brenny i Kopanika. Stamtąd na Chociebuż. Jeżeli Niemcy nadejdą, to na pewno starą trasą na Krosno, czyli znajdą się w pobliżu wojsk Bolesława.

Niestety opadła ich zmora jakowaś i przykuła na dwa tygodnie do łóżek. Wszystko z winy tego, że poleżli wieczorem do zatłoczonego niemiłosiernie wyszynku. Chlali nieco ponad umiar, ale to nie trunki spowodowały chorobę. Nazajutrz rzygali, srali, wili się w łóżach, skąpani potem

gorączki, bladzi, zgięci od bólów brzucha. Choroba dopadła wszystkich prócz Gromosława. Sprowadzony z biskupstwa medyk przepisał leki i kazał się gorąco modlić do Boga o zmiłowanie. To normalne w Haithabu, wyjaśniał medyk, przeciętny wiek mieszkańców nie przekracza czterdziestego roku życia. Padają jak muchy. Ale czemu się dziwić w tych warunkach? Naokoło stosy odpadów, zanieczyszczeń, ekskrementów. Zaraza szaleje za zarazą. Reginold to jeden z nielicznych wyjątków. Pewnie dlatego, że otoczony wiecznie dymami i ogniami choróbska odganiającymi. Z kolei gdy już doszli do siebie, nadeszły gwałtowne sztormy, które powstrzymały skutecznie ich zapędy. Utknęli na dobre w Haithabu na następny tydzień i opuścili port dopiero dwudziestego szóstego czerwca. Do Liubic dopłynęli trzydziestego czerwca 1017 roku.

## *Biała Góra*

W Liubicach zostali jedynie na jeden nocleg, po czym ruszyli końmi do Hobolina. Dzięki opłaconemu przewodnikowi poruszali się stosunkowo szybko. Do Hobolina dotarli dwunastego lipca. Niemal bez zatrzymywania się pędzili dalej. Piętnastego lipca stanęli w Brennie. W grodzie nic się nie zmieniło od ich ostatniego pobytu przed wieloma miesiącami. Odwiedzili Sławigosta. Opowiedzieli mu w szczegółach o bitwie pod Ciemnym Grodem, o mężnej walce Stodora i jego haniebnym końcu. O tym, jak z rozkazu dziadka Pakosza rozćwiartowane szczątki nieszczęsnego wnuka przybito w Radogoszczy nad bramą wejściową na teren zagajnika przed świątynią Swarozycy.

Wieczorem, gdy delektowali się wieczerzą w książęcej komnacie, do środka wpadł zziębnięty posłaniec z południowej granicy. Niemcy ruszyli na wojnę. Przed czterema dniami, jedenastego lipca 1017 roku, spod Licikawy na środkowym Połabiu w kierunku Polski wyruszyła wielka armia niemiecka z Henrykiem na czele. Po drodze dołączyć do nich miało kilka tysięcy wojowników



federacji Lutyckiej oraz armia czeska dowodzona przez księcia Oldrzycha. Tyle się dowiedziano przez szpiegów. Ich człowiek w Merseburgu doniósł, że podsłuchał rozmowę biskupa z cesarzem. Od południowego wschodu granicę Polski miał zaatakować szwagier cesarza, król węgierski Stefan. „Pies ssał cesarskie jaja!”, zaklął siarczyście Gromosław, wprawiając w osłupienie przyjaciół, „Wszystko tak, jak przepowiedział Harald!”. „Ważne, czy Jarosław zaatakował od wschodu i czy nasi obronili granicę”, stwierdził Czambor.

Gdy zmęczony starością Sławigost udał się na spoczynek, życząc im mimo wszystko spokojnego snu, zostali sami. Gromosław z Czamborem obeszli komnatę, sprawdzając, czy w zakamarkach nie czai się jakiś podsłuchiwaniec, po czym zasiedli do narady. Niespodziewanie Czambor wyskoczył z pomysłem:

- Skoro Stefan Węgierski zdąży na Polskę, to może by tak ukraść mu włócznię? Przecież podobno też ma kopię, taką samą, jak miał Bolesław.

- Geniuszu - Randulf poklepał go przyjacielsko po ramieniu - a może by tak od razu samemu cesarzowi wykraść oryginał?

Czambor spojrział na niego z wyrzutem, nie podejmując tematu.

Rankiem wyruszyli w stronę Kopanika. Chyba nie trzeba opisywać podniecenia Gromosława na myśl o rychłym ujrzeniu Matyldy, niosło go przodem, jakby wraz z koniem skrzydeł dostali. Pod Spędowem zamierzali gnać dalej bez

zatrzymywania się, gdy Wojomir zawołał, że z palisady na wale znaki dają. Jakie znaki? Normalne, że ważne wieści i mają się zatrzymać. Przez rozwartą bramę wyskoczył na koniu jeździec, zmierzając szybko w ich kierunku. Zatrzymał się przed Gromosławem, koń zatańczył na boki, wzniesając kurz.

- Przed godziną goniec z Kopanika doniósł... porwano Matyldę...

Gromosławowi zaćmiło się przed oczyma. Spadłby z konia, gdyby nie pomoc Bernarda i Czambora. Znieśli go z konia, położyli na ziemi i poczęli cucić wodą. Dla ostrożności dopóki leżał nieprzytomny, spętali mu lekko ręce i nogi. Dla jego własnego bezpieczeństwa i wszystkich naokoło. Dramat rozpętał się, gdy się ocknął. Krzyki, szamotanina, groźby, przekleństwa. Namowy, uspakajania, perswazje. W końcu wzburzona krew opadła na tyle, że uwolnili go z więzów. Zaczęto się naradzać.

Niemcy mobilizowali siły pod Licikawą. Przez kilka tygodni. Już wcześniej, jeszcze zanim przed kilkoma dniami ruszyli na Polskę, wysyłali podjazdy. Dla patrolowania planowanej trasy przemarszu i organizowania punktów z wyżywieniem i paszą na wyznaczonych odcinkach. Droga miała wieść przez Białą Górę, Dobryług, Chociebuż i Gubin na Krosno nad Odrą. Z tej racji rezydujący w Białej Górze Thietmar, młody margrabia marchii łużyckiej, uprzedzony zawczasu o planach cesarza, powysyłał silne oddziały w graniczące ze Stodoranią i Kopanikiem lasy z zadaniem polowania na zwierzynę i nękania ewentualnych połabskich

stronników Chrobrego. Jeden z niemieckich patroli w sile stu jeźdźców, zagnawszy na północ, natknął się w lasach na całkowicie zaskoczoną Matyldę. Księżna znajdowała się na polowaniu w towarzystwie jedynie pięciu zbrojnych i Aelfgara. Niemcy rzucili się na nich, pojмали Matyldę i uprowadzili do Białej Góry. Jeden z wojowników obstawy księżnej zdołał umknąć i zaniósł wieść do Kopanika. Nieszczęsny Aelfgar poległ na miejscu, usiłując zażarcie bronić Matyldy.

- Jakie zamiary ma Thietmar wobec Matyldy? - gorączkował się Gromosław. - Pędzimy jak najszybciej do Kopanika. Burzysław podjął już niechybnie środki dla ratowania siostry.

Do Kopanika dotarli dwudziestego trzeciego lipca. Burzysław potwierdził wiadomość. Od margrabiego Thietmara dotarło już nawet żądanie wymiany: Matylda za ziemie położone na południe od Kopanika. Gromosław zaproponował, by natychmiast zbierać wojsko i uderzać na Białą Górę. Planowi sprzyjał fakt, że na polach przed grodem obozowały polskie oddziały. Chrobry, wiedząc dużo wcześniej o zamiarach Henryka, zorganizował strategiczne punkty na Połabiu i zachodnich obszarach Polski. W Kopaniku stacjonował piastowski kontyngent jednego tysiąca jeźdźców, połowa ciężko-, połowa lekkozbrojnych, oddanych pod komendę Burzysława. Ich zastosowanie uzależnione było od zachowania niemieckiej armii. Chrobry przewidywał dwa warianty. Pierwszy: cesarz podąży na Krosno i będzie usiłował sforsować Odrę jak przed dwoma

laty. Niemcy byli pewni, że ponownie pokonają Polaków pod Krosnem i pomaszerują na centralne grody państwa - Poznań i Gniezno. Tyle że tym razem Chrobry osobiście dowodził przygotowaniami obronnymi na linii rzeki i dysponował większą siłą bojową niż wtedy jego syn Mieszko. Gdyby cesarz wbił się w polską obronę pod Krosnem, Burzysław miał na czele sił zbrojnych księstwa Kopanickiego i wspomnianej dwutysięcznej konnicy uderzyć na Niemców od tyłu. Chrobry wyprowadzi wojsko ze swej strony do ataku i cesarz znajdzie się w kleszczach.

Drugi wariant przewidywał, że cesarz po dotarciu do Krosna nie zaryzykuje bitwy o przeprawę, lecz podąży wzdłuż Odry na południe w kierunku Czech z zamiarem zdobycia któregoś z kluczowych grodów - Głogowa lub Niemczy. Skąd się brało przypuszczenie Chrobrego, że Henryk zmieni kierunek marszu i skęci na południe? Wiązało się to z wprowadzonymi przez polskiego władcę na krótko przed niemieckim wymarszem spod Licikawy działaniami zbrojnymi na innych frontach. Morawianie weszli do wschodniej Bawarii, dokonując zniszczeń i spustoszeń, Mieszko najechał Czechy pozbawione głównych sił zbrojnych, które zdążyły do połączenia się z armią cesarza na terenie Połabia. Mieszko na czele dziesięciu oddziałów jazdy przez dwa dni niszczył i plądrował Czechy, nabierając mnóstwo jeńców. Chrobry wiedział, że złe wieści z Czech i wschodniej Bawarii dotrą do Henryka, gdy będzie się znajdował mniej więcej pomiędzy Gubinem a Krosnem. W tym przypadku, gdyby

Henryk skręcił na południe w stronę śląskich grodów, Burzysław ma najechać wszystkimi dostępnymi mu siłami Białą Górę.

- Więc na co czekamy?! - zawołał Gromosław, zrywając się od stołu. - Atakujemy margrabiego, ratować Matyldę!

- Nie ruszę wojska, dopóki nie przybędzie goniec od Bolesława - zaoponował twardo Burzysław. - Myślisz, że mi nie zależy na ratowaniu siostry? Ja tu rządzę i rozkazuję. Dyscyplina i posłuszeństwo na pierwszym miejscu.

- Ale ja tu najwyższym rangą piastowskim dowódcą - rozgorączkowany Gromosław podszedł do Burzysława. - Zachowaj swoich Połabian. Biorę polskie oddziały i nacieram na Białą Górę.

- Gromo - wtrącił Bernard - weź pod uwagę jedno, że Thietmara na pewno nie ma już w Białej Górze. Niewątpliwie musiał dołączyć z własnymi oddziałami do cesarskiej armii, gdy maszerowała przez jego ziemie. Nie wiemy, czy zabrał Matyldę ze sobą, czy też pozostawił w grodzie pod strażą.

W hali zapadła cisza, przerwana raptem przez Randulfa, z udawaną cierpliwością wyjaśniającego Czamborowi:

- Bo widzisz, Czambor, Gromo jeszcze się nie ożenił, ale już z przyszłym szwagrem zadziera.

Gromosław zrobił, jak zapowiedział, w czym mu książę Kopanika nie przeszkadzał. Pognał z pędzącymi za nim przyjaciółmi do obozu jazdy i nakazał grać w rogi wsiadanego. W ostatniej chwili, opamiętawszy się nieco, wysłał posłańca do Chrobrego z nakazem przekazania

władcy krótkiej ustnej informacji: „Broń odzyskana”. Fałszywa czy nie, niech Bolesław ma świadomość, że niebawem włócznia dotrze do niego.

Zanim odjechali, Bernard oznajmił, że zostaje na miejscu.

- Dołączę do was za kilka dni, jeżeli będziecie jeszcze pod Białą Górą. - Na nieme spojrzenie Gromosława wyjaśnił: - Zagładnę najprzód do moich byłych włości w Niszanach, rozpytam, co i jak.

\* \* \*

Biała Góra rozłożona była po obu stronach Łaby. Po wschodniej stronie rzeki rozległe i ludne podgrodzie chronione niewysokim wałem z kilkoma drewnianymi basztami na kamiennych podstawach. Po zachodniej, przeciwległej stronie rzeki wybudowano zamek. Na wzgórzu sporej wysokości wznosiły się wysokie kamienne mury osłaniające siedzibę margrabiego, kościół, kwatery garnizonu i pozostałe zabudowania. Gród z podgrodzem łączyły dwa mosty, komunikację ułatwiała płycizna rzeki na tym odcinku. Atak tysiąca spieszonych piastowskich wojowników zaskoczył obronę podgrodzia Białej Góry. Po gwałtownym i zażartym boju wdarli się na palisadę wału i wybili niemiecko-połabskich obrońców. Tyle że zajęcie podgrodzia nie oznaczało jeszcze zdobycia siedziby margrabiego. W siedzibie stacjonował bardzo silny garnizon niemiecki, rycerstwo służebne, najemni żołdacy z głębi Saksonii, a także oddziały słowiańskich wietników. Do tego

te masywne, wysokie kamienne mury, bez sprzętu oblężniczego mała szansa na sukces. Sytuację utrudniała okoliczność strategiczna. Dla rozpoczęcia oblężenia musieli sforsować Łabę, ponieważ szturm na mury zamku łodem możliwy był jedynie od zachodniej strony, po lewej stronie Łaby. Co prawda nie było problemu z pokonaniem rzeki, płytkie brody na północ i południe od Białej Góry umożliwiały przeprawę bez narażenia się na ostrzał z korony murów obronnych, ale... armia oblężnicza po zachodniej stronie rzeki mogła szybko znaleźć się w potrzasku. Mimo wszystko Gromosław powążył się na przeprawę. Gdy tylko okopali się na zachodnim przedpolu twierdzy, porwał wojsko do natarcia. Dobiegli pod mury nękani silnym obstrzałem łuczników, poprzystawiali drabiny. Niektórzy wojownicy zdołali nawet wspiąć się na wysokość ganków, lecz nie zdobyli przyczółka na murze. Wycofali się z niemałymi stratami.

Następnego dnia Gromosław ponowił szturm z podobnym rezultatem. Wojownicy poczęli sarkać i narzekać, beznadziejność natarcia jawiła się jasno wszystkim obecnym. W końcu przyjaciele zaczęli przemawiać mu do rozumu. Niech poczekają dzień, dwa, nawet kilka, dopóty nie nadejdą wieści od Burzysława. Może już goniec Chrobrego jest w Kopaniku, może już Burzysław nadciąga z kopanickim wojskiem? Nie lepiej wysłać umyślnego dla sprowadzenia sprzętu oblężniczego? Za mało ich do prowadzenia batalii. Dodatkowo po wschodniej stronie Łaby, w zgliszczach świeżo zdobytego

podgrodzia, musieli zostawić spory oddział dla pilnowania nabranych w podgrodziu jeńców i mieszkańców.

Czwartego dnia pojawił się Bernard. Dowiedział się następujących rzeczy: cesarz przed dniami już przemaszerował wojskiem na wschód, omijając Dobryług szerokim półkolem. Zdobywanie grodu nie przyniosłoby mu żadnych wymiernych korzyści. Jedynie by wojsk natracił, a szansa na sukces niepewna. Dobryług silnie obwarowany, z liczną załogą. Niemcy musieliby pod wały wysłać tysiące wojowników, wspinających się chyba jeden drugiemu po plecach, by dotrzeć do korony wału i palisady. Po tych wyjaśnieniach Bernard spytał Gromosława:

- Sprawdziłeś w ogóle, czy Matylda obecna w grodzie?

Gromosław zgłupiał. Pytanie Bernarda podziałało jak kubeł lodowatej wody wylanej na głowę. Teraz dopiero dotarło do niego, że przez ostatnie dni działał jak w jakimś opętaniu, bezrozumnie. Bernard podjął się zadania i wyjechał w stronę murów sam, trzymając wysoko odwrócony ostrzem ku dołowi miecz. Jak się okazało, Matylda przebywała za murami. Jednak dowodzący obroną saski rycerz, stary drużynnik byłego margrabiego Gerona, a teraz burgrabia grodu z cesarskiego nadania, nie chciał się wdawać w dalsze dyskusje.

Następnego dnia pod wieczór przybył Burzysław na czele kopanickiego wojska. Jednak sprawdziło się drugie z przypuszczeń Chrobrego. Henryk na złe wieści z Czech zareagował tak, jak przewidywał polski władca. Skrecił na południe, udając się wzdłuż Odry na śląskie grody. Nie



wiadomo, który z nich zaatakuje. Chrobry na czele wojsk śledził ruchy przeciwnika, podążając równoległe drugą stroną rzeki. Do Henryka pod Gubinem dołączyli Lutycy w sile około ośmiu do dziesięciu tysięcy wojowników. Przez kolejne cztery dni Gromosław i Burzysław wspólnymi siłami próbowali zdobyć gród. Bez rezultatu pomimo wsparcia kilku machin miotających. Polacy i Połabianie z Kopanika doznali sporych strat, szturmy rozbijały się na kamiennych murach twierdzy margrabiego.

Piątego dnia zwiadowcy donieśli o pojawieniu się nieprzyjacielskiego zgrupowania na zachód od ich obozu. Naliczyli ponad dwudziestu jeźdźców, świetnie uzbrojonych, obleczonych kolczugami. Sasi? Nie, wyglądali na wojsko słowiańskie. Szpice na hełmach z piórkami, płachty na zbrojach w kolorach nie na saską modłę. Pewnie z zaciągu feudalnego któregoś z saskich wielmożów znad Soławy, Muldy lub Elstery. Na naradzie zawrzało. Jeżeli to tylko patrol z jakiegoś podległego Sasom słowiańskiego grodu, to nie warto się nimi zajmować, ale jeżeli zamierzają wzmocnić garnizon Białej Góry, to niedobrze. Kilkunastu, a może i kilkudziesięciu dodatkowych ciężkozbrojnych wojowników na murach twierdzy zniweczy ostatecznie szansę na jej zdobycie. Gromosław osobiście udał się na dokładniejsze rozpoznanie, zabrawszy spod Białej Góry oddział ciężkozbrojnych w sile czterdziestu jeźdźców. Jego przyjaciele pozostali pod Białą Górą, w duchu zadowoleni, że dowódca odciąży na chwilę głowę od ratowania Matyldy.

Po przekroczeniu Łaby dwa staje na południe od obleganego grodu oddział Gromosława zagłębił się w pagórkowaty lesisty teren, poprzecinany niewielkimi rzeczками. Po jakimś czasie wychynęli na obszar zagospodarowany: uprawne pola na lekko pofalowanych wzniesieniach ciągnące się aż po majaczące w oddali ściany lasów. Szachownice pól urozmaicały zagajniki. Środkiem wiła się zakolami rzeka, pewnie któryś z dopływów Łaby. O dwa loty strzały widoczne zarysy... osady, wioski? Gród raczej nie, brak widocznych wałów obronnych. Wysłana przodem szpica zameldowała o obecności koni na terenie osady i szwendających się lub wypoczywających wojownikach. Ludności cywilnej nie zauważono. „Czy osada wygląda na zniszczoną?”. „Raczej tak, z niektórych chałup zostały kikuty, ale brak dymu wskazującego na świeży napad”. „Jeźdźcy we wsi?”, dopytywał Gromosław, „Słowianie czy Sasi?”. „Jazda słowiańska, świetnie obleczone uzbrojeniem. Wśród nich kilku wskazujących na rycerską rangę”. Bez wątpienia nieprzyjaciel, którego szukali. Gromosław wydał rozkaz do ataku. Wojownicy pokiwali z aprobatą głowami. Zaskoczenie będzie pełne, zetrą ich na proch, może się poszczęści i wezmą któregoś żywcem. No i zdobycz wyśmienita, skoro oni tak bogato uposażeni. Ruszyli z kopyta spomiędzy drzew stykających do pola, bez okrzyków i animuszów, rozwijając w pędzie linię natarcia i... wpadli w pułapkę.

Czujki Koledziców obserwowały z ukrycia ruchy oddziału Gromosława już od paru godzin. Na terenie

opuszczonej osady postanowiono zastawić pułapkę. Wystawiono na pokaz szwendających się bez celu wojowników i pałętające się konie. Na długości linii przed osadą wykopano niegłęboki rów z powbijanymi w dno zaostrozonymi u góry palikami, całość przysypana darnią i liśćmi. Reszta koledzickiej jazdy w sile stu ciężkozbrojnych poukrywała się na koniach w gotowości bojowej w wyspach zagajników porozrzucanych po polu. Pierwsza linia nacierających Polaków, galopując bez opamiętania w stronę zabudowań osady, wpadła w zamaskowany rów. Za nimi kolejni, zanim się opamiętali i próbowali powstrzymać rozpędzone konie. Chaos i masakra. Pozorujący udawane rozleniwienie wojownicy Koledziców, skupieni przy chatach, ślali z łuków salwę za salwą w skłębioną ciżbę koni i ludzi Gromosława. On sam, wyrzucony gwałtownie z siodła, wylądował z hukiem na ziemi i próbował w zgiełku dojść do siebie. Jednocześnie z zagajników, z trzech kierunków naraz natarła na nich nieprzyjacielska jazda. Pogrom był kompletny; kto mógł, ratował się ucieczką we wschodnim kierunku. Gdy Gromosław odnalazł w zamieszaniu swój miecz i zerwał się na nogi, było już po wszystkim. Niektórzy Polacy zdołali wyrwać się z zacisku okrążenia i uciekli w stronę, z której przybyli. Na przedpolu osady rozłożone trupy co najmniej kilkunastu wojowników z jego oddziału, niecała piątka skupiona wokół niego z wystawioną do przodu bronią rozglądała się nerwowo po otaczającej ich gęstwinie koledzickiej jazdy ciężkozbrojnej, mierzącej w nich ostrzami włóczni z wysokości bojowych rumaków.

Opór byłby daremny. Mimo to Polacy zbici w gromadkę patrzeli wilkiem na wrogów, niepomiernie beznadziejności sytuacji. Dopóki dowódca dzierży miecz, będą walczyć. Koledzicy zwiększyli obwód pierścienia. Do środka wjechał na wijącym się wolno na lewo i prawo koniu potężny z postury rycerz z misternie wykonaną obręczą na obwodzie hełmu, symbolizującą koronę. „Rzućcie broń na ziemię!”, nakazał wyniośle. Na brak reakcji ze strony Polaków zakręcił raz wokół koniem i zbliżywszy zwierzę w stronę Gromosława, zapytał:

- Po zbroi wnoszę, żeś dowódcą tej bandy?

- Bandy? - Gromosław opuścił nieznacznie ostrze miecza. - Bandy? Zważaj na słowa - odpowiedział hardo. Rozglądnął się, ogarniając sytuację. Głupio przyjdzie zginąć, pomyślał, na nic młodość, czyny, sława, Matylda i ta włócznia.

- To przedstaw się, Polaku.

- Zwą mnie Gromosław - w tym momencie po Koledzicach przeszedł szelest pomruków - polski rycerz Bolesława Chrobrego, syn komesa na grodzie Lubusz.

- To nam aniołowie niebiańscy i wszystkie zapomniane bożki Połabia zdobycz zesłali - uradował się Koledzic. Zsunął się z konia na ziemię i zbliżył nieznacznie w stronę Gromosława. - Na imię mi Ziemutz, po dawnemu Siemysł. Z racji starych obyczajów jestem księciem nad plemieniem Koledziców. Ale że już plemion i starego porządku nie ma, jestem dowódcą nad okręgiem wojskowym stworzonym przez cesarstwo na obszarze zamieszkałym przez nasze

plemię, komes militarny w randze grafa. Z wasalnego porządku podlegam lennie arcybiskupowi Magdeburga. - Ziemutz wpatrywał się w oblicze Gromosława. - Co, nie zrobiło to na tobie wrażenia?

- Nie - odparł krótko Gromosław.

- Bo widzisz - ciągnął Ziemutz po chwili udawanego zastanowienia - na mnie, na nas - zatoczył ręką koło - twoje imię robi wrażenie. O sławnych wyczynach polskiego Gromosława i jego kompanii huczy na całym Połabiu. Ale - rozejrzył się po ludziach Gromosława - to chyba nie oni...

- Do czego zmierzasz, Ziemutzu czy Siemyśle, czy jak tam cię zwa - przerwał mu Gromosław. - Świeceniem obręczy na hełmie mi nie zaimponujesz.

Ziemutz wsunął włócznię do uchwytu przy siodle. Odczepiwszy dyndającą mu na lewym ramieniu niewielką tarczę, złożył ją na ziemi i stanąwszy w lekkim rozkroku, położył rękę na uchwycie umocowanej do pasa groźnie wyglądającej maczugi.

- Na pojedynkę cię wyzywam... - więcej nie zdążył wypowiedzieć. Okolicą targnął jazgot piszczący i bitewnych rogów. Powietrze rozdarł świst mknącej chmury strzał. Ten i ów Koledzic, trafiony śmiertelnie, spadł z konia. Od wschodu nacierała jazda. Liczna, dwustu, trzystu, a może i więcej ciężkozbrojnych, połyskujących masą kolczug i ostrzami włóczni. Koledzicy rzucili się do ucieczki, nie zważając już na Gromosława. Ziemutz jako pierwszy wskoczył na konia i pognał na zachód. Gromosław z niedowierzaniem wpatrywał się w nadchodzących

błyskawicznie wybawców. Barwy i znaki ziemi krakowskiej. Nie może być, przemknęło mu przez głowę, Chrobry atakuje cesarstwo? Nie Chrobry. Odsiecz przyprowadził Mieszko, syn Bolesława. Powitaniu nie było końca.

- Ojciec wysłał mnie dla zdobycia Białej Góry - wyjaśniał Mieszko Gromosławowi po przywitaniu - na czele części podległej mi armii, niecałe sześć legii jazdy ciężkozbrojnej, spotkasz nareszcie wielu twoich przyjaciół. Sam został z armią pod Wrocławiem, pilnując, by Niemcy nie zdobyły Niemczy.

- To Niemcza dalej się broni?

- I to jak! - zapewniał z dumą Mieszko - Bohatersko! Nie tylko cała armia cesarska, lecz także Czesi i Lutyzy kruszą straszliwie siły na wałach Niemczy! Ale, wracając do spraw tutejszych, pewnie zauważyłeś w moich szeregach również liczny oddział saskiego rycerstwa? Wszystko lennicy Bolesława. Dowodzi nimi graf Zygfryd, ten, co pała nienawiścią do młodego margrabiego Thietmara. Jak się dowiedział, że ojciec wysłał mnie na zdobycie Białej Góry, nie było sposobu, by powstrzymać go przed uczestnictwem. Zebrał swych Sasów i nie spocznie, dopóki nie wtargnie do Białej Góry, nie zabije Thietmara i nie zgarnie dla siebie ziem marchii. Szalony on, ale ojciec chyba rad, że dał mu jakieś zadanie.

Wróciwszy do obozu oblężniczego pod Białą Górą, Mieszko zwołał natychmiast naradę wojenną. Oprócz niego zebrali się dowódcy jazdy, Burzysław, grupa Gromosława i Zygfryd z dwoma saskimi rycerzami. Zygfryd nie krył

rozżalenia na wieść, że Thietmara nie ma w zamku, ale nie osłabiło to jego pragnienia zniszczenia stolicy marchii.

- Mamy teraz ponad dwa tysiące zbrojnych - orzekł na wstępie następca polskiego tronu. - Cieśle montują już kolejne maszyny, jest szansa na zdobycie zamku.

- Sasi będą się bronić do upadłego - zauważył Burzysław. - Nie chcę iść na żadne układy, a tu się rozchodzi o moją siostrę...

- Nie ruszę spod Białej Góry, dopóty nie uwolnię Matyldy - Gromosław nie krył rozgorączkowania.

Dyskutowali tak niemal do wieczora, rozpatrując plan oblężenia. Na zakończenie Mieszko zaprosił Gromosława wraz z przyjaciółmi na wieczorną strawę przy wielkim ognisku przed książęcym namiotem. Zastali tam już kilku rówieśników z czasów, gdy wspólnie walczyli w drużynie Mieszka, przed trwającą prawie dwa lata przygodą w pogoni za włóczęgą Chrobrego. Między nimi Żdaniec z Kalisza, Przesław z Krakowa i Rościmir z Sandomierza. Stare druhy, jak Gromosław i Czambor, synowie z najprzedniejszych polskich rodów. Razem przelali niejedną krew w bitwach. Nie zabrakło również Masława z Pułtuska, potomka starego wszechwładnego ongiś mazowieckiego rodu. Masław, równy im wiekiem, już dorobił się przy boku Mieszka znaczeń i godności, pełniąc funkcję cześnika. „Ani słowem Mieszkowi o sfalszowaniu włóczęgi”, uprzedził swoich Gromosław. Przesław, równie wielki wzrostem jak Czambor, uścisnął radośnie Gromosława i przyklepał z hukiem po barkach:

- Ależ nam bohater wyrósł! Panny oszaleją na twój widok!

- On już zajęty - Wojomir z udanie skwaszoną miną pokręcił głową - tyle że ulubienicę trzeba najpierw odbić z rąk Sasów.

Przesław spoglądał raz na Gromosława, raz na Wojomira.

- Że co...?

- Gromo poślubi niebawem piękną Matyldę, stodorańską księżniczkę z Kopanika - wyjaśniał Wojomir. - Ale ona w saskiej niewoli na Białej Górze...

- A ty kto? - spytał go Przesław.

- Wojomir - wyjaśnił Gromosław - znamienity wódz z plemienia Wkrzanów, przyjacielem nam i towarzyszem nieodłącznym od czasu, jak wyruszyliśmy na Połabie.

- Czambor - zagaił gdańszczanina Rościmir - ty też już w niewieścich rękach?

- Nie.

- Pytam - ciągnął Rościmir - bo wszystkich nagle do żeniacek pognało, jak się okazuje. Przesław poślubił piękność z Wiślicy, Żdaniec równie piękną z Sieradza, teraz Gromo tę Matyldę. Zostałem jeszcze ja i ty na wolności. No i chyba Benno - spojrział na Saksończyka - co, Benno? Nie mów, żeś też w śluby uderzył?

- Nie było okazji - odparł z rozbawieniem Bernard, po czym zwrócił się do Masława: - A co u ciebie? Cieszymy się, że Mieszkowym cześnikiem zostałeś, gratulacje, druhu.



- Dziękuję - odparł Masław. - Nie czas mi do żeniaczki, sprawy ważniejsze umysł i ciało zaprzatają.

Opowiadali jeden przez drugiego o przeżytych przygodach. Z pierwszych słów Mieszka wynikało, że krążyły o nich niesamowite opowieści. Wyolbrzymione i po części nieprawdziwe: naprawdę zabili Stodora? Najechali wyspy duńskie? Ograbili katedrę w Magdeburgu? Po jakimś czasie, gdy nasycili ciekawość Mieszka, rozmowa zeszła na aktualne problemy. Mieszko roztaczał przed nimi niewesołe perspektywy. Sytuacja przedstawiała się dramatycznie. Dla Polski.

- Wojsko szczupleje, nie ma już skąd zaciągać poborów na zwykłych, szeregowych wojowników. Wśród rycerstwa też luki nie do wypełnienia. Za dużo wojen, bitew w ostatnich czasach, za dużo strat. Jak myślicie, dlaczego nie stać nas na formalne zagarnięcie Stodoranii? Na najechanie federacji lutyckiej? Na odbicie Pomorza z rąk zdrajców i apostatów? Na przeniesienie wojny z Henrykiem poza Łabę? Brakuje ludu wojennego! Ojciec z trudem łąta garnizony najważniejszych grodów granicznych. Pod Niemczą może jedynie grozić Henrykowi, ale nie stać go na kontruderzenie. Samych Lutyków w cesarskiej armii więcej niż całej naszej jazdy. A opróżniać wsi, osad i grodów w głębi kraju też nie podobna. Zaciągnięto już niemal wszystkie rezerwy. A przecież lud potrzebny również do prac, posług i świadczeń codziennych. Kto ma orać pola, łapać ryby, hodować zwierzyne, produkować sprzęt użyteczny i wojenny, naprawiać domy i systemy obronne?

Ludność łapana na Połabiu w niewolę z trudem wystarcza dla zasiedlenia wsi służebnych. Cały system zaczyna się sypać. Z szerzeniem wiary też nie najlepiej. Brakuje po prostu duchownych, zwykłych, szeregowych kapłanów. Ojciec już tyle srebra poświęcił na wysyłanie młodzieży z zamożnych rodów na nauki religijne do Italii i Franków na zachodzie. Na nic. Wróciło zaledwie kilku. Reszta wsiąkła w obce ziemie, poszli na obce służby, do kraju nie chce im się wracać. Ha, podam przykład kilku obiecujących młodzieńców z ziemi kłodzkiej, co w Rzymie nauki pobierali w nadziei na obsadzenie wyższych stanowisk naszego kościoła. Po kilku latach zbiegli na południe Italii w jakiejś jaskinie nad brzegiem morza i w eremitów się przemieniali!

Słuchali słów Mieszka wypełnionych goryczą i skargami. Wielka niewiadoma ich czeka za kilka, kilkanaście lat być może, kiedy Chrobry zemrze. Niewesołe widoki na przyszłość. W milczeniu spojierali w trzaskające płomienie ogniska, zatopieni w poważnych rozmyślaniach. Po jakimś czasie podjęli na nowo rozmowy o wszystkim i o niczym. Obserwujący ich Mieszko klasnął w dłonie jak na odpędzenie złego ducha:

- Cóż ze mnie za władca! Podwładnych w przygnębienie wpędzam, zamiast do czynów zagrzewać!

Po jakimś czasie liczba zebranych przy ognisku zaczęła się przerzedzać. Gdy zostali w zaufanym gronie, Mieszko powrócił do poważnych tematów:

- Nie musi być tak źle, jak by to z mojego uprzedniego biadolenia wynikało. Ważne, żeby ojciec jak najszybciej zakończył tę wlekącą się wojnę z Henrykiem, zanim do końca wyczerpią się nasze możliwości.

- Jedna wojna się skończy, a już następna wisi na włosku - rzekł Masław, dorzuciwszy drewnianych szczap do ognia. - Znaczący mam na myśli Rusów Jarosława z ich przeklętymi Waregami.

- Ważne, żeby wojnę z Niemcami zakończyć, to jedno - Żdaniec podjął wątek Mieszka - ale ważne przy tym, byśmy zdobycze na Połabiu utrzymali. Łużyce i Milsko.

- Ach, jaka szkoda - Gromosław westchnął głęboko. - Na Rusy zamiast pójść za ciosem i zniszczyć federację Lutyków. Całe Połabie do Polski przyłączyć.

- Całe szczęście, że nie ma tu przy ogniu Wojomira - upomniał go Bernard. - Zarzuciłby cię cierpkimi uwagami o plemionach, wolności i tak dalej.

- No dobrze - Gromosław zmienił po zastanowieniu temat. - Załóżmy, że Bolesław i Henryk zawrą pokój, czy będzie obowiązywał również Lutyków i Czechów?

- Z Lutykami wszystko pod znakiem zapytania - odparł Mieszko. - Natomiast Czesi muszą zaakceptować układ między ojcem a cesarzem, są lennymi poddanymi Henryka.

- Ja bym ci radził - zwrócił się Przesław do Mieszka - w przyszłości skumać się z Czechami, pogrzebać zaognione właśnie i obopólne pretensje. To nasi bracia w języku i obyczajach, może nie tak bardzo jak Połabianie, ale jednak.

- Nie mam nic przeciwko Czechom - odparł Mieszko. - Raz, że jak mówisz, ze wspólnego pnia się wywodzimy, dwa, nasze dynastie węzłami rodzinnymi powiązane. Że po stronie cesarza stoją? Z powinności lenniczej...

- Pamiętam, jak nas Czesi uwięzili w 1014 roku... - Gromosław przerwał księciu, nie kryjąc sarkazmu. - ... byłem przy tym...

- Czyli co - Czambor nie krył irytacji - uważasz, książę, że z Oldrzychem można jeszcze się dogadać?

Mieszko, nie odpowiedziawszy, wzruszył tylko ramionami. Sprawiał wrażenie jakby raptem zatopionego w jakichś głębokich rozmyślaniach. Nie przerywali mu. Oczekali, aż Mieszko odezwie się ponownie, chociaż zabrzmiało to bardziej jak monolog niż rozmowa z nimi:

- Taaa... wojny, Czesi... Rusy... Henryk, Połabie, Lutyki... niełatwo będzie nad tym wszystkim zapanować, niełatwo... Na domiar wszystkiego nie wiem, jak zachowa się Bezprym, starszy ode mnie brat przyrodni od węgierskiej matki... Niby on na duchownego w dalekich krajach się kształci, ale różne słuchy o nim krążą...

Rankiem następnego dnia zebrana armia złożona z Polaków pod wodzą Mieszka i Połabian Burzysława szykowała się do generalnego szturm na Białą Górę. W ostatniej chwili, gdy już wojska wyszły na przedpola i toczono katapulty, przerwano uderzenie. Przybyli w tumanach kurzawy jeźdźcy z dalekiego patrolu na południu, w górę Łaby, przynosząc Mieszkowi wieść o nadciągającej katastrofie. Łaba wylewa. Potężnie, na

kilkanaście łokci w górę, rozlane wszere na wiele stajań wody zatapiają pola, lasy, osady, podtapiają grody. Wzburzony żywioł wody doszedł już do Strzały i sunie szybko w ich kierunku. Mieszko zarządził natychmiastową ewakuację wszystkich sił na prawy brzeg Łaby. Koniec oblężenia.

Gromosław pognał na koniu w stronę księcia. Zeskoczył z siodła na ziemię, nie kryjąc wzburzenia, i jeszcze nie doszedłszy na dobre do niego, wołał już z daleka: „Mieszko, nie! Co z Matyldą?!”. Gromosław należał do wąskiego grona zaufanych, zwracających się do polskiego następcy tronu imiennie. Gwardziści zastąpili mu drogę, ale rozchylili tarcze na znak władcy. W tym momencie za Gromosławem ukazali się jego przyjaciele, zaniepokojeni, by nie dopuścił się jakiegoś nieobliczalnego czynu.

- Nic na to nie poradzisz, Gromo - uspokajał go Mieszko. - Nie wystawię armii na zaturę. Niebawem fala dojdzie tutaj i odetnie wszelkie możliwości sforsowania rzeki. Na wiele być może tygodni. Uwięzieni na lewym brzegu, wystawieni zostaniemy na kontruderzenie Sasów. Pewnie już organizują odsiecz dla Białej Góry w Magdeburgu, Merseburgu i Miśni. Jak tu nadejdą zastępy tysięcy saskich wojowników i ich połabskich wasali, to nas zamkną w pułapce i zetrą na miazgę. Nie, Gromo, nie czas teraz na ratowanie Matyldy. Przypominam ostatni dany mi rozkaz ojca: „Atakować Białą Górę, lecz nie za wszelką cenę. Nie tracić bez potrzeby wojowników”.

Gromosław przysiadł przygaszony na ziemi. Z apatyczną rezygnacją rozglądał się wokół. Przyjaciele otoczyli go kołem. W milczeniu. Chyba żaden z nich nie wiedział, jak go pocieszyć lub doraźnie dopomóc. „Zostanę”, mamrotał bezwiednie Gromosław, „zostanę sam tutaj, w przebraniu prześlizgnę się na zamek, wytlukę łotrów i wyciągnę Matyldę...”.

Randulf odciągnął Bernarda na stronę i zaczął mu coś namiętnie tłumaczyć. Początkowo Bernard jakby oponował, ale w końcu kiwał tylko potakująco głową w reakcji na wywody Randulfa. Czas jakiś naradzali się jeszcze potajemnie, po czym Bernard udał się najpierw do swego namiotu, a następnie odjechał samotnie na koniu w kierunku murów, sygnalizując obrońcom konieczność rozmowy. Wpuszczono go do środka. W tym czasie Randulf oznajmił pozostałym, żeby szykowali ich oddziały do odwrotu, tak jak nakazał Mieszko, i żeby się o nic nie martwili.

Minęła może godzina. Zebrani nad łąką mielizny rzecznej Randulf, Wojomir, Srogosz, Czambor i Gromosław wyczekiwali na powrót Bernarda jako ostatni ze wszystkich oddziałów po tej stronie Łaby. Randulf nabrał wody w usta i kazał cierpliwie czekać. Wtedy dojrzeli Bernarda opuszczającego bramę twierdzy. Galopował w ich stronę, wioząc na dodatkowym koniu Matyldę. Na ten widok oniemieli wszyscy, Gromosław mimowolnie opadł na oba kolana, nie wierząc własnemu szczęściu. Pozostali

przyjaciele podeszli do Bernarda, wypytując, jak tego dokonał.

- Wymieniłem księżniczkę na głowę Maurycego - odparł spokojnie. - Tak się śmialiście, że ją wożę w skrzyni. Dla moich rodaków to święta rzecz, niby tylko rzeźba, ale symbol wielkiej religijnej i państwowej wagi. Po kradzieży przez Lutyków przykryto posąg Maurycego płachtą, by nikt nie dojrzał braku głowy. Podobno cesarz zamierzał już wysłać umyślnych do Italii, by sprowadzono mistrzów rzeźbiarskich dla wykonania nowej głowy. A teraz odzyskali oryginał i zawiozą do Magdeburga. A my odzyskaliśmy Matyldę. Pomysł wyszedł od Randulfa.

Burzysław udał się do Kopanika, zabierając Matyldę ze sobą. Gromosław zdążył jeszcze nacieszyć się ukochaną, nie zapomniawszy przekazać jej najważniejszej wieści:

- Najdroższa, mamy włócznie! Teraz Bolesław da zezwolenie, będzie ślub!

O tym, że włócznia zawiera zwykły gwóźdź, co prawda poświęcony, ale zwykły, nie wspomniał. Na razie.

## *Niemcza*

Mieszko podążył z ciężkozbrojnymi z Krakowa w stronę granicy marchii miśnieńskiej. A oni - do Bolesława! Na Śląsk! Popędzali konie bez tchu, spiesząc wytrwale, zatrzymując się jedynie na niezbędne postoje. Na wskroś przez całe Połabie. Na wysokości Głogowa, gdzie dotarli dwudziestego sierpnia, dowiedzieli się, że armia cesarska przed ponad dziesięcioma dniami pomaszerowała dalej na południe. W końcu dotarli do okolic Niemczy, położonej nad Ślężą, lewym dopływem Odry. Z oddali, z wysokiego, leżącego na zachód od Niemczy wzgórza, otwarła się przed nimi niesamowita sceneria: gród szturmowały tysiące wojowników wspomaganych licznymi machinami oblężniczymi. Na zachodnich przedpolach grodu mrowie, tysiące namiotów. Niemcy, Lutycy, Czesi. Obrońcy mężnie odpierali ataki.

Postanowili, że przenocują w lesie na wzgórzu, a następnego dnia poszukają przepraw na rzekach. Gdzieś za grodem musiały znajdować się wojska Bolesława.

Wieczorem, siedząc przy ognisku, delektowali się pieczenią. Ze wspólnego namiotu Randulfa i Czambora



dobiegały odgłosy pogadanki. Po chwili wyszli obaj i przystąpili do nadziewania mięsiwa na różna. Natomiast w namiocie Wojomira i Srogosza aż huczało od ostrej sprzeczki, przeplatanej połabskimi i polskimi wyzwiskami.

Wojomir wybiegł z namiotu w kierunku juczych koni i coś tam grzebał w tobołach. Po chwili pojawił się wzburzony Srogosz. Podeszli obaj do ogniska i przysiedli do strawy. Srogosz rozłożył z rozpaczą ręce. – Nie przemówię do rozsądku. Uparty!

Podśmiewając się, czekali na dalsze wyjaśnienia.

– Chce udać się do obozu Niemców w lutyckim przebraniu i podmienić włócznie. Naszą fałszywą na oryginalną cesarską.

– Nie ma mowy! – zaprotestował impulsywnie Gromosław. – Nie przekradnie się. A nie daj Bóg stracimy naszą włócznię, to nie mamy po co wracać do Bolesława. Wtedy idę na banicję, jak Bernard, tylko nie wiem jeszcze, do jakich krajów. Co on, oszalał?! – zawołał.

– Idę z Wojomirem – Czambor podniósł się, wycierając otłuszczone jadem palce o kaftan.

– Bardzo dobry pomysł – nagle Srogosz zmienił zdanie – tylko że ja muszę przy tym być. Nie oddam nikomu do ręki włóczni, obojętnie, fałszywej czy nie.

Gromosław machnął ręką. Co miał z nimi dyskutować?

Poszli we trójkę i wrócili już grubo po północy. Z prawdziwą włócznią. Niesamowity Wojomir dokonał rzeczy niewyobrażalnej, podmienił włócznie. Teraz mieli tę, która na pewno zawierała oryginalną relikwię.

\* \* \*

Przedarcie się na obszar leżący na tyłach Niemczy zajęło im półtora dnia. Musieli ominąć szerokim łukiem nie tylko rozległy obóz wojsk cesarskich i ich sojuszników, lecz także dwie rzeki i zdradzieckie mokradła. Na wschód od grodu natrafili w końcu na polski patrol, jeden z wielu rozesłanych po okolicy. Niebawem zaprowadzono ich do rozległego obozu pełnego wojska. Bolesława nie było w pobliżu, przebywał akurat

we Wrocławiu. Cesarz szturmował gród zaciekle, każdego dnia kilkakrotnie. Bolesław podsyłał obrońcom posiłki i pożywienie. Ma tu przybyć na dniach. Rozpalili ognisko z dala od innych i zasiedli do narady. Co czynić? Czekać na miejscu na przybycie władcy?

- A może by tak... - zaproponował Gromosław - przedrzeć się do grodu i powalczyć?

Jakoś nikt nie wykazał zbytniego entuzjazmu. W końcu głos zabrał Bernard:

- Nie żeby nam odwagi brakowało, ale...

Gromosław nie ustępował:

- Tu chodzi o obowiązek. Mamy czekać z napełnionymi brzuchami, gdy tam mieszkańcy bohatersko walczą? Słyszeliście, co mówili dzisiaj tutejsi wojownicy, w Niemczy nawet kobiety do walki stają.

- Nie chodzi o odwagę. - rzekł Bernard. - Spójrz na siebie i pozostałych, mnie nie wykluczając. Od dwóch lat nieustannie bijemy się, walczymy, odnosimy rany, których

nie sposób nawet zliczyć. Dwa razy dostałeś w głowę, ucho nadal ci się trzepie, gdy silniejszy wiatr zawieje, ostatnio dźgnięto cię w udo. Randulf to już wolnego miejsca na nogach od ran nie ma. Moja w boku otwiera się, jak jej popadnie. A poza tym włócznia. Chcesz ryzykować jej utratę? Teraz, po tym wszystkim, przez co przeszliśmy?

Po słowach Bernarda zastanawiali się, każdy skupiony na własnych myślach.

- Ja jestem za - pierwszy odezwał się Srogosz. - Włóczni nigdy już nie oddam, nie obawiajcie się. Ale kusi, by po raz ostatni porządnie powalczyć, to będzie moja ostatnia bitwa, Bolesław na pewno wyśle mnie na odpoczynek, gdy przybędzie.

Wojownicy w obozie wspominali, że z grodu przybywają regularnie posłańcy. Poczekali do wieczora na jednego z nich i dali się poprowadzić tajemnymi przejściami. Raz naturalnymi kanałami pod skarpami i korzeniami prastarych dębów, raz brocząc po szyję w bagnistych mokradłach. Przed północą znajdowali się już w Niemczech. Na wałach tłumy zbrojnych pełniące czujną straż, wąskie uliczki pozawalane materiałem wojennym. Wiele domów nadpalonych, niektóre całkowicie spopielone - oblegający regularnie zarzucali miasto płonącymi strzałami i pociskami z katapult nasiąkniętymi łatwopalnymi cieczami. Przeciskając się pomiędzy uzbrojonymi mieszkańcami i wojownikami, dotarli w końcu do rampy i na wały. Szukali dowodzącego obroną Śmiałodarza.

- A wy skąd tutaj - zdziwił się na ich widok Śmiałodarz.  
- Jeden barwniejszy od drugiego... Ach, Gromosław! - wykrzyknął.

- Pomożemy wam w boju. - Gromosław uściskał dłoń Śmiałodarza, znali się z kilku dawniejszych bitew.

- O świtaniu się zacznie. Najpewniej tym razem zaatakują Czesi.

Jeszcze szarość nocy nie rozplynęła się na dobre, gdy narastający hałas przebudził wojowników na palisadzie. Rozcierając z zaspania oczy, dojrzeliby nadciągającą całą szerokością przedpola gęstwinę oddziałów szturmujących. Ponad masy wojowników wybijały się sunące z przeraźliwym jazgotem wieże oblężnicze. Pięć. Promienie przedświtu mieszały się z ognistymi rozbłyskami. Katapulty rozpoczęły ostrzał, zasypując wały i zabudowania poza nimi płonącymi pociskami. Tu i ówdzie pożary strzeliły w niebo płomieniami. Na obrońców posypały się chmury strzał i przeróżnych pomysłowych pocisków. Nad uszami Gromosława zafurkotała wielka, nabijana kolcami belka. Wbiła się w piersi dwóch stojących za nim wojowników, zrzucając ich trupy na dziedziniec, poza wał. Nie zważając na straty, odpowiedzieli własnym ostrzałem. Szturmujący przystawiali już liczne drabiny do wałów. Czesi, Śmiałodarz nie omylił się. Obrońcy zarzucali wspinających się po drabinach wojowników kamieniami, oszczepami, zasypywali gradem strzał. Katapulty ustawione na dziedzińcu trafiały celnie wieże oblężnicze, zawałając jedną po drugiej beczkami z rozgrzaną smołą. Wieże stanęły w strzelistych

płomieniach. Nie zważając na to, Czesi parli nieprzerwanie w górę. Tu i ówdzie wdzierali się już na palisadę. Ale nigdzie nie udało im się zdobyć przyczółka. Ginęli pod mieczami i toporami polskich wojowników.

Na odcinku obok Gromostawa grupa Czechów zszarpała hakami dwa pale z palisady i zmasakrowała strzałami stojących za nią obrońców. Wdarli się na ganek. Siedmiu. Przewodził im potężny rycerz w imponującej zbroi pokrytej łuskami czarnego metalu. W ścisku i zamieszaniu wywiązała się okrutna walka o przeżycie. Po jakimś czasie obrońcy wyparli Czechów, zrzucając z wałów ciała zabitych. Bój trwał jeszcze parę godzin, nie przynosząc atakującym sukcesu. Powoli opuszczały ich siły i ochota do walki. Około południa zaniechali szturm.

Tego dnia przed nadejściem wieczora posłaniec z obozu za grodem doniósł o pojawieniu się Bolesława. Gromostaw natychmiast zarządził opuszczenie grodu. Do księcia! Nareszcie!

Nie było końca powitaniom, gdy stanęli przed obliczem Bolesława. Księżę opuścił niedawno Wrocław i stacjonował od wczoraj ze znacznymi siłami za Niemcżą, po wschodniej stronie, oczekując na rozwój wydarzeń.

Srogosz przyklęknął przed władcą na jedno kolano i przekazał mu z dumą wyjętą z pokrowca włócznię. Zebrali się w wielkim namiocie narad, racząc świeżym jadłem i trunkami. Opowiadaniom nie było końca, księżęcy skrybowie nie nadążali z zapiskami. Bolesław wynagrodził ich po królewsku. Lubusz, powiększony o rozległe połacie

ziem, podniesiony zostaje do rangi prowincji. Z terenami po lewej i prawej stronie Odry aż po granice z księstwem Kopanickim. Wodzisław mianowany został z godności komesa okręgu grodowego do namiestnika nowej prowincji.

Gromosławowi przypisane zostaje dziedzictwo ojcowskiej godności i ziem. Teraz może się żenić z Matyldą, połabską księżniczką. Bolesław układał plany na przyszłość związane z krzewieniem chrześcijaństwa na ziemiach wieleckich. Po haniebnym zniszczeniu przez pogan klasztoru misyjnego pod Międzyrzeczem i zamordowaniu tamtejszych mnichów Lubusz miał przejąć w przyszłości rolę ośrodka misyjnego. Zadaniem następców Bolesława na polskim tronie będzie dążenie do założenia w Lubuszu biskupstwa misyjnego, a następnie diecezji obejmującej zasięgiem ziemie wieleckie, stodorańskie i południowe obrzeża Pomorza nadodrzańskiego.

Bernard otrzymał dokument książęcy, nadający mu w lenno Dobryług i przyległe ziemie aż po zachodnią granicę państwa. Będzie sąsiadował „przez miedzę” z kuzynem Thietmarem, margrabią marchii łużyckiej urzędującym w Białej Górze.

Czambor otrzymuje w lenno wieś służebną leżącą w połowie drogi między Świeciem a Gdańskiem, produkującą ostrogi i uposażenie dla koni bojowych. A to Czambor jeszcze nic nie wie, co zaszło w Gdańsku? Wyszły na jaw niecne czyny i knowania Przypora. Przegnano go z Gdańska, pozbawiono urzędu i dóbr. W jego miejsce

namiestnikiem podatkowym Gdańska mianowany został Stęgniew, ojciec Czambora.

Randulfowi przekazano obszerną sakwę wypełnioną kosztownościami. No bo jak tu wynagrodzić obcego księcia? Nawet nie wiadomo, jak długo jeszcze pobędzie na naszych ziemiach. Bolesław wręczył mu dwa listy z Benewentu, od rodziny, które przez kupców dotarły do Krakowa. Ma stawić się na Boże Narodzenie w Rzymie na spotkanie z bratem Landulfem. Wojomir dostaje pod zarząd, po uprzednim złożeniu przysięgi wasalnej, gródek na granicy wkrzańskiej ziemi, na południowy zachód od Szczecina. Ma go rozbudować, oczywiście na książęcy koszt, uczynić warownią i mądrze gospodarować. Gród to graniczny, duża odpowiedzialność na nim.

Srogosz udaje się na zasłużony spoczynek, zwolniony zostaje z funkcji opiekuna włóczni, ma prawo sam wyznaczyć następcę. Poza tym Bolesław nie wie, jak go wynagrodzić, jedną wieś już posiada pod Gnieznem... Wtedy Srogosz wtrącił, że posiadaną wieś chce zamienić na srebro i złoto, bo właściwie to on razem z Wojomirem... Jak to z Wojomirem? Bo Wojomir zakochał się w córce Srogosza, Bożejce, chociaż ją tylko z obrazka na brzozonej korze zna, ale pójdzie razem ze Srogoszem i uderzy w zaloty. Wojomir chce się ożenić z Bożejką i otoczyć jej dzieci ojcowską opieką. Srogosz popiera Wojomira i chciałby osiąść tam, gdzie Wojomir z jego córką i wnukami. Nagrody i nadania to jedno, rzekł Bolesław, zasłużyli na to, ale dla Gromosława i Czambora służba się

nie kończy. Do Wielkanocy następnego roku mają czas na odwiedziny po rodzinach. Gromosław niech się żeni, Czambor niech się rozglądnie po nowej włości. Po Wielkanocy wracają pod rozkazy wojenne Mieszka. Tylko żeby Bolesław nie upodobał w nas sobie na przyszłość wykonawców specjalnych misji, przemknęło przez głowę Gromosława.

A jak sytuacja pod Niemczą? Oblężenie potrwa jeszcze z tydzień, może dwa. Henryk traci wojsko i morale. W końcu odstąpi od Niemczy. Pójdzie na Czechy, a stamtąd powróci do Niemiec. „To jest nasza ostatnia wojna”, zawyrokował Bolesław, „obaj mamy już dosyć. Najpóźniej na początku następnego roku zawrzemy ostateczny pokój. Wtedy rozprawię się z Rusami”.

Bolesław powstał i nakazał im udać się na zasłużony odpoczynek. Albo na hulanki, jak wolą. Sam udał się do grona swoich doradców, by świętować. Zanim opuścił namiot, Gromosław zerwał się i poprosił władcę o parę słów na osobności. Stojąc przed namiotem, wyjawiał mu prawdę o włócznie. Że podmienili fałszywą, znaczy z nieprawdziwym gwoździem, na oryginalną, cesarską. Bolesławowi promiennie pojaśniało oblicze. Z żartobliwymi ognikami w oczach klepnął Gromosława po ramieniu na pożegnanie i rzekł: „Teraz dopiero pohulam!”.

\* \* \*

Na dwie godziny przed północą do szykującego się na spoczynek cesarskiego obozu doleciały okrzyki zza rzeki, ze



wzniesienia po drugiej stronie Ślęzy, tam, gdzie stały oddziały Bolesława. Potężne okrzyki jednego człowieka, o sile huczącego gromu. Powiadomiono otoczenie cesarza. Henryk wyszedł przed namiot w otoczeniu kilku gwardzistów i duchownych. „Co się dzieje? Kto tak się wydziera?”. „Tam,” wskazano mu usłużnie, „na wzgórzu po drugiej stronie rzeki, gdzie Polacy rezerwy trzymają. Bolesław, ich władca. Chrobry osobiście”.

Bolesław Chrobry stał pośrodku kręgu rozświetlonego łuczywami, by go lepiej widziano. Gwardziści Krwawych Skrzydeł zapewnili tarczami osłonę, na wypadek gdyby od strony Niemców nadleciały strzały. Mimo to przysiedli wokół na ziemi, by nie zasłaniać widoku władcy, z postawionymi tarczami. Bolesława rozsadzała energia. Stał w pełnej zbroi, dzierżąc wysoko w górze na wyciągniętych rękach włócznię świętego Maurycego.

- Henryk! Henryk! Moja włócznia! Ta prawdziwa! Teraz moja! Wyłaź z nory i patrz! Święty Maurycy po mojej stronie!

Cesarz stał milcząco, obserwując z przymrużonymi oczyma swego rywala.

- *Heinrich!* - tym razem Bolesław krzyczał po niemiecku: - *Ich habe die wahre Lanze! Die heilige Relikwie! Nicht Du! Mauritius steht auf meiner Seite\*!*

Henryk odwrócił się energicznie, zamierzając podążyć w kierunku namiotu. W tym momencie podszedł do niego jeden z gwardzistów.

- Pilny posłaniec z Italii.

Henryk zatrzymał się.

- Przepuść go natychmiast!

Zziajany posłaniec przekazał mu przyciszonym głosem jakieś wieści i oddalił się.

- Natychmiast narada! - nakazał Henryk. - Ma się stawić wyłącznie rada cesarska, teraz i tutaj.

- A Oldrzych, nasi dowódcy i kapłan Lutyków? - zapytał gwardzista.

- Tylko rada cesarska! I przywołaj tu jeszcze Ulricha, opiekuna włóczni.

Stawili się szybko. Arcybiskupi Gero z Magdeburga, Poppo z Trewiru, Erkanbald z Moguncji i Unwan z Bremy, biskup oraz możnowładni świeccy, książę Saksonii Bernard II, palatyn saski Burchard, cesarski zarządca skarbu Friedrich i margrabia Miśni Hermann I. Odczekali cierpliwie, aż Henryk przekaże Ulrichowi szeptem jakieś tajemnicze instrukcje. Gdy Ulrich oddalił się, cesarz przeszedł bez ogródek do rzeczy:

- W Italii powstanie przeciwko Bizancjum nabrało rumieńców. Meles z Bari przy wsparciu papieża i normańskich najemników uderzył na Apulię. Potrzebuje pilnie naszej pomocy. W związku z tym sprawy tutejsze nabierają innego znaczenia. Odstępujemy spod Niemczy, wracamy do kraju. Natychmiast wszcząć wysiłki do zawarcia pokoju z Bolesławem. Na jego warunkach, jeżeli się uprze. Potrzebny nam będzie jako sojusznik. Jarosław na Rusi uprawia podwójną politykę, nasiąkniętą fałszem wobec nas. Nie zagroził skutecznie Polakom, nie zdołał zdobyć

Brześcia nad Bugiem. Dlaczego? Ponieważ większość sił wysłał do Bizancjum, Bazylemu na pomoc! To właśnie ruska armia, w sile sześciu tysięcy wojowników, do tego wzmocniona wareskim kontyngentem, tłumią powstanie Melesa w Apulii!

W tym momencie powrócił Ulrich, czekając cierpliwie na osobności. Henryk przywołał go. Odeszli na kilkanaście metrów od zgromadzonych możnowładców.

- I co? - spytał Henryk. - Co z moją włócznią?

- Fałszywa - odparł Ulrich głosem przesiąkniętym strachem i pokorą.

- Skąd wiesz?

- W naszej był trzpień. Niewielki metalowy trzpień grubości igły, ukryty przemyślnie u nasady drzewca. Na trzpieniu każdy kolejny opiekun włóczni karbował swoją służbę od czasów, jak Henryk, wasz pradziad, władco, wszedł w jej posiadanie. Trzpień miał jedenaście karbów, ostatni markujący moją służbę. Nie ma trzpienia, nie ma miejsca, w którym był ukryty. Znakiem tego włócznia jest podrobiona.

Twarz Henryka pozostała bez zmian, bez oznak jakichkolwiek emocji ni uczuć. Odesłał Ulricha z nakazem absolutnego dochowania tajemnicy, za sowitym wynagrodzeniem oczywiście, po czym wróciwszy przed zgromadzonych członków rady, podjął przerwana przemowę:

- Bolesław zaatakuje Ruś, to pewne, a my mu dopomożemy. Weźmiemy Bizancjum w kleszcze od strony

Rusi i Apulii. I jeszcze jedno, jak będziecie z Bolesławem radzić nad pokojem, postawcie jeden warunek: ma się ożenić z jakąś ładną mozną z najwyższych kręgów naszego cesarstwa. Potrzebuję zaufanej osoby w komnatach Bolesława.

- A co z Lutykami? - ośmielił się zapytać księżę Bernard. - Oszaleją na wieść o pokoju, liczyli na łupy, jeńców.

- Napuść ich na Obodrytów - odparł bez zająknięcia cesarz. - Obodrycki Mścisław hardziej ostatnimi czasy, z Duńczykami paktuje, w potęgę rośnie, z opozycją saską... - tu spojrział Henryk wymownie na księcia Bernarda - ... konszachtuje. Niech się Słowianie nawzajem wyrzynają. Dla nas to z pożytkiem.

- Ale Mścisław to chrześcijański władca, zacieśniam z Obodrytami dobre kontakty, to wiem. Mścisław misjonarzy wspiera, wiarę chrześcijańską szerzy, biskupstwo na Wagrii chce reaktywować - zaproponował Bernard.

- Prędzej czy później całe Połabie włączymy do cesarstwa. Najpierw mieczem i skłócaniem Słowian nawzajem. Na koniec nasz Kościół zaprowadzi porządek. *Finit coronat Opus*, Bernardzie. - Cesarz obserwował z wyższością księcia Saksonii. - Nie bitwa, kampania czy nawet wojna, lecz koniec wieńczy dzieło.

KONIEC

*Robert F. Barkowski*

---

\* *Heinrich! Ich habe die wahre Lanze! Die heilige Relikwie! Nicht Du! Mauritius steht auf meiner Seite* (niem.) - Henryk! Mam prawdziwą włócznię, świętą relikwię! Nie ty! Maurycy znajduje się po mojej stronie!

## EPILOG HISTORYCZNY

Trwająca od 1002 roku z przerwami wojna między Bolesławem Chrobrym a Henrykiem II zakończyła się zwycięstwem Polski. Ostatnim epizodem działań wojennych w latach 1015-1017 była bohaterska obrona grodu Niemcza przez Polaków. W połowie września 1017 roku pobici i zdemoralizowani Niemcy rozpoczęli wycofywanie się szlakiem na Czechy. Uchodzące wojska cesarskie dopadła dziewiętnastego września niobowa wiadomość o silnym kontruderzeniu oddziałów polskich operujących z obszaru Łużyc Dolnych. Zagony polskie spustoszyły szmat ziemi między Łabą a Muldą, uprowadzając około jednego tysiąca jeńców. W okolicach dwudziestego września cesarz dotarł do grodu w Miśni, będąc świadomym, że wojna 1017 roku przyniosła mu katastrofalną porażkę. Pierwszego października do przebywającego w Merseburgu Henryka II dotarli parlamentariusze od Chrobrego z propozycją podjęcia rozmów na temat układów pokojowych. Traktat pokojowy kończący okres piętnastoletniej wojny polsko-niemieckiej zawarto w Budziszynie trzydziestego stycznia 1018 roku. Bolesław Chrobry utrzymał wszystkie zdobycze

na Połabiu (Łużyce Dolne z Chociebużem i Milsko z Budziszynem) oraz oderwane od Czech Morawy, bez jakichkolwiek zobowiązań lennych wobec cesarstwa, jako integralną część państwa polskiego. Rękojmią zachowania pokoju było zawarcie po kilku dniach przez Chrobrego małżeństwa (czwartego w kolejności) z młodszą o ponad trzydzieści lat margrabią miśnieńską Odą, córką margrabiego Ekkegarda I.

Już na obradach w Budziszynie obie strony prowadziły wstępne rozmowy na temat kolejnej wojny, tym razem jako sojusznicy. Bolesław Chrobry przy militarnym wsparciu cesarza wybierał się zbrojnie na Ruś Kijowską.

## PODŁOŻE HISTORYCZNE

- od autora

Jak na powieść historyczną przystało, akcja rozgrywa się na tle prawdziwych wydarzeń historycznych. Ostatni etap wojny polsko-niemieckiej w latach 1015-1017 z przynależnymi epizodami i faktami, jak na przykład bitwa pod Krosnem Odrzańskim, bitwa w Lesie Dziadoszan, atak wojsk piastowskich na Białą Górę, obrona Niemczy, sojusz polsko-stodorański, sojusz niemiecko-lutycki, paktowanie Niemców z Rusią Kijowską, bunty możnych w cesarstwie. Również szereg pozostałych elementów powieści znajduje potwierdzenie historyczne, chociażby fakt posiadania przez Chrobrego kopii włóczni św. Maurycego, przynależność Kopanika do Polski, przyjazd królów duńskich - braci Kanuta i Haralda do Polski w celu ściągnięcia do Danii ich matki Świętosławy (siostry Chrobrego), wydarzenia z przeszłości wspomniane przez bohaterów (na przykład wspólne polsko-niemieckie akcje militarne na Połabiu, uwięzienie Mieszka II przez Czechów, a następnie przetrzymywanie przez króla niemieckiego w Magdeburgu,



bunt Pomorza Zachodniego, epizody z poprzednich etapów wojny polsko-niemieckiej w latach 1007-1014), bunt Melesa w południowej Italii przeciwko Bizancjum, zarys sytuacji na Rusi Kijowskiej, sytuacja polityczno-organizacyjna w głównych odłamach Słowian Połabskich (Obodryci, Stodoria, Ranowie na Rugii, Związek Lutycki wokół Radogoszczy), opis świątyni Swaróżyca w Radogoszczy zawarty w kronice biskupa merseburskiego Thietmara.

Na zarysowanym powyżej tle historycznym autor umieścił elementy fikcyjne, w tym dwa najważniejsze: wojnę domową na wieleckiej części Połabia wywołaną przez Stodora oraz kradzież kopii włóczni św. Maurycego z namiotu Chrobrego. Wojna domowa u Lutyków nie została całkowicie zmyślona, lecz opisana na kanwie prawdziwego wydarzenia historycznego: wojny domowej w Związku Lutyckim w 1057 roku (Redarowie i Toleżanie przeciwko Chyżanom i Czrezipienianom), która *de facto* doprowadziła do rozpadu federacji lutyckiej. Również Stodor, postać na wskroś fikcyjna, ma swoje dwa historyczne odcienie: po pierwsze - w 994 roku książę stodorański imieniem Liudolf (brat władającego Brenną Przybysława), wiodący w Magdeburgu żywot księdza, zrzuca szatę duchowną, obejmuje władzę nad Brenną i wypowiada wojnę Sasom [*Kronika Thietmara*, księga IV, cap. 64, str. 87], po drugie - w magdeburskiej księdze zmarłych (*Magdeburger Totenbuch*) figuruje zmarły przed 1033 rokiem prezbiter imieniem Stodorin [Herbert Ludat: *An Elbe und Oder um*

*das Jahr 1000. Skizzen zur Politik des Ottonenreiches und der slavischen Mächte in Mitteleuropa, Köln 1971, str. 64].*

*Włócznia. Powieść historyczna z czasów piastowskich*  
ISBN: 978-83-8219-261-2

© Robert F. Barkowski i Wydawnictwo Novae Res 2021

Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie, reprodukcja lub odczyt jakiegokolwiek fragmentu tej książki w środkach masowego przekazu wymaga pisemnej zgody wydawnictwa Novae Res.

REDAKCJA: Monika Kasperek-Rucińska

KOREKTA: Natalia Kaśków

OKŁADKA: Marcin Duława, Shutterstock.com | Mariusz S. Jurgielewicz

ILUSTRACJA NA OKŁADCE: Piotr Walichnowski

KONWERSJA DO EPUB/MOBI: [Inkpad.pl](http://Inkpad.pl)

WYDAWNICTWO NOVAE RES

ul. Świętojańska 9 /4, 81-368 Gdynia

tel.: 58 716 78 59, e-mail: [sekretariat@novaeres.pl](mailto:sekretariat@novaeres.pl)

<http://novaeres.pl>

Publikacja dostępna jest w księgarni internetowej [zaczytani.pl](http://zaczytani.pl).